



Lena Najdecka

RODZINA WENCLÓW

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wspólnik

LENA NAJDECKA

RODZINA WENCLÓW

WSPÓLNIK

Dla Męża, Dzieci i Rodziców
– za inspiracje, wsparcie i pomoc

Siedlisko

Ryszard Wencel pruł przez las mazurską szosą, trąbiąc w próżnię i pozostawiając za sobą umykającą spod kół zwierzynę i tumany wirujących liści. Uczepiony skórzanej kierownicy, pochylony do przodu i obojętny na piękno poranka, chciał jak najprędzej dotrzeć do celu. Odarty z wszelkiego romantyzmu tak, jak to tylko mógł być człowiek zaradny i zahartowany w Peerelu, ciągnął w stronę Pisz, do wsi Smolny Piecek, aby dokonać oględzin pewnego siedliska, ponoć do kupienia za psie pieniądze. Robił to z myślą o swym najstarszym synu, jako że sam był już dumnym posiadaczem imponującej mazurskiej siedziby, położonej nad jeziorem Śniardwy. W końcu las zaczął się przerzedzać. Wjechał do Ukty, nie zwalniając. Grupka miejscowej młodzieży rozpierzchła się przed nim, ktoś krzyknął, do wnętrza samochodu dotarło stłumione przekleństwo. Przemknął obok kościoła, zmuszając staruszkę z bańką mleka do ucieczki do rowu, bo akurat z naprzeciwka pędził tir i Ryszard nie mógł już wyhamować. Trąbił więc tylko, zaciskając zęby.

Znów wjechał w leśny tunel. Ostatni odcinek przed Smolnym Pieckiem porośnięty był brzoźami. Na rozjeździe skręcił w lewo. Okolica robiła się coraz bardziej pagórkowata, słońce prześwitywało przez drzewa. Dostrzegł tabliczkę z nazwą miejscowości. Ciężką stopą skłonił auto do niezbyt płynnego hamowania, ABS-y zadudniły. Dotarł do Smolnego Piecka. Słońce zaświeciło mu w oczy. Wymamrotał jakieś przekleństwo. Gwałtownym, zniecierpliwionym ruchem wyszarpnął ze schowka ciemne okulary.

Mimo że wszystkie części jego garderoby i akcesoria, takie jak olejakowy Moorland, doskonałego gatunku sweter o grubym, karbowanym splocie, nubukowe półbuty z krepową podeszwą, przyciemniane okulary, srebrna papierošnica i dyskretny sygnet były doskonale dobrane, całość sprawiała wrażenie ciężkostrawnej. Ta wystudiowana elegancja powodowała, że Ryszard wyglądał na przebranego. Jego ogorzała twarz o grubych rysach, kiedyś całkiem przystojna, dziś opuchnięta i zaczerwieniona, wyrażała zniecierpliwienie i nerwowe podniecenie. Raz po raz poprawiał włosy, odrobinę przerzedzone i zaledwie lekko posiwiałe mimo jego sześćdziesięciu czterech lat.

Smolny Piecek położony był na wzgórzach. Droga to wspinała się, to gwałtownie opadała. Po prawej stronie migotało jezioro. Wokół stały wiekowe lipy, już prawie ogołocone z liści. Chatki ciągnęły się wzdłuż drogi, większość była drewniana. Zapadały się pod ciężarem dachów, pokrytych omszałą dachówką lub pozieleniałym gontem. Sprawiały wrażenie ubóstwa. Ryszard mijał chatynki z obojętnym wyrazem twarzy. Nagle zwilżył językiem mięsiste wargi i wlepił wzrok w wyjątkowo ładnie utrzymany dom.

Jedyny nowy w całej wiosce, w stylu polskiego dworku z toczonymi kolumnami i okazałymi schodami z kamienia, stał w jednej linii z chłopskimi, drewnianymi chatami. Coś w jego guście. Przed domem ustawiono fontannę z marmurowym posążkiem. Z uznaniem pokiwał głową. Ze sterty kamieni ustawionej przy podjeździe biło małe źródółko. Gdyby nie syn, sam też zbudowałby swoją mazurską chałupę od nowa. Mniej problemów ze wszystkim. Tymczasem chłopak uparł się na starą. Znalazł na Suwalszczyźnie ogromną, zabytkową leśniczówkę. Przenieśli ją i zrekonstruowali na wspaniałym kawałku ziemi nad samym jeziorem. Tylko on jeden wie, ile go to wszystko kosztowało. O ile taniej byłoby stawiać od nowa, o ile prościej. Zimą zimno, od jeziora piździ, a latem pełno robactwa. A wszystko to pewnie dlatego, żeby zaimponować tej...

Cicho zaklął pod nosem i utracił resztki dobrego humoru. Ta sprawa, bardziej niż inne, kładła się cieniem na jego duszy. Paweł, ich pierworodny, to przecież taki łebski chłopak...

Cała reszta też nie niosła zbyt wielkiej pociechy. Ot, choćby najmłodszy, Piotruś, ten fajtłapa. Ani pracy, ani studiów, ani dziewczyny, a sierjorne to, a przemądrzałe... Nic jeszcze nie osiągnął i nic nie wskazuje na to, że osiągnie, a gęba pełna komunałów. Buddysta się znalazł. „A jedź debilu, jedź do Tybetu, walcz o wolność, wiąż się do drzew, jedz trociny. I trociny to masz w tym pustym łbie!” Musiał wdać się całkowicie w matkę, nawet fizycznie nie jest do Ryszarda ani odrobinę podobny.

Nie weselej wygląda sprawa średniego – Mateusza – ten, choć zaradny i roztropny w sprawach zawodowych, zupełny idiota jeśli chodzi o życie prywatne. Straszny babiarz, chłopak kubek w kubek taki jak on w młodości. Napyta sobie biedy. A ta jego harpia nie odpuści, widać, że nie jest pierwsza naiwna, choć lubi sprawiać takie wrażenie.

Poruszył się niespokojnie w podgrzewanym, skórzanym fotelu gigantycznego, terenowego Cayenne, kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Przez dłuższą chwilę nerwowo gmerał przy kierownicy w poszukiwaniu pstryczka redukującego temperaturę fotela. Raz zerkał na drogę, raz na komputer pokładowy, miarowo naciskając mały guziczek. Wciskał tak mocno, że zbieła mu palec. Pokazały się pomiary spalania benzyny, droga przebyta, stan silnika, potem nagle radio gruchnęło na cały regulator. „Żeż kurwa mać”. Doprowadzony do ostateczności, grzmotnął pięścią w gałkę, muzyka ucichła.

Minął jezioro, teraz domy ciągnęły się po obu stronach drogi. Dojechał do skrzyżowania z polną drogą, na rozstaju stała kapliczka z figurką Matki Boskiej. Ukradkiem się przeżegnał, skręcił w prawo. Po kilku minutach jazdy znów zobaczył jezioro. Droga obsadzona była popękkanymi ze starości, nienaturalnie powyginanymi wierzbami. Po lewej stronie ciągnęły się pastwiska i nieużytki, na horyzoncie majaczył las. Nie było widać żadnych zabudowań. Takie ponure odludzie z pewnością trafi w gust Pawła – pomyślał – ani żywej duszy w promieniu kilku kilometrów!

Teraz droga to wznosiła się, to gwałtownie opadała. Kiedy samochód wspiał się na kolejne wzgórze, oczom Ryszarda ukazał się widok tak nadzwyczajny, że na chwilę przestał denerwować się tym, jak bardzo podwozie ucierpi na wybojach.

Drewniany dwór myśliwski, prawie czarny ze starości, stał na najwyższym wzniesieniu. Z pękatego mansardowego dachu sterczały trzy kominy. Z jednego z nich snuł się dym. Mimo że dach był miejscami dziurawy i brakowało kilku dachówek, po domu znać było dawną świetność. Z przodu budynku, równomiernie rozmieszczone, tkwiły po dwa wielkie, dwuskrzydłowe okna z podniszczonymi okiennicami. Weranda, usytuowana centralnie na frontonie domu, była wyjątkowo misternie ozdobiona drewnianymi ornamentami, przedstawiającymi motywy leśne. Powytłukiwane szyby musiały tworzyć kiedyś witraże w barwach jesieni, od jasnoseledynowych po miodowe. Drewniany ganek z pociemniałego, smołowanego drewna, ozdobiony takimi samymi motywami roślinnymi, był zapewne bocznym wejściem dla służby. Na parterze niektóre okna pozabijano dechami. Droga dojazdowa malowniczo wiała się pod górę, pod sam dom.

I choć Ryszard Wencel zwykle daleki był od patetycznych uniesień nad sentymentalnym urokiem zrujnowanej starzyzny, nawet w nim tliły się nostalgiczne ciągoty do świetności Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W każde święta obowiązkowo oglądał coś z *Trylogii*. Niepomny już niedawnych kłopotów związanych z rekonstrukcją swojej leśniczówki, znów dał się uwieść magii posiadania czegoś niezwykłego. Zrobi się z tego drugie Soplicowo! Albo lepiej! Znajomych Pawła krew zaleje z zazdrości!

Wjechał krętą polną drogą aż pod bramę na podwórze i zaparkował starannie pod gigantyczną lipą, uważając, aby nie zadrapać karoserii. Wskoczył i obiegł samochód – chciał upewnić się, że w nic nie uderzy, podjeżdżając tak blisko krzaków. Powietrze było ostre, północne, typowo mazurskie. Nie zdołało go ogrzać nawet operujące od rana słońce. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach jesieni, jakby żywej gleby, marchwi i butwiejących liści. Te ostatnie szeleściły pod jego butami, kiedy mijał żelazną, kutą furtkę i kierował się przez podwórze ku domowi. Zakrakowała wrona. Szedł ciężkim krokiem, lekko posapując i kołysząc się na boki. Rozległo się ujadanie psa. Rozejrzał się. Pod wiatą budynku dostrzegł niewielkiego kundla na łańcuchu, który szczyrzył zęby i rzucał się w jego stronę.

– Pudziesz! – huknął na psa. Coś w jego głosie zdawało się zadawać kłam szykownej garderobie, którą miał na sobie i przywodzić na myśl wrodzoną gwałtowność jego przodków.

Dom podobał mu się, owszem. Co dwór, to dwór! Ale wprawne oko szybko dostrzegło, jak wielkie trzeba ponieść nakłady, by doprowadzić to wszystko do stanu używalności. I kilkaset tysięcy złotych byłoby mało. Właściwie dom trzeba będzie stawiać od nowa, radzić się konserwatora zabytków, wymieniać spróchniałe drewniane elementy u dobrego stolarza. O, więźba

dachowa do wymiany pewnie w całości. Stolarka, ocieplenie, ogrzewanie.

Poza tym, trzeba by tu osadzić na stałe ciecia, przecież na takim odludziu zaraz rozkradną albo i, co gorsza, napadną. Może Ukraińców do pilnowania? Z zaciśniętymi zębami liczył koszty. Szkoda że Paweł sam nie mógł przyjechać. Zatrzymały go interesy, zjawi się dopiero wieczorem. Tak, masa pieniędzy potrzebna. Ale miejsce niczego sobie.

Rozglądał się z zaciekawieniem po podwórzu. Mimo południa, blade słońce było już bardzo nisko. Dwór stał frontem na południowy zachód. Do głównego wejścia na werandzie prowadziła zapuszczona alejka. W prawą ścianę werandy wrosnięta była wiekowa lipa, posadzona zbyt blisko domu. „Oj, szwabry, szwabry...” Pokiwał głową z politowaniem. Ale trzeba było przyznać, że zarówno dom, jak i inne budynki gospodarcze rozlokowano w sposób zarówno użyteczny, jak i niezwykle malowniczy. Brama wjazdowa znajdowała się po przeciwnej stronie drzwi wejściowych. Gdy Ryszard wszedł na trzeszczące, zbutwiałe stopnie werandy i odwrócił się ku podwórzu, oczom jego ukazał się widok tak... Słów brakowało! Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego, oddychając głęboko i chciwie chłonąc wzrokiem otaczający pejzaż.

Na lewo od wjazdu znajdował się niski, pokryty zapadniętym dachem budynek. Miał tak maleńkie okienka, że mogła to być tylko psiarnia, zresztą licho wie. Z tyłu widniał wolny kawałek ziemi, płaski i nasłoneczniony, idealny na ogród warzywny. Pewnie takowy się tam niegdyś znajdował. W tej chwili porastało go kilka krzaków – może porzeczek, może agrestu... W każdym razie jakieś chwasty. Zobaczył również na wprost zdemolowaną szklarnię i pozostałości po czymś, co mogło być wędzarnią, bo ostał się poczerniały komin. Walały się tam jakieś szmaty, dwie stare opony i kalosz. Za ogrodem warzywnym widać było przygarbione ze starości drzewka owocowe o pokręconych konarach.

Za sadem, na malowniczych pagórkach, rozciągały się pastwiska. Po niebie, dotychczas idealnie błękitnym, gnały pierzaste chmury. Na prawo od psiarni, pomiędzy dwoma monumentalnymi lipami, które po pańsku zaznaczały wjazd na posesję, widać było krętą drogę dojazdową, wysadzaną przygarbionymi wierzbami. W oddali lśniło jezioro. Znajdowało się dużo niżej niż pagórek, na którym usytuowane było siedlisko. Po prawej stronie widać było, wśród zrudziałych paproci i uschniętych krzewów bzu, boczną furtkę. Od niej, przez zielone pastwiska, aż do czerniejącej na widnokręgu ściany lasu wila się polna droga.

Nagle słońce zupełnie zaszło, od zachodu powiał zimny podmuch. Ryszard podniósł sztruksowy kołnierz, rzucił niedopałek w trawę, odwrócił się w stronę domu i pociągnął za klamkę. Drzwi były zamknięte, więc załomotał w nie z całej siły.

– Halo, jest tu kto? – Jego głos na odludziu, gdzie jedynym dźwiękiem było ujadanie psa i szelest liści poruszanych lekkim wiatrem, zabrzmiał groźnie, lecz podszyty był strachem.

Od znajomego zduna, który pochodził właśnie ze Smolnego Piecka i niedawno naprawiał mu kominek, dowiedział się o istnieniu siedliska, które podobno zamieszkiwał bliski zejścia z tego świata dziadek – posiadający liczne potomstwo właściciel domu. Należało więc dogadać z nim sprawę szybko, zanim będzie się miało do czynienia z kilkunastoma spadkobiercami i wszystko się skomplikuje.

Nikt nie odpowiadał, ruszył więc w stronę bocznego wejścia. Tym razem drzwi ustąpiły. Uchylił wiszący za nimi koc i wślizgnął się do środka. Znajdował się na ganku, lecz było tam ciemno jak w dupie u Murzyna. Znów uchylił koc, aby wpuścić trochę światła. Zlokalizował drzwi prowadzące do domu. Po omacku, pośpiesznie ruszył w ich stronę. Szarpnął za klamkę, wszedł do środka. Znalazł się w przedsionku, gdzie było trochę jaśniej, siwe światło sączyło się przez szpary w kolejnych drzwiach. W półmroku przelotnie dostrzegł kurtki zawieszane na hakach, słoiki stojące na skrzyniach i walające się stare trepy. Cuchnęło stęchlizną i ziemniakami. Ruszył do następnych drzwi, prawie rzucił się na obluzowaną klamkę. Ustąpiła zaskakująco łatwo, przez co z impetem wpadł do następnego pomieszczenia.

Było tu bardzo ciepło i śmierdziało krową, pod żeliwną kuchnią buzował ogień, a przy stole przykrytym ceratą siedział pomarszczony jak Indianin staruszek, kiwając się miarowo w przód i w tył. Obok kuchni kucał młody, rozczochrany chłopak w ortalionowej kurtce. Wkładał do pieca kawały drewna przypominające rzeźbione nogi od stołu. Obaj spojrzeli na

Ryszarda zdumieni.

– Ekhm, dzień dobry – odezwał się Ryszard, któremu najwyraźniej ulżyło na widok dwóch istot, jak by nie patrzeć, ludzkich. – Słyszałem, że ten dom jest na sprzedaż. – Ponieważ nadal milczeli jak zakłęci, Ryszard poczuł się w obowiązku wytłumaczyć. – Od znajomego – na wszelki wypadek postanowił nie wyjawiać tożsamości zduna – ze Smolnego Piecka dowiedziałem się o siedlisku na sprzedaż. Czy pan nazywa się Benedykt Moreń? – Pytanie tyczyło staruszka, ale skierował je do młodego.

– A o co się rozchodzi? – chłopak patrzył podejrzliwie.

– Wencel Ryszard jestem – wyciągnął dłoń, czując, że kurtuazja może mu się opłacić.

Potrząsnął uwalaną sadzą dłoń chłopaka. – Mam tu niedaleko chałupę, więc mi nie zależy na kupnie, ale jakbyście się chcieli tej rudery pozbyć, to znam kogoś, kto by mógł być zainteresowany – starał się mówić tonem jak najbardziej obojętnym.

– Moglibyśmy się dogadać, ale jest jeden problem – chłopak odciągnął flegmę z gardła i najwyraźniej międlął ją w ustach. Dziadek nie odrywał wzroku od Ryszarda, jego dolna szczęka poruszała się jakby coś przeżuwał. Zapadła dłuższa chwila ciszy, którą przerywał syk płomieni i trzaski dochodzące spod kuchni.

– No? – zapytał Ryszard ze źle tajoną irytacją.

– No, bo to już chyba sprzedane... – Chłopak podrapał się po rozczochranym łbie i uśmiechnął jakoś bezczelnie.

– Jak to chyba? Albo coś jest sprzedane, albo nie – warknął Ryszard, obracając w kieszeni papierosnicę. W głowie obliczał, ile to mogło być warte. Nawet jakby Paweł nie chciał domu remontować, on, Ryszard, mógłby go opylić zagranicznym inwestorom za paręset tysięcy. Można tu zbudować hotel, spa, zajazd, stadninę i Bóg wie co jeszcze. Miejsce piękne, odludne. Żeby nie pierdolić się z konserwatorami, można by rudere rozpieprzyć i wystawić tu pałac!

Lekko podekscytowany, wyciągnął papierosy, otworzył i poczęstował tamtych. Palili milcząc. Ryszard cierpliwie czekał na wyjaśnienia. Chłopak zaczął chodzić po pokoju, drapiąc się po skudłonej głowie. Staruszek zaczął jękliwie nucić. Ogień buzował pod kuchnią.

– No więc, jak to jest? – wybuchnął Ryszard. – Kto tu jest właścicielem?

– W zasadzie to... Ja nie wiem. Bo już był taki jeden, co chciał kupić i dziadek coś podpisali. Był tu z tym, no, tego, z notariuszem.

– A więc sprzedaliście to? – wycedził Ryszard.

– Tak, ale on mało daje i dziadek powiedział, że mu niczego nie sprzeda.

– Jak nie sprzeda, jak żeście już podpisali? – ledwo panował nad sobą Ryszard. – Macie tę kartkę? Tę umowę?

– Matka mają – wzruszył ramionami i zdusił niedopałek o pobliski kredens, a następnie pstryknął nim w otwarty popielnik.

– Gdzie jest matka? – Ryszard odruchowo omiół wzrokiem kuchnię.

– Tu jej nie ma, w Smolnym Piecku mieszka. Ja tu dziadka pilnuję, jeść mu daję – bąknął.

– Jak panu tak zależy, to niech pan do niej pojedzie.

– Pokażesz mi drogę? – Ryszard zaciągnął się końcówką papierosa i rzucił niedopałek na blachę leżącą pod kuchnią. – Opłaci ci się.

– Mogę pokazać. I tak już miałem wracać. Mieszkam z matką w Piecku. Ale jestem rowerem, przecie go nie zostawię...

– Zmieści się i rower – zawahał się Ryszard. Od chłopaka bił intensywny zapach obory, a on dopiero co mył auto.

– No to idziemy. Dziadek, masz tu ciepło, na kuchni jest mleko, jutro też ktoś od nas pojedzie. – Chłopak wziął plecak i ruszył w stronę drzwi. Starzec nie zaszczycił wychodzących ani jednym spojrzeniem. Wzrok utkwił w pełgających płomieniach.

Drogę do Smolnego Piecka odbyli prawie w milczeniu. Ryszard raz tylko przerwał ciszę, chcąc się dowiedzieć, czy aby dziadek nie zaproszy w domu ognia. Uzyskawszy uspokajającą odpowiedź, zamilkł i tylko posykiwał lub cmokał z niezadowoleniem, gdy koła samochodu wpadały w większe koleiny.

Wjechali do wsi, skręcili w lewo, podjechali pod maleńką drewnianą chatkę, która niemal zapadła się pod ciężarem ogromnego dachu, krytego ciężką dachówką. Chatka miała otwartą werandę, przez którą prowadziło wejście do domku. Gdy otworzyli drewnianą furtkę, natychmiast zaczęły jazgotać psy. Jeden z nich, w polu widzenia, uwiązany do kolucha na ścianie obory stojącej kawałek za domem, rzucał się w ich stronę, podzwaniając krótkim łańcuchem. Dom tonął w krzewach bzu, zrudziałych i okwitłych. W powietrzu unosił się zapach dymu z ogniska.

Chłopak szedł przodem. Nacisnął klamkę rzeźbionych, odmalowanych na zielono-biało drzwi. Odwrócił się do Ryszarda i wymamrotał jakieś słowa, mające zachęcić tamtego do wejścia głębiej. Wprost z kwadratowego przedsionka trafili do kuchni. Tam na małym zydłu koło kuchni siedziała kobieta, zapewne w średnim wieku, lecz mocno wyniszczona. Spracowanymi dłońmi o pożółkłych palcach obierała kartofle. Na widok Ryszarda podniosła się i otarła mokre, brudne ręce o fartuch, patrząc na przybysza spode łba. Na kuchni coś perkotało w kilku garnkach. Pachniało przyjemnie śliwkowymi powidłami.

– Matka, ten pan chciał zapytać o dom w Górnym Łęgu – odezwał się syn i zwrócił wyczekująco w stronę Ryszarda. Tamten, już na to przygotowany, wcisnął chłopakowi do ręki dwadzieścia złotych. Chłopak wymruczał słowa podziękowania i wyszedł na zewnątrz.

Kobieta patrzyła na Ryszarda podejrzliwym wzrokiem.

– Dom już sprzedany, po co syn tu pana ciągał? – burknęła, zamieszała w jednym z kotłów i odwróciła się w stronę Ryszarda, wojowniczo ujmując się pod boki. Gdzieś w głębi domu zaczęło marudzić niemowlę.

– Jestem tu, bo odniosłem wrażenie, że jeszcze nie wszystko macie dograne. Syn dał do zrozumienia, że tamten człowiek mało wam zapłaci. Ma pani umowę sprzedaży, którą mógłbym obejrzeć? – Ryszard starał się mówić przyjaznym tonem, co nie przychodziło mu zbyt łatwo.

Jakże się zdziwił, widząc, że od razu podeszła do ciężkiego, białego kredensu i otworzyła maleńką szufladkę. Najwyraźniej zamierzała mu pokazać umowę.

I rzeczywiście. Wyciągnęła zmięty plik i podała Ryszardowi. Gdy zaczął czytać, bardzo dokładnie zlustrowała go, od starannie ufryzowanej, lekko posiwiałej głowy, aż po czubki kosztownie wyglądających butów. Ocena wypadła chyba pochlebnie, bo patrzyła znacznie bardziej przychylnym, choć wciąż chytrym i nieufnym spojrzeniem. Ryszard skończył czytać i powoli zgiął kartkę wpół.

– Sprzedaliście to za dwadzieścia tysięcy? – w jego głosie mimo woli zabrzmiała nutka niedowierzania.

– Tyle jest wpisane, ale do ręki miał dać więcej, czterdzieści. Mówił, że zapłacimy mniejszy podatek! Na razie dał zaliczkę, ale nie tyle, co obiecywał, że da, więc tatuś powiedział, że temu bydlakowi w ogóle chałupy nie sprzeda – zaciętrzewiła się kobieta.

– Jest notarialnie poświadczona umowa przedwstępna – głuchym głosem oznajmił jej Ryszard – tatuś może sobie apelować nawet do świętego Piotra. Tu już nic nie pomoże. – „Chyba że Paweł coś wykombinuje – dodał w myślach – ale tego mówić wam nie mam zamiaru”.

– Cóż, skoro tak sprawa wygląda – rzekł, wzdychając – szkoda mojego czasu. Trudno – wasza strata. Ten człowiek was oszwaibił. Mój znajomy zapłaciłby wam za to dwa razy tyle albo i więcej. Ale skoroście podpisali tę umowę... – podniósł oczy na kobietę.

– Jeśli jest ktoś, kto dałby więcej, to niech mu pan pokaże te pismo, może można jakoś to odkręcić! Przecie panu mówię, że tatuś się zarzekł, że temu Morawie chałupy nie odda. Po moim trupie tu osiadzie, chuj jebany, tak tatuś powiedział – jazgotała kobieta, trzaskając pokrywkami. – Jak przyjedzie zabrać nam dom, to my go psami poszczujemy – wygrażała pięścią w stronę drzwi. – Od razu mówiłam tatusiowi i tej mojej siostrze, że Morawa to oszust, ale oni, żeby szybko brać pieniądze, no i wzięli po tysiącu zadatku na głowę i podpisali. Potem miał donieść jeszcze po cztery tysiące. I co? Do dziś pieniędzy nie zobaczyli. Ale jak ja tu skurwysyna zobaczę, każę mu spierdalać! Nikt ci chałupy za marne grosze nie odda, chuju, myślisz, że nie wiemy, ile warta nasza chałupa?

– Hmm – Ryszard bębnił palcami w stół, wpatrując się w papiery, które wciąż trzymał w dłoni. Niemowlę krzyczało coraz głośniejsze. – Ja to wezmę i pokażę znajomemu, tak na wszelki

wypadek, ale nie obiecuję niczego.

– Andżelika, rusz się i ucisz go, słyszysz chyba, że gościa mamy – krzyknęła kobieta w głąb domu, wymawiając słowa na jednym wydechu. Głos jej, podniesiony i swarliwy, przypominał gulgotańskie indora.

– Odwiozę pani umowę, jak tylko znajomy ją obejrzy – skrzętnie umieścił papier w wewnętrznej kieszeni kurtki. – Do zobaczenia.

– Do widzenia. – Jej spojrzenie biegało po kuchni. Dopiero gdy odwrócił się do niej plecami i pochylił głowę, by wyjść przez niskie drzwi, podniosła nieufny, podejrzliwy wzrok i mierzyła nim oddalającą się zwałistą postać. Jej niechętne spojrzenie ścigało go jeszcze przez okno, aż do momentu, kiedy odjechał z lekkim piskiem opon.

Kolacja w Niedźwiedzim Rogu

Październikowe dni na Mazurach, mimo że ciągle słoneczne, były już bardzo krótkie. Zmrok zapadał szybko, a pod wieczór z łąk i pastwisk schodziły mgły. Najpierw wypełniały tylko najniżej położone, najbardziej podmokłe tereny. Potem zaczynały wspinać się wyżej. Jak woda w naczyniach połączonych, utrzymywały się wszędzie na tym samym poziomie. Rozlewały się wokół zagajników, pełzały po polach, zakradały się do zagród i często zuchwale wylażyły na drogę. Ryszard wpadł w takie mleko, kiedy minął ostatnie domy wioseczki Końcowo i przy płaczącej wierzbie skręcał w pełną drogę prowadzącą do swojej siedziby. Droga wiodła między pastwiskami, które w tej chwili były zalane gęstą mgłą. Na niebie wisiał już wielki, otoczony poświatą księżyc. Panował półmrok. Terenówka Ryszarda niczym amfibie rozcinała białą toń. Krajobraz o tej dziwnej godzinie dnia, pomiędzy szarówką a półmrokiem, wydawał się niesamowity. Ryszard minął starą gruszę, od dawna już uschlą, która w tym księżycowym świetle nabierała groźnych kształtów. W oddali zamajaczyły światła Niedźwiedziego Rogu.

Pstryknął pilotem. Stara, pociągnięta olejem brama zaczęła się otwierać. Zapaliły się automatyczne, reagujące na ruch lampy, podświetlające ozdobne krzewy, posadzone po obu stronach bramy. W gęstniejącej mgłę światła były przytłumione, zdawały się parować. Przejechał krętą, wybrukowaną drogę obsadzoną krzewami bzu i czeremchy, wyjechał z zakrętu i oczom jego ukazał się rześkie oświetlony dom, a za nim srebrna tafla jeziora. Minął go i wjechał pod wiatę małego budynku gospodarczego. Za nim znajdował się mały, zastawiony kilkoma samochodami parking. Widocznie większość rodziny przybyła już na weekend.

Ryszard wysiadł, zamknął samochód pilotem. Zgarbiony, z postawionym sztruksowym kołnierzem, ruszył prędko w stronę ganku. Gdy znalazł się na otwartej przestrzeni między budynkiem gospodarczym a domem, od jeziora powiał chłodny podmuch. Spojrzał w tamtym kierunku. Woda była ciemna, ruchliwa, niespokojna. Na Czarcim Ostrowie migotało światło. Pewnie niedobitki żeglarzy! Ryszard nie znosił ich, srali gdzie popadło. A ile razy próbowali przycumować przy jego prywatnym pomoście! Wywiesił gigantyczny napis „prywatne”, ale i to nie pomagało.

Lewa część jeziora była bezkresna. O pomost uderzała krótka fala, woda chlupotała między łódkami. Wzdrygnął się, przyspieszył kroku. Wszedł za winkiel, wiatr ustał. Do leśniczówki wchodziło się od strony północnej, poprzez rozległy ganek zlokalizowany centralnie na środku opasłego gmachu.

Ryszard poprawił włosy i wszedł po drewnianych schodach. Na werandzie paliła się ocieplająca latarnia. Ostrożnie ją przykręcił. Zżerała tyle prądu! I tak nikt jej tu nie widzi! Otworzył drzwi, zdjął kurtkę, powiesił na kołku w ciemnym przedsionku. Wszedł do jasno oświetlonego hallu i stamtąd skręcił do kuchni, szukając żony. Chciał się dowiedzieć, kto u licha znów do nich zjechał.

Panowało tam wielkie poruszenie. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń spalenizny. Żona Ryszarda, Elżbieta, wytworna matrona, krążyła po kuchni niczym chmura gradowa. Tonem sztucznie zlągodzonym, z którego przeziarała z trudnością tłumiona wściekłość, wydawała mnóstwo poleceń, utrzymując dwie asystujące jej kobiety w nieustannym ruchu. Pierwsza z nich – chuda, poirytowana – była miejscową, zatrudnioną przez Wencłów w charakterze pomocy domowej kobieciną. Druga – dorodna i ładna – wyglądała na dużo bardziej ugodową. Była to Karolina, żona ich średniego syna, Mateusza. Gorliwie wykonywała nawet najbardziej absurdalne polecenia.

Głównodowodząca, w lekkiej hysterii, co chwila przerywała zlecone zadania i przydzielała nowe, czasami niweczące uprzedni wysiłek. Raz po raz, gdy złapała swoje pomocnice, głównie panią Bożenkę, na uchybieniu, załamywała ręce, ostentacyjnym gestem wznosiła je do nieba, a potem szukała sojuszu wzrokowego z tą, która aktualnie nie zawiniła. Szalała łask ewidentnie przeważała dziś na korzyść Karoliny, mającej triumfujący, lecz czujny wyraz twarzy, bo nie od dziś wiadomo było, na jakim koniu jeździła owa łaska.

Wszystko to mogło oznaczać tylko jedno – przyjechał ktoś ważny. Od kiedy Ryszard wszedł w posiadanie większych pieniędzy, gotowanie wykwintnych dań o obco brzmiących nazwach

stało się prawdziwą namiętnością jego żony. Denerwowała się przy tym bardzo, gdy Ryszard przekręcał nazwy potraw, zwłaszcza przy gościach, a już do szału doprowadzało ją, kiedy dyskretnie bekał lub wysysał coś z zębów, osłaniając usta jedwabną serwetą.

Choć nigdy do końca nie wybaczyła Ryszardowi tego braku ogłady, trzeba przyznać, że była dla niego nieustającą podporą, wnosząc, dosłownie gdzie tylko się dało, swój rodowy *savoir-vivre*^[1] i *savoir-faire*^[2]. Jak mogła, kamuflowała drobne niedociągnięcia, zawsze umiała sprawnie wpleść jakąś rodzinną, kresową dykteryjkę (w niektóre z nich z czasem sama zaczęła wierzyć, słysząc je opowiadane przez samą siebie już tyle razy), a opowiadając historię o okrutnych bolszewikach tak dalece zapamiętywała się w narracji, że roniła łezkę nad utraconymi włościami położonymi na odległych rubieżach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Ryszard, człowiek bezsprzecznie obdarzony dużą dozą zdrowego rozsądku i inteligencji życiowej, traktował te pretensje jak nieszkodliwą manię. Nie zgodził się jedynie na powieszenie nad wejściem do leśniczówki kupionego gdzieś gigantycznego herbu. „Baba zupełnie już zwariowała” – powiedział tamtego dnia do swojego najstarszego syna, Pawła.

Przychylnym zaś okiem spoglądał na uroczę drobiazgi, które żona, nierzadko narażając życie, wyławiała z okolicznych ruder. Czasami godzinami przesiadywał w salonie i przyglądał się ciepłemu, przytulnemu wnętrzu. Gdyby pozostawił kwestie wystroju synowi, dom wyglądałoby zapewne jak karcer. Podłogi pozostawiłby surowe, bez śladu lakieru, ściany białe, kafłowe piece, na ścianach sztychy, parę rycin.

By tego uniknąć, wystrój wnętrza, w przeciwieństwie do rekonstrukcji domu, Ryszard postanowił realizować na własną rękę. Radowało go, że każdy, kto przekroczył próg jego domu, musiał natychmiast zdać sobie sprawę, że znalazł się w siedzibie człowieka zamożnego. Umiłowanie piękna i pieniądza znać tu było na każdym kroku. Cztery wątpliwej autentyczności Kossaki w połączonych ramach zdobiły przestronny hall, błyszczące jak lustro drewniane lakierowane deski pokrywała wielka niedźwiedzia skóra. Pod schodami stał mały szezlong, obity pasiastym czerwono-złotym jedwabiem. Z sufitu, na długim mosiężnym łańcuchu, wisiał żyrandol Księstwo Warszawskie – szczyt elegancji, prostoty i dobrego smaku.

Salon zdradzał ów szczególny patriotyzm i nostalgiczne ciągoty do sarmackiego stylu życia. Wencel zdawał się szczególnie upodobać sobie styl niejakiego Józefa Brandta, którego kopie porozwieszał po całym domu. Na ciężkich płótnach galopowali Kozacy, lśniły broje husarii, łopotwały sztandary. Było też wiele misternie dopracowanych martwych natur, koniecznie z motywem myśliwskim – a to martwym bażantem, a to powieszonym zającem. Jeszcze bardziej myśliwskiego charakteru dodawały temu eklektycznemu wnętrzu liczne poroża, wypchane zwierzęta i przytwierdzone nad drzwiami medaliony. Kanapy były skórzane, smacznie podniszczone, czekoladowo-brązowe. Na półce nad kominkiem stała drewniana makieta żaglowca, kupiona podczas jednego z licznych wojaży, oraz mosiężny odlew głowy marszałka Piłsudskiego.

Meble, uroczy, błyszczący komplet z dębiny, stylizowany na bliżej nieokreślonego Ludwika, zakupiono w Cyroniu. Poduszki, rzucone na sofę, obszyte były szkocką kratą i przywodziły na myśl wiejskie rezydencje dynastii Windsorów albo domek świętego Mikołaja. Na podłogi rzucono skóry łosi, saren i dzików.

– Ale się ujechałem – stęknął Ryszard, rozpierając się za stołem kuchennym i pod maską irytacji kryjąc zadowolenie, którym nieustannie napawał go widok zasobnej, rustykalnej kuchni, wykonanej w lakierowanym orzechu. – Piekielnie ciągnie mnie w tej nodze... Nie mogę długo siedzieć w jednej pozycji... Paweł jest wreszcie?

– Jest, jest... Przyjechał, wniósł walizki i rozpakowuje ubrania. Hanna natomiast w salonie, zajęta, proszę ja ciebie, rozmową. – Żona wymownie przewróciła oczami i wymieniła szybkie porozumiewawcze spojrzenie z drugą synową. – No i co, widziałeś to siedlisko? Cały dzień cię nie było. My tu z Karoliną mamy huk roboty. Zobacz no, Karolina, czy szparagi dochodzą. – Szybkimi, precyzyjnymi ruchami układała grube plastry polędwicy na blasze, używając do tego tylko koniuszków bardzo twardych, starannie pomalowanych paznokci, którymi z dziecinną łatwością mogłaby wyjąć komuś gałkę oczną. Jej wymuskane, upierścienione dłonie były nadal bardzo piękne, na cienkich przegubach błyszczały i podzwaniały srebrne bransolety.

– A, zapomniałam ci powiedzieć. Paweł zaprosił starego Rolicza na kolację. No, trudno. Jakoś to przeżyjemy... – I wykonała nieokreślony ruch ręką, wprawiając bransolety w cichy brzęk.

Ryszard Wencel wkroczył do salonu i zaczął się witać ze wszystkimi. Krótco potrząsał dłońmi gości, wymieniał lakoniczne uwagi – uznawał ten lekko szorstki styl bycia za jedyny godny swego dostojęstwa. Czuł, że gdyby był zbyt miły, oznaczałoby to wynoszenie się ponad innych i okazywanie im litości, gdyby natomiast był cyniczny, oznaczałoby to dokładnie to samo. Nie pomyślał nigdy, że może być po prostu naturalny. Ostatecznie *richesse oblige*^[3].

Dłużej przytrzymał rękę Edwarda, chcąc go w ten sposób wyróżnić i okazać należny powinowatemu szacunek. Robił to jednak tylko dla Pawła. Nie trawił teścia swojego pierworodnego i motywował to krótkim, nieco enigmatycznym stwierdzeniem – „wyżej sra niż dupę ma. Pieprzony kauzyperda”.

Edward Rolicz, wzięty warszawski adwokat, wuj Hanny – żony Pawła, był dla niej jak rodzony ojciec, jako że matka Hanny zmarła młodo, a biologiczny ojciec, „francuski drań”, jak go w rodzinie Roliczów nazywano (w rodzinie Wencłów obdarzono by go dużo bardziej dosadnym epitetem), odjechał w swe ojczyste strony, być może nie wiedząc nawet, że pozostawił w ponurym Peerelu część siebie. Hanna więc wychowywała się u Roliczów, wraz z ich własną córką Matyldą.

Edward słuchał uroczystej powitalnej mowy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Pan domu próbował wymóc na gościu zapewnienie, że tamten zostanie na kolacji, gość wymawiał się, tłumacząc, że nie chce sprawiać kłopotu, wpadł tylko się przywitać, jechał z Matyldą do swojej mazurskiej chałupy, która zresztą znajdowała się nieopodal, w Krzyżach. Jednak spizowa stanowczość Ryszarda prędko zwyciężyła okrągłą i gładką kurtuazję Edwarda. Decyzja o pozostaniu zapadła.

Do kolacji u Wencłów usiadło więc okazałe grono. U szczytu potężnego, dębowego stołu zasiadł sam Ryszard, wyświeżony i pachnący, przebrany w elegancką, czarną koszulę. Ciemne, sięgające do uszu, przetykane siwymi nitkami włosy pociągnął pomadą. Po jego prawicy ulokowany został Edward, ubrany w tweedową marynarkę, lekko przygarbiony, jakby zakłopotany całą sytuacją. Naprzeciw niego, po lewicy męża, w dystygowanej pozie tkwiła Elżbieta. Czujnym okiem nadzorowała, czy aby wszystko jest na miejscu. Obok matki siedział nachmurzony Paweł Wencel – najstarszy syn, dalej rozpromieniona żona Mateusza, Karolina (nawiasem mówiąc istna słodycz), dalej – Mateusz. Naprzeciwko ojca niefortunnie trafił najmłodszy syn, Piotruś. Sam jego widok doprowadzał Ryszarda do stanu podwyższonego ciśnienia. Vis-à-vis Pawła siedziała córka Edwarda, Matylda. Dalej, nawijając włosy na palec, Hanna. Obok niej, na końcu stołu, siedział jedyny obcy w tym gronie, znajomy Mateusza, który przedstawił się jako Mirosław Kwaśniak.

Był to człowiek o dość regularnych rysach i czujnym, niespokojnym spojrzeniu. Jeszcze tego samego wieczoru Ryszard określił go mianem „wiejskiej piękności”, cokolwiek epitet ten miał oznaczać. Jako jedyny ubrany był w garnitur, w którym przyjechał prosto z Warszawy. Zaledwie jeden rzut wyrobionego Pawłowego oka wystarczył, by stwierdzić, że garnitur nie należał do „markowych”. Również brązowy krawat z małym węzełkiem zwisał jakoś niechlujnie. Ten niegrzeszący elegancją gość, na dodatek pozbawiony zdolności empatycznych, zachwycony był siedzącą obok żoną Pawła. Nie przestawał do niej mówić, biorąc jej milczenie za dobrą monetę.

Tymczasem Ryszard zainaugurował posiłek donośnym chrząknięciem.

– Podaj no, Elu, jedną bruschettę. Paluchami, gdzie mie z tymi szczypcami. Spróbuj, Edward, tego wina, takiego nie piłeś. Dałem ponad dwieście złotych za butelkę. Ale to i tak nie to, co kupiliśmy wtedy w Szampanii. – Ryszard oglądał butelkę ze wszystkich stron. – Paweł, jak się nazywało tamto wino musujące, co go kupiłem ze dwadzieścia butelek?

– Heidsieck – mruknął Paweł, biorąc od ojca flaszkę i ze zmarszczonymi brwiami oglądając etykietkę w nikłym świetle świec. – A to jest Pinot Grigio... Powinno być dobre. – Wstał i obszedł stół, nalewając wszystkim po kolei.

– Bardzo zacne. Bardzo zacne – ze znanstwem kiwał głową Kwaśniak. – Byłem kiedyś w Alzacji na...

– Trzydzieści euro za butelkę – brutalnie przerwał mu Ryszard. – Żabojad aż się zacukał, jak mu powiedziałem: dawaj pan dwadzieścia butelek. Nie zrozumiał po angielsku, więc mówię do niego: węż butei – tak Mati?

– *Vent bouteilles* – kiwnął potakująco głową Mateusz, mrugając jednocześnie do Matyldy. Przełknął kawałek chleba i zwrócił się w stronę milczącego adwokata: – Pan pewnie nie wie, panie Edwardzie, że ja pracuję w Telecommerce?

– Coś sobie przypominam... – Adwokat, który z nieprzeniknioną miną przysłuchiwał się tyradom starego Wencla, wyglądał jakby wyrwano go z głębszego zamyślenia. Szybko jednak oprzytomniał. Skosztował wina i kiwnął z uznaniem głową, wyrażając tym samym aprobatę, po czym, zaspokoiwszy na chwilę próżność gospodarza, zwrócił się w stronę jego syna i dodał: – Ależ oczywiście! Teraz pamiętam. Znam tę firmę. Francuski kapitał, usługi telekomunikacyjne. Gratuluję więc! Mój kolega, mecenas Bryl, pracuje czasem dla Guy et Chardon, oni wam świadczą obsługę prawną, piekielne stawki solą!

– No właśnie, obecny tutaj mecenas Kwaśniak tam pracuje, stąd się znamy – dodał Mateusz, wskazując głową na kolegę, który siedział na końcu stołu i wyciągał szyję w ich stronę, by nie uronić ani słowa.

– Tak, naturalnie, znam mecenasa Bryla. Klasa człowiek. Starej daty adwokat – wtrącił Kwaśniak poufale, kierując swe słowa do Rolicza. Widząc, że wreszcie ściągnął powszechną uwagę, perorował dalej mądrym, uczonym tonem. – Choć zazwyczaj nie zlecamy zbyt wiele na zewnątrz. Jestem w „giju” prawą ręką Vincenta. Marne ma pojęcie o polskim rynku. Prawie o wszystkim decyduję ja, bez mojej wiedzy Vincent nie odważy się podpisać żadnego dokumentu. Gdybym tylko zechciał odejść, wystarczy, że pstryknę palcem, a kilku kluczowych klientów pójdzie za mną. – Tu potoczył dookoła zwycięskim spojrzeniem i zadowolony z siebie, sięgnął po talerz z łososiem, ukazując na moment wielką, moką plamę pod pachą. Zapadła chwila milczenia, słychać było jedynie szczękanie sztućców i syki płomieni na kominku.

Paweł i Ryszard przeżuwali w milczeniu z opuszczonymi powiekami, jakby przeciwnik był niegodny, by z nim wchodzić w jakąkolwiek polemikę. Edward szybko podniósł do ust wino, wywijając się od odpowiedzi. Jedynie Mati czuł się w obowiązku coś odrzec.

– Noo..., nie wiem, jak z innymi klientami, ale chyba nie byłoby ci tak łatwo wyciągnąć stamtąd Telecommerce. O ile się orientuję, Vincent i Pierre są w dość zażyłych stosunkach. Zresztą, lepiej nie zdradzaj tak niecnych zamiarów, szelmo. A wracając do mojej firmy, panie Edwardzie, to tak na poważnie, nie ma czego gratulować. Wyjątkowo podła atmosfera, dookoła knują intrygi jak na dworze Ludwika XIV. Każdy każdemu chce wsadzić nóż w plecy. Ale zacząłem mówić o swojej firmie, bo chciałem nawiązać do tego, co mówiłeś, tato, o tym, jak postrzegają nas żabojady. Ostatnio przyjechali inżynierowie spod Lionu, robić szkolenie naszym chłopakom. W pracy poprosili mnie, żebym poszedł z nimi na kolację i przy okazji wybrał restaurację, bo nasi inżynierowie są z różnych miast, żaden nie zna Warszawy... – na chwilę przerwał, podniósł do ust szklankę z wodą. Chwilę tę skwapliwie wykorzystał Ryszard, by wpaść mu w słowo.

– Tyle się tego tałatajstwa nazjeżdżało do stolicy z różnych stron, co druga rejestracja albo krakowska, albo coś jeszcze gorszego. Nie zna toto miasta, chce skręcać w lewo z prawego pasa – perorował rozeźlony w stronę Kwaśniaka. Instynktownie wyczuł, że nie pochodzi on z Warszawy.

Tamten, ze zmarszczonymi brwiami, jakby w wielkim skupieniu, potakująco kiwał głową, a potem nagle z ulgą dostrzegł, że Hannie skończyło się wino, więc usłużnie rzucił się oferować jej różne gatunki, które stały na stole. Zdawał się już nie słyszeć dalszych jadowitych zdań wypowiedzianych w jego kierunku. – Wszystko to pcha się do Warszawy, groszem nie śmierdzi, więc nocuje po okolicznych miasteczkach. Łódź – jedna wielka sypialnia Warszawy! – Ryszard rozszerzył chrapy, jakby coś mu śmierdziało pod nosem. – Nie stać ich na wynajem, spod siebie by zeżarli. Korkują wszystkie wyloty z miasta, czasem nawet dwie godziny jadę do siebie do Konstancina.

Zapadła chwilowa konsternacja. Paweł podniósł na żonę szybkie, czujne spojrzenie. Oczy małżonków spotkały się na moment nad wielkim świecznikiem. Po chwili wahania odezwał się

Rolicz.

– Nie da się zaprzeczyć, że po wojnie napływowi zalali Warszawę. Ale i przed wojną była tu wielka fluktuacja ludności! I dzięki temu, że wciąż się ta krew mieszała, miasto miało swój niepowtarzalny charakter! Swą siłę! Stąd u warszawiaków to cwaniactwo, ale i zaradność, gospodarność! I ządziorność! Nigdy sobie nie dawaliśmy w kaszę dmuchać! Więc to właśnie Warszawa, a nie inne miasta, była trzonem oporu! Mój ojciec, też adwokat, w czasie powstania był w Konstancinie. Aż tam widoczna była łuna pożarów! Umarł na zawał, nie mógł znieść tego widoku!

Ryszard kiwnął nieuważnie głową, kierując oczy na talerz z rybami. Po pierwsze, o profesji własnego ojca wolał w danej chwili nie wspominać, a po drugie nawiedziła go myśl, którą za wszelką cenę chciał ukryć, a zdawało mu się, że ma ją wypisaną na twarzy! Nurkowało go mianowicie, co ojciec Rolicza robił podczas okupacji w Konstancinie?

Jak to jest z tymi Roliczami? Na kilometr wyglądali mu na Żydów, ale czy byli nimi rzeczywiście? Te nochale... Adwokaci od pokoleń... Będzie się musiał kiedy dopytać Pawła, który z kolei piekielnie jest drażliwy na tym punkcie! Jakby samo pytanie oznaczało antysemityzm! Jemu to tam obojętne, choć...

– Ja tam kocham moje rodzinne strony – w jego rozważanie wdarł się świergotliwy głos młodszej synowej, która poczuła się w obowiązku obrony napływowych. Karolina, rodowita góralka z Nowego Targu, była prawie ideałem synowej. Piękna, pogodna i ustępliwa, nigdy nie kłóciła się z ich średnim, choć – zdaniem Wencłów – nie dorównywała mu inteligencją. – Byłam ostatnio w Krakowie, bo współpracujemy tam z agencją reklamową i powiem wam, że byłam zachwycona ilością knajp!

– Doprawdy! To dopiero odkrycie, kochanie!

– Czekaj, daj powiedzieć! Poznaliśmy takiego rzeźbiarza, który robi gipsowe odlewy wszystkich postaci rozpoznawalnych w Krakowie, w naturalnych rozmiarach, coś jak u Madame Tussauds. Potem maluje je na prawdziwe kolory i ustawia w swojej knajpie. Ma już całą piwnicę, te rzeźby siedzą przy stolikach, w naturalnych pozach, jak żywe. Że niby możesz z nimi usiąść i pogadać. Są wszyscy z „Piwnicy pod Baranami”. A... i jest taka zasada, że nikt nie obsługuje, tylko samemu się bierze jedzenie, trzeba kroić chleb, ser, wyciąga się ogórki z beczek. Ten artysta, właściciel, ma taką maksymę wypisaną na drzwiach, że nie ma czasu dla ludzi, którzy nie mają czasu. Jak ktoś zaczyna fikać, to potrafi wyprosić. I potrafi być dość obcesowy.

– Błazen – wycedził Paweł. Nie znosił tej całej szeroko pojętej braci artystycznej, a szczególną odrazą napawała go właśnie krakowska bohema z Piotrem Skrzyneckim na czele. Przez całe życie z ogromną nieufnością podchodził do ludzi, którzy mieli jakiegokolwiek ciągoty artystyczne, wszystkich ich uważał za patetycznych.

– Czemu błazen? – Karolina zwróciła się w stronę groźnego, wiecznie ponurego szwagra. – Fajny pomysł. Ja kocham Kraków. Mogłabym się tam od razu przenieść, bez żalu. Tam się żyje inaczej, wolniej...

– Ciekawe, z czego byśmy tam żyli? – Mateusz spojrzał porozumiewawczo w stronę Matyldy i Hanny. – Wiem, moglibyśmy otworzyć kolejną knajpę. Napisałbym na drzwiach, że samemu się piecze chleb, doi krowę na ser, a jak nie masz czasu, to spadaj, warszawski chamie!

– Ludzie tam żyją w innym tempie, nie rozumiesz? Spotykają się w ciągu dnia, gadają – zapaliła się Karolina, jakoś szczególnie poruszona.

– Nie kładź mi na to pietruszki – dał się słyszeć warczący głos Ryszarda.

– Tak jedzą Włosi, tak je cały świat – zasyczała w odpowiedzi Elżbieta.

– Żyją wolniej, mają mniej potrzeb – ciągnęła Karolina, puszczając wodze fantazji. – Mam dość tego pościgu za pieniądzem. Tam mielibyśmy więcej czasu dla siebie, bylibyśmy szczęśliwsi.

– Dlaczego miałyby nam się to udać właśnie tam, w dodatku spędzając jeszcze więcej czasu razem, ha, ha? – zaśmiał się Mati, rozglądając się wokół, jakby w oczekiwaniu na aplauz. – Żartuję kochanie, nie denerwuj się.

– À propos antagonizmów krakowsko-warszawskich, to przypomniała mi się fraszka Sztudyngera, jak wiadomo, rodowitego krakusa – z poważną miną zaczął mecenas Rolicz.

Karolina aż rozjaśniła się, niezupełnie bezpodstawnie, biorąc pod uwagę to, co na razie powiedział i spodziewając się, że pod wpływem miazdzącej siły jadownej anegdoty elokwentnego adwokata szala racji przechylili się na jej stronę. Wszyscy umilkli, patrząc na Edwarda z zaciekawieniem, a on popijając wino, zacytował:

– „Krakowska życzliwość”: „Tu się jeży nawet wieża przeciw wieży”!

Roześmiali się prawie wszyscy, choć Karolina nie kryła lekkiego rozczarowania.

– A! Była jeszcze jedna! „O krakowskich zarobkach”! „Gołębiami brukowany Kraków, gównem ma z tych ptaków”!

Nagle wśród tej wesołości zabrzmiał poważny, oskarżycielski głos:

– Uważasz, że ktoś, kto żyje inaczej niż ty, musi być zaraz błaznem? – To siedzący na końcu stołu Piotruś, najwyraźniej będący myślami jeszcze przy poprzednim temacie, zwrócił się do Pawła z końca stołu. Na talerzu jego, w przeciwieństwie do wszystkich innych, tkwiła jedynie odrobina tofu i liść sałaty. Był weganinem, nie jadł niczego, co mogło mieć matkę lub ojca.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Matka, chcąc wesprzeć najmłodszego syna, skierowała pałający wzrok na Pawła, jakby chciała go przynaglić do odpowiedzi.

– Niech otworzy galerię sztuki, a nie knajpę – odparł z zacięciem Paweł, krojąc mozzarellę na małe kawałeczki. – Jak idę coś zjeść, to chcę być dobrze obsłużony, a nie słuchać artystycznych wynurzeń nadętego pozera. Akurat byłem w tej knajpie, wszedłem tam przypadkiem. Czekałem na rachunek pół godziny tylko dlatego, że nie poznałem, że to słynny rzeźbiarz Kłossowski i krzyknąłem do niego „kelner, rachunek”.

– Stary, dobrze wiedziałeś, że to ten Kłossowski, nie ściemniaj, pamiętam, że o tym gadaliśmy. Powiedziałaś mu tak specjalnie, żeby go wk..., ups, przepraszam szanowne panie. Żeby go zdenerwować – zaśmiał się Mati.

– Nie poznałem go, myślałem, że to jakiś kelner – upierał się Paweł.

– Mówiłeś, że krzyknąłeś do niego „kelner” w chwili, gdy od pół godziny robił jakimś zachwyconym palantom wykład o postmodernizmie.

– Tego „błazna”, jak go nazwałeś, nowojorskie gazety okrzyknęły nowym Rauschenbergiem. Wplata do sztuki zużyte ikony współczesnej kultury. To raczej kpina z bohemy – mówiąc te słowa, Hanna wpatrywała się w nóżkę kieliszka, jeżdżąc po niej palcem.

Zapadła chwila ciszy.

– To tego Kłossowskiego znają na Zachodzie?

– Cudze chwalicie, swego nie znacie – filozoficznie podsumowała Elżbieta.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Słychać było tylko wściekle uderzający w szyby wiatr i wysoki pisk buzujących płomieni. Karolina, jakby dla kontrastu, przytuliła się do męża i rzekła głosem przestraszonego dziecka:

– Ale wietrzyśko. Miło tak siedzieć przy kominku. A nie dokończyłeś, kochanie, swojej opowieści o Francuzach. – Spojrzała z zachwytem na jego profil.

Mateusz, wyrwany z zamyślenia, spojrzał na zgromadzonych przy stole.

– Aaa, no tak... Nie powiem nic nowego: Francuzi były zszokowane faktem, że tu są restauracje, zabytki, kultura, że tu świeci słońce, a po ulicach nie grasują wilcy i niedźwiedzie...

– To jakieś nieuki, panie Mateuszu – Edward powoli przeżuwał kawałek szynki okraszonej domową żurawiną.

– Niestety, nie do końca panie Edwardzie. Przeciężni Francuzi, powiedziałbym – Mateusz nałożył sobie dwa szparagi.

– I po to walczyliśmy w Dunkierce i pod Monte Cassino. Po to obalaliśmy komunę, żeby nas tak traktowali... – sapnęła Elżbieta.

– W Dunkierce to nie było żadnej walki, coś ci się popie... Eee, pomyliło.

W czterdziestym to my byliśmy pod Narvikiem. Ale fakt jest faktem, że świat ma nas po prostu za nic – rozsierdził się nagle Ryszard, po czym wlał sobie i Roliczowi czubate kielichy wina.

– Koniecznie polej sosem berneńskim, Mati – odezwała się Karolina.

– A czego się spodziewacie? Że będą bić nam pokłony za to, że polscy żołnierze walczyli przy Anglii? Nie mieli na sobie nawet polskiego guzika! Od kamaszy aż do furazerek wyposażeni

byli przez Anglików! Anglosasi traktowali ich jak najemnych – odezwał się Paweł znad widelca z porcją szparagów, które ociekały sosem. – Polski egocentryzm w ocenie naszego wkładu w różne wydarzenia na skalę europejską ma długą tradycję, ale nigdy jeszcze nie przyniósł nam żadnych korzyści. To nasza choroba narodowa. Powinno się to wypalić gorącym żelazem, a nie jeszcze podsycać, od kołyski, poprzez przedszkola i szkoły.

– W podobnym tonie wypowiadał się ostatnio niejaki profesor Łagowski. Nie podzielam jego radykalnych opinii, choćby z tego względu, że w mojej ocenie na tej właśnie obrazoburczej kanwie próbuje on budować swoją tożsamość. – Rolicz błysnął okularami znad szklaneczki z wodą. – Poza tym co do zasady nie zgadzam się z tak radykalną oceną polskiego wkładu militarnego w zwycięstwo nad Niemcami w II wojnie światowej. To znaczy nie zgadzam się, że był on marginalny. Obiektywnie byliśmy czwartą siłą militarną po stronie alianckiej. Nasi żołnierze w znacznej mierze przyczynili się do zwycięstwa w bitwie o Anglię, przerwali linię Gustawa, wygrywając pod Monte Cassino! Jednostki pancerne generała Maczka odniosły kilka znaczących zwycięstw! Moglibyśmy wymieniać długo. A poza tym, nie wszystko można przeliczyć na wymierne korzyści. Taka właśnie była filozofia i przedwojenne wychowanie: „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Nikt tego nie negował, zginęły za to miliony Polaków i dzięki temu żyjemy dziś w niepodległej Polsce. Ty i ja!

– Jeśli włączasz w to powstanie warszawskie, ja się od tego odcinam. Dla mnie kult wydarzenia, które przyniosło same straty, a którego konsekwencje ciągną się po dziś dzień, jest mocno dyskusyjny. – Paweł hardo podniósł głowę i jakby chcąc dodać sobie kurazu, wychylił kielich do dna.

– Nie bluźnij, synu! – Ryszard z hukiem odstawił kieliszek. – Moja matka mówiła, że normalni ludzie już nie mogli tego wszystkiego znieść. Niemcy traktowali nas jak bydło. Ludzi w oknach wieszali! Powstanie było nieuchronne. A co do oceny Zachodu, jeśli chodzi o obalenie komuny, to chyba nikt tu nie ma wątpliwości!

– Mylisz się – zimno wycedził Paweł. – Nie liczyłbym na twoim miejscu, że Zachód uzna, że to Polacy obalili komunizm. Zachód akurat wtedy niespecjalnie się obawiał komuchów. Doświadczał zbiorowej gorbimanii. Polacy wyzwolili się, gdy Rusczy dali przyzwolenie, bo system im się walił.

– Nie wiesz, jak to było, bo byłeś wtedy... – Rolicz ledwo pohamował jakiś dosadniejszy epitet, mający określać młody wiek Pawła. – Wydarzenia Okrągłego Stołu to był precedens na skalę światową. Nic wtedy nie było oczywiste i nie wiadomo było, jak to się potoczy. Łatwo teraz tak mówić, jak się ma już podane na tacy.

– Nie zaczynajmy dyskusji politycznych! To źle wpływa na trawienie!

– Masz rację, kochana! Zwłaszcza że to nas kieruje w stronę rządzącej koalicji!

– O nie, pani Elżbieto, tylko nie to! Otworzyła pani puszkę Pandory!

– Puskę z Pandorą, chciałaś powiedzieć!

– Ha, ha tato... A tak serio, to nie mówmy o tym, bo ojciec zadręczał mnie tym całą drogę!

– No, trudno o tym nie myśleć! Jesteśmy pośmiewiskiem Europy!

– I to jest z tego najgorsze?

– Komu jeszcze wina? – Kwaśniak, niczym najwytrawniejszy mediator, uniósł się z krzesła i kiwał nowo otwartą butelką. Był najwyraźniej niezwykle dumny, że udało mu się zażegnać niepotrzebny spór, zgrzyt przy tak miłej kolacji. Nachylił się z uwodzicielską miną w stronę Hanny. Sam wypił już sporo, lekko szumiało mu w głowie. Co to za zapach? Używała chyba niezwykłych perfum...

– Wina?

Odwróciła się w jego stronę i odmówiła, pokazując prawie pełny kieliszek.

– Słyszałem, że ty i twoja siostra dobrze jeździecie konno – znów zagaił. Ponownie musiała przerwać prowadzoną z Matyldą rozmowę i zwrócić się ku niemu. – Ja też jeździłem, podobno całkiem nieźle, ale zdecydowanie wolę narty. Gdybym nie był prawnikiem, zostałbym instruktorem narciarskim. Ponoć mam do tego smykałkę... – Pociągnął spory łyk wina i zerknął na Hannę zwycięskim wzrokiem.

Był w doskonałym nastroju. Czuł, że jest na właściwym miejscu. Luksusowe wnętrze i towarzystwo pięknych kobiet wprowadziło go w szampański nastrój. Do gospodarza zwracał się poufałym tonem, a mecenasa Rolicza postanowił traktować jak starego znajomego. No, w końcu byli tej samej profesji. Tylko na tego Pawła musiał uważać, wyraźnie czuł, że tamten jest do niego wrogo usposobiony. Postanowił jednak drwić ze wszystkiego i gdy po raz kolejny spotkał się z pogardliwym spojrzeniem ponuraka, zamierzał dać mu nauczkę. Umyślnie szeroko się do niego uśmiechnął i wznosił toast:

– Zdrowie pańskiej pięknej żony! – I wychylił do dna po brzegi wypełniony kielich, ale nikt nie podjął wyzwania.

Gdy większość przystawek zniknęła ze stołu, gospodyni ruszyła do kuchni sprawdzić, jak się miewa danie główne. Karolina również się poderwała i pospieszyła za nią. W tym czasie pani Bożenka weszła i chyłkiem zbierała ze stołu brudne naczynia. Mirosław Kwaśniak, korzystając z przerwy, przechadzał się po jadalni, oglądając obrazy wiszące na ścianach. Nagle zatrzymał się przed dramatyczną wizją kozackiego woźnicy – uciekiniera powożącego rozjuszoną czwórką siwków z wielkimi łbami i przybrał teatralną pozę greckiego filozofa. Głowę lekko skłonił w lewo, podparł podbródek jedną ręką i zapadł w głęboką kontemplację. Tkwił tak już jakiś dłuższy czas, po czym zerknął w stronę Hanny, aby się upewnić, czy aby na pewno ona go widzi.

Paweł wymknął się do salonu, a stamtąd do palarni. Mateusz ruszył za nim. Gdy znaleźli się sami, Paweł wyjął z kieszeni paczkę małych cygaretek.

– Zapalisz? – Podsunął bratu małe pudełko.

– I owszem. – Mateusz wziął cygaretkę w zęby i zaczął obmacywać kieszenie spodni w poszukiwaniu zapalek. Paweł znalazł je pierwszy i podsunął bratu ogień. Płomień oświetlił na chwilę ich twarze. Paweł był bardzo wysoki i zwalisty, miał kwadratową twarz i dość grube, choć regularne rysy, lecz trudno go było nazwać przystojnym. Zaciśnięte szczęki, czujny wzrok, lekko rozdęte nozdrza nadawały jego twarzy wyraz napięcia i podejrzliwości. Mateusz był szczuplejszy, trochę niższy. Półdługie ciemnoblonde włosy zaczesywał do tyłu. Miał żywą mimikę, ruchliwe brwi, bystre spojrzenie i otwarte obejście, świadczące o dużej pewności siebie. Te różnice w stylu związane były zarówno z usposobieniami braci, jak i z wykonywanymi przez nich zawodami.

Starszy, bardziej konserwatywny, był partnerem w kancelarii prawniczej, pilnował więc bardzo, by na takiego wyglądać. Gęste ciemnoblonde włosy zawsze gładko ulizywał. Ścisłe trzymał się pewnych kanonów, zarówno w dni robocze, jak i w weekendy. Akcesoria również miał stonowane, a gdy widział prawnika, który jakimkolwiek elementem garderoby zwracał na siebie uwagę bądź wykraczał poza przyjęte przez niego, Pawła, kanony, wyrażał się o nim nader pogardliwie i uważał za głupiego pajaca.

Mateusz poddawał swych przeciwników równie powierzchownym kryteriom oceny. Był dyrektorem marketingu w korporacji, uważał, że powinien wyglądać szykownie, lecz kreatywnie. Stąd jego garnitury, równie wysokiej jakości co Pawła, miały krój trochę bardziej awangardowy. W tym sezonie oznaczało to węższe nogawki, dopasowane marynarki z wąskimi klapami, grube, rogowe oprawy okularów oraz mnóstwo gadżetów elektronicznych. Gdy napotkał przedstawiciela swojej branży, który ubierał się bardziej zachowawczo, od razu nabierał absolutnej pewności co do jego miałości, przeciętności i braku polotu, więc traktował protekcjonalnie. Kobiety ze swej branży dzielił na ładne i „sympatyczne”. Te ostatnie nie mogły liczyć na żadne względy z jego strony. W firmie na ogół mówiono o nim nie inaczej jak „ten zarozumiały skurwysyn”.

Paweł zaciągnął się mocno, wyjrzał przez okno w mroczną noc i wydmuchnąwszy chmurę dymu, mruknął.

– Skąd go wytrzasnąłeś?

Mateusz machnął lekceważąco ręką.

– Robi nam obsługę prawną, mówił przecież. Był dziś u nas w biurze i nieopatrznie powiedziałem, że jadę z żoną na Mazury, a ten się wprosił i tyle. A jak już jechaliśmy, to spytał, gdzie można sobie zarezerwować jakiś hotel, no i Karolina wypaliła z tym zaproszeniem do nas do domu. Jutro sobie pojedzie, wyluzuj, stary.

Paweł wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy, a następnie schylił się pod biurko

i wyjął stamtąd kabel ładowarki, po czym podłączył ją do telefonu. Mateusz usiadł na fotelu i położył nogi na pobliskim krześle. Palili w milczeniu. Z oddali słyhać było Kwaśniaka, który coś wykrzykiwał do Rolicza, a potem spokojny stonowany głos adwokata.

– A może faktycznie może wyciągnąć od siebie paru klientów? Oni mają wszystkie francuskie supermarkety, stary... – odezwał się Mati.

– Szczerze w to wątpię – Paweł nie podnosił wzroku, sprawdzał pocztę przez telefon komórkowy.

– Pomyśl o tym, Paweł. Nie mówię, żeby w ciemno. Ja mogę się o niego popytać. Znam taką jedną fajną laseczkę w tym Guy et Chardon. – Mateusz zgasił cygaretkę w połowie, wstał i wyszedł z pokoju elastycznym krokiem. Paweł zaciągnął się głęboko, zamknął telefon i przymknął oczy. Okiennice poruszane wiatrem mocno skrzypiały.

Tymczasem w jadalni Kwaśniak przysiadł się do zbuntowanego młodzieńca, którego imienia nie pamiętał i który z cynicznie podniesioną brwią przyglądał się całemu zamieszaniu wokół nowych potraw, właśnie wjeżdżających na stół. Korzystając z sytuacji, w której uwaga wszystkich skupiona była na jedzeniu, postanowił wysondować, kto jest kto. Ze źle ukrywaną ciekawością dopytywał się zwłaszcza o Pawła. Dowiedziawszy się, że jego interlokutor jest bratem rzeczonoego, nieco powściągnął natrętne pytania. Nieprzyjemnie się zdziwił, usłyszawszy, że wrogo usposobiony ponury typ jest radcą prawnym, a w dodatku partnerem w znanej mu kancelarii. W duchu złązał się za taki brak ostrożności. Teraz na jego twarzy odbił się wyraz trwogi i głębokiego zamyślenia, jakby próbował sobie przypomnieć, jak daleko się posunął w impertynencjach.

Z natury był jednak optymistą, szybko więc się pocieszył. Koniec końców chyba nie powiedział nic, co mogłoby bezpośrednio urazić tego gburą. A że był może trochę zbyt nadskakujący wobec jego żony, to już nie jego wina. Cały wieczór popatrywała na niego przyzwalającym wzrokiem, znał się na takich jak ona. Poza tym, mężczyźni zazwyczaj lubią, kiedy ktoś schlebia ich żonom, to ich dowartościowuje...

– Panowie, podano do stołu – spokojny głos mecenasa Rolicza przerwał jego rozważania.

– Ach, rzeczywiście, zaiste. – Kwaśniak poderwał się z kanapki, którą dzielił z Piotrusiem i nerwowo potarł dłonie. Młody Wencel również wstał i leniwie ruszył do stołu, popijając z glinianej czarki jakieś ziołowe paskudztwo.

– Panie mecenasie – zakrzyknął Kwaśniak do oddalającego się adwokata. Nie mógł nie wykorzystać okazji. Rolicz ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

– Chciałem tylko powiedzieć, korzystając z okazji tego chwilowego *tête-a-tête*^[4], że czytałem pański artykuł w „Rzeczpospolitej” na temat zasady *nemo plus iuris*^[5] i jestem pod wielkim wrażeniem. Wielkim wrażeniem. – Na twarzy adwokata odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

– *Prima facie*^[6] nie podzielałem pańskiego toku rozumowania, jednak po głębszej analizie doszedłem do wniosku, że pańskie konstatacje są słuszne. Jak najbardziej słuszne.

– Ach, ten stary artykuł... Chyba z kwietnia. To z którą tezą szanowny pan się nie zgadza? O ile pamiętam, nie było tam nic specjalnie odkrywczego... – Starszy adwokat z niepokojem zerkał w stronę stołu. Wszyscy już zasiedli i czekali tylko na nich.

– W tej chwili umknęło mi niestety sedno sprawy, lecz chciałem przez to rzec, że jestem niezmiernie zaszczycony, mogąc poznać *in personam*^[7] tak wybitnego przedstawiciela palestry.

– Niezmiernie mi miło, ale...

– Ależ to mnie jest miło. To ja jestem, można rzec, beneficjentem tego spotkania...

– Proszę pana, czekają na nas – uciał Rolicz i nieodwołalnie ruszył w stronę stołu.

Zasiedli więc w komplecie do dania głównego i ochoczo zabrali się do jedzenia. Przez dłuższy czas jedynymi uwagami były komplementy dla talentów kulinarnych Elżbiety, która odbierała je, wdzięcznie się krygując. Kwaśniak, od kiedy dokonał odkrycia o profesji Pawła Wencela, bardzo się pilnował i praktycznie przestał się do Hanny odzywać. Szukał natomiast sposobności porozmawiania z nim sam na sam. Taka okazja nadarzyła się po deserze, kiedy Paweł

znów wyszedł zapalić. Kwaśniak udał się w ślad za nim.

Gdy wszedł do gabinetu, Paweł siedział na skórzanej dwuosobowej sofie i ze wzrokiem utkwionym w oknie palił cygaretkę.

– Przeszkadzam? – Kwaśniak pocierał ręce i stał lekko zgarbiony, w pozie lisa zakradającego się do kurnika.

– Pan pali? – niechętnie odezwał się Paweł.

– W zasadzie nie, ale nie ma jak dobre cygareto w męskim gronie. Cholernie miło jest tak pogawędzić przy kominku – Kwaśniak ukradkiem rozglądał się po małym gabinecie. Stało tam kilka skórzanych foteli, ściany zabudowane były półkami uginającymi się pod książkami i czasopismami. Kwaśniak zaczął spacerować wzdłuż nich, przeglądając pozycje. Paweł ostentacyjnie milczał.

– O, cały zbiór Puzo? Mamy zbieżny gust. Pokaż mi swoje książki, a powiem ci, kim jesteś. – Kwaśniak uśmiechał się porozumiewawczo. Paweł utkwiał w nim nieruchome, ironiczne spojrzenie. – Tak pan lubi Puzo? Z pewnością czytał pan *Rodzinę Borgia*. Niezły gagatek był z tego papieża Aleksandra VI, prawda? „Świętym Cię zwać nie mogę, ojcem się nie wstydzę, kiedy, wielki kapłanie, syny twoje widzę”.

– Doskonała pamięć, mecenasie. Ja się zaczytywałem w Puzo, ale w liceum i nie znam go na pamięć! Winszuję.

– To akurat staruszek Kochanowski *Do ojca świętego*. Ale mów mi Paweł. – Paweł wydmuchnął chmurę dymu.

– Doskonale, niezmiernie mi miło, zwłaszcza że jesteśmy z jednej korporacji. Nie od razu skojarzyłem, ale jak jesteś bratem Mateusza, skądinąd mojego dobrego przyjaciela, to...

– Chciałeś zapalić? – Paweł podsunął mu humidor.

– A, chętnie. Ależ wybór! Rzadko, bo rzadko, ale kupuję sobie cygaretkę. Zawsze pierwszej jakości. Ale w tej chwili chyba wolałbym cygaretkę.

Paweł wstał, obszukał kieszenie i poczęstował gościa.

– W pierwszej chwili nie skojarzyłem, że jesteś bratem Mateusza. A więc wreszcie mam przyjemność ze słynnym mecenasem Wenclem ze spółki Wencel, Zagajewicz i Zybert. Macie już renomę na rynku.

Paweł zbył to milczeniem. To indywiduum działało na niego jak płachta na byka.

– Cholernie miło byłoby spotkać się na lunchu i pogadać o interesach. Mam ciekawe doświadczenia, a męczy mnie już praca u żabojadów. Myślałem o pracy w malutkiej kancelarii, ale zawsze się trochę obawiałem.

Paweł zmierzył go morderczym wzrokiem.

– Solidna korporacja to zawsze korporacja, ale ta zależność! – perorował dalej Kwaśniak, pokaszując i krztusząc się dymem. – Wprawdzie zarabiam tam przyzwoicie, ale mam już dosyć. Chcę wypłynąć na szersze wody, ale tylko z zaufanymi ludźmi. Mam doświadczenia i możliwości, których szkoda nie wykorzystać.

– Myślałeś o własnej praktyce? – mruknął Paweł na odczepnego.

– Tak, ale brak mi infrastruktury, zaplecza. Nie mam do tego głowy. – Kwaśniak zawzięcie gestykulował i pstrykał palcami. Paweł milczał niezbyt zachęcająco. – Mam układy z prezesami paru sieci handlowych. Tak jak mówiłem, pstrykam palcem i idą za mną, bez konsekwencji. Wiesz, układy personalne. A poza tym, chciałbym poświęcić się pracy naukowej. Trochę publikuję, może coś ci się przewinięło przez ręce?

– Żałuję, ale nie. Przepraszam, idę zaczerpnąć powietrza.

Wyszedł, nie oglądając się na Kwaśniaka, który poderwał się z kanapy i potarł dłoń.

Towarzystwo przeniosło się do salonu. Edward z Ryszardem patrzyli przez okno.

– Trzydzieści tysięcy wydałem na samo podświetlenie przystani. Robi wrażenie, co?

– Rzeczywiście, imponujące. Kupiłeś, widzę, nową żaglówkę? – Edward pocierał spód lampki z koniakiem suchymi palcami.

– Mateusz się w to bawi – lekceważąco machnął ręką Ryszard. – Używane Tango 730. Chłopak ma głowę na karku, kupił okazyjnie od jakiegoś zagłodzonego pasjonata. Ma

pierwszorzędny sprzęt za jedną czwartą ceny.

– Szkoda tylko, że nie ma czasu żeglować – rzucił jadowicie Piotruś. Kucał koło kominka i dorzucał drwa. Zdawał się wkładać w tę czynność całe serce.

– No cóż, minęły już czasy, kiedy się jeździło na Mazury na miesiąc – Rolicz pociągnął spory łyk koniaku.

Salon pustoszał. Mati wymówił się zmęczeniem, Pawła nigdzie nie było widać, Kwaśniak osaczał starego Rolicza, stary Wencel zaczął rozdzierając ziewać.

Hanna z Matyldą usiadły same koło kominka. Hanna odchyliła głowę, wspierając ją o wezgielowie pluszowego fotela i w rozleniwieniu obserwowała huczący ogień spod przymkniętych powiek. W prawej ręce trzymała kieliszek z winem. Matylda siedziała na drugim fotelu, naprzeciwko siostry. Co chwila zmieniała pozycję, jakby nie mogła sobie znaleźć miejsca. W końcu nie wytrzymała. Pochyliła się w stronę Hanny i przyciszonym głosem powiedziała:

– Być może wpadnie jutro na Mazury na parę godzin. – Gdy już wyjawiała tę najwyraźniej mocno absorbującą ją kwestię, siadła wyprostowana jak struna, czekając na reakcję siostry.

– Jak to? Przecież miałaś od niego odpocząć? – Hanna przeniosła wzrok z kominka na rozpaloną twarz siostry.

– Wiem, ale nie dam rady. Nie wytrzymam. Muszę go zobaczyć! Zrozum... to jest jak wir – Matylda zająknęła się, a następnie nerwowo zaśmiała, odruchowo szukając papierosów.

Pochwyciła leżącą obok torebkę i wyjęła paczkę Marlboro Lightów. Zapaliła, zaciągnęła się, a następnie i ona oparła głowę o fotel. Wydmuchnęła błękitną chmurę i z zamkniętymi oczami ciągnęła z lubością: – Wiem, że to chore...

Hanna przyglądała się siostrze intensywnie, jakby usiłowała wczuć się w jej położenie, wywołując jakieś wspomnienie, dziś już może zbyt odległe, by mogła w pełni poczuć jego smak. Matylda ciągnęła z przymkniętymi oczami:

– Może to zabrzmi głupio, ale czuję, jakby... Nie wiem. Każda chwila bez niego wydaje się kompletnie bez sensu.

– No właśnie, obserwowałam cię przy kolacji. Nie odezwałaś się ani słowem! To zaczyna się rzucać w oczy! Nie możesz się tak zatracać!

– Nic mnie nie obchodzi, co myślą inni! A zwłaszcza pani Dulski! Mam ich głęboko w...

– Matyldo! – Hanna lekko zmarszczyła brwi, nieznacznie zerkając za siebie.

– Najgorsze jest to, że on potrafi zniknąć bez śladu! Normalnie nie odzywa się przez ileś dni, a potem jakby nigdy nic... A już jak jesteśmy razem, to mam wrażenie, że ziemia przestaje się kręcić... – Matylda odchyliła głowę do tyłu, namiętnie zaciągając się dymem. – Zresztą sama dokładnie wiesz, o czym mówię...

– Otóż to, wiem. – Lewa powieka Hanny zadrgała nieznacznie. Szybkim ruchem podniosła do ust kieliszek wina. – I dlatego mówię ci, że nie warto się w coś takiego aż tak angażować, bo tego typu związek nigdy... Związek nie może się opierać tylko na seksie, uwierz mi! Musi zachodzić jakaś równowaga!

Matylda szeroko otworzyła oczy i pochyliła się naprzód.

– Przecież ty nic o nas nie wiesz! To nie opiera się tylko na seksie! On jest wyjątkowy, rozumiesz? I dla niego to nie jest tylko seks! Zapewniam cię. Zresztą przekonasz się, jak go poznasz! – Matylda otoczyła się chmurą niebieskawego dymu.

– Hm, nie poznaję cię. – Hanna lekko się uśmiechnęła. – To masz zamiar nam go przedstawić?

– Ty chyba nie zrozumiałaś. – Policzki Matyldy pokryły się silnym rumieńcem. – Dla mnie to jest ten albo żaden!

W Krzyżach

Następnego dnia rano stary Rolicz siedział w kuchni swojego drewnianego domu w Krzyżach i jadł na śniadanie jajko na miękko, niespiesznie wertując „Gazetę Wyborczą”. Od czasu do czasu rzucał znad okularów ukradkowe spojrzenia na córkę. Matylda siedziała naprzeciwko i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w widok za oknem. Śniadania nie tknęła. Była wyjątkowo niespokojna. Ten stan trwał już zresztą od tygodni. Kilka razy wstawiała, robiła parę bezcelowych kroków do okna i z powrotem i zasiadała znów przy stole, jakby zaniepokojona, że nie pamiętała, po co w ogóle ruszała się z miejsca. W końcu gwałtownym ruchem podniosła się i podeszła do czajnika. Nastawiła wodę na kawę i usiadła sztywno, jakby wyczekująco, przy starym kuchennym stole. Słychać było tykanie zegara stojącego na potężnym, wiejskim kredensie, który jakaś niechlujna łapa odpicowała na białą olejną farbą, zanim jeszcze Rolicze weszli w posiadanie zabytkowej mazurskiej chałupy.

Złowieszcze nagłówki skierowały myśli Rolicza na inne tory. „Czy temu szaleństwu nie będzie końca? Czy naprawdę naród jest w stanie zjednoczyć się jedynie w sytuacji kryzysowej? To zakrawa już na zamach stanu – dumiał. – Nie ma nic gorszego od partii ideowej. Nie mam na to siły, za stary jestem, zbyt wiele razy to przeżywałem”.

Wstał i wyjrzał przez okno. Dom położony był na krańcu wioski, przy szerokim leśnym dukcie, który prowadził nad Jezioro Nidzkie. Za nim zaczynał się gęsty, sosnowy las. Drogą przejechał cudacznie ubrany chłop na rowerze. W gębie trzymał żarzącego się papierosa. *Homo sovieticus*. Czego można się spodziewać po takich jak on? Nigdy nie zagłosują na nikogo, kto każe im się zabrać do roboty... Zawsze będą szukali oszołoma, który obieca gruszki na wierzbie. Oczywiście, Anna powie, że jest przewrażliwiony, że przesadza, upatrując w tym wahnięciu nastrojów społecznych aż tak duże niebezpieczeństwo. Widział już wiele, ale ta nieokrzesana zgraja, która dorwała się do władzy pod hasłem naprawy państwa, walki z biedą i rozliczania przeszłości, budziła w nim najgorsze przeczucia. Najbardziej niebezpieczne było to, że usiłowali się dobierać do organów powołanych do kontroli demokracji. To już przestawało być zabawne.

Z ponurego zamyślenia wyrwał go bulgot wody w czajniku. Wstał, by go wyłączyć. Bulgot powoli ustał, znów zapadła niesamowita wprost cisza, w której jedynym dźwiękiem było hipnotyzujące tykanie zegara.

– Zobacz, co piszą – odezwał się do córki, popijając herbatę. – Minister sprawiedliwości, współczesny Torquemada, ma zamiar walczyć z korporacjami prawniczymi. Przypomina mi to nienawiść Hitlera do artystów, po tym, jak się nie dostał na ASP we Wiedniu.

– Mhm...

– Czytałaś *Ciemności kryją ziemię* Andrzejewskiego? Nie? To czego was uczyli w tym Kochanowskim? W pewnym momencie Torquemada mówi: „miłość jest słabością. Nie, mój synu, miłość nie mieści się w naturze walczącej prawdy”. Przerabiamy powtórkę z historii... Chociaż przeczytaj sobie ten artykuł...

– E, tam. Pieprzę to! Nie mam ochoty wciąż tego roztrząsać! Bać się?! Najwyżej wyjedziemy z następną falą emigracji...

– Niezła myśl! Stałbym sobie spokojnie na zmywaku... Polaków bardzo cenią! Każdy mnie zatrudni! Za komuny nie uciekłem i zobacz, jak na tym wyszliśmy finansowo. Nie to co Wenclowie...

– No co: Wenclowie?! Wenclowie byli w kraju! Oni się wzbogacili tutaj, ty też mogłeś – Matylda mrugnęła łobuzersko. – Stary Wencel się nachapał na prywatyzacji browarów. A ty co wtedy robiłeś? Gryzmoliłeś coś przy legislacji... No to masz teraz...

– Może i tobie się trafi taki Wencel, to nie będziesz musiała tyle pracować córeczko... Zobacz, jakie Hania ma ładne sukienki... – Rolicz ironizował z kamienną twarzą. Nawet domownicy czasem nie wiedzieli, czy się zgrywał, czy mówił serio.

Matylda spoważniała, lecz robiła dobrą minę do złej gry. Czyżby bystry „staruszek” do czegoś pił? By ukryć zmieszanie, wstała i zalała sobie kawę. Długo ją mieszała, pobrzękując łyżeczką, a następnie trzaskając drzwiczkami od kredensu. Nagle odwróciła się do ojca i zaczęła,

jakby dopiero co o tym pomyślała.

– A wiesz, *à propos* szukania sobie męża, to nie wiem, czy nie pojedę dziś do stadniny trochę pojeździć. A nuż w knajpie trafi się jakiś bogacz? Nie mogę tak zwlekać, wiesz, że mam już swoje lata... – pociągnęła w żartobliwej konwencji, lecz ojciec nie wyglądał na przekonanego.

Wykonał gest mówiący „umyvam ręce” i na powrót zagłębił się w prasie.

– Tak serio, to mam ochotę pojechać w teren. Zobacz, robi się ładna pogoda...

– Sama pojedziesz? – Ojciec nie podnosił głowy znad gazety.

– Wiesz, że dla mnie to nie problem...

Matylda kręciła się między szafkami, porządkując po śniadaniu. Jej wzrok co chwila wędrował w stronę zegara. Gdy wybił dziesiątą, szybkim krokiem wyszła z kuchni i skierowała się do starej, dębowej szafy w hallu. Odnalazła tam swoje sztyblety, a na kołku pomiędzy kurtkami wymacała toczek. Porwała to wszystko i lekko wspięła się schodami do sypialni, którą kiedyś dzieliły z Hanną.

Mieli się spotkać koło jedenastej w stadninie. Nie umówili się na sto procent, ale powiedział, że się postara. Tak więc, jeśli go nie będzie, ona pojedzie w teren, jakby nigdy nic... Nie będzie dramatyzować, choć z pewnością będzie trochę rozczarowana... Natomiast jeśli miałyby się jednak pojawić...

Wystrojona i umalowana tak, że nikt by nie uwierzył, iż jedzie na samotną konną przejażdżkę, starała się wymknąć z domu niezauważona. Po co wysłuchiwać ironicznych komentarzy, kiedy akurat ten temat nie budził w niej szalonej wesołości. Szczęśliwym trafem ojciec właśnie rozpałał pod kuchnią, by potem suszyć nad nią grzyby, które miejscowy pijak przyniósł mu za parę groszy.

Jechała prędko, nieuważnie, gorąco napływało jej do policzków, serce zaczęło szybciej bić. Droga wiodła przez las. Po piętnastu minutach, na rozjeździe, skręciła w lewo. Było sucho, pogoda do tej pory utrzymywała się słoneczna. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, w agencji reklamowej The Red Rooster. Ona i produkt menedżerka Alicja Kurpisz pojechały tam, by omówić zaproponowaną przez nich kampanię flagowego dezodorantu GCP.

Spotkanie rozpoczęło się fatalnie. Alicja, świeżo zatrudniony, gruby klabzdron (nowa szefowa Matyldy zatrudniała tylko takie indywidua, na których tle sama prezentowała się prawie jak laska), nie wiedzący jeszcze nic o produktach GCP, z miejsca zaczęła komenderować i rozstawiać innych po kątach. Spot reklamowy zjechała z góry na dół. Kreatywni, z którymi zresztą Matylda już parę razy współpracowała, patrzyli na nią z wyrzutem. Kogo im przyprowadziła?

Matylda, nie chcąc robić koleżance obciachu, łagodnie próbowała jej tłumaczyć, że tak właśnie ten produkt był pozycjonowany i że jest targetowany w bardzo młode dziewczyny, stąd dziwne kreskówki i cały ten artystyczny zamysł.

Alicja, nabzdyczona, podobna do tłustej kwoki, słuchała, lecz nie wydawała się przekonana. Niepokoiły ją „odjechane” sceny. Komu jak komu, ale jej się na pewno nie podobały. No bo jak można tak reklamować kosmetyk? Matylda, która pracowała w GCP już kilka lat, nigdy nie spotkała się z sytuacją, w której musiałaby przekonywać do firmowej strategii swoją współpracowniczkę przy osobach postronnych. Doszło do tego, że tłumaczyła Alicji, iż ten produkt tak jest pozycjonowany od kilku lat i daje ogromne rezultaty sprzedażowe. Zdecydowanie nie było to miejsce ani czas na prowadzenie tego typu rozmów.

Żaru dyskusji dodawał fakt, że na sali siedział autor ilustracji – Igor Sobolewski – grafik wynajęty przez agencję. I to właśnie o jego twórczość obie panie najzjadlej się kłóciły.

Z początku Matylda nie wiedziała, kim był, lecz od razu zwróciła na niego uwagę. Rzucił się w oczy nie tylko dlatego, że był przystojny. Miał w sobie coś z rajskiego ptaka, który znalazł się pośród wróbli. Był jakiś inny. Wyglądał, jakby miał totalnie w dupie wszelkie marketingowe zarzuty, które stawiała mu Kurpisz. Niewiele obchodziła go również gorliwa obrona w wykonaniu pracowników agencji reklamowej – najwyraźniej fanatycznych czcicieli jego stylu. Machinalnie, zdaje się zupełnie bezwiednie, darł na maleńkie strzępy wizytówkę, którą Alicja wręczyła mu na początku spotkania, a następnie budował z nich małą piramidkę, a wzrok jego co chwila spotykał

się ze wzrokiem Matyldy.

Zdawało jej się, że pogardza nią jako „reprezentantką” drugiej strony – świata komercji, reklam i handlu. Owładnęło ją desperackie pragnienie pokazania mu swego prawdziwego oblicza. Chciała, by wiedział, by rozumiał, że ona „czuje” jego sztukę. Że docenia. Że nie ma nic wspólnego z prostacką Kurpisz i myśli zupełnie inaczej. Parę razy ostro zaatakowała koleżankę, podkreślając – może niepotrzebnie? – jak wysoko ceni jego ilustracje. Chyba robiła to z właściwą sobie przesadną gorliwością, bo chłopak parę razy uśmiechnął się pod nosem...

Przez cały czas miała poczucie, że ją osądza, a ona musi zrobić wszystko, by rozwiązać złe wrażenie. Wrażenie, że ona reprezentuje bezduszną korporację, która chce zrobić kretyńską reklamę i po drodze traktuje niezwykle talent. Czuła też, że spotkanie w agencji nie będzie ich ostatnim, lecz nic relacji, która się tam między nimi zawiązała, będzie się ciągnąć w takiej właśnie formie. Że to ona wciąż będzie musiała mu coś udowadniać...

Spotkanie upływające w bardzo niemiłej atmosferze miało się ku końcowi. Matylda, chcąc zakończyć w pokojowym tonie, stwierdziła, że niezbędne będą badania na grupie reprezentatywnej, które pokażą, jaka forma kreskówki najbardziej podoba się współczesnej młodzieży. Alicja chciała dalej się wyklócać, lecz Matylda była stanowcza. Wstała, by się pożegnać. Wychodząc już, podeszła do niego i podała mu rękę oraz w przypływie dziwnej odwagi swoją wizytówkę.

Na wspomnienie wyrazu jego oczu w tamtej chwili zrobiło jej się słabo. Wspomnienia rozwiały się, gdy zobaczyła prześwit między drzewami. Ukazała się tabliczka. Podkomorzyn. Ze skraju lasu widoczne były leżące nad samą wodą budynki stadniny. Kręta droga prowadziła między pastwiskami. Wypasały się tam konie, niektóre w większych stadach, niektóre pojedynczo.

Matylda zwolniła, uchyliła okno i zapaliła papierosa. Zajechała pod budynki stajni, starając się nie wypatrywać zbyt gorączkowo jego samochodu. Opuściła głowę, powoli wyjęła portfel, czegoś w nim poszukując. Serce biło tak głośno, że nawet w uszach słyszała jego łomot. Zagniewana tą niemożnością kontrolowania własnego ciała, zaczęła powoli oddychać. Chciała w ten sposób ochłonać. Było to doprawdy komiczne.

Gdy udało jej się zapanować nad sobą, powoli podniosła wzrok i ogarnęła nim parking. Był! Stał jego samochód – rozklekotany stary chevrolet. A sam Igor opierał się o bagażnik, paląc papierosa. I to na nią, nie na żadną inną czekał z tym chmurnym uśmiechem na ustach.

Mecz

Tego wieczora w salonie domu w Niedźwiedzim Rogu telewizor grał na cały regulator. Ryszard Wen- cel i jego najstarszy syn Paweł oglądali mecz. Polska reprezentacja grała z trzecioligową reprezentacją Armenii. Jak na razie, był remis.

– Bodaj by ci nogę odjęło, cepie – powarkiwał z kanapy Ryszard.

– Żeż ka... twoja mać, aleś spierdolił. No, jakim cudem on się znalazł w reprezentacji? Ja, sześćdziesięcioletni dziad, lepiej bym dośrodkował!

– Cii, cii. Wolny...

– Spierdoli...

– Kurwaaa! – ryknęli chórem.

Na powtórce widać było polskiego napastnika, wysyłającego świecę wysoko w niebo.

– Ślepy chuju! No żeż kurwa twoja mać, miałeś szansę, toś gołębie postraszył. Ile jeszcze minut?

– Osiem, nie mają wiary. Nic już nie będzie. Dolać ci?

– A dolej, co mi tam! Na trzeźwo nie da się tego znieść!

– Byłeś w końcu w tym siedlisku?

– Byłem. Czekaj, czekaj. No żeż ty w kółko golony. Byłem.

– No i...?

– Patrz, patrz... Nie!!! – ryknął na całe gardło stary Wencel.

W tym momencie telewizja polska pokazywała wiwatujących na trybunach armeńskich kibiców.

– Co? Nie było spalonego?! Kurwa, w ostatniej minucie wpierdolili nam gola – Ryszard ukrył twarz w dłoniach. Paweł, bardziej umiarkowany w reakcjach, jedynie wicherzył sobie włosy.

Na ekranie ukazał się skrupulatnie wystylizowany adept sztuki dziennikarstwa sportowego w fikuśnych goglach od Armaniego zamiast okularów. Znalazł w przegranej mnóstwo dobrych stron, pokrzepił widzów relacją z meczu innej silnej drużyny, która przegrała z Wyspami Owczymi, a następnie posłał kibicom najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki było go stać. Teraz akcja przeniosła się do studia. Siedziało tam kilku tłustych działaczy PZPN-u i kilkunastu „ekspertów”. Wszyscy prześcigali się w kurtuazji względem siebie. „Włodku, Zbyszku” – latało w eterze.

– No, na dziś dość tego lizania się po fiutach – Paweł pstryknął pilotem. Zmienił kanał.

– Nie, tego barana zabierz, nie zniosę go. – Ryszard zamknął oczy i wlał sobie do gardła resztkę tego, co miał w szklance.

Znamienity przedstawiciel współczesnego dziennikarstwa publicystycznego wykazywał się niezwykłą wprost dociekliwością, próbując wniknąć w uczucia starszego człowieka, któremu tir wjechał w dom. Ryszard i Paweł oglądali wiadomości z posępnymi minami.

– Weź to wyłącz, słyszę o tym już dwudziesty raz. Na pamięć się uczysz czy co? Zmień na BBC, przynajmniej dowiemy się, co na świecie.

– Zaraz będą wiadomości. Chcę usłyszeć, jaką nową ustawę szykują przeciwko korporacjom prawniczym.

– Dobierają się do dupy notariuszom – Ryszard poruszył się niespokojnie.

– Wezmą na celownik wszystkich po kolei. Będą tak niszczyć, aż zacnie się rozłam wśród nich samych. Zaczną węszyć wśród swoich, zaczną się bać wrogów wewnętrznych. Jak Stalin. A potem upadną. – Paweł z kamiennym wyrazem twarzy zapalił cygaretkę.

– Kolejne aresztowania. To im podbija sondaże. – Bulgotała whisky, którą Ryszard dolewał sobie do szklanki.

– Spokojnie. – Paweł rzucił ojcu spojrzenie, które dla zewnętrznego obserwatora mogłoby się wydawać ponure, lecz między ojcem a synem było częścią tajnego kodu. Słowo „spokojnie”, pozornie odnoszące się do rosnących sondaży, też zawierało drugie dno. Ryszard dobrze wiedział, czego dotyczyło.

Dwa tygodnie temu jego dawny współpracownik z branży piwowarskiej został zatrzymany

i przesłuchiwany w sprawie nieprawidłowości w browarze, a że relacje między nim a Ryszardem w ciągu ostatniego roku pogorszyły się, zrozumiałym było, że Wencel lekko się obawiał. „Tonący brzytwy się chwyta”, mawiał złowieszczu i żadne racjonalne wywody Pawła nie mogły go uspokoić. A jednak chciał wierzyć w kojące słowa syna. Teraz, patrząc w okno na wschodzący księżyc, Ryszard zastanawiał się, co by mogli na niego mieć. Nagrania rozmów telefonicznych? W to wątpił. A jednak nie miał pewności.

Jego rozważania przerwał rzeczowy, spokojny głos syna.

– Ciekaw jestem tego siedliska...

Aaa, siedlisko. Przyjemny temat, który oderwie go od posępnych myśli. Co jak co, ale kwestia ewentualnych nieruchomości, w których posiadanie mógł wejść, lub złotych interesów, które mogły stać się jego udziałem, zawsze usposabiała go entuzjastycznie. Lokować majątek w nieruchomości, póki jest gotówka, oto jego dewiza. Nieruchomości zawsze szły do góry, nie sposób na nich stracić. Instynktownie czuł, że był to idealny moment na nabywanie, za chwilę ceny ostro wywindują w górę. Umacnia się złotówka, maleje bezrobocie, rośnie zatrudnienie i wynagrodzenie już zatrudnionych, a poza tym jest łatwy dostęp do kredytów. Jeśli kupować, to teraz, zaraz.

– Siedlisko jest wspaniale, położone wysoko na wzgórzach, żadnego reumatyzmu, rozumiesz – rozpoczął Ryszard entuzjastycznie. – Budynek się rozpada. Trzeba remontować, no ale z tym się liczyłeś.

– Bryła ładna?

– Tobie się spodoba. Opasłe, rozsiadłe domisko, pańska rezydencja. A jak nie chciałoby ci się bawić w remont, który ci zresztą serdecznie odradzam, rozpiardol to w piździec i buduj się tam od nowa. Sama ziemia warta krocie, dokoła żywej duszy. Mieszka tam jakiś staruch z wnukiem, oni nie mają pojęcia, ile to jest warte. Ale, ale, zaraz, zaraz – podrapał się w głowę – jest tylko jeden problem. Oni to już komuś sprzedali.

– No, to faktycznie stanowi pewien problem – Paweł wyciągnął z drewnianego pudełka małą cygaretkę i obracał ją w palcach.

– Ale na razie jest tylko umowa przedwstępna! Oni żałują, że ją podpisali, uważają, że ten Morawa ich wyruchał. Wziąłem ją dla ciebie.

– Dali ci? – Paweł z zainteresowaniem wziął z rąk ojca wyszmelcowaną kartkę i zaczął czytać.

Wencel przyglądał się z tajoną dumą, jak syn w skupieniu przebiega wzrokiem linijka po linijce. Paweł, gdy skończył czytać, wstał, podszedł do okna i zapalił cygaretkę. Chwilę patrzył w okno, po czym odwrócił się do ojca, wydmuchnął kłęb dymu i rzekł powoli:

– Widzę pewną możliwość, ale muszę się zastanowić. Wezmę to ze sobą do Warszawy.

– Wracasz jutro rano czy wieczorem? – zawołał Ryszard do wychodzącego już z gabinetu syna.

– To zależy od Hanny – odparł Paweł niezbyt przyjaznym głosem i jego zwalista postać zniknęła za połami aksamitu wiszącego na wiatrołapie. Ryszard został w gabinecie i wlepił zatroskany wzrok w grający telewizor.

W Warszawie

Wąż samochodów sunął powoli w stronę Saskiej Kępy. Paweł Wencel stał w gigantycznym korku na moście Łazienkowskim. Miał za sobą długi, ciężki dzień w pracy, wieczór też nie niósł nic pocieszającego. Razem ze współnikami organizowali dziś przyjęcie z okazji otwarcia nowej siedziby. Choć Paweł nie znosił tego rodzaju spędów, wiedział, że były konieczne ze względów marketingowych. Pomysłodawcą i organizatorem dzisiejszej fety był jego wieloletni współnik, Robert Zagajewicz, lekkoduch i naczelnym balangowicz prawniczego świata.

Z Robertem poznali się na studiach. Razem imprezowali. Na pomysł założenia wspólnej kancelarii wpadli na trzecim roku. Mieli ułatwione zadanie, gdyż ojciec Zagajewicza, „czerwony Marian”, też był radcą prawnym, więc od czasu do czasu podsylał synowi klientów.

Paweł miał trochę trudniej, gdyż sam przecierał swoje szlaki. Na początku z Robertem rozumieli się dobrze, mieli wspólne cele i nigdy nie wchodzili sobie w paradę. Jednak od jakiegoś czasu Paweł czuł, że ich drogi zaczęły się rozchodzić. Mieli inny *modus operandi*^[8], inną filozofię firmy i inaczej spędzali czas wolny. Robert, który dostał wszystko podane na tacy, czasami traktował pewne zagadnienia po łebkach.

Paweł z kolei, piekielnie ostrożny i nader przewidujący, potrafił godzinami gryźć się nad umową, zawsze dążył do perfekcji, ślęczał nad dokumentami, poprawiał coś nawet po kilkanaście razy. Bardzo dbał o jakość. Natomiast Robert zrzucał wszystko na aplikantów, nie sprawdzał umów, a jeśli klient upierał się na coś wbrew własnemu interesowi, Robert w imię świętego spokoju i szybkiego zafakturowania – gotów był godzić się na wszystko. Przez to Pawła ciągle prześladowała wizja schrzanienia czegoś i bycia pociągniętym do odpowiedzialności materialnej. Ostatnio coraz gorzej sypiał.

Od kiedy Paweł się ożenił, nie sposób go było ruszyć z domu, choć to z pewnością wcale nie służyło jego małżeństwu. Robert z kolei w domu nie był w stanie usiedzieć. Mimo że żonaty i z dwójką dzieci, prowadził bardzo intensywne życie towarzyskie. Zaliczał wszelkie imprezy okolicznościowe, fety, koktajle, degustacje, mityngi, rauty, brunchy, lunche i kolacje, jakie oferowała stolica, a wszystko to podporządkowane było nadrzędnej idei rozwoju biznesu. Z tym nie można było się nie zgodzić. O to nie sposób było mieć do niego pretensji!

Paweł doskonale wiedział, po co Robert znika z domu, jednak w imię męskiej solidarności nigdy się w to nie wtrącał. Nie jego sprawa. Ale ostatnio zafrapowało go coś innego, mianowicie fakt, że Zagajewicz zaczął i jego gdzieś wyciągać. To, że sam poznawał kobiety, jego sprawa. Ale czemu ciągle podsuwał jakieś Pawłowi? Czyżby tak się rzucało w oczy, że źle się dzieje między nim a Hanną?

Zerknął na siedzenie obok. Leżała tam mała paczuszka, prezent dla Hanny. Zauważył, że nie nosiła już popielatego płaszcza z kołnierzem z lisa, który kupił jej w Paryżu. Kiedy spytał dlaczego, powiedziała, że nie miała odpowiednich rękawiczek. Zwykle czarne nie pasowały. Dziś kupił jej srebrne, wykończone szarą koronką. Dał za nie niemało. Miał tylko nadzieję, że pamiętała o wieczornym wyjściu.

Wszedł na klatkę schodową świeżo wyremontowanej kamienicy z lat trzydziestych. Jeśli chodziło o architekturę, szczególnie upodobał sobie styl funkcjonalny. Mało było w Warszawie dzielnic o tak jednolitej, regularnej zabudowie jak Saska Kępa. Dlatego mimo wysokich cen, właśnie tu kupił mieszkanie. Lubił ten zbliżony do paryskiego klimat małych sklepików i knajpek. Gdy się tu wprowadzili, często wychodzili wieczorem z domu i szli do ulubionej restauracji, a potem spacerowali po kameralnych uliczkach i wymieniali uwagi na temat architektury.

Nieświadomie zwolnił krok i zatrzymał się przed drzwiami do swojego mieszkania. Powoli otworzył drzwi. Wypastowane buty zastukały na oryginalnej, przedwojennej, marmurowej szachownicy. W hallu było ciemno. Przekręcił kontakt. Pomieszczenie zostało zalane światłem z okazałego żyrandola wykonanego ze złoconego i cyzelowanego brązu, niezmiernie oryginalnie łączonego z barwionym szkłem, wątpliwego autorstwa Hektora Guimarda. Paweł zapłacił za niego ponad trzy tysiące dolarów, lecz do dziś nie opuszczało go przykre przeświadczenie, że podły belgijski antykwariusz oszukał go. Co więcej! Oszukał go zapewne dlatego, że rozpoznał, iż Paweł

był Polakiem!

Przeszlone, ornamentowane, oszczędnie frezowane białe drzwi do salonu, niewątpliwie arcydzieło, wykonane zresztą na wzór drzwi słynnego Hotelu Paula Mezzara, autorstwa tego samego Guimarda, były zamknięte. Przez biało-żółte szybki, tworzące wzory roślinne, sączyło się jedynie nikłe światło ulicznej latarni.

Nie rozbierając się zajrzał tam. Nikogo nie było.

– Hanna? – zawołał w stronę części sypialnianej. Tam też było ciemno. Jego czarne oksfordy stuknęły niecierpliwie, kiedy penetrował po kolei wszystkie pomieszczenia. Wyglądało na to, że żony nie było w domu. Czuł narastającą irytację. Zerknął na zegarek. Siódma trzydzieści. Nagle zadzwoniła jego komórka. Numer prywatny. To nie ona.

– Halo – rzucił niecierpliwie.

– Paweł? – dał się słyszeć podniesiony kobiecy głos.

– Tak, mam? – próbował opanować zniecierpliwienie.

– Jesteście w domu?

– Mmmm, tak. A co się stało?

– Bo próbuję się do was dodzwonić i nikt nie odbiera.

– No, teraz odebrałem, a co się dzieje?

– Ojciec jakiś taki dziwny. Dostał jakiś list i gdzieś z nim poleciał.

– Nie wiesz, od kogo ten list? – głucho spytał Paweł.

– No właśnie nie wiem, ale widziałam, że się okropnie zdenerwował. Łyknął tabletkę uspokajającą i gdzieś poleciał. Ja za nim, w drzwiach krzyczę „co się dzieje, gdzie ty idziesz”, a on, że nic, nic, wszedł w samochód i jak nie ruszy z kopyta.

– Nic się nie martw, zaraz do niego zadzwonię.

Odłożył słuchawkę i znieruchomiał, próbując wydedukować, jaki list mógłby wprawić ojca w stan takiego niepokoju. I gdzie tak pędził? Ogarnął go lekki niepokój. Wybrał numer komórki ojca. Nie odpowiadał. Wybrał numer Hanny. Nie odbierała. Potem jeszcze raz. Odezwała się po wielu sygnałach.

– No gdzie ty jesteś? – warknął Paweł gwałtowniej niż zamierzał.

– Już jadę – odpowiedziała spokojnie.

– Nie pamiętałaś, że dziś otwarcie? – prawie krzyknął.

– Będę w domu za pięć minut, wtedy porozmawiamy. – Rozłączyła się.

Rzeczywiście, po kilku minutach przekręciła klucz w zamku. Paweł czekał w kuchni, gdzie ciągle próbował dodzwonić się do ojca. Myślał, że ona zaraz przyjdzie wytłumaczyć się ze spóźnienia, lecz jakoś nie nadchodziła. Nie wytrzymał i wyleciał z kuchni do hallu. Nie było jej tam. Przebiegł mieszkanie. Usłyszał szum wody pod prysznicem.

– Kąpiesz się? – spytał przez drzwi poirytowanym głosem. – Mamy tam być o ósmej, jestem gospodarzem przyjęcia.

– Za chwilę będę gotowa, daj mi parę minut – lekkie znużenie w jej głosie doprowadziło go do pasji.

– Nie zdążymy, a uprzedzałem, żebyś wcześniej wyszła z pracy. Są korki – zrzędził chwilę, kręcąc się pod drzwiami, po czym ruszył do drugiej łazienki. Odświeżył się, a następnie ubrał szybko, lecz starannie. Gdy wybiegł ze swojej garderoby, Hanna już stała przed lustrem, zapinając kolczyki, kompletnie ubrana. Miała na sobie czerwoną, atlasową sukienkę do kolan. Dekolt w kształcie łódeczki, za to mocno odkryte plecy. Intensywny kolor podkreślał oliwkową tonację skóry. Założyła czerwone, lakierowane szpilki, włosy upięła nisko za pomocą szylkretowej klamry. Rozpyliła na sobie ulubione perfumy o do- rze znanym mu zapachu.

– Nie będzie ci za zimno? – rzucił jadowniczo.

– Nie, bo biorę płaszcz – odrzekła, wychodząc z sypialni. Paweł podążył za nią.

– Załóż ten popielaty z lisem. Kupiłem do niego srebrne rękawiczki, ale nie wiem, czy było warto się starać – burknął i położył na konsolce elegancką paczuszkę.

Hanna spojrzała na niego, zawahała się. Po chwili zdjęła czarny płaszcz, otworzyła drzwi garderoby i wróciła w obcisłym, opinającym jej sylwetkę, popielatym. Owinęła szyję srebrnym

lisim ogonem. Jej gładko upięte włosy lśniły, gdy brała z marmurowego blatu paczuszkę. Skierowała się ku wyjściu.

– Nie rozpakujesz? – w głosie Pawła pobrzmiwała tłumiona irytacja.

– W taksówce. Zdaje się, że się spieszymy.

Na przyjęcie dotarli kwadrans po ósmej. W taksówce obejrzała rękawiczki i podziękowała mu, choć jego zdaniem nieco zbyt ozięble jak na sumę, którą za nie zapłacił. Potem wyjaśniła, patrząc w szybę, dlaczego się spóźniła. Rzekomo miała w redakcji zamknięcie miesiąca, zebranie się przedłużyło i nie mogła wyjść. Paweł wydał nieokreślony dźwięk, podobny do prychnięcia. Ponieważ Hanna nie zareagowała, zirytowany rzucił uwagę porównawczą na temat, ile przynosi, jak to określił, zabawa w pracę w redakcji, a ile jego kancelaria.

– Daleko lepiej zrobiłabyś siedząc w domu. Więcej, niż zarabiasz, wydajesz na dojazdy. Już nie wspominając o ubraniach. – Zerkał na nią z ukosa.

We wnętrzu obskurnej taksówki wyglądała jak dama z innej epoki. Osadzone na szybie krople deszczu w świetle mijanych latarni rzucały na jej twarz cienie. Wyglądało to tak, jakby miała na sobie woalkę. Siedziała z twarzą wtuloną w kołnierz i wpatrywała się w umykające za oknem pałacyki przy Alejach Ujazdowskich.

Miał ochotę wykonać pojednawczy gest, choć sam nie wiedział jaki, ale powstrzymało go zacięcie i poczucie jawnej niesprawiedliwości. W radiu prowadzący wykrzykiwał brednie, natrętnie powtarzając słowo „zyla”. Wjazd do klubu piętnaście zyla, bilety na koncert po 75 zyla. Człowieku, po twoim głosie można poznać, że czasy gimnazjalne masz za sobą, po co się silisz na młodzieżowy język? Zresztą nastolatki pewnie też tak nie mówią. Jedne latają z rodzicami na wakacje na Łazurowe Wybrzeże i grają w golfa, a inne zajęte są wyrywaniem komórek lub straszaniem nożem staruszek w praskich bramach.

Potem taksówka wpadła na plac Trzech Krzyży. Paweł w zamyśleniu obserwował budynek Holland Parku i po raz setny doszedł do wniosku, że można było zbudować tam coś lepszego.

Na rondzie de Gaulle'a skręcili w lewo i jechali Alejami Jerozolimskimi do góry. Nagle jakiś gruby, niechlujny facet wyskoczył na jezdnię, biegł do przejeżdżającego tramwaju. Kierowca taksówki zaklął ochryplym głosem, gwałtownie depnął trepem po hamulcach, po aucie rozszedł się odór tytoniu. Grubas przeszedł przed maską, wymachując agresywnie łapami, a cierp, jak to taksówkarzy nazywał Mati, coś tam odburkiwał, lecz już ze znacznie mniejszą werwą, właściwie zupełnie pod nosem. Grubas nadal stał na środku jezdni, jakby gotów w każdej chwili otworzyć drzwi taryfy i wywlec cierpiarza na zewnątrz. Taksówka tkwiła unieruchomiona, było czerwone światło. Wreszcie pokazała się zielona strzałka, samochód zerwał się naprzód. Skręcili i mknęli Bracką z dość dużą prędkością.

Po tym incydencie roztrzęsiony taksówkarz odwrócił się do Pawła i Hanny, chcąc podzielić się swoimi przemyśleniami na temat współczesnej kindersztuby. Zrobił się gadatliwy, co chwila obracał się, czasami przez niepokojąco długi czas nie zerkając przed siebie. Paweł nie odezwał się ani słowem, patrząc z ostentacyjnym niepokojem na ulicę i próbując dać do zrozumienia, że zyczyłby sobie, aby kierowca zajął się prowadzeniem. Hanna jednak, jak zwykle, musiała zbratać się z obcym. Zgodziła się z jego wywodami na temat chamstwa na ulicach, zdawała się też podzielać jego opinię na temat stosowania surowszych kar dla wandalii. Rozmowa stawała się coraz bardziej zażyła, doszło nawet do tego, że ten śmierzący drab rzucił lekceważącą uwagę na temat milczącego męża. Zamilkła dopiero, gdy taksówkarz z zaciętością zaczął klarować swoje poglądy polityczne, wychwalając nowo wybraną partię i ciesząc się na porządki, które wkrótce miały za jej sprawą nastać.

– Skończy się dojście do złoba, urwie im się. Pani widzi, już się boją. Rozkradli wszystko po osiemdziesiątym dziewiątym, rozdzielili władzę między siebie, majątek narodowy wyprzedali Żydom. Ludzi na bruk posyłają. Moja matka mi mówiła, jak było przed wojną. Nasze ulice, wasze kamienice. Ludzie na chleb nie mają, a oni, proszę ciebie, mercedesami, wille, hotele, cuda wianki.

Stanął na światłach na skrzyżowaniu ze Świętokrzyską. Odwrócił się do nich, popchnął do góry daszek kraciaty i ciągnął swój wywód.

– Ja, proszę panią, po dwanaście godzin pracuję i ledwo mam na opłaty. Za komuny to ja

parę razy na miasto wyjechałem i na wszystko starczało. I na wakacje mieliśmy, i dzieciaki jeździły nad morze, i w góry, i do Złotych Piasków. I stać mnie było. A dziś?

– Jedź pan, zielone – warknął Paweł.

Cierp obrzucił go niechętnym spojrzeniem, a potem jakaś myśl rozjaśniła mu oblicze i Paweł kilka razy spotkał się z jego złośliwym spojrzeniem utkwionym w nim we wstecznym lusterku. Wysiedli przy Chmielnej. Paweł zapłacił dokładnie, ile się należało, nie dał nawet dziesięciu groszy napiwku. Ostatnie dwie przecznice przeszli piechotą. Zimny wiatr przeszywał na wskroś. Zaczynał lodowaty deszczyk. Żadne z nich nie wypowiedziało już ani słowa.

Nowy lokal mieścił się na drugim piętrze secesyjnej kamienicy przy ulicy Ordynackiej. Już na parterze słychać było gwar rozmów. Paweł popchnął drzwi i oczom ich ukazał się barwny tłum gości. Z daleka dostrzegł przeciskającego się ku nim Zagajewicza. Podeszedł do nich i rozpostarł ramiona w powitalnym, nieco błazeńskim geście.

– Mecenasiu, no i przyznaj teraz! Warto było? – wykrzyknął, rozglądając się znacząco po przestronnym hallu, obudowanym drewnianymi panelami z ciemnego orzecha. – Powiedz swojej pięknej żonie, kto to znalazł, kto tu jest siłą sprawczą wydarzeń, kto jest napędem rozwoju i zarazem autorem sukcesu? – błaznował Zagajewicz, poklepując sztywno stojącego Pawła. Potem zwrócił wzrok ku Hannie i na chwilę zamarł w teatralnym zachwycie.

Hanna, która właśnie rozpinając płaszcz, uśmiechnęła się nieznacznie. Zagajewicz rzucił się do pomocy. Stał tuż za nią i delikatnie zdjął jej okrycie.

– Może zostawisz to na sobie. – Otulił ją odpiętym lisim kołnierzem. Hanna odsunęła się od niego, zdjęła ogon z szyi i powiesiła na wieszaku wraz z płaszczem.

– Są przeciagi, nie miej pretensji, że cię nie ostrzegałem – błaznował dalej Zagajewicz. – Paweł poskąpił na wymianę okien. Udawał, że podoba mu się stara stolarka. Wybrałaś największego kutwę z obecnych tutaj przedstawicieli korporacji. Gdzie ty miałaś oczy, Hanno. No, ale rozejrzyj się i powiedz! Podoba się?!

Hall był naprawdę imponujący. Po lewej stronie od wejścia znajdował się gigantyczny kontuar recepcji, również zbudowany z orzechowych kasetonów. Ściany, pomalowane na szary, matowy kolor, stanowiły kontrast z ciemnym, błyszczącym drewnem. Podłoga na całej widocznej powierzchni wykonana była z czarnego dębu. Za dwuskrzydłowymi drzwiami znajdowały się dwie sale konferencyjne, jedna oddzielona od drugiej rozsuwaną ścianą z matowego szkła. Teraz ruchoma ścianka została otwarta i powierzchnia, którą dzięki temu uzyskano, była doprawdy ogromna. Wielki konferencyjny stół na potrzeby przyjęcia odsunięto na bok. Stały na nim, w srebrnych wazach, ciepłe i zimne przekąski pierwszej jakości. Widać, że jakaś hojna ręka nie poskąpiła pieniędzy, by ufetować dostojnych gości. Z najlepszej warszawskiej firmy cateringowej zamówiono same frykasy.

Wokół stołu kłębił się tłum gości. Paweł z Hanną weszli na salę. Zagajewicz tuż za nimi. Nie przestawał mówić. Hanna co i raz odwracała się, by odpowiedzieć mu na jakieś pytanie, co znacznie spowalniało jej krok. W końcu Paweł postąpił w stronę kiwającego mu głową prezesa Baranowskiego.

– Fiuu – zagwizdał przeciągle prezes, uważnie wodząc wzrokiem po imponującej przestrzeni.

– Wspólnymi siłami... – zaczął Paweł nieco obronnym tonem, widząc w oczach prezesa cień nagany. – Zresztą... Mamy znamienitych klientów! Trzeba ich odpowiednio przyjąć...

– To już wiem, skąd te stawki. Utrzymanie tego musi słono kosztować. – Prezes patrzył z dobroduszną surowością.

– Ale nie pana, szanowny panie prezesie! – Paweł patrzył wymownie. – Pan zawsze ma u nas taryfę ulgową!

– A szanowna małżonka gdzie? – oczy prezesa chciwie omiotły salę.

– Pewnie ktoś ją zaanektował! – Paweł zerknął przez ramię. – O, tam stoi. Już idzie!

– To proszę ucałować jej rączki. No, idę! – kiwnął opryskliwie w stronę bufetu. – Przepraszam! Żona woła. Paweł pozwolił sobie na cień uśmiechu, po czym znów dojrzał kogoś znajomego.

Co i raz ktoś do niego podchodził, żeby się przywitać i pogratulować wspaniałej siedziby. Potem wszyscy pytali o żonę, gdzie jest żona? Paweł oschle tłumaczył, że jest tu, tuż obok, rozmawia z Robertem. Wskazywał głową w kierunku drzwi, gdzie ciągle jeszcze stała Hanna, oparta plecami o framugę, a tuż koło niej, opierający się na tejże samej framudze, tyle że z ręką tuż obok jej głowy, stał Zagajewicz.

Jakże pięknie wygląda Hanna, mówiono z podziwem. Dwie koleżanki Pawła przez dłuższą chwilę zachwycaly się jej sukienką. No, ale Hanna z Robertem chyba się lubią, Paweł nie może narzekać? Paweł podążył za ich wzrokiem. Do Hanny i Roberta dołączył teraz trzeci wspólnik, Adam Zybert. Ten zazwyczaj małowówny człowiek opowiadał flegmatycznie jakąś historię, na zakończenie której Hanna uśmiechnęła się, a Robert kwiknął śmiechem. Śmiał się bardzo długo, tak długo, że aż zatoczył się na Hannę i teatralnym gestem złożył swą głowę na jej ramieniu. Hanna przebiegła wzrokiem salę i na moment uchwyciła utkwiony w niej wzrok Pawła. Ten szybko opuścił oczy.

Zadzwoił jego telefon. To ojciec oddzwaniał. Paweł wyszedł z sali i ruszył korytarzem w stronę swojego nowego gabinetu. Zamykając za sobą drzwi, odebrał telefon.

– No halo, tato – rzucił poważnym, niecierpliwym głosem. Z odległej salki dochodziły przytłumione odgłosy imprezy.

– No cześć, Paweł – głos ojca brzmiał równie poważnie.

– No, co jest? – Paweł starał się mówić w sposób opanowany.

– No to, czego się obawiałem.

– Hm – Paweł starał się nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie to na nim zrobiło. – Dobra, nie mówmy o tym przez telefon. Przyjedź z tym do mnie do kancelarii jutro o dziewiątej. Spokojnie porozmawiamy.

– Na ten nowy adres, tak? Dobra, to do jutra. – Ryszard odłożył słuchawkę z trzaskiem. Widać dzwonił z domowego. Ojciec bez zadziorności i humoru, to była nieprzyjemna nowość.

Wrócił na salę. Impreza się rozkręcała. W tłumie dostrzegł brata. Mateusz, wyelegantowany, stał w otoczeniu kilku znajomych Pawłowi osób. Między nimi był również nieszczęsny Kwaśniak. Lekko chwiejnym, lecz wciąż nonszalanckim krokiem podszedł do nich Zagajewicz. Mati przywitał się ze wspólnikiem brata. Rozmawiali chwilę. Mateusz poklepywał Roberta po plecach, wskazując ręką, w której trzymał szklanekę, poszczególne elementy wystroju sali. Robert zdawał się podzielać zdanie rozmówcy, potakująco kiwał głową. Potem poprowadził Mateusza w stronę przesuwanej ścianki, tłumacząc mu najprawdopodobniej, jak będzie działać. Mati z zainteresowaniem ją oglądał, potem coś powiedział i obaj wybuchli gromkim śmiechem. Robert śmiał się bardzo długo, wykonując jednocześnie do kilku osób, które odwróciły głowy w ich kierunku, ostentacyjne gesty mówiące „nie wytrzymam, zabierzcie tego gościa, bo nie wytrzymam”. Tymczasem Mati nadal się śmiał, lecz jego bystry wzrok wypatrywał już brata. Paweł wychylił swoją szkocką i ruszył w jego kierunku. Milcząc, uścisnęli sobie dłonie. Paweł zapalił cygaretkę i patrząc gdzieś nad głową brata, rzucił:

– Ojciec dostał wezwanie z CBA.

– Nie pierdol.

Natychmiast ktoś im przeszkodził. Podeszła koleżanka Pawła i pochwaliła nowy lokal. Paweł podziękował i zadał jakieś kurtuazyjne pytanie. To ośmieliło koleżankę i rozpoczęła się prawdziwa lawina pytań, najwyraźniej mających ustalić wartość lokalu oraz stan posiadania. Nie otrzymując wyczerpujących odpowiedzi z ust mrukliwego kolegi, dziewczyna zadała pytanie bezpośrednio:

– No ale wynajmujecie czy kupiliście?

Paweł, przyparty do muru i mocno tym poirytowany, już zamierzał odparować z grubej rury, lecz ubiegł go brat, który widział, co się święci. Delikatnie objął plecy dziewczyny i śmiejąc się porozumiewawczo do Pawła, zakrzyknął:

– Jaka ty jesteś słodka! Jesteś tu sama, perelko? Bo ja właśnie zostawiłem żonę w domu.

Dziewczyna, na wpół oburzona, na wpół zachwycona, zaczęła go żartobliwie rugać. Mati delikatnie popychał ją w stronę barku z winami. Paweł jeszcze słyszał jej oddalający się, piskliwy

śmiech. Nagle ktoś poufale klepnął go w ramię. Tuż za jego plecami stał Kwaśniak z dwoma szklaneczkami whisky i uśmiechał się jak Mefistofeles.

– Rozwijamy się, co, mecenasie? – Podał Pawłowi szklanę, którą tamten ujął dwoma palcami niczym robaka. – Nie można stać w miejscu. Stagnacja to śmierć – kontynuował, jakby delektując się dźwiękiem własnego głosu i stuknął się z Pawłem. – No to cyk. Za rozwój. Za synergię. Synergia to lekarstwo na ciężkie czasy.

– Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? – spytał Paweł, patrząc nad głową Kwaśniaka. Wypatrywał Hanny.

– Gospodarka amerykańska pięknie żre, ale wkrótce wszystko może, za przeproszeniem, pieprznąć. Wszystko idzie na kredytach. Rynek tego nie wytrzyma.

– Masz jakiś pomysł na przetrwanie, jak mniemam? – Paweł dyskretnie obrzucił wzrokiem strój Kwaśniaka. Było to ucieleśnienie tandetnego wyobrażenia o wielkomięskiej elegancji. Padalec miał nawet jakąś dziwną szpilkę w krawacie.

– *United we stand, divided we fall*. Mali padają, duzi przetrwają. – Teraz Kwaśniak uśmiechał się jak sfinks. – Poznałem twojego współnika. Niezły imprezowicz. Chyba lubi babeczki, he, he – Kwaśniak śmiał się leniwie, było coś niezwykle nieprzyzwoitego w spojrzeniu, którym obrzucił stojące nieopodal dwie kobiety.

– Nieźle się szarpnęliście na wykończenie. Mahoń. Marmur. – Jego ironiczne spojrzenie szperało po sali. – Mówiłem to już Robertowi.

Na zdumione spojrzenie Pawła szybko dodał:

– Chwilę gadaliśmy. Twój brat nas przedstawił. No więc powiedziałem Robertowi, że trzeba mieć ogromne obroty, żeby sobie pozwolić na taki wystrój. Powiedziałem też, że ja bym nie wywalał tyle szmalu na pozory. I tak klient tego nie doceni. Odparł, że ty byłeś podobnego zdania, ale cię przegłosowali. Tak więc widzisz, mecenasie, mamy więcej wspólnego, niż myślisz.

W Pawle zawrzała głuchy gniew. Jakim prawem ten jego bufonowaty współnik chodzi i opowiada obcym o sprawach, które winny być tylko i wyłącznie sprawami wewnętrznymi kancelarii. Zawsze obawiał się długiego jęzora Roberta. Wymruczał jakieś przeprosiny i ze zmarszczonymi brwiami, głęboko zamyślony, podszedł do bufetu i zaczął nakładać sobie potężne porcje. Skoro ma pójść z jego kieszeni, to przynajmniej dobrze podje. Zmiotł wielki talerz sałatki, stojąc tyłem do sali. Pożywiając się, trochę się odprężył i teraz marzył tylko, by nikt mu nie przeszkodził. Nie znosił przerywać posiłku, by prowadzić z kimkolwiek wymuszoną rozmowę. Niestety, nie dane mu było najeść się w samotności. Za plecami usłyszał głos Zyberty. Z pośpiechem połknął wielką krewetkę, po czym zwrócił niechętnie oblicze w stronę drugiego współnika.

Niski, przedwcześnie łysiejący, obejmował małżonkę tak zazdrośnie, jakby bał się, że lada chwila ktoś mógłby próbować mu ją odbić. Obawy te, zdaniem Pawła, były zupełnie nieuzasadnione. Nie dość, że niewybaczalnie brzydka, miała do tego wyjątkowo nonszalancki stosunek do mody, jakby była przekonana, że jej wyjątkowe wnętrze zwalniało ją z obowiązku uciekania się do tak niecných, małostkowych wybiegów, jak przypodobanie się mężczyznom za pomocą walorów estetycznych.

– Jak coś zostanie, będzie można zabrać do domu – Zybert prychnął śmiechem, by adwersarz ewentualnie mógł potraktować tę wypowiedź jako żart. Paweł milczał pogardliwie. Gdy omawiali szczegóły przyjęcia, był przeciwny wydawaniu na nie więcej niż dziesięciu tysięcy złotych i wyraził swoje zdanie jasno. Zagajewicz zakrzyczał go, robiąc długi wykład na temat siły reklamy i sprawiania dobrego wrażenia. Zybert był znanym ściubasem, lecz wszedł do kancelarii dzięki układom z Zagajewiczem, więc popierał każde jego słowo. Może i sam Paweł miałby ochotę zabrać resztki jesiotra na jutrzejszą kolację, ale zniżyć się do mówienia o tym?

– Gdzie Hania? – Zybertowa uśmiechała się kwaśno, szkiełka jej okularów błyszczały złośliwie.

– Cóż, nie chodzimy za rękę, minął już pierwszy entuzjazm! Ot, proza życia! Ale gdybym miał taki klejnot jak ty, też strzegłbym go z takim poświęceniem jak Adam! – Paweł zjadł resztę, którą miał na talerzu i zdawał się zupełnie nie przejmować grobowym milczeniem, które zapadło.

Jednak wcale tak nie było. Czuł gorzki smak porażki. Zareagował zbyt kąśliwie! Jakże łatwym celem do drwin się stawał w tej swojej nieznośnej, niezręcznej sytuacji. Jak łatwo było go zranić. Musiał się odszczekiwać niczym zaszczuty pies. Szlag by trafił tę jego przeklętą żonę i jej pieprzoną niekonwencjonalność!

Tymczasem żona Roberta Zagajewicza oderwała się od wianuszka koleżanek. Dostrzegła, że mąż ma już „w czubie”. Biedaczek ledwo trzymał się na nogach, tym razem naprawdę przeholował. Z rozchełstaną koszulą i rozpiętą marynarką siedział pod oknem i wodził rozeźlonym, pijackim wzrokiem za tą lafiryndą. Marzena Zagajewicz była żoną wyrozumiałą, ale wszystko miało swoje granice. Drobnym kroczkiem ruszyła po zdeptanym parkiecie. Sprawnie przeciskała się między grupami gości, wymieniając zdawkowe uwagi i uprzejmości. Działała zadaniowo. Teraz jej celem było wyprowadzenie stąd męża w sposób na tyle dyskretny, by nie dostać się na języki i nie mieć doczepionej łatki harpii, która wlecze męża za uszy do domu. Zdawała sobie doskonale sprawę, że nie trzeba bystrego obserwatora, by dostrzec, że jej mężulek aż ślini się na widok tej wywłoki. Ale to można było złożyć na karb alkoholu. Poza tym, było ogólnie wiadomo, że Robert to pies na baby, no a jak się pijanemu chłopu podsuwa pod nos pół gołą babę, to czego można się spodziewać?

Pulchna, upierścieniona dłoń sięgnęła ramienia męża. Zadarł głowę do góry i patrzył na nią niechętnym, wrogim wzrokiem.

– Jak chcesz iść, to idź, ja zostaję – wybełkotał.

Doskonale przygotowana na tę ewentualność Marzena użyła swej najsilniejszej broni.

– Nie o to chodzi, że ja chcę. Dzwoniła pani Bo, Sonia się obudziła z gorączką, płacze i chce do tatusia. Wstawaj Robert, nie rób scen. Wiesz, że Sonia się nie uspokoi, dopóki ciebie nie zobaczy. Poza tym dość już wypileś. Prezes Drowexu nam się przygląda. Chcesz stracić najlepszego klienta? Zawsze sam powtarzasz: nie łącz pracy z przyjemnością. Chcesz nagadać głupot?

Argumenty, niby rój brzęczących much, krążyły nad głową Roberta. Oganiał się od nich, lecz natrętnie dobijały się do jego skołowanej świadomości. W końcu poddał się. Ruszył za swą niską, pulchną żoną. Hanna stała koło kolumny, popijając wino. Wychodząc, jeszcze raz rzucił jej zaczepne spojrzenie. Dostrzegła je, lecz bez uśmiechu odwróciła od niego wzrok i podjęła prowadzoną rozmowę.

Polskie piekielko

Matylda w doskonałym nastroju wkroczyła do budynku, którego ostatnie dwa piętra zajmowała jej firma, duży koncern chemiczny GranChem Pharmaceuticals, zwany przez pracowników GCP. Z kieszeni płaszczka wyjęła identyfikator i otworzyła nim automatyczne, przesuwane drzwi. Wsiadła do szklanej windy i rozwiązała apaszkę. W środku były już dwie osoby. Musiały wsiąść w garażu. Winda wydała cichy dźwięk, drzwi się zamknęły, ruszyli do góry. Mężczyzna w szarym garniturze, z przewieszonym przez ramię płaszczem, zerkał na Matyldę z zainteresowaniem, ale jej ani w głowie były nowe flirty. Kiedy wysiadał na pierwszym piętrze, posłał jej ostatnie, aż nader znaczące spojrzenie. Matylda zerknęła w lustro. Wyglądała kwitnąco. Wręcz promieniała.

Nawet jej przekorny wyraz twarzy nieco dzisiaj złagodniał. Ubrana jak zwykle elegancko, lecz ewidentnie ze sportową inklinacją emanowała energią i pewnością siebie.

Drzwi się otworzyły. Wysiadła i szła korytarzem, pozdrawiając mijane osoby. Chyba miała wszystko wypisane na twarzy, bo ewidentnie zwracała uwagę koleżanek i kolegów. Marcin z finansów aż gwizdnął na jej widok, Matylda puściła do niego oko i zaśmiała się pod nosem. Wkroczyła w rejony działu marketingu.

Panowała tam uderzająca wprost cisza. Wszyscy siedzieli przy biurkach z nosami w komputerach. Zdumiona, mijała kolegów. Na jej głośnie „siemano Pietia” Piotr od zębów rzucił ponury uśmiech i zdawkowe „cześć”. Karola, brand menedżerka linii szamponów SupaShine, ledwo podniosła wzrok znad komputera i uśmiechnęła się ukradkiem. Matylda, zdumiona, dotarła do odgradzonej części, którą zajmowała z Pati, produkt menedżerką od tuszy do rzęs Extreme Curves.

– Co się tutaj dzieje? – spytała Patrycję z niedowierzającym uśmiechem, powoli osuwając się na krzesło i wieszając torebkę na krześle.

– Maksą wylali – odpowiedziała Pati, uśmiechając się smutno.

– Co? – tyle tylko zdołała powiedzieć Matylda, gdy drzwi ich pokoju gwałtownie się otworzyły. Wpadła rozjuszona, chuda, tykowata postać. Była to nowa szefowa działu marketingu, pani Dominika Jagodzińska.

– Matyldo, WRESZCIE jesteś – zabrzmiał surowy, lekko dygoczący głos – mogę cię prosić na rozmowę?

– O, o! – Matylda komicznie poderwała się na baczność. – Tak jest, sierzancie.

Patrycja potarła twarz dłonią, zasłaniając sobie oczy. Jagodzińska stała w progu z gorejącym wzrokiem. Najwyraźniej żart jej nie rozbawił.

– Coś się stało? – spytała Matylda, ruszając w stronę drzwi.

– Dowiesz się za chwilę – oznajmił galaretowaty, leciusieńko podniesiony głos. Jagodzińska ledwo nad nim panowała. – Pozwól proszę za mną.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem. Była bardzo wysoka i poruszała się niepewnie, jakby wstydząc się własnego ciała i chcąc jak najprędzej dojść w bezpieczne miejsce, za biurko. Matylda szła za nią, odnotowując wszystkie te niuanse, a jednocześnie zastanawiając się, cóż takiego nowa szefowa mogła jej mieć do powiedzenia. O ile Matylda znała się na języku ciała, nie mogło być to nic dobrego. Zresztą, zaraz się dowie. Komiczne, że w chwili, gdy jedna sfera życia układa się tak zajebiście, druga...

– Jakim prawem przekroczyłaś oszacowany na 15 tysięcy budżet o cztery tysiące? – Jej rozważania przerwał surowy, trzęsący się głos.

Dominika Jagodzińska zasiadła już bezpiecznie za biurkiem i skrywając nieładne ciało, nabrała pewności siebie. Wyglądała, jakby stało się coś potwornego, a ona z całych sił starała się nad sobą zapanować. Miała najwyraźniej problem z utrzymaniem kontaktu wzrokowego, więc wpatrywała się w interlokutora z całych sił, niczym kobra w ofiarę. Biło od niej coś bardzo dziwnego, jakaś nienawiść, nad którą starała się zapanować, lecz było to silniejsze od niej. Wyglądała na roztrzęsioną, choć fizycznie tak nie było. Trzęsła się wewnątrz, a jej zewnętrzna powłoka starała się to ukryć. Wszystko zdradzały jednak oczy, patrzące z ogromnym natężeniem,

z wyjątkowym ładunkiem nienawiści. Mimo grozy, którą budziła, była w przedziwny sposób komiczna.

– Słusznie użyłaś słowa oszacowany – zaczęła Matylda spokojnym, chłodnym tonem. Nie zamierzała dać się zastraszyć. – Jesteś krótko w GCP i pewnie jeszcze nie wiesz, że co miesiąc budżet jest korygowany po rozliczeniu wszystkich badań, bieżących kampanii, rozliczeń z agencjami *et cetera*. Nie sposób określić z góry, ile dany projekt będzie kosztował, Alex o tym wie i nigdy nie robi z tego problemu.

– Na co poszło te dziewiętnaście tysięcy? – Wyglądało, jakby Dominika Jagodzińska z trudem nad sobą panowała.

– Jak to na co? Przecież miałaś załączony raport – ze zdziwieniem odparła Matylda. Nie wiedziała przez chwilę, czy Dominika naprawdę nie wie, czy też ten wykrzyknik w jej głosie oznaczał, że wiedziała, lecz uważała te pieniądze za wyrzucone.

– Jak się o coś pytam, to proszę o odpowiedź – niemal krzyknęła szefowa. Teraz zrobiło się naprawdę niemiło. Matylda przez chwilę nie wiedziała, jak ma zareagować. Przez cztery ostatnie lata szefem był Patrick O'Brien, sympatyczny Irlandczyk, którego Matylda bardzo lubiła. Jeszcze nie słyszała w tej firmie takiego tonu. Zawiodło ją nawet wrodzone poczucie humoru. Po chwili opanowała emocje i odpowiedziała spokojnie.

– Za te pieniądze zrobione zostały badania konsumenckie, sprawdzające skuteczność nowej kampanii reklamowej dezodorantu dla nastolatków. – Matylda nie chciała wchodzić w szczegóły.

– Alicja Kurpisz mówi co innego.

Pięknie. Bomba, zatrudniona przez Jagodzińską, sprzedała jakąś swoją wersję.

– Co takiego mówi Alicja Kurpisz? – spytała Matylda chłodno i oparła się na krześle, zakładając ramiona na piersi.

– Że zrobiłaś sobie badanie na poparcie swojej tezy. Że Alicja widziała projekty agencji i podobno wszystko było w porządku oprócz samego wykonania jakichś tam kreskówek. Alicja oceniła kreskówki jako nienadające się do tego projektu, a dziewczyna ma ogromne doświadczenie. Wystarczyło zmienić ilustratora, zrobić, hmm... weselsze. Ale należało przebadać nie tylko jeden pomysł, z jednej agencji. Ty przebadałaś tylko pomysł z kreskówkami, biorąc jeszcze tendencyjną grupę podejrzaną młodzieży. Wybrali tę brzydką kreskówkę, dokładnie tak jak sobie zaplanowałaś. Ryzykujesz wielomilionową kampanię, bo chcesz udowodniać za wszelką cenę, że masz rację. Bardzo, ale to bardzo się na tobie zawiodłam.

Matylda słuchała z lekkim zażenowaniem, ale i poczuciem triumfu. Nie popełniła żadnego błędu, zarzuty były wyssane z palca. Zrobiła wszystko zgodnie ze sztuką. Jednak nawet gdy masz sto procent racji, masz tylko pięćdziesiąt procent szans w sądzie, jak mawiał jej ojciec. Musiała się mieć na baczności. Z wolna, ważąc każde słowo, odrzekła.

– Po pierwsze, nikt z nas nie może obiektywnie ocenić lub przesądzić o tym, czy coś jest ładne czy brzydkie, zwłaszcza że nie do takich jak ty czy ja będzie kierowana ta reklama, więc sądy Alicji nad kreskówkami były niedorzeczne. Po drugie, po obejrzeniu wielu projektów zdecydowaliśmy się pójść drogą strategii kreatywnej zaproponowanej przez MasterWorks. Oni zrobili dalszy *research* i zaproponowali taką komunikację dla naszej *target* grupy. Alicja Kurpisz miała wątpliwości, czy młodzieży się spodoba. Zrobiliśmy badania, wątpliwości rozwiązane. Pełen sukces. O co więc wam chodzi? – Matylda patrzyła na Dominikę chłodnym wzrokiem.

– O to, że forsujesz swoje pomysły w oparciu o *gut feeling*^[9], a nie badania. Mnie nie przekonują te badania, które zrobiłaś, bo nie uwzględniają projektów, przedstawionych przez inne agencje. Zrobiłaś badania, by poprzeć swoją tezę, oto moje wrażenie.

– Ale inne projekty były kompletnie do niczego. Nie było co badać! Zresztą przejrzyj je w wolnej chwili. Nie nadawały się. Słuchaj, Dominiko. Jestem menedżerką tego produktu od dwóch lat. Jest to prawie moje dziecko. Znam swoje dziecko dość dobrze i wiem, co mu się przysłuży, a co zaszkodzi. Dzięki tym dezodorantom firma zarobiła krocie. Jest to jeden z większych sukcesów GCP ostatnich lat. Nie chwaląc się, to moja zasługa. Chyba więc ja z kolei zasługuję z twojej strony na pewien kredyt zaufania? Kampania będzie rewelacyjna i jest kontynuacją pewnej myśli, która leży u podstawy narodzin tego produktu, jeszcze za czasów

Patricka...

– Patricka już tu nie ma. Czasy czarów firma ma już za sobą. Ja opieram swe działania marketingowe na liczbach i procedurach! – ryknęła Dominika Jagodzińska. Wyglądała, jakby chciała uderzyć pięścią w stół. – A nie na czymś *gut feeling* – powtarzała to sformułowanie już któryś raz, chyba je lubiła. – Każde działanie, każde *activity* ma być poparte odpowiednimi badaniami. Ponieważ nie wywiązałaś się należycie ze swych obowiązków, oddaję dezodoranty Miss Juicy pod kierownictwo Alicji Kurpisz.

Matylda wypadła z pokoju Jagodzińskiej, nie wiedząc, co robi, ani gdzie idzie. Doszła do siebie dopiero przy automacie z kawą. Tam z przeraźliwą jasnością skojarzyła, jak fatalnie pierwsza sfera jej życia wpłynęła na drugą. Widocznie nie ma niczego za darmo. Przynajmniej choć raz nie miała wątpliwości, że było warto. Ogarnęła ją przemożna chęć zatelefonowania do Igora i wyżalenia się na podłą szefową. Ogarnął ją jednak lekki niepokój, czy aby narzeczony nie poczuje się częściowo odpowiedzialny za odebranie Matyldzie jej koronnego projektu. To może nadmiernie obciążyć jego psychikę, a on jest bardzo wrażliwy, jak to artysta. Po co im na wstępie znajomości taki niemiły zgrzyt. Igor nic tu nie pomoże. W takich sprawach Matylda przywykła radzić sobie sama. Nie zamierza dać się złamać. Zwycięży albo polegnie w bitwie.

Pomaszerowała dziarsko w stronę działu handlowego. Zasięgnąć języka. Weszła na spory *open space*. Panowała tam, jak zwykle, miła, leniwa atmosfera, grało radio. Dyrektorzy handlowi strukturalnie stanowili niezależny od marketingu dział i każdy z nich miał przypisane różne marki, za które był odpowiedzialny. Szefem ich był *senior sales manager*, wielmożny pan Radosław Budzisz. Ten niezłomny charakter zwykł był drzeć koty z każdym kolejnym dyrektorem marketingu. Stanowił swego rodzaju szarą eminencję firmy. Choć nie miał specjalnych szans na dalszy awans, ot, chociażby do zarządu, jako że nie znał angielskiego, obalił już niejednego przeciwnika. Siłą jego były isticie makiaweliczne rozgrywki, drobne intrygi, robienie innym koło pióra, a nawet chwalenie, a potem dawanie obuchem w łeb. Grunt, by woda, w której pływał, była lekko mętna. Dlatego też nie znosił procedur i jasno określonych strategii, otwartych zebrań i planów. Decyzje podejmował w ustronnych korytarzach, mityngi przy lunchu lub w toalecie. Dzięki tego typu działaniom „ogarniał” wszystko, co się w firmie działo. Jeżeli miał lecieć dyrektor, Budzisz już od paru tygodni o tym wiedział. Jeżeli ktoś w firmie miał romans, Budzisz też o tym wiedział. Uśmiechał się znacząco, a ten, na którego ów uśmiech padał, truchlał. Czy Budzisz coś o mnie wie?

Budzisz nie znosił, nie uznawał nad sobą niczyjego zwierzchnictwa. Każdego oprócz siebie miał za idiotę. Nie znosił tabel, wykresów i badań. A w biznesie kierował się właśnie tym, czego nowa dyrektor marketingu, pani Dominika Jagodzińska, tak bardzo się obawiała, kierował się instynktem, tak zwanym *gut feelingiem*. Trzeba mu jednak było przyznać jedno. Nikt nie wiedział, jak to robi, a jednak wszystko, czego się dotknął, obracał w złoto.

Jego sukcesy w firmie były nie do podważenia. Generował gigantyczną sprzedaż, podpisywał najkorzystniejsze umowy handlowe, uzyskiwał najniższe marże. I mimo że był nieznośny, niepokorny, chamski i pyskawy oraz niszczył wszelki *teamwork*, jaki kolejni dyrektorzy marketingu próbowali inicjować, miał wielu zwolenników. Zwolennicy ci byli przez niego werbowani na różne sposoby. Jednych zastraszał, drugich poniżał, a potem znieścacka chwalił i działając w ten sposób, zyskiwał ich gorącą sympatię. Niektórzy bali się jego długiego języka, inni go lubili, gdyż łechtał ich próżność. Byli też tacy, którzy otwarcie przyznawali, że go nie lubią, lecz go szanowali i chętnie słuchali jego rad. Do tych ostatnich należała Matylda.

Teraz ciekawa była, co też Budzisz myśli o nowej szefowej. Podeszła do drzwi jego gabinetu, zajrzała przez szybkę. Pusto. Nie było go dzisiaj. Nagle ktoś zawołał ją po imieniu. Bartek Wieleniuk, dyrektor handlowy większości kosmetyków kolorowych. Zawsze przywoził dziewczynom szminki, lakiery do paznokci i nawet pamiętał, która używa jakich odcieni. Straszny był z niego gawędziarz erotoman. Podeszedł, ubrany w wystrzałowy garnitur, kołysząc się marynarskim krokiem. Zatknął kciuki za pasek od spodni, odchylił się do tyłu i uśmiechnął do Matyldy nieco lubieżnie.

– Wzięłaś piątek wolny, a szkoda – śmiał się przekornie. – Oj, działo się, działo. Maksa

zwolnili. Budzisz strasznie się wkurwił, no ale nic nie mógł zrobić. To jest już w gestii twojej nowej szefowej, Matyldo. No, a jak twoje wrażenia? – Podniósł z biurka szklanę z niedopitą herbatą. Popijał powoli, patrząc na Matyldę z leniwą złośliwością.

– Daj spokój. Tak nie może być – Matylda nie należała do szczerych Kaś, ale w tej sytuacji było chyba oczywiste, że wszyscy powinni się zjednoczyć przeciwko potworowi.

– Ale twoje koleżanki z działu są innego zdania – Bartek obserwował jej twarz z przewrotnym uśmieszkiem.

– Jakie koleżanki. Chyba żartujesz? – Matylda pierwszy raz poczuła przyływ lekkiego niepokoju. Nawet utrata intratnego projektu nie martwiła jej tak, jak rozłam w szeregach...

– Była u mnie Agnieszka, mieliśmy z rana omawiać umieszczenie chusteczek nawilżających na stacjach benzynowych. – Bartek na wspomnienie poranka z niepokojem masował się po czole. – A tu nagle Agnieszka mówi, że bierzemy ten projekt na *hold*, bo Dominika powiedziała, że nie mamy tego w budżecie, że to nie jest klepnięte przez Jonathana.

– A od kiedy w Dublinie mają decydować o takich pierdołach?! – zakrzyknęła wojowniczo Matylda. Ze zdenerwowania obracała mały, srebrny zegarek wokół przegubu dłoni. Ten biurokratyczny obłęd zataczał coraz szersze kręgi.

– To samo powiedziałem. A Aga do mnie, że może to lepiej, że może lepiej tak to sformalizować, bo potem, jak coś nie wyjdzie, to nie będzie na nas, że spierdolił się robotę.

– Ale kiedy spierdolił się robotę?! Raz, trzy lata temu, bo produkt miał wadę technologiczną! A takich akcji zrobiliśmy już ze sto! One muszą być robione ad hoc, bo inaczej kto inny za nas zarobi kasę, jak z każdą pierdołą będziemy dzwonić do Jonathana. Nigdy nie zrobimy targetu. Taka biurokracja jest naprawdę recesjogenna. Masowo zwalnia obroty. Kurwa – Matylda się zafrasowała.

– Ładnie wyglądasz. – Bartek był już myślami gdzie indziej. Jego wzrok błędził po jej rozognionej twarzy. – Może wyskoczmy na jakieś piwko? Pietia zgłaszał chęć, jego stara wyjechała w góry. Pati też pewnie jest wolna, ta nigdy nie ma nic do roboty.

– Gdzie jest Budzisz?

– A na co ci Budzisz? Nie ma go w firmie, pojechał negocjować nowe umowy z sieciami. To co z wyjściem?

– A twoja żona?

– Powiem jej, że mam kolację służbową – Bartek delikatnie dotknął dłoni Matyldy spoczywającej na blacie biurka i czujnie rozejrzał się po sali.

– Nie, Bartek, wybacz, ale mam inne plany.

Odwróciła się na pięcie. Idąc korytarzem, minęła oprawiony plakat reklamowy Miss Juicy. Piękne opakowanie, super wypożyczonowany produkt, z łąbsko pomyślanym benefitem. Miesiące pracy, a potem czuły nadzór, ciągłe ulepszanie, pilnowanie, by czymś młode konsumentki zaskakiwać. Miliony złotych w kieszeni GCP, a dla niej solidne honorarium i renoma na rynku. Coś ją chwyciło za gardło, odwróciła wzrok w inną stronę. Wkroczyła w rejony marketingu, gdzie słychać było tylko dźwięk pracującej drukarki i cichy szelest wertowanych kartek. Pomyślała o partii, która zwyciężyła w parlamencie. Czy nas Polaków jednak łatwo zastraszyć?

Mateusz sonduje

Mati obudził się przed ósmą. Był mglisty, ponury poranek. Ołowiane niebo wisiało nisko nad Warszawą. Przez opuszczone żaluzje sączyło się siwe, jesienne światło. Wstał i przeciągnął się. Był w doskonałym nastroju, albowiem dziś po południu wraz z resztą Telecommerce jechał na jakieś kolejne szkolenie. Do spa. W Zakopanem. Faktem godnym odnotowania było, że w podziękowaniu za owocną roczną współpracę zaprosili partnerską kancelarię prawną Guy et Chardon. Był to pomysł Mateusza, a szefowie chętnie na to przystali. Oprócz zacieśnienia stosunków, Mati miał w tym prywatny interes.

Większość spraw dla Telecommerce załatwiała pewna dowcipna, a przy tym wcale ładna prawniczka. Mati wiedział, że dobrze znała Kwaśniaka. Niedawno obiecał Pawłowi, swemu starszemu bratu, że wypyta Antoninę, czy rzeczywiście Kwaśniak ma tak rozległe wpływy, czy to tylko czcze przechwałki. Wprawdzie Paweł nie dopominał się o to, ale w dzisiejszych niepewnych czasach nie można było zaniedbać żadnej okazji. Żaden szanujący się mężczyzna z rodu Wenclów nie przepuściłby koło nosa pieniędzy do zarobienia, nawet gdyby nie on osobiście miał je zarobić. W kwestiach materialnych Wenclowie kierowali się solidarnością klanową.

Ojciec ustawił synów na starcie, a miał po temu środki, jako że sownie dorobił się na uwłaszczeniu nomenklatury. Dwóch starszych synów pieczołowicie pomnażało majątek, w sposób znacznie bardziej legalny. Problem stanowił trzeci brat, ale to był jeszcze taki gówniarz. W końcu złapie jakiś kierunek. Na razie irytował Matiego idealizmem. Mati nie wątpił, że życie czym prędzej go z niego wyleczy.

Tak więc trzeba sprawdzić, ile były warte przechwałki Kwaśniaka. Jeśli faktycznie mógł wyjąć z Guya sieci handlowe, to Paweł byłby ustawiony. Jakby to załatwili, mogliby sobie wyjechać z żonami na te dłuższe wakacje... Tylko czy Hanna w ogóle zechce pojechać?

Mati z zadowoleniem przyjrzał się własnej żonie. Jeszcze spała. Wyglądała jak okaz zdrowia i spokoju. Łagodna i piękna, stanowiła gwarancję udanego pożycia domowego, które po codziennych firmowych utarczkach było Matiemu tak bardzo potrzebne. Dziwne, że Paweł wciąż ma problemy z Hanną. On nigdy się nie kłócił z Karoliną. Kochane dziewczątka, zawsze zgodne i układne, dawało się tak łatwo udobruchać. Tymczasem dziewczyna, z której miał wyciągnąć informacje, nie wyglądała na owieczkę. Nie pójdzie łatwo, ale Mati lubił takie wyzwania.

W wybornym wprost nastroju, który dziwił nawet jego samego, wskoczył pod prysznic. Umył się z większą niż zazwyczaj starannością. Ogolił się dokładnie, nie żałował wody kolońskiej. Długo mył zęby, potem czyścił je nitką, a na koniec płukał płynem. Zaczesał do tyłu mokre jeszcze włosy, wcierając w nie odrobinę żelu. Natarł dłonie kremem, dokładnie spryskał się dezodorantem. Obejrzał jeszcze paznokcie u rąk. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Rozpylił na sobie odrobinę ulubionych perfum i z zachwytem przyjrzał się swemu odbiciu. Uosobienie męskości i tężyzny fizycznej. To niezwykle, jak codzienne ćwiczenia mogą zmienić typ postury ze szczupłej w całkiem groźnie „napakowaną”. Napiął bicepsy i zrobił groźną minę. Potem unióśł ręce, by ulizać do tyłu opadające niesforne kosmyki. W tej pozie jego klatka piersiowa wydawała się jeszcze szersza, co odnotował z zadowoleniem. Po czym prychnął śmiechem, pokręcił karcąco głową i pogwizdując, opuścił zaparowaną i pachnącą łazienkę, by skierować się do swego królestwa – garderoby.

Obszerne pomieszczenie spokojnie mogłoby stanowić oddzielny pokój. Koszule wisiały pogrupowane kolorami. Zbliżył się niemal z nabożną czcią do sekcji jasnobłękitnych w cieniutką kratę. Wybrał najładniejszą z Sea Island^[10]. Zdjął rękawiczki, rzucił jeszcze jedno kuszące spojrzenie w lustro i odsunął solidną drewnianą szufladę w poszukiwaniu slipów.

Slipy czy bokserki? Ze zmarszczonym czołem podnosił do góry raz jedno, raz drugie, by dokładnie przyjrzeć im się w świetle halogenów. Na ulubionych slipach, naturalnie nowiutkich, bo kupował po kilka par sprawdzonych modeli, zauważył wyprutą niteczkę. Schował je więc i sięgnął po inne. Założył je i przejrzał się, lecz nagle zmienił zdanie. Odrzucił precz białe slipy i zdecydowanym ruchem wciągnął luźne, jedwabne bokserki w kolorze grafitowej czerni.

Odetchnął z ulgą. Humor powrócił. Teraz dziarsko narzucił koszulę. Kwestię garnituru

przemyślał już pod prysznicem. Pewnym ruchem sięgnął po ciemnografitowy z gładkiej wełny chesankowej. Odpakował nowe skarpety, włożył je na stopy, po czym szybko założył spodnie. Nie lubił widoku siebie w samych skarpetach. Dobór krawata zajął mu dłuższą chwilę. Cierpliwie stał i przymierzał. Ostatecznie zdecydował się na mięsisty, jednolity, lecz o grubej fakturze w kolorze morskiego granatu. Ten kolor dodawał niezwykłego blasku jego ciemnobłękitnym oczom. Zostało mu jeszcze spakować się na dwa – trzy dni. Nie wiedział dokładnie, ile ma trwać ten spęd. Zakopane, Zakopane. Może da się wyskoczyć na nartki, choć dni rozpisane są od rana do wieczora. Szkolenia, spotkania, a po południu spa. Może znajdzie choć dwie godzinki. A co mu szkodzi wziąć buty i kurtkę? Narty zdoła wypożyczyć. Po chwili namysłu spakował się i z elegancką walizką na kółkach opuścił garderobę.

Postawił torbę w hallu. Wszedł do kuchni i włączył coś, w czym z trudnością można było rozpoznać ekspres do kawy. Futurystyczne urządzenie w kształcie dwóch kul stworzono na fali modnego ostatnio wśród utensyliów kuchennych nurtu organicznego. Wypił małą kawę. Zjadł gofra podgrzanego w tosterze. Nie lubił najadać się z rana. Zazwyczaj wystarczała mu kawa. Jadł coś solidniejszego w porze lunchu. Zerknął na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej. Podniósł się energicznie, starannie wsunął pod stół białe, modernistyczne krzesło. Z szafy zabrał swój zimowy płaszcz i szalik. Chwycił walizkę, neseser z laptopem, klucze od samochodu i telefon, po czym spieszenie opuścił mieszkanie.

Do pracy miał niedaleko, ale o tej godzinie były ogromne korki. Gdy wyjechał z garażu i zobaczył sznur samochodów korkujący Sikorskiego, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jechać dziś do firmy. Wyjazd do Zakopanego zaplanowany był po lunchu. Jedyne, czego warto było żałować, to faktu, że Vincent, który miał być u nich na spotkaniu o dziesiątej, nie zobaczy jego ubrania. Włączył zestaw głośnomówiący i wybrał numer swojej sekretarki. Po dwóch sygnałach odezwał się jej optymistyczny głos.

– Tak, Mateusz?

– Odwołaj moje dzisiejsze spotkania. Jakby ktoś coś ode mnie chciał, to mam rozmowę z domem mediowym pod Warszawą.

– Jasne. To nie wrócisz przed odjazdem?

– Nie. Jadę własnym samochodem.

– Ooo – coś jakby rozczarowanie zabrzmiało w jej głosie. Potem coś jej się jeszcze przypomniało. – Aaa, a jakby Pierre się dopytywał?

– Ważne spotkanie międzynarodowe – powiedział Mati błazeńsko poważnym głosem.

– Zrozumiałam – miała sympatyczny śmiech.

– Aha. I Beatko... Załatw mi jedynekę. Zawsze kładą mnie z Pierre'em, a on tak nieludzko chrapie – głos Matiego brzmiał przymilnie.

– *No can do*^[11]. Same dwójki. Chyba że dasz z własnej kieszeni – Beata mówiła trochę przekomarżającym się tonem.

– To połóż mnie do siebie... – kontynuował, przeciągając sylaby. – Ty chyba tak nie chrapiasz?

– Jestem w pokoju z Martyną B. Zainteresowany? Ha, ha, tak myślałam. Do zobaczenia na miejscu, szefie. Jedź ostrożnie. – Rozłączyła się. Mati uśmiechał się z ukontentowaniem. Włączył radio informacyjne. Przemawiał polityk nowo wybranej partii rządzącej. Władął polszczyzną na poziomie kilkulatka i przedziwnie akcentował wyrazy. Zdawało się, że nie jest w stanie wyartykułować zbitek samogłoskowych. Mati z obrzydzeniem zmienił stację. Widać coś mu się przypomniało, bo wyraźnie spochmurniał. Wykręcił numer Pawła.

– No i co z ojcem? – rzucił niecierpliwie.

– Stary, nie omawiajmy tego przez telefon.

– Przewrażliwiony jesteś, Paweł – zachnął się Mati. W odpowiedzi usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki. Westchnął głęboko. Prawnicy. Im nigdy dość ostrożności. Cóż, skoro nie ma na to wpływu, chyba nie ma sensu się tym zamartwiać. Podkręcił radio i zanucił. Leciąca jego ulubiona piosenka.

Dojechał do centrum i zaparkował samochód w garażach pod Złotymi Tarasami.

Zaopatrzone w stertę tygodników i gazet, wjechał na samą górę i zajął stolik z najlepszym widokiem na warszawskie „city”. Potem zaczepił najładniejszą kelnerkę i z rozbrajającym uśmiechem zamówił sobie „specjalne” latte, po czym spił piankę i z aprobatą spoglądał na wielkomięjską panoramę. Pomyśleć, jak szaro i ohydnie było tu jeszcze parę lat temu...

Wygodniej umościł się w fotelu i zaczął dyskretnie rozglądać się po sąsiednich stolikach, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, który odciągnąłby go od myśli związanych z pracą.

Dwie eleganckie przedwojenne panie w filcowych kapeluszach, popijające cappuccino. Wszędzie na świecie takich pełno, ale nie w Polsce, o nie. W Polsce to rzadki widok. Z tymi głodowymi emeryturami...

Co za upodlenie, żeby po tylu latach nie było człowieka stać na godziwe życie, nie mówiąc już o podróżowaniu po świecie jak pierdolony, emerytowany dyrektor Telecommerce, Peter Knauss, którego dziadek w trzydziestym dziewiątym zajął z Polski pociąg mebli, dywanów i dzieł sztuki.

Powoli dopijał kawę, wodząc wzrokiem od stolika do stolika. Pod oknem dostrzegł komicznego jegomościa i przez chwilę zabawił się obserwowaniem go. Tamten „załatwiał” jakieś sprawy przez telefon komórkowy, krzycząc przy tym tak, by wszyscy mogli usłyszeć... Potem władczy gestem zaczął przywoływać leniwie snującego się kelnera, lecz kelner tego nie dostrzegł. W zwolnionym tempie zbierał ze stolików brudne szklanki. Język jego ciała wręcz krzyczał: „Za jakie grzechy muszę wykonywać tę zasraną robotę! Mam przecież magisterium z anglistyki!”.

Mati otworzył gazetę, był tam artykuł o cenach nieruchomości w Warszawie. Upił resztę zimnej kawy.

Ciekawe, czy Antonina tam będzie. Powinna być... Zrezygnowanie z wyjazdu byłoby z jej strony nietaktem, przecież to ona zajmuje się obsługą większości kontraktów dla Telecommerce. Kawał jędzy z tej baby. Zawsze złośliwa. Ale poczucie humoru ma interesujące, trochę wisielcze. Niezły oryginał jak na prawniczkę. Ich ostatnia rozmowa biznesowa odbyła się na granicy absurdu i dobrego smaku. Pokręcił głową i uśmiechnął się pod nosem.

Przeczytał dwa prześmiewcze artykuły i trzy druzgocące krytyki, obruszył się i w myślach skrytykował rodzimą skłonność do krytyki, zazwyczaj zresztą wycelowaną w rodzimą twórczość. Zniesmaczony, wypił jeszcze czarną herbatę i zjadł wielką grzanekę z serem i pomidorem. Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu podniósł się z krzesła, zapłacił i wyszedł. W garażu dyskretnie zdjął elegancki garnitur i powiesił go na wieszaku zamontowanym przy tylnym siedzeniu. Założył sztruksowe spodnie i zielony szetland, po czym ruszył w drogę.

Do Zakopanego dojechał w rekordowym czasie. Stał na miejscu przed siedemnastą. Drogi były puste. Co ciekawe, od Nowego Targu zaczął prószyć drobny śnieżek. W Zakopanem było już całkiem białe. Mati poczuł radosne podniecenie, jakie towarzyszyło mu zawsze, gdy przyjeżdżał tu z rodzicami i braćmi. Mijał pędzące po ulicach wozy zaprzężone w konie. Widocznie było jeszcze za mało śniegu na sanie. Przeciął Krupówki i skierował się do luksusowego hotelu „Baltazar”, w którym jego firma organizowała wyjazd integracyjny. Zawsze w takiej sytuacji czuł lekką irytację faktem, że musi się stawić gdzieś na czas i nie jest do końca panem własnego losu.

Hotel był jasno oświetlony. Zbudowany w stylu zakopiańskim, który najwyraźniej względnie łatwo można było dostosować do wymogów współczesności, prezentował się przytulnie i wytwornie. Sypał drobny, zacinający śnieg. Unosząc swą ergonomiczną walizkę, Mati wszedł po kamiennych schodach. Szarpnął za wielkie, ciężkie drzwi. W środku było ciepło i kameralnie. Rozmowy prowadzono przyciszonymi głosami. Po prawej stronie od recepcji był bar. Przy pianinie stała blondynka w „małej czarnej” i grała na skrzypcach. Przy kontuarze stało kilku cudzoziemców, Szwedów lub Duńczyków. Mateusz podszedł prosto do recepcji. Walizka turkotała, gdy ją za sobą ciągnął. Przedstawił się i podał nazwę firmy, na którą robiona była rezerwacja. Recepcjonistka odnalazła jego nazwisko na długiej liście, wzięła jego dowód i podała kartę pokojową oraz program zajęć.

Mati przez chwilę myślał, jak by tu zdobyć oddzielny pokój. Stał nadal przy kontuarze,

patrząc niewidzącym wzrokiem na dziewczynę z recepcji. Wyglądało, jakby coś go głęboko zastanowiło.

– Coś jeszcze, proszę pana? – zapytała dziewczyna. Miała miłą, ładną, okrągłą buzię, nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat.

– W zasadzie nic. Wszystko w porządku, dziękuję.

Ruszył w poszukiwaniu swojego pokoju. Na programie odczytał pierwszy niepokojący punkt „18.00 – *defining personality*”^[12]. Postanowił trochę się odświeżyć i strzelić lufkę. Na trzeźwo trudno znieść pewne rzeczy.

Zszedł do sali konferencyjnej punktualnie o 18. Zastał kolegów zebranych w małych podgrupach. Marketing oddzielnie od całej reszty. Zobaczył głównego kompana do kielicha, który właśnie dyskretnie przeglądał kartę win. Spostrzegł Matiego, który zrobił pytającą minę. Miś – jako że na skutek licznych malwersacji takiego właśnie przezwiska dorobił się ów kompan – uniósł kciuk do góry i kiwnął twierdząco głową.

Spod okna dobiegł głośny chóralny rechot, a potem jeszcze jeden pojedynczy piskliwy śmiech, trwający o wiele dłużej niż pozwalała na to dobry smak. Mati skwitował to w myślach jednym słowem – inżynierowie. Omijał ich szerokim łukiem, jako że była to jedyna grupa w firmie, z którą nie mógł złapać wspólnego języka. Ich poczucie humoru było inne. Po prostu inne.

Wokół stołu zgromadził się management, głównie Francuzi, ale też dwóch Niemców, którzy doszli po fuzji z niemiecką Telefoniką. Wśród nich, zbici w ciasną gromadkę, stali inżynierowie niemieccy. Przybyli, aby szkolić inżynierów polskich. Nieopodal zebrali się prawnicy z firmy Guy et Chardon. Wzrok Mateusza przesunął się po twarzach. Był tam Kwaśniak, zresztą już szturmował Pierre’a. Był Nawrocki, Woźniak. Hmm, jakoś nie dostrzegął Antoniny. Nieznaczące pogorszyło mu się samopoczucie, pojawiło się coś na kształt lekkiego rozczarowania. Zaraz potem wyraźne się rozluźnił. Przynajmniej nie będzie się już musiał wysilać. Spokojnie upije się z Misiem. Pogada z Pierre’em. Osobiście sprawdzi Kwaśniaka. Zacieśni stosunki z nowym niemieckim szefem działu zakupów. Pouprawia trochę polityki. Będzie się mógł skupić na istotnych sprawach. Rozmyślenia te przerwał głos mężczyzny przemawiającego przez mikrofon. Był to dziwnie wyglądający łysol około czterdziestki, który przedstawił się jako organizator „przebiegu wyjazdu integracyjnego w Zakopanem” i szef firmy Wildside.

Firma najwyraźniej specjalizowała się w organizacji alternatywnych wyjazdów integracyjnych. Mężczyzna kilkakrotnie nalegał, by mówić do niego „Żarów” i uspokajał, że na pewno się nie obrazi. Najwyraźniej czekał, że ktoś spyta, skąd ten pseudonim, lecz pytanie nie padło. Uczestnicy wyjazdu, lekko zniecierpliwieni, przestępowali z nogi na nogę. Gdzieś słychać było tłumione rozmowy. W końcu Żarów, niepytany, zaczął niepotrzebnie objaśniać, skąd to zabawne przezwisko. Niestety, nie można było dosłyszeć dalszej opowieści, gdyż szmery przerodziły się w głośny gwar. Nowy szef zaopatrzenia, Niemiec, nierozumiejący opowieści, rozglądał się z tłumionym oburzeniem, a następnie samowolnie próbował zaprowadzić *Ordnung*^[13]. „Pst” – z karcąco zmarszczonymi brwiami szeptał do otaczających go wielkich chłopów. Ale inżynierowie, dzięki mocy flaszek z whiskaczem, rozpracowanych w autokarze, nabrali niecodziennej pewności siebie. Nie bacząc na groźne miny starszego rangą kolegi, rechotali w najlepsze. W końcu jeden z nich, lekko podchmielony, wiedziony jakimś uczuciem przyzwoitości, postanowił wesprzeć niemieckiego przełożonego i zniemacka wrzasnął głosem naśladującym komendanta gestapo: – „*Ruhe*”^[14]! Zapadła cisza. Przez moment, w tle, słychać było fragment opowieści Żarowy. Potem rozległ się tłumiony chichot. Niemcy spoglądali na siebie znacząco, Francuzi, rozdarci, dokonywali arcydzieła ekwilibrystyki mimicznej, próbowali bowiem patrzeć karcąco, a zarazem z ukrytym zrozumieniem na grupkę rozbuchanych inżynierów.

Mateusz zerknął na zegarek. Była 18.25. Impreza prędko się rozkręcała. Nie przetrwa bez lampki wina. Zaczął się nerwowo rozglądać, instynktownie szukając Misia. Miś dostrzegł go, w lot zrozumiał, o co Matiemu szło, po czym kiwnął krzepiąco głową i bezgłośnie coś artykułował. W tym momencie indywiduum każące nazywać się Żarówą wyrosło przed Matim i położyło mu na ramieniu wielkie łapsko.

– Mateusz Wencel? – organizator zagrział tubalnym głosem. Kilka osób odwróciło się i przyglądało im. – Nie było cię w autokarze. Mam tu kwestionariusz osobowościowy, który musisz wypełnić, jeśli chcesz się bawić jak reszta twoich kolegów. – Żarówa patrzył złośliwie, a jego wzrok mówił „przejrzałem cię od razu, udajesz lepszego, ale będziesz tutaj tańczył tak, jak ci zagramy, dupku”.

Mati, zazwyczaj odporny na takie typy, poczuł wzbierające rozjuszenie. Może wpłynął na to fakt, że wśród przyglądających się osób dostrzegł Antoninę, a może zagrało wrodzone Wencłowskie poczucie niezależności i odziedziczony po ojcu nonkonformizm. Irytował go ton, którym przemawiał Żarówa, jak do niesfornego dziecka. Mało brakowało, żeby tamten poklepał go protekcyjnie po twarzy. Niewiele myśląc, Mati ujął wielką jak austriacki sznycel, owłosioną łapę i zdjął ją ze swojego ramienia. Żarówa w obronnym geście odruchowo zacisnął pięści, wtedy Mateusz złapał go za masywny napięstek i odgiął go w górę. Bezczelny drab aż przysiadł z bólu i zaskoczenia. Wtedy Mati przyjaznym gestem objął wolną ręką gigantyczne bary tamtego i szeroko się uśmiechając, poprowadził go na stronę.

– Kwestionariusz, powiadasz? Powiedz mi, eee... Jak masz naprawdę na imię? Bo wyznam ci teraz szczerze, a naprawdę rzadko zdarza mi się podobna szczerłość – tu spojrzął tamtemu w oczy z rozbijającym uśmiechem – nie znoszę używać ksyw, pseudonimów i tym podobnych. A już twoja wprawia mnie w zażenowanie. Naprawdę, jak tak wielokrotnie ją wymawiałeś, tylko się nie obraż, to aż czułem gęsią skórę na plecach. Jeżeli więc mamy, jak powiadasz, bawić się tu razem kilka dni i będę miał przyjemność zwracać się do ciebie, już nie chciałbym więcej używać twojego pseudonimu. – Mati rozejrzał się dyskretnie, dostrzegł zdziwione, rozbawione spojrzenia, więc jeszcze z całej siły serdecznie klepnął łysą bułą w plecy i głośno się roześmiał.

– Norbert Gontarczyk. – Żarówa wcisnął mu do ręki formularz. – Wypełnij i wrzuć do urny. Widzę, żeś swój chłop. Musimy się napić.

– Stawiam pierwszą kolejkę – zaśmiał się Mati teatralnie i ruszył triumfalnie do grupki kolegów z marketingu. Po drodze zobaczył Antoninę.

– Co tak pani kręci głową? – spytał, podchodząc do niej z szerokim uśmiechem.

– Wydaje się panu, panie dyrektorze. – Szli w tłumie, ramię w ramię, w stronę wyjścia. Antonina patrzyła na czubki swoich pantofli. Mati chciwie przyglądał się jej profilowi. Zdawała się lekko uśmiechać, miała nieobecny wyraz twarzy.

– Nie podobało się pani, jak załatwiłem tego typu? Pani wybrałaby wariant koncyliacyjny? Dziewczyna nie odpowiadała, tylko śmiała się pod nosem. Nadal patrzyła pod nogi.

– No co tak panią śmieszy, pani mecenas? – wykrzyknął Mati z udawanym oburzeniem.

– Rozmiar pańskiego ego jest odwrotnie proporcjonalny do precyzji i logiki pańskich wypowiedzi. – Utkwiła w nim badawcze, lekko cyniczne spojrzenie, znad okularów oprawnych w grube, czarne ramki.

– Unikajmy choć raz tej niepotrzebnej szermierki słownej, która ostatnio coraz częściej zastępuje ludziom grę wstępą – zawołał Mati, uśmiechając się do mijanych koleżanek i kolegów.

– Znów bierze pan rozbrat z logiką. Skąd ten nagły przeskok myślowy?

– Widocznie moje rozdęte ego spowodowało nadinterpretację.

– Nadinterpretację czego, jeśli można? – przystanęła i patrzyła ze zdumieniem.

Mateusz lekko się zawahał. Przewinął w myślach rozmowę o kilka zdań wstecz, utrzymując na wargach może trochę zbyt zarozumiały uśmiech. Nie, ta rozmowa nie wykraczała poza to, co normalnie mówiłby do ładnej dziewczyny.

– Nadinterpretację spojrzenia, które rzuciła mi pani znad tych srogich okularów.

Tonem lekko obronnym. Tak to zostało powiedziane. Wychwyciła tę nutkę i uśmiechnęła się zwycięsko. Stali przez chwilę, milcząc i mierząc się uśmiechami niczym orężem. Ludzie mijali ich. W końcu ktoś ich potrącił. Była to dziewczyna z działu Mateusza, od pakietów standardowych telefonii stacjonarnej – Paulinka.

– Mati, nie wypełniłeś jeszcze psychotestu? – wykrzyknęła zdumiona.

– To wypełniaj szybko, bo nie będziesz brał udziału w nagrywaniu filmów. O!

Przepraszam, pani jest prawniczką z Guya? Jestem Paula, Mati jest moim szefem, choć powinno

być odwrotnie – szczebiotała, wieszając się na ramieniu Mateusza. Mateusz, któremu w smak było przerwanie tamtej dziwnej, lekko upokarzającej dla niego chwili milczenia, z wdzięcznością przyjmował uwagę Paulinki. Uśmiechał się dobrotliwie, patrząc na Antoninę z nowej pozycji. Ta z kamiennym spokojem i obojętnym uśmiechem obserwowała demonstrację zażyłości, wyciągając rękę i przedstawiając się Paulinie. W końcu Paulina odciągnęła go na bok, przynaglając do wypełnienia testu, zaglądając zza ramienia, gdy wypełniał odpowiedzi i radośnie chichocząc, zwracając tym samym powszechną uwagę i przyciągając ponure, zde gustowane spojrzenia koleżanek z finansów.

Każda z tych pań z osobna gratulowała sobie, że nie musi być bohaterką podobnego pośmiewiska. Z pewnością żadna z nich, nawet gdyby przystojny dyrektor marketingu padł na kolana i błagał, nie brałaby udziału w podobnych końskich zalotach. Doprawdy żenujące widowisko.

Łysa glaca Żarowy odcinała się od granatowych tapet małej salki konferencyjnej, w której wszyscy zebrali się, by usłyszeć wyniki psychotestu. Do której grupy zostali zaklasyfikowani? Mati stał pod ścianą w towarzystwie koleżanek i kolegów z działu marketingu. Miś co i raz pochylał się do Matiego i Pauliny, rzucając zjadliwe komentarze pod adresem prowadzącego. Paulina głośnym chichotem przyciągała spojrzenia wszystkich stojących w pobliżu. Mati dostrzegł, że nawet sam Pierre zwraca swą wybrylantynowaną czarną głowę w ich kierunku. Spojrzał na Matiego z udawaną surowością, po czym pokręcił głową na w pół karcąco, na w pół żartobliwie. Słabość kobiet do dyrektora marketingu była w Telecommerce powszechnie znana. Mateusz wygiął wargi i rozłożył lekko ręce w błazeńsko przeprasającym geście, mówiącym „już taki jestem zimny drań i dobrze mi z tym bez dwóch zdań”.

Ale czuł głębokie niezadowolenie. Rozdrażnienie niedokończoną rozmową. Ostrożnie potoczył wzrokiem po sali. Antonina stała po drugiej stronie, w towarzystwie prawników z Guya i opierała się o ścianę. Miała na sobie białą koszulową bluzkę – która ładnie opinała się na piersiach i podkreślała smukłą talię – oraz szarą ołówkową spódnicę, uwypuklającą doskonałą krągłość bioder. Ciemne oprawki okularów kontrastowały z platynowym kolorem włosów, ciasno związanych nad karkiem w mały kok, który zdawała się podtrzymywać tylko jedna czarna japońska szpilka z laki. Była otoczona kolegami niczym wartownikami. Raz jeden, raz drugi pochylał się nad nią, szepcząc coś do ucha. „Musiało to być chyba mało śmieszne” pomyślał Mati, bo na jej wargach, niepociągniętych żadną pomadką, z rzadka ukazywał się dyskretny uśmiech. Wymagające babsko, nie ma co. Księżniczka wikingów. Tamci dwoją się i troją, sypią kawałami jak z rękawa, a lodowa księżna ledwo raczy unieść kąciki ust. Lecz nawet na najmniejsze drgnięcie jej warg ci dwaj reagują z niezwykłym wprost entuzjazmem. Prześcigają się w krotocwilach.

W końcu skandynawska królowa śniegu dostrzegła ironiczny wzrok Mateusza i – o dziwo! O nieba! Puściła do niego oko. Mati nie był pewien, czy nie uległ przywidzeniu, w związku z czym nie miał pojęcia, jak zareagować. Na sekundę opuścił wzrok, po czym podniósł go na nią i uśmiechnął się. Znów przyglądali się sobie jak przeciwnicy, którzy mierzą siły i szacują szanse. W końcu wzrok odwróciła dziewczyna. W tym momencie Mati zorientował się, że Paulinka pyta go o coś już któryś raz.

– Przepraszam, co mówiłaś? Bo tak fascynujący jest organizator naszych zadań terenowych, że wprost nie mogę oderwać odeń wzroku.

– Pytam, czy piszesz się na joincika, jak już będzie po?

Mati zamyślił się głęboko. Patrzył w jakiś punkt nad głową Norberta Gontarczyka. Zamglili mu się wzrok.

– Co ci jest? – W meandry jego knozań wdzierał się natrętny głos. Mati ważył swoje szanse. Rezygnacja z czegokolwiek nie leżała w jego naturze. Ale być może w tym przypadku, jeśli da sobie spokój, tym samym zwiększy szanse na późniejszy sukces. Spojrzał w stronę królowej śniegu. Ta zwracała się właśnie przyciszonym głosem do jednego z towarzyszy, a on zaczął się cicho śmiać. Nie spojrzała już ani razu w stronę Mateusza. Doskonale więc. Nie będzie zmieniał swych planów dla czegoś, co najprawdopodobniej i tak nie nastąpi. A jeśli będzie chciała

z nim rozmawiać, on pewnie zrobi z siebie idiotę, ale jednego można być pewnym na mur-beton. Już więcej nie zdradzi się z żadnymi pragnieniami, gdyż marihuana ze szczętem odbierze mu zainteresowanie wszelkim flirtem. Zadowolony się łatwo tym, co będzie miał na wyciągnięcie ręki. Powoli zwrócił roztargnione oblicze na gorliwie wpatrzoną w niego Paulinkę.

– Jasne, że się piszę – spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się leniwie. Ale potem pomyślał, że przecież nie dla własnej przyjemności miał rozmawiać z Antoniną. Była jeszcze sprawa Kwaśniaka. Należało wysondować, czy człowiek jest wiarygodny, czy faktycznie dobrze zna prezesów sieci. Jak zdołałby to robić upalony? Nie, stanowczo nie mógł zawieść brata. Poczł nawet coś w rodzaju gniewu na królową śniegu, że pozbawia go rozkoszy wygłupów po stuffie. To poczucie gniewu na nią przywróciło mu zagubione poczucie proporcji i równowagi. Było to budujące. Poczł się daleko lepiej i z większą niż poprzednio gorliwością pochylił się nad swoją kragłą koleżanką.

– Wiesz, Paulinko – szepnął do jej ucha. Miała miękki, gorący policzek. Zapach jej perfum był stanowczo za słodki dla wytrawnego nosa Mateusza. Włosy pachniały szamponem ziołowym. Znów się zawahał, lecz poczucie obowiązku wobec brata zwyciężyło. – Lepiej zostaw ten *stuff* na jutro. Muszę dzisiaj pogadać z różnymi palantami, więc sama rozumiesz... – Uśmiechnął się krzepiąco, widząc jej rozczarowaną minę. Demonstracyjnie posmutniała. Mateusz zaśmiał się znacząco. Lekko objął ją w pasie.

– Masz Misia, razem zapalacie.

– Nie chcę z Misiem – odparła tonem naburmuszonego dziecka i zwróciła ku niemu sprytne, szeroko otwarte oczka. – A z kim chcesz dziś rozmawiać? Masz jeszcze trzy dni na rozmowy. Gagnon nie przyjechał, nie ma nikogo z agencji reklamowych. Nie ściemniaj, Mati, że będziesz gadał z niemieckimi inżynierami.

– Jest tu i Vincent, i Pierre, jest okazja do obgadania paru tematów. Zresztą, tobie nie będę tego tłumaczył. Nie chcę męczyć obu twoich szarych komórek naraz. Mogą się nam przydać na później, kiedy przyjdzie czas podejmowania różnych strategicznych decyzji, czy wolisz masaż ajurwedyjski, czy...

– Jesteś bydlakiem! – Zaśmiała się, a jednocześnie dała mu kuksańca w bok. Mati zwinął się i złapał jedną dłonią obie jej ręce. Paulina zarżała radośnie i w sposób mocno niekontrolowany. Pół sali obróciło się w ich stronę, Mateusz zrobił komiczną minę sztubaka złapanego na gorącym uczynku. Parę osób zaśmiało się, inni z politowaniem patrzyli po sobie. Mati wbrew woli poszukał twarzy Antoniny. Patrzyła na swoje splecione dłonie, pozornie słuchała nadającego do niej kolegi, lecz na twarzy malował się wyraz lekkiego zażenowania.

– Pan Sigurd Heinrich – wykrzykiwało w mikrofon indywiduum tytułujące się Żarówą – plasuje się w grupie zielonych, w teamie przypada mu zaszczytna rola obserwatora – tłumaczył trochę przeprasząco, przez co wszyscy odnieśli jednoznaczne wrażenie, że rola obserwatora nie jest czymś wybitnie zaszczytnym. Jakiś władający niemieckim polski inżynier tłumaczył na ucho panu Sigurdowi słowa prowadzącego. Sigurd, zwalisty, płowy olbrzym z długim podnośnikiem, słuchał uważnie, jakby nie rozumiejąc. Zdawał się być lekko niezadowolony. Wywiązało się małe zamieszanie, bo dopytywał się o szczegóły. Mati, który nie znał słowa po niemiecku, domyślał się, że Sigurd pyta o kwestie dotyczące zasadności takiego testu. Polski inżynier, najwyraźniej zaambarasowany, próbował samorzutnie tłumaczyć, jak zazwyczaj powstają takowe testy, lecz dociekliwość pytań najwyraźniej go przerosła. W końcu musiał się uciec do autorytetu Żarowy.

– Pan Sigurd chce zapytać... hmmm... *Denn Sie sind, wie ich verstehe, der Boss?* – upewniał się o czymś tłumacz. Sigurd z opuszczonym wzrokiem i nachmurzoną miną milcząco potakiwał głową.

– *Ob das Testergebnis wirklich glaubwürdig ist?* – spytał z naciskiem Sigurd, patrząc z napięciem na tłumacza.

– No więc pan Sigurd pyta o wiarygodność takiego testu. Tak się składa, że on pracuje często w grupie, w terenie, przy montażu, *an der Versammlung, ja?* – upewniał się tłumacz.

– *Ja, ja, ich arbeite in einer großen Gruppe von Ingenieuren an der Versammlung* – kiwał głową Sigurd ze zmarszczonymi poważnie brwiami.

– No więc on często pracuje w dużej grupie inżynierów przy montażu, yyy – tu przerwał, żeby dopytać Sigurda, przy jakim montażu zazwyczaj pracują.

– *Sie arbeiten mit was? An welcher Versammlung?*

– *Ja, mit einer großen Versammlung von terrestrischen Netzen* – ze śmiertelną powagą potwierdzał Sigurd, patrząc pod nogi.

– Często pracują przy dużym montażu sieci naziemnych... Światłowodów. *Mit Faser, ja?*

Sigurd coś bąknął pod nosem. Polski inżynier, który tłumaczył, pochylił się nad nim cicho, dopytując się o coś. *Das verstehe ich nicht* – dobiegało.

Pierre dyskretnie zerknął na zegarek. Nie rozumiał po polsku ani po niemiecku. Nagle z zainteresowaniem wlepił wzrok w okno. Widać było przejeżdżające wozy z pochodniami. Na sali powoli narastał szmer rozmów. Sytuacja przeciągała się; jakiś kolega z firmy Wildside chciał zapytać o coś Żarowę, lecz ten odprawił go gwałtownym ruchem ręki i wpatrywał się na przemian w Sigurda i jego tłumacza. Zdawało się, że gorąco pragnie wyjaśnić tę ważką kwestię.

– I pan Sigurd mówi, że on w grupie ma zawsze rolę... hmmm domina? Ja? – upewniał się samozwańczy tłumacz.

Rozległ się zbiorowy chichot.

– *Ich habe immer Dominator Rolle in der Gruppe* – nie wytrzymał Sigurd.

– Ma pan funkcję dominatora w swojej grupie? – domyślnie odgadł Żarówa.

W zaafierowaniu zdawał się zapominać polszczyzny. – Wie pan, może na kole funkcji ogólnie łapie się pan w obserwatora, ale jest pan pośrodku koła. Dokładnie po drugiej stronie koła leży postawa przeciwna, czyli lider. Może leży pan bliżej środka koła i łączy pan funkcję dominującą, ale też umie pan na chłodno obserwować, wie pan – brnął beznadziejnie Żarówa. – Są takie przypadki i to często.

Polski inżynier optymistycznym tonem rozpoczął tłumaczenie słów Żarówy, ale im bardziej brnął w swą opowieść, tym bardziej nawet jemu samemu wydawała się ona pozbawiona ładu i składu, jako że zawsze tłumaczenie obnaża brak logiki wypowiedzi, jeśli takowy występuje. Sigurd wyglądał na niezadowolonego, polski inżynier przepraszał miętosił jakiś rulon. Żarówa stał niezdecydowany. W końcu Pierre odchrząknął i zawołał.

– *Sigurd, you are satisfied, a?* – mówił z silnym akcentem francuskim. – *Ekh, let's move on, shall we?* – I postukał palcem w błyszczącego Pateka.

Żarówa wyczytywał po kolei wszystkie nazwiska, klasyfikując ich właścicieli w swoim magicznym kole funkcji pełnionych w grupie. Paulinka przypisana została do żółtych, czyli kreatywnych, miała funkcję negocjatora. Misia opisano jako niebieskiego z funkcją analityka. Kwaśniak, ku swemu ogromnemu niezadowoleniu, został przydzielony do zielonych obserwatorów. Mati ze złośliwą satysfakcją odnotował, jak złorzeczył i komentował sens takowego testu, a potem dyskretnie, lecz wnikliwie zliczał swoje punkty i sprawdzał, czy aby na pewno został dobrze sklasyfikowany.

Wszyscy w podnieceniu zbierali się w czterech głównych podgrupach. Zieloni – zwani emocjonalnymi – pełnili w grupie funkcje pomocnicze, często rozjemcze.

– Bez was grupa nie mogłaby w ogóle funkcjonować – pocieszał ich co chwila Żarówa, lecz dawało to skutek odwrotny.

Ich poczucie wartości malało z minuty na minutę, choć próbowali robić dobrą minę do złej gry. Kwaśniak stał wśród nich ostentacyjnie rozbawiony. Próbował na siłę wciągnąć do żartów jakąś nadętą koleżankę z działu zaopatrzenia, lecz ta milczała. Niezrażony, zagadywał do niej i zaśmiewał się, jakby bawił się w najlepsze.

Z daleka może i by się nabrał, że Kwaśniak ma do tej zabawy dystans, lecz widać było, że nonszalancka postawa tego człowieka jest obliczona na innych, a do dziewczyny bredzi i plecie trzy po trzy, byle tylko z daleka wyglądało, że się nie przejmuje. Potem okazało się, że spośród typów zielonych wyłoniono jeszcze podgrupy obserwatorów, koordynatorów i kogoś tam jeszcze – Mati nie zrozumiał.

Była też grupa ludzi niebieskich. Ci charakteryzowali się podejściem analitycznym. Rozumowanie swoje opierali na liczbach i kalkulacjach. Do ich grupy weszło sporo inżynierów

i prawie cały dział finansów oraz poszczególne osoby z marketingu, głównie *market analysts*. Tam znalazł się więc Miś. Dwie ostatnie grupy to żółta – kreatywni i *last but not least*^[15] – czerwona – liderzy. W tej ostatniej po cichu, gorąco pragnął znaleźć się bez wyjątku każdy pracownik Telecommerce, a zapewne też każdy prawnik z Guya. Tam bowiem trafił zarówno Pierre, jak i Vincent oraz większość dyrektorów poszczególnych działów i kilku najważniejszych prawników. Pierre i Vincent rozmawiali o interesach, udając obojętność, lecz oczy lśniły im z podniecenia i triumfu. Wszyscy dyskretnie mierzyli się spojrzeniami, każdy z pozorną obojętnością i dystansem śmiał się i żartował, lecz oczy wszystkich bez wyjątku biegały po sali. Cała niesprawiedliwość losu i nierówne szanse ludzkie zostały obnażone na tej sali hotelu „Baltazar”. Niby Żarówa biegał i trąbił, że w grupie musi być każdy typ psychologiczny, aby grupa mogła skutecznie współpracować. Niby jasnym było, że grupa złożona z samych liderów niewiele osiągnie, gdyż będą ciągnąć każdy w swoim kierunku. Niby wiadomym było, że wszystkie komórki są potrzebne do sprawnego funkcjonowania złożonego organizmu, jakim jest firma. Lecz skoro wszyscy byli potrzebni i równie ważni do osiągnięcia celów, czemu w grupie czerwonych zgromadzili się ci zarabiający najwięcej? Czemu poklepywali się po plecach i cicho triumfowali, podczas gdy inni tęsknie zerkali w ich kierunku?

Żarówa wyczytał nazwisko Mateusza. Chwila niepewności, wiele par oczu ciekawie zwróconych w jego kierunku, nawet Pierre przerwał rozmowę, zwrócił swe śniade oblicze w stronę Mateusza, patrzył wyczekująco. Wencel stał wśród kolegów z marketingu, uśmiechał się bezczelnie, ręce miał włożone do kieszeni, kiwał się na butach do przodu i do tyłu.

Wreszcie Żarówa wykrzyknął do mikrofonu triumfalnie: „Czerwony! Jako jedyny w 98 procentach czerwony!”. Krzyczał to tak głośno, jakby miały się rozlegnąć wiwaty i brawa, lecz oprócz paru niechętnych spojrzeń obwieszczeniu temu nie towarzyszyła żadna reakcja. Pierre patrzył z aprobatą, coś powiedział do Vincenta, wybuchli śmiechem. Mati podszedł do nich. Pokleпали go po plecach. Mateusz śmiał się, lecz na jego twarzy odmalował się cień zażenowania. Ta sama Wencłowska duma, która przedtem nie mogła znieść kpin Żarówy z wywyższania się Matiego nad innych, teraz nie może znieść aprobaty zaliczonych do grona czerwonych. Czuł na sobie niechętnie spojrzenia kolegów. Męźnie jednak trzymał głowę, a jego mimika była arcydziełem wymieszania nonszalancji, ironii i nonkonformizmu.

Roztargniony słuchał słów Vincenta, bo oto usłyszał, że wyczytali nazwisko Antoniny. Musiała być ceniona w Guyu, gdyż wreszcie i Vincent zamknął jadaczkę i patrzył z rozbawieniem, jak Żarówa wyczytuje powoli słowo „czerwona”. Wymawiał je z taką lubością, jakby było imieniem jego wyczekiwanej kochanki. Antonina musiała wystąpić z tłumu i przemaszerować przez salę do nielicznej grupy czerwonych, stojącej w pobliżu stanowiska Żarówy. Pierre i Vincent witali ją ekstatycznie, niczym tajna organizacja kolejnego wtajemniczonego członka. Pierre objął jej ramiona i przytulił niczym stęskniony ojciec. Antonina spojrzała na niego lodowatym, rozbawionym spojrzeniem i powiedziała po francusku coś, czego Mati nie usłyszał. Reakcją zabojada było natychmiastowe cofnięcie ramion i nerwowy śmiech.

– *Don't worry, Pierre, we'll not sue you until you pay us on the regular basis*^[16] – dodała.

Vincent pękał ze śmiechu. Pierre, podekscytowany obcowaniem z piękną kobietą, zerknął na zegarek, nie mogąc się doczekać końca zajęć w grupach. Z niecierpliwością wyczekiwał kolacji i wieczornej fety. Niższy od Antoniny o dobrych parę centymetrów, przeżył się, a nawet stawał lekko na palcach, by wydawać się wyższym. Co chwila poluzowywał krawat, zakładał ręce na piersi, potem do tyłu, przeczesywał palcami wilgotne od brylantyny włosy, przestępował z nogi na nogę.

– *On mange, ou quoi? What do we do now*^[17]?

– *Now we're going to record movie in groups illustrating key strategies of Telecommerce*^[18] – cierpliwie jak przedszkolakowi wyjaśniła mu Antonina.

– *In this group*^[19]? – Pierre zatoczył palcem koło, wskazując zgromadzonych czerwonych. W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

– *No, I don't think we'll be making the movie in this group* – delikatnie, lecz stanowczo

rozwiewała jego nadzieję królowa śniegu, obserwując go z chłodną ciekawością, niczym szczura podczas eksperymentu. – *I suppose the purpose of his activity is to have different types of personalities in each group. There will be one leader, one analyst, one coordinator et cetera*^[20]. – I uśmiechnęła się do niego chłodnym, skandynawskim uśmiechem. Przypominała teraz Liv Ullman w „Personie”.

– *So you and me will not be together* ^[21]– desperacko flirtował Pierre.

– *No but we can always spend a lot of time together at the office. Many chargeable hours*^[22]? – Uśmiechała się jak Gioconda.

Mati poczuł narastającą niechęć. Antonina była zaskakująco pewna siebie. Nie czuł się zagrożony, co to, to nie. Ale zaczynała mu działać na nerwy, po prostu. Zdawało się, że w ogóle go nie dostrzega. Mati żartował z resztą kolegów i tylko od czasu do czasu dobiegały go pojedyncze słowa, które wypowiadała. W końcu rozdzielono ich na kilkanaście grup.

Mati znalazł się z Paulinką i paroma innymi osobami w grupie mającej zilustrować za pomocą krótkiego filmu termin *sharing information pays*^[23]. Naturalnie, jako że był liderem, na nim spoczywał ciężar wymyślenia i przeprowadzenia wszystkiego. Siedzieli w kółku, pod ścianą. Spojrzał na ociężałe, wyczekujące twarze i westchnął głęboko. Nie spodziewał się deszczu pomysłów. Jeśli niczego nie wymyśli, nic z tego nie będzie. Z zazdrością spojrzął w stronę Misia. Tamten był w grupie z rozentuzjzmowanym Vince’em, który sypał pomysłami jak z rękawa. Miś leżał na poduszkach i pociągał coś z piersiówki. Machnął do Mateusza. Mati w odpowiedzi pokazał mu środkowy palec. Z rezygnacją zwrócił się w stronę swojej grupy i spytał kurtuazyjnie.

– Jakie macie pomysły?

Po chwili pełnej przerażenia ciszy młody, zwalisty inżynier zaczął snuć skomplikowaną opowieść. Akcja filmu miała pokazać, jak to uczniowie w szkole zdają egzamin. Każdy nauczył się po jednym rozdziale, potem ściągają od siebie nawzajem i zdają egzamin, zaliczają całość.

– Nie, to byłoby dobre, gdyby tematem przewodnim było „wpływ 50 lat komuny na brak zaufania do przywódców i kształtowanie się zamkniętej wobec zwierzchników postawy, skutkującej w braku możliwości obalenia tyrana, gdyż każda rozmowa ze zwierzchnikiem uznawana jest za donosicielstwo”. To temat polityczny na inny wyjazd – rzucił dziwnie podirytowany Mateusz.

– O co ci chodzi, stary? – obruszył się inżynier. – To według ciebie dobrze jest donosić?

– Są inne pomysły? – spytał Mati, patrząc na naburmuszone miny. – Bo, sorry, stary, ale tamto to, bez jaj, trochę nuda i dłużyzna. Ja mam inny pomysł, jak unaocznić korzyści płynące z wymiany informacji, w sposób, który zainteresuje oglądających. Możemy pokazać szefa, który na wyjazdach służbowych zalicza wszystkie panienki. I wszystkim po kolei obiecuje, że się ożeni.

– Ty jesteś chory, Mati – prychnęła śmiechem Paulinka.

– A laseczki, jak to laseczki, wszystkie jak jeden mąż w to wierzą. „Ze mną na pewno się ożeni”. Każda o tym marzy – ciągnął poważnie Mati – lecz boi się zwierzyć innym, w obawie, żeby się nie wydało, że ma romans z szefem. W końcu jedna się przełamuje, bo jest absolutnie pewna, że szef niedługo dla niej się rozwiedzie, bo ostatniej nocy gorąco ją o tym przekonywał. A tak na marginesie, zamawiam rolę szefa. Będę najbardziej przekonujący... – Mati upajał się własnym głosem. – No i ta jedna, najodważniejsza zwierza się koleżance, że szef chce dla niej zostawić żonę i dzieci. No i okazuje się, że nie jest jedyna. Ta druga też ma z szefem romans. I potem trzecia słyszy tę rozmowę, nawiasem mówiąc podsłuchuje i wynikają z tego ogromne korzyści. Z tego podsłuchiwanie, mam na myśli.

Niektórzy inżynierowie wrogo milczeli. Inni jednak uśmiechali się pod nosem. Koleżanki z finansów były nieprzekonane. Trudno było stwierdzić, jakie mają zdanie o pomysle Mateusza. Ten więc ciągnął dalej:

– No i w końcu następuje wielka wtopa, wielka kulminacja, podczas której jedna umawia się z nim w hotelu, a czekają wszystkie. Wyskakują na niego jak na filmie „Och, Karol”. Gość jest przerażony. Szantażują go, że jak nie da im podwyżki, to powiedzą żonie. No i daje im duże

podwyżki. Morał płynie: dziel się informacjami! Ktoś jest przeciw? Nie? Dobra. Mamy deficyt pań. Ty, Roman, i ty, Gutek, odegracie role moich kochanek. Będzie śmieszniej, ludyczniej. Tylko łapy przy sobie, panowie. Paulinko, ty będziesz tą, która będzie miała największe nadzieje, chyba że woli być nią Basia z finansów. Broń Boże? Bo zauważyłem smutną minę u Basi? Zdawało mi się, jasne. – Mati kręcił się na środku, wyznaczał role, organizował kostiumy. Co i raz wpadał na nowy pomysł, który ulepszał pierwotny plan. W końcu wszyscy zabrali się do roboty, bo czasu mieli niewiele. Na 20.30 wyznaczona była projekcja filmów.

Film Matiego okazał się hitem i zwyciężył ogromną większością głosów. Podczas projekcji, która miała miejsce przy kolacji, wszyscy pękali ze śmiechu. Posadzono ich przy okrągłych, eleganckich stołach dziesięcioosobowych, niczym na ceremonii Złotych Globów. Drugie miejsce zajął film Vincenta, wykonany na modłę komedii slapstickowej. Film Antoniny był mocno skomplikowany i mroczny, kręcony według kanonów Dogmy, być może trochę przyciężkawy jak na integracyjny wyjazd w Zakopanem. Tematem był termin *achive goal at any cost*^[24]. Opowiadał o pokojówce hotelowej, która bardzo chciała zostać menedżerką i przechodziła jakieś straszne upodlenia, by osiągnąć cel. Wiało grozą, nikt oprócz Mateusza nawet się nie uśmiechnął. Kulminacyjnym momentem była naturalistyczna scena, jak pokojówka zawzięcie myje schody i nagle bogaty gość czubkiem buta potrąca jej wiadro i obraca w niwecz całą pracę.

Determinacja Antoniny w wyrażeniu swojej osobowości była doprawdy godna podziwu. Mati miał tylko nadzieję, że Vincent okaże się wyrozumiały. Lecz on był chyba zawojowany przez Antoninę z kretesem. Ciekawe.

Podczas kolacji Mati osuszył butelkę Barolo, najdroższego w karcie. Gdy wstawali od stołów, był już w doskonałym humorze. Przez kilka minut rozmawiał z Kwaśniakiem, ale dał spokój, gdy uświadomił sobie, że nie dowie się niczego, czego Kwaśniak nie będzie chciał powiedzieć. Trudno też było wyczuć, jak traktował go Vincent. Był równie powierzchowny i oślizgły wobec Kwaśniaka, jak i wobec innych swoich prawników. Nie wyglądało na to, by miał go darzyć specjalnym zaufaniem. To raczej Kwaśniak wciąż go zagadywał, osaczał, nadszkakiwał mu i wlażył w dupę.

Antonina na pewno wiedziała więcej, lecz dziś wydawała się Matiemu wyjątkowo niegodna zaufania. Uzmysłowił sobie, że musi mieć się przed nią na baczności i nie dać poznać, że pyta o Kwaśniaka z osobistych pobudek.

Ciężko było porozmawiać z nią sam na sam. Ciągłe otaczali ją mężczyźni. W końcu zobaczył, że stoi sama przy barze. Brała drinka. Podszedł od tyłu i stanął koło niej. Zdawało się, że flirtowała nawet z góralem za barem, który zresztą nie był prawdziwym góralem, na miłość boską.

Dostrzegła go i uśmiechnęła się.

– Podobał mi się twój film – zagaił. – Serio – zapewnił, gdy posłała mu niedowierzające spojrzenie.

– E tam. Nikt się nie śmiał. – Wodziła palcem po brzegu szklanki. Wyglądała na zakłopotaną i było jej z tym do twarzy.

– Bo to banda kretynów. Nie zrozumieli. To było nawiązanie do Bergmana, tylko ja to złapałem. Spotkałaś wreszcie faceta równego sobie – błaznował Mati, lecz umilkł, widząc jej poważne spojrzenie.

– Lubisz Bergmana? – spytała poważnym tonem. Po czym roześmiała się.

– Mam wreszcie okazję zyskać u ciebie jakieś punkty. A co zrobisz, jak powiem, że kocham Bergmana, że oglądałem po kilka razy wszystkie jego filmy, że jestem jego największym fanem? – rozpedził się Mati.

– Nic nie zrobię, bo nie mówisz poważnie.

– Ja mówię bardzo poważnie – odparł Mateusz, znacząco prostując się do pełnego metra osiemdziesięciu pięciu i patrząc na nią z góry poważnym spojrzeniem. Jego słowa zdawały się zawierać drugie dno. Po tej uwadze oboje zamilkli na dłuższą chwilę. Nikt nie wiedział, co dalej powiedzieć. Krępującą ciszę przerwał on.

– Chciałem cię o coś zapytać – zawahał się.

Spojrzała na niego lekko spłoszonym wzrokiem. Podniosła do ust szklankę, wychyliła do

końca.

– Po męsku – zaśmiał się Mati. Z bliska widział jej pulsującą tętno. Miała nieskazitelnie piękną skórę, nietypową dla tak jasnych włosów. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się tak blisko. Bił od niej zapach gorzkawych perfum, pomieszany z wonią alkoholowego oddechu. Mateuszowi zakręciło się w głowie.

– Pan czegoś się napije? – W jego myśli wkradł się donośny głos barmana.

– Setkę poproszę.

Barman nalał mocno zmrożonego Absoluta. Mateusz wychylił do dna i spojrzał na nią. Patrzyła nieodgadzionym wzrokiem.

– Chciałem cię spytać o Kwaśniaka – rzucił desperacko i od razu tego pożałował.

Odpowiedziała dopiero po chwili, głos miała jednak całkowicie opanowany.

– Myślałam, że chcesz spytać co najmniej o numer mojego pokoju.

– O to też chciałem spytać, ale ja... Ja się ciebie normalnie boję – wyznał Mati z niespotykaną u siebie szczerością.

– To co z tym Kwaśniakiem? Co chcesz wiedzieć?

Mati odetchnął z ulgą, ale poczuł, że pytając o Kwaśniaka, popełnił błąd. Ewidentnie liczyła na coś innego, a teraz wyglądało to tak jakby celowo wyprowadził ją w pole. Zerknął na nią dyskretnie. Miała lekkie rumieńce. Może od alkoholu...

– Czy to prawda, że ma takie wielkie wpływy?

– Kwaśniak to wesz w ludzkiej skórze, jeśli chcesz znać moje zdanie – odpowiedziała Antonina beznamiętnym tonem. Czar prysł. Może to i dobrze. A jednak...

– To widać gołym okiem, ale czy faktycznie cieszy się takim zaufaniem waszych klientów?

– A po co ci ta wiedza? – Antonina mówiła spokojnie, jednak Mati czuł, że jest wzburzona. Chętnie dałby sobie w ucho za pokpienie sprawy, lecz z drugiej strony tak będzie lepiej. Ona była zbyt, zbyt...

– Znam kogoś, kto chce z nim zrobić pewien interes i nie jest pewien, czy jest wiarygodny, ot co.

– Nie znam jego relacji z klientami, Mateusz, ale pewna jestem, że jeśli mówi, że ma wielkie wpływy, to należy to podzielić co najmniej przez dwa. A teraz wybaczyć, idę pogadać z kolegami.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Mati stał wściekły na siebie i na nią. Zamówił jeszcze dwie lufki, po czym w podłym nastroju oddalił się w stronę bandy kolegów z marketingu.

Tam impreza trwała już w najlepsze. Tłumiąc wściekłość i denerwując się na siebie za psucie sobie nastroju „byle czym”, Mati podjął zawody sportowe z kolegami. Dwie opróżnione siedemdziesiątki piątki Absoluta stały na stole, kolejne dwie mroziły się w wiaderkach. Tempo było zawrotne, toteż Mati w miarę szybko odzyskał wigor. Zerknął jeszcze raz w kierunku Antoniny, lecz rozmawiała z kolegami z kancelarii, nie poświęcając Matiemu ani jednego spojrzenia. Wściekły, długo poprawiał sobie nastrój za pomocą pełnych małych. Ktoś podkręcił muzykę. Leciały przeróbki Boba Marleya. Na parkiecie było sporo tańczących. Pierre pociągnął na środek Antoninę. Mati kątem oka dostrzegł, że ostrożnie zdjął jej okulary i położył na barze. Zaczęli tańczyć. Miała rozpuszczone włosy i poruszała się jak tancerka na rurze. Mati miał wzdarcie wyraz twarzy i nie mógł nad tym zapanować. Migwały światła, słyszał ochrypły głos Misia opowiadającego kawały o blondynkach. Beatka pochylała się nad Matim i pytała, czy nie powinien się położyć. Próbował ją pociągnąć na kolana, ale pogłaskała go po głowie i zapowiedziała, że zaraz przyjdzie z powrotem skontrolować, czy aby nie powinien się znaleźć we własnym łóżku. Zerknął na parkiet. Pierre podniósł Antoninę i wirował, unosząc ją na rękach. Matiemu przemknęło przez myśl, że Pierre jest niski i próbuje to maskować, byle tylko nie stać z królową śniegu twarzą w twarz. Swoją drogą na parkiecie pokazywała temperamencik. Zachowywała się zupełnie inaczej, jak sobie podpila. Niezłe ziółko. Potem zobaczył twarz Paulinki, kilka centymetrów od jego twarzy.

– *To the rescue, here I am* – śpiewała Paulinka znacząco. Wyglądała na mocno zmęczoną. Próbowała go wyciągnąć na parkiet. Nie miał ochoty tańczyć, lecz się poddał. Wirowali razem

w takt szybkiego rytmu, potrącając innych i prawie się przewracając, co wydawało się Matiemu okropnie śmieszne. Twarze tańczących rozmazywały się, co chwila widział rechoczącego Pierre'a i słyszał jego pretensjonalne komplementy, wypowiedane pod adresem polskich kobiet. Widział długie, platynowe włosy Antoniny, które po każdym karkołomnym obrocie uderzały Pierre'a w tę podłużną, jakby ściśniętą w drzwiach, twarz. Widział jego rozanieloną minę. Postanowił iść na to. Wywijiał chichoczącą Paulinką, siejąc zgorszenie wśród drętwo siedzących przy stołach koleżanek z finansów. Około północy stracił poczucie rzeczywistości.

Tępy ból istnienia powrócił dopiero wraz z nastaniem świtu. Sięgnął po butelkę z wodą niegazowaną. Miała podły smak metalu. Powoli wracała mu świadomość, a wraz z nią uczucie lekkiego, nurtującego niepokoju. Szybko zlokalizował sedno tego nieprzyjemnego wrażenia. Obok niego, na miękkiej kremowej pościeli, spoczywała wdzięcznie wyciągnięta Paulinka, naga jak ją Pan Bóg stworzył.

Mateusz wstał i zachwiał się. Ruszył w stronę łazienki. Czuł, że nadal jest pijany, jednak dodatkowo obciążony napływającą świadomością tego, co uczynił. Z dziwną wprost jasnością jak na stan, w jakim się znajdował, jego umysł zaczął produkować coraz to nowe wizje konsekwencji tego postępu. Zatrzasnął za sobą drzwi od łazienki, odkręcił wodę i polewał twarz garściami lodowatej wody. „Och, kurwa, och, kurwa, och żeż, kurwa – myślał – tylko nie Paulinka”. A jednak to Paulinka leżała w jego łóżku i nic, ale to nic na tym świecie nie było w stanie tego cofnąć.

Grozę konsekwencji widział z coraz większą jasnością. Jak każdy Wencel, był roztropny w sprawach dotyczących kariery i rodziny. To było nietykalne sacrum. Mógł się szlajać, mógł sypiać na lewo i prawo z każdą najgorszą lafiryndą, jaką ten świat wydał, lecz zawsze robił to z kobietami, które w żaden sposób nie mogły zagrozić jego karierze czy życiu domowemu. To, w co teraz wdepnął, było nieprzyjemne. Paulinka była dobrym kompanem do wygłupów, lecz pracowała z nim blisko, wiedziała o niejednym... A jeśli będzie chciała kontynuować znajomość? A jeśli... Widział już takie sytuacje, one nigdy się dobrze nie kończyły. Paulinka najpewniej jest w nim zadurzona. Teraz ma na niego haka. Spokojnie, tylko spokojnie. Lał na głowę strumienie wody. Jako koleżanka jest sympatyczna i niegroźna, lecz jest w niej coś, czego Mati zawsze się obawiał u kobiet. Jakaś histeria, jakieś rozpasanie, jakieś wulgarne chamstwo. Wszystko to tworzy koszmarną wizję dalszej współpracy.

Nie, dość tego. Trzeba wziąć się w garść. Popada w paranoję. Musi wziąć pod uwagę fakty. Nagie fakty. Bzyknął Paulinkę po pijaku. Paulinka nie ma żadnych, ale to żadnych dowodów na to, że Mati bierze kaskę od agencji, na boku. Paulinka może zacząć zachowywać się histerycznie, gdy odkryje, że Mati nie ma ochoty na kontynuację znajomości. Może zacząć go oczerniać. Wtedy wypierdoli Paulinkę z roboty. Za co? Coś tam się znajdzie, w końcu jest jej bezpośrednim przełożonym. To wariant pesymistyczny. Mati patrzył w lustro szeroko otwartymi oczami.

– Mati? – usłyszał przymilny głos. Zamarł na parę sekund. Po czym odwrócił się na pięcie i otworzył drzwi.

– Tak, maleńka? – Wychylił potarganą głowę.

Stała przed nim i patrzyła sprytnymi oczkami. Jakie to dziwne, że jeszcze parę dni temu wyraz jej oczu zdawał mu się słodki i niewinny. Mrugała rzęsami po dziecinnemu, lecz budziła u Matiego nieprzyjemne poczucie niepokoju.

– Tak długo lałeś wodę. Już myślałam, że coś ci się stało. – Patrzyła szeroko otwartymi, błękitnymi oczami. Matiego przeszył dreszcz. Cholera, jeszcze do tego była strasznie... Z rozmazanym makijażem i opuchniętą twarzą wyglądała... źle. Tlenione włosy, odgniecione z tyłu tworzyły na głowie gniazdo. Miała też ogromne odrosty. Kurwa, a płacił jej przecież solidną pensję. Czego jak czego, ale fizycznej brzydoty u kobiet Mati nie mógł ścierpieć. Dzięki Bogu stała owinięta kołdrą. Postąpiła krok naprzód.

– Nie pocałujesz mnie?

Mati cmoknął po bratersku wyciągnięty, mokry ryjek.

– Czemu nic nie mówisz? – Jej oczy stawiały pytania, zarzuty, oskarżenia.

– Paulinko, jestem jeszcze narąbany. Nie mam zwyczaju napierdalać od samego rana.

O cholera. Spójrz, która godzina? Już prawie po śniadaniu?

– Mam dla ciebie coś do schrupania tutaj, na miejscu – uśmiechała się szelmowsko.

– Kobieto, oszalałaś? Jak nie zjem solidnego śniadania, nie przetrwam tego dnia! Widzisz, na jakim jestem kacu? Muszę zjeść jajecznicę z czterech jaj na bekonie i pierdolnąć sobie klina, inaczej zejde, *kapish*? – I nie czekając na odpowiedź, uciekł pod prysznic.

Rodzinny dom Wencłów

Elżbieta Wencel siedziała w głębokim, skórzanym, beżowym fotelu. Miała okulary na nosie i ze zmarszczonymi groźnie brwiami robiła przegląd prasy, którą nabyła tego ranka w Starej Papierni, ekskluzywnym centrum handlowym w Konstancinie. Z szelestem przekreśliła następną stronę „Życia na Gorąco” i zatopiła się w lekturze. Upiła łyk melisy z porcelanowej filiżanki. Za oknem było pochmurno, wiał silny wiatr i zaczął zimny deszcz. Co chwila wściekle bębnił o szyby. Z pasjonującego świata polskich gwiazd wyrwał ją wygrywający „Dla Elizy” dźwięk dzwonka u drzwi.

Uniosła z niezadowoleniem brązowe, podobne do cienkich pijawek brwi. Jej błyszcząca, świeżo nasmarowana kremem twarz zwróciła się w stronę hallu. Kogo to lichy niesie o dwunastej w południe, w dzień powszedni? Listonosz już był. Pewnie sąsiadka. Czego ta wścibska baba może chcieć?

Od kiedy Rysiek trzy dni temu dostał wezwanie do prokuratury, Elżbieta nie zaznała chwili spokoju. Zdawało jej się, że już wszyscy wokoło o tym wiedzą. Nie mogła też oprzeć się wrażeniu, że jakaś szuja mogła ich podkablować. Trzeba było nikogo do domu nie spraszać, nie świecić ludziom w oczy bogactwem. Miała nadzieję, że prokuraturze chodziło o jakieś głupstwo. Tamta stara sprawa w browarze już chyba się przedawniła. Zresztą Rysiek i Paweł interesy zawsze trzymają przed nią w tajemnicy, ona o wszystkim dowiaduje się przez przypadek. Nie dziwne, ma tak słabe nerwy. Nie na jej zdrowie takie sprawy. Zaraz ma *globus histericus*, duszności, szumi jej w głowie, jest bliska wylewu. Nie na jej nerwy to wszystko. Jak tak dalej będzie, to nie pożyje ona długo, oj nie.

Na co komu to wszystko było, całe to bogactwo, jak teraz coś takiego ma ich spotkać? Na co komu pieniądze, wzięte raz czy dwa, jeśli Rysiek miałby na zawał wykorkować? Co ona pocnie bez niego? Chłopaki mają swoje życie, zresztą nie dziwne, muszą pieniądze zarabiać, bo Rysiek im już nie pomoże. Skończyły się złote czasy lat dziewięćdziesiątych. Rysiek ustawił chłopaków na starcie, a dalej muszą sobie radzić. Zresztą wspaniale sobie radzą. Miłe ciepło owionęło skołatane i sterane serce Elżbiety. Paweł korzystnie sprzedał ziemię, którą mu Rysiek podarował i raz dwa kupił okazjnie stu pięćdziesięciometrowe mieszkanie w ładnej kamienicy na Saskiej Kępie. Teraz kamienicę odremontowano i mieszkanie warte krocie. Łebski chłopak, nie da sobie w kaszę dmuchać. Przewidujący, mądry, aż nadto ostrożny jak na swój wiek.

Mateusz z kolei sprzedał małe mieszkanie, które Rysiek mu kupił za pieniądze zarobione w browarze, i wpłacił je na duży apartament w Wilanowie. Sto czterdzieści metrów z tarasem, ładne gniazdko dla niego i Karoliny, dobry początek dla młodego małżeństwa i to bez dzieci. Choć słone raty muszą spłacać. Ale oni nie mają żadnych obciążeń, zresztą Mateusz robi interesy i co chwila miewa większą wrzutkę, oprócz stałej, dużej pensji. Jej, Elżbiecie, nikt nigdy nic nie mówił, ale ona i tak wie, że Mati sporo zarabia. Plus te wrzutki, ale co to było, tego nie wiedziała, zresztą wołała nie wiedzieć, po co miała jeszcze tym się denerwować?

Najgorzej na razie szło Piotrusiowi. Chłopiec był jej oczkiem w głowie. Zawsze lgnął do Elżbiety, zawsze pomagał matce. A to ziemniaki obrał, a to pomógł poodkurzać. Paweł i Mateusz nie do takich spraw. Mateusz jako dzieciak to był istny diabeł. Albo coś zmalował, albo wpadał w poważne tarapaty. Z kolei Paweł był mrukiem. Jako dziecko był samotnikiem. Bywał strasznie nieśmiały i to Elżbietę krępowało. Na siłę wypychała go do dzieci. Ciągłe rysował w zeszytach jakieś koszmary, aż pewnego razu wychowawczyni wezwała Elżbietę na rozmowę. Uważała, że Paweł ma problemy emocjonalne, że jest „psychiczny”. Kiedy Elżbieta przekazała to Ryszardowi, mało nie poleciał do szkoły i baby nie pobił. Nie poszli do żadnego psychologa, za to Rysiek załatwił tak, że babę wywalili z roboty. Tak, dobry z niego ojciec, zawsze trzymał stronę chłopaków. Żeby teraz, na stare lata, taka sprawa. Elżbieta westchnęła boleściwie i ruszyła w stronę drzwi.

Minęła wielki salon, zwany u Wencłów, po światowemu, livingiem. Minęła Neptuna z różowego marmuru i dotarła do obitych różowym, podniszczonym skajem drzwi. Podniosła wideodomofon.

– Halo – rzuciła dziarskim tonem, w którym jednak bystry obserwator dopatrzyłby się nutki strachu.

– Mamo, to my – usłyszała lekko zniecierpliwiony głos najstarszego syna.

Zerknęła w kamerę. Dwie zakapturzone, targane wiatrem postaci to rzeczywiście byli Paweł i Ryszard.

– Ojciec nie wziął kluczy? – krzyknęła w słuchawkę tak głośno, jakby mieli ją usłyszeć przy bramie bez pomocy aparatu telefonicznego.

– Otwieraj bramę, nie gadaj – usłyszała warczenie Ryśka.

Nacisnęła guzik. Zniknęli z wizji. Po chwili w wideokamerze dostrzegła otwierającą się bramę i wjeżdżającą terenówkę Ryśka, a w ślad za nią czarne BMW Pawła. Otworzyła drzwi i czym prędzej pobiegła do kuchni nastawiać wodę na herbatę.

Gdy przemoczeni i wściekli stanęli w drzwiach domu, Elżbieta zdołała już zaparzyć herbatę. Postawiła ją w salonie na stole z drewna cytrynowego. Był to okrągły, mały stół, ustawiony w wykuszu okiennym, między drzewkami pomarańczowymi pieczolowicie pielęgnowanymi przez Elżbietę.

Gdy Rysiek uporał się z mokrą kurtką, wszedł do livingu i ujrzał ustawioną porcelanę i kruche ciasteczka oraz zapalone świece, z całej siły palnął się w czoło w obraźliwym geście wobec dostojnej małżonki, nadchodzącej od strony kuchni z małymi spodeczkami z konfiturą i zapaloną aromatyczną świecą.

– Chcesz nas podpalić czy co? Daj coś do żarcia, kobieto, od rana o suchym pysku latam, a ty mi kruche ciasteczka stawiasz. Paweł też głodny jak wilk, nalatał się w mojej sprawie tak, że mu nogi w dupę włożą. Obiadu nie masz czy co? – I zaczął zdzierać z siebie golf. Mocował się z nim przez chwilę, mamrocząc przekleństwa. Elżbieta z hukiem odstawiła tacę i z poczerwieniałą twarzą wrzasnęła:

– Takiego drugiego chama jak ty to ze świecą szukać! Gdyby nie ja, to byś z koryta gówna żarł. Może tobie wszystko jedno, ale mnie nie tak wychowano...

– Zastrana hrabina się znalazła.

– Tato – warknął karcąco Paweł. Nie wtrącał się w sprawy rodziców, lecz dzisiaj nawet on miał rozstrojone nerwy i z trudem nad sobą panował. Potem podszedł do matki, która z kamienną miną wyciągała z lodówki gary i strzelała pokrywkami. Położył jej rękę na ramieniu i rzekł, siląc się na spokój:

– Daruj ojcu nerwy. Miał już dosyć na dzisiaj, nie dziw mu się.

Na te słowa matka przeraziła się nie na żarty. Obróciła się na pięcie i spojrzała na syna. Stał z kamienną twarzą. Wyglądał bardzo poważnie. Po chwili siedzieli we trójkę przy suto zastawionym stole jadalnym i rozmawiali konspiracyjnym szeptem.

– Na pewno nie masz żadnej komórki włączonej? – spytała męża Elżbieta, przeżuając kanapkę z pieczonym schabem i kiszonym ogórkiem.

– No żeż kurwa mać, kobieto, to ty masz na mnie działać kojąco czy ja na ciebie? – wybuchnął Ryszard, przyskając naokoło drobinami zimnej sałatki śledziowej.

– No, bo ja nie rozumiem, jak to może być, że telefon jest wyłączony, a nadal może być na podsłuchu – mamrotała z pełnymi ustami Elżbieta.

– Przyjmij do wiadomości, że tak jest, zanim doprowadzisz mnie do wylewu. – Ryszard nabierał na widelec gigantyczne porcje sałatki i wsuwał do ust, jakby konsumował swój ostatni posiłek przed śmiercią.

Paweł ponuro milczał i dotrzymywał ojcu tempa w jedzeniu. Srebrnym widelcem kroił zimne mięsiwa i wkładał je do ust. Zagryzał chlebem i poprawiał kopiastymi łyżkami sałatki jarzynowej.

– Spróbuj, Pawełku, boczku, wczoraj upiekłam.

– Piekłaś wczoraj boczek? – zdziwił się Ryszard. Nikt mu nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę słyhać było tylko szcęk sztućców. Cała trójka miała ponury wyraz twarzy. Milczeli.

W końcu ciszę przerwała Elżbieta.

– Ta twoja Hanka to jeszcze kiedyś nas odwiedzi? Zdaje się, że ona ma teściów po prostu za

nic – wybuchła znieczeka. Udało jej się znaleźć temat zastępczy.

– Jest zajęta. Mają zamknięcie numeru – Paweł stłumił irytację.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – ujął się Rysiek za synem, patrząc w talerz.

– Ona chyba rozgląda się za jakimś lepszym. Jak tylko go znajdzie, to cię puści kantem – zlorzeczyła matka.

– Stara z niej dupa, nie będzie jej tak łatwo – mruknął ojciec w próżnię – a i groszem nie śmierdzi, a wymagania ma. – Ojciec nalał sobie coli i gulgocząc opróżnił szklankę.

Paweł poczerwieniał. Tłumił wściekłość jedynie ze względu na doniosłość sytuacji.

– Wujaszek puścił ją bez grosza. Kto ją weźmie, jak Paweł w końcu będzie miał dość i kopnie ją w tyłek? Ile lat można znosić podobny stan rzeczy? – retorycznie zapytywał Ryszard. Elżbieta powoli żuła i potakiwała. Zamyśliła się. Rzeczywiście, jak długo mężczyzna taki jak Paweł może znosić podobne upokorzenia, podobną niewdzięczność. A tak się stara, pracuje, zarabia. Tylko o niej myśli, ciągle coś jej kupuje. Tak ją stroi, wszędzie z nią jeździ, zawsze jej broni, nigdy nie powiedział na nią złego słowa. O, i teraz siedzi wściekły. Nie znosi, jak ją krytykują. A niemądrze chłopak robi. Rodzice nie chcą dla niego źle. Za jakie grzechy przystojny, zaradny i ciągle młody mężczyzna ma się całe życie użerać? Na jej miejsce znalazłby dwieście chętnych kandydatek. Młodszych. Czym go omotała ta czarownica, że ciągle siedzi struty i milczący? Brak w nim radości życia. A kiedy się będzie cieszył życiem jak nie teraz, kiedy są młodzi i bogaci i nie mają dzieci? Z dziećmi dopiero przychodzi zgryzota, szara codzienność, obowiązki. Posępnie kiwała głową.

– Ona ma z tobą za dobrze – oznajmiła po chwili milczenia Elżbieta. – Za dobrze jej. Powinieneś wyjść z kolegami, zabawić się trochę. Inaczej byś spojrzał na życie. – Znacząco spojrzała na Ryśka. – Nie ona jedna ma ciepłą rączkę, uwierz matce, synku, trochę żyję na tym świecie, więc wiem, co...

– Wystarczy, mam. – Paweł z hukiem odstawił szklankę z wodą i wlepił pałający wzrok w sałatkę. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ale nie wtrącaj się, proszę, do naszego życia. Do naszego małżeństwa. – Z trudem zachowywał spokój. Poczerwieniał na twarzy i z głośnym brzękiem sztućców zmiatał z talerza gigantyczne porcje.

– Jakiego małżeństwa? Co to za małżeństwo? Każdy w swoją stronę! – krzyknęła w uniesieniu matka. – My z Ryśkiem mieliśmy lepsze i gorsze chwile, ale we wszystkim byliśmy razem. A wy?

– Dajże wreszcie spokój – warknął Rysiek. – Nie widzisz, że chłopak ma dosyć? Mieliśmy obgadać dużo poważniejszą kwestię i po to tu zjechaliśmy. W kancelarii ściany mają uszy. Ja już nikomu nie dowierzam. – Upił łyk wody i otarł usta serwetą. Podniósł się i zaczął przechadzać pod oknem. Elżbieta siedziała, trwożnie milcząc. W końcu odezwał się Paweł.

– Sytuacja jest poważna, ale nie beznadziejna. Nie wiemy, co na ojca mają, wiemy tylko, że przesłuchiwali tego, z którym... Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie wiem już sam, czy żyjemy w państwie prawa? W dobie walki z korupcją wszystko jest możliwe, łącznie z tym, że panowie w kominiarkach wpadną do was o siódmej rano i wyprowadzą ojca jak groźnego bandziora. A potem będą go przesłuchiwali tygodniami, trzymając w areszcie. – Ponuro spojrzał na pobladałą, lecz spokojną twarz ojca. – Jest to wersja mało prawdopodobna, ale możliwa. Na znacznie cieńsze płotki były organizowane takie pokazówki.

– Ja chyba tego nie wytrzymam, Paweł – szeptem oznajmił Rysiek. – Chyba pojedę do Wieśka, do Monte Carlo. Mam kłopoty z krążeniem. Nie mam siły tu siedzieć i czekać Bóg wie na co...

– Z własnego domu będziesz uciekał?! – wykrzyknęła nie na żarty przerażona Elżbieta. – Rysiek ma być ofiarą, bo ktoś sobie ubzdurał, że oczyści państwo z korupcji? A jak dostanie zawału? A cóż takiego zrobił? Miał nie wziąć tych pieniędzy, żeby je kto inny zgarnął? Wszyscy tak robili! Wykończyć psychicznie chcą człowieka! – lamentowała głośno. – Do czego to dochodzi, Boże Wszechmogący, że z własnego domu ma Rysiek uciekać!

I załkała głośno w garść. Siedziała tak dłuższy czas, z pochyloną głową nad suto zastawionym stołem. Ryszard przestał się przechadzać i patrzył na żonę z przykrością. Paweł

z grobową miną przesuwał palcem po alabastrowych figurkach, ustawionych na wielkim kredensie. Deszcz walił o szyby wraz z gwałtownymi podmuchami wiatru. Nikt nic nie mówił. Nadchodził zmierzch, w pokoju zrobiło się ciemno. Nikt nie ważył się ruszyć, by zapalić światło. W końcu gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Elżbieta wstała, otarła oczy serwetką i ruszyła przez ogromny salon. Dotarła do marmurowego podestu, weszła na schody do obszernego hallu i tam zapaliła światło.

Strumień światła lunął na hall, oświetlając przy tym część livingu. Oczom Pawła ukazały się solidne meble, połączane konsolki, kąpiące od złota lustra, ceramiczne lampy, poustawiane po rogach na stolikach, wielkie beżowe sofy, suto upięte tiulowe firanki, ciężkie zasłony z adamaszku, zdobne w mocny deseń. Całość miała typowy charakter wczesnych lat dziewięćdziesiątych i była absolutnie pozbawiona dobrego smaku, lecz w tym momencie ten kiczowaty, lekko przestarzały wystrój kojarzył się Pawłowi z bezpieczeństwem i dobrobytem tłustych lat, które tu spędził jako uczeń i student. Umiłowanie pieniądza, którym tak przesiąkł, które wchłonął z mlekiem matki, nie wydawało mu się niczym dziwnym.

Teraz w tę ich twierdzę miały uderzyć nowe, obce siły. Nieubłagane konsekwencje czynów, za które miałby zapłacić właśnie jego ojciec? Nic w naturze nie ginie. Wszystko zostaje oddane. Uniósł kiczowatą alabastrową figurynkę, przedstawiającą Dianę – grecką boginię łowów. Twarz mu stężała. Zerknął na zegarek. Ciekawe, czy Hanna wróciła już do domu?

Spojrzał w stronę ojca. Stał w pobliżu stołu, nadśluchiwał. Z hallu dochodził głos matki. Paweł wsłuchał się w rozmowę. Sądząc po tematach dyskusji, była to pewnie jego bratowa Karolina. Ach, Mateusz jest, zdaje się, na jakimś wyjeździe służbowym. Ojciec wyraźnie się odprężył, ruszył w stronę wielkiego kredensu. Zapalił małą lampkę i z głuchym stęknieniem pochylił się nad barkiem, potem podzwaniał butelkami. W końcu wydobył Dimple'a.

– Tobie nie proponuję, prowadzisz.

– Tak – potwierdził Paweł. – Będę się zbierał, tato.

Ojciec spojrzał na syna, zdawało się, że starał się robić dobrą minę do złej gry.

– Diabli złego nie biorą – burknął ojciec i zdawało się, że tym zamierza zakończyć rozmowę. Pożegnali się uściskiem dłoni i Paweł ruszył do wyjścia.

Jechał Czerniakowską w stronę centrum. Był duży korek. W Warszawie korki formowały się natychmiast po tym, jak spadały pierwsze krople deszczu. Zrobiło się zupełnie ciemno, światła samochodów i lamp ulicznych rozmazywały się w siekącym deszczu. Drzewa były już prawie ogołoczone z liści, choć była dopiero połowa października. Paweł zastanawiał się, czy wracać jeszcze do „kopalni”, czy kierować się na Saską Kępe, ku domowi. Miał jedną sprawę do omówienia z Zagajewiczem, lecz aż go skręcało na myśl, że będzie musiał ją poruszać.

Chodziło o transakcję, którą Paweł przygotowywał parę miesięcy wcześniej dla ważnego klienta kancelarii. Sprawa po jakimś czasie ucichła i wydawało się, że nic już z tego dealu nie będzie. Jednak w ostatnich dniach znów nabrała tempa, trzeba było szybko się nią zająć i doprowadzić do zamknięcia jeszcze w tym tygodniu. Tego życzył sobie zarząd spółki. Jako jednak że Paweł był mocno zajęty dużym, intratnym – bo rozliczanym godzinowo – procesem dla spółki gazowej, musiał powierzyć zadanie zamknięcia transakcji swojemu współnikowi.

Robił to zawsze niechętnie, ponieważ Zagajewicz nigdy nie potrafił należycie dopilnować spraw. Potem trzeba było świecić za niego oczami przed klientem. A to nieprzyjemne. No nic, ale tym razem nie miał innego wyjścia.

Sprawa wydawała się stosunkowo prosta... Chodziło o sprzedaż sporej nieruchomości gruntowej pod inwestycję developerską, którą miał realizować ich klient. Badanie prawne wszystkich kwitów zostało już szczegółowo przeprowadzone przy pierwszym podejściu, teraz wystarczyło to zweryfikować, sprawdzić, czy nic się nie zmieniło, czy nikt nie wpisał się do księgi, czy jakiś komornik się nie pojawił... I tak dalej. Teoretycznie proste czynności, które byle student potrafiłby zrobić bez wielkiego wysiłku.

Umowa też była właściwie gotowa. Pracował nad nią wystarczająco długo. Tyle tylko, że...

Te parę miesięcy wcześniej transakcja miała mieć zupełnie inną konstrukcję. Najpierw podpisanie umowy przedwstępnej, a dopiero potem, po uzyskaniu warunków zabudowy, zawarcie

przysiężonej i ostatecznie sfinalizowanie transakcji. Była to kwestia zorganizowania przez developera finansowania. Teraz zaś, po kilku miesiącach, właściciel sam zrobił koncepcję zagospodarowania i postarał się o wuzetkę. Developer natomiast dostał właśnie promesę kredytową i tym sposobem obaj kontrahenci mogli stawiać do umowy końcowej. Jednym słowem, były pieniądze i pewność, co można zbudować. Zadaniem Zagajewicza było więc przekonanie przygotowanego wcześniej przez Pawła projektu umowy przedwstępnej na umowę przysiężoną. Nic wielkiego.

Ale trzeba było zrobić to uważnie, a nie kopiować bezmyślnie. Niestety, Zagajewicz przerobił umowę migiem i puścił ją klientowi do zaakceptowania. Paweł nawet nie zdążył na nią zerknąć. Klient zaś przeczytał projekt uważnie i znalazł kilka błędów logicznych, czego nie omieszkał wytknąć Pawłowi w nieco złośliwym tonie.

Zagajewicz zostawił parę klauzul niezbędnych w umowie przedwstępnej, ale już zupełnie zbędnych w umowie końcowej. Pozostały na przykład zobowiązania nałożone na developera, które miał wykonać po zawarciu umowy. Wcześniej należało na to sprzedający i miało to sens, bo developer miał zrobić pewne rzeczy pomiędzy przedwstępną a przysiężoną. Teraz, przy nowej konstrukcji transakcji, nie miało to najmniejszego sensu. Brzmiało idiotycznie! Niby nic strasznego, bo wielkiej szkody z tego by nie było. Ale wyszło głupio, tak jakby kancelaria zrobiła to na odwal się.

Jak ktoś płaci w chuj plus VAT, ma prawo wymagać, żeby umowa trzymała się kupy! Pawła aż skręcało na myśl, że musi to z Zagajewiczem wyjaśniać. Było to na tyle oczywiste, że nie powinno stać się tematem do dyskusji! To było niemal krępujące. Znow musiał go pouczać! Jak chłopca na posyłki!

Pogrążony w ponurych myślach, postanowił odłożyć tę rozmowę na inny dzień. Dziś chciał już jak najszybciej znaleźć się we własnym domu! Skręcił więc na most Łazienkowski. Włączył się w skład odwiecznego węża, sunącego w stronę Mińska. Przebił się na drugą stronę Wisły. Rzeka była ponura i ciemna, ledwo widoczna w strugach deszczu, lejących się po szybach. Zjechał z mostu na Wał Miedzeszyński i skręcił w Zwycięzców. Szarpiący wiatr ustał, deszcz lał teraz strumieniami. Wycieraczki chodziły cicho, dyskretnie, zgarniając tony wody i od czasu do czasu opadły liść. Podjechał do małej winiarni na rogu, by wziąć butelkę jej ulubionego Lambrusco. Jakiś lump stał w drzwiach, nie usuwając się z drogi, Paweł mało go nie obalił, potrącając swym potężnym cielskiem. Tamten burknął coś pod nosem. Niech sobie cham nie myśli. Niech odskakuje z drogi, kiedy widzi, że pan idzie. Jakiś pedał w czerni, który stał za ladą, ruszał się jak mucha w smole. Przez dobre pięć minut lokował butelkę w papierowej torbie. Cmokał przy tym z dezaprobatą, nie dość zadowolony czy z rezultatu, czy może z toreb. Paweł zaciskał zęby, tłumiąc zniecierpliwienie. Pedał zaczął proponować zakup japońskiego wina śliwkowego. Paweł wycodził odpowiedź odmowną. Czyż nie widać, jak się spieszy?

Wreszcie wybiegł ze sklepu na tyle szybko, na ile pozwalała mu niedźwiedziowata postura. Samochód szczęknął, zajarzyły się wszystkie światła. Wskoczył do środka, zatrzasnął drzwi, wzdrygnął się. Miał wodę za kołnierzem płaszcza. Lump znow się napatoczył, tym razem niemal włączając pod koła. Paweł syknął, przyhamował. Ze zniecierpliwieniem dał mu ręką znak, by wreszcie przechodził. Chuda postać bez parasola przesunęła się przed maską i rzuciła mu złośliwe spojrzenie.

Paweł ruszył z piskiem. Minął skrzyżowanie z Francuską. Wreszcie ukazała się jego kamienica, otynkowana na jasnooliwkowy kolor. Na otaczającym ją placu rosy piękne stare akacje. Zaparkował samochód przed domem. Omiótł wzrokiem uliczkę. Był jej samochód. Zresztą paliło się światło w salonie. Podekscytowany i pełen nowych nadziei wyskoczył z auta i rączo wbiegł na schodki. Deszcz lał jak z cebra. Wstukał kod, potężne drzwi otworzyły się. Poprawiał włosy, idąc po schodach energicznym krokiem i przeskakując po dwa stopnie.

Otworzył drzwi kluczem. Zdjął wełniany płaszcz. Powiesił w szafie. W mieszkaniu było ciemno, jednak z salonu sączyło się różowe światło lampy wiszącej nad stołem jadalnym.

Cicho wszedł do salonu. Hanna leżała na kanapie i czytała gazetę. Podeszedł do stołu i postawił butelkę wina. Powoli, nie spiesząc się, odwróciła głowę w jego stronę.

– Wcześniej wróciłeś. – Ni to pytanie, ni stwierdzenie padło z jej ust jakimś dziwnym tonem.

– To źle? – spytał z uśmiechem, lecz w głosie brzmiało ledwo wyczuwalne napięcie.

Nie odpowiedziała. Wertowała strony, oparta o stos poduszek. Miała ściągnięte włosy, wysoko zebrane w koński ogon. W tym świetle były prawie czarne. Paweł, choć zafascynowany ich gęstością, obawiał się zawsze, że to w nich siedzi ten diabeł, który tkwił między nimi. Nie bez powodu lud mawiał, że czarne jest złe. Oliwkowa skóra była gładka i piękna, bez jednej skazy, bez jednego pieprzyka. Poczuł złość, że tak go przywitała. Nie mogła nie zwrócić uwagi na pojednawczy gest w postaci ulubionego wina. O cóż mogła być zła? Cóż on jej tam wczoraj powiedział? Coś o tym, że niedługo będzie, hmm... jak to ujął? Za stara na dzieci? A jednak miał rację. W przyszłym roku skończy trzydzieści pięć lat. Naprawdę najwyższa pora... A ona w złości odpowiedziała, że w ogóle nie chce mieć dziecka. Zwłaszcza z nim. Milutka zoneczka...

– Napijesz się wina? – spytał, siląc się na spokój. Zawahała się. W końcu skinęła potakująco głową.

Poszedł do kuchni, otworzył butelkę. Przy okazji zajrzał do lodówki. Zakupy nie zrobione. Lodówka świeciła pustką. Postanowił pohamować się i nie komentować tego, sytuacja i tak była dostatecznie napięta. Wrócił do salonu z dwoma kieliszkami napełnionymi winem. Usiadł obok niej na kanapie. Spojrzała z niechęcią. Samo spojrzenie wystarczyło, by w człowieku się zagotowało. Lecz nie chciał zaogniać. Poglądził jej udo. Odsunęła jego rękę niczym robaka i podciągnęła głębiej koc.

– O co chodzi? – starał się mówić pieszczotliwie, lecz robił to przez zaciśnięte zęby. – O to, co wczoraj powiedziałem? Byłem wściekły, wiesz, co jest z ojcem i wciąż mam kłopoty w robocie. Daj już spokój, zachowuj się raz jak normalna żona!

Nie odpowiadała.

– Jesteś zła o to, co powiedziałem? Że niedługo będziesz... Że będzie niedługo za późno, by mieć dzieci? Uważasz, że to takie niemożliwe, byśmy mogli mieć dzieci?! To po co w ogóle jesteśmy ze sobą? Wszystkie normalne pary chcą mieć dzieci, prędzej czy później do tego dochodzą. Śmiesz cię to, co mówię?

Pokręciła z niedowierzaniem głową i podjęła przerwana lekturę.

– Bądź łaskawa nie kręcić głową, jak do ciebie mówię. Odpowiedz coś! Do czego to niby ma prowadzić?

– No właśnie, sam sobie odpowiedz – odwróciła się do niego plecami, układając wygodnie na boku i opierając gazetę o kanapę. Paweł stał nad nią jak skamieniały i zaciskał pięści. Potem chwycił kieliszek z winem i wychylił jednym haustem. Wyszedł do kuchni, zdjął marynarkę i usiadł przy wielkim, owalnym, dębowym stole. Cyk, cyk. To tykał stary zegar kupiony na Kole. Z salonu słyszał szelest przewracanych kartek. Potem usłyszał, jak ona przekręca się na drugi bok. Narastała w nim ślepa furia. Wlał sobie następny kieliszek wina i trochę ochłonął. Ach, upić się i niczym nie przejmować. Cóż takiego wczoraj nagadał, że dziś jest taka zapiekła?

Ach! Wykrzyczał potem, że wziął ją bez grosza, że udaje intelektualistkę, że jak tak dalej będzie się zachowywała, będzie musiała do wuja iść po pieniądze na te wszystkie, jak to je określił, pierdoły. Troszkę się zagalopował. Wypadało za to przeprosić. Nalał jeszcze trochę wina. Wstał i stanął w przejściu między salonem a kuchnią. Leżała wyciągnięta na kanapie. Zaszło mu w gardle. Poruszyła się, musiała go dostrzec kątem oka, lecz udawała, że go nie widzi, albo też nie zamierzała w ogóle się do niego odezwać. Swoją niezależnością, swoją obojętnością na jego męki potrafiła doprowadzić go do apopleksji. Patrzył na nią jak wygłodniały pies na smakowitą kostkę. W końcu ruszył w jej kierunku i przykucnął przy kanapie.

– Tak dalej być nie może – rzucił bez tchu – przepraszam cię za wszystkie złe słowa, które padły z moich ust wczoraj wieczorem. Wiesz, co przeżywam w związku ze sprawami ojca, a przynajmniej powinnaś wiedzieć. Nie jestem sobą, ale gdybyś zechciała mi wybaczyć. – Ujął gwałtownie jej dłoń i przycisnął do ust. W pierwszej chwili chciała ją wyrwać, ale po chwili namysłu jakby się przemogła.

– Mam niespodziankę. – Szybko wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwa bilety

i położył obok niej na kanapie. – Na „La Traviatę”. Pamiętasz, jak to widzieliśmy w Royal Opera House?... – Chciwie wpatrywał się w jej twarz, licząc, że i ona da się porwać fali nostalgicznych wspomnień. Zamiast tego z jej piersi wyrwał się stłumiony jęk.

Co z nią, u diabła! On się stara, ciągle ją wozi za granicę, do teatrów, oper, filharmonii, choć sam milion razy wolałby posiedzieć w domu, ma już w dupie całą tę kulturę! Ale dba, żeby bywała tam, gdzie lubi, żeby wszystko miała na światowym poziomie, pilnuje, żeby nie mogła narzekać, tak jak większość bab, że mężowie nigdzie ich nie zabierają! A jej ciągle mało! Czego ona chce? Co ma mu znów do zarzucenia?

Po dłuższej chwili ciszy zaczął z nowym żarem:

– Mam taki pomysł! Wyjedźmy gdzieś za granicę, na weekend. Bez specjalnego zastanawiania, tak jak kiedyś. Ja wszystko zaaranżuję, tylko się zgódź! Dobrze? – bacznie wpijał wzrok w jej twarz. Powoli kiwnęła głową, patrząc na niego z rezygnacją.

Ogarnęła go gniewna radość. Pochylił się i chciał cmoknąć ją w usta, ale odkręciła głowę i całus trafił gdzieś w okolicę brody.

– Dobrze już, dobrze – wyszeptała. Zgodziła się na wyjazd, spłaciła haracz, więc teraz już opędzała się jak od natrętnej muchy! Znów poczuł skaczące ciśnienie, lecz nie chcąc zaogniać, zwłaszcza że częściowo postawił na swoim, ruszył do kuchni po wino.

– Ale nie w przyszły weekend! – zawołała za nim.

– A to dlaczego? – Niechcący rozlał trochę, wlepiając w nią czujny wzrok. Jego nozdrza rozděły się prawie niezauważalnie.

– W przyszły weekend jest Hubertus, jedzie cała moja rodzina.

– Co roku jest Hubertus, co roku jeździ tam twoja rodzina – w jego głosie pobrzmiwała tajona irytacja.

– Ale Matylda chce mi kogoś przedstawić – Hanna stwierdziła stanowczo.

– Ta latawica wreszcie kogoś poznała?

Hanna nie odpowiedziała. W jej milczeniu była jakaś dezaprobata. W końcu wstała i zabrała gazetę.

– Idziesz spać? – starał się mówić normalnym, zrównoważonym tonem.

– Muszę jeszcze popracować – rzuciła przez ramię. Paweł ledwo opanował pogardliwe prychnięcie. Z zajądlnością włączył telewizor, wlewając do kieliszka resztę wina.

Z Igorem

Matylda umówiła się z Igorem w Zachęcie, by obejrzyć „Zagładę Romów”. Z jej inicjatywy. Uznała, że chwilowe znuzenie, które zdawało się ostatnio ogarniać Igora, miało związek z tym, że prawie nie opuszczali łóżka. Jeśli chodziło o nią, mogłaby tak w nieskończoność, ale on chyba już się dusił.

Ponieważ była z natury przedsiębiorcza, szybko opracowała nową strategię działania. Zanim on uświadomił sobie, że coś go zaczyna męczyć, ona znów zmieni kurs. Zaczyna dużo wychodzić, bywać na różnych imprezach, wystawach i takich tam... Matylda pokaże mu się jako partner do dyskusji kulturalnych. Najwyraźniej tego pragnęła! Tak go przetrzyma, aż sam na powrót zacznie marzyć o łózkowych maratonach...

Gdy już wyszli, ruszyli na przełaj przez plac Piłsudskiego. Matylda milczała, poruszona tym, co zobaczyła. Niebo było wysokie, szare. Nie było nawet szczeliny, przez którą mogłoby się przebić słońce. Drżała z zimna, wiatr szarpał na wszystkie strony jej długie włosy. Igor siedł zamyślony, paląc papierosa.

– O czym myślisz? – zapytała w końcu.

– A, o takich tam... Szkoda gadać.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem dostatecznie skomplikowana, by pojąć twoje męki egzystencjalne...

– No co ty! Jakie tam męki. Gapiłem się na te wróble.

Matylda czekała, że powie coś jeszcze, ale najwyraźniej już zakończył. W milczeniu dotarli aż do Moliera. Nie miała pojęcia, dokąd się kierował, ale nie chciała zadawać ciągle tych przyziemnych pytań. Zamiast tego zagała:

– A wracając do wystawy... Nigdy bym nie przypuszczała, że Romowie nadal są aż tak dyskryminowani!

– Wiodą inny tryb życia. Takich zawsze uważa się za groźnych. Czytałaś „Innego” Kapuścińskiego?

– Nie...

– Fajnie pisze o tym, jak widzenie jednego człowieka przez drugiego odbywa się zawsze przez pryzmat koloru skóry, narodowości, religii. Tymczasem, aby lepiej poznać siebie, musimy poznać innych, bo to oni są zwierciadłem, w którym się odbijamy. Ja jestem wrogiem wszelkich klasyfikacji, religii, instytucji...

– Jakich instytucji?

– Wszystkich! Takich jak państwo, prawo, szkolnictwo. – I po chwili dodał, patrząc Matyldzie w oczy: – Małżeństwo. Instytucje zabijają wolność człowieka. Wprzęgają go w tryby maszyny, w której nigdy nie chciałbym się znaleźć.

– Słyszałam już takie opinie. Od kolegi w liceum. Szesnaście lat temu...

– Ale taka jest prawda, Matyldo. – Igor aż przystanął. – Gdy taki gnojek jak ja postanawia poświęcić się twórczości, nie powinien myśleć o zakładaniu rodziny, bo to się wzajemnie wyklucza.

– Rozumiem, że rozmawiamy teoretycznie – zaryzykowała Matylda. – Więc powiem ci, że chyba przesadzasz... Nie, żeby cię nakłaniała do zakładania rodziny... – Matylda zaplątała się i umilkła. Zapadła niezręczna cisza.

Doszli do Krakowskiego Przedmieścia, wymieniając jakieś zdawkowe uwagi. W Matyldzie narastało nieprzyjemne wrażenie, że Igor czuje się... osaczony? A może popadała w paranoję... Jakże się zdziwiła, gdy nagle zapytał, czy nie pojechałaby do niego. Do tej pory spotykali się tylko u niej. Ta niespodziewana propozycja, która wzbudziła u Matyldy nowe nadzieje, straciła nieco ze swej wagi, gdy Igor wyjaśnił, skąd ta nagła zmiana. Po prostu skończył obraz i chciał go pokazać. Tak czy inaczej, była uszczęśliwiona.

Pociągnął ją za rękę w stronę placu Zamkowego. Zaczęło mżyć. Dotarli do ruchomych schodów na skarpie. Zjechali. Na dole przebiegli na drugą stronę jezdni i wsiedli do tramwaju jadącego na Pragę. Matylda wieki nie jechała tramwajem. Cudownie było tak jechać, trzymając się

za ręce i ukradkiem dotykając. Igor spotkał znajomego o zamglonych, chytrych oczkach, wyglądającego na praskiego złodziejaska. Przyjaźnie z nim rozmawiał, jednocześnie obejmując Matyldę i głaszcząc ją po plecach, pod płaszczem. Oczy nieznajomego parę razy niedyskretnie przesunęły się po twarzy Matyldy. Wyszli przed katedrą Świętego Floriana i ruszyli Jagiellońską, obejmując się. Od czasu do czasu Igor przystawał, zwracając jej uwagę na jakiś piękny ocalały fragment architektoniczny, niezwykle widok ciężkiego nieba, zawieszonoego nad mostem Świętokrzyskim, czy monumentalność kamienic przy Okrzei.

– Spójrz, piękna kamienica, zwana „pod Sowami”. Zaprojektował ją Henryk Stiefelman. Fajny ma ten wykusz basztowy. Tu gdzie teraz jest apteka, przed wojną była znana knajpka Kronenberga. A tam, na końcu ulicy, przy samym Wybrzeżu Szczecińskim, gdzie teraz znajduje się Pałacyk Ślubów, wiesz, budynek z tympanonem z płaskorzeźbą autorstwa Tomasza Acciardięgo. Zwróć uwagę. Posejdon ciągnięty przez trytony. Z tysiąc osiemset dwudziestego któregoś roku. To się nazywało praska komora wodna i stanowiło siedzibę urzędników Wydziału Mostowego. Siedzieli tam goście, którzy sprawowali nadzór nad mostem łyżwowym, wiesz, pobierali opłaty, kontrolowali poziom rzeki i takie tam...

– Jakim mostem łyżwowym? Nie mostem Kierbedzia? – spytała Matylda czysto kurtuazyjnie, albowiem myślami była zupełnie gdzie indziej.

– Zanim wybudowano most Kierbedzia, był tu most łyżwowy, który łączył Bednarską z Szeroką, dziś Kłopotowskiego. A patrz tam, to budynek dawnej mykwy. Obok stała Synagoga Praska, która ocalała w czasie wojny, ale rozebrały ją komuchy. W ogóle, przed nią w tym miejscu była dawna bożnica. Zresztą, na terenie podarowanym przez Berka Sonnenberga. Czy jakoś tak...

– Mógłbyś pogadać o tym z moją siostrą. Ona uwielbia historię warszawskiej architektury. Igor uśmiechnął się i przytulił ją mocniej. Szli ciasno objęci. W pewnym momencie Igor znów coś jej pokazał, a potem dodał:

– W ogóle większość tych budynków należała do Żydów. Ta część Warszawy aż tętniła życiem. Chyba taką najsłynniejszą postacią był Szmul Zbytkower, bardzo zasłużony facet. Jakoś na początku dziewiętnastego wieku dostał od Stanisława Augusta w dzierżawę Targówek. Tam założył osadę, do dziś zwaną Szmulowizną. Potem został mianowany przedstawicielem wszystkich Żydów Rzeczypospolitej. Podczas rzezi Pragi w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym uratował wielu praskich mieszczan od śmierci, wykupował dzieci z rąk Kozaków i takie tam. Do jego potomków należą znane rody Pragierów i Bergsonów, w tym Henri Bergson. Innym znanym potomkiem był Michał Bergson, warszawski bankier, zwolennik nurtu asymilatorskiego wśród społeczności żydowskiej w Warszawie. Ty też masz chyba jakąś domieszkę krwi żydowskiej? – Zatrzymał się i w skupieniu wodził palcem po jej brwiach i kościach policzkowych, niczym rzeźbiarz studiujący rysy twarzy swojej modelki. – Masz takie piękne oczy, jasne, a w tak ciemnej oprawie. – Nie nosił rękawiczek, ale dłonie miał ciepłe. Matylda starała się zachować choć odrobinę rozsądku. Z wysiłkiem odrzekła swoim normalnym głosem:

– Moja babka od strony ojca była Żydówką. U mojej siostry to pochodzenie jest bardziej widoczne, ale chyba dlatego, że ma po prostu ciemne włosy. Jej ojciec był Francuzem. Ale zwiął.

– To ona jest twoją siostrą przyrodnią?

– Tak naprawdę to cioteczną, ale jesteśmy jak siostry rodzone. – Ściskali się za ręce, przechodząc na drugą stronę ulicy. W końcu dotarli do bramy domu, w którym mieszkał Igor. Matylda rozglądała się z zachwytem. Wszystko zdawało się magiczne i nierealne, jakby posiadała nagle zdolność postrzegania świata oczami Igora. Każdy szczegół wydawał się jej uroczy i intrygujący, wszystko zaczęło nabierać głębszego znaczenia.

Dostojna secesyjna kamienica była wprost cudownie zrujnowana i odrapana. Na środku wewnętrznego dziedzińca stała mała Madonna. Wokół było pełno kwiatów i pozapalanych świec. Dwójka umorusanych chłopaków ciągnęła gdzieś stary piecyk.

Mieszkanie Igora było w oficynie. Weszli po drewnianych, rozwalających się schodach na trzecie piętro. Igor otworzył drzwi dziwnym, pojedynczym kluczem. Trzymając się za ręce, minęli ciasny korytarzyk i znaleźli się w czymś, co zapewne służyło i za pracownię, i za sypialnię,

i za pokój dzienny. Na szczęście pomieszczenie było ogromne i bardzo wysokie. W rogu stał wielki kaflowy piec. Biło od niego miłe ciepło. Pierwszą czynnością, którą wykonał Igor, było otworzenie metalowych drzwiczek i wsunięcie do pieca dwóch kawałów drewna, leżących bezpośrednio na podłodze.

Matylda rozglądała się po pomieszczeniu z szeroko otwartymi oczami. Pod ścianą stało kilka płócien przykrytych białym prześcieradłem. Jedno z nich zostało wyeksponowane. Stało nieukończony na wielkiej sztaludze. Było ogromne, miało ze dwa na trzy metry. Przedstawiało hiperrealistyczną wizję niezwykłego skrzącego się zimowego krajobrazu. Biel i srebro dosłownie raziły i biły w oczy. Na środku trzech Rosjan tańczyło kazaczka, żonglując butelkami siwuchy. Na środku stała trzymająca się za głowę księżna i mały kucyk.

Uderzało bogactwo faktur. Obraz był pokryty pasmami materiałów. Rosjanie okutani byli w prawdziwe futra. Garbusek pokryty był sierścią. Śnieg skrzył się i mienił, gdyż dodane były do niego jakieś złote i srebrne drobinki. Twarze ludzi malowane były realistycznie, ale były jakieś niepokojące, niczym ze złego snu.

– Co to? – wykrztusiła Matylda. – Niesamowite.

– To będzie mój cykl stereotypów. Idealistyczna wizja Rosji, tak jak ją postrzega Zachód.

A zgadnij, co będzie na wizji arabskiej?

– Arabskiej? A nie konkretniej?

– No właśnie nie.

– To genialne. Te twarze są malowane?

– Pod spodem są stare fotografie. Jak Gerhard Richter. Znasz? To tylko zabawa z formą, którą ktoś już kiedyś zrobił. Lubię zabawę z fakturami, ready made'y, odpady i tym podobne.

– Coś mi się obilo. – Matylda chodziła po pracowni. – A to? Ale to obrzydliwe...

Na drugiej ścianie wisiało wielkie dziwne coś, co wyglądało jak kawał skóry czy żywej tkanki w ogromnym powiększeniu. Było to przecięte przez środek, płaty „skóry” rozchodziły się na boki. Po prawej stronie z „instalacji” wystawał gigantyczny, poskręcany, czarny drut.

– Włos w powiększeniu jeden do stu tysięcy – wyjaśnił Igor. – Ta praca jest jeszcze nieskończona, nazywam ją mikroświaty. Zakładam, że i my jako planeta, a nawet cały Układ Słoneczny, jesteśmy tylko komórką, atomem, neuronem, kwantem czy kwarkiem jakiejś większej całości, jakiegoś dużego organizmu. Funkcjonujemy wewnątrz czyjegoś układu, mamy w genach podświadomą wiedzę cywilizacyjną pochodzącą z tego giganta, w którym żyjemy. A w nas samych też funkcjonują maleńkie mikroświaty, każda nasza komórka, każdy atom może zawierać miliony układów słonecznych. Ten włos wygląda jak poskręcany konar. Wszystko w naszych światach jest budowane na podobną modłę, kształty powtarzają się. Elektryki krążą wokół jąder atomów, niczym satelity wokół planet. To chcę pokazać w moich mikroświatach.

Mówiąc to, zdjął z siebie bluzę i założył ręce na piersi. Matylda obserwowała go ukradkiem. Stał, wpatrując się w swoją pracę niewidzącym wzrokiem. Był nieogolony, w zwykłym, spranym, szarym podkoszulku i luźnych, denimowych spodniach, lecz wyglądał tak pociągająco i nierealnie, że Matyldzie zdawało się momentami, że nie może istnieć naprawdę.

By nie zdradzić się ze szczerem, próbowała skupić się na jego pracach. Rozglądała się więc po surowym, jasno doświetlonym wnętrzu. Trzy gigantyczne okna były niczym nieprzesłonięte. Dwa wychodziły na studnię, trzecie znajdowało się w kuchni, która leżała po przeciwnej stronie mieszkania, lecz ściana została rozbita, dając ogromną przestrzeń. Na parapetach leżało mnóstwo czasopism. Pod ścianą stał regał, a właściwie sklecone półki uginające się pod stertami książek i płyt.

Wszędzie wały się brudne szklanki, butelki po winie i popielniczki pełne petów. Na drugiej ścianie, na którą Matylda jeszcze nie patrzyła, wisiał prosty komiksowy obraz przedstawiający uproszczoną popielniczkę najeżoną petami. Matylda przyglądała się temu z zachwytem. Igor dostrzegł to i rzekł:

– Parodia Sasnała... A myślałaś, że to prawdziwy?

– Nie, no, nie. A właściwie to nie wiem, może kupiłeś w czasach, kiedy jeszcze nie był popularny...

– Nie jestem kolekcjonerem... – Przyciągnął ją do siebie z nieprzeniknioną miną.

– Rozumiem, że studenci ASP uważają, że Sasnal jest słaby?

– Może nie to, że słaby, ale że maluje pod publiczność...

Matylda odsunęła się od Igora i przyglądała obrazowi, jakby nieprzekonana.

– Myślisz, że jestem małym zazdrośnikiem i wkurwia mnie, że Sasnal trzepie kasę, a ja nie? Co? – Uśmiechał się przewrotnie.

Matylda, dość prostolinijna, nie umiała potakiwać, kiedy tak nie czuła, wybrała więc milczenie.

– Jego wadą więc jest to, że jego obrazy się sprzedają? – zaczęła powoli, z namysłem. Nie miała wprawdzie zdania na temat malarstwa Sasnala, ale...

– Nie! Chodzi o sztuczne tematy! Pod gusta zachodniej publiczności...

Matylda patrzyła nieodgadnionym wzrokiem. Igor z jeszcze większym żarem podjął:

– Na przykład, „że Polacy wciąż piją coca-colę”? Co to niby, kurczę, ma oznaczać?! Mamy kapitalizm od siedemnastu lat! Moi koledzy jeszcze pamiętają, jak zbierali puszki po coli, żeby trzymać w niej ołówki! Polakom nie obrzydł konsumpcjonizm aż tak, żeby przedstawiać to w ten sposób!

– Może to była ironia...

– Nie! On ciągle przedstawia takie pseudolewicowe, głodne kawałki...

– To dlaczego się wybił?

– Nie wiem, chodź tu do mnie wreszcie – wymruczał w jej włosy.

– Szkoda, że tak kompletnie nie znam się na sztuce – szepnęła Matylda z rozbrajającą szczerością, podnosząc na niego oczy. Odgarnął jej włosy oburącz i zebrał je z tyłu głowy, ściskając mocno jedną ręką. W szarym, intensywnym świetle dnia widziała każdy szczegół jego twarzy. Patrzył jakoś tak namiętnie, ale i poważnie, że serce Matyldy wezbrało falą szczęścia absolutnego.

Tego samego dnia, wieczorem, siedziała bez ruchu w małym salonie, w segmencie swoich rodziców na warszawskim Żoliborzu. Patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem. Wiatr ustał, lecz było bardzo ponuro. Mżyło. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Panowało przenikliwie zimno. Zimno zakradało się każdą szczeliną ubrania, gdy Matylda wybiegała od Igora w rozchełstany płaszczu. Teraz czuła, że mogła się przeziębnić.

Siedziała skulona w staroświeckim, głębokim fotelu obitym jedwabiem w różyczki, pod wysoką lampą z materiałowym abażurem obszytym długimi frędzlami. Bezwiednie wodziła ołówkiem po własnym nosie. Nie została u Igora na noc, bo nie chciała zanadto mu się narzucać. Powiedziała, że jedzie jeszcze do rodziców. Nie zaoponował.

Coś ją męczyło, a przecież nie było ku temu przyczyn. A jednak. Dopóki nie będzie miała absolutnej pewności, że on... Dawniej uważała siebie za osobę postrzeloną, niepraktyczną. Teraz czuła się bardzo, ale to bardzo trzeźwo myśląca, kalkulująca. W tym stanie ducha zaskoczyła ją matka, która weszła do salonu z filiżanką herbaty. Oczy jej, niczym rentgen, prześwietliły duszę Matyldy.

– Widziałaś się z Hanną? – spytała matka z innej beczki, sadowiąc się naprzeciwko niej. Były do siebie bardzo podobne. Nie tylko fizycznie. Rozumiały też w lot wszystkie wzajemne niedomówienia.

– Nie wiem, co u niej, ale już w to nie wnikam. Znacie moje zdanie na ten temat, nic się nie zmieniło – Matylda wojowniczo założyła ręce na piersi w obronnym geście.

– No, jeżeli tam nic się nie zmieni, to być może masz rację. – Matka odstawiła filiżankę na mały stolik i upinała na nowo popielate, lśniące włosy.

– A co tam się może zmienić? – wykrzyknęła Matylda. – On się nie zmieni. Chamem jest i chamem pozostanie, jak jego ojciec, jak ich dziadek, taksjarsz z Wołomina.

– Jesteś bardzo młoda i patrzysz na to inaczej – powoli odpowiedziała matka – co też jest naturalne. Gdyby wszyscy od razu byli starzy i mądrzy, nikt nie odważyłby się na przewrót w swoim życiu i każdy by tak tkwił. A jednak czasem warto posłuchać rady tych, co już to i owo przeżyli.

– Uważasz, że powinna z nim siedzieć do końca swych dni tylko dlatego, że on ma pieniądze – uśmiechnęła się Matylda.

– Pieniądze na ogół nie są złą rzeczą w życiu – odwzajemniła uśmiech matka. – A ich brak na ogół zabija nawet prawdziwą miłość. Zobacz, jakie fajne zdjęcia wygrzebałam – wzięła coś z szufladki stolika i podała Matyldzie.

– Ja i Hania w Piaskach? Który to rok? – Matylda oglądała czarno-białe zdjęcie w świetle lampy. Na zdjęciu mała Matylda w samych majteczkach kucała obok leżaka. Jej ramiona obejmowała śliczna starsza dziewczynka z czarnymi kucykami, ubrana w mały, jednoczęściowy opalacz.

– Zobacz na odwrocie. Chyba '79. Jak byłaś mała, zawsze głośniej płakałaś od Hani i bardziej się dopominałaś o zabawki. Ty narobiłaś hałasu, a zawsze ona ładowała z zabawką jako ta grzeczniejsza, która mniej płakała – rzekła matka i spojrzała na nią jednym ze swych nieodgadzionych spojrzeń, a następnie zabrała pustą filiżankę i poszła odnieść do kuchni.

– O co ci chodzi? – Matylda pobiegła za nią gnana jakimś wewnętrznym gniewem.

– O nic – odparła matka, uśmiechając się z uniesionymi brwiami.

– Nie no, mówże jaśniej – wołała Matylda, krążąc za nią po kuchni.

– Podnieś, co zrzuciłaś – łajała ją matka.

Na ostrzu noża

Paweł Wencel starannie zaparkował samochód niemalże pod samym budynkiem, w którym mieściła się jego kancelaria. Był podwójnie zadowolony, gdyż udało mu się ubiec jakiegoś podejrzanego wyglądającego typka, najpewniej ćpuna, który zasadał się na to miejsce swoją rozklekotaną, kolekcjonerską landarą.

Wysiadł, postawił kołnierz płaszcza, wziął teczkę i z naburmuszoną miną ruszył w stronę bramy, nie obdarzając ani jednym spojrzeniem wykolczykowanej kreatury, która z bezczelnym uśmiechem śmiała mu się przyglądać z zagraconego wnętrza potężnej warszawy.

Wiał silny wiatr, po ciężkim niebie pędziły ołowiane chmury, od czasu do czasu przebłyskiwało słońce. Było zimno, około dziesięciu stopni powyżej zera, a silny wiatr jeszcze potęgował to niemiłe odczucie.

Paweł był względnie zadowolony. Mimo że z Hanną nie pogodził się w pełni, albowiem ciągle boczyła się na niego, uzyskał zapewnienie, że po przyszłym weekendzie wyjadą razem do Egiptu. Wciąż tkwiła w nim uraza o to, że nie przebaczyła mu od razu, pocieszał się jednak, że jakoś się udało tę sprawę między nimi załatać.

Ociężałe wspinał się po marmurowych schodach. Robert co do jednego miał rację. Warto było się tu przenieść. Teraz z kamienną twarzą będzie można solić słone stawki. Majestatyczne wnętrza działa magicznie przy ustalaniu stawki godzinowej. Klient nawet nie beknie, gdy usłyszy dwieście pięćdziesiąt euro za godzinę. I przychylniej niż w ciągu ostatnich miesięcy usposobiony do wieloletniego wspólnika, którego w chwilach wielkiego upojenia alkoholowego nazywał czasem nawet przyjacielem, Paweł przekroczył dębowy próg swojej kancelarii punkt dziewiąta.

Już z oddali usłyszał podniesiony głos Roberta, dobiegający z pokoju aplikantów. Zastrzygł uszami. Jakaś awantura? Może wreszcie poszedł po rozum do głowy i zacznie sprawdzać bzdury, jakie wypisywali? Może któregoś na czymś przyłapał? Nie zdziwiłby się. Młode pokolenie, kształcone po '89, to zgraja idiotów. Nie czytają książek, gazet, prasy fachowej. Więcej nawet. Nie znają zasad ortografii, interpunkcji, robią błędy stylistyczne. Nie dalej jak przedwczoraj jeden kretyn wpisał w umowie „Austriacy”. „To od ryja?” – warknął Paweł, rzucając mu umowę na biurko. Kałmuk dobrą chwilę głowił się, w czym rzecz. W końcu Paweł położył palec na tym słowie, aż głęb zaskoczył. A jak się kajał, jak udawał, że się pomylił. Literówką to nazwał.

Na dzień dobry chcą zarabiać pięć tysięcy złotych na rękę, podczas gdy ich wkład w przychody jest zaden. Sami powinni płacić. Jak przed wojną. Edukacja też kosztuje. Obiboki udają, że pracują, a gdy żadnego z właścicieli nie ma, łażą, chichoczą albo surfują po sieci. I tylko on jest złym policjantem, tylko on zwraca uwagę, pilnuje ładu i hierarchii starszeństwa. Gdyby nie jego zdecydowany sprzeciw, Zagajewicz byłby na „ty” ze wszystkimi młodymi aplikantkami.

Paweł wyszarpnął rękę z rękawa płaszcza i powiesił go w wielkiej szafie. Podszedł do kontuaru. Chuda, drobna dziewczyna z recepcji z szacunkiem uniosła się na krzesło, usługowym gestem podsunęła mu dzisiejszą korespondencję, prasę i coś do podpisania. Porządna dziewczyna. Zawsze wszystkiego dopilnuje i, co najważniejsze, dzień w dzień jest na miejscu punktualnie za piętnaście ósma. Żadnych fochów, żadnego spoufalania się, zna swoje miejsce, jest miła, grzeczna i skromna. Pawła aż cholera bierze, gdy widzi, jak nią pomiatają te głupie pindy – aplikantki. Myślą sobie, że są tutaj takie ważne. Utrze im nosa kiedy tylko nadarzy się okazja, oj, utrze. A nadarzy się, niestety, prędzej niżby Paweł tego chciał.

Paweł skinął dziewczynie głową i gestem dał znak, by usiadła. Ze zmarszczonymi brwiami studiował korespondencję.

– To ma iść z dzisiejszą pocztą? – mruknął pod nosem burczącym głosem.

– Tak, panie mecenasie. Potrzebny będzie też podpis mecenas Zagajewicza i mecenas Zyberta, a mecenas Zybert będzie dopiero po jedenastej.

– No właśnie, bo mogłem to podpisać wczoraj.

– Tak, ale nie było sensu, bym wchodziła i przerywała spotkanie, skoro i tak wczoraj nie było mecenas Zyberta. Mogło poczekać do dzisiaj.

– Tak, już rozumiem. Bardzo się chwali, że myśli pani o takich rzeczach – wyraził komplement burczącym, ponurym tonem. – Pani poprzedniczka nie była taka przewidująca. Jestem zadowolony z pani pracy i znajdzie to odzwierciedlenie w listopadowej pensji – mruknął pod nosem i rzucił jej coś, w czym tylko bystry obserwator dopatrzyłby się uśmiechu.

Usłyszawszy komplement od najbardziej oschłego i surowego z mecenasów, dziewczyna aż poczerwieniała z radości.

Paweł spiesznie się oddalił i być może już żałował tego spontanicznego porywu. Koniec końców, powinien takie rzeczy uzgadniać ze współnikami. Ruszył korytarzem w stronę swojego gabinetu. Mijając drzwi pokoju aplikantów, znów usłyszał podniesione głosy, lecz tym razem już nie wydawały mu się groźne. Stał pod drzwiami i zastanawiał się, czy wejść i interweniować, gdy nagle usłyszał zbiorowy rechot. Zdziwiony uchylił drzwi. Ujrzał Zagajewicza, który siedział przy komputerze jednej z aplikantek. Dookoła niego stał wianuszek kobiet. Z zapartym tchem oglądali coś w Internecie. Nagle gruchnęli głośnym śmiechem. Najgłośniej i najdłużej ryczał Robert Zagajewicz. Popłakał się ze śmiechu. Już nawet kiedy kobiety przestały się śmiać i popatrywały na siebie znacząco, Zagajewicz nadal rżał, jakby coś go opętało. Paweł już chciał się dyskretnie wycofać, gdyż wolał dziś nie zaczynać dyskusji na ten jeszcze temat, temat, który stale ich poróżniał, gdy jedna z aplikantek rzuciła głośno:

– Dzień dobry, panie mecenasie.

Śmiech urwał się jak nożem uciał. W pośpiechu wróciły na swoje miejsca. Zagajewicz jeszcze wył ze śmiechu, jednak słychać było, że zmuszał się do tego, nie chciał bowiem stracić twarzy przed pięcioma młodymi kobietami, okazując, że ugiął się pod potępiającym wzrokiem kolegi.

– Paweł, chodź tu, musisz to zobaczyć, uhaahah – wyjęczał, trzymając się za oponkę na brzuchu, ukrytą pod elegancką koszulą. Miał podwinięte rękawy koszuli, wystawały mu owłosione, wielkie łapy, przeguby dłoni zdobił masywny, srebrny zegarek i srebrna bransoleta. Jedna z prawniczek, pani Luiza Gilis, która pracowała u nich od niedawna i Paweł podejrzewał, że długo też nie popracuje, patrzyła na Zagajewicza jak na niesforenego narzeczonego.

W Pawle zawrzało. Musiało się to odbić na jego twarzy, bo w pokoju przycichło. Pani Gilis usiadła i zaczęła stukać w klawiaturę. Pani Różewicz, z mądrze zmarszczonym czołem, poślinionym palcem wertowała kartki. Pani Mazur zajadłe poszukiwała czegoś w dolnych szufladach szafki. Paweł, nie chcąc pogarszać sprawy, mruknął:

– Prześlij mi mailem, później zobaczę, mam pilną robotę. – I wyszedł z sali. Skręcił w lewo i ruszył do swojego gabinetu. Zanim podłączył laptop, do pokoju wleciał Robert.

– Stary, jesteś potwornie staroświecki. Nie dziwne, że masz zawsze taki zły humor, skoro nie jesteś w stanie czerpać z tego, co życie ci niesie w podarunku...

– Co ty pierdolisz, Robert? Mówże do rzeczy, jestem zajęty. – Paweł szybko wstukiwał hasło, uruchamiał pocztę, sprawdzał maile.

– Mówię o tym, że może z żoną się poróżniłeś, ekhm, i chodzisz wkurwiony jak czort, a znów odrzucasz okazję, ekhm, bliższego poznania jednej z pięciu pięknych, inteligentnych, a co najważniejsze, wdzięcznych. Albowiem zaprawdę powiadam ci, chłopie, nie ma lepszej cechy u kobiety niż wdzięczność. To najsilniejszy afrodyzjak, stary. Właśnie wdzięczność. Wdzięczność działa na kobietę tak, jak na mężczyznę długie nogi w minispódnicze, jak obcisła...

– Stary – Paweł podniósł się z krzesła i wyprostował do swego pełnego metra osiemdziesięciu ośmiu centymetrów. – Masz swoje życie, ja mam swoje. Ty dmuchasz na lewo i prawo – ja nie. Ja nie komentuję twojego postępowania. I ty więc nie oceniaj mojego. Jesteśmy kumplami, to na pewno. Ale niech każdy robi porządek w swoim kurniku. A kontynuując nomenklaturę agrarną, jeśli chodzi o wspólne poletko, które wspólnie obrabiamy – tu Paweł zawahał się przez moment. Wstał i obmacał kieszenie. Znalazł paczkę cygaretek. Otworzył pudełko, wyjął jedną. Zapalił. – To powiem ci, że tutaj ja z kolei mam pewne wątpliwości. Uwagi – poprawił się i wydmuchnąwszy chmurę błękitnego dymu, przespacerował się do okna. Wyglądało, jakby nad czymś się zastanawiał. W końcu zebrał myśli i powiedział:

– Przywykłem grać rolę złego policjanta dopóty, dopóki ty grasz rolę dobrego. Ale twoja

postawa wykracza poza tę rolę. Twoja postawa sabotuje moją pozycję. Dziś czułem się niemal głupio we własnej kancelarii. Jak sztywniak, z którego wszyscy drwią. A to ty, swoją postawą, zezwalasz na drwinę z mojej osoby. Paradne, zważywszy na to, że to ja stoję na straży wspólnego dobra. Nie uważasz?

– Człowieku, nie bądźże taki śmiertelnie poważny. Stary Marian ma więcej luzu od ciebie, a ze świecą szukać większego czarnowidza od niego... Ja jestem facetem, Paweł. Widzę dziewczynki, zażartuję, pogadam... A potem wszyscy wracamy do swoich obowiązków. Jaki problem? O co ci idzie?

Paweł zaciągnął się dymem i z ponurą rezygnacją patrzył przez okno na ulicę Ordynacką. Dwóch obszczyrników ciągnęło się za kurtki, w końcu jeden mocno pchnął drugiego na maskę najbliższego samochodu. Ci przynajmniej załatwiali niesnaski od ręki.

– Nie szanują cię, wypisują bzdury, które ja potem poprawiam, bo ty nie raczysz tego zrobić. Wiedzą, że wystarczy ci zakręcić dupą przed nosem, byś darował każde przewinienie. To nie jest prowadzenie poważnego biznesu, Robert. Kiedyś coś przeoczmy i dopiero będzie. Utrata reputacji jest na zawsze!

– Gdzie tam, stary – lekceważąco machnął ręką Zagajewicz. – Utrata reputacji to może przed wojną była groźna. A teraz? Parę dni i o wszystkim się zapomina w natłoku nowych spraw... Phi.

– Bardzo się mylisz. Coś skopiesz i zaraz wszyscy o tym wiedzą. Takie informacje prędko się rozchodzą. – Zaciągnął się dymem i wydmuchnął wielką szaroniebieską chmurę. Nadal stał zwrócony w stronę okna, plecami do Zagajewicza. Pijaczki na ulicy pociągały już zgodnie z jednej flaszki, nagle dostrzegły zbliżających się policjantów, więc chwiejnym krokiem zaczęły się oddalać w stronę Kopernika.

– A zmieniając temat, wczoraj na wewnętrznym spotkaniu mówiłeś coś o tej możliwości szybkiego zarobku dla Budexprimu?

– Ano właśnie... – zatarł ręce Robert. – Kroi się nam niezły *deal*...

– Wytlumacz mi jeszcze raz w czym rzecz.

– Słuchaj więc – Zagajewicz założył nogę na nogę i nerwowo potrząsał kolaniem. – Budexprim, twój klient, ma szansę kupić od Invest Nobiscum sporą inwestycję w budowie. Jest to duże osiedle domów jednorodzinnych w Konstancinie, co najmniej dziesięć hektarów ziemi, ponad sto domów w budowie, a to wszystko luksusowe, rozumiesz, cała infrastruktura osiedlowa, fitness, baseny, przedszkola i takie tam pierdoły. – Zagajewicz mocno zaciągnął się cygaretką, prawa ręka nerwowo obracała pozłacanego Mont Blanca, którego zgarnął z biurka Pawła. – Invest Nobiscum kupiło ziemię tanio, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, zaciągnęli na zrealizowanie inwestycji kredyt, pięćdziesiąt milionów. Pieniądze są na koncie powierniczym, zresztą wszystko posprawdzamy.

Paweł odwrócił się w stronę Zagajewicza i słuchał uważnie z nieznacznie rozdętymi nozdrzami. Zagajewicz ciągnął dalej:

– Domy są jeszcze w fazie wirtualnej, ale są już pozwolenia na budowę, zatwierdzony projekt i wszelkie formalności. Domy sprzedali na pniu, po mniej więcej milion trzysta tysięcy za sztukę. Mają popodpisywane przedwstępne umowy sprzedaży, ale nie w formie aktu notarialnego. Większość ludzi wpłaciła połowę pieniędzy, niektórzy jeszcze więcej, tak więc na koncie spółki jest już koło siedemdziesięciu milionów. Przychód ma być, jak łatwo policzyć, koło stu trzydziestu, ekhm, prawda, drugie tyle. Koszty to spłacenie kredytu, tych pięćdziesięciu milionów. A więc do zarobienia na czysto jest koło sześćdziesięciu milionów. – Zagajewicz spojrział na Pawła, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobiła na nim kwota. Twarz Pawła wyrażała obojętny spokój.

– Czemu sprzedają? – Paweł strzepnął popiół i usiadł naprzeciwko współnika.

– By zarobić! – wykrzyknął Robert, a następnie teatralnie się zaśmiał, lecz twarz Pawła nadal przypominała kamienną maskę, więc Robert ciągnął: – Nie chcą się pierdolić z wykończeniami, upierdliwymi inwestorami. Miesiące poprawek, przepychanek, wydzielanie działek, odbiory domów, pozwolenia na użytkowanie, akty notarialne przeniesienia własności i tak dalej, i tak dalej. – Zagajewicz nabrał nowej pewności siebie. Rozparł się wygodnie i perorował

dalej: – Chcą zdyskontować zysk. I tak świetnie zarobią, bo dobrze to kupili. Słyszałem zresztą, że kupowali przez podstawionych, w odstępach czasu, żeby lokalni chłopci nie zorientowali się, że ziemia pójdzie pod inwestycję i żeby nie wywindowali cen. Tak więc chcą sprzedać udziały w spółce za dobrą kasę i mieć problem z głowy. Wiesz, oni mają większe interesy niż pieprzenie się z budową.

– A. Więc chcą sprzedać spółkę – Paweł zmarszczył brwi.

– Taki postawili warunek, nie chcą się pierdolić z przeniesieniem kredytu, formalnościami. Sytuacja jest czysta. Na nieruchomości jest zaciągnięty kredyt. Korzystny, bo w zaprzyjaźnionym z nimi banku, przede wszystkim bez żadnych zabezpieczeń wychodzących poza spółkę. Hipoteka na nieruchomości, poddanie się egzekucji tylko przez spółkę – Zagajewicz patrzył Pawłowi prosto w oczy. – I tyle. – Zdusił cygaretkę w dużej ozdobnej popielniczce. – Zysk dla naszego klienta łatwo policzyć. Tamci chcą zbyć udziały za jakieś dwadzieścia pięć milionów. Może można coś jeszcze wynegocjować. Tak więc nasz klient, Budex- prim, na czysto zarabia koło trzydziestu pięciu milionów. A jeszcze jak przytnie z budowy? Tańsze materiały budowlane, tańsi wykonawcy... Wielu ostrzyłoby sobie na to zęby, ale na razie nikt nie wie, że oni sprzedają – Zagajewicz chrząknął, z podniecenia zaschło mu w gardle.

Paweł milczał.

– Nie uważasz, że to dobry interes?

– Brzmi nieźle. Skąd masz na to cynk? – Paweł był pod wrażeniem.

– Mniejsza o większość. Stary Marian zna jeszcze parę osób na mieście. Czasem dobrze mieć ojca prawnika, nie? Naturalnie, ty byś się tym zajął. Po pierwsze, nieruchomości to twoja działka, a po drugie, Budexprim to twój klient!

Milczeli przez dłuższą chwilę. Ciszę przerwał Paweł.

– Co to za ludzie, ci z Invest Nobiscum? Coś mi się obilo o uszy, ale nie mam żadnych informacji, to niedobrze – drapał się w głowę Paweł. – Oczywiście, trzeba będzie wszystko posprawdzać, ale w takiej sytuacji zawsze doradzam klientowi zakup nieruchomości wraz z naniesieniami i pozwoleniem na budowę. Wtedy mają czystą sprawę.

– Chyba nie dosłyszałeś – Zagajewicz wyglądał na lekko poirytowanego. – Invest Nobiscum sprzedaje spółkę jako całość. Jak Budexprim stanie okoniem, Invest Nobiscum ma dwudziestu kupców na ich miejsce, gotowych spełnić te warunki bez mrugnięcia okiem, Paweł. Dwudziestu innych, którzy palą się, by zarobić te trzydzieści baniek. I ci inni są obsługiwani przez inne kancelarie, więc figulają na tym zarobimy, nasze znaleźne. A w ciągu najbliższych kilku lat budowy możemy mieć od nich zlecenia na jakieś dziesięć, dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Pomnóż sobie przez parę lat, ile jest do zarobienia i przestań uprawiać czarnowidztwo, bo nam ktoś to zgarnie sprzed nosa. A teraz idę, mam coś do załatwienia. – I wyszedł, zadowolony z siebie, lekko trzaskając drzwiami.

Paweł wpatrywał się w mosiężny przycisk do papieru, stojący na biurku. Do zarobienia był kawał grosza, lecz nie mógł pozbyć się dziwnego uczucia niepokoju. Wprawdzie z Robertem znali się wiele, wiele lat. Nie pierwszy raz robili razem takie transakcje. Ufali sobie...

Pospacerował po gabinecie, po czym zasiadł za biurkiem pochłonięty już tylko sprawą, którą się zajmował. Pracował bite dwie godziny. Kwadrans po jedenastej wyszedł i poprosił dziewczynę z recepcji o małą kawę i wodę mineralną. Po chwili zapukała i wniosła na pięknej cynowej tacy czarną kawę w porcelanowej filiżance oraz małą, srebrną cukierniczkę i wysoką, rżniętą, kryształową szklankę z wodą mineralną. Paweł wsypał do filiżanki maleńką łyżeczkę cukru, zamieszał i wypił duszkiem. Potem włożył opinię do koperty i wsunął do swojej teczki, wraz z laptopem i aktami sprawy, na którą właśnie zmierzał. Wstał, włożył marynarkę i wyszedł z gabinetu.

Rodzinny dom Roliczów

Babcia Wolska sprawnie wkroczyła do maleńkich delikatesów na warszawskim Żoliborzu. Mimo osiemdziesięciu siedmiu lat poruszała się szybciej niż wiatr hulający tego dnia po placu Inwalidów. Zamknęła drzwi, zanim kolejny porywisty podmuch zdołał wdrzeć się za nią do wnętrza sklepu. Postukując parasolką, zbliżyła się do lady. Mimo skromnej emerytury odziana była bardzo elegancko. Schludny ubiór był dla niej kategorią wartościującą człowieka. Organicznie nie tolerowała brzydoty i niechlujstwa. Wychowaną w przedwojennej Warszawie, pamiętającą dawną świetność stolicy Apolonię Wolską istną odrazą napawała cała powojenna rzeczywistość sowiecka. Babcia Apolonia, wychowana w duchu patriotycznym łączniczka Armii Krajowej z batalionu Parasol, przedwojenna gimnazjalistka Batorego, która dużą maturę robiła już na tajnych kompletach, nie znosiła architektury socrealistycznej, którą komuniści wypełniali puste przestrzenie, pozostałe po walkach powstania warszawskiego i późniejszych spustoszeniach niemieckich, będących wynikiem rozkazu Hitlera o zrównaniu Warszawy z ziemią. A i to nie wszystko.

Zdarzało się, co ciągle podkreślała swoim wnuczkom, że nowi, służący Moskwie władarze miasta wyburzali pozostałe „przy życiu” kamienice – choćby te przy Marszałkowskiej – w myśl wyeliminowania z Warszawy wszelkich burżuazyjnych pozostałości i stworzenia socrealistycznego monolitu – ponurego, szarego miasta bez przeszłości. I tak by się pewnie stało, gdyby nie pewien człowiek. Znowu potwierdziła się stara prawda, że historię tworzą jednostki. W tym wypadku historyczną architekturę Warszawy, choć po części, uratował profesor Jan Zachwatowicz. Jemu bowiem warszawiacy zawdzięczają cudowne ocalenie, a raczej odtworzenie Starówki.

Już w czasie okupacji niemieckiej przechowywał plany inwentaryzacyjne Starego Miasta, nad którymi jako architekt, profesor Politechniki Warszawskiej, sam przed wojną pracował. Wymusił na władzach powojennej Warszawy decyzję o rekonstrukcji Starówki, wbrew takim pomysłom jak pozostawienie gruzów jako pomnika historii, czy też całkowicie szalonemu zamysłowi zbudowania w tym miejscu nowoczesnych bloków. Już podczas odbudowywania Starego Miasta, dzięki jego chytremu fortelowi, udaremniony został pomysł Józefa Sigalina, komunistycznego szefa Biura Odbudowy Stolicy, by nie rekonstruować wschodniej pierzei Rynku, zwanej stroną Barssa. Koncepcja BOS-u, zakładająca otwarcie Starówki na Wisłę poprzez niezamykanie Rynku czwartą ścianą i sprowadzenie na dół, ku Wiśle, gigantycznych betonowych schodów, była spójna z ogólną koncepcją władz komunistycznych na stworzenie ogromnych, monumentalnych przestrzeni, po których hulało siedem wiatrów, a człowiek czuł się lichy niczym robak. Budowano wtedy MDM, trasę W-Z, a także zniechęceni przez warszawiaków sowieckie piętno, stempel komunizmu, który wrażał niczym wrzód w rdzeń miasta – hybrydę wszelkich stylów architektonicznych, dziwadło zwane Pałacem Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina.

Babcia Polcia, która знаła profesora Zachwatowicza osobiście i była wtajemniczona w jego plan, wiele razy opowiadała dziewczynom, jak to Bierut wraz z towarzyszami z BOS-u przybyli na budowę rano i okazało się, że fronty kamienic po stronie Barssa zostały zbudowane do wysokości pierwszego piętra. Przez całą noc rzemieślnicy warszawscy pod nadzorem profesora Zachwatowicza wznosili mury. Nie mogła socjalistyczna władza nie uszanować ciężkiej pracy robotników. Byłoby to niezgodne z duchem ich, nazwijmy to, filozofii. Nie mogli rzemieślnikom, murarzom i stolarzom, którzy w pocie czoła pracowali w imię sprawy – odbudowy stolicy – powiedzieć, że mają to z powrotem burzyć. Tak więc strona Barssa została, a Starówka wygląda obecnie tak, jak wygląda.

Babcia Polcia weszła do delikatesów z ekologiczną żywnością, by kupić świeżą szynkę, dobry boczek i domowe ogórki małosolne. Lubiła ten mały sklep i zawsze wstępowała tu, gdy jechała do swojej córki Anny, która mieszkała w pobliżu placu Wilsona. Stała przy ladzie i ze zmarszczonymi brwiami oglądała wystawione różowe wędliny. Coś jej się chyba nie spodobało, bo kazała sobie ukroić mały kawałek ulubionej szynki litewskiej i teraz nieufnie przeżuwała. Pani za ladą, którą Polcia znała, zwróciła się do niej z szacunkiem:

– Ma pani rację, to z piątku. Jutro jest dostawa szynki litewskiej, tej, co pani zawsze kupuje. Dziś mogę zaoferować jedynie świeżą domową polędwiczkę.

– Bez konserwantów? – z groźnie zmarszczonymi brwiami upewniała się Polcia. Nie wiedziała do końca, dlaczego konserwanty są takie groźne, za jej czasów mięso peklowało się inaczej, lecz jej córka Anna panicznie bała się konserwowanej żywności i tylko to miało dla Polci znaczenie. Jeśli chodziło o nią, uważała, że na coś trzeba umrzeć – za jej czasów ludzi prześladowała gruźlica i Sowietci, dziś były to konserwanty. Cóż...

– Naturalnie, że bez konserwantów, szanowna pani! – gniewnie wykrzyknął przebiegający z zaplecza lekko siwiejący mężczyzna, niosący wielkie pudło staroświeckich butelek z syfonami.

Polcia odprowadziła go zdumionym wzrokiem, po czym znów pochyliła się w stronę lady. Polędwiczką nie prezentowała się najlepiej i nie była też tania. Zanim zdołała podjąć jakąkolwiek decyzję, mężczyzna znów znalazł się w polu widzenia.

– Na zapleczu stoją jakieś wasze pudła, niech je pan stąd zabiera, przecież my się o nie potykamy! – wykrzyknął do drepczącego za nim pracownika, najwyraźniej dostawcy. – Widziałas, Ewa, co on nam przywiózł?! – wrzasnął poirytowany do kobiety za ladą, która przepraszająco uśmiechała się do lekko obrażonej Polci. – Wiozą z Giżycka sieję! Może następnym razem przywiezie mi pan trochę? Albo kiełbie? – wykrzykiwał do szurającego butem wąsacza. – Niech pan bierze lepsze ryby, droższe, bardziej ekskluzywne! Rozumie pan? – natarczywie domagał się siwowłosa.

Wyglądało, jakby miał ochotę wytargać wąsacza za ucho. Polcia chrząknęła z dezaprobatą. Ekspedientka, najwyraźniej przyzwyczajona do takich zachowań, zwróciła pokerowe oblicze w stronę Polci i rzekła, odkrawając kawałek polędwicy:

– Tak tylko wygląda, ale jest świeżusienka. Proszę spróbować.

Polcia, udobruchana, żuła w milczeniu i tylko co i raz niepewnie odwracała się w stronę drzwi, gdzie wcześniej stał tamten furiat. Na szczęście wyszedł ze sklepu i jazgotał na zewnątrz. Pewnie mąż tej biednej kobieciny, ekspedientki. Albo szef. Święta kobieta. Co to się z mężczyznami wyprawia, jak zaczynają się starzeć!

– Jest trudny, ale to niesamowity człowiek – zapewniła ekspedientka, odgadując myśli Polci. – To co, jednak zapakuję? – uśmiechnęła się sympatycznie.

– O tak. Bardzo smaczna – łaskawie skinęła głową Polcia. – A teraz jeszcze tych waszych ogórków. Tych małosolnych, bo te tutaj są chyba kiszzone?

– Tak, a tam pod oknem... – ekspedientka nie zdążyła dokończyć, gdy drzwi znów gwałtownie się otworzyły i dał się słyszeć znajomy jazgotliwy głos. Siwy wracał, tym razem w towarzystwie innego dostawcy, grubasa ubranego w granatowy kombinezon, taszczonego skrzynie wypełnione szklanymi butelkami z wodą.

– Niech pan zabierze stąd te plastiki! – szef sklepu krzyczał do grubasa histerycznym głosem. – No panie, patrz pan, jak one tutaj wyglądają?! – dramatycznym gestem wskazał na ustawione w rzędzie wody w plastikowych butelkach z kolorowymi naklejkami. Polcia bystrym okiem powiodła po sklepie. Faktycznie, plastiki nie pasowały tu. Wokoło stały same stare słoje, jakieś przedwojenne tabliczki z dawnym liternictwem, stare meble, same graty.

Grubas odsunął czapkę na tył głowy i pocierał grubym łapskiem spocone czoło. W końcu, nie wiedząc co odpowiedzieć, wybąkał:

– Ale schodzą, nie?

– Ale w naszym sklepie jest jakiś spójny zamysł, nie widzisz pan? One tu nie pasują – zawył siwy i potoczył błagalnym wzrokiem w stronę Polci i obojętnie patrzącej ekspedientki. Musiała widzieć takie coś wiele razy. – No, mam rację czy nie? – i zawiesił wzrok na twarzy Polci. Ta, zniecierpliwiona przeciągającą się sceną, z brutalną szczerością odezwała się do siwego amatora starodawnego sklepikarstwa.

– Koncepcja jest słuszna, ale kijem pan Wisły nie zawróci. Jest pan samotnym don Kichotem i walczy pan z wiatrakami. Zdrowie pan na tym straci. Niech pan lepiej zapakuje mi kilo tamtych ogórków, są bardzo smaczne. – I nie odzywając się więcej do nikogo, zniecierpliwiona, że musiała się tyle nagadać przy kupowaniu ogórków, Polcia zaczęła

przepatrywać swoją torebkę w poszukiwaniu portmonetki.

Zdegustowana, ruszyła w kierunku ulicy Kozińskiego, przy której mieszkali Anna i Edward. Mieli tam ładny segment. Ładny, ale strasznie się trzeba nalatać po schodach. „Jak w wieży zamkowej” – myślała Polcia, naciskając guzik dzwonka przy furtce. Zabrzęczał domofon, drzwi otworzyły się. Polcia ruszyła alejką między gęstymi krzewami. Weszła po małych schodkach i otworzyła pomalowane na biało drzwi.

Przywitała ją zaspana Anna. Ze zdziwieniem uniosła brwi, widząc, jak matka triumfalnie macha torbą wypełnioną jedzeniem. Pomogła jej zdjąć kremowy płaszcz i mały toczek oraz brązową apaszkę z motywem końskim, po czym ruszyły do kuchni. Tam Anna machinalnie przystąpiła do parzenia kawy. Polcia rozsiadła się za wygodnym dębowym stołem i krytycznie rozglądała po kątach. Nagle wetknęła palec do doniczki.

– Zaszysz te storczyki. Nie masz ty ręki do kwiatów – westchnęła i dyskretnie zlustrowała twarz córki.

– Jeszcze spałaś? O tej godzinie? W tym wieku trzeba się budzić umalowanym, mówię ci. Uważaj, uważaj na Edka, różne rzeczy się zdarzają mężczyznom w tym wieku... – rzuciła złowieszczo.

– Chyba żartujesz, mamó – lekko zniecierpliwionym głosem odparła Anna i szczerzej opatulila się szlafrokiem. Grzała na gazie mleko do kawy. – Gdzie mu w głowie takie rzeczy. To już nie te lata. – Szybкими, precyzyjnymi ruchami ustawiła przed matką filiżankę z kawą, mleczko i cukiernicę.

– Broń cię, Panie Boże, nie słodzę od dwudziestu lat! – wykrzyknęła Polcia.

– A, prawda – Anna usiadła naprzeciwko matki. W milczeniu popijały kawę z mlekiem. Matka miała idealnie wyondulowane srebrne włosy, delikatnie narysowane brązowe brwi i pociągnięte odrobiną pudru policzki. Pomarszczoną szyję zakrywał gołębi golfik.

Na jej dostojnym obliczu malowała się źle skrywana dezaprobatą związana z faktem, że Anna nie była w pełnym rynsztunku o tak „późnej” porze. Anna udawała, że tego nie dostrzega i z wymuszoną pogodą zagaiła z innej beczki:

– Matylda przywozi faceta do Krzyży – i znacząco podniosła brwi.

– Tego artystę? To jednak coś z tego będzie? – Zmęczona, przywiedła karnacja Polci nabrała żywszych tonów, powleczone starczą mgielką oczy rozbłysły młodzieńczo.

– Chłopak podobno ekscentryczny, ale miły. Zdaje się, że Matylda pograżona po uszy.

Milczały chwilę, myśląc najprawdopodobniej o tym samym i czekając, aż któraś powie to na głos. Jednak żadna nie kwapiła się pierwsza podjąć tematu. W końcu odezwała się babcia, z natury mniej dyplomatyczna i bardziej popędliwa.

– Niech ona tak na niego nie napiera, niech to on się koło niej porządnie zakręci.

– A skąd ci przyszło do głowy, że Matylda na niego napiera? Po co mówić takie rzeczy? – Wzburzona Anna odstawiła filiżankę i gniewnie patrzyła na matkę. Sęk w tym, że myślała dokładnie to samo.

– Znasz Matyldę! Jak się na coś uprze... Ja tylko mówię, bo wiem, jacy są mężczyźni. A dobrze by było, żeby się kochana dziewczynka jakoś ustawiła. Ma już trzydzieści jeden lat, bój się Boga, Aniu! Ty w jej wieku...

– Matko święta, daj cierpliwość! – Anna poderwała się gniewnie i z brzdękiem zaczęła zbierać naczynia.

– A co u naszej Hani? – babcia prędko zmieniła temat. Dobrze wiedziała, co poprawi córce nastrój. Narzekanie na małżeństwo Hani bez reszty wypełniało niejedno ich wspólne popołudnie. Temat zawsze był pasjonujący, jednak nie na tyle osobisty, co w przypadku prawdziwej córki – Matyldy.

– A, daj mi spokój z tą naszą Hanią. Sama nie wie, czego chce – machnęła ręką Anna. – Ja już jej mówiłam swoje zdanie: jeśli nie widzisz szansy pojednania, rozwiedź się z nim. Ale prawda jest taka, że Hanka ma wymagania z kosmosu. Ten Paweł może nie jest szczególnie przystojny, straszny z niego mruk i zazdrośnik...

– Ja jej to mówiłam od początku, jak tylko go zobaczyłam, pierwszego dnia! Kredą ci

będzie buty znaczy! Te słowa jej powiedziałam, jak tylko go zobaczyłam.

– No, ale pamiętasz, w jakim ona była stanie! Wykończona psychicznie po tym Włochu. Włosi. Ci to są dopiero gagatki!

– U nas masz to samo! Myślisz, że Polacy są inni? Ha! – triumfalnie zaśmiała się babcia, aż Anna drgnęła nerwowo, albowiem nie spodziewała się tak gwałtownego, nagłego dźwięku. – Też romansują, kłamią jak z nut. Mojej Miry córka miała to samo! Trzy lata spotykała się z mężczyzną i nie miała, proszę ja ciebie, pojęcia, że on żonaty, że normalnie drugi dom prowadzi! Ty wiesz, co ona przeszła? A jeszcze jakie miał wymagania seksualne, ty wiesz – babcia Polcia ściszyła głos do szeptu – co on jej kazał robić? Lustro zawiesił na...

– A daj mi święty spokój, mamu, co ty opowiadasz! Córka Miry musi być starsza ode mnie! Takie rzeczy dzieją się w życiu starszej pani? – ucięła Anna przerażona. – Może zjesz śniadanie?

– A broń Boże! Jadłam u siebie! Co ty myślisz, że ja jedzenia w domu nie mam?

Córka znów dołała kawy. Milcząc, popijały. Te leniwe chwile zawsze nastrojały je do rozmów o bliższych i dalszych krewnych. Najwyraźniej temat Hanny nie został wyczerpany, bo nagle Polcia podjęła stroskanym głosem:

– Coś tam musi być nie w porządku z tym Pawłem. Jak ich ostatnio widziałam, zaraz, zaraz, kiedy to było? Na urodzinach Edka?

– Od tak dawna nie widziałas Hanny? – zdumiała się Anna.

– No, a kiedy miałabym ją widzieć?! – zakrzyknęła Polcia. Pierwotny temat rozmowy chwilowo im umknął, zawsze wprowadzały obszernie dygresje. – Do was przyjeżdża od wielkiego dzwonu i to też zawsze umawia się tylko z Edkiem, nie z tobą – tu Polcia odczekała moment, ale widząc, że Anna nie zamierza podejmować tematu, kontynuowała swoją myśl – więc skąd mam wiedzieć, kiedy ją zastać? Do mnie nigdy nie zadzwoni. Toż nawet ta zabiegana Matylda znajdzie czas, żeby od czasu do czasu zatelefonować, powiedzieć parę słów. A ile ona ma na głowie! Taką dobrą ma pracę, niełatwo dziś o taką pracę, Aniu!

Tu babcia surowo popatrzyła na Annę, ale jakby jej nie dostrzegając, patrzyła gdzieś przez nią. Najwyraźniej coś jej się przypomniało, bo odezwała się nagle dziwnie zmienionym tonem:

– Przed wojną, jak ktoś miał dobrą pracę, to ją trzymał tak – i tu babcia Polcia nagłym gestem capnęła dłoń córki, wędrującą właśnie do rurek oblanych czekoladą. Anna wydała lekki okrzyk strachu, lecz babcia ciągnęła dalej, ściskając dłoń córki starczą, nakrapianą ręką. – Mój ojciec, a twój dziadek, Julian Zawistowski, miał małą manufakturę wyrobów ceramicznych na Pelcowiźnie. Starszy majster zarabiał sto złotych miesięcznie. A kilo cukru kosztowało złotówkę. To było bardzo dużo. Nie każdy słodził, o nie. Normalne dwupokojowe mieszkanie kosztowało sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie za wynajem. Ty wiesz, jak ludzie dbali o pracę? – Babcia patrzyła pałającym wzrokiem na Annę. Córka, wychodząc naprzeciw jej oczekiwaniom, kiwała z niedowierzaniem głową. Znała już te dane, lecz żeby sprawić matce przyjemność, a także ponieważ sama czerpała z tego przyjemność, zapytała, jak dziesiątki razy przedtem:

– A ile przed wojną kosztowała bułka?

– Cztery, pięć groszy, nie więcej – machnęła ręką Polcia. – Jajko w sezonie też kosztowało cztery grosze...

– A teraz mamy wszystko przez cały rok. Pomidory, rzodkiewki, truskawki...

– A wszystko to smakuje jak najpodlejszy kartofel – dokończyła Polcia, kiwając posępnie głową.

– Świat zmierza ku końcowi. – Anna zbierała palcem okruszki ze stołu i wkładała je do ust.

– Kochana, ponoć każde kolejne pokolenie uważa, że za ich młodości świat był lepszy i że zbliża się koniec. Nas, ludzi – jak karaluchy – nie tak łatwo będzie wytępić... Choć z pewnością moje dni są już policzone. – Polcia starannie zgarnęła resztę okruszków i zsyłała je na talerz z rurkami. I zanim córka zdążyła zaprotestować lub zareagować w jakikolwiek sposób, Polcia dziarsko podjęła przerwany wątek:

– No więc zaczęłam mówić, że widziałam Pawła ostatnio na urodzinach Edka – babcia zamilkła na dłuższą chwilę, patrząc w okno.

– No, powiedz wreszcie, bo już się zaczynam bać... – Anna poruszyła się niespokojnie na krześle.

– A nic nowego. Jak zwykle ponury, mrukliwy, spięty. Mnie się zdaje, że jemu kompletnie brakuje wyobraźni... Hania ma artystyczną duszę. Ona potrzebuje kogoś trochę bardziej, *comment on dit*^[25], wyrafinowanego.

– Czy ja wiem – Anna zamyśliła się głęboko.

– Nie dla niej taka stagnacja. On jest zazdrosny, więc cały czas próbuje umniejszać jej poczucie własnej wartości. Wzroku z niej nie spuszcza...

– Z jednej strony nie ma mu się co dziwić, ona nie spocznie dopóki nie omota każdego faceta, który stanie na jej drodze. I robi to chyba nieświadomie! Czy to jakiś syndrom opuszczenia? Czy ja ją jakoś zaniedbywałam, że ma taką potrzebę udowodnienia, że jest najlepsza?

– Zawsze byłaś najsprawiedliwszą matką pod słońcem! – zakrzyknęła babcia i z brzękiem odstawiła filiżankę. – Aż miałam do was czasem żal, że własne dziecko gorzej traktowaliście od niej. Tak się zawsze starałam, żeby nie odczuła różnicy. A już nie mówię o Edku. Ten to zupełnie przez nią zawojowany. Zawsze trzyma jej stronę.

– Tak, Edek nie jest specjalnie przywiązany do Pawła. Uważa go za materialistę...

– Ależ tu akurat ma rację. Paweł myśli tylko o pieniądzach, moja kochana. A w dodatku zawsze był taki namolny w stosunku do Hani! Na początku chodził za nią jak cień. Pamiętasz u was w leśniczówce? Nie zdążyła powiedzieć, że jej zimno, a już leciał po sweter. Nie zdążyła kichnąć, a już wyciągał rękę z chusteczką. A jak przyjechał ten jego kolega, Robert, i rozmawiał z Hanią, normalnie, po przyjacielsku, prawda – tu babcia z wypiekami na twarzy ugryzła mały kawałek sernika. Zapadła chwila ciszy, bo babcia nie zwykła była odzywać się z pełnymi ustami. W końcu połknęła i ciągnęła dalej – to Paweł patrzył na niego, jakby chciał go zaatakować widelczykiem do ciasta, *mon Dieu!* Te rozdęte nozdrza, brrr. Nie dziwię się Hani. Nawet mnie, starej kobiecie, on by się nie podobał.

Anna milczała. Babcia, niezrażona, ciągnęła dalej:

– To, że jest zazdrosny, jeszcze można zrozumieć. Hanna jest zjawiskowo piękną kobietą, rzadko się takie widuje. Rasowa piękność. A zbudowana! Dla mnie aż nadto. Teraz niemodna taka sylwetka. Osobiście wolę sportową sylwetkę Matyldy... Może nie ma takich bujnych kształtów, ale wyobraź sobie, jakby Hanna miała się roztyć, na przykład po dziecku, prawda... Czego absolutnie nikt jej nie życzy, broń cię Panie Jezu. Ale jak przybije parę kilo, to ta klepsydra zmieni się w szafę trzydrzwiową.

– Każdy może się roztyć. I ten z lepszą, i ten z gorszą figurą.

– Mylisz się kochana. Ty i Matylda macie budowę po mnie. Mamy dobrą przemianę materii, zawsze będziemy szczupłe. A Hanna... Francuzi nie są chyba otyli?

– Nie wiem, mamo, czy można tak generalizować. Hania na pewno nie jest otyła.

– No więc zaczęłam ci mówić o Pawle, że jego zazdrość można jeszcze zrozumieć. Ale to chamstwo. Słoma wprost wyłazi mu z butów. I taki grubościsty. Te paluchy u rąk. Wielkie łapy jak od pługa. A jak on lubi sobie podejść. Je, aż musi poluzować pasek od spodni. Kilka razy widziałam, jak luzował. Pod stołem. – Babcia Polcia patrzyła na córkę niemal z trwogą.

– Mamo...

– Widziałaś, ile pożał na urodzinach Edka? Niepytany, w ogóle się nie odzywał, tylko pochłaniał ogromne porcje. Zawsze nadęty. A jego ostentacja w noszeniu markowych ubrań. I pretensjonalne zwyczaje. Nigdy nie wpadnie tak po prostu, tylko zawsze z butelką najlepszego wina.

– To źle?

– Nie o to idzie, Aniu. Wszystko na pokaz. On nie ma tego we krwi. *Nouveau riche*, z drugiego pokolenia, kochana. Wszystko wyczytał w podręcznikach etykiety. *Savoir-vivre* 'u. Ale co się dziwić. Z takiego ojca?

– Trzeba mu jednak przyznać, że jest bardzo hojny dla Hani.

– Nie hojny, tylko trzyma ją w szachu swoimi pieniędzmi! Kupi coś, a potem wymaga! – wykrzyknęła babcia i patrzyła na Annę znacząco.

– Dajmy temu spokój, mamó. To są ich prywatne sprawy, w to się nie będziemy mieszać.

– Ale to są sprawy kluczowe – babcia dobitnie akcentowała wyrazy.

– No to, jak im tak źle, to po co razem siedzą? – posępnie zapytała Anna.

– Wymyślili sobie, że tak życie wygląda i się snobują! A jeżdżą! A zwiedzają! Weekend w Nowym Jorku! Bal w Wiedniu! A tylko miłości tam żadnej nie widać!

– Bo Hania zawsze taka była! Ze skrajności w skrajność! Jak wtedy jej się nie udało z tym lowelasek, to rzuciła się z głową w związek z Pawłem. A ja jej mówiłam: „Poczekaj! Czy cię kto z domu wygania?”

– No, ale chyba zaczyna mieć go dość, co? – niespokojnie spytała Polcia.

– Niby nigdy nie za późno na szczęście, ale bój się Boga! Gdzie ona teraz kogo znajdzie? Kiedy ona dzieci urodzi!

– Z tym przeludnieniem na planecie to akurat nie jest największy problem.

– A co mnie obchodzą Chińczycy! Dobiegam dziewięćdziesiątki, a prawnuka ani śladu!

– Mogłaby się w końcu na coś zdecydować. Wóz albo przewóz!

– Widocznie nie chce z nim dziecka, ale boi się rozstać! Takie małżeństwa trwają latami, kochanieńka – Polcia machnęła lekceważąco. – Znam wiele takich przypadków. Nieliczni mają odwagę rzucić wyzwanie losowi. Taka już natura ludzka... Dopiero jak się pojawi ktoś trzeci... Oooo! Wtedy od razu przekreśla się całą przeszłość. „Nasze małżeństwo od dawna było martwe”. Gdyby na drodze życia takiej samej pary nie stanęła ta trzecia lub ten trzeci, pogodnie dobiliby do starości i zmarli w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku. Jakież wszystko jest względne, córciu. Jesteśmy jak liście na wietrze, lecimy tam, gdzie zanieśie nas porywisty podmuch. Nieliczni, powiadam ci, nieliczni biorą sprawy w swoje własne ręce.

Anna nabrała powietrza, by jej odpowiedzieć, gdy nagle dał się słyszeć chrobot klucza, a po chwili w drzwiach kuchni stanął elegancko ubrany Edward i spojrzał pytająco na żonę, a potem na teściową.

– O! Dzień dobry. O czym tak rozmawiacie? Obie macie niezdrowe rumieńce.

Dzień Świętego Huberta to ulubione święto młodej polskiej śmietanki towarzyskiej, polskiej *creme de la creme*^[26]. Kto liznął trochę oglądy, kto zarobił nieco grosza, kto ma choć odrobinę ambicji i jest świadom tego, co winien samemu sobie, kto miał ojca cinkciarza lub badylarza, albo jeszcze lepiej, kto miał dziada przedwojennego arystokratę, względnie drobnego szlachciurę, lub wreszcie na ostatnim, choć bynajmniej nie najgorszym miejscu – kto pracuje w telewizji publicznej, ten pod koniec października, względnie na początku listopada, gdyż to święto ruchome, zmierza co koń wyskoczy do znajomej sobie stadniny koni na wydarzenie towarzyskie zwane potocznie Hubertusem.

Tam, w nostalgicznych promieniach bladego jesiennego słońca można zaprezentować swoje umiejętności jeździeckie. Lecz nie jest to wydarzenie zastrzeżone wyłącznie dla koniarzy, nie ma obawy. Jest to po prostu wydarzenie towarzyskie, jak wyścigi w Ascot. Równie przyjemnie jest rozkoszować się ostatnimi ciepłymi chwilami z zacisza małej bryczki, wyścielonej przytulną baranicą. Całe widowisko ogląda się z bezpiecznej odległości, a czas umiła doborowe towarzystwo i przyjemne trunki, ukryte w małych, posrebrzanych piersiówkach.

Właśnie ten drugi wariant wybrał Paweł Wencel i absolutnie nie żałował. Wprawdzie towarzystwa, w którym przebywał, nie nazwałby doborowym, lecz nie miał wielkiego wyboru. Naprzeciw siebie miał swego przyjaciela a zarazem współnika, rozpartego niczym basza, rozanielonego Roberta Zagajewicza oraz jego dwie nowo poznane znajome, które pod nieobecność żony Zagajewicza – okoliczność niezwykle godna ubolewania – umiły mu czas jak mogły.

– Straszne by to było, gdyby rzeczywiście miała przyjść ta recesja – czyjś piskliwy głos wyrwał Pawła z ponurego zamyślenia. To jedna z dwóch kobiet najprawdopodobniej usiłowała nawiązać z nim rozmowę. Milczał chwilę, nie będąc pewnym, czy zdanie było skierowane do niego. W duchu marzył, by Zagajewicz wziął na siebie całą odpowiedzialność za prowadzenie konwersacji. Widząc jednak urażony wyraz twarzy swej urodziwej towarzyszki, z rezygnacją zwrócił w jej stronę swe ociężałe oblicze i grobowym głosem odparł:

– Tak pani sądzi?

– Nie uważa pan, że recesja jest blisko? – w jej tonie pobrzmiwała nutka napięcia. – Uważa pan pewnie, że ja się na tym nie znam, bo jestem taka młoda?

– Ależ skąd, gdzieżbym śmiały wyciągać tak daleko idące wnioski z samego faktu, że jest pani urodziwą, młodą... ekhm – Paweł nerwowo szukał pudełka cygaretek.

– Ma pani rację, pani Asiu... – jowialnie wtrącił Zagajewicz, rad potrzywać wątlą nić rozmowy, która zawiązała się między jego współnikiem a koleżanką ślicznotki, która już prawie trzymała go za rękę, gdzieś pod fałdami baranicy.

– Kasiu – zgaśniła go blondynka.

– Kasiu – poprawił się Zagajewicz, teatralnym gestem bijąc się w pierś, a że miał już w czubie, rzucił się kornie do jej kolan, by obcałowywać jej dłonie. Przyjaciółka Kasi wybuchła perlistym śmiechem, urażona Kasia też powoli odzyskiwała humor. Bryczka podskakiwała na wybojach, zjeżdżali teraz ze wzniesienia, po obu stronach rosły stare modrzewie, przez które tajemniczo przebijały się promienie słoneczne. W tych ostatnich plamach słońca tańczyły drobinki kurzu, błyskały czerwone kapelusze muchomorów i soczyście zielone kobierce mchu. Bryczki przyspieszyły, wzniesienie było dość strome, kopyta końskie stukały o bruk, którym wyłożony był ten odcinek leśnego duktu.

Z daleka słychać było piski kobiet i nawoływania mężczyzn. Paweł osłonił oczy dłonią i wyteżył wzrok. Bryczki zwalniały, las się przersedzał. Po obu stronach drogi ukazały się zabudowania. Przed jednym z domów stały dwie wiejskie babiny w chustach, uroczy relikwiarz przeszłości, który niebawem odejdzie w niepamięć. Zadziwione przyglądały się czarującemu, niemal bajkowemu widokowi kilkunastu bryczek zaprzęzonych w odświętnie przybrane konie, unoszących tłum starannie, po wiejsko-angielsku – niczym przebierańców – przyodzianych gości.

Ewidentnie zbliżali się do rzeczki, kolejnego miejsca, w którym korowód jeźdźców jadących wierzchem krzyżował się z karawaną bryczek. Zostało to pomyślane tak, by goście

nieuczestniczący bezpośrednio w gonitwie mogli podziwiać widowisko. I rzeczywiście, gdy minęli zabudowania, ukazała się ołowiana wstęga rzeki. W tym oto miejscu jeźdźcy mieli ją przekraczać. Etap ten był zawsze widowiskowy, często się zdarzało, że jakiś nieszczęsny bliźni lądował w zimnych odmętach. Bryczki parkowały nieopodal rzeki, goście ochoczo zsiadali i zaciekawieni, ruszali grupkami nad brzeg rzeki. Paweł pierwszy zeskoczył z bryczki i zaskakująco rączy krokiem, jak na swoje potężne cielsko, ruszył w kierunku tłumu gromadzącego się nad wodą.

– Paweł, czekaj! – zakrzyknął za nim Zagajewicz, uśmiechając się przepraszająco do zdziwionych i rozbawionych towarzyszek podróży. – Wybaczcie, drogie panie, nie każdy zdobywa w domu ogładę towarzyską. Ten gbur jest moim towarzyszem i współnikiem, lecz nie sądźcie, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Paweł! Poczekaj! Nie dosłyszałeś chyba, co mówiłem o pani Kasi!

Paweł obrócił się i niecierpliwie popatrywał w kierunku opieszale poruszającego się Zagajewicza i uwieszonych na nim chichoczących złotowłosych piękności.

– Zacząłem ci tłumaczyć, że pani Kasia zna się na ekonomii, bo studiuje marketing na Sorbonie.

Paweł kręcił głową, wyrażając tym gestem bezbrzeżne zdumienie, które na szczęście odebrane zostało jako gest absolutnego podziwu i uznania.

Szli teraz we czwórkę poprzez porośniętą dziką trawą łąki. Teren stawał się coraz bardziej podmokły, skórzane buty Pawła pociemniały od wody. Nagle z oddali dał się słyszeć głuchy tętęt oraz pojedyncze okrzyki. Tłum nad brzegiem rzeki poruszył się w podnieceniu, oczy wszystkich zwróciły się w stronę kawalkady nadciągających jeźdźców. Najpierw ukazał się tuman kurzu. Potem zaczęły wyłaniać się sylwetki jeźdźców na galopujących koniach. Kilka pojedynczych, gnających jak na złamanie karku. Za nimi większa, zbита gromada. Kawalkada rozciągała się na przestrzeni kilkuset metrów. Podczas gdy pojedynczy jeźdźcy nadal wyjeżdżali z lasu, ci przodujący już ostrożnie wprowadzali wierzchowce w koryto rzeki. Konie szybko zapadały się aż po pierś, lecz nieustraszenie parły naprzód. Wśród czołówki Paweł szybko wypatrzył wysportowaną sylwetkę swego brata Mateusza.

– Widzicie kogoś znajomego? – szczebiotała w podnieceniu studentka Sorbony.

– Jest żona Pawła. – Zagajewicz zapalił cygaretkę i leniwie obserwował smukłą postać, mrużąc oczy. Słońce świeciło mu prosto w twarz.

– Która to?

– Ta na kasztanku, w czarnym kasku – mruknął ze źle udawaną obojętnością Paweł, również sięgając po pudełko cygaretek.

– Tamta dziewczyna to pana żona? – zakrzyknęła jedna z dziewcząt, nie próbując nawet ukryć zdumienia. Zagajewicz zaśmiał się teatralnie, ale i jemu nie było do śmiechu. Głośno przełknął ślinę.

Z tej perspektywy widzieli już tylko plecy Hanny, obleczone w nieskazitelnie biały podkoszulek, na łopatkach krzyżowały się czarne szelki, czarne bryczesy opinały toczone biodra. Spod kasku wystawały związane w niedbały supeł ciemne włosy. Jako jedna z pierwszych sprawnie przeprawiła się przez rzekę i bezpiecznie dotarła na drugi brzeg. Potem zawróciła wierzchowca i lustrowała wzrokiem przepławiających się. Na jej twarzy odbiło się rozczarowanie. Coś krzyknęła. Paweł podążył za jej wzrokiem i zobaczył Matyldę, która nie miała tyle szczęścia. Wpadła do wody i teraz mocowała się ze swoim wierzchowcem. Wyglądała przy tym jak zmokła kura. Paweł uśmiechnął się pod nosem. Nigdy nie lubił tej wyemancypowanej latawicy...

Matylda coś odkrzyknęła, Hanna kiwnęła głową i ruszyła naprzód. W końcu i Matyldzie udało się wykaraskać z opresji. Ociekająca zimną wodą, dzielnie dosiadła zdezorientowanego siwka i wgramoliła się na drugi brzeg. Wielu znajomych, w tym ojciec, gorąco jej kibicowało. Teraz od lasu w stronę rzeczno-brodowego kłusowały już tylko niedobitki, jednostki niezdołne wzbudzić niczyjego zainteresowania.

Grupki podchmielonych wesółków ruszyły w stronę bryczek. Tam głośnymi okrzykami ponaglano opieszłych fernali do prędkiego odjazdu. Każdy, kto żyw, gorąco pragnął zobaczyć

ostatni etap wielkiego widowiska – gonitwę za lisem. Odbывała się ona kawałek drogi stąd, na okalających stadninę zielonych łąkach i pastwiskach.

Ostatni odcinek Paweł odbył w uporczywym milczeniu. Nawet Zagajewicz machnęła na niego ręką i sam gorliwie wypełniał obowiązek podtrzymywania konwersacji na odpowiednim poziomie. W gęstym lesie, który poprzedzał zielone pola Podkomorzyna, było cieniście i chłodno. Paweł zasunął suwak olejakowego Barboura, szczelnie okręcił się szalikiem i włożył brązowe rękawiczki z cienkiej skórki. Następnie pociągnął solidny łyk z piersiówki, którą zaferował mu Zagajewicz. Zatopiony w myślach, nie dosłyszał nawet pytania, zadane przez jedną z towarzyszek podróży. Wrzał w nim cichy gniew na to, że Hanna jedzie sobie wierzchem i w dodatku jej uroda wzbudza niezdrową sensację. Doprawdy mogłaby siedzieć w domu, w różowym szlafroku, niczym Zagajewiczowa, niańcząc chore na różyczkę dziecko. Już najwyższy czas. Ani się obejrzy, a dobieje do czterdziestki. W końcu ta rozbuchana, piekielna uroda musi zacząć wędznąć!

Tymczasem ona królowała na wierzchowcu, praktycznie półgoła przy dziesięciu stopniach powyżej zera, czyniąc z siebie sensację dnia. Czy zawsze musiała zwracać powszechną uwagę, czyniąc z ich małżeństwa pośmiewisko? Czy nie może raz spokojnie spocząć u boku męża i przytulić się do niego jak normalna żona? I jak tu zachować spokój i rozwagę, gdy jego cierpliwość dzień w dzień wystawiana jest na taką próbę? Czemu on nie ma tak jak dziesiątki jego normalnych kolegów?

Smutne, komiczne. On, który w przeciwieństwie do swego rozbuchanego brata Mateusza tak pragnął spokojnego rodzinnego życia, jest go pozbawiony. Musi ciągle warować w pełnej gotowości, niczym pies na łańcuchu pilnujący dobytku, który ktoś lada chwila może spróbować wykraść.

Pociągnął jeszcze kilka porządných łyków, tym razem z własnej piersiówki. Zanim ukazał się prześwit między drzewami, Paweł trochę się upił i poczuł daleko lepiej. Postanowił włączyć się do pasjonującej konwersacji i dobrze bawić – mimo okoliczności. Zresztą nic się przecież nie wydarzyło.

Znów bryczki zatrzymały się jedna obok drugiej i znów wszyscy wylegli, by zająć strategiczne pozycje i móc dogodnie obserwować gonitwę za lisem. Dzień był niezwykle piękny i słoneczny, ostre mazurskie powietrze w ostatnich promieniach słońca zdawało się prawie ciepłe. Okoliczne wzgórza były zielone, poprzecinane wstęgami dróg i rowów melioracyjnych, dalej złocił się gęsty las. W okolicy widać było kilka rozstrzelonych wzdłuż widnokregu, malowniczo przycupniętych w dolinach siedlisk. Jednym z nich była stadnina, za jej budynkami widoczna była srebrna wstęga rzeki. Wszyscy zbili się w kupkę wokół potężnej, starej gruszy, rosnącej samotnie wśród zielonych pól. Niecierpliwie wypatrywali jeźdźców.

W końcu oczom ich ukazała się barwna kawalkada, która wypadła z lasu i zmierzała teraz na przełaj przez pola w stronę podnieconych gapiów. Jeźdźcy, strojni w czerwone, granatowe lub czarne galowe żakiety, gnali falangą za mistrzem Polski w skokach wzwyż – tegorocznym lisem – powiewającym rudą kitą. Zabawa trwała długo. Kawalkada koni kilka razy przetaczała się z głuchym łos- kotem po okolicznych wzgórzach, paru jeźdźców próbowało sprytnie zajechać lisowi drogę, lecz ten stosował chytne fortele i kiedy już-już otaczany był przez największych śmiałków, robił karkołomne zwroty i uniki, przez co zwycięsko wychodził z każdej opresji. Nagle rozległ się zbiorowy krzyk przerażenia – jeździec w czerwonym żakiecie fiknął kozła i przeleciał ponad głową wierzchowca, który czegoś się przestraszył i stanął okoniem, wbijając cztery kopyta w ziemię. Jadąca za nim zwarta grupa rozpierchła się na boki i męczyzna cudem uniknął stratowania. Chwilę leżał, lecz w końcu dźwignął się i utykając, ruszył przed siebie. Ktoś pobiegł mu na pomoc, inni wołali, by nie wchodził w niebezpieczne rejony. Widzowie, zbici w zalęknioną i podnieconą gromadkę, stawali na palce, by dokładnie przyjrzeć się poszkodowanemu.

Paweł, odurzony alkoholem pitym o tak wczesnej porze, z niepokojem wypatrywał Hanny. Nagle ktoś stanął za jego plecami i położył mu na ramieniu ciężką rękę. Ojciec.

– Strasznie szarżują!

Obaj z marsowymi minami przyglądali się pościgowi.

– O! Mati bliski złapania lisa! Cwaniaczek – Rysiek zacierał łapy i ze zmrudzonymi oczami wypatrywał swego syna. Niestety, przewidywania starego Wencła nie sprawdziły się. Mati był blisko, lecz ubiegła go drobna kobieca figurka. Pochwyliła skórę i podniosła wysoko, objeżdżając gapiów w triumfalnym geście zwycięstwa.

– A niech ją! Baba! Chyba fartem – pokrzykiwał Rysiek z cieniem irytacji, a zarazem podziwu.

– To chyba Matylda – mruknął Paweł, ledwie otwierając usta i natychmiast zapalając cygaretkę.

Knajpę wypełniał wielki gwar. We wszystkich salach kłębił się tłum, panowało ogromne ożywienie i podniecenie. Wciąż opowiadano o licznych wypadkach i kontuzjach, nie zawsze spowodowanych brawurową jazdą wierzchem, za to nadmiernym raczeniem się mocnymi trunkami. Takie opowieści wzbudzały największe zaciekawienie, zewsząd dobiegał gromki rechot. Paweł zdobył darmowy gulasz z jelenia i zajmując dwa miejsca, z irytacją wypatrywał żony. Ktoś zapytał, czy krzesło jest wolne, Paweł zgromił intruza niechętnym spojrzeniem i odburknął coś opryskliwym tonem. Nigdzie nie widać było Hanny, a gulasz stygł. Paweł nerwowo przeczesywał wzrokiem gwarny tłum. Chciał pójść po chleb, jednak obawiał się, że ktoś zajmie mu dobry stolik, kameralny, dwuosobowy, blisko kominka i z dala od innych. Gdzieś w przelocie mignął mu Mati. Kiwał do Pawła, pokazując, że zajął dla niego i Hanny miejsce przy stole w dużym towarzystwie. Paweł był niezdecydowany. Dostrzegł ojca i matkę, stojących w hałaśliwym gronie. Ojciec dał mu nieznośny sprzeciwu znak, by podszedł. Paweł podniósł się ociężale, z rezygnacją opuszczając swoją miłą samotnię.

– Heniek, chcę ci kogoś przedstawić. Mój pierworodny, Paweł. – Paweł uściśnął mocną, suchą dłoń siwego jegomościa w śnieżnobiałej koszuli i lśniącej, granatowej marynarce. Jegomość miał mięsistą, niczym z gumy zrobioną twarz i starannie ufryzowanego jeża. Pomarszczoną szyję opasywał kauczukowy naszyjnik. Na ramieniu mężczyzny, uwieszona niczym egzotyczny gadżet, tkwiła rudowłosa dziewczyna w czerwonym żakiecie. Facet wyglądał jak emerytowany amerykański generał.

– Słyszałem o tobie. – Siwy poklepał Pawła protekcjonalnie po ramieniu. Byli podobnego wzrostu. Facet, mimo podeszłego wieku, wyglądał, jakby mógł powalić Pawła małym palcem. – Jesteś właścicielem znanej warszawskiej kancelarii, dobrze mówię?

– Synu, ja i Heniek służyliśmy razem w ONZ-owskim wojsku. On był jako tłumacz. Facet kuty na cztery nogi – rubasznie śmiał się stary Wencel.

– To były czasy. – Siwowłosa uśmiechnął się wszystkimi mięśniami twarzy. – Opowiadał ci ojciec, jak się tam parę razy ubawiliśmy? Raz przyjechał do naszej polskiej jednostki holenderski generał, bo w ramach misji ONZ-owskiej mieliśmy zrobić coś razem, rozumiesz, Polacy i Holendrzy. No i ja byłem jako tłumacz, twojego ojca przy tym nie było...

– A ha, ha, ha, pamiętam tę opowieść... – wybuchnął spazmatycznym śmiechem stary Wencel – słuchaj uważnie, tego nie znasz.

Paweł z rezygnacją pochwylił od przechodzącego kelnera setkę wódki i wychylił jednym haustem.

– No więc, ja byłem jako tłumacz polskiego majora, bo on ni w żąb nie znał angielskiego. Wiesz, taki dowódca „zielonego garnizonu”, kompletny debil, posłuchaj zresztą. Jedziemy sobie jeepem przez pustynię do obozu wojskowego, po drodze mijamy Damaszek, i nagle major się odzywa. Do mnie, rozumiesz... Mówi tak: „E, ty tłumacz, przetumacz: My w Polsce mamy takie przysłowie: Niedaleko Damaszku siedział diabeł na daszku”. Przysłowie, rozumiesz?

– A ha, ha, ha – niemal popłakał się stary Wencel.

– Ale czekaj, to nie wszystko – rechotał Heniek. – Potem w osadzie kolacja! I on znowu do mnie: „Tumacz! E! Przetumacz!”. Tutaj wstał, zrobił daszek nad przyrodzeniem i woła: „Pijemy tak, żeby nie zalać pały”.

Paweł uśmiechał się pod nosem. W tłumie mignęła mu wreszcie Hanna.

– O! Przepraszam, widzę swoją żonę. – I rychło się oddalił.

– Która to? – Heniek pochylił się do Ryszarda.

– Tamta czarna. – Rysiek kiwnął głową w kierunku Hanny, stojącej w licznym gronie.

– Fiuuu – gwizdnął Heniek i przycichł na dobrą minutę. Wychylił whisky, po czym znów nachylił się do Ryśka i przekrzykując gwar, zaczął gorliwie perorować. – Musicie, ale to musicie odwiedzić nasze skromne progi. Tysiąc razy ci proponowałem, ale teraz się nie wywiniesz. Wystawiłem wielką chałupę niedaleko Morąga, mam tam pięćdziesiąt dwa hektary, w tym jezioro. Weź swojego chłopaka i synową! Zrobimy grilla, pogawędzimy. Może będę miał dla niego jakąś robotę? My wciąż potrzebujemy obsługi! – Mówiąc to, poklepywał Ryśka po plecach.

Tymczasem Paweł ruszył na swoje miejsce, lecz ktoś już je zajął, talerze z gulaszem najwyraźniej zabrał kelner. Paweł zgromił intruzów wzrokiem, wydając nieartykułowany dźwięk. Przepisnął się przez tłum, ciężko opadł na rzeźbioną ławę nieopodal Matiego i wziął ze stołu kromkę chleba. Kilka razy warknął na kelnera, by raczył donieść mu wreszcie ragout, lecz obibok biegał tylko z pustą tacą i zawsze zdawał się mieć ważniejsze zlecenie.

– Zamówmy drogie wino, wtedy szybko przyfrunie. – Mati pochylił się do niego, strząsając popiół do popielniczki. Przy stole siedziało kilka znajomych osób i panował taki gwar, że trzeba było krzyczeć sobie do ucha. Mati władczy gestem przywołał chyłkiem przelatującego kelnera, po czym długo mówił mu coś do ucha. Chłopaczyna kiwnął usłużnie podgołoną głową i poleciał do baru. W ciągu kilkudziesięciu sekund wrócił z tacą po brzegi zastawioną kieliszkami i zaczął je ustawiać przed wszystkimi, którzy siedzieli przy ich stole. Po chwili znów odbiegł i przyniósł trzy butelki pierwszorzędnej Riohy.

– Pod dziczyznę – zakrzyknął Mati i upił odrobinę, nalaną mu do degustacji, po czym skrzywił się niemiłosiernie. Kelner cofnął się przerażony, lecz Mati wybuchnął śmiechem, gestem dał znać, że żartował, protekcyjnie poklepał chłopaka po ramieniu i nie znoszącym sprzeciwu gestem kazał napełniać kieliszki. W oparach wypitego alkoholu wznagała się znajoma i wyczuwalna przez wszystkich obecnych jakimś siódmym zmysłem nostalgia za „sarmacką fantazją”. Dwie towarzyszki Zagajewicza, które wraz z nim siedziały przy tym samym co Paweł stole, śmiały się gardłowym śmiechem, rozpiwały marynarki, przeczesywały palcami włosy i rozglądały się po sali bystrym wzrokiem wytrawnych łowczyń. Mężczyźni w wypolerowanych oficerkach stukali obcasami o surowe deski. Zamawiali wódkę i wychylali ją haustami przy barze. Zagajewicz wstał i dwornym gestem poprosił jedną z dziewczyn do tańca. Grała skoczna muzyka, jakiś folklor. Zaczęli wywijać na parkiecie, najpierw niezręcznie objijając się o siebie, lecz już po chwili nabrali wprawy. Zespoleni w jedność, wili się w rytm szybkiej muzyki, wykonując ruchy przypominające konwulsyjne drgania. Podchmielony Mati również ruszył do tańca, pociągając protestującą Karolinę. Opierała się chwilę, coś mu poważnie klarując, lecz szepnęła jej parę słów do ucha i dała za wygraną. Zagajewicz krzyknął coś do Pawła, ale co, ten już nie dosłyszał, bo właśnie do ich stołu podeszła zarumieniona Matylda z wciąż wilgotnymi włosami i lisim trofeum na szyi.

Biesiadnicy powitali ją entuzjastycznie, gromkimi brawami, a Matylda dziękowała. Wypytywali o różne detale, lecz ona odpowiadała nieuważnie, jakby miała do zakomunikowania coś ważniejszego i nie mogła się tego doczekać. Za nią stał wysoki, przystojny młodzieniec, ubrany w ciemnozieloną, wojskową kurtkę. Celowo trzymał się na uboczu, jakby chciał oddać Matyldzie palmę pierwszeństwa. Lecz ona cały czas obracała się w jego stronę, powtarzała mu każde zdanie, które padło przy stoliku, a którego mógł być nie dosłyszeć.

Chłopak, najwyraźniej nowy narzeczony, wyglądał na pewnego siebie. Choć wyluzowany, ewidentnie nie zamierzał się naginać do specyficznego poczucia humoru, które zdawało się cechować wszystkich przy stole.

Matylda niecierpliwie dotarła do końca opowieści o swoim zwycięstwie, po czym z entuzjazmem, jakby dopiero ten temat budził jej prawdziwe zainteresowanie, zaczęła:

– A teraz chcę, abyście poznali Igora, mojego... – Tu zawahała się na krótką chwilę, niektórzy przy stoliku zaśmiali się, inni patrzyli wyczekująco. Matylda lekko się zacukała, po czym głośniejszym i śmielej niż zapewne zamierzała, dokończyła –... mojego przyjaciela. Igor, oto moi znajomi! – Pociągnęła chłopaka naprzód. Witął się ze wszystkimi swobodnie i otwarcie. Na żarty

i docinki odpowiadał zabawnie i miło. Matylda, cała w pąsach, co chwila zwracała ku niemu oczy, pomagała mu kończyć zdania, choć wcale tego nie potrzebował. Poprosiła znajomego, by zrobił Igorowi miejsce obok siebie, sięgnęła na środek stołu po dwa puste kieliszki. Igor szybko się zreflektował i wyjął jej z rąk butelkę wina, z którą zmierzała już do jego kieliszka. Nalał jej oraz kilku innym osobom. Paweł z leniwą złośliwością odnotowywał wszystkie te niuanse, niemal delektując się nimi. Nie znosił Matyldy, która zawsze wyciągała Hannę na zwierzenia, a gdyby tego było mało, zdawała się podburzać Hannę przeciwko własnemu mężowi. Trwonila też jej czas, wyciągając do kina oraz do klubów, a tam kładła jej do głowy Bóg wie co. Może i dobrze, że wpadła jak śliwka w kompot. Wreszcie odczepi się od jego żony, a zajmie własnym zwichrowanym życiem.

Tymczasem Matylda o czymś sobie przypomniała i zaczęła wypatrywać kogoś w zbitym tłumie. Koło baru nadal stała Hanna, tym razem w towarzystwie kobiet. Matylda ją dostrzegła i wnet zaczęła gorliwie do czegoś nakłaniać swojego lekko zdziwionego towarzysza. Dopiero co wygodnie się rozsiadł i zabierał do jedzenia. Teraz, popijając wino, z opuszczonym wzrokiem słuchał szeptu Matyldy. Widać było, że nie ma wielkiej chęci uczynić tego, do czego go namawiano, jednak posłusznie wstał i ruszył za nią.

Matylda, cała w skowronkach, torowała sobie drogę przez gwarny tłum. Igor trzymał się z tyłu, przeczesując ręką gęste kędzierzawe włosy. Paweł zapalił cygaretkę i z wrodzonym cynizmem obserwował minę Hanny.

Hanna dostrzegła Matyldę i jej towarzysza. Przeprosila znajome i zaczęła się serdecznie witać z nowym narzeczonym siostry. Matylda znów zdawała się o czymś Igora przekonywać, na co Hanna z zakłopotanym uśmiechem przecząco kręciła głową, jakby zaprzeczała komplementom wypowiedzanym pod jej adresem przez siostrę. W końcu cała trójka zawróciła w stronę stołu.

Paweł prędko odwrócił wzrok i strzepnął tytoń do popielniczki. Już czuł, że gdy wreszcie Hanna siądzie obok, nie zdoła pohamować słów potępienia, które cisnęły mu się na usta. Bo w końcu do czego to podobne? Przyjechali tu razem, jak normalne małżeństwo, a od czterech godzin nie udało im się zamienić słowa! Poczul dłoń na ramieniu. Uczucie ulgi mieszało się z narastającym gniewem. Już miał odepchnąć tę rękę, gdy usłyszał znajomy głos teścia. Obrócił się powoli, dając sobie czas, by ukryć zaskoczenie. Stary Rolicz wciąż trzymał na jego ramieniu swą suchą dłoń.

– Witaj, Pawle – pochylił się nad nim, chcąc przekrzyczeć panujący w środku rejdach.

– O, witaj, nie mieliśmy dziś okazji zamienić słowa. – Paweł szybko podniósł się i uścisnęli sobie dłonie. Nigdy nie był w stanie mówić do niego „tato”, zresztą Hanna też go tak nie nazywała, co czyniło sytuację znacznie prostsza.

– Nieznośny ścisk. – Paweł rozglądał się po sali. Jakoś ciężko mu było utrzymać z Roliczem kontakt wzrokowy. Stary miał takie ironiczno-przenikliwe spojrzenie. – Wyjątkowa hołota w tym roku.

– Dla nas oni hołota, dla nich my. Ot, natura ludzka.

– Chciałeś powiedzieć: natura polska – odchrząknął Paweł.

– Myślisz, że pod względem życzliwej oceny bliźniego odbiegamy od reszty ludzkości? – Edward rzucił mu jedno ze swych cynicznych spojrzeń.

– A ty masz jakiegokolwiek wątpliwości? Nie ma drugiego narodu bardziej zawistnego i gorzej życzącego bliźniemu niż nasz. A jeszcze ta unizoność wobec obcokrajowców.

Edward wychylił swą szklaneczkę do dna, jakby zawahał się i chciał zyskać na czasie. W końcu z namysłem odparł:

– Hmm, dawniej zwało się to gościnnością.

– Bzdura – pogardliwie prychnął Paweł – z racji zawodu mam chwilami okazję podglądać naturę ludzką. Dla Polaka każdy obcokrajowiec to debil, ale jak ma się z nim skonfrontować, kuli ogon pod siebie. Zwłaszcza w korporacjach.

– Ludzie nadal nie mogą się odnaleźć. Z jednej strony odbieramy najgorsze popłuczyny z Zachodu, z drugiej strony jesteśmy „zapeklowani” w naszej zaściankowości. A jeszcze to wszystko podszyte strachem o utratę tego, co wywalczyliśmy. Zbyt długo żyliśmy w trwodze, by

teraz łatwo szafować tym, co zdobyliśmy. Nie wymagaj od ludzi zbyt wiele...

– Już nie ma taryfy ulgowej. Nie można znów zwalać wszystkiego na przeszłość.

Zaczynamy od zera. *Carte blanche*. Trzeba umieć i zarobić, i tupnąć nogą, inaczej nikt nie będzie do nas miał szacunku. A wymagam tego zawsze przede wszystkim od siebie – burknął Paweł.

– A jak tam interesy? – Rolicz zmienił drażliwy temat.

– Odpukać w niemalowane. – Paweł wyciągnął kolejną cygaretkę i przypalił, a następnie obejrzał się w stronę swojego stołu. Hanna była pochłonięta rozmową z Matyldą. Uważnie przysłuchiwał im się nowy narzeczony, głęboko zaciągając się papierosem.

– Ja mam z kolei wrażenie, że ci dzisiejsi młodzi adwokaci schodzą na psy. Ten wyścig szczurów, latanie za klientem. Trochę inaczej to wyglądało za mojej młodości i szczerze mówiąc, rad jestem, że nie muszę uczestniczyć w tej, jak mawiał mój kolega, adwokaturze w „niebieskich kołnierzykach”. – Edward zdjął okulary, przetarł je o koszulę i ponownie umieścił na nosie. – Są się w stanie zeszmacić, skompromitować, byle tylko zagarnąć pieniądze. Tylko mamona się dla nich liczy, nic kultury, obycia. Kiedyś adwokat był kimś.

Paweł bezskutecznie usiłował ukryć malującą się na twarzy irytację, nie znosił bowiem podkreślania etosu adwokata. Gwałtowniej niż zamierzał, warknął:

– Coś muszą jeść. Skończyła się zabawa w ideały, zaczęło się prawdziwe życie.

– Myślisz, że obrona więźniów sumienia to była zabawa? – Edward utkwiał w Pawle przenikliwie, chłodniejsze niż zazwyczaj spojrzenie.

– Nie o tym mówiłem, wiesz dobrze. – Paweł wydmuchnął chmurę dymu. – Wy mieliście swoje zmagania, my mamy swoje. Czasem równie trudne. A zresztą... Chodźmy do baru, zapraszam cię na lampkę koniaku.

– Zgoda! – I ruszyli do baru, zjednoczeni wolą neutralnego zakończenia męczącej dla obu wymiany myśli.

Gdy tylko oddalili się od stołu, Zagajewicz podniósł się z miejsca i niedbale przysiadł do żony Pawła, która nadal rozmawiała z Matyldą i „nowym”. Wyglądało na to, że narzeczony wyraził jakąś opinię o knajpie, z którą Matylda się nie zgadzała. Zagajewicz usłyszał tylko fragment wypowiedzianego przez nią zdania:

–...nie uważam, by samo w sobie było to czymś złym. A co do sztuczności, to poniekąd się zgadzam.

Potem cała trójka zamilkła. Gdy Robert usiadł, Hanna powitała go mniej niechętnie niż zwykle. Miała pewnie dość tych filozoficznych wynurzeń. Zagajewicz napełnił jej kieliszek do połowy, uśmiechnął się uwodzicielsko i pochylając się do jej ponętnej szyi, wyszeptał:

– Co u ciebie? Tak dawno cię nie widziałem.

Zacząła mu opowiadać o pracy, lecz widząc, że Zagajewicz wcale jej nie słucha, zmieniła temat. Przeszła na temat gonitwy. Zagajewicz podniecony alkoholem przysunął się jeszcze bliżej i znów powtórzył prosto w jej ucho dręczącą go kwestię:

– Tak rzadko się widujemy. Siedzicie ciągle w domu czy co? Pawła ciężko ruszyć. Wiesz, że to mój przyjaciel, ale czasem widzę, jaki zrobił się z niego podtatusiały pan w średnim wieku...

– Jesteśmy przecież tutaj.– Hanna uśmiechnęła się zdziwiona. – Paweł nie zamyka mnie w domu. To przeze mnie nie chodzimy.

– Wiem, co cię gnębi – potakiwał gorliwie Zagajewicz, podchmielony, z lekko błędnym wzrokiem. – Ciągle ci sami ludzie, ograne dowcipy. Ja też mam tego powyżej dziurek. To nasze towarzystwo to istne kłębowisko żmij. Kobiety zazdrosne, mężczyźni zakompleksieni. Ciężko musi być tak pięknej kobiecie...

Hanna rzuciła mu dziwne spojrzenie, a on kontynuował:

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, jak ty musisz być samotna. Na pewno nie masz zbyt wielu przyjaciółek, bo która z tych wrednych bab chciałaby się z tobą zaprzyjaźnić?

– Tak nisko cenisz naszą pleć? – Hanna z rozbawieniem upiła łyk wina.

– A zdarzyło się kiedy, żeby przyjaźniły się ze sobą dwie kobiety – jedna piękna, a druga brzydka?

– Piękno to rzecz subiektywna. – Hanna tylko lekko się uśmiechnęła, jakby znając potęgę,

która drzemała w najdrobniejszym ruchu jej warg i pilnując, by nie użyć jej niewłaściwie.

– Tak, mówią, że każda potwora znajdzie swego amatora. Ale jest też piękno uniwersalne, ponadczasowe. Od czasu do czasu zjawia się na tym ziemskim padole istota zupełnie nie z tego świata. Istota tak piękna, że rzuca cień na wszystko dookoła siebie. Biada każdemu, na którego drodze stanie... – spojrzał w jej ciemne źrenice.

Hanna opuściła oczy i przecząco pokręciła głową. Zagajewicz czujnie rozejrzał się dookoła. W pobliżu siedzieli tylko Matylda z narzeczonym, ona szeptała mu czule do ucha, a on uśmiechał się, jakby z wysiłkiem i zmarszczywszy brwi, zdawał głęboko nad czymś zastanawiać. Żadnych świadków. Zagajewicz, niewiele myśląc, przykrył swoją dłonią dłoń Hanny. Hanna natychmiast cofnęła rękę, jakby ugryzła ją żmija. Spojrzała na niego zaskoczona. Nie ukrywała wzburzenia.

Nagle Matylda, niczego nieświadoma, pochyliła się w jej stronę, mówiąc coś ze śmiechem, na co Hanna potakiwała głową, lecz widać było, że jej myśli krążą wokół tamtego incydentu. Zagajewicz również czuł wzburzenie połączone z drwiną. „Kogo próbujesz oszukać – myślał ze wściekłością. – Mnie chcesz nabrać? Mnie, starego wygę? Komu dochowujesz wierność? I po co? Ja się na to nie dam nabrać, zbyt wiele widziałem takich jak ty, znam się na takich jak ty”. Mimo tej skutecznej perswazji i pocieszania, dokonanego we własnych myślach, czuł narastający niepokój i niesmak. Potoczył wokół drzwiącym, zaczepnym wzrokiem. Paweł stał ze starym Roliczem przy barze i od czasu do czasu zerkał w ich stronę. Chyba nikt nie był świadkiem tej niesmacznej sceny.

Matylda coś szczebiotała, a jej chłopak? Zdaje się, że przed sekundą przyglądał się Zagajewiczowi i w momencie gdy Zagajewicz zwrócił ku niemu badawczy wzrok, spuścił oczy. Albo było to tylko chwilowe wrażenie. Musiało być. Chłopak nie popatrzył już na niego. Siedział tylko z zamyślnym wyrazem twarzy.

Hanna wstała. Zagajewicz w niekontrolowanym geście poderwał się za nią.

– Posłuchaj, Hanno – zawołał głośniej niż zamierzał, lecz ona oddaliła się w stronę baru. Podeszła do męża i wuja, gdzie ścigać jej już się nie ośmielił.

Nagle wszyscy zakrzyknęli w zbiorowym podnieceniu, bo ktoś włączył znany, skoczny szlagier rodzimej produkcji. Zagajewicz odwrócił mętny wzrok w stronę parkietu.

Starsi mężczyźni z młodzieńczą werwą łapali nastoletnie dziewczyny i porywali je w wir tańca. Jeden z nich, z twarzą w kolorze miedzi, chwycił palcat i wywijął nim, udając, że popędza kłacz, wykonując przy tym kopulujące ruchy. Inny, wąsaty, będący pewnie grubo po pięćdziesiątce, wyskoczył na środek i, niczym Azja Tuhajbejowicz, władczo chwycił wpół wrywającą się „brankę”, po czym ze srogą miną porwał ją do ognistego tańca. Zdezorientowana dziewczyna, nie wiedząc, co ze sobą począć, próbowała naśladować jego ruchy, tyle że w sposób nieco bardziej powściągliwy. On, niezrażony, przyklękał jak przy krakowiaku i próbował zmusić ją do wirowania wokół siebie.

Widowisko trwało długo, długo w ciemną noc. Tyle było ułańskiej fantazji, tyle wypitego alkoholu, tyle sztubackich psikusów poza wszelką kontrolą i rozsądkiem, że czasami zdawało się, że jedynym godnym tych hulanków finałem byłoby puszczenie całej stadniny z dymem niczym Sienkiewiczowskich Wołmontowicz. Kres temu wszystkiemu położył dopiero szary, poranny brzask. Uczestnicy zabawy wylegali na zewnątrz i z okrzykami zachwyty konstatawali, że na trawie był szron.

Wiejska idylla rodzinna

Następnego dnia Mati obudził się wczesnym popołudniem. Gdy lekko uniósł głowę, poczuł tak dotkliwe kołowanie, że natychmiast opadł z jękiem na poduszki. Nie chciał przywoływać poprzedniego wieczoru, lecz strzępki wspomnień nawiedzały go niczym natrętne muchy. Oj, niedobrze się to wszystko toczyło od dłuższego czasu. Czy mu się wydawało, czy po pijaku zwierzał się komuś? Co go napadło? Niewiele pamiętał, ogólnym tematem tamtej rozmowy było poczucie niespełnienia i brak sensu życia. Czyli pijacka gadka szmatka o niczym.

Wpatrywał się w jesionowe bele, stanowiące ożebrowanie dachu. Czuł, że powinien coś zjeść. Pałaca analiza rzeczywistości i własnej sytuacji, która dręczyła go najsilniej na kacu, nie należała do jego ulubionych zajęć. Rzeczy nieprzyjemne wolał spychać w nieświadomość, skąd straszyły jedynie podczas snów i takich chwil słabości jak ta, kiedy podziemny, rwący strumień wylewał się szczelinami na powierzchnię.

Najwyższy czas na powrót do rzeczywistości. Czego jak czego, ale solidnego posiłku w domu rodziców na pewno nie zabraknie. Ostrożnie zwał się z łóżka i poszedł do łazienki, z której roztaczał się widok na Śniardwy.

Jeziro, z perspektywy ich domu bezkresne niczym morze, było dziś wzburzone i spienione, a kolor miało rżęci. Duże fale waliły o pomost w kształcie litery T, szarpiąc dwoma łódkami przycumowanymi od strony lądu. Niebo było zasnuwane wysokimi, groźnymi, granatowo-olowianymi chmurami, które kłębiły się złowieszczo niczym przed kataklizmem. Od czasu do czasu przebłyskiwał pojedynczy promień słońca, lecz dobra pogoda była najwyraźniej w odwrocie. „I tak mieliśmy szczęście z wczorajszym słońcem” – pomyślał Mati.

Do kuchni dotarł pachnący czystością, lecz umysł nadal miał mętny. Trafił akurat na obiad. Wszedł do jadalni i zasiadł na nakrytym dla siebie miejscu. Na stole stała wielka waza rosółu z kluskami. Był też wiejski chleb na zakwasie, wędzone ryby i pomidory z cebulą i pieprzem. Wszyscy zabrali się do jedzenia.

– Nie otwieramy wina? – zapytał Mateusz. Nikt nie odpowiedział, a Karolina rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie. Z jakichś względów był najwyraźniej napiętnowany. Ojciec wioskował zupę, siorbiąc i pochlipując, Paweł dyskretnie czytał gazetę, leżącą na krześle obok. Hanna jadła w milczeniu, wbijając oczy w talerz. Mimo wczesnej godziny nad stołem paliła się lampa. W końcu te dość małe, staroświeckie okna nie wpuszczały zbyt wiele światła. Począwszy od połowy października lampy można było zapalać już w południe.

W końcu milczenie przerwała matka.

– Skromniej było w tym roku, nie sądzicie? – Wypowiedź ta odnosiła się do darmowego poczęstunku serwowanego w czasie Hubertusa.

Paweł, na którym zawisło spojrzenie matki, poruszył się niespokojnie i niechętnie odrywając się od milej lektury, odrzekł pogardliwie:

– Nie zarabiają już takich kokosów...

– Właśnie. Skończyły się złote czasy lat dziewięćdziesiątych, kiedy zjeżdżał tam swoim helikopterem Cholewa z Rapałą i zamawiali szampana skrzynkami – rzucił Mateusz.

– A widziałeś, jakim rżęchem przyjechała Rapałowa? – Stary Wencel z ożywieniem oderwał się od pożywnego posiłku, kropla zupy zwisała mu z otłuszczonej brody. – Wystrojona... tfu, jak stróż w Boże Ciało. Skończyło się babci sranie... – Z irytacją ugryzł pajdę chleba suto posmarowaną masłem i ciągnął dalej z pełnymi ustami: – Kilka lat, co był w Metalexporcie, to się nachapał, a teraz koniec balu, panno lalu.

– Czy to nie jego przypadkiem przesłuchiwało CBA? – zapytała Karolina świergotliwym, pogodnym głosem. Zapadła cisza, jakby wszystkich poraził piorun. Szybko odezwała się matka:

– A czym w końcu przyjechała ta stara jędzka Rapałowa?

Stary Wencel wyglądał na stroskanego, lecz po tym pytaniu humor mu powrócił.

– Starym fordem, takim, co Paweł jeździł, jak się dorabiał, jeszcze na aplikacji.

– No to rzeczywiście... Spuścili z tonu. No, współczuję im, ale powiem ci, że mają, na co zasłużyli. Wreszcie przestaną się tak sadyć. – Poranna złość uszła z matki jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki. Prawie śpiewnym głosem oferowała dokładkę. Humor dopisał jej do tego stopnia, że zagadnęła nawet Hannę.

– Co, zupa ci nie smakuje? Włożę ci rybkę? – I mimo protestów wsunęła jej na talerz dwie najchudsze wędzone sielawy i ciągnęła radosnym tonem: – Poznaliśmy wczoraj narzeczonego twojej, hmm, siostry. Chłopak oryginalny. – Z tonu głosu nie wynikało, czy był to komplement, czy wręcz przeciwnie. – Choć rozmowny to on nie był. Ale wiadomo: artysta – ciągnęła z lekką nutką ironii. – Dobrze, że choć Matylda tam spodnie nosi. Będzie dziewczyna musiała teraz robić na dwójkę, ha, ha, ha. Ktoś zarabiać musi. Nie zawsze jest taki układ jak u Karolinki i Mateusza. Kochane dzieciaki, oboje równo pracują na wspólne dobro. – I znacząco uśmiechnęła się do swojej młodszej synowej.

Przy stole zapadła cisza, Paweł lekko poczerwieniał. Hanna przez chwilę wyglądała, jakby zamierzała odpowiedzieć, ale po chwilowym zastanowieniu zmieniła zdanie. Patrzyła w okno. Nikt nic nie mówił. Słyszał było tylko postukiwanie łyżek o porcelanę i ciche siorbanie. Obiad zakończył się niebawem. Wszyscy wstali od stołu.

Elżbieta poszła zaparzyć herbatę i chciała ją podać na werandzie przed domem, jak na „Stalowych Magnoliach”, lecz wiał taki wiatr, że nawet w kurtkach nie dawało się tam wysiedzieć. W końcu Rysiek zaproponował, że napali w kominku w salonie, zrobią pieczone jabłka z żurawiną i posiedzą tam. Jak ogromne było ich zdziwienie, gdy Paweł zakomunikował, że są już spakowani i za chwilę wyjeżdżają. Skąd ten pośpiech? Co ich tak goni? A tak miło się gawędziło! Co dziwniejsze, Mateusz z Karoliną też się spieszyli. Mimo usilnego namawiania cała czwórka zwinęła się przed zmrokiem.

Mateusz i Karolina tak naprawdę nie spieszyli się, mieli ochotę jeszcze gdzieś się zatrzymać i zjeść coś słodkiego, ale tylko we własnym towarzystwie. Naprawdę, ta atmosfera wokół Hanny i Pawła stawała się męcząca. To napięcie, ta cisza były nie do zniesienia. Karolina przypomniała sobie o malutkim pensjonacie prowadzonym przez krakowskiego intelektualistę, który, uciekając przed męczącą popularnością (nie mógł nawet spokojnie przejść przez Rynek), zaszył się w mazurskiej głuszy i wreszcie żył według własnej woli. Mati westchnął. Karolina pochodziła z Małopolski, jej zamiłowanie do dawnej stolicy często było kością niezgody, ale nigdy nie na tyle poważną, by mogli się o to posprzeczać.

Mati i Karolina nigdy się nie sprzeczcali. I jeśli ktoś złośliwy mógłby sugerować, że nigdy się nie kłócili tylko dlatego, że on nie traktował poważnie niczego, co ona mówiła, to niechby ktoś taki spróbował osiągnąć układ choć w połowie tak satysfakcjonujący dla obu stron, a przyjemny dla otoczenia.

Mateusz z kwaśną miną zaparkował swój elegancki samochód pod małą, przasną chatynką, malowniczo usadowioną pośród mazurskich pól i łąk, nad którą niemal teatralnie zawisły ciężkie od deszczu chmury. Gospodarstwo agroturystyczne, położone nisko, z dala od zgiełku głównego szlaku komunikacyjnego, prowadzono z dużym znanstwem i było prawdopodobnie całkowicie samowystarczalne. Przed domem, na urokliwym ganku, siedziało kilku ciepło opatulonych gości.

Tak się złożyło, że za barem siedział akurat sam właściciel, znany krakowski literat. Zatopiony w lekturze, nie dostrzegł wchodzących gości. Na głośnie dzień dobry uniósł głowę, zmierzył Mateusza od stóp do głów, odmruknął coś, po czym wrócił do lektury. Mimo że zdawał się być pochłonięty nią bez reszty, zerkał od czasu do czasu na nowo przybyłych i mamrotał pod nosem niepoehlebne komentarze. Albo tak się tylko zdawało przewrażliwionemu Mateuszowi, który z natury nie był kłótniwy, lecz siedział już dobre parę minut o suchym pysku i jakoś nikt nie podchodził do nich z menu.

Pochrząkiwanie nic nie dawało, choć w karczmie nie było specjalnego tłumy. Na końcu sali siedziała starsza, niemiecka para i piła herbatę. Rozglądali się ostrożnie po rustykalnym wnętrzu, dopracowanym do najmniejszego szczegółu, kręcąc z niedowierzaniem głowami. Dziwili się zapewne, że tak dobrze to było zorganizowane i zrekonstruowane. Faktycznie, wyglądała jak dziewiętnastowieczna chata! W końcu Mateusz podniósł się i podszedł do kontuaru.

– Czy można coś zamówić? – spytał spokojnie zerkającego znad okularów aroganta.

– Można – z wolna, nie spiesząc się, odparł tamten, śliniąc palec i wolno wertując

stronice.

– A co jest? – nadal spokojnie indagował Mati.

– A co widać. – Arogant wskazał palcem menu umieszczone na drewnianej desce.

Mati w milczeniu lustrował spis dań. Literat nie odrywał wzroku od książki. W końcu Mati postanowił go zagadnąć. Arogant był fascynujący w swojej beczelności.

– Nie nudno tu panu na wsi? – zapytał, porwany czysto ludzką ciekawością. – Jest z czego czerpać inspirację do dalszej twórczości?

Pisarz, zdumiony bezpośredniością natręta, uniósł wysoko ciemne, zamaszyste brwi, jakby nie dowierzając, że wyelegantowany młodzik, najprawdopodobniej amator zdrowej żywności i squasha, miał w rękach coś oprócz magazynu „Logo”, a co dopiero któryś z jego „krwiożerczych felietonów”.

– Tu nawet lepiej widać ludzką naturę – odmruknął.

– A nie męczy pana siedzenie wciąż w jednym miejscu?

– Coś panu powiem. – Arogant gwałtownym gestem zdjął okulary i wstał. Lekko połączona próżność skłoniła go do uzewnętrznienia. Postanowił zrobić piorunujące wrażenie i zgnieść młodego pyszałka intelektualnie, na wypadek gdyby tamten śmiał naigrawać się z jego twórczości. – Ja, drogi panie, jestem mentalnie z czasów, kiedy w ogóle się nie podróżowało. Moja matka całą rzeczywistość znała z kazań kościelnych, a nie z mediów. Pamiętam czasy, kiedy paszport był bytem nieuchwytnym niczym zjawa senna, a potem system komunistyczny upadł i nagle dane mi było podróżować. Wielki świat nie przyniósł mi nic prócz rozczarowania. Na Akropolu zapierdalają tłumy Japończyków, w Dolinie Królów Ruscy połyskują złotymi zębami, tratując być może nieodkryte jeszcze katakumby, gigantyczne posągi Buddy wysadzili mudzahedini. Świat nie ma mi nic do zaoferowania, a ja w tej głuszy odkrywam na co dzień coś, o czym wielki świat zapomniał. A ten spokój, praca w ogrodzie, niedzielny kompot – to rzeczy, które zaginą bezpowrotnie. To tu powinni przyjeżdżać, to te obrazy chłonać niczym beczenną wiedzę, niczym mleko matki. To raj utracony, który niedługo zaginie. A ludzkie typy, które tu bywają, dają aż nadto pożytki dla studiowania natury ludzkiej.

– Rozumiem, że zawsze wnikliwie poznaje pan przedmiot drwin, nim zabierze się pan za opis jego przywar?

– Zazwyczaj pierwsze wrażenie jest słuszne...

– Czytałem jedną z pańskich książek... – zaczął z namysłem Mati. Nie zamierzał obrażać tego człowieka, chciał tylko sprawdzić, czy faktycznie był tak elokwentny, jak go opisywano, a potem odejść, lecz duma Wencłowska została ugodzona. Potraktowano go jak wymuskanego idiotę. Lecz czy teraz warto było klarować temu najeżonemu wrogością grafomanowi, że jego obserwacje o świecie były tak naprawdę zlepkiem obserwacji kilku nieco bardziej wybitnych poprzedników, a opisy postaci powierzchowne i naiwne? Że jedynym celem jego twórczości było obrażanie i zemsta? Teraz żałował, że w ogóle wszczął rozmowę. Czy komentując jego twórczość w tak samo zjadliwy sposób i on sam nie wpisze się w ogólny nurt krytykowania wszystkiego i wszystkich za wszelką cenę? A niech sobie istnieje niebożę, niech zije nienawiścią do takich jak on, niech z zakamarków zapyziałej izby pisze zjadliwe pamflety i satyry, ostatecznie tylko tak umie radzić sobie z rzeczywistością. Jest to po prostu kolejna, bardziej wysublimowana forma „przypierdolenia komuś”, tyle że za marne, oj, marne grosze...

Lecz jego niepokój był przedwczesny. Nie trzeba było formułować opinii ani polemizować. Literat patrzył wzrokiem mówiącym aż nadto wyraźnie: „gówno mnie obchodzi, co taki dupek jak ty myśli na temat mojej twórczości. I tak nic nie rozumiałeś, baranie. Język jest dla ciebie za trudny, a porównania za głębokie”. Niniejszym Mati został zwolniony z obowiązku wypowiedzi. Uśmiechnął się pod nosem, machnął ręką i zamówił dwie herbaty i dwa placki ze śliwkami oraz kieliszek domowej pigwówki, określanej na tablicy menu jako „mazurskie niebo w gębie”.

Ruszył z tym wszystkim do Karoliny. Okazało się, że wyszła na zewnątrz i siedziała na drewnianym ganku. Otuliła się grubą kurtką, na rękach miała rękawiczki, lecz i tak lekko dygotała. Zimny wiatr zdawał się wiać ze wszystkich kierunków naraz.

– Zwariowałaś? – syknął Mati, stawiając ciężką tacę. – Chodźmy do środka!

– Och, bądź cicho i rozkoszuj się widokiem – szczękała zębami Karolina.
– Ach, żyć tutaj beztrosko, nie musieć chodzić do pracy, użerać się z durnymi klientami.
– Ja bym tu zwariował po dwóch tygodniach. Popatrz na tego zarośniętego świra za barem.
– Mati pił dużymi łykami. Nadal go suszyło i nawet herbata w kuflu nie była w stanie ugasić jego pragnienia.

– Spójrz, jakie urocze łyżeczki! Drewniane!

– Nie chciałabyś wiedzieć, jakie żyjątko mieszka w twojej łyżeczce! Serio! Literat je metalowymi, bądź pewna!

– A ja myślę, że żona literata czyści te drewniane pias-kiem – zaśmiała się Karolina i uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Pewnie! Jakbym ja siedział niemyty od tygodnia ze szczeciniastą brodą, to też byś wolała wieczorami szorować statki piaskiem. – Mati zjadł już swój placek i teraz zabierał się za kawałek żony. Równocześnie podsunął jej nalewkę – To cię rozgrzeje.

Jak ładnie wyglądała w tej brązowej kurtce, taka zaróżowiona od wiatru. Tamte inne sprawy to wariactwo. Musi pamiętać w przyszłości, gdy nadejdzie chwila próby. Nagle poczuł się ogromnie szczęśliwy. Bodajby każdy miał takie dylematy. Toż to życie w jego najbujniejszej fazie. Nigdy już nie będzie tak kreatywny, płodny, pełen temperamentu... Nawet jeśli zdarzają mu się błędy, jeśli powija mu się noga... Czyż nie jest to na wskroś ludzkie i wybacalne? Nawet jeśli miewa dylematy dotyczące własnej drogi, własnego szczęścia. Czy to nie jedyna rzecz, warta zastanowienia? Karolina jest piękna. Jest wyrozumiałą żoną i z pewnością będzie wspaniałą matką, a to coś znaczy.

I kto z nim wytrzyma, jak nie Karolina? Dobra, pocziwa, uległa Karolina, która kocha go na tyle, że przymyka oczy na różne występki. Ot, chociażby wczorajsze tańce z tą rudą diablicą, której imienia nie mógł sobie przypomnieć. Ale to stanowiło treść jego egzystencji – gdyby ktoś chciał go tego pozbawić, czułby się zubożony. Pragnął czerpać z życia pełnymi garściami! A natury nie da się zmienić. Po co więc zmieniać coś, co działa i ma się dobrze? I pozornie bez związku zagadnął:

– Zazwyczaj nie lubię się wtrącać w sprawy Pawła, ale powiem ci, że na jego miejscu dałbym sobie siana.

– Nie chcę nic mówić, Mateusz. Ona jest kobietą, powinnam jej bronić...

– Nie udawaj świętoszki. Wal. – Mati wyszczerzył zęby w uśmiechu i pochylił się w stronę żony. Porywisty podmuch prawie zmiotł ze stolika serwetnik. Granatowe chmury wisiały coraz niżej, było już prawie ciemno. O szyby domku zabębniły pierwsze krople deszczu.

– Ona... Czy ja wiem? Niby nie kokietuje innych facetów, ale... Jest w niej coś takiego, co chyba prowokuje mężczyzn, bo ja wiem. Robi to niby niecelowo, a jednak...

– Czy ja wiem, czy prowokuje? – Mati zastanowił się głęboko. – Jest dość skromna w stosunku do obcych facetów. To znaczy, lubi być zauważona, no ale to tak jak każdy.

– Chcesz powiedzieć: tak jak ty – zaśmiała się Karolina.

– Mówiąc absolutnie szczerze, nie odnotowałem, żeby świadomie prowokowała jakiegokolwiek faceta – Mati mieszał łyżką w cukiernicy. – To artystyczna natura. Jest estetyką. Lubi się zanurzyć w ciekawej rozmowie, jest bardzo emocjonalna. Myślę, że Paweł lekko przesadza z zazdrością. To też może być męczące, nie sądzisz?

– Jakże świetnie ją rozumiesz! Czyli robisz mi przytyk! Uważasz, że ja też przesadzam z zazdrością! – nadała się Karolina.

– Na Boga! Dlaczego kobiety nie odbierają komunikatów wprost! – wykrzyknął Mateusz.

Karolina szczerze otuliła się kurtką, odchyliła na oparcie i w obronnym geście założyła rękę na piersi. Upiła herbaty i po chwili znów zaczęła:

– Myślę, że prawda jest brutalnie prosta. Paweł jest po uszy zadurzony, a ona chce się z tego układu wymiksować. Ale boi się zostać sama, ot co.

– Myślisz, że to typ kobiety, która panicznie boi się zostać sama? – w głosie Mateusza brzmiało powątpiewanie. – Ja skłonny jestem uważać, że ona boi się go zranić.

– No wiesz! Teraz chyba przypisujesz jej zbyt wielką uczuciowość – zawołała wzburzona

Karolina. – Gdyby tak dbała o jego uczucia, to chyba nie byłaby tak oziębła!

– Oni weszli już chyba na taki odcinek prostej, gdzie nie da się już udawać uczuć. Myślę, że to równia pochyła. – Mati jednym haustem wypił resztę herbaty i wstał. – No, zbierajmy się.

Tymczasem Paweł i Hanna mieli za sobą połowę drogi do Warszawy. Jak dotychczas, nie zamienili więcej niż dwa zdania, choć trzeba wziąć pod uwagę, że Hanna czytała naprawdę ciekawą książkę. Gdy było na tyle ciemno, że nie rozróżniała liter, odłożyła ją na kolana.

– Zapal sobie lampę – mruknął Paweł, nie odrywając wzroku od drogi. Poczul na sobie jej nieodgadnione spojrzenie. Silnik mruczał cicho, ekskluzywnie. – Tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś, aby na ten wspólny weekend... O ile nie zmieniłaś zdania. – Zerknął na nią ukradkiem. Jej czysty, wyraźny profil oświetlały światła mijanych latarni.

– Nie, zdania nie zmieniałam – odrzekła z wolna.

– Ale co? – Paweł nie potrafił opanować napięcia w głosie. – Ale i tak uważasz, że nam się nie uda, co?

Cisza. Ryk i podmuchy wiatru mijających ich z naprzeciwka tirów.

– Lubisz tym milczeniem doprowadzać mnie do takiego stanu, co? – Z jego ust popłynęły słowa bez kontroli. Mocniej wdepnął pedał gazu, zdawali się jechać nieco szybciej.

– Nie, nie lubię. I proszę, zwolnij!

– To zacznij coś mówić, zacznij zachowywać się jak kobieta z krwi i kości – zawołał gwałtowniej niż zamierzał. – Nie pamiętasz, co ustaliliśmy?

– Wiele z naszych ustaleń nie wynikło.

– Wynikłoby, gdybyś zechciała nie okazywać mi pogardy, chociaż publicznie! – krzyknął Paweł, popatrując na nią znacznie częściej, niż podpowiadałby zdrowy rozsądek.

– Jakiej wzgardy? O czym ty mówisz? – pytała spokojnym głosem, który nawet świętego doprowadziłby do ataku furii. – Taką rozmowę powtarzamy setny raz. Czy naprawdę sądzisz, że gdybyśmy polecili choćby na Księżyc, takie rozmowy między nami ustaną? Mówiłam to już tyle razy, że naprawdę opadam z sił – rzeczywiście mówiła znękanym, zmęczonym głosem. – Krzywo na mnie patrzysz, gdy tylko otworzę usta do kobiety czy mężczyzny. Płeć nie ma tu żadnego znaczenia. Każda rozmowa ze stroną trzecią jest dla ciebie zamachem na twoją godność, na naszą integralność małżeńską. Ja czuję pętlę aż tu – gestem wskazała swój podbródek.

– Bredzisz! – krzyknął on. – Okazujesz mi lekceważenie, a potem robisz ze mnie nieznaczącego wariata, który chodzi za tobą jak cień i nie pozwala ci oddychać! Zwalasz jeszcze winę na mnie! Przyznaj choć raz, że to ty nawaliłaś! Że masz mnie dosyć! – wrzasnął i gwałtownie hamował, choć nie było konieczności. Samochody przed nimi zwalniały i ustawiały się w korku. Przed Serockiem formował się długi wąż, zapowiadało się co najmniej godzinne stanie.

– Słyszałaś, co powiedziałem?! – powtórzył, bo nie odpowiadała.

– Dobrze, już dobrze, nie lubisz krzyku, wiem, w twojej świętej rodzinie nikt nie podnosił, kurwa, głosu.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu Paweł podjął:

– Ciekawe, że to ty zawsze nabroisz, a ja muszę zagadywać, nadszakiwać ci!

Milczenie.

– Wiem, wiem. Nie muszę. Gdyby to od ciebie zależało, opuściłabyś mnie w pięć minut. Ale kto, kurwa mać, płaciłby za twoje perły, futra, buty, torby i całe to gówno, co cię przy mnie jeszcze trzyma. – Samochód gwałtownie szarpnął i zgasł. To noga Pawła spadła ze sprzęgła. Mamrocząc przekleństwa, ponownie przekręcił kluczyk, samochód zapalił. Siedzieli w absolutnej ciszy. W końcu przemówiła Hanna:

– Obraziłaś mnie już dostatecznie, choć pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nigdy nie proszę cię o nic, sam darowujesz mi kosztowne rzeczy, po czym wypominasz to. Robią to również, tyle że w sposób zawoalowany, i twoja matka, i ojciec, choć nie winię cię za to, nie odpowiadasz za ich słowa.

– Nie robiliby tego, zapewniam cię, gdyby nie ich przekonanie, że mnie nieustannie krzywdzisz!

– A co ja takiego zrobiłam wczoraj? – zwróciła ku niemu twarz. – To, że śmiałam się oddalić i pojechać konno? Że zamieniłam dwa zdania z paroma znajomymi? Że rozmawiałam z siostrą?

– To akurat, że rozmawiałaś z siostrą, wcale... Więcej nawet – zawołał Paweł, spuszczając nieco z tonu. – Zanim zaczęła się ta kłótnia, chciałem ci coś zaproponować! W ramach kompromisu, o którym rozmawialiśmy, postanowiłem, ekhm, jako że ciągle mi zarzucasz, że zawsze wyjeżdżamy sami i że się ze mną dusisz... – Chwilę milczał, licząc, że ona powie coś pojednawczego.

Nic takiego z jej ust nie padło, lecz niezrażony ciągnął dalej – chciałem ci zaproponować coś, co cię na pewno ucieszy. Najpierw, tak jak planowaliśmy, jedźmy gdzieś w ciepłe kraje sami, ale na trochę dłużej, chociaż na tydzień. A za to potem, na przykład na sylwestra, wybierzmy się gdzieś na parę dni z twoją siostrą. – Paweł ściszył radio, które zaczęło brzęczeć. – Spędzimy sylwestra we czwórkę. My i oni! – Umilkł triumfalnie.

Hanna zaskoczona milczała. Patrzyła na światła mostu nad Zalewem Zegrzyńskim.

– Przecież nie znosisz Matyldy? – rzuciła chłodne, badawcze spojrzenie.

– Przesada. Zresztą, to twoja siostra! Która, nawiasem mówiąc, teraz ma narzeczonego, więc nie będzie cię ciągać po barach... Spędzicie razem miłe chwile, pogadacie sobie. Ja zintegruję się z panem artystą – zaśmiał się sztucznie – z pewnością mamy wiele wspólnego...

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł – odparła z ociąganiem. Paweł nie widział jej twarzy, odwróciła głowę w stronę szyby.

– Przemyśl to. – Paweł postanowił zamknąć dyskusję, instynktownie czując, że tym samym zyskiwał przewagę. Nie odzywali się aż do samego domu, oboje pogrążeni w niewesołych myślach.

Zagajewiczowa

Marzena Zagajewicz nie była typem kobiety, która beczynn timer stałaby i patrzyła, jak inna odbiera jej męża. Nie należała do kobiet, które, niczym panny z tańca, wychodzą z małżeństwa z jedną walizką. I szczerze mówiąc, trudno wyobrazić sobie Marzenę w ogóle wychodzącą z małżeństwa. Był to typ niestrudzony, niezmordowany w walce o rodzinne szczęście, którego nie odwiodłyby od słusznie przyjętej drogi żadne przewrotne przeciwności losu, był to w końcu typ kobiety, która nie ważyła sobie lekce słów „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Dzięki śmiałej i nieustraszonej naturze zdobyła mężczyznę, który przewyższał ją kombinacją cech, zwyczajowo świadczących o atrakcyjności. Zagajewicz był w ogólnym pojęciu przystojny, elokwentny, wesoły, sympatyczny i zaradny, natomiast Zagajewiczowia brzydka, nudna (jedyny temat, przy którym odzywała i robiła się wymowna, dotyczył wszelkiego rodzaju schorzeń nowotworowych), wiecznie niezadowolona i, co gorsza, niepróbująca nawet tego ukrywać (jej zabezpieczeniem na posiadanie wieczystego użytkowania współmałżonka była dwójka rozkosznych małych urwisków – ulu- bieńców tatusia). Była też leniwa i miała niewiele talentów.

Jednym z jej głównych atutów była umiejętność wmówienia mężowi, że jest niezastąpiona, a jej rażąca brzydota stanowiła niejaką gwarancję stałości ich związku. Miała bardzo dużo zdrowego rozsądku i to w jej mniemaniu stanowiło podwaliny do budowy udanego małżeństwa, gdyż nie od dziś wiadomo, że codzienne życie pary z dziećmi to już nie żadne romantyczne porywy, a sprawnie, niczym szwajcarski zegarek, funkcjonujące gospodarstwo domowe, bazujące na kompromisach.

O kompromisach, na które musiała iść Marzena, nie wypada wspominać. Sprawy te u Zagajewiczów zamiatano pod dywan. Marzena była też na tyle przezorna, by nigdy nie żalić się na nie nawet najlepszym przyjaciółkom. To, że mąż często wyjeżdżał w interesach, było naturalne. W końcu miał na utrzymaniu cały dom, a wiadomo, jakie przyszły czasy. Nie ciągnęła, zwyczajem koleżanek, męża za spodnie do domu. Musiał mieć jakiś wentyl. „Nie można za wariacką namową telewizji – przekonywała Marzena bardziej wyemancypowane przyjaciółki, które miały, jej zdaniem, zbyt wygórowane wymagania – żądać od współczesnego mężczyzny, by i przynosił do domu chleb, i niańczył dzieci”.

Marzena Zagajewicz pozostawała w stałym kontakcie z kilkoma „przyjaciółkami”. Wszystkie były żonami radców prawnych, adwokatów, notariuszy i komorników, znajomych Zagajewicza. Co ciekawe, do grona przyjaciółek nie dostąpiła żadna pani radca prawny, pani adwokat czy pani notariusz, choć, jak wiadomo, takowych wśród znajomych Zagajewicza nie brakowało.

Tak więc najściślejsze grono stanowiły właśnie żony, wychowujące dzieci żony szacownych prawników, a rej wśród nich wodziła wszystkowiedząca Zagajewiczowa. Ta grupa trzymająca władzę wiedziała o wiele więcej, niżby można się po niej spodziewać. Gdzieś między rozmowami o przysłowiowych kupkach niemowlęcych zapadały strategiczne postanowienia i wydawane zostawały wyroki brzemiennie w konsekwencje, ot, chociażby towarzyskie, a nierzadko biznesowe.

Panie często spotykały się w godzinach przedpołudniowych, najchętniej w galeriach handlowych lub parkach wyposażonych w nowoczesne place zabaw. Nieopodal takiego placu zabaw znajdowała się zazwyczaj mała, przytulna kawiarenka, gdzie panie gromadziły się w dowolnych konfiguracjach. Zagajewiczowa, niezależnie czy była, czy nie była obecna na spotkaniu, zawsze wiedziała, o czym rozmawiano. Była *au courant* z najświeższymi ploteczkami, wiedziała, co w trawie piszczy, komu biznes idzie, a komu przysiadło, kto zrobił sobie nowy nos, a kto zastrzyk z botoksu, wreszcie, kto tylko skakał na boki, a kto miał klasyczny romans. Taki z prawdziwego zdarzenia.

Tego ranka Zagajewiczowa była w wyjątkowo złym humorze. Po pierwsze, listopad był dla niej zawsze najkoszmarniejszym miesiącem roku, a ten zapowiadał się wyjątkowo paskudnie! Robert wyjeżdżał na co najmniej trzy szkolenia, w tym jedno w San Diego, więc przez cały okres okropnych chorób przedszkolnych będzie musiała posiłkować się jedynie dwiema nianiami.

Ach, i jeszcze to. Kłopoty z nianią. Musi znaleźć nową, a z tym będzie większy problem. Ileż kłopotu z tymi kobietami! Zazwyczaj były chytre i szczerwane, zdolne okpić najprzezorniejszą panią domu. Sokoli wzrok Marzeny Zagajewiczowej zazwyczaj łowił ślady po wykroczeniach. Czasem był to ślad chciwego palucha w drogim kremie przeciwzmarszczkowym, czasem nieprzyzwoita ilość zjedzonych orzechów, innym razem zaskakująco szybko kończące się kostki do zmywarek. Oj, tęgą trzeba mieć głowę, by wychwycić te szczegóły, a potem duży zapas zimnej krwi, by je należycie napiętnować.

Musi kiedyś wybrać się na jakąś zapadłą wiochę, słyszała bowiem, że w Kieleckiem można mieć niańkę za sześćset złotych miesięcznie, tymczasem te rozbestwione babony rezydujące w Warszawie śpiewały sobie przeciętnie trzy tysiące miesięcznie! I jeszcze nic nie robiły prócz niańczenia. Łaskawie zmyły talerzyk po dziecku i poukładały na miejsce klocki Lego. Zagajewiczowa pogoniła już kilka takich próżniaczych larw. Nie tak pracowało się u Zagajewiczów, oj nie. No bo jak było przed wojną? Ludzie umieli cenić pracę. Do tego samego trzeba dążyć i dziś.

Nalała wody do czajnika i usiadła do późnego śniadania. Jedenasta, Kacperek był już w przedszkolu, Sonia na spacerze z panią Halinką. Wreszcie błoga chwila relaksu. Za oknem zanosilo się na deszcz, potężne podmuchy wiatru zdzierały z drzew ostatnie liście! Żeby tylko nałożyła Soni kapturek...

Jak się jej nie powie sto razy, nie zakonotuje. I jeszcze dzisiejsza rozmowa przy śniadaniu. Na jej wspomnienie Zagajewiczowa aż zadrżała z nerwowego podniecenia i tylko żelazna siła woli powstrzymała ją przed natychmiastowym telefonem do Beaty Porady, żony Miśka – notariusza.

Ale – najpierw śniadanie i kawa, a potem telefony. Musi się trzymać schematu, inaczej nigdy nie uda jej się zjeść. Telefony do wszystkich bliższych i dalszych przyjaciółek ciągnęły się do późnego popołudnia, a w każdej chwili mogła powrócić pani Halinka z Sonią. Kochane dziecko miało ogromny temperament, przy nim już nic się nie da zrobić. A jak zawiadywało panią Halinką! Ale robiło to zawsze tak sprytnie. Aż czasem Zagajewiczowa musiała odwracać głowę w drugą stronę i tłumić wybuch niekontrolowanego śmiechu. Dopiero by to wyglądało. Że dziecko rozpuszcza. Potrafiła Sonię strofować, oj tak. Nie można jej zarzucić, że nie zwracała dziecku uwagi w takich chwilach. „Powiedz do pani Halinki: poproszę” – klarowała Soni uczonym głosem. Ale dlaczego dziecko tak pomiało tą kobietą, tego Zagajewiczowa zrozumieć nie mogła. „Widać ma władczość we krwi. Po tatusiu” – śmiał się w takich chwilach Robert. Tak, mała potrafi owinąć sobie otoczenie wokół palca. I na twarzy Marzeny pierwszy raz tego dnia zjawił się nikły, kwaśny uśmiech. Upiła łyk kawy i zjadła lukrowanego pączka.

Uśmiech znikł prawie tak nagle, jak się pojawił. Przypomniała sobie, jakie przykrości dziś ją czekają. Właśnie w tej sprawie chciała dzwonić do Anki. Pani Halinka jest poczciwą kobietą, lecz po prostu rozwój intelektualny Soni ją przerasta. Prawda jest taka, że pani Halinka to garkotłuk – a Sonia to takie zdolne dziecko. Trzeba jej stymulacji intelektualnej, ciekawych zabaw, rozwijających chłonny dziecięcy umysł! Trzeba jej niani przygotowanej pedagogicznie. Przecież niebawem Kacper pójdzie do szkoły, będzie musiał odrabiać lekcje! Kto mu pomoże? Ona, Marzena, ma tyle roboty z zakupami, prowadzeniem domu i w ogóle! Jeśli ma płacić, to niech wie, za co.

Do tej pory pani Halinka raz lepiej, raz gorzej spełniała swoje zadanie, lecz po dzisiejszej porannej sytuacji, kiedy Marzena musiała ostro interweniować... Nie no, musiała zatelefonować do przyjaciółki i podzielić się tym strapieniem. Wykręciła numer Poradów. Notariuszowa odebrała po pierwszym sygnale.

– Tak. Słucham? – odezwał się nobliwy głos.

– Beatka, tu Marzena – zaszczębiotała Zagajewiczowa. – Przeszkadzam? Nie? To słuchaj, mam problem. Chodzi o panią Halinkę.

– Mów, opowiadaj! – głos notariuszowej przepełniało współczucie.

Beata to prawdziwa przyjaciółka. Szkoda tylko, że tak słaba i bezwolna, skłonna do uzależnień. Ot, chociażby papierosy. Przy jej cerze.

– Czekaj, wyjdę na balkon zapalić – dorzuciła Beata. Jasne, każdy pretekst dobry. Słychać było skrzypnięcie otwieranych drzwi i jakieś szuranie. W końcu znów odezwał się jej głos:

– Już. Możesz mówić!

– No więc słuchaj, ja już z tą kobietą nie mogę. Rano wchodzę do pokoju Soni i co widzę...

– No... – Beata po drugiej stronie aparatu zamarła w oczekiwaniu.

– Sonia siedzi w kącie, beczynnie, jak sierota, bawiąc się kawałkiem sznurka, a ta, rozumiesz, rozparta na jej kanapie, ogląda powtórkę „M jak Miłość”! W małym telewizorku Soni.

– Nieee – wyjęczała Beata.

– Jak tam nie wpadłam, wyobrażasz sobie, wiesz, jaka jestem, jak mnie ktoś tak wnerwi!

– Ha, ha, ha – zaśmiała się radośnie Beata.

– Powiedziałam jej do słuchu, no ale, kochana, chyba sama rozumiesz...

– Kochana, nie musisz się tłumaczyć! – wsparła ją gorliwie notariuszowa, szybko zaciągając się papierosem, by nie uронić ani słowa z pasjonującej konwersacji. – Daj spokój! Za co się płaci!

– Trochę się uspokoiłam i potem mówię do niej: „Niech pani pójdzie z nią pomalować!

Porysować! Polepić z plasteliny! No i poszły, i co słyszę? Za sekundę kłótnia! Pani Halinka dowodzi Soni, że niebo nie może być czerwone! Znów wbiegam i mówię jej, żeby nie niszczyła wyobraźni dziecka! Żeby nie zabijała jej kreatywności! No i tak w koło Macieju, Beatko, już nie mam na nią siły! Muszę poszukać kogoś kompetentnego! Kogoś wykształconego!

– Ależ masz absolutną rację, kochana! Dzieci ci rosną, już nie tyle potrzeba ci kogoś do niańczenia, co do edukowania.

– Nie no, kochana, nie przesadzajmy – zgrzytnął głos Marzeny – od edukacji to jestem ja i Robert! Nie szukam im matki zastępczej. Po prostu chodzi o to, by w domu był ktoś potrafiący powiedzieć, ile to jest dwa dodać dwa...

– Dokładnie o tym mówię – lękliwie wtórowała Beata – potrzeba ci kogoś, kto będzie potrafił odpowiedzieć na najprostsze pytania dzieci, a takie zaraz się zaczną.

– Już się zaczęły – zganiła ją Marzena. – Czy ty wiesz, co Kacperek powiedział wczoraj do Roberta?

Niestety, Beatce nie dane już było usłyszeć, co powiedział genialny Kacperek.

Z dziecięcego pokoiku doleciał rozpaczliwy płacz, więc Beata musiała natychmiast się żegnać. Marzena, rozczarowana, postanowiła wydzwonić inną, mniej zajętą przyjaciółkę – Izabelę – żonę Artura Kuleszy – uznanego adwokata karnisty. Izabela była matką kilkuletniej dziewczynki, która o tej porze powinna być w przedszkolu.

I faktycznie była, więc Izabela mogła swobodnie rozmawiać. Na samym początku rozmowy Marzena nie mogła się oprzeć, by poczynić następującą uwagę:

– Rozmawiałam chwilę z Beatką...

– Mmm? Co tam u niej?

– Nie zdążyłam zapytać. Mały raz zakwilił, a ona...

– ...rzuciła telefon jak oparzona?

– Tak. Ale, wiesz, to trzeba zrozumieć. Wychowuje dzieci praktycznie sama. Miśka nigdy nie ma w domu. Ona czasami już nie wie, na jakim świecie żyje – zaczęła prowokująco Marzena.

– Twojego Roberta też często nie ma, a dajesz sobie radę – odparła Izabela, kładąc nacisk, na drugi człon zdania i nadając tym swej wypowiedzi pozornie pozytywny wydźwięk. I po chwili dodała:

– No, ale ty masz dwie nianie...

– Pani Bo przychodzi tylko, kiedy my wychodzimy wieczorami, trudno o niej mówić jako o drugiej niani! – zakrzyknęła Marzena. – I właśnie *à propos* niani. Muszę się pozbyć pani Halinki. No, mówię ci, takie głupoty wygaduje do mojego dzieciaka.

– Teraz jest w czym przebierać – ziewnęła Izabela. Temat dzieci nigdy jej specjalnie nie pasjonował. – *À propos* Soni. Jak ona się czuje?

– Już zupełnie zdrowa, minęło bez śladu. Już zapomnieliśmy – triumfująco odparła Marzena.

– Bo ty przez to nie mogłaś wyjechać z Robertem na Mazury... – z wolna zaczęła Izabela.
– Tak. Na Hubertusa – cień niepokoju odbił się w głosie Marzeny. – Ale specjalnie nie żałuję. Wszyscy się tam upijają, dla mnie to żadna zabawa. Niech Robert jeździ sam i niech ja na to nie patrzę. Niech chleje do woli, ja tego widzieć nie muszę – ciągnęła gderliwie...

– Żona Marcina Radziejewskiego tam była – zawiesiła głos Izabela.

– No i? – dość opryskliwie odparła Marzena, przytrzymując telefon przy uchu ramieniem i stawiając wodę z włoszczyzną na gaz. Z korytarza dobiegało chrobotanie klucza w zamku. To Sonia wracała ze spaceru.

– Widziała Roberta – w głosie Izabeli słychać było wahanie.

– No i co? – Marzena niechętnie uderzyła pokrywką o spoczywający na blacie drogi mikser. – A niech to...

– Nic, nic, nie denerwuj się – w głosie Izabeli brzmiało szczere współczucie. – Po prostu uznałam, że powinnam ci powiedzieć...

– O czym? – syknęła Marzena, nie kryjąc nerwów. Ta kobieta naprawdę pozwalała sobie na zbyt wiele. – Jeżeli chcesz mi powtarzać jakąś głupią plotkę...

– Mamo, umyj mi rączki! – z korytarza doleciał rozpaczliwy krzyk.

– Pani Halinko, bardzo proszę umyć Soni rączki! – wrzasnęła Marzena w stronę korytarza. – No mówże, jak już zaczęłaś! O co chodzi?

– Nie denerwuj się tak, Marzena! – głos Izabeli brzmiał kojąco. – Nic się nie stało! Ale jesteśmy przyjaciółkami i wolę ci powiedzieć! Od ciebie też bym oczekiwała podobnej szczerości. Ja wolałabym znać prawdę, choćby była najgorsza i liczę, że w razie gdyby mój Artur coś takiego zmalował, to też mi powiecie! Więcej nawet, obliguję cię do tego! Jakby co – też masz mi powiedzieć!

– Rozumiem, że stało się coś poważnego, inaczej nie ważyłabyś się tak mnie niepokoić – niemal groźnie warknęła Marzena, rzucając na ziemię ścierkę. – Mów natychmiast!

– Mówię ci, kochana, że to nie jest nic takiego!

– No więc, jak to nie jest nic takiego, to po kiego grzyba...! – krzyknęła histerycznie Marzena.

– Słuchaj! Chodzi o to, żeby zapobiec czemuś zawczasu! Chodzi o tę...

– Żonę Pawła? – zaśmiała się nienaturalnie Marzena. – Tak? Uwierz mi, moja droga, cokolwiek Robert by do niej nie wygadywał, on nie traktuje tego poważnie! Chyba śnisz! Paweł to Roberta współnik! Przyjacieli! To, że sobie pogadają...

– Żonę Marcina zaniepokoiło, że trzymał ją za rękę i o coś błagał – przeproszającym tonem zawodziła Izabela. „Tak tu chcesz komuś pomóc – myślała sobie. – To jest ludzka wdzięczność!” Następnym razem będzie trzymać język za zębami!

– Izabelo, powiem ci szczerze, co myślę – głosem jak świst bata wycodziła Marzena, dygocząc z oburzenia. Izabela w swoim salonie na Ochocie struchlała, zgarbiła się nad słuchawką w przeproszającym geście. – Hanna jest kobietą bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwą w małżeństwie.

– A to, to ja wiem, nie musisz mi mówić! – gorliwie potakiwała wystraszona Izabela. – Czekaj, naleję sobie herbaty...

– Hanna wylewa swoje nieszczęście przed wszystkimi mężczyznami! – perorowała Marzena, jakby czytała przemówienie z kartki. – Znam to nie od dziś. Robert jest dobrym człowiekiem, który głęboko współczuje obu stronom. Ile razy ich godził! Ile razy próbował rozmawiać. I z jednym, i z drugim! Ale wiesz, jaka jest Hanna! Sama nie ma dzieci, a czas ucieka! Pewnie miota się w przerażeniu! Szuka w popłochu kogoś, kto mógłby jej zastąpić męża! Nie rozumie, że nie ma po co sięgać po żonatego!

– Wiesz, kochana, jak kto nie ma dzieci, to myśli, że łatwo odbić dzieciatego.

– Dokładnie – prychnęła Marzena. – Nie zdaje sobie sprawy, że dla niego taki flirt to tylko zabawa! Miło jest poplirtować z ładną kobietą, jak na co dzień w domu są obowiązki! Wiadomo, że z żoną nie porozmawia w taki sposób!

– Po prostu nie cierpię takich kobiet – sapnęła Izabela. – Żyją po to, żeby zakręcić innym

mężczyznom w głowie. Udają, że przyziemne sprawy tego świata ich nie dotyczą. Dziwią się często: żona zabrania ci wyjść i każe zostać z dziećmi? To nie może sama posiedzieć? To co, że siedzimy z tymi dziećmi całe boże dni! Oni muszą się odstresować od pracy – ton głosu Izabeli stawał się coraz bardziej podniesiony.

– Nie ma co wydawać na nią wyroków, Izo – odezwał się surowy głos Marzeny. – Trzeba jej współczuć!

– Nie mówisz chyba poważnie – ośmieliła się zwątpić w uczciwość przyjaciółki Izabela, istota skądinąd prostolinijna.

– Mówię poważnie. To kobieta bliska kompletnego załamania lub jakiegoś wykojenia. Jak nie ułoży sobie życia z Pawłem to wątpię, by znalazł się drugi amator takich walorów. Może jest i piękna, ale ma już swoje lata! Kochana, ona niedługo będzie za stara na dziecko.

– Cudów w medycynie jeszcze nie ma – zaśmiała się Izabela z ulgą.

– Nie najmłodsza i bardzo oderwana od rzeczywistości. Ty myślisz, że ona prowadzi Pawłowi dom? Mylisz się!

– No, my też same nie sprzątamy – bąknęła Izabela uczciwie.

– Tu nie chodzi o sprzątanie, ale organizację tego wszystkiego. Zakupy. Planowanie wydatków. Zorganizowanie sprzątaczk, kochana! Dogłądanie! Wszystko to, powiadam ci, robi ten nieszczęsny Paweł!!! I jeszcze musi na wszystko zarobić!

Pokój z widokiem na morze

W połowie listopada Paweł zabrał żonę na tydzień do Egiptu. Wiele sobie obiecywał po tym wyjeździe. Postanowił, że dołoży wszelkich starań, by nie miała powodu do narzekania. Po pierwsze, nie będzie jej zmuszał, by zawsze wszystko robili razem. Była jak kot, lubiła chodzić własnymi drogami, zamierzał więc ją zaskoczyć, spędzając czas sam i niczego od niej nie oczekując.

Jednak prędko się przekonał, że ciężko jest zmienić stare nawyki, a jeszcze trudniej własny charakter. Już po wylądowaniu poczuł irytację, pozornie na skutek gorąca, lecz gdy wsłuchał się w siebie, zaczął upatrywać jej przyczyny w zachowaniu żony.

Mimo że wszystko załatwił i naturalnie za wszystko zapłacił, jak na razie nie usłyszał słowa podziękowania. Jechali smrodliwym, gorącym autokarem, w którym najwyraźniej siadła klimatyzacja. Zmierzali do hotelu, leżącego kilkanaście kilometrów za Hurghadą. Hanna siedziała milcząca i zamyślona, patrząc przez szybę na suchy, skalisty krajobraz. Korciło go, by rzucić zjadliwą uwagę na temat niezwyklego zainteresowania, z którym wpatrywała się w jałową monotonię za oknem, zamiast wykorzystać czas, by miło pogawędzić z mężem, lecz ugryzł się w język.

Chciał i on wzbudzić w sobie takie zainteresowanie przyrodą: suchymi skałami, między którymi co i raz migało morze, lecz nie mógł skupić na tym uwagi. Dopóki nie zobaczy hotelu, nie będzie się w stanie uspokoić! Na pewno przepłacił! Tu wszystko jest złej jakości, nawet pięciogwiazdkowy hotel! Złodziejski kraj...

Zdenerwowany, po raz setny sprawdził w podróźnej „pederastce”, czy nie zgubił biletów powrotnych, paszportów i zwiatka banknotów. Nie, były tam. Uspokojony, oparł się nieco wygodniej. Jednak nie należało tracić czujności. Niby religia zabrania im kraść, ale kto ich tam wie...

– Cóż za widok – wyszeptała Hanna zachwyconym głosem, przerywając jego rozmyślenia. Oderwał wzrok od siedzenia przed sobą i niechętnie przeniósł go w stronę szyby autokarowej. Poboczem szły trzy starsze kobiety w szyickich gellabiach, które wiatr rozwiewał na wszystkie strony, upodabniając je do czarnych wron lecących przez pustynię. Jedna obejrzała się w stronę nadjeżdżającego autokaru i przez ułamek sekundy Paweł spotkał się z jej przepastnym, drwiącym spojrzeniem, zatopionym właśnie w nim. Niespokojnie poruszył się na niewygodnym fotelu i wymamrotał:

– Potworne...

Po czym bąknął, uważając, aby nikt go nie usłyszał:

– Twoje poczucie estetyki jest wielce oryginalne, doprawdy. Trzy pomarszczone, brudne, stare baby. Zachwycający widok. – Pokręcił karcąco głową, patrząc na swoje buty. – Czekał lepiej, jak zobaczysz nasz hotel. Będziemy mieć centralny widok na morze. Specjalnie dopłaciłem... – I zerknął na nią jakoś prosząco.

W końcu zajechali pod okazały przybytek, udekorowany z isticie orientalnym przepychem, o egzotycznie brzmiącej nazwie „Desert Rose Palace”. Na zielonych gazonach, otaczających wielki, błyszczący budynek, poustawiane były świąteczne dekoracje, charakterystyczne dla zgoła innego kręgu kulturowego, takie jak plastikowe renifery i Mikołaje. Palmy obwieszane były bombkami. Zapadał zmierzch, więc wszystko było rozjarzone i błyszczące.

W gigantycznym, iskrzącym złotem i srebrem hallu panował gwar. Autobusy wylądowywały wciąż nowych gości, do stoisk przy recepcji wiły się ogony spoconych, niegrzeszących elegancją turystów. Przeżywszy pierwszy szok rozczarowania tandetnością tego, skądinąd kosztownego, hotelu, Paweł zaskakująco szybko zorientował się w sytuacji. Z niezwykłą jak na swoje potężne gabaryty zręcznością doskoczył do nowo formującego się stoiska jako pierwszy i posłał żonie uspokajający uśmiech, mówiący coś w rodzaju „ze mną nie zginiesz”. Jakże się zdziwił, gdy Hanna z zażenowaniem opuściła oczy! Pewno wołałaby wystać swoje, byle tylko się nie pchać! Te jej wielkopańskie fupy były nie do zniesienia! Chciałaby może, by znaleźli się w kolejce jako ostatni!

Tymczasem zza kontuaru powitał ich Arab w bordowej marynarce, który od razu nie spodobał się Pawłowi, gdyż uśmiechał się, jego zdaniem, niedostatecznie czołobitnie. Instynkt go nie zawiódł. Już za chwilę Arab ubódł go do żywego, biorąc go za Rosjanina. Paweł spąsował, jakby oberwał po twarzy i już zamierzał odparować temu zarozumiałemu dzikusowi, lecz ochłonął i zimno zażądał apartamentu z widokiem na morze. Wywiązała się dłuższa dyskusja, w czasie której Arab asertywnie upierał się, że nie ma apartamentów z widokiem na morze, a Paweł utrzymywał, że muszą być, skoro w Warszawie za takowy zapłacił. By nie przedłużyć dyskusji i nie narażać się na śmieszność, Paweł dyskretnie wsunął w dłoń upartego Araba banknot studolarowy, co dało efekt natychmiastowy. Arab z porozumiewawczym uśmiechem poinformował go, że w drodze wyjątku przydzielili im bungalow z wyjątkowym widokiem „*Very, very special room, sir*”. Paweł triumfował po raz drugi, lecz tym razem z pokerową twarzą oznajmił Hannie beznamiętnie:

– No, załatwione. Tylko tak można z tymi dzikusami. – I nie czekając na jej odpowiedź, złapał podręczną walizkę i ruszył w poszukiwaniu boya. Przez chwilę perorował zajadle do stojącej w nonszalanckich pozach zgrai przyodzianej w krzykliwe liberie, po czym ruszył przodem, w stronę złożonych, ornamentowanych wind, przechodząc pod gigantycznym dmuchanym faraonem. Za nim szła Hanna, ciągnąc swoją walizeczkę, a pochód zamykał niski, kędzierzawy boy objuczony kilkoma mniejszymi i jedną większą torbą podróżną.

Dalsza część wieczoru darzyła Pawła coraz to nowymi rozczarowaniami. Sala restauracyjna była zatłoczona, jedzenie podłe, wino cierpkie i horrendalnie drogie (Paweł, jako nieodrodny Wencel, nie znosił poczucia, że ktoś go rolował), goście hotelowi wyglądali na hołotę, na którą niechlujna obsługa hotelowa popatrywała drwiąco. Po kolacji Paweł samotnie poszedł do baru, by zapalić cygaretkę i wypić drinka.

Z goryczą obserwował wypoczywających wokół Niemców. A więc do stosunkowo drogiego, jak na polskie warunki, hotelu zjeżdżała niemiecka hołota – najwyraźniej jacyś robole. Wciąż dzieli nas przepaść ekonomiczna. A bodajby chuj strzelił ten pierdolony plan Marshalla. Powinni byli zostawić ich tak... skurwysynów. Łyknął resztkę ze szklanki i zdusił niedopałek.

Postanowił jak najszybciej wracać do domku. Wziął z baru butelkę wina. Wypiją je na tarasie, a potem, a nuż... Szedł pospiesznie przez wysadzaną azaliami i oleandrami ścieżkę i niemalże radośnie otworzył drzwi domku. Ku swemu zdumieniu ujrzał, że żona już smacznie śpi.

Następnego dnia para małżeńska zeszła na śniadanie punktualnie o dziewiątej. Zasiedli przy stole z najlepszym widokiem na morze, który to Paweł przezornie zajął, rzucając nań swój najgorszy sweter, wzięty z pokoju tylko w tym celu. Hanna siedziała z kawą, Paweł zaś naznosił sobie góry jedzenia, jakby nie jadł od tygodnia. Siedział naprzeciwko swojej urodziwej małżonki, starannie maskując zadowolenie wynikające z faktu, że nie było osoby, która nie zwróciłaby na nią uwagi. Zarówno kelnerzy, jak i goście odwracali za nią głowy.

Gdy opróżnił talerz, podniósł na nią badawczy wzrok. Piła kawę i z przyjemnością przyglądała się morzu. Od rana zamienili może ze dwa zdania. Postanowił realizować chytry plan naprawczy i robić coś na własną rękę, nie pytając jej o zdanie.

– Nic nie jesz? – zagaił, patrząc na nią czujnie.

– Wystarczy mi kawa. – Uśmiechnęła się nieuważnie i zamieszała łyżeczką w filiżance.

– Może przyniosę ci coś słodkiego? – spytał. – Idę po te balaklawy^[27], czy jak im tam.

Wyglądają znośnie.

– Nie, dziękuję.

– Pojadę chyba po południu na wycieczkę quadami do wioski arabskiej, co ty na to? –

Zaczął nieco inaczej, niż pierwotnie zaplanował.

– Jeśli chcesz...

– Chcę, inaczej bym o tym nie mówił – wycedził, tłumiąc irytację. – Mówię o tym w razie, gdybyś i ty chciała jechać...

– Nie, raczej nie...

– Nie zmuszam cię, tylko pytam! Miałbym jechać, nic ci nie mówiąc? Nie informując cię?

Tego samego dnia przed południem leżeli na wygodnych łóżkach pod wielkim, białym

parasolem. Między nimi, na drewnianym stoliku, w kubałku, chłodziło się białe wino. Mieli też stertę czasopism, gazet i książek. Jedynym dźwiękiem był odgłos miarowo załamujących się fal, było rozkosznie gorąco. Cały *entourage* sprzyjał romantycznemu nastrojowi, lecz Paweł i Hanna od śniadania nie odezwali się do siebie więcej niż pięć razy.

Hanna wstała. Dopiero teraz, zza ciemnych okularów, Paweł miał okazję podziwiać jej niezrównane kształty, dość dobrze widoczne pod mocno wyciętym, granatowo-białym bikini. Pochyliła się nad stołem, by nalać sobie wody. Dwóch Arabów, siedzących na plaży przy sprzecie wodnym, zagapiło się na nią chciwie.

– Załóżże coś na siebie, w końcu jesteśmy w kraju muzułmańskim. Jeszcze nas tu wyróżnia w pień. Nie prowokuj tak – wychrypiał Paweł nieco histerycznie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, prostując się i popijając wino.

– Owiń się czymś! – lamentował dalej, trwożnie rozglądając się wokoło.

Aż do lunchu Hanna irytowała go na milion różnych sposobów. W końcu od tej męki uwolnił go bus, który zajechał pod hotel, by zabrać turystów zapisanych na wycieczkę. Podróż była krótka a miasteczko, w którym stacjonowały quady, oddalone od hotelu o jakieś piętnaście minut. Paweł poczuł się nieco lepiej i postanowił się zrelaksować, by w pełni nacieszyć się jazdą terenową. Sympatycznie będzie jechać w kameralnej grupie przez pustynię, gdzie na końcu drogi miała czekać tradycyjna wioseczka egipska, a w niej, jak informowała ulotka, różne egzotycznie brzmiące niespodzianki.

Wjechali busem na ogrodzony teren. Stały tam dwie rudery, wyglądające jak po bombardowaniu, między nimi znajdowała się zamknięta brama, a za nią, na tym skrzętnie zabezpieczonym terenie, stało ze sto quadów i na większości siedzieli już ludzie. A więc czekano tylko na nich! Bus zahamował gwałtownie i jeden z trzech Arabów – organizatorów – zaczął wrzeszczeć do Pawła i reszty grupy, dając im znaki, by szybko wysiadali.

Ludzie karnie podrywali się i tłoczyli w przejściu, spiesznie opuszczając pojazd. Paweł opuścił busa ostatni. Nie zamierzał poddawać się presji tych nieokrzesanych bandytów, którzy tutaj, w pustynnej zagrodzie zdawali się ukazywać nowe oblicze. Z usługowych złośliwców zmieniali się w dziką, nieokiełznaną hordeę. Popędzali grupę, by jak najszybciej znalazła się na pozostałych quadach.

Pawłowi dostał się mocno zdezelowany model, ustawiony niemal na końcu korowodu. Jakiś Arab podleciał do niego i wręczył mu arafatkę, niegrzecznie coś pokrzykując w swoim narzeczu. Okazało się, że prawie wszyscy mieli już takie arafatki na głowach, dla ochrony przed pyłem, który unosił się spod kół kładów. Jeden z dowodzących, łamaną angielszczyzną i tonem przypominającym dowódcę w obozie koncentracyjnym, wyrzaskiwał instrukcję obsługi quadów. Jego pomagierzy latali wokół, sprawdzając, czy wszyscy zrozumieli. Niestety, mało kto rozumiał cokolwiek, a tę resztę – rzeczywistą angielszczyznę, którą ewentualnie można by zrozumieć – zagłuszał ryk odpalanych silników.

Komendant machnął czerwoną szmatą, dając sygnał do startu, po czym pobiegł do swojego grodu. Gigantyczny korowód turystów powoli ruszał. Arabowie, niczym komary, krążyli na swoich, znacznie lepszych i szybszych modelach, wzdłuż rozciągniętego na przestrzeni kilkuset metrów korowodu quadów, wrzeszcząc jak opętani i dając turystom dramatyczne znaki. Ludzie karnie ruszali. Paweł, choć nieco zbulwersowany, poszedł w ślad za resztą. Jak się okazało, quady zaczęły gnać z ogromną prędkością. Z niewiadomych przyczyn Arabowie narzucili strasznie szybkie tempo.

Zjechali z ubitej drogi wprost na kamienistą pustynię i skierowali się w stronę zamykających widnokrąg, potężnych, szarych gór. Paweł zaczął rozumieć, skąd to szaleńcze tempo. Słońce już chyliło się ku zachodowi, a góry, które z szosy zdawały się bliskie, tak naprawdę były oddalone o co najmniej godzinę drogi, więc by zdążyć na ów „malowniczy zachód słońca w górach” musieli nieźle zasuwać. Nie było to łatwe, gdyż droga usiana była kamieniami, które trzeba było sprawnie omijać.

Paweł wyjechał nieco z szeregu, bo miał pełen pęcherz, więc jazda po wyboistej tarce sprawiała mu niemal fizyczny ból. Że też zapomniał skorzystać z toalety! Poza wytyczonym przez

korowód szlakiem tarka była mniejsza – przykre wrażenie ucisku na pęcherz zmalowało. Niedługo jednak cieszył się swym szczęściem. Z prawej flanki podjechał zakwefiony Arab i zaczął wrzeszczeć, dając Pawłowi znaki, by wyjechał z szeregu całkowicie. Paweł, zdumiony i nieco zaniepokojony, zjechał na bok. Pewnie coś stało się z jego quadem! Jakież było jego zdumienie, gdy Arab głosem esesmana kazał mu łamaną angielszczyzną zjechać na koniec korowodu!

Była to kara za wyjazd z szeregu. Paweł, wściekły, musiał przeczekać, aż wszyscy go wyminą i zająć ostatnie miejsce. Arab jechał za nimi i coś wrzeszczał, pilnując, by Paweł ani na milimetr nie wysuwał się z szeregu. Nim dojechali do gór, pęcherz Pawła niemal eksplodował. Ostatnie minuty były nie do zniesienia, lecz nie mógł się zatrzymać, gdyż bał się, że pędzący wąż quadów odjedzie, a on nigdy go nie dogoni. Nim zdołał znaleźć sobie ustronne miejsce, minęło jeszcze dobre parę minut, albowiem musieli zaparkować na wyznaczonym terenie, quada nie można było po prostu porzucić. Jak się okazało, na miejsce dotarła już inna grupa, stało tam bowiem ze sto innych quadów. Gdy wreszcie sobie ulżył, rozejrzał się i ze zdumieniem skonstatował, że na „malowniczą wioseczkę” składały się dwie lepianki i jedna duża hala, która wyglądała jakby zbudowano ją specjalnie dla turystów.

Dwieście osób jednocześnie miało oglądać dwie lepianki? Ależ tak, tak właśnie zostało to pomyślane. W tłumie turystów oblegających jedną z chatek Paweł nie mógł dostrzec ani jednego tubylca. Poganiacz-organizator machnął na niego, łamaną angielszczyzną komunikując, by udał się tam, gdzie kłębił się tłum i obejrzał widowisko tradycyjnego pieczenia chleba.

Gdy Paweł dotarł do grupy oblegającej miejsce, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowała się druga lepianka, naturalnie niewiele dojrzał. Kobiętę piekącą podplomyki otaczał zbity tłum z wycelowanymi kamerami i aparatami fotograficznymi. Na widok gorzkiego uśmiechu na cynicznej twarzy Pawła jeden z arabskich organizatorów pospieszył z fachowymi wyjaśnieniami dotyczącymi technik pieczenia chleba przez nomadzkie plemiona Berberów z pustyni. Wyjaśnił mu, że ogniska podsycane są suszonym łajnem wielbłądzim! Fascynujące!

I tyle tego było! Nagle rozległy się nawoływania i grupa zwiedzających rzuciła się w kierunku drugiej lepianki. „*Beduin show, Beduin show*” – rozlegały się okrzyki. Podnieceni turyści, o władnięci żądzą wzbogacenia swoich życiorysów o kolejne „doświadczenie”, przyspieszali kroku, trzymając aparaty w pełnej gotowości. Nie ma to jak kawałek prawdziwego życia w obcej kulturze. Bardzo zajmujące.

„*Beduin Show*” tworzyło trzech dziadków. Stali przed drugą lepianką na podwyższeniu, dzięki czemu byli dość dobrze widoczni w otaczającym ich tłumie. Przedstawienie polegało na tym, że dwóch klaskało, a trzeci „grał” na tamburynie, a do tego wszyscy nucili jęśliwą pieśń. Jeden z dziadków co chwila zanosił się dziwnym chichotem. Paweł dałby sobie głowę uciąć, że starszy człowiek śmiał się z turystów z kamerami. Pewnie w głowie mu się nie mieściło, jak można być tak naiwnym, by bez mruknięcia okiem przetykać ciemnotę, którą im wciskali i jeszcze się z tego cieszyć. I nagrywać to!

Trwało to może dziesięć minut, a i tak zdawało się za długie. Następnym punktem programu był gorąco zachwalany „*Camel ride*”, polegający na tym, że około stu turystów (a więc połowę tych, którzy przebywali aktualnie w „wiosce”) stało w gigantycznym ogonie do pięciu wyliniałych wielbłądów. Gdy już odczekali swoje, wsadzani byli na przycupniętego zwierza, który gwałtownie wstawał, wywołując niezmiennie okrzyk strachu, a potem salwy śmiechu. Potem pozostawała „przejażdżka”, która byłaby może i przyjemna, gdyby trwała nieco dłużej niż czterdzieści sekund.

Po tych uciechach pozostawał już tylko niezbyt higieniczny poczęstunek w gigantycznym namiocie, gdzie gwoździem programu było palenie shishy. Paweł uprzejmie podziękował. Nie dał się skusić, by wziąć do ust zapyziały ustnik, na którym roiło się pewnie od mikrobów, choć jeden z organizatorów straszyl go, że odmową naruszy tradycyjny obrządek nomadów i ściągnie na siebie gniew Allacha.

Droga powrotna upłynęła znacznie spokojniej. Ten wieczór Paweł znów zakończył samotnie, w hotelowym barze. Zasiadł przy stoliku nad basenem, paląc cygaretkę i obracając

w dłoni szklaneczkę whisky. Od czasu do czasu unosił czujne spojrzenie na otaczających go gości, po czym natychmiast przenosił je na ciemny bezkres morza, skąd dochodził miarowy szum fal. Siedział tak i rozmyślał długo w noc, pijąc drinka za drinkiem, aż w końcu podniósł się i ocieężał jak na trzydziestoparolatka krokiem powlókł się w stronę bungalowu.

Następny dzień minął leniwie. Czas zdawał się przepływać przez palce, gdy tkwili na wygodnych hotelowych leżakach, usadowionych w najlepszym miejscu – nad samym morzem, lecz blisko baru, w pełnym słońcu, lecz osłonięci od wiatru. I mimo że Paweł starał się, by niczego nie brakowało, posyłając kelnera a to po wodę z listkiem mięty, a to po świeże owoce, a to po dodatkowy lód do kubałka z winem, w ich towarzystwo zaczęła zakradać się stara znajoma – bezbrzeżna nuda.

Z początku Paweł usiłował podtrzymać rozmowę, kierując ją na obszary neutralne, lecz widząc, że Hanna zmusza się do odpowiedzi, zaniechał tego. Nie mógł się jednak powstrzymać od komentarza:

– Jednego nie rozumiem. Wiem, że jestem pewnie zbyt prymitywny, abyś zechciała podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami, ale powiedz: jak sobie wyobrażasz wspólny pobyt z mężem na wakacjach? Że będziemy tak milczeć? Jestem taki głupi, czy taki nudny, że nawet ci się nie chce ust do mnie otworzyć?

– Wolę milczeć, bo jak powiem, co myślę, to znów wybuchnie awantura – odpowiedziała Hanna, nie patrząc nawet w jego kierunku.

– Spróbuj!

– Dobrze więc! Czemu traktujesz tego usługującego nam chłopaka jak śmiecia? Nie możesz zwracać się do niego grzecznym tonem?

– Co? – Pawła aż poderwało z fotela.

– Dlaczego nie umiesz zwracać się grzecznie?

– Ja jestem wobec niego niegrzeczny? Ja? Tobie chyba na mózg padło!

Hanna umilkła na dobre, co tylko rozsierdziło nieszczęsnego małżonka.

– Gotowa jesteś pokłócić się z mężem w obronie kelnera? Araba? Nie pryčaj mi tutaj!

Specjalnie podkreślam „Araba”, bo on sprzedałby na tobie skórę! A w dodatku jest superzadowolony, bo wie, że dostanie ode mnie suty napiwek! To przecież dlatego lata koło nas jak wariat! Bo wie, że zarobi! On ma w dupie i mnie, i ciebie, i mój ton głosu, chce tylko zarobić! Zresztą mówię do niego normalnie, jak każdy inny tutaj! Rozejrzyj się!

– Nic mnie nie obchodzą inni!

– A ja myślę, że inni obchodzą cię znacznie bardziej niż własny mąż!

Ta wymiana uprzejmości potrwałaby zapewne nieco dłużej, lecz Hanna podniosła się i zakomunikowała, że idzie się przejść brzegiem morza. W odpowiedzi Paweł chwycił paczkę cygaretek i zapalił tak zachłannie, jak astmatyk pobierający lek wziewny, a następnie opadł bez sił na miękkie oparcie fotela.

Następnego dnia para małżeńska miała wykupioną wycieczkę do Luksoru. Wyjechali nad ranem, gdyż podróż miała trwać ładnych parę godzin. Zajęli miejsca z tyłu autokaru, gdzie, zdaniem Pawła, miało być najwygodniej, lecz jakże się pomylił. Dwa miejsca za nimi zostały zajęte przez panie, które dobrały się, ponieważ były samotne. Teraz w miłej intymności autokaru nawiązała się między nimi zażyła rozmowa. Jedna z nich, zdecydowanie bardziej gadatliwa, przez dwie godziny zdołała opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami całe swoje życie.

Tak więc Paweł i Hanna dowiedzieli się, że pani ta była dręczona przez okrutną synową, praktycznie uniemożliwiającą jej widywanie się z ukochanym wnuczkiem, który, jak się okazało, był absolutnym geniuszem historycznym. Pod koniec jazdy, gdy wjechali w dolinę Nilu, znali też całą listę chorób, które gnębiły ową panią!

Paweł wywracał oczami. Nie dość, że musiał tego wysłuchiwać, zirytowała go również własna żona, która wszechwiedzącym tonem pouczyła go szeptem:

– Miej trochę wyrozumiałości do ludzi.

Wyrozumiałości! Przeklęta baba trąbiła teraz na cały regulator o chorobie nowotworowej, dręczącej jej samotną sąsiadkę w kontekście bezdusznych ludzi, którzy myśleli tylko o sobie

i o pieniądzech! I jak on miał się odprężyć! Zrelaksować! Usiłował skupić wzrok na zielonych gajach, wjechali bowiem w żyzną dolinę Nilu, lecz w myśli jego wwiercał się znienawidzony głos:

– ...Powszechna znieczulica, droga pani! Powiadam pani, znieczulica! Ale wobec Boga wszyscy staną równi! Będą się smażyć w ogniu piekielnym, nie będzie zmiłuj się! Szpitalnictwo chciałoby prywatyzować, żeby ludzie jak psy pod szpitalami zdychali! Jakie to szczęście, że nigdy nie dojdą do władzy! Wezmą się za nich!

W tym duchu dotarli do Luksoru. Zanim zaczęli zwiedzać starożytne Teby, autokar zajechał pod dziwny, tandetny budynek, który okazał się wytwórnią figurek alabastrowych. Paweł z rezygnacją opuścił autokar. Arabowie prawie zmusili ich grupę do wejścia do środka. Tam zachwalano koszarne figurki i usiłowano naciągać dzikie ludy Europy Wschodniej na ich masowy zakup.

Arab robił zawiły wykład, którego musieli wysłuchać, po czym jego współnik wyjechał z zaplecza z wózkiem wypełnionym alabastrowymi figurkami. Na górnej półce ustawiony był posążek, który bez wielkich wysiłków ze strony Arabów przykuł uwagę absolutnie wszystkich.

Był to jakiś egipski bóg, może Ozyrys, z gigantycznym fallusem w stanie wzvodu. Wszyscy na moment zamilkli. Arabowie patrzyli wyczekująco, jakby czekali na reakcję po świetnym dowcipie.

I nagle z głębi sali nastąpiła reakcja przechodząca ich najśmielsze oczekiwania. Ozwał się znajomy Pawłowi głos.

– Brawo, brawo! – cienkim głosem wykrzykiwała znajoma postać z autokaru, zaciekle klaszcząc w dłonie. Zapanowało bezbrzeżne zdumienie. Paweł szybko wyszedł, by zapalić, lecz spiekota była tak niemiłosierna, że stracił chęć nawet na to. Kręciło mu się w głowie.

Tłum turystów wyległ na zewnątrz i załadował się z powrotem do autokaru. Żwawo ruszyli w stronę gigantycznego kompleksu pałacowego w Karnaku. Wraz z tłumem turystów Paweł i Hanna szli pomiędzy sfinksami przez wielką bramę, wprost do sali hypostylowej. Trącany, popychany, zgrzany Paweł usiłował kontemplować wspaniałość starej architektury, lecz jakiś gruby Rosjanin nadepnął mu na nogę i nie przeprosił. Wywiązała się krótka i niezbyt sympatyczna rozmowa, na koniec której Paweł odpuścił, gdyż zobaczył pobladłą, zdenerwowaną twarz swojej żony.

Wracali w milczeniu, chcąc nie chcąc, wysłuchując strumienia świadomości autokarowej sąsiadki.

– Ale się zmachałam. Nogi mi wchodzą w cztery litery, za przeproszeniem! A gorąc! Ale warto było, co?

– Owszem – brzmiała zrezygnowana, niezbyt zachęcająca odpowiedź sąsiadki.

– Ale miał łeb, ten, co to zbudował! – znów dał się słyszeć niewyżyty głos. – No. To zaliczone. Dobrze. A teraz, jak dojedziemy, jak się ciepnę do wanny, jak się wymoczę w chłodnej wodzie! – odgrażał się głos, najwyraźniej chcąc sprowokować jakąś reakcję. I mimo braku odzewu, niezrażony ciągnął dalej: – Bąbel mam na palcu wielkości kurzego jaja. Chce pani zobaczyć?! A o!

Ostatniego dnia, w nieco lepszych nastrojach, postanowili wybrać się wieczorem na suk na starym mieście w centrum Hurghady. W tym celu złapali taksówkę. Rozmowę uniemożliwiła zawodząca muzyka arabska, grająca na cały regulator. Paweł z cierpiętniczą miną obserwował ruchliwe ulice, na których tłoczyły się tabuny turystów i miejscowych. Handel kwitł, wystawione były tysiące straganów z tandetnymi pseudoegipskimi pamiątkami i wory „korzennych przypraw”. Pachniało egzotycznie jabłkowym tytoniem, solą i rybami. Na Pawła występowały siódme poty, miał tylko nadzieję, że nie zostanie tego dnia okradziony, albowiem przezornie wziął ze sobą trochę gotówki. Nie znosił być bez pieniędzy.

Gdy wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia, które niczym nie różniło się od tego, z którego przyjechali – było tu tak samo tłoczno, gwarno i śmierdząco – taksówkarz zażądał horrendalnej kwoty, którą siedząca z przodu Hanna już gotowa była zapłacić, lecz na szczęście Paweł wmieszał się i znegocjował stawkę o osiemdziesiąt procent. Wysiedli na ruchliwej ulicy, po

której, mimo łażących ludzi, z zawrotną prędkością przejeżdżały samochody.

Uparła się wejść do zatłoczonej, śmierdzącej kawiarenki, pełnej dziwnych typów. Te jej pomysły! Najlepsze, co ich mogło tu spotkać, to ostre zatrucie pokarmowe. Podejrzliwie rozglądał się po sąsiednich stolikach, trzymając rękę na kieszeni, gdzie tkwił portfel.

W końcu opuścili ukiszony, smrodliwy lokal i wydostali się na gwarną, tętniącą życiem ulicę. Pełno tam było osobliwych typów ludzkich i Paweł – jak zwykle postawiony wobec natłoku inności, którego żadną miarą nie mógł ni zrozumieć, ni polubić – czuł się bardzo wyobcowany i dziwił się samemu sobie, że w ogóle przyszło mu do głowy jechać taki kawał od domu, by znaleźć się w obco pachnącej rzeczywistości, pełnej wrogich istot, które, gdyby mogły, sprzedałyby go za parę groszy...

Skąd biorą się ludzie, decydujący się opuścić rodzinne strony, by zamieszkać na stałe w jakimś ciepłym kraju? Muszą być szaleńcami albo degeneratami, albo kompletnymi nieudacznikami. Porzucić ojczyznę i otworzyć szkółkę dla nurków! Makabra! Mieszkać tu, wysiadywać w obskurnych, gwarnych kawiarniach, poznawać co dzień nowe dziwadła, wszelkich zboczeńców i degeneratów, jakich wydała kula ziemiska.

Łatwo było rozpoznać białych, którzy z jakichś względów (Paweł wolał nie myśleć jakich) przebywali tu na stałe. Nie dość, że mocno opaleni, to w bezwstydnym sposobie odprężeni, wyluzowani, jakby posiadli tajemną wiedzę, śmieli patrzeć na turystów takich jak Paweł z trudną do określenia wyższością. Zdawali śmiać się głośniej, ostentacyjnie spoufalali się z miejscowymi, którzy i tak z pewnością mieli ich za nic. Ubrani też byli w niedbale kosmopolityczny sposób.

I tradycyjnie, jak zwykle pod koniec każdego wyjazdu, gorzko pożałował, że w ogóle ruszył się z domu.

Grudniowa bieżączka

Listopad minął niepostrzeżenie, zmiatając za sobą resztę szerniałych liści. Nadejście grudnia zazwyczaj wywoływało u warszawiaków nieco bardziej optymistyczne nastroje, przygotowywano się bowiem do świąt. Z roku na rok mieszkańcy stolicy zyskiwali coraz szersze pokłady świadomości, a że z natury byli – o ile jakiegokolwiek generalizowanie ma kiedykolwiek rację bytu – ludźmi sprytnymi i przedsiębiorczymi, rychło zorientowali się, że działania marketingowe, na których zintensyfikowany obstrzał narażani byli zwłaszcza w okresie świątecznym – to jedna wielka granda i oszustwo, dające, niczym strzał cukru do krwi, tylko chwilowe szczęście i zaspokojenie, po którym nieuchronnie następowała duchowa pustka.

Różnie sobie radzono z tym atakiem konsumpcjonizmu, pukającego do tradycyjnych, bogobojnych, polskich progów. Niektórzy, idąc za głosem Kościoła, planowali cięcia budżetowe i nacisk na sferę duchową. Inni, których można by określić mianem światowców, wybierali ucieczkę od całej tej „szopki” i wybierali podróże do ciepłych krajów. Byli też tacy, których polska zaściankowość raziła do tego stopnia, że zasiadali do wieczerzy wigilijnej, szanując nawet obyczaj niejedzenia mięsa, lecz zamiast tradycyjnego karpia wybierali, ot, chociażby japońskie sushi, a na słodkie, zamiast urobić się po łokcie, produkując ciężkostrawny makowiec, podawali lekki włoski panettone.

Większość jednak, w miarę zbliżania się magicznej daty, dawała się uwieść miłej jazzującej muzyce, sączącej się z głośników galerii handlowych i grającej znane amerykańskie szlagiery świąteczne, uroczym sklepowym dekoracjom i na koniec, co już tradycyjnie wcale nie oznacza hierarchii ważności – potężne reklamy.

Tak więc większość warszawiaków postanawiała zostać w domach i większość, na początku jakby z rezygnacją, lecz w miarę odliczania dni z coraz większym entuzjazmem, planowała „tradycyjne polskie święta” z całym dobrodziejstwem inwentarza. Niczym ślepcy Bruegla, parli ku kilkudniowemu wspólnemu biesiadowaniu, niepomiernie na poprzednie lata, kiedy po kilkugodzinnym wspólnym bytowaniu czajnik emocji cicho gwizdał, a woda zaczynała lekko wrzeć.

Wyrwani z korzeniami ze swych tradycji, za jedyny punkt odniesienia mieli święta za komuny i obraz ten był dla nich rajem utraconym. Wszyscy jak jeden mąż czuli i uważali, że jeśli chodzi o duchowość, bliskość i rodzinną więź, kiedyś było lepiej. Dlaczego wtedy było tak pięknie? Czyżby dlatego, że siedzieli sobie na głowie całymi rodzinami na co dzień, więc zło powszedniało? W dodatku na stołach pojawiała się jedzenie, okoliczność wielce pożądana w czasach ogólnego kryzysu, więc faktycznie była to niecodzienna odmiana.

Tak więc świąt oczekiwano, a zarazem bano się ich. Ta ambiwalencja uczuć wzmagała podniecenie i napięcie panujące przez niemal cały grudzień. Nie inaczej było u Wencłów.

Lecz to miłe, pełne napięcia oczekiwanie mąciła pewna niemiła okoliczność. Właśnie w tej sprawie Paweł jechał z ojcem do poleconego, zaufanego adwokata, specjalisty od spraw karnych – mecenasa Jakuba Karpiuka.

Jakub Karpiuk prowadził kancelarię w jednej z pięknych kamienic na Ochocie, przy ulicy Pługa. Zabytkowa klatka była nieodremontowana i stary Wencel już zaczął prychnąć z pogardą, gdy sympatycznie wyglądająca sekretarka otworzyła ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i zaprosiła ich do kameralnie, lecz zasobnie wyposażonego wnętrza. Eleganckie antyki, obudowane książkami ściany i butelkowitzelone tapety tworzyły klimat dyskretnej intymności i profesjonalizmu z tradycjami. Paweł był tu pierwszy raz, jego chmurne spojrzenie dyskretnie omiotło wszystkie warte zapamiętania szczegóły.

Karpiuk przyjął ich w przytulnym gabinecie. Za oknem sypał pierwszy śnieg, na biurku paliła się elegancka lampa. Zasiadli na krzesłach obitych czarną skórą i czekali, aż sekretarka upora się z dostarczeniem kaw i herbat. Gdy cicho zamknęła za sobą drzwi, trzej mężczyźni w ciemnych garniturach milczeli jeszcze przez chwilę, dolewając sobie mleka i pobrzękując łyżeczkami. Mecenas Karpiuk zdawał się być profesjonalistą w każdym calu. Był niemal bezosobowy i używał samych eufemizmów. Miał przy tym tak byle jaką, niczym nieodznaczającą

się fizjonomię, że Wen- cłowi zdawało się, że nie pozna go, jeśli umówią się pod delegaturą Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Oczekiwał kogoś w średnim wieku, jakiegoś doświadczonego skurwiela, który niejedno już widział i miał długie macki, a tu Paweł zaprowadził go do jakiegoś neptka. Mydłka, który bał się nawet użyć słowa „korupcja” czy „oskarżony”. Spojrzył z wyrzutem na syna, lecz ten zmarszczył karcąco brwi, dając mu tym samym niewerbalny sygnał mówiący mniej więcej: „Wiem, że on ci się nie podoba, ale zaufaj mi”.

Stary Wencel westchnął boleściwie, wsypał dwie łyżeczki cukru do maleńkiej filiżanki i zaczął głośno, intensywnie mieszać. Karpiuk uniósł brwi, lecz był na tyle dobrze wychowany i dyskretny, że nawet nie spojrzał w stronę łyżeczki dzwoniącej niczym pokładowy gong. Wiele z rozmowy nie wynikło. Karpiuk zapoznał się z ogółem sprawy, którą Wencel łuszczył bardzo niechętnie. Owszem, został wezwany na świadka w sprawie wyprowadzenia pieniędzy z browaru. Nie, nie znał bliżej oskarżonego. Nic nie wiedział o jego machlojkach.

Gdy wreszcie opuścili ponure mury, postanowili pokrzepić się drobnym lunchem w małej restauracji przy parku Dreszera. O sprawie browaru nie mieli zamiaru mówić częściej, niż było to konieczne.

Restauracyjka była już udekorowana świątecznie. Kelnerzy skakali wokół nich, węszyli duże napiwki. Po krótkiej, choć niepozbawionej napięć naradzie, Wencłowie zdecydowali się na dwa steki z argentyńskiej wołowiny z sosem pieprzowym. W ramach odchudzania nie zamówili przekąski, ale by należycie strawić na wpół surowe, czerwone mięso, zażyczyli sobie przedniego wina.

– A co mi tam – burczał Wencel – w pierdlu mi wina nie podadzą!

Paweł uśmiechnął się pod nosem. Wziął kartę win. Uniósł wzrok, poszukując kelnera, na co tamten doskoczył do stolika w okamgnieniu.

– Jakie wino nam pan poleci z tych dwóch? Które lepsze? – ze zmarszczonymi brwiami odezwał się Paweł do kelnera.

– Zdecydowanie Amarone z Corte Sant’Alda rocznik 2004, proszę pana. Świetnie się komponuje z wołowiną – uniesienie odparł chłopak. – Ale chwileczkę, coś mi przyszło do głowy – mówił z przepraszającym uśmiechem – mam coś równie dobrego, w znacznie lepszej cenie. Zaraz pokażę!

Ojciec i syn wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Bystry chłopak zasługiwał na suty napiwek.

Po kwadransie na stół wjechały średnio wysmażone T-bone steki. Ojciec i syn, pokrzepieni aromatycznym, wytrawnym winem o iglastym posmaku, ochoczo zabrali się do jedzenia. Nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki nie zmiotli z talerzy ostatniego kęska.

– To się nazywa dietetyczny posiłek – mruknął Paweł, poprawiając pasek od spodni. I po chwili zastanowienia dodał: – Karpiuk sprawia wrażenie dyletanta, ale w razie czego, powtarzam w razie czego, tato, na sali sądowej to kąśliwa żmija. Niejednego wyciągnął z dużo gorszych opałów.

– Ale na przesłuchanie z nim nie pójde! – sapnął stary Wencel. – To tak, jakbym się czegoś obawiał.

Paweł chwilę pomilczał i z wolna zaczął:

– Tak to było za komuny. To, że w razie wezwania cię w charakterze świadka zabierzesz ze sobą adwokata, oznacza po prostu, że jesteś świadomy swoich praw. Nie jest to żadna okoliczność obciążająca.

– Tak rozumiesz ty, ale nie cwaniak z CBA – upierał się Wencel.

Kelner przyniósł desery, więc gwałtownie umilkli. Z ukontentowaniem przystąpili do konsumpcji apetycznie wyglądających ciastek. Po chwili Paweł podjął:

– Uważam, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Nie wezwą cię więcej. Już powiedziałeś im, co wiedziałeś, nie masz nic więcej do dodania w tej sprawie...

– Ciekawe, czy oni tak samo myślą... – zatrwożył się ojciec – za każdą wykrytą aferę, prawdziwą czy zmyśloną, zarabiają. Czemu gdzie indziej coś takiego się nie dzieje, zawsze u nas?

– Prokuratorzy się boją. Musiałby który wystąpić otwarcie przeciwko swemu

zwierzchnikowi, a to w Polsce postkomunistycznej raczej nie nastąpi. Chociaż... – zamyślił się Paweł, ocierając różkiem serwety kącik ust, który ubrudził się bitą śmietaną. – Miejmy nadzieję, że ten nasz dumny naród przejrzy na oczy...

– Piotrek dzwonił – stary Wencel zmienił temat w charakterystyczny dla siebie sposób, szorstko i gwałtownie.

– Tak?

– Wraca za tydzień.

– To już skończył z tym klasztorem? Śluby zerwane? – łyknął wina Paweł, patrząc z ukosa w witrynę. Ulicą szły jakieś luje. Żeby mu tylko nie porysowały auta.

– Może nawet cierpliwi tybetańscy mnisi mieli go dość. Nie zdziwiłbym się! Znasz ten jego słomiany zapach – warknął Rysiek gniewnie.

– A co tu będzie robił? – z ironią spytał Paweł.

– A w dupie to mam! – Rysiek gwałtownie poluzował krawat. – Dorosły jest, niech sam się martwi!

I po chwili milczenia zaczął znowu, patrząc na skrupulatnie zmiatającego resztkę ciasta syna.

– Ma jakiś nowy pomysł... Jakieś studio nagraniowe we Wrocławiu... – wyburczał.

Paweł parsknął śmiechem, kręcąc głową i sięgnął po papierosa.

– I ja tak zareagowałem, jak mi to matka powtórzyła, ale... Bo ja wiem...

Paweł odchylił się na oparcie, wydmuchnął kłęb dymu i ze złośliwym uśmiechem zapytał:

– Ile chce?

– Nic nie chce – wybuchnął gwałtownie ojciec. – Zresztą nie wiem, matka z nim rozmawiała. Podobno ma kolegę, który ma tam lokal. No i przywiózł z Tybetu jakieś pieniądze, więc wystarczy mu na początek. Jak uda im się wystartować, może będzie chciał pożyczyć parę tysiączków...

– Parę to znaczy ile?

– Cholera jasna, Paweł, nie wiem! Ze dwadzieścia, nie więcej!

– Wiesz, że jak mu je dasz, to jakbyś spalił je w piecu?

– A daj ty mi spokój! Poczekaj! Sam będziesz miał dzieci, to zobaczysz! Łatwo się mówi! Powiedz lepiej, co z siedliskiem? – Ten temat był ożywczy jak łyk świeżej wody.

– Miałbym pewien pomysł, jak uniemożliwić podpisanie umowy przyrzeczonej, ale powiem ci, że mam teraz na głowie parę innych ważnych spraw.

– No i w dodatku, co będziesz srał pieniądze w kolejną inwestycję, skoro nie wiesz, czy cię ta larwa za chwilę kantem nie puści. A wy macie chociaż rozdzielność majątkową? – zainteresował się nagle z niepokojem Wencel. – Co ci jest, zakrzuszyłaś się? Moim zdaniem powinieneś to sobie odpuścić! No i oddaj im tę umowę! Trzymasz ją już ze dwa miesiące!

Wypili kawę, zapłacili i wyszli, mijając kłaniającego się w pas kelnera. Paweł musiał wracać do kancelarii, gdzie miał poumawiane spotkania. Stary Wencel zamówił taksówkę i pojechał prosto do domu.

Była punkt trzynasta, gdy Paweł minął próg kancelarii. Spotkanie miał wprawdzie dopiero za pół godziny, ale chciał się przygotować. W korytarzu spotkał biegnącego do sądu Roberta.

– Czy mi się wydawało, czy widziałem na dole odjeżdżającego Kwaśniaka? – rzucił z lekkim zdziwieniem do współnika Paweł, zdejmując gruby, wełniany płaszcz.

– Kogo? A, tego! – z roztargnieniem odparł Robert, szukając czegoś w teczce. – Tak, wpadł tutaj, szukał ciebie, ale w końcu rozmawiał ze mną. Pytał, czy nie zrobilibyśmy im zewnętrznej opinii. Później ci opowiem. Lecę, Paweł, bo się spóźnię... – I wyszedł szybkim krokiem, mrugając do stojącej sztywno przy kontuarze pani Luizy Gilis.

Po spotkaniu z nowym klientem Paweł pracował bez wytchnienia aż do osiemnastej, kiedy w korytarzu usłyszał kroki Zagajewicza. Po chwili rozległo się ciche pukanie.

– Pracujesz? – Zagajewicz zajrzał do pokoju. – Mogę wejść? Chciałbym porozmawiać o ważnej sprawie...

– Wejdz – mruknął Paweł, odkładając teczkę z aktami. Wspólnik zasiadł naprzeciwko

i założył nogę na nogę. Rozparł się w fotelu i kurczowo obejmując oparcie, zaczął:

– Wrócił temat Budexprimu. Będą gotowi na sprzedaż spółki przed wakacjami.

– No, to jeszcze trochę czasu – z wolna zaczął Paweł.

– No tak, ale chciałbym, żebyś już umówił się na spotkanie z Budexprimem. Przedstaw ofertę, przygotuj ich.

– Nie mam na razie żadnych danych. Z czym pójdę?

– Wszystko ci dostarczę. – Robert wlepił wzrok w czubek swojego pantofla, potem wyjął z kieszeni chustkę i zaczął go zajadłe polerować. – Ale możesz przecież przeprowadzić wstępną rozmowę. Trzydzieści baniek to nie w kij pierdział. W dwa dni ich nie skołują.

– Zanim ich powiadomię, muszę mieć dokumenty dotyczące spółki – stanowczo odparł Paweł. – Ja będę odpowiadał za bezpieczeństwo transakcji, bo przecież to ja z tym do nich przyjdę. Muszę mieć cokolwiek, żeby choć wstępnie posprawdzać.

– Uwierz mi, możesz umawiać się w ciemno. Na sprawdzanie będziesz miał parę miesięcy – Zagajewicz kręcił się niespokojnie.

– Wierzę ci, Robert, ale dostarcz mi akta spółki. – Usta Pawła wykrzywił mimowolny uśmiech. Naiwność i bezmyślność współnika przestała już robić na nim wrażenie, a jednak... – Teraz jadę na wakacje, załatwię to po Nowym Roku. I tak przed świętami nikt nie ma głowy do takich rzeczy.

– Żeby nam kto tego w końcu nie zwinął sprzed nosa. – Robert unikał kontaktu wzrokowego, a głos miał lekko podniesiony.

Pokręcił się jeszcze chwilę, po czym spieszenie opuścił gabinet Pawła, mamrocąc coś o nawale pracy, który miał do zrobienia jeszcze przed świętami. Paweł zapadł w głęboką zadumę. Mieszał łyżeczką w herbacie w zwolnionym tempie i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w małą, mosiężną figurkę Temidy. Za oknem w świetle latarni ulicznej wirował śnieg.

Miał dziś do wykonania jeszcze jedno ważne zadanie. Zobowiązał się do zarezerwowania miejsca na sylwestra, najwyższy na to czas! Większość hoteli już pewnie pozajmowana.

Najgorsze, że sam zaproponował, by wyjechać z Matyldą i tym, jak mu tam? Panem Artystą... Teraz, kiedy stosunki z Hanną uległy pewnej poprawie, gorzko żałował, że był taki wyrywny... Pojechaliby sobie z Hanną sami, do Włoch, na Sycylię, do Taorminy... A tak?

Będą musieli zdecydować się na coś tańszego, bo przecież nie będzie do tego interesu dopłacał! Choć nie zamierzał się szczypać, omijając drogie restauracje tylko dlatego, że artystę stać będzie jedynie na pizzę! Wolałby w ogóle nigdzie nie jechać, czego jego „prostoduszna” małżonka nie była w stanie zrozumieć. Dla niej problem nie istniał! Pewno! Po prostu Paweł wyciągnąłby portfel i zapłacił za całą czwórkę! Jakież to problem? O niedoczekanie! Niedoczekanie ich wszystkich!

Pojadą do Zakopanego! Tak postanowił wczoraj nad ranem, udręczony wizją samotnego uregulowania rachunku w luksusowym „Villa Paradiso”. I niechby kto śmiał nazwać go małostkowym!

Czuł się jednak osobiście pokrzywdzony, że to on musi się z tym borykać! Skoro płaci, niechby Hanna pomyślała o szczegółach, o rezerwacji. No bo nawet jeśli mieliby zrezygnować z Taorminy i jechać na przykład do Zakopanego, czy Artystę będzie stać na „Litwora”? Rzecz jasna, że nie! Czy więc w tej sytuacji on – współwłaściciel dużej kancelarii prawnej – ma mieszkać na kwaterze z owcami za ścianą? Pewnie jego uroczą, będącą „ponad to” małżonką uznałaby to za niezwykle romantyczne! Tymczasem na kwaterze u górala ukradną im nowy sprzęt narciarski, wart ładnych parę tysięcy... Ale kogo to obchodzi!

Za jakie grzechy się w to wpakował? I co! To on ma teraz wydzwaniać do Matyldy, by dopytywać się, czy tamtych stać na dany hotel!? A chuj z nimi wszystkimi!

Zadzwoił w kilka miejsc, wodząc ołówkiem po wizytowniku. Wolne miejsca były, owszem, ale ceny – zaporowe. A ten chłopak nie miał chyba żadnego stałego zatrudnienia, był jeszcze na studiach. Dorabiał wprawdzie w agencjach reklamowych, ale trudno to nazwać prawdziwą pracą. Też sobie znalazła narzeczonego ta wyemancypowana wariatka!

Paweł Wencel nie považował nigdy żadnego zajęcia innego niż dochodowy biznes, solidna

posada w dobrej korporacji lub, ewentualnie, prestiżowe zajęcie opłacane z budżetówki, lecz tu było obwarowanie – musiał być to co najmniej ordynator szpitala bądź profesor na uniwersytecie! Jeśli mężczyzna wykraczał poza te ramy, był dla Pawła nieudacznikiem – wykolejńcem społecznym!

Gryź się tym tak długo, że w końcu postanowił porozmawiać o tym z żoną.

Wieczorem przy kolacji dołał jej wina i zagaił przekornie:

– Powinniśmy zrezygnować z sylwestra w Taorminie...

Specjalnie tak zaczął, by wy badać jej reakcję. Jadła w milczeniu, wpatrując się w talerz.

Potem podniosła na niego oczy i ze źle udawaną obojętnością zapytała:

– Chcesz zrezygnować ze wspólnego sylwestra z nimi?

A więc tu ją bolało! Bała się, że zmieni zdanie! Tak jej zależało na tym nędznym towarzystwie?

– Nie bój się, pojedziemy z nimi – warknął. – Ale uważam, że nie ma co ich ciągnąć właśnie tam, ze względu na ceny! Potem ja będę musiał za wszystko płacić.

Nie odpowiedziała. Dłuższą chwilę jedli w milczeniu. Za oknem zrobiło się zupełnie białe, śnieg pędził i wirował we wszystkich kierunkach. Wiatr wył w kominach i nieszczelnych oknach. Światło świec odbijało się w kryształowych kieliszkach i uroczych cynowych akcesoriach, zdobiących wspaniały stół.

Pawła uderzył nagle kontrast między ciepłym, przytulnym, wykwintnym wnętrzem, w którym rezydowali oni – wcale niebrzydka i ciągle młoda para – a zimną wrogością ich dusz. A centrum tej wrogości stanowiła Hanna – tak uparcie niechętna, w tak niezrozumiały sposób oziębła!

– Nie ciekawi cię, gdzie umyśliłem jechać? – Ponieważ nie odpowiadała, dodał: – Pomyślałem, żebyśmy pojechali do Zakopanego! Wprawdzie to nie Alpy, ale jak będzie tak jak teraz – tu obejrzał się i spoglądał chwilę na śnieżną zamieć – to trochę sobie pojeździmy. Co ty na to...

– Dobrze.

– Błagam, kontroluj entuzjazm – sarknął gniewnie.

Popatrzyła na niego z ironicznym niedowierzaniem. Ogarnął go gniew, głównie za to, że mimo wrogiej atmosfery, która wisiała między nimi, wciąż wydawała mu się tak dziwnie pociągająca! Pięknie wyglądała w świetle świec.

– I mam do ciebie prośbę! – rzucił celowo opryskliwym tonem. – Powiedz, żeby sami sobie poszukali hotelu, który im pasuje cenowo! Nie mam zamiaru do nich dokładać!

Nie odpowiedziała.

– A jeśli będą chcieli tam gdzie my, zarezerwowałem „Baltazara” – rzucił nie bez triumfu.

– Dobrze. Powiem im.

Czy mu się wydawało, czy dojrzał w kącikach jej warg cień ironicznego uśmiechu?

Zakopane

Mimo gęstniejącego zmięzchu, Paweł postanowił raz jeszcze wjechać na Kasprowy. W zabytkowej kolejce – o której amerykańscy snowboardziści myśleli, że została zawieszona specjalnie po to, by nadać zawodom sportowym oldschoolowy klimat – był tylko on i jeden krzepki starszy pan. Typ starodawnego narciarza ze śnieżnobiałymi wąsami, ubranego w jednoczęściowy kombinezon. Nosił plecak, w którym na sto procent miał wałówkę i termos z herbatą.

Kolejka dojeżdżała już na sam szczyt. Potężny wiatr i zamieć śnieżna spowodowały, że Suchy Żleb był kompletnie niewidoczny. Zamajaczył budynek górnej stacji. Kolejka szarpnęła, uderzyła bokiem o peron, drzwi się rozsunęły. Paweł przepuścił siwowąsęgo i wyszedł w ślad za nim, podzwaniając ciężkimi butami. W środku było prawie pusto. Obaj w milczeniu dopinali buty, zasuwali kurtki, naciągali rękawice i na koniec zakładali gogle, wymieniając krzepiące uśmiechy, jako że czekała ich nie lada przeprawa.

Paweł jeździł we wszystkich częściach Europy, ale nie było na świecie góry, która mogła równać się z Kasprowym Wierchem. Wielka, stroma i nie sprawiająca wrażenia okiełznanej, jak stoki alpejskie. Nie było łatwo się na nią dostać (wjechać można było tylko starą, przedwojenną kolejką, która zazwyczaj była nieczynna – a to z powodu gęstej mgły, a to szalejącego na tej wysokości wiatru), ale i nie było łatwo zjechać.

Opatulony jak na Spitsbergen pchnął drzwi i znalazł się w bieli absolutnej. Zamieć była tak gęsta, że nic nie było widać. Wiedział, że dziadek ruszył w ślad za nim, więc poczuł się w obowiązku bezpiecznie poprowadzić ich wzdłuż Cichej, by dotrzeć do Kotła Goryczkowego. Opierając się bardziej na intuicji niż na wzroku, postąpił parę kroków naprzód i rzucił narty na śnieg. Kątem oka widział, że starszy mężczyzna poszedł w jego ślady.

Starannie wpięli buty, docisnęli klamry i zgodnie ruszyli naprzód, ciesząc się, że jeden ma drugiego do towarzystwa. Posuwali się do przodu niemal po omacku. Jeden nieuważny krok i można było runąć w Cichą, a stamtąd wydostać się już raczej nie dało.

Na zakręcie wiatr jeszcze się wzmógł, gdyż teraz znaleźli się na otwartej przestrzeni. Paweł czuł, jakby nieosłonięte goglami i kurtką części twarzy pokrywały mu się lodem i drętwiały. To uczucie zelżało odrobinę, gdy trasa gwałtownie opadła w dół. Paweł znał ten odcinek jak własną kieszeń i wiedział, że powinien się rozpędzić na wzniesienie, które następowało po spadku, ale płużył. Po pierwsze, nie było widać dziobów własnych nart, a co dopiero miejsca, w którym kończyła się trasa, a zaczynała przepaść. Po drugie, z tyłu był jeszcze tamten mężczyzna, który niechybnie zrobiłby to samo co on. Paweł nie chciał, żeby przez niego coś mu się stało...

Dopiero kiedy dotarli do miejsca ogrodzonego siatką, zresztą przysypaną śniegiem do połowy, nabrał nieco prędkości. Łyżwą wspiął się na szczyt kotła i stanął. Starszy mężczyzna dobił do niego. Kiwnęli sobie głowami i ruszyli trawersem w dół. Paweł ciął na krawędziach, tu nie było obawy, można się było co najwyżej wywrócić. Mężczyzna ciągle płużył. Słusznie robił. Przy takich warunkach! I miał grubo ponad siedemdziesiątkę!

Dojechali do końca trawersu i znów ruszyli trawersem w przeciwnym kierunku. Teraz i Paweł hamował, bowiem muldy były oblodzone, a widoczność zerowa. Poczul silne zmęczenie nóg, lecz twardo parł naprzód, bez przestanku, aż dotarł do końca. Przed nim rozciągał się kocioł, majaczący w gęstym śniegu. Znów zaczekał na mężczyznę i znów zgodnie ruszyli naprzód. Tamten jechał starą techniką, ze związanymi kolanami, zostawiając za sobą śnieżne pióropusze. Paweł pruł jak ciężka torpeda, tnąc śnieg ostrymi krawędziami, za punkt honoru stawiając sobie nie podcinać skrętów. Nagle w bieli wyrosła przed nim większa mulda, ostro wybiło go w górę, lecz zdusił skok. Przysiadł nieco na tyły i na moment utracił równowagę, lecz przyhamował i nie wywrócił się. To kosztowało go utratę dodatkowej energii, więc odpuścił nieco, by za chwilę zaatakować znowu. Nagle coś mu zamajaczyło, dostrzegł światło. Ostro hamował i krzyknął na dziadka. W samą porę. Środkiem jechał ratrak, ledwo widoczny w gęstym śniegu.

Minęli stromy zjazd i wjechali w las, a potem znaleźli się na polanie przed schroniskiem, lecz nie mieli ani chwili do stracenia, nie było czasu na odpoczynek, ruszyli więc w ostatni zakręt,

w stronę nartostrady. Zmrok zapadał, a przed nimi było jeszcze bite piętnaście minut, i to szybkim tempem. Teraz dziadek jechał pierwszy, Paweł za nim. Dziadek parę razy najechał na kamienie, spod nart szły iskry. Mimo zamieci, pokrywa śnieżna tu, niżej, jeszcze nie była zbyt gruba! Było już niemal zupełnie ciemno, lecz biała wstęga trasy dobrze odcinała się między pniami świerków. W lesie było znacznie spokojniej, śnieg sypał cicho i majestatycznie. Minęli mostek, dojechali do drogi.

Wreszcie Paweł dostrzegł światła Kuźnic. Spokojnie, już na pełnym luzie, podjechał do schroniska, odpiął narty i wziął je w rękę.

Skinął dziadkowi głową na pożegnanie i wszedł do środka, gdzie miały czekać dziewczyny, zbyt zmęczone, by zdecydować się na ten ostatni zjazd. Naturalnie, artysta gardził tak banalną formą spędzania czasu, jaką była jazda na nartach. Poszedł fotografować stare zakopiańskie rudery, był ponoć miłośnikiem tego stylu i samego Witkiewicza. Wielce oryginalne! Każdy, kto miał odrobinę oleju we łbie, cenił ten unikatowy styl!

Wszedł do obszernej sali restauracyjnej, zdobionej dziwnymi mozaikami przedstawiającymi harnasi, lecz nie zastał tam nikogo. Łupiąc butami i odpinając kurtkę, przeszedł salę kilkakrotnie, lecz napotkał tylko dwie kelnerki. Rozpytywanie o żonę byłoby poniżej jego godności. Z zaciśniętymi zębami wyciągnął telefon komórkowy.

– No, gdzie jesteś? – spytał lekko poirytowany. – Przecież miałyście tu czekać. Co? Nie, nie chce mi się... Dobra, na razie. – Wcisnął guzik gwałtowniej niż było trzeba.

Nie będzie latał po wystawach, nie po to tu przyjechał. Z irytacją naciągnął czapkę i wyszedł na zewnątrz w poszukiwaniu busa, który zawiózłby go do hotelu. Dostrzegł dwa stojące w pobliżu. Ruszył w ich kierunku, brnąc w śniegu po kolana. Wrzucił narty do kosza przyczepionego z tyłu samochodu, szarpnął za drzwi, wwindował się do środka, po czym ciężko opadł na siedzenie. Zdjął mokrą czapkę i zawołał do kierowcy:

– Pod „Baltazara”!

– Ano, ostrożnie pojedziemy, bo to ligawica i kurniawa okrutna!

Tego wieczoru siedzieli w „Bąkowej Zochylinie”, obok ogromnego paleniska. Wokół kłębił się tłum ludzi, a koło baru kapela góralska ostro rżnęła na cztery smyczki. Muzyka ta, płynąca prosto z serc, zazwyczaj sprawiała, że ludzie stawali się lepsi, a ich dusze otwierały się na tę niezwykłą kulturę. Przystawali się sadzić, szastali kasą, a nawet zaczęli śpiewać i mówić gwarą. Magia ta najwyraźniej nie zadziałała na Pawła Wencła.

Siedział naburmuszony, z ironią przysłuchując się uniesieniom Igora na temat zakopiańskiej architektury. Zachwytem tym ochoczo wtórowała jego własna żona, natomiast Matylda siedziała lekko skwaszona, paląc papierosa za papierosem.

– Cudowny, niepowtarzalny... – to Hanna rozwodziła się nad wyjątkowym stylem Witkiewiczowskim.

– Czegoś takiego nie znajdzie się nigdzie poza Polską – wtórował jej rozparty na drewnianej ławie Igor. – Szkoda tylko, że niedługo zniszczą nam ten bajkowy rejon. Zbudują autostradę, wykarczują drzewa, zagospodarują teren, zbudują stoki narciarskie i będzie to wyglądało jak każdy inny rejon w Europie. Wyginie reszta niedźwiedzi i wilków... Szkoda.

– Nie jeździsz na nartach, więc nie widzisz potrzeby budowy stoków, ale zapewniam cię, że można zbudować infrastrukturę narciarską, nie niszcząc przyrody – odezwał się Paweł, ledwo tłumiąc pogardę. Jego zdaniem, mężczyzna musiał zarabiać na dom, oglądać mecze piłki nożnej i jeździć na nartach. Inaczej nie był w pełni mężczyzną!

Do stolika podszedł kelner, przynosząc supę w podgrzewanych kociołkach.

– Mmm, wygląda nieźle...

– Nie ma to jak polskie jedzenie.

– No, nie powiedziałbym... zabójcze dla wątroby – szydził Paweł.

– Kto by myślał o wątrobie, kiedy obok siedzą tak piękne panie... – Igor nie pozostawał mu dłużny. – Założę się, że nawet ty, Paweł, pod wpływem takiej muzyki masz ochotę rzucić się dziś w wir życia, zatracić się w nim całkowicie. Upić się winem, a potem całą noc patrzeć w oczy ukochanej kobiety. Mam rację?

– Kiedy dojdiesz do moich lat, zobaczysz jak boląca wątroba potrafi ostudzić nawet najżarliwszą młodzieńczą pasję! – Paweł uśmiechnął się złośliwie. – Wątroba to dokuczliwa bestia, nie lekceważ rad starszych, bądź mądrzejszy niż ja w twoim wieku. Pamiętaj! Dbalność o zdrowie! To przykra prawda o życiu, ale nikogo to nie omija!

– Wstrzemięźliwość w używaniu życia jeszcze nikogo nie ocaliła przed nieuchronnym, Paweł. To też stara prawda o życiu – odparował Igor. – Co najwyżej umrzesz zdrowy.

– Tak się mówi, jak się ma kilkanaście lat, ale jak zaczniesz cię strzykać to tu, to tam, inaczej zaśpiewasz. – Z ust Pawła nie schodził przemądrzały uśmiech. – Zresztą, jak mi nie wierzysz, to sięgnij do klasyków! Polecam mojego ulubionego staruszka Kochanowskiego! Już on pisał o zdrowiu.

– A jak wam się udały wakacje, Hanno? – Matylda odsunęła w połowie niedojedzoną zupę i sięgnęła po kolejnego papierosa. – Jak Egipt?

– Dzicz. Kompletna dzicz. – Paweł upił łyk wina i spojrzał na żonę wyzywająco.

– Dzicz? – Igor pochylił się do przodu. Aż palił się do konfrontacji. – Jak to: dzicz? Co macie na myśli?

– Brak kultury. Różni nas na każdym rachunku, pokoje brudne...

– Może kiepski hotel?

– Pięciogwiazdkowy superstandard – zagrzmiał Paweł, czerwieniejąc i pstryknął palcem na kelnera, dając do zrozumienia, by napełnił kieliszki. Najwyraźniej dopiero teraz Igor naprawdę nadepnął mu na odcisk.

– Aaa, to przepraszam. – Igor wałkował na blacie papierosa i podniósł na Hannę łobuzerski wzrok.

– Kiedy za coś zapłacę, to nie lubię, jak mnie rolują.

– Rolować kogoś to chyba część ich tradycji handlowej – śmiał się Igor. – Ja zjeździłem cały Bliski Wschód. Zaczęliśmy od Libanu, a zakończyliśmy w Afganistanie.

– Nie baliście się, że wam poobcinają głowy? – rzucił Paweł. Wino o podłym smaku wprawilo go w osobliwy nastrój.

– Gdzie? W Afganistanie? – Igor pochylił się i oparł łokciami o stół. Trudno było oderwać wzrok od rzeźby jego mięśni. Na wewnętrznej stronie przedramienia Paweł ze zgrozą odnotował jakiś tatuaż. – Byliśmy w miejscach, gdzie panuje spokój. Tam mieszkają bardzo przyjaźnie nastawieni ludzie...

– Żartujesz... Ten lewicujący relatywizm zaprowadzi nas niebawem na świńskie południe – Paweł sarknął i poluzował guziki w obciskającym jego potężną gardziel polo. Irytował go już ten obszarpany, wyniosły, wytatuowany globtroter kosmopolita w drelichowych spodniach, z dymiącym papierosem...

– Ludzie są wszędzie tacy sami – odezwała się Hanna. – Szaleńców jest pełno po każdej stronie. W Nowym Jorku co roku ginie od kul około dwóch tysięcy ludzi. Tyle co jedenastego września...

– Ludzie są wszędzie tacy sami?! – wykrzyknął Paweł, ogarnięty dziwnym rozdrażnieniem, nieproporcjonalnym do sytuacji. – Ciekawe stwierdzenie! Czy naprawdę uważasz, że rozwój myśli cywilizacyjnej, a tym samym ewolucja obyczajowości społeczeństw, w takim samym stopniu dotknęły, powiedzmy, wymieniony tutaj Bliski Wschód, jak i Europę Zachodnią, czy te okropnie prymitywne i zniechęcone przez lewicową elitę intelektualną Stany Zjednoczone, czyli, jak wy to nazywacie, McŚwiat? Czy obiektywnie znacznie wyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego, w tym naukowego, technicznego, kulturowego i w końcu obyczajowego, nie świadczy przypadkiem w sposób oczywisty, że jednak ludzie nie wszędzie są tacy sami? Że my potrafimy w Europie osiągać kompromis na poziomie międzynarodowym w każdej niemal dziedzinie życia, kompromis polegający na konsensusie, na ucieraniu zdań aż do skutku i osiągniętej finalnie zgodzie wszystkich! Przecież żadna decyzja w Unii nie dochodzi do skutku inaczej, aniżeli w ten sposób. Nie strzelamy już do siebie i nie obcinamy sobie głów. A oni co? Co oni stworzyli, jaki jest ich wkład w rozwój świata, rozwój kultury i nauki? Potrafią tylko rzezać się bez opamiętania za byle co... Tylko mi nie mówcie, że jest to uzasadnione odmiennością kulturową. Co jeszcze potrafią wasi

ulubieńcy? Bezmyślnie niszczyć dorobki poprzednich kultur, jak choćby te gigantyczne rzeźby Buddy, bezpowrotnie zdewastowane przez tych neandertalczyków talibów! Nie obrażając neandertalczyków...

Zapadło milczenie, które przerwał Igor. Z namysłem rzekł:

– Poczekajmy jeszcze na finał rozwoju, który tak wychwalasz... Czy ten szalony pęd aby na pewno oznacza rozwój... A poza tym, trzeba pamiętać, że nasz stosunek do islamu kształtuje siła potęgi wielkich sieci telewizyjnych. Na ogół więc nie mamy własnego poglądu, własnej wiedzy, korzystamy z pośrednictwa kanałów informacji. Ponieważ sieci owe mają za zadanie kształtować nieufność w stosunku do świata muzułmańskiego, nasz punkt widzenia naznaczony jest stronniczością.

– Co znaczy, że sieci mają kształtować nieufność? Uważasz, że ktoś tym steruje? – jadowicie spytał Paweł. Czego jak czego, ale spiskowej teorii dziejów nie mógł ścierpieć.

– Koncerny, które mają w tym interes. A któżby inny? Jak pisał Kapuściński, pięćdziesiąt procent konsumpcji ropy w Stanach Zjednoczonych opiera się na paliwie z importu. Gdyby więc zamknięto „arabski kurek”, Stany Zjednoczone byłyby sparaliżowane. Region Zatoki Perskiej pozostaje obszarem żywotnych interesów amerykańskiego mocarstwa i to powoduje, że spokojna dyskusja o islamie jest tam praktycznie niemożliwa. – Igor zaciągnął się papierosem i uśmiechnął cynicznie. – Stan ten pogłębił się ostatnio, od kiedy ujawniono, że konkurencyjne źródło ropy naftowej znajduje się w rejonie Morza Kaspijskiego. Region ten jest o tyle ważny, że to stamtąd w przyszłości popłynie ropa do Chin. Tam ścierają się obecnie interesy trzech stron – islamu, Rosji i Stanów Zjednoczonych. Jest to więc kolejne potencjalne źródło napięcia między islamem a Ameryką.

– E, głupot się naczytałeś i tyle! Nawet gdyby telewizje reprezentowały partykularny interes korporacji zachodniego świata, to co w tym złego? Wszyscy siedzimy po tej stronie barykady. Jesteśmy z tymi korporacjami w symbiozie, nasze życie i chleb naszych dzieci jest od nich uzależniony. Masz zamiar z tym zerwać? Jesteś więc rewolucjonistą? – Paweł wychylił kielich i patrzył na Igora cynicznie.

– Nic z tych rzeczy – zaśmiał się Igor. – Jestem realistą i staram się być obiektywny. Musimy jakoś współegzystować. Islam to bardzo ekspansywna religia. Już liczy ponad miliard wyznawców, a liczba ta gwałtownie wzrasta. Jej wyznawcy są statystycznie młodzi, biedni i zdeterminowani, za to chrześcijanie starzy, rozleniwieni. Chrześcijanie mają ciągły niż demograficzny, tamtych liczba rośnie w zastraszającym tempie. Kto w takich bataliach zazwyczaj wygrywał?

– Niniejszym przyznałeś, że ich celem jest nas zniszczyć. – Paweł wyciągnął paczkę cygaretek i odpieczętował.

– Dopóty, dopóki my będziemy się starali ich sobie podporządkować, co, niestety, jest wpisane w naszą białą cywilizację. Rozwój. Globalizacja. Podwyższanie rentowności. Kumulacja kapitału. Trudno sobie wyobrazić, że z tego zrezygnujemy. Na tym oparta jest nasza mentalność indywidualnie i grupowo – w dużych firmach, wreszcie korporacjach. Tak jesteśmy wychowywani, mamy to we krwi. Zarobić na rodzinę. Kupić większy dom, jechać na lepsze wakacje. Wreszcie zarobić tyle, by nie musieć pracować wcale.

– Miła perspektywa – Matylda nie bez wysiłku uśmiechnęła się do Igora. – No, ale ty uprawiasz zawód niezależny od świata wielkich korporacji.

Paweł prychnął cicho, Hanna podniosła na niego wzrok. Igor bawił się pudełkiem Marlboro w miękkiej paczce, ustawiając na niej zapalki. W końcu odezwał się z sardonicznym uśmiechem, kierując słowa do Hanny:

– On ma poniekąd rację. Artyści zawsze byli uzależnieni od mecenasów, ich ostatnich gustów i nabitej sakiewki.

W kącikach warg Hanny pojawił się nikły uśmiech.

– Bez siły napędowej klasy średniej sztuka w ogóle by nie powstawała. Zwyczajnie nie miałby kto kupować. Ale jest światelko w tunelu – zawiesił głos, wyjął papierosa, zapalił go i trzymając w zębach, wypuścił dym nosem, po czym wygodnie oparł się na krześle. W świetle

świec jego przystojna twarz nabierała charakteru pierwotnej dzikości. Z zawadiacką miną ciągnął: – Nigdy świat nie był tak łaskawy dla nas artystów, jak dzisiaj. Są komputery, można sobie po godzinach dorobić w jakiejś durnej agencji reklamowej, a resztę czasu poświęcić najbardziej zazdrosnej z kochanek – Sztuce przez wielkie Sz.

Następnego dnia Paweł i Hanna jedli śniadanie w kameralnej restauracji hotelu „Baltazar”. Podszedł kelner, przynosząc wielką jajecznicę oraz dzbanek kawy i herbaty. Paweł łaskawie skinął mu głową, nie przerywając jedzenia. W tle sączyły się jazzowe kolędy, za oknem prószył śnieg.

– To gdzie oni się w końcu zatrzymali? – odezwał się nagle Paweł, wypijając resztę herbaty z filiżanki i odstawiając ją z cichym brzękiem.

Podawała nazwę ulicy, której Paweł nie kojarzył.

– To w Zakopanem? – spytał podejrzliwie.

– W Zakopanem.

Chwilę milczeli, jedząc i popatrując przez okna na zaśnieżone wille przy Białym Potoku.

– To co? Idziemy na narty? – Patrzył na nią wyczekująco.

– Chyba tak...

– Ciekawe, jakie plany ma na dziś nasz Artysta. Zapewne coś nietuzinkowego. Zaszyją się w przytulnej kawiarence przy dwóch herbatkach i paczce papierosów, a on zacznie objaśniać jej świat. Może poczyta jej na głos Marksa... A swoją drogą, nie wiedziałem, że taki z niego radykalny lewicowiec...

– Co się tak uwziąłeś na tego chłopaka? – Hanna spojrzała na niego z tłumionym gniewem.

– Oczekujesz, że młody człowiek, student ASP, będzie grał z tobą w squasha i przechwalał się, ile zarobił, jak reszta twoich kolegów?

– Ileż w tobie emocji – sztywno odparł Paweł, lekko zdziwiony. – Co, już nawet nie możemy pożartować? Miła z ciebie żoneczka, nie ma co...

Po chwili milczenia dodał:

– Dziwi mnie tylko, że Matylda na to pozwala...

– Na co? – Ciemne oczy Hanny patrzyły niespokojnie.

– Żeby tak ją traktował! Przecież widać, że on ma ją w głębokim poważaniu – gdy wypowiedział te słowa, popadł w głębokie zamyślenie.

– Co ty wygadujesz! – wyglądała na zagniewaną.

– Naprawdę tego nie zauważyłaś? Wciąż gapił się tylko na ciebie!

Umilkła i kręciła głową z oburzeniem, jakby śmiertelnie ją obraził.

– Chyba cię to nie dziwi? Gdzie ona a gdzie ty!

– Dostyc, co ty za brednie wygadujesz! – zawołała niemal przerażona.

– Chcesz jeszcze kawy? – zmienił temat. – Zobacz, przestało padać! Chodźmy na narty, bo dziś trzeba będzie wcześniej wrócić! Chcesz się chyba przygotować na sylwestra – wyburczał, patrząc na nią z tajonym zachwytem. – A wracając do pana Artysty, to niech sobie tworzy, niebożę. Bylebym tylko nie musiał za niego płacić! Ja już na studiach na siebie zarabiałem, i to całkiem nieźle! Jedno, co mnie w nim denerwuje – szeptał jej do ucha, idąc tuż za nią w stronę windy – to te jego, pożałuj Boże, radykalne poglądy! To chyba najnowsza moda wśród naszej żalostnej bohemy artystycznej, do której on się jeszcze, niestety, nie zalicza, by głosić tak zwane pozornie niepokorne poglądy. Każdy szanujący się artysta ma gębę pełną komunałów. Najbardziej śmieszy mnie to, że postulowane przez nich hasła już dawno gwarantuje konstytucja! Nie ma to jak wywahać szeroko otwarte drzwi!

Sylwester zapowiadał się wprost wspaniale. Po południu wiatr przegnał chmury i nad Zakopanem świeciło piękne słońce, które wcale nie topiło śniegu, gdyż panował lekki mrozek. Śnieg skrzypiał pod płozami jeżdżących po ulicach sań, grube czapy śniegu pokrywały góralskie chaty i strzeliste „smreki”.

Paweł z Hanną w lepszych nastrojach zjeżdżali właśnie autobusem z Kuźnic. Mieli za sobą dobry dzień. Ponieważ nie było tłumów, jeździli góra – dół, aż w końcu Hanna miała dość i usiadła na leżaku przy schronisku na Goryczkowej. Paweł miał ochotę jeździć dalej, ale na widok

gapiących się na żonę „śmierdzących gnoi” na snowboardach postanowił, że posiedzi z nią, choć nie wydawała się tym zachwycona. Poczuł się lekko urażony, lecz tkwił uparcie u jej boku, popijając grzańca i rozkoszując się niespodziewanym grudniowym słońcem.

Zadzwoiła jej komórka. Hanna zdjęła rękawice, niedbale obszyte skrawkami futra, i wyjęła płaski aparat.

– Halo – z jej ust unosiła się para. Ciemne włosy, lekko posklejane wiły się wokół ramion. Chyba ładnie się dziś przypiekła, jej oliwkowa cera była mocno zaróżowiona. Paweł odnotował te szczegóły i odwrócił wzrok. Zmarszczył brwi i wpatrywał się w widok za oknem. Mijali rondo.

– Na długo do Zakopanego? – odezwał się kierowca, zagłuszając to, co właśnie mówiła Hanna.

– Do Nowego Roku – burknął Paweł wściekły. Chciał usłyszeć, kto do niej dzwonił!

– Pikna dzisiaj pogoda! – znów zagadał natręt, lecz Paweł już tylko wrogo milczał.

Jeden rzut oka we wsteczne lusterko wystarczył, by stwierdzić, że gburowaty cepr nie ma chęci na rozmowę. Pewnie warszawski cham! I góral westchnął ciężko.

Niestety, Hanna zakończyła już rozmowę i Paweł niczego nie dosłyszał.

– Kto dzwonił? – zagaił obojętnym głosem.

– Matylda – z wolna odezwała się Hanna. – Wymyślili, żeby spędzić choć część sylwestra jeżdżąc saniami po Zakopanem! Czy to nie fajny pomysł?

– Co? W taki mróz? Powariowali? A poza tym... Zapłaciliśmy już za udział w hotelowym balu. Mówiłaś, że chcesz potańczyć... – starał się mówić zachęcającym tonem, lecz cedził słowa przez zaciśnięte szczęki.

– Możemy to zrobić później... Zresztą... Zrobmy raz inaczej...

Sanie zajęły pod rzęsiście oświetlonego „Baltazara”. W środku siedzieli już Igor z Matyldą, otuleni włochatą baranicą. Hanna wsiadła pierwsza, korzystając z pomocy troskliwego artysty, który natychmiast rzucił się, by podać jej rękę. Paweł z zaciśniętymi zębami zasiadł koło żony i zaczął pieczołowicie okrywać siebie i małżonkę, niemal ściągając baranicę z tamtych dwojga.

Baca zasiadł na koźle i ostro smagnął powietrze batem. Konie zarżały i zastrzygły uszami.

– Wio, ino chyżo... To jak se chcecie? W górę, do doliny Białego, a potem Drogą pod Reglami, cy jako inaczej?

– Drogą pod Reglami, ino żywo – zawołał Igor, błyskając w mroku białymi zębami.

– Bedzie żywo, ino trzymojta dziewczki, by wom nie powypadały!

Paweł zapalił cygaretkę i wydmuchnął w mroźne powietrze niebieski kłąb. Zbyrcoki miło podzwaniały, śnieg skrzypiał pod końskimi kopytami. Pochodnie płonęły w mroku po obu stronach sań. Mijali już ostatnie, po świątecznemu ustrojone bajkowe wille, po czym wjechali w ciemny las. Konie ruszyły klusem. Igor podał Pawłowi piersiówkę. Ten powąchał podejrzliwie i upił łyk, po czym przekazał ją Hannie.

Droga raz pięła się do góry, raz ostro opadała. Gdy minęli Dolinę Białego i jakieś zapomniane przez Boga i ludzi chatki, musieli na chwilę wysiąść, gdyż baca obawiał się, że konie się poślizgną, a sanie runą w dół stromego zbocza. Potem znów wsiedli i jechali, rozmawiając nabożnym szeptem, jakby w obawie, by nie naruszyć niezwyklej harmonii, która tu panowała. W końcu las zaczął się przeredzać. Wyjechali na polanę i zaparło im dech w piersiach.

Byli na wzniesieniu, a u ich stóp, widziane jak na dłoni, rozciągało się roziskrzzone Zakopane. Nad nim, zawieszony jak na sznurku, wisiał cienki, biały sierp księżycy, a dookoła migotało milion gwiazd.

– Niezwykły widok. Dla tego jednego widoku warto było tu przyjechać – z mroku dobiegał niesamowicie brzmiały szept Igora.

– Tak, to prawda – Paweł usłyszał głos Hanny.

Rzeczywiście, gdy nie świeciły światła miasta, gwiazdy były doskonale widoczne. Patrzyli jak urzeczeni w tę niepojętą nieskończoność. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił, gdyż każdy zachwyt zdawał się banalny wobec doniosłości i tajemnicy, którą skrywał ów widok.

– Nasz los jest tam zapisany – odezwała się Hanna.

– Nasz los jest w naszych rękach – cicho odpowiedział Igor.

Zapadła cisza przerywana jedynie parskaniem koni.

– Brr, jak zimno – odezwała się w końcu Matylda.

Igor zaczął ją okrywać, coś do niego szeptała w ciemności. Te szepty w niewytłumaczalny sposób rozdrażniły Pawła. Nie znosił doświadczać cudzej intymności równie mocno jak wystawiać własnej na widok publiczny. Zapalił następną cygaretkę, od czasu do czasu zerkając na żonę.

Widział jej czysty profil, wyraźnie odcinający się od bieli, która rozciągała się dookoła.

– Czarodziejskie miejsce – wyszeptała w błogostanie.

– Bajka – zawtórował jej Igor. Zapalił papierosa i ogień na chwilę oświetlił jego przystojną twarz. – Ach, mieszkać tu, żyć tak...

– Niczym Witkacy... – rzucił Paweł, patrząc w bok i wyzuwając głos z choćby cienia szyderstwa.

Igor zaśmiał się cicho, ale nie odpowiedział.

– Igor jest lepszy niż Witkacy – głos Matyldy zabrzmiał żartobliwie z ciemności.

– Matyldo, to oczywista oczywistość! – mruknął Paweł pod nosem.

– Hanna, dlaczego nic nie mówisz? – odezwała się znów Matylda. Głos zawibrował jej wojowniczą nutką. – Witkacy to twój ulubiony!

– Naprawdę? – w głosie Igora znać było źle skrywane zainteresowanie. – Interesujesz się malarstwem?

– Można tak powiedzieć – z naciskiem rzekła Matylda. Teraz i ona zapaliła papierosa i zwróciła się do siostry: – Pochwal się Igorowi.

Mimo ciemności, Paweł dostrzegł ironiczny błysk w oczach Hanny.

– Nie ma się czym chwalić...

– Jest, jest – złośliwie ciągnęła Matylda. – Macie bardzo zbieżne zainteresowania... Hanna skończyła historię sztuki na La Sapienzy...

Igor wyglądał, jakby informacja ta wywarła na nim duże wrażenie.

– Ależ właśnie nie skończyłam – sprostowała Hanna, patrząc z uśmiechem na Matyldę.

– Hmm – mruknął Paweł znacząco. Wolał nie przypominać sobie o skandalicznych okolicznościach, które zmusiły żonę do przerwania edukacji i o których dowiedział się dopiero parę lat po ślubie. Zawód miłosny, dzięki któremu najprawdopodobniej udało mu się zdobyć Hannę. Zawsze na to wspomnienie łapał go skurcz w okolicy mostka, nie inaczej było tym razem. Poluzował kołnierz i jednym haustem opróżnił piersiówkę. Zaczynało mu być zimno i nie mógł doczekać się powrotu do hotelu.

– No, baco! Powoli wracajmy, bo nas tu zastanie dwunasta – rzucił w stronę woźnicy nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Następnego dnia, w Nowy Rok, jedli obiad w „Poraju”. Miejsce wymyślił Paweł, jako złośliwą aluzję do profesji Igora.

– Tu powinieneś się czuć jak u siebie – rzekł do artysty, gdy rozsiadali się przy upragnionym stoliku, na który czekali ponad pół godziny. – Jadali tu twoi skromni poprzednicy.

Igor zaśmiał się z godnym podziwu dystansem. Odruchowo sięgnął po papierosa i rzucił:

– Niestety, jedyne co mnie łączy z Witkacym, to zamiłowanie do marihuany. Pewnie podobnie też skończę, choć mam nadzieję, że nie z tych samych powodów!

Paweł poruszył się niespokojnie. Każdego, kto przyznawał się do palenia marihuany, uważał za straconego dla tego świata narkomana, którego należałoby objąć leczeniem zamkniętym. Spojrzał na Hannę ze zgrozą, lecz ona z uśmiechem patrzyła na podpisy bywałych tu artystów, które zdobyły dziwny obraz. Jasne! Nigdy nie podzielała zdania męża! W żadnej kwestii.

Matylda siedziała, milcząc, z zaciętym wyrazem twarzy. Nie potrafiła grać. Denerwowało ją zachowanie narzeczonego, który zdawał się zupełnie nie dostrzegać, przez co tutaj przechodziła. Zdawała sobie doskonale sprawę, że nie do twarzy jej z dąsami, zdawała sobie też sprawę, że złość na siostrę jest niczym nieuzasadniona. Hanna nie zrobiła nic, najmniejszego nawet gestu, by...

By przerwać to irytujące napięcie, które się między nimi wywiązało, kilka razy usiłowała zagajać do Hanny, lecz przynosiło to wręcz odwrotny rezultat. W końcu, sama do końca nie

wiedząc, co mówi, a instynktownie czując, że tylko w ten sposób rozwieje złe wrażenie, które musiała swoim wrogim zachowaniem wywołać, zwróciła się nagle do siostry:

– Hanno, przecież ty dobrze znasz Zalewskiego! Możesz pomóc Igorowi zorganizować wystawę w CSW. Każdy, kto ma tam wystawę, zawsze robi zawrotną karierę, czy nie tak jest? Tak przecież funkcjonuje ten świat...

Przez chwilę nikt nic nie mówił, przy stoliku zapadła dziwna cisza, jakby Matylda powiedziała coś niezwykle niestosownego. W końcu odezwał się sam zainteresowany, w dodatku poirytowanym tonem:

– Matyldo, doceniam twoją chęć zajęcia się moją karierą, ale nie zamierzam próbować się dostawać w te koterie i spiski tylnymi drzwiami.

Matylda patrzyła na niego zdumiona, po czym zakrzyknęła:

– Człowieku, co ty wygadujesz! Tu nie chodzi o żadne kunktatorskie ustawienie się! Chodzi o to, żeby ktoś twoje prace obejrzał! Przecież Hanna nie zmusi Zalewskiego do zrobienia ci wystawy, jeśli mu się twój cykl stereotypów nie spodoba!

– Nie zamierzam włączyć w dupę panom kuratorom, by za wszelką cenę zhandlować moje obrazy na wystawie, kochanie. Nie jestem biznesmenem – Igor gniewnie zmarszczył brwi i zajadłe palił papierosa...

Hanna milczała. Widząc to, Matylda niewiele myśląc, przypuściła na nią atak:

– A ty co o tym myślisz? Uważasz, że źle by było przedstawić Igora Zalewskiemu? Przecież to jest normalne! Nawet o Michelangelo nie usłyszałyby pies z kulawą nogą, gdyby nie znajomość z Wawrzyńcem Wspaniałym i wizyty w domu Medyceuszy, cholera jasna!

– Pewnie masz rację! – odpowiedziała w końcu Hanna. – Ale rozumiem jego punkt widzenia! Prawda jest taka, że im większy talent, tym mniej myśli o odbiorcy...

– Matyldo, niepotrzebnie zaczęłaś ten temat – Igor lekko podniósł głos – Hanna pomyśli, że jestem jakimś fajtlapą, który nie może dać sobie rady sam i za wszelką cenę chce...

– Z przyjemnością porozmawiam z Zalewskim, tylko...

– Tylko musiałabyś najpierw zobaczyć moje prace sama – domyślnie odgadł Igor, otaczając stół taką chmurą dymu, że Paweł zaczął ostentacyjnie kaszleć.

Umilkli. I tylko jedna Matylda, która właśnie osiągnęła cel, miała minę niewyraźną, a w duszy poczucie, że została w dziwny sposób wystrychnięta na dudka.

Jak rzucają mężczyźni

Luty upłynął Matyldzie nerwowo, na ciągłych utarczkach z szefową. Gdyby nie sentyment do firmy i spora liczba przyjaciół, która jeszcze się tam ostała mimo nieprzychylnych dla samodzielnie myślących ludzi wiatrów, już dawno przeglądałaby gazety w poszukiwaniu pracy.

Szefowa, mimo pozorów jakie stwarzała, gdy przyjmowano ją do firmy, okazała się osobą bardzo niepewną swych racji. Miała też chyba poczucie (niekoniecznie całkiem wyimaginowane), że dyrektor sprzedaży Budzisz, szara eminencja firmy, kopie pod nią dołki. Wprowadziła więc niepisany zakaz kontaktowania się z Budziszem, co było dla niektórych jej podwładnych bardzo niewygodne, gdyż od dobrych relacji z nim zależała sprzedaż produktów, za które byli odpowiedzialni od strony marketingowej.

Szefowa marketingu, Jagodzińska, prowadziła z Budziszem otwartą wojnę, jeśli więc ktoś z jej podwładnych śmiał się do niego odezwać na korytarzu, a już, nie daj Boże, rozmawiać za zamkniętymi drzwiami, Jagodzińskiej jeżyły się włosy na głowie. Węszyła spisek. Zdawało się jej, na długo zanim to naprawdę zaczęło mieć miejsce – że Budzisz werbuje wśród pracowników działu marketingu buntowników, którzy mieli od wewnątrz obalić tyrana. I jak przystało na osobę, która obawia się spisku, zaczęła zachowywać się niczym najokrutniejsi tyrani historii.

Właśnie trwało cotygodniowe spotkanie działu marketingu, tak inne od tego, które znały osoby pracujące tu pod kierownictwem poprzedniego dyrektora, sympatycznego Irlandczyka. Lecz tych osób było coraz mniej. Niektórych Jagodzińska zwolniła osobiście, inni nie wytrzymali psychicznie i odeszli sami. Na ich miejsce zatrudniała ugodowych lizusów, niewolniczo poddanych jej samej, bezproduktywnych i miałkich. Jedynym warunkiem przyjęcia była absolutna lojalność wobec Jagodzińskiej.

Ta rozpasana banda, która dorwała się do władzy i pieniędzy tylko dlatego, że w każdej kwestii popierała Jagodzińską, wpadała na chore pomysły i realizowała je za firmowe pieniądze, nie będąc za to przez nikogo rozliczana. Budzisz, jedyna istota w firmie na tyle niezależna i silna, by otwarcie wypowiadać swoje zdanie i przeciwstawić się głupocie, dowiadywał się o idiotycznych zamówieniach działu marketingu korytarzowymi drogami. Jednym ze źródeł była nienawidząca szefowej Matylda.

Jagodzińska nawet na spotkaniach własnego działu nie czuła się bezpieczna. Wiedziała, że wśród podwładnych zostało parę jednostek ze starej gwardii, nieprzychylnych jej i jej rządóm. Szczególnie irytowała ją właśnie Matylda, której niezłomnego ducha nie zdołała jeszcze zabić.

Teraz na cotygodniowym spotkaniu marketingowym była w kropce i to właśnie przez takie „wtyki” jak Matylda. Jagodzińska nie mogła mówić otwarcie, a było o czym. Otóż jeden z zatrudnionych przez nią pupilków, młody, gniewny i ambitny, lecz niestety niezbyt doświadczony „wilczek” Marcin Rocki – niesiony na fali nowo nabytej pewności siebie dzięki wysokiemu stanowisku, na które został wyniesiony za sprawą niczym nieuzasadnionego zaufania Jagodzińskiej – dokonał samodzielnego zakupu pewnych danych marketingowych. Dane okazały się niezwykle kosztowne, jako że Rocki podpisał umowę, nie zwracając sobie „dupy” takim nudnym drobiazgiem, jakim byłoby przeczytanie umowy w całości. Kwota, którą zaakceptował, była jedynie przedpłatą, o czym nie wiedziała ani Jagodzińska, która również parafowała umowę, ani tym bardziej anglojęzyczny dyrektor generalny GCP.

Aby uzyskać komplet danych i mieć je uzupełniane przez następny rok (pierwotne dane nie miałyby sensu bez porównania z kolejnymi), musieli dopłacić jeszcze kilka razy tyle. Lecz nie to było najgorsze. Te same dane spływały do nich przez inną firmę, więc zakup ich był kompletnie zbędny. Zadufany Rocki, dumny jak paw z faktu, że był władny, by wydać tak grube pieniądze, nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy aby nie mieli już kupionych tych danych. A okazało się, że mieli.

Więc zapłacono ponad trzysta tysięcy złotych za coś, czym można było co najwyżej podetrzeć sobie tyłek, i to jedynie wtedy, gdyby je wydrukować na miękkim, kosztownym papierze. Jagodzińska była przerażona i wściekła, bała się, że informacja ta wydostanie się na zewnątrz, więc podczas spotkania próbowała stwarzać pozory, jakoby dane nie były kompletnie do

niczego. Była również wyjątkowo surowa dla zatrudnionych przez siebie pupilków, a szczególnie ciepło potraktowała „weteranów”.

Od czasów objęcia rządów przez Jagodzińską zebrania zaczęły wyglądać jak musztra. W grobowej ciszy przemawiała jedna osoba, opowiadając o swojej działalności. Ten monotony potok słów przerywał tylko ostry głos Jagodzińskiej, zadającej kłopotliwe pytania, niczym najsurowszy profesor podczas trudnego egzaminu. Pytania rzadko dotyczyły meritum. Jagodzińska zdawała się nie interesować zasadnością czynionych aktywności marketingowych. Podchwytliwe pytania dotyczyły zgodności liczb i deklarowanych terminów.

W zasadzie, jeśli ktoś wyrabiał się w zadeklarowanych terminach, mógł wymyślać najgłupsze produkty i strategie. Pracując z Jagodzińską, nauczyli się, że muszą dokładnie planować terminy działań i trzymać się ich niewolniczo, choćby się waliło i paliło, a wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że kampanię należy odłożyć w czasie, bo jest kiepska. Albo niedopracowana.

– Hmm – Jagodzińska, z surowo zmarszczonymi brwiami, przeglądała folder z wydrukiem zakupionych danych. – Hmm. Interesujące. A targety masz zdefiniowane? – spytała zimnym, profesjonalnym głosem zgarbionego i wystraszonego Rockiego, który wpatrywał się w nią jak chomik w atakującą anakondę.

– Czekaj, mówiliśmy o produktach aspirujących – nie zrozumiał Rocki i dość beznadziejnie grał na zwłokę. – Targety na co? – rzucił zamierającym ze strachu głosem.

Jagodzińska zagotowała się. Spłoszonym, podminowanym wzrokiem spotkała się z Matyldą. Wyglądało, jakby wstydziała się braku profesjonalizmu zatrudnionych przez siebie pracowników. Wprawdzie byli bęcwałami, lecz sytuacji nie ułatwiała skrajne napięcie nerwów, w którym znajdowali się podczas spotkań marketingowych. Niejeden o wiele bardziej opanowany zapominałby pod taką presją języka w gębie.

– Skrót myślowy – wycodziła. – Nie obudziłeś się jeszcze czy co? Target grupy na każdą nową kategorię... – zawahała się, jakby coś ją tknęło, lecz dokończyła pytanie: – No, ale myślę, że w ramach kosztów oni pomogą nam zdefiniować grupy docelowe?

– N-n-nie?... – Rocki bohatercko uniósł jedną brew w ironicznym zdziwieniu. – Tam były tylko trendy... Mówiłem przecież. Jeśli chcemy target grupę i pozycjonowanie, to musimy zwrócić się do BJD albo Compass Ltd. – wyjąkał.

Jagodzińska ledwo nad sobą panowała. Nie wypadało jej rozedrzeć się na Rockiego, gdyż tym samym potwierdziłaby przed całym zespołem, że za jej zgodą wyrzucili w błoto ponad trzysta tysięcy złotych. Wewnętrzny dygot nerwów zdradzały jedynie łyskające oczy i czerwone plamy na dekolcie.

– Dobra, myślałam, że za taką kwotę dorzucą i pozycjonowanie. Ale nic, będziemy się posiłkować inaczej. No. Dość już planów, wejrzyjmy w aktywności. Ała, twój czas – z uśmiechem przypominającym skurcz wargi górnej zwróciła się w stronę swej pupilki.

Ała Kurpisz wystartowała z przemową, gorliwie i usłużnie. Wyglądało, jakby od dłuższego czasu powtarzała sobie w myślach zdania, które właśnie recytowała melodyjnym, modulowanym głosem:

– Wspólnie z agencją zdecydowaliśmy się zmienić pozycjonowanie Miss Juicy w kierunku bardziej kobiecego i seksownego, jednym słowem czegoś bardziej tradycyjnego, jak wiecie. Kampania bardzo się podobała respondentom, *launch* przewidujemy na początek kwietnia...

Jagodzińska poruszyła się niespokojnie, chrząknęła i wtrąciła:

– Nie wszyscy wiedzą, że robiliśmy *brand dynamics* i dezodorant Miss Juicy wypadł nam błado, stąd zmiana kursu. Matyldo, nie czuj się dotknięta, produkty mają dość krótki cykl życia, zmiana strategii była konieczna. Nie umniejsza to twojego dotychczasowego sukcesu. Czasem lepiej widzi ktoś, kto patrzy świeższym okiem...

– Chcecie pozycjonować Miss Juicy na tradycyjny dezodorant dla kobiet? Zmieniacie grupę wiekową, mimo że wśród nastolatek świetnie się sprzedaje? – Matylda nie ukrywała zdumienia i rozbawienia. – Zamienicie charakterystyczny produkt w produkt dla nikogo i oczekujecie sukcesu? Ta zabawa może drogo kosztować...

– Wiem, że zdaje ci się, iż jesteś nieomylna tylko dlatego, że dłużej niż Alicja pracujesz w firmie. Niestety, mało to przekonujące. Do mnie trafiają liczby i badania, a te są nieubłagane! Sprzedaż Miss Juicy z obecnym wizerunkiem będzie spadać. Nie zmieniamy grupy docelowej, po prostu poszerzamy ją – Jagodzińska mówiła lekko podniesionym tonem, ponieważ nie znosiła, kiedy ktoś się jej sprzeciwiał. Zdawało jej się, że dyskutowanie z nią jest oznaką niepoważania jej jako szefa kobiety. Ucinała więc wszelki dialog, rzucała krótkie, niczym kapitan jachtu, komendy. Tak w jej mniemaniu zarządzał ludźmi silny i kompetentny dyrektor marketingu.

Matylda umilkła. Nie dlatego, że nie miała argumentów. Po prostu w związku z historią Miss Juicy przypomniał jej się Igor. Igor, którego w lutym widziała może trzy razy, w tym raz spotkała go przypadkowo, w jakimś klubie. Przyparty przez Matyldę do muru, tłumaczył się niechętnie i szczerze mówiąc, niewiele z tego wynikało. Wymawiał się nawałem pracy w agencji i, jak twierdził, był w sztosie twórczym. Chciał wreszcie skończyć swój cykl, a zostało mu jeszcze mnóstwo roboty. Obrazy pochłaniały dużo czasu i musiał też nieźle się „nazapieprzać w agencji”, by „wydolić” na materiały, farby, werniksy i całe to „gówno”.

Śmiał się, że zatrzymała go policja, gdy przeczesywał śmietnik przy Targowej w poszukiwaniu obiektów do stereotypu „polskiego”. Gdy jednak Matylda spytała, co na nim będzie, nie chciał nic zdradzić, wspominał tylko, że wiele inspiracji socjologicznych dostarczył mu pouczający wyjazd sylwestrowy.

Dopiero propozycja złożenia mu wizyty wraz z Hanną w celu oględzin obrazów nieco złagodziła jego maniery. Trochę się rozchmurzył. Dość szybko doszli do porozumienia co do daty odwiedzin, a już to, samo w sobie, było nie lada postępem. Zazwyczaj Igor nie wiedział, co będzie robił następnego dnia, nie mówiąc już o umawianiu się z tygodniowym wyprzedzeniem.

Na wspomnienie tych wspólnych odwiedzin Matylda zacisnęła usta. Wprawdzie Hanna zachowywała się bez zarzutu... Tak jak Matylda przewidywała, była pod wrażeniem jego prac.

Zresztą nie było to dziwne. Obrazów przybyło. Widać, że Igor był we wzmószonym okresie twórczym... Pojawił się szyderczy, groteskowy portret Amerykanów, jakby widziany przez stronicze, przeintelektualizowane oko Europejczyka, przewrotny w treści, bo w pierwszym wrażeniu odbiorcy wydawało się, że podziela zdanie autora, a za chwilę uświadamiał sobie, że to on, patrzący okiem pełnym uprzedzeń, jest prawdziwym obiektem drwiny. Obrazy w przedziwny sposób obnażały słabości umysłów ludzkich, tak skłonne do uprzedzeń i widzące rzeczywistość na swoją modłę.

Jednym słowem obrazy wzbudzały emocję, to kilka razy podkreślała Hanna. Nie były oczywiste w odbiorze, dawały do myślenia, zawierały drugie dno, mogły być przedmiotem dyskusji. Ponadto forma ich była niezwykła, odbiegała od sztamki wykonywanej ostatnio przez większość artystów. W niczym nie przypominały uproszczonych komiksowych, które jak jeden mąż tłukli wszyscy młodzi artyści, jadący szlakiem utartym przez Sasnała – tak twierdziła Hanna.

Pociągnięcia pędzla były odważne, zamaszyste. Widać było, że Igor ma gest malarski i nie brak mu osobowości. Styl nawiązywał do ekspresjonizmu, lecz wykorzystywanie ready made'ów, zdjęć oraz przeróżnych materiałów i faktur nadawało jego malarstwu niepowtarzalny, odrębny, niezwykle świeży i nowoczesny styl.

Hanna poważnie oznajmiła Igorowi, że czuje się wręcz „zobligowana”, by porozmawiać o tym z Zalewskim, lecz Igor zdawał się nie traktować tego serio. Widać było jednak, że jej uznanie sprawiło mu przyjemność. Matylda, czujna niczym zając, skupiała się tak mocno, by nie dać nic po sobie poznać, że w pewnym momencie ze zdumieniem usłyszała swój własny głos, wypowiadający, jakby poza władzami umysłu, następujące zdanie:

– To może dzwonić się i po prostu idźcie do niego razem. Niech pozna Igora, niech zobaczy jego obrazy.

– Jak tylko Zalewski się zainteresuje, zadzwonię do was, to znaczy do Matyldy i zobaczymy, co dalej – rzekła Hanna spokojnie, nie odrywając wzroku od opartego na ścianie „wątku germańskiego”. Rzeczywiście trudno jej się dziwić. Obraz przedstawiał niemiecko wyglądającą gospodynię domową z wydatnymi ściśniętymi biustami, na pozór wesoło krzątającą się przy domowych obowiązkach, lecz po bliższym przyjrzeniu się nabierał przerażającego

znaczenia. Jedna z gospodyń sortowała złote obrączki, ludzkie zęby (te, zdaje się, były prawdziwe, przyklejone do płótna), inna rozpalała w podejrzenie obszernym piecu.

– Ależ po co ja mam w tym pośredniczyć? – spytała wyzywająco Matylda spiętym, lekko podniesionym głosem. – Zdzwońcie się i umówcie, wtedy spokojnie sobie ustalicie. – Wyglądało, jakby gdzieś pod powierzchnią dziewczyny się kłóciły, choć nie padło ani jedno wrogie słowo.

Igor palił w milczeniu i spojrział na Hannę pytającym wzrokiem, lecz ta powtórzyła, otulając się szczelnie czarnym, długim kożuchem:

– Matyldo, dajmy spokój. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko będę coś wiedziała.

Podala Igorowi rękę. Wykonał gwałtowny gest, jakby chcąc najpierw otrzeć brudne od farby dłonie, lecz potem szybko wyciągnął rękę, jakby bał się, że do uścisku dłoni może w ogóle nie dojść!

– Dzięki, że przyszedłaś.

– Cieszę się, że mogłam je wreszcie zobaczyć. Matylda miała rację, są... niezwykle.

Matyldo, to ja już lecę. – I wyciągnęła dłoń, by pożegnać się też z nią.

– Przecież wracamy razem – sarknęła Matylda. Po co Hanna odgrywała tę komedię?

Doskonale wiedziała, że Matylda też wychodzi.

W końcu przyjechały jednym samochodem. Czy chce obnażyć złą passę jej związku, czy dąży do tego, by Matylda *expressis verbis* powiedziała: „Igor wcale nie chce, bym tu zostawała”?

– Igor ma mnóstwo roboty, a ja jutro wstaję wcześniej – dodała sztywno, wyzywająco patrząc Igorowi w oczy, lecz ten nic nie odpowiedział. Hanna odwróciła się i wyszła na ciemną klatkę schodową, jakby chcąc dać „zakochanym” możliwość czulego pożegnania.

– No to na razie. – Matylda stała w progu z rękami w kieszeniach płaszcza i z całych sił próbowała nadać swej twarzy wyraz pogodnej obojętności, lecz pochmurna litość, która przez chwilę odbiła się na jego twarzy, uświadomiła jej, że to się nie powiodło. Bez słowa cmoknęła ją w policzek i z przepaszającą miną bąknęła: – To... zadzwonię...

I zamknęła drzwi.

Jechały samochodem w absolutnym milczeniu. Po kilkunastu minutach ciszy, stojąc w korku na moście Śląsko-Dąbrowskim, Matylda nie wytrzymała:

– Zdolny jest, co?

– Tak. Nawet bardzo.

– Podobały ci się jego obrazy, co?

Dopiero po chwili Hanna odparła:

– Tak. Mówiłam przecież...

– A sam Igor... Co o nim myślisz?

– Fajny z niego facet – z lekkim wahaniem w głosie odpowiedziała Hanna.

– Nie sądzisz, że jest wyjątkowo przystojny?

– Jest bardzo przystojny, Matyldo. – Hanna spojrzała na siostrę z tłumionym gniewem. – Jest jednym z najprzystojniejszych facetów, jakich widziałam w życiu. Zadowolona?

Po tej wymianie nie odezwały się już ani razu, dopóki Hanna nie wysadziła Matyldy na końcu Długiej.

Tymczasem spotkanie marketingowe dobiegało końca. Jagodzińska była bardzo niezadowolona, bo i nie było z czego się cieszyć. Współpraca ze sprzedażą nie układała się, gdyż Jagodzińska bała się, że Budzisz zacznie buntować jej własnych ludzi. Konsekwencją tej separacji dwóch działów, które powinny współpracować, był spadek sprzedaży. Na korytarzach ludzie zaczęli szeptać przeciwko nowej szefowej marketingu. Oddzielała siebie i swoich ludzi od innych działów. Była dziwna i nieprzewidywalna. Nikt jej nie lubił. Jako klasyczny tyran, musiała jednak trzymać pracowników w karbach, używając nie tylko kija. By wkupić się w ich łaski, postanowiła zorganizować kolejny wyjazd do spa. Był to już piąty wyjazd działu marketingowego do spa od czasów objęcia rządów przez Jagodzińską.

Kupowała sobie przychyłość, wożąc ich w najdroższe miejsca w Polsce i otwarcie szastając firmowymi pieniędzmi, niemal krzycząc na głos, że korporacje ich doją, więc niech i oni wydoją korporacje. Z upływem czasu jej rabunkowa polityka wobec firmy stawała się coraz

bardziej otwarta. Grupa zatrudnionych przez nią popleczników bała się jej i skrycie nienawidziła, lecz we wszystkich rankingach (nawet anonimowych) szefowa zbierała najwyższą liczbę punktów! W sumie nie mieli z nią źle! Broniła nierobów, gotowa była rzucić się jak Rejtan w obronie ich racji, czy ją mieli, czy nie! Stworzyła zamknięty, wyizolowany, trzęsący portkami klan, zaklęty krąg, który cierpiał w cichości, gdyż tak naprawdę bano się szefowej, lecz nikt nie przyznałby się do tego nawet w anonimowej ankiecie.

Wszem i wobec głosili, że Jagodzińska jest surowa, ale dla nich jest fair. Jest super. Faktycznie, czym były drobne upokorzenia, powarkiwanie i łajania szefowej w porównaniu z wolnością, którą im zgotowała na zewnątrz firmy? Dopóki byli lojalni wobec niej, dopóki mężnie znosili jej tyranie, dopóty każda głupota, którą czynili, uchodziła im płazem. Broniła ich, rozliczała ich wszelkie wydatki i sprzeniewierzenia finansowe. No i te wyjazdy na szkolenia, które organizowała. Bicze wodne, masaże, baseny, hotele. Ależ tam można było użyć! Żaden inny dział tyle nie wyjeżdżał! Z kim byłoby im lepiej?

Właśnie Jagodzińska zapowiedziała kolejny wyjazd na jakieś fikcyjne szkolenie i to już w następny weekend! Błogosławiony był to czas dla firmy szkoleniowej, prowadzonej przez dawną szkolną koleżankę Jagodzińskiej! Same zamówienia z GCP podniosły obroty jej firmy o trzysta procent!

Jagodzińska zupełnie otwarcie trąbiłaby do swych pupilków o potrzebie „wydojenia” firmy, lecz nie mogła tego robić ze względu na obecność Matyldy. Reszta podwładnych była „urobiona”. Jagodzińska kładła im do głów swoje racje na indywidualnych spotkaniach, za zamkniętymi drzwiami. Właściwie Matylda nie wiedziała, dlaczego jeszcze do tej pory nie ruszyła do generalnego menedżera GCP i nie opowiedziała mu, jak załatwiane są sprawy w dziale marketingu. Oczywiście, powstrzymywała ją oportunistyczna obawa, że Jagodzińska (było to całkiem prawdopodobne) jest jakoś specjalnie umocowana i GM-owi mogłyby się nie spodobać racje Matyldy.

Lecz było w tym coś jeszcze, czego Matylda nie potrafiła do końca wytłumaczyć. Jakaś ogólnopolska cecha, pochodząca najprawdopodobniej z czasów komunistycznych: nienawiść do kablowania, donoszenia na kogokolwiek. Zbyt długo jej rodzice żyli w czasach, w których bano się każdej byle szui, która mogła donieść, że ojciec działa w opozycji. Zbyt wielka była niechęć i obrzydzenie do donoszących, do tajnych współpracowników, do agentów służb bezpieczeństwa, by tak łatwo posłużyć się teraz tak niegdyś znienawidzoną bronią. Było to jak skaza, jak piętno, utrudniające normalne funkcjonowanie.

Niby całkowita racja była po stronie Matyldy, a jednak brzydziła się latania na skargę do najwyższego rangą szefa. Może udałoby się załatwić Jagodzińską inaczej, z otwartą przyłbicą. Matylda uśmiechnęła się pod nosem i zerknęła na zgromadzonych. Pilnie słuchali monologu szefowej. Nawet ich miny wyrażały ciche poklask dla jej słów.

O tym, jak menedżerowie odreagowują stres na wyjazdach służbowych

Minęło kilka tygodni od wizyty Matyldy i Hanny w mieszkaniu Igora na warszawskiej Pradze. W tym czasie Hanna rozmawiała z Zalewskim, który wyraził gorliwą chęć spotkania się z nią. Gdy zobaczył na laptopie Hanny fotki prac Igora, żywo się nimi zainteresował, ale niczego nie obiecywał. Sytuacja wymagała przedyskutowania. Głównie z Hanną. Na razie grafik wystaw był wypełniony, ale Zalewski kazał się zgłosić na początku maja. Było to wielce obiecujące, jednak na razie odsunięte w czasie. Matylda mogła więc w pewnym sensie odetchnąć z ulgą.

Tymczasem nastał marzec, a wraz z nim pojawiła się nikła nadzieja na nadejście wiosny. Matylda jechała służbowym samochodem w stronę Jędrzychowa, gdzie miało się odbyć fikcyjne szkolenie – odbyć tylko po to, by Dominika Jagodzińska i jej poplecznicy mogli zadbać o kondycję swych stóp, dłoni i cery. Trudno chyba o większe marnotrawstwo.

Matylda, pogrążona w melancholii, tak nienaturalnej dla jej żywej i władczej natury, mijala szare pola, gdzieniegdzie oprószone jeszcze śniegiem. Łyse drzewa wyglądały, jakby już nigdy nie miały wypuścić liści. Bure niebo wisiało nisko, momentami zdawało stykać się z ziemią. Z drogi, w popłochu przed najeżdżającym samochodem, ulatywały stada wron. Okolica była ohydna. Koszmarne, ozdobne gargamele rodem z lat dziewięćdziesiątych, pokryte spadzistymi dachami we wszystkich kolorach tęczy, graniczyły z nie mniej uroczymi betonowymi bunkrami, wytworami lat osiemdziesiątych, suto zdobionymi tłuczoną ceramiką i fantazyjnymi tralkami. Jakby za sprawą przewrotnej złośliwości, czy może chęci zmanifestowania niezależności i swobody sąsiadujących ze sobą mieszkańców każdy płot, każde ogrodzenie było inne. Roztopiony śnieg ukazywał nieporządek panujący w większości zagród. Porąbane drwa pokryte były łopoczącym brezentem, na podwórkach walały się śmiecie, stare drewniane domy miały podoczepiane betonowe przybudówki, przydrożne sklepy straszyły brzydkimi tablicami, na których umieszczone były kolorowe, krzykliwe napisy, o typografii pozostającej wiele do życzenia, ponieważ dobrana była w sposób zupełnie przypadkowy. Wszystko to zdawało się drwić ze smutnej, starej inteligencji, gnieźdzącej się wraz ze swoimi pamiątkami w szufladkach betonowych klocków.

To, że pieniądze miały takie bezguścia, jak na przykład rodzina Wencłów, było naturalną kolejną rzeczą w takich czasach, w jakim przyszło im żyć. Elity muszą stworzyć się od nowa, młode pieniądze z czasem obrosną ogładą, nabywaną przez kolejne pokolenia. Gorzej tym, którzy z tych pieniędzy zostali ograbieni, a ich majątki zabrała komuna. Dobry gust i kultura przetrwały, ale nie było funduszy, by prowadzić życie, do jakiego byli predestynowani.

Pogrążona w tego typu refleksjach, zajechała pod wcale ładny hotel, malowniczo położony nad niewielkim jeziorem. Zaparkowała auto i z małą walizką ruszyła po brukowanej alejce. Na gołych drzewach krakały wrony. Ośrodek był chyba niedawno zbudowany. Do nowoczesnego budynku hotelowego przylegał kompleks przeszklonych pomieszczeń spa.

Matylda podeszła do recepcji i przedstawiła się, tłumacząc, że jest z GCP. Sympatyczna dziewczyna sprawdziła listę i z miłym uśmiechem oznajmiła, że Matylda miała być w pokoju z panią Kurpisz. Matylda kiwnęła głową, wiedziała o tym już wcześniej.

– Ale – recepcjonistka lustrowała kartkę ze zmarszczonymi brwiami – ale... wygląda na to, że pani Kurpisz już się zameldowała i jest w pokoju z panią Malinowską. A pani Malinowska miała być w pokoju z panią Jagodzińską... Hmm, panie się pozamieniały, chyba jedna z nich nie chciała, hmmm... – recepcjonistka urwała, nie mogąc sobie pozwolić na nietakt, lecz i tak stało się jasne, że Malinowska nie chciała być z Jagodzińską, więc postanowiły wkręcić w to Matyldę.

„O niedoczekanie wasze, lizuski – pomyślała wściekła Matylda. – Tak kochacie szefową, a potajemnie podmieniacie pokoje?”

– Niech pani weźmie pokój z panią Jagodzińską – namawiała niczego nieświadoma recepcjonistka, miło się uśmiechając. W uszach Matyldy brzmiało to mniej więcej tak, jakby miała wziąć pokój z rozjuszonym raptosaurem.

– Dobrze – zrezygnowanym głosem odparła Matylda. Weekend w bliskim kontakcie z Jagodzińską to dopiero gratka...

Nagle otworzyły się drzwi i do hotelu wkroczyła asystentka działu, Marlena, osoba w miarę sympatyczna i nieskazona jeszcze atmosferą panującą w dziale. Od razu podeszła do Matyldy i zawołała:

– Matyldo! Jesteś już z kimś w pokoju? Bo ja miałam być z tą Stelmachową, a wołałabym z tobą.

Bystra recepcjonistka przyklasnęła.

– To świetnie! Panie będą razem w pokoju przeznaczonym dla pani i pani Jagodzińskiej, a panią Jagodzińską przeniesiemy do pani Stelmach. Dobrze?

– Jasne – potwierdziła Matylda smętnie, bo znając już odrobinę historyczne reakcje Jagodzińskiej, wiedziała, że sytuacja ta może oznaczać kłopoty. Jagodzińska miała hopla na punkcie tego, jak jest postrzegana i wciąż węszyła spiski. Wykluczenie jej z czegokolwiek, choćby wspólnego pokoju, mogło oznaczać aferę. Lecz już samo rozważanie tego problemu wydawało się Matyldzie poniżej wszelkiej godności. Był to poziom przedszkolaków. No cóż. Nie ona rozpoczęła te roszady.

Lecz, ku jej irytacji, nie opuszczało jej niejasne poczucie niepokoju. Razem z Marleną zeszły do restauracji i zjadły przygotowaną dla ich grupy kolację. Bar był otwarty, jako że tego dnia nie miało być żadnych zajęć, tylko impreza.

Wypiły już sporo. Powoli zjeżdżała się reszta szacownego grona. Dwóch kolegów przysiadło się do nich, jednym z nich był pupilek Jagodzińskiej, wkurzający mądrą, Marcin Rocki. Według Matyldy, człowiek ten jeszcze nie pokazał prawdziwego oblicza, a był najprawdopodobniej dupkiem najczystszej wody. Udawał pyskatego i wyszczekanego, lecz taktyki te stosował głównie na ludziach, którzy byli na niższych stanowiskach. Ostrze swego języka kierował przeciwko sekretarce i jednej z bardzo młodych, niedoświadczonych dziewcząt – Ani, junior brand menedżerce.

Natomiast w stosunku do Budzisa był małeńki i uniżony. W lot wykonywał wszelkie polecenia tamtego. Bez żenady wypytywał innych o zamiary Budzisa, a potem chodził do niego i przedstawiał mu je jako swoje zamierzenia odnośnie pewnych działań marketingowych. Lecz stary wyga Budzisz natychmiast go rozgryzł i drwił zeń niemiłosiernie, co nie przeszkadzało Rockiemu w dalszych umizgach do tego najważniejszego w firmie dyrektora sprzedaży.

Naturalnie podczas spotkań marketingowych jako pierwszy donosił Jagodzińskiej o wszystkich utarczkach z Budziszem, przedstawiając siebie jako niezłomnego rycerza, walczącego z Budziszem z otwartą przyłbicą. Generalnie budził obrzydzenie, gdziekolwiek się nie znalazł. Miał też tendencję do wysławiania się w tak mądry sposób, by nikt nie zrozumiał, o czym mówi. Była to charakterystyczna cecha działaczy partyjnych minionych czasów. Matylda nie wątpiła, że Rocki musi być synem jakiegoś „czerwonego pająka” i tę kwiecistą, nic nieznaczącą nowomowę wyniósł z ubeckiego domu. A na to była szczególnie wrażliwa.

Atmosfera, z dala od biurowych napięć, nieco zelżała. Wino robiło swoje. Jednak nagle w szeregi marketingowe wkraść się popłoch. Z początku nie wiadomo było, skąd się wziął. Najpierw jedna osoba zerknęła w stronę drzwi i twarz jej stężała – potem szło to niczym wirus od stolika do stolika. Poważnieli i spinali się, niczym gazele na widok nadciągającego lwa. Matylda również obejrzała się, widząc zastygłe twarze Rockiego i Nawrockiego, patrzących gdzieś nad jej głowę. Między stolikami przeciskała się w ich stronę wysoka, tykowata postać, a gorejący wzrok utkwiony miała właśnie w Matyldzie.

Bez przywitania i jakiegokolwiek słowa wstępu, czerwona z wściekłości, nie zadając sobie trudu, by to ukryć, w końcu była tam, kurwa, dyrektorem, wycedziła do Matyldy:

– Daj mi nasze klucze od pokoju.

Matylda patrzyła na nią jak wryta. Marlena była mocno zaniepokojona. Przy stole zapadła cisza. Malinowska i Kurpisz, sprawczynie zamieszania, siedziały cicho jak trusie, udając ogromne zainteresowanie ulotką z listą dostępnych zabiegów oczyszczających.

– Jakie „nasze” klucze? – bohatersko spytała Matylda. – My jesteśmy w pokoju z Marleną...

– Poproszę klucze od naszego pokoju – świsnął głos Jagodzińskiej, nieco niebezpiecznie.

Matylda nie wiedziała, co ma zrobić. Godność podpowiadała, że powinna odpowiedzieć, że w „ich” pokoju są już bagaże Marleny, że Jagodzińska musi się gdzieś przenieść. Lecz była podwładną, a język ciała Jagodzińskiej mówił, że to nie były przelewki. Jagodzińska chciała klucz od pokoju Matyldy, i to chciała go zaraz. Ona tu rządziła, za jej plecami odbyły się niepokojące przetasowania, a winna temu była Matylda, ta nieznośna gówniara! O, gdyby tak można ją było wywalić na zbity pysk! Przeklęte korporacje! Nie tak łatwo kogoś się pozbyć bez odpowiednich argumentów! Powód nigdy nie mógł być błahy.

Matylda, czerwona z upokorzenia, wyciągnęła rękę z kluczami i położyła na stole. Jagodzińska zgarnęła je stamtąd, potrącając przy tym dwa kieliszki i wymaszerowała z sali jadalnej, trzaskając drzwiami. Cisza trwała jeszcze kilka minut, po czym usłyszeli przerażony głos Marleny:

– I gdzie ja będę teraz spać?

Rocki przerwał pełną napięcia ciszę, kwitując zaistniałą sytuację następującą obserwacją:

– Gdzie ty będziesz spać, to jedno. Ale gdzie Roliczówna znajdzie nową pracę? Oto pilniejsza kwestia.

Matylda, mimo złowieszczych przypuszczeń „kolegi”, postanowiła nie przejmować się aż tak bardzo. Zresztą, za co mogłaby wywalić ją nieźrównoważona Jagodzińska? Już widziała ją u GM-a, donoszącą, że Matylda nie chciała z nią być w pokoju... Śmiech na sali. Lecz między postanowieniem a realizacją daleka droga. Niemiłe poczucie niepokoju lokalizowało się gdzieś w okolicy żołądka.

Ta przekłeta Jagodzińska miała chyba gigantyczne problemy ze sobą. Klasyczny czterdziestoparoletni babochłop, który nie ma szans na „ułożenie sobie życia” i wyżywa się na podwładnych. Była to wprawdzie opinia w stylu babci Polci, a Matylda, jako zdeklarowana singielka, nigdy by nie wypowiedziała jej na głos, lecz nic nie mogła poradzić na to, że taka pewnie była najszczęsza prawda. Czyżby starsi ludzie, bogatsi o doświadczenie życiowe, mieli jednak rację we wszystkim?

A więc tak będzie wyglądała i ona, kiedy nie uda jej się na czas znaleźć faceta i dochrapie się wyższego stanowiska. A stanie się tak na pewno, bo jeśli nie założy własnej „rodziny” (ależ to brzmiało!), cóż innego będzie miała do roboty, jak piąć się po szczeblach kariery. Ależ nie! Nigdy, przenigdy nie będzie niewolnikiem takiego myślenia. Choćby cały świat był ślepy, zaprogramowany jednotorowo, to ona nie da się złamać. Musi być w życiu coś więcej niż wybór pomiędzy rolą uszarpanej matki Polki a przysłowiowej korporacyjnej suki, pozornie niezależnej, a tak naprawdę chcącej zemścić się na tych, którym się „udało” rozmnożyć. Humorzastej. Targanej hormonami, które nie mogły znaleźć ujęcia.

Humorzastość Jagodzińskiej była nieznośna, lecz jeszcze więcej szkód przysparzało poczucie zagrożenia i niepewność swych racji. Bała się, gdy ktoś wchodził z nią w polemikę, uważała, że jest za mało twarda. Przyjęła więc taktykę zastraszania, by nikt nigdy nie śmiał podważyć jej zdania. Brak możliwości przedyskutowania czegokolwiek dawał już fatalne rezultaty sprzedażowe!

Matylda ciekawa była, co Jagodzińska zrobi, gdy zobaczy, że oba łóżka są zajęte? Czy rzuci na podłogę bagaże jednej z nich? Ona była naprawdę nieobliczalna, gotowa to zrobić! Matylda zobojętniała na wszystko, jako że miała dość własnych problemów, postanowiła obserwować rozszałalą szefową i działać w miarę rozsądnie, niezależnie, co się będzie działo.

Minęły dwie godziny od zdarzenia, towarzystwo zdołało ochłonąć, gdy nagle, niczym zły duch, na sali zjawiała się Jagodzińska, budząc lekki popłoch w szeregach marketingowych. Natychmiast przyskoczył do niej Rocki, dolewając wina i plotąc trzy po trzy, jakby chciał ugłaskać rozszałalego lwa. Jagodzińska lubiła Rockiego i bez żenady odbierała co cesarskie.

Nie dziwiło jej zupełnie, że wdzięczy się do niej. Czy wydawało jej się, że jest na tyle atrakcyjna, by kilkanaście lat młodszy chłopak mógł się nią zainteresować? Czy też z premedytacją wykorzystywała swą pozycję? Tak czy owak, jej zły humor minął. Nabrała wigoru. Wychylała ogromne ilości wina, wybierając najdroższe gatunki. Czyżby czuła się tak pewnie, czy też myślała, że jest już źle i jej dni w GCP są policzone?... Tak czy inaczej, nie pierwszy raz na

wyjazdach zamieniała się w szaloną imprezowniczkę.

W pewnym momencie zapragnęła zażyć sportu. Dосkoczyła do piłkarzyków, pociągając za sobą Rockiego, bezwolnego niczym kukłę, i zaczęła zmuszać kolejne osoby, by zagrały przeciwko nim. Wraz z ilością wypitego alkoholu wyłaziły z niej coraz bardziej zwierzęce instynkty. Szalała przy piłkarzykach. Szarpała uchwytami tak mocno, że podrywała stół do góry. Gdy trafiła do bramki przeciwnika, krzyczała głośno jak pijany kibic warszawskiej Legii. Tak właśnie odreagowywała nagromadzony stres.

Jej głośne zachowanie zaczęło budzić powszechne zdumienie. Kelnerzy spoglądali na ich grupę pytająco, lecz nikt nie odważył się zwrócić uwagi wysokiej, rozszalałej babie. Pokonała wszystkich po kolei, a trzeba powiedzieć, że grała naprawdę brutalnie. Gdy nikt już nie dał się zmusić do następnej rozgrywki, Jagodzińska zaproponowała Rockiemu, który jej partnerował, oblanie zwycięstwa butelką najdroższego szampana.

Mieli go wypić tylko we dwoje. Rocki, który miał dość słabą głowę, zaczął się wymigiwać, czując, że kroi się coś niedobrego. Lecz gigantyczna modliszka była nie do powstrzymania. Uwiesiła mu się na szyi i bełkotała coś pijana. Rockiemu zaparowały okulary, rozpaczliwie szukał pomocy wśród kolegów. Lecz Piotr, do którego autorytetu chciał odwołać się Rocki, by zyskać na czasie, jakoby wyjaśniając żartobliwy spór między nim a Jagodzińską, ulotnił się jak zmyty.

Rocki rozglądał się za kolegą w popłochu, okulary przekrzywiły mu się na nosie w groteskowy sposób. To Jagodzińska popychała je swoją głową, szepcząc mu coś do ucha. Rocki wił się jak piskorz, lecz wyglądało, że za słabo oponuje i że jest na straconej pozycji. Matylda z niesmakiem odwróciła głowę. Rocki był szują i dupkiem, ale nawet on nie zasługiwał na taki los.

Matylda poszła do baru napić się wina. Gdy obejrzała się przez ramię, by jeszcze raz spojrzeć na szamoczącą się parę, już ich nie dostrzegła. A więc Jagodzińska gdzieś go wywlokła. Matylda wychyliła kieliszek wina i otrząsnęła się. Cały czas oczyma wyobraźni widziała Jagodzińską rzucającą się przy stole do piłkarzyków. Musiała mieć gigantyczny, niespożyty temperament. Matylda potrząsnęła przecząco głową, jakby chciała odpędzić koszmarną wizję. Potem pomyślała o swojej sytuacji i wcale nie poprawiła sobie humoru.

Minęła północ. Matylda, mocno wstawiona, poszła do swojego pokoju, niepewna co tam zastanie. Po drodze wzięła z recepcji drugą parę kluczy. Recepcjonistka wręczyła je z dziwnym uśmiechem, lecz Matylda nie miała już ochoty wypytywać, jak rozwiązali problem Jagodzińskiej. Chciała po prostu położyć głowę na poduszce i zasnąć.

Bagaze Marleny zniknęły z pokoju. Zamiast nich zobaczyła torbę Jagodzińskiej i jej laptop, leżący na łóżku pod oknem. Rzeczy Matyldy pozostały nietknięte. Na szczęście samej Jagodzińskiej nie było w pokoju. A więc nadal dręczyła Rockiego. Matylda miała egoistyczną nadzieję, że idylla potrwa do rana i nie będzie jej dane spędzić ani chwili w towarzystwie koszmarnej szefowej. Wzięła prysznic, przezornie zamykając drzwi od łazienki na klucz. Potem, przebrana w koszulę nocną, rzuciła się w miękką pościel i zapadła w głęboki sen.

Zbudził ją dziwny dźwięk, jakby charczenie i bulgotanie. Zaniepokojona i zdezorientowana, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Po paru sekundach przypomniała sobie wszystko. Charczące odgłosy dobiegały z łazienki. Ktoś tam strasznie wymiotował. Matylda poderwała się z bijącym sercem i podbiegła do drzwi łazienki. Zajrzała. Jagodzińska! Obejmowała muszlę sedesową niczym w modlitwie. Większe kawałki pożywienia dudniły, objijając się o ceramikę, a potem, głośno pluskając, lądowały w wodzie.

Matylda stała pod drzwiami, niepewna i trochę przerażona. Minęło kilka minut, w czasie których zastanawiała się, czy jako dobra samarytanka nie powinna wejść i spróbować pomóc. Jagodzińska dostała jakichś konwulsji. Gdy zdawało się, że nie może mieć już absolutnie nic w żołądku, wyrzucała z siebie wciąż nowe fontanny w kolorze bordo. Matylda miała szczerą nadzieję, że było to czerwone wino!

Cała łazienka była zapaskudzona, Matylda bała się tam wejść, by się nie poślizgnąć. Jagodzińska leżała półprzytomna. Matylda rozważała wezwanie pomocy medycznej, lecz odrzuciła ten pomysł jako zbyt drastyczny. Wtedy nie obyłyby się bez konsekwencji. Uchyliła okno, zaduch

był nie do zniesienia. W końcu, gdy zdecydowana była interweniować, drzwi od łazienki otworzyły się.

Jagodzińska, przypominająca bardziej zombi niż istotę ludzką, chwiejnym krokiem klona z „Gwiezdných Wojen” wydostała się z łazienki i, potykając o własną torbę, padła na łóżko jak długa. Gdy Matylda upewniła się, że Jagodzińska oddycha w miarę normalnie, szybko zabrała bagaże i zeszła do recepcji, by prosić o osobny pokój. Na własny koszt.

Następny dzień minął wszystkim bardzo spokojnie, bo Jagodzińska nie opuściła pokoju do późnego wieczora. Po długich naradach świta Jagodzińskiej uradziła, że ktoś musi „tam” zajrzeć. Wypowowali najodważniejszą i najbardziej zżytą z Jagodzińską Alicję Kurpisz. Ta, mimo że pracowała kiedyś z Jagodzińską w poprzedniej firmie, była pełna wątpliwości co do słuszności decyzji. W końcu jednak przemogła się i poszła z butelką wody mineralnej oraz filiżanką rosółu z obiadu.

Pod nieobecność najwierniejszej drużyny reszcie popleczników nieco rozwiązały się języki.

– Taka sama akcja była w Wiedniu, na targach urody – z wypiekami na twarzy wyszeptła korpulentna jejmość, przecierając bluzką okulary.

– Też się tak uchlała? – spytał, pozornie obojętnym tonem, ponury młody mężczyzna, zajmujący się produktami dla dzieci.

– Dajcie spokój... – zachichotała Stelmachowa, cofając się o krok i rozglądając na boki.

– Słuchajcie, każdy ma prawo się napić – wystąpiła w obronie szefowej, lecz tonem nieco ironicznym, Malinowska. Jagodzińska zatrudniła ją jako brand menedżerkę do samoopalaczy. Powiedziawszy to, rozejrzała się badawczym wzrokiem po twarzach kolegów.

– Hej, dajcie Jagodzińskiej spokój – to Rocki odezwał się z boku. Do tej pory niewiele mówił. Wszyscy spojrzeli na niego zaciekawionymi, błyszczącymi oczami. Na twarzach zaigrały uśmiešky. – Dziewczyna jest samotna, głęboko zestresowana! Musi jakoś odreagować! Zarząd w Paryżu na nią naciska, GM też nie daje jej wytchnąć, cała firma jej nie lubi! Wczoraj wszystko mi opowiadała – głos lekko mu drgnął, lecz ciągnął dalej: – Ma dziewczyna pod górę, ale nas zawsze traktowała fair! – rzucił wyzywającym tonem.

Nikt nie śmiał zaprzeczać tej oczywistości, wygłoszonej w dodatku tak żarliwie. Wszyscy pokiwali głowami, po czym rozeszli się na poumawiane wcześniej zabiegi kosmetyczne. Nikt już więcej nie powrócił do tematu. Następny dzień nie przyniósł więcej niespodzianek, albowiem szefowa była osowiała i milcząca. Dla Matyldy wydawała się niemal uprzejma. Wszyscy, ile wlezie, korzystali więc z dobrodziejstw luksusowego spa.

W niedzielę wieczorem Matylda wróciła do domu. Wynajmowała – przy ulicy Mostowej, na warszawskiej Starówce – poddasze z widokiem na Wisłę. Stała nad garnkiem pełnym wrzątku i sypała do niego makaron. Zamierzała zjeść kolację i wypić lampkę wina w zupełnej samotności, by móc przemyśleć swoją sytuację.

Nie działa się najlepiej, ale nie zamierzała się poddawać. Jeśli chodzi o pracę, była spokojna. Już wiedziała, co ma robić. Przerwie znowu milczenia, będzie gwoździem do trumny Jagodzińskiej. Nie da już dłużej sobą pomiatać, nie pozwoli się zastraszać. Jeśli wystąpi otwarcie, na pewno te śmierdzące tchórze również ją poprą. Zrobi to czym prędzej. Albo polegnie, albo zwycięży. Świetnie! Natychmiast poczuła się znacznie lepiej. Jej natura nie mogła dłużej znieść tego stanu rzeczy! To nie było w jej stylu.

Podniosła do ust kieliszek z czerwonym winem. A więc cała ta czereda od dawna wiedziała, że Jagodzińska ma problemy z alkoholem. Czy nie można by wykorzystać tego argumentu? Co zrobi zarząd, jeśli się dowie, że pani dyrektor marketingu codziennie osusza kilka butelek wina i molestuje pracowników?

Wino w kieliszku miało jasną, delikatną barwę, sprawiało wrażenie cienkiego, jednak był to po prostu Pinot Noir. Matyldy ulubiony.

Czy zniżyć się do takich argumentów? Czy to było uczciwe? To Rocki powinien zawalczyć o swoje prawa... A jednak właśnie takie argumenty dawały pełen obraz szefowej jako niepoczytalnego człowieka. Szalonego, zakompleksionego, podejrzliwego, nienawidzącego ludzi niezależnych, pragnącego stłamsić wrogów, podporządkować sobie innych strachem...

Ach, żeby z Igozem móc poradzić sobie, używając jakiejś strategii! Czemuż on nie widzi, jak doskonale do siebie pasują! Czemu nie umie ocenić jej, Matyldy, należycie! Ona akceptuje jego dziwny styl życia bez zastrzeżeń! Gdzie znajdzie lepszą od niej? Równie zaradną, z charakterem, wysportowaną, samodzielną! Może to niezbyt skromne, ale szczerą prawdą. Matylda nie była zakłamana.

Mało było takich kobiet jak ona! Mało która umiałaby zwyciężyć w gonitwie, wyjechać sama na wyjazd nurkowy i zejść na mieszance na sześćdziesiąt metrów! Nie bała się niczego i nikogo! Potrafiła mieć własne zdanie, choćby inni płynęli z prądem. Czego jej brakowało, by mógł kochać ją tak jak ona jego? Co jeszcze miała mu udowodnić, by zrobić na nim należyte wrażenie?

Wiedział, że nie wisiaby na nim jak bluszcz. Wiedział, że miała swoje zainteresowania! A może tak właśnie wygląda związek z artystą? Mięwa wzloty i upadki? W końcu pierwsza w jego sercu zawsze była sztuka. Trzeba umieć się z tym pogodzić. Nie można chyba wymagać, by tak zdolny człowiek w chwili natchnienia pamiętał o odpowiedzeniu na sms. Nie, to naprawdę śmieszne, oczekiwać czegoś takiego od niego, a potem uważać, że jest się tolerancyjnym, gotowym na nietypowy związek!

To jednak dobrze, że Hanna pomoże mu z wystawą. Niech Igor się przekona, jak bardzo Matylda jest tolerancyjna, ile swobody mu zostawia. Mimo że Hanna jest piękną kobietą i teoretycznie można by być zazdrosnym o ich nieuniknione w tej sytuacji kontakty, a jednak proszę: Matylda pozostawia mu swobodę. Ufa mu. Prędzej czy później będą musieli spotkać się sami, gdy Zalewski zechce się wreszcie z Igozem zobaczyć! Przecież Matylda nie będzie lecieć tam za nimi. Nie należała do tego typu kobiet, o nie! Choć pewnie Polcia doradzałyby inaczej! I to właśnie powinno być dla niego kolejnym dowodem na to, że nie popełniłby błędu, wiążąc się z nią...

Siedziała przy kuchennym stole i patrzyła w okno nieprzytomnym wzrokiem, ogryzając paznokcie. Opróżniła butelkę wina, w mieszkaniu zrobiło się zupełnie ciemno. W mroku, po drugiej stronie rzeki widniały podświetlone wieże Świętego Floriana. Polcia mówiła, że jak Niemcy bombardowali Warszawę, od razu pieprzeli w jedną z nich.

Paweł nabiera podejrzeń

Wiosna nadeszła bez ostrzeżenia, gdy wszyscy już stracili nadzieję na jej przyjście. Pewnego kwietniowego dnia, kiedy Paweł jechał z sądu do kancelarii, zrobiło się wręcz gorąco. Na światłach szybko zdjął marynarkę, nerwowo wyszarpując ręce z rękawów. Jakiś rozsierdzony taksówkarz zatrąbił na niego, więc Paweł odwrócił się i posłał mu stek wyzwisk, pieczołowicie układając usta, aby tamten na pewno zrozumiał.

Rzucił marynarkę na tylne siedzenie i teraz denerwował się tym. Była wprawdzie pierwszej jakości, ale niechybnie trochę się pogniecie. Piekielne słońce niemiłosiernie operowało przez szybę, Paweł niecierpliwie pogmerał przy pokrętłach, zwiększając nawiew. Nagle, wiedziony dziwnym instynktem, zapragnął poczuć wiosenne powietrze nosem. Dziwiąc się własnej frywolności, uchylił szybę. Zaleciał go znajomy smród spalin, lecz niesiony innym, ożywczym powietrzem. Usłyszał odgłosy nadjeżdżającego tramwaju i jakby weselsze odgłosy ruchu ulicznego. Ludzie rozpinali kurtki, niektórym nawet zdarzało się uśmiechać. Tłumy przetaczały się na przejściu dla pieszych przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską.

W końcu więc nadeszła wiosna. Spędzi ją, naturalnie, na intensywnej pracy, cóż innego miałby robić. Hanna ostatnio całe dni ślęczała przy komputerze albo czytała na kanapie w gabinecie. Wiedli praktycznie oddzielne życie, tyle że pod jednym dachem. Niepytana, prawie nigdy nie zwracała się do niego pierwsza. Ciekaw był, ile coś takiego mogło potrwać? Może wraz z końcem piekielnej zimy odejdą ich ciche dni?

Nagle gorąco zapragnął wyjść na miasto i upić się do nieprzytomności. Albo może poznać jakąś kobietę? Poczuć się wreszcie jak normalny mężczyzna. Zwilżył językiem grube wargi i przełknął ślinę. Wziął do ręki telefon i wybrał numer Mateusza.

– Paweł! – ucieszył się Mati. – Dobrze, że dzwonisz... Słuchaj, zdobyłem informacje, o które mnie prosiłeś! Niezłe kwiatki tam wyszły...

– Mówisz o Budexprimie? – Paweł zastrzygł uszami. – Nic więcej nie mów, pogadamy w cztery oczy...

– Nadal twoje obsesje?

– Człowieku, to nie są żarty – warknął Paweł.

– Dobra, dobra, wyluzuj odrobinę – zaśmiał się Mati. – Słuchaj, spotkajmy się wieczorkiem, to pogadamy.

– Świetnie. Może sushi?

– W „Kioto”?

– Ostatnio się posrałem, mieli coś nieświeżego.

– Ooo, to nie. Może klasycznie, do „Mirai”?

– Zgoda. Dwudziesta?

– Dwudziesta pierwsza. Wcześniej mam siłkę.

– Jeszcze lepiej.

Punkt dwudziesta pierwsza spotkali się pod Teatrem Wielkim i spacerkiem ruszyli w stronę „Mirai”. Powiał ciepły wietrzyk, powietrze było ożywcze, wieczór tchnął obietnicą niespodzianki... Mateusz, zadowolony, na siłowni dał sobie porządną wycisk, więc wreszcie przestał myśleć o cholernej robocie.

Sprawy w Telecommerce przybrały niekorzystny obrót, gdyż jego poprzedniemu szefowi skończył się kontrakt i na jego miejsce zjechał kompletny kretyn. Jean-Paul był typem zarozumiałca, który zamierzał zrewolucjonizować wschodni *cluster*. Niewiele jeszcze rozumiał z rynku polskiego, lecz był absolutnie przekonany, że ma do czynienia z debilami. Zanim poznał realia rynku, podjął szereg kontrowersyjnych decyzji, bazując na swych doświadczeniach z Hongkongu, gdzie był dyrektorem marketingu w gigantycznej firmie telekomunikacyjnej. Oczywiście było, że on i Mati nie przypadną sobie do gustu. Obaj mieli zbyt mocno rozwinięty instynkt przywódczy. Samo to nie przysparzało jeszcze tak wielu problemów. Mati był przyzwyczajony do ustawicznych utarczek, z Pierre’em również często się spierali. Problemem Matiego od kilku miesięcy była jego podwładna, Paulina. Od kiedy owego feralnego jesiennego

wieczoru Mati bzyknął ją po pijaku, dziewczyna nie dawała mu spokoju. Najpierw przez kilka tygodni wdzięczyła się. Proponowała spotkania, na wyjazdach usiłowała ponownie „wskoczyć mu do łóżka”. Mati robił uniki. Wykręcał się jak mógł. Raz czy dwa zdarzyło mu się ulec, lecz były to doprawdy sporadyczne wypadki. W każdym razie dziewczyna ubzduriała sobie, że coś ich łączy. Zaczęła robić się namolna. Mati miał dosyć.

Po świętach sytuacja wymknęła się spod kontroli. Paulinka zaczęła zachowywać się histerycznie. Wydzwaniała na jego komórkę w weekendy, zrobiła się złośliwa, przycinała Matiemu publicznie, przekraczając nieraz granice tego, co przystoi podwładnej w stosunku do szefa. Ludzie zaczęli o nich gadać.

Gdy w lutym przyjechał nowy szef, Paulinka od razu przypuściła na niego szturm. Czy sypiali razem, tego nie wiedział nikt. Różnie mówiono. Jedno było pewne: Paulinka często przesiadywała w jego gabinecie. Gdy wychodziła, jej świdrujące oczka świeciły triumfalnie i popatrywała na Matiego znacząco. Wszyscy uważali, że Paulinka donosiła. Ludzie przestali się do niej odzywać. Czowała się zaszczuta, więc tym bardziej chciała wszystkim dokopać.

A najbardziej, oczywiście, Matiemu.

Paweł i Mati przeszli na drugą stronę Moliera, Paweł popchnął przeszkłone drzwi i przepuścił brata przodem. Nie było ani jednego gościa. Weszli i usiedli przy jasno oświetlonym barze z wybielanego sosnowego drewna. Za barem stał kucharz i przygotowywał fikuśne maki. Skupiony na zwijaniu wodorostów, nie zauważył, jak usiedli.

Wzdłuż baru pływały łódeczki z uprzednio zrobionym sushi, lecz ani Mati, ani Paweł nie mieli ochoty na pocerniałego tuńczyka czy wysuszoną krewetkę. Czekali cierpliwie, aż *sushi maker* skończy, by zamówić bardziej wysublimowane, specjalnie dla nich przygotowane specjały.

Jasno oświetlone minimalistyczne wnętrze nie sprzyjało poufnej rozmowie. Siedzieli więc cicho, słuchając brzdąkającej muzyki i obserwując skupionego na pracy kucharza. Czas mijał, a nikt ich nie obsługiwał. W Pawle narastała irytacja, lecz hamował się ze względu na Matiego. Brat nie znosił scen.

Czekali już dobre dziesięć minut i nikt nie przyniósł im nawet szklanki wody, gdy nagle drzwi restauracji otworzyły się hałaśliwie i do środka wpadło trzech przedstawicieli tak zwanej złotej młodzieży. Odpicowani w markowe garniturki z identycznie wyżełowanymi włosami i zarzuconymi wokół szyj szalami, wtargnęli do środka, śmiejąc się i poklepując po plecach, nie mówiąc nikomu „dzień dobry”. Wszyscy wystylizowani według najnowszej mody, dziwnie do siebie podobni, choć z pewnością niespokrewnieni, robili wokół siebie tyle zamieszania, ile się dało.

Natychmiast z zaplecza wybiegła młoda kelnerka. Minęła siedzących cicho Pawła i Matiego i rzuciła się obsługiwać tamtych. Również kucharz ruszył w ich kierunku, podsuwając właśnie ukończone, apetycznie wyglądające maki i służalczo zapytując, na co mają ochotę. Paweł zagotował się. Najwyraźniej on i Mati, ubrani w zwykłe podkoszulki, nie byli w stanie wzniecić takiego zainteresowania jak te wymuskane palanty. Taka zniewaga dotknęła Pawła do żywego.

– O co chodzi? – grzmiącym głosem odezwał się Paweł. – Przecież my czekamy od piętnastu minut!

Wszyscy spojrzeli w ich kierunku. Paweł, poczerwieniały na twarzy, aż uniósł się na krześle. Japiszony zerkały na siebie z rozbawieniem i zażenowaniem. Kelnerka, zamiast rzucić się i próbować nadrobić złe wrażenia, nadal tkwiła u boku yuppies, sama nie wiedząc, jak powinna się zachować. Dopiero gdy kucharz szybko podszedł do Mateusza i Pawła, przeprasząc i pytając, na co mają ochotę, także ona się ruszyła, kładąc przed nimi kartę win.

– Nie będziemy tu nic jedli, Mateusz – grzmiał Paweł, prostując się do swej pełnej wysokości. Mati, choć był to jego ulubiony lokal, poderwał się i zasunął bluzę.

– Już szykuję panom coś specjalnego, na koszt firmy, jako rekompensatę, że czekaliście – kucharz był lekko zaniepokojony ich reakcją. A nóż widelec znali kogoś ważnego? A jeśli poskarżą się szefostwu?

– Nie zjemy tu, pójdziemy gdzie indziej. – Paweł zdecydowanym ruchem odsunął menu w stronę kucharza. Zapadła cisza. Jeden z młodzieniaszków głośno parsknął śmiechem, lecz

Paweł nawet na niego nie spojrział. Wstał i ruszył ku wyjściu, za nim szedł brat. Nagle zatrzymał się przed drzwiami, zawrócił do baru i patrząc kucharzowi prosto w oczy, rzekł cicho, groźnym, lekko ochrypłym głosem:

– I niech pan pamięta. Nie wszystko złoto, co się świeci.

Ciepłe, łagodne powietrze owiewało ich rozpalone twarze, gdy mijali „Jezioro Łabędzie”, szkołę baletową, a następnie „Magellana” i sklep z żyrandolami z Murano. Przecięli ulicę i szli tuż pod owalnym budynkiem Normana Fostera, oglądając witryny sklepów, gdy Mati wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak serdecznie, że wywołał uśmiech nawet na zaciętej twarzy brata.

Był to uśmiech niepodobny do żadnego innego. Kąciki warg zadrgały mu, lecz twarz pozostała niewzruszona niczym stężała maska. Jednak obaj znacznie się rozluźnili. W pełnym porozumieniu maszerowali zgodnie najpierw Trębacką, potem Krakowskim, aż dotarli do Nowego Świata. Na ulicy było sporo ludzi, najwyraźniej wywabił ich z domów ten pierwszy ciepły wieczór.

– To czego się dowiedziałeś w sprawie Invest Nobiscum? – Paweł ściszył głos i jednocześnie zaczął obszukiwać kieszenie spodni. Zachciało mu się palić, chyba wziął z domu cygaretki? Były. Wyczuł je w tylnej kieszeni.

– Wejdźmy tutaj – zaproponował Mati. – Mają dobre żarcie i jest niedrogo...

– Tu? Tu przychodzą same pedały!

– Popierdoliło cię, Paweł?

– Nie chcę, żeby nas wzięli za dwóch pedałów! – burczał Paweł do pleców brata, ale Mati już wchodził do środka. Wypatrzył wolny stolik, w pewnym oddaleniu od innych. Usiedli. Wewnątrz było kameralnie i nastrojowo, przy barze tkwiło mnóstwo dziwołagów. Trzeba było przyznać, że lokal urządzono ze smakiem, lecz Pawłowi wydał on się zbyt ostentacyjny. Zbyt wiele tu było pluszu, czerwieni, a do tego te marmurowe popiersia! Te złocone ramy!

Szybko doskoczył do nich szczupły, wymuskany blondyn, najpewniej pedał, przyjaźnie pytając, czego się napiją. Paweł patrzył na tego dziwnego typu czujnie, nie spuszczać z niego wzroku. Gdy wreszcie odszedł, Paweł uspokoił się i podjął:

– Mów wreszcie. Wiarygodni są?

– Najprawdopodobniej nie. – Mati wziął od Pawła cygaretkę i wałkował ją palcami. – Wszyscy udziałowcy są off-shore'ami.

– Raje podatkowe – mruknął Paweł.

– Tak. Wśród udziałowców są spółki utworzone na Kajmanach, na Cyprze, na Seszelach. Jest też fundusz inwestycyjny z Luksemburga oraz fundacja z Antyli Holenderskich.

Paweł gwizdnął, Mati ciągnął dalej:

– Powiem ci więcej, lecz to informacja poufna i nie będę ci mówił, z jakiego źródła pochodzi. Wiedz tylko, że jest sprawdzona i pewna. Wiadomym jest, że wszystkie te podmioty kontrolowane są przez słynną grupę krętów z Gdańska, którym nikt nigdy niczego nie udowodnił. Są biznesmenami, stworzyli potężną strukturę podmiotów ulokowanych na całym świecie, podmiotów offshore'owych, kontrolują je przez inne podmioty tak, aby ich nazwiska nie figurowały w żadnych rejestrach sądowych, a pieniądze uzyskiwane z transakcji krążą po bankach na całym świecie, lokowane są na giełdach, w funduszach inwestycyjnych, w każdym razie wszystko zrobione jest tak, aby wszelki ślad po tych pieniądzach zaginął.

– Jasne – Paweł oparł się o stół i w zamyśleniu obracał w dłoni ulotkę reklamującą wiosenne drinki.

– Powiesz mi, po co ci ta wiedza? – żywa mimika Matiego zdradzała zaciekawienie i rozbawienie.

– Robert ich naraił. Chciał, by mój klient, który zajmuje się budową dużych inwestycji, jak najszybciej wykupił od nich spółkę. Strasznie był na to nagrany i parł do podpisania jak najszybciej... Ręczył za nich, ponoć ojciec mu ich przysłał...

– Stary Marian, czerwony baron, nie wiedziałby, co to za goście? *No way*, nie wierzę – Mati jednym haustem opróżnił szklankę burbona.

– Co, chyba nie myślisz, że specjalnie ich na mnie napuścił? Jeśli mają jakieś

nieprawidłowości, a można założyć z dużym prawdopodobieństwem, że tak właśnie jest, a ja zagwarantowałbym bezpieczeństwo transakcji, to nieźle bym beknął. – Paweł obracał w palcach cygaretkę.

– To co się tak palił do realizacji tego?

– Nie wiem – Paweł wzruszył ramionami. – Może zwyczajnie nie wiedział. Najmądrzejszy to on nie jest, ale wobec mnie zawsze był uczciwy.

Mati milczał chwilę, jakby się wahał. W końcu rzekł z namysłem:

– Mówisz, że jest taki uczciwy, a wiesz, jak zawsze się ślini na widok twojej żony...

Chociaż faktem jest, że sam ma koszmarną, można zrozumieć...

– On się ślini na widok każdej ładnej kobiety, w tym akurat nie widzę nic nadzwyczajnego. Zresztą, kto nie zwróciłby uwagi na Hannę.

– Co racja, to racja – Mati pokiwał głową. Chwilę milczeli, popijając drinki i rozglądając się po sali. W końcu Mati znów podjął temat:

– A może wziął od drugiej strony? Dali mu grubą działkę, to za wszelką cenę chciał dopiąć sprawę... – powiedziawszy to, szeroko otworzył oczy i zapatrzył się w jakiś punkt nad barem.

– Mateo, daj spokój! – Paweł zmarszczył brwi. – Ja też jestem ostrożny, wiesz o tym. Może Zagajewicz nie jest Einsteinem...

– O, z pewnością nie jest. – Mati wychylił kolejną szklankę.

– Ale – z naciskiem podjął Paweł – zawsze był w stosunku do mnie bardzo fair. Ojciec nieraz spuszczał mu grubych klientów, mógł sam ich obsłużyć, ale zawsze się dzieliliśmy fifty-fifty. Nieraz miał okazję mnie wyrolować, a jednak nigdy tego nie zrobił. Po co miałby teraz? Na czymś to wszystko musi się opierać, nie sądzisz? Jak jemu też zacząć patrzeć na ręce, to oszaleję. Rozumiesz?

– Może jednak powinienes – zakończył Mateusz z uporem.

– Dobra, *chwatit*. – Paweł wlał do gardła resztkę zawartości szklanki. – Dzięki, że to sprawdziłeś. Naturalnie, tak jak prosiłeś, zachowam to dla siebie. A Robertowi powiem, że mój klient nie ma teraz chęci na inwestycje. I koniec tematu.

Chwilę milczeli, paląc cygaretki.

– A co tam z tym, że tak powiem, „biznesem” Piotrusia?

– Już dawno padł. Nie słyszałeś? Lepiej nie pytaj o to ojca. Jest na niego megawkurwiony. Utopił w tym złotym interesie kupę kasy...

– To wraca do Warszawy?

– Jeszcze nie. Siedzi w tym Wrocku. Najwyraźniej nie wyczerpał jeszcze wszystkich rezerw...

– Niezły z niego model. Ciekawe, na co się teraz przeczuci...

– Miejmy nadzieję, że zabierze się za robienie stron internetowych, w to nie trzeba inwestować. Spróbuję mu to podsunąć...

Leniwie obserwowali, jak sąsiedni stół zajmują dwie dziewczyny. Jedna z nich była bardzo ładna. Miała bladą cerę, długie jasnobrązowe włosy, a na nosie liczne piegi. Założyła nogę na nogę. Spod cienkiej jedwabnej spódniczki wystawała tiulowa halka, na rękach miała koronkowe rękawiczki. Gdy kelner podawał jej ogień, zamknęła mocno umalowane oczy, a potem na moment podniosła i zmierzyła krótkim, intensywnym spojrzeniem zagapionego na nią Mateusza.

– Paweł – mruknął Mati znacząco.

– Uhm – potwierdził Paweł. Rzeczywiście była ładna, ale, po pierwsze, zainteresował ją Mateusz. Po drugie, jej koleżanka nie wzbudzała już takiego zachwyty, więc Paweł nie miał żadnego interesu, by zaczynać znajomość. Po trzecie, gdy wsłuchał się w siebie, doszedł do wniosku, że nie ma najmniejszej ochoty trudzić się rozmową z próżnymi, zimnymi manekinami, które z pewnością nie miały wiele do powiedzenia. Im dłużej o tym myślał, tym większym przerażeniem napawał go mroczny świat nocnych klubów, gdzie miałby teoretycznie szukać nowych doznań. Za żadne skarby świata nie chciałby się teraz pałętać po śmierdzących dymem papierosowym lokalach i zawierać przygodne znajomości! Jedyne, czego naprawdę pragnął, to znaleźć się w swoim przytulnym mieszkaniu, u boku żony, z dala od tego zgiełku i smrodu. Nie

chciał nikogo poznawać, nie zamierzał zawierać przygodnych znajomości. O proszę, a ten łajza jego brat już prosi te dwie wypacykowane lafiryndy do ich stolika. Przenosi nawet krzesła, zamawia im drinki.

Paweł z trudem zapanował nad wszechogarniającym pragnieniem oddalenia się do toalety, a potem zniknięcia po angielsku. W następnej chwili już przedstawiał się tej brzydszej, gdyż naturalnie ładniejsza była zaanektowana przez Mateiego.

– Kocham tę knajpę. – Brzydsza wydmuchnęła w stronę Pawła kłęb śmierdzącego dymu. Z bliska prezentowała się jeszcze gorzej... – Jest jak nie w Polsce!

– Nie rozumiem? – wycedził Paweł, po czym poczuł silne kopnięcie pod stołem. Znak ostrzegawczy od Mateusza. Dobrze, zamknie gębę na kłódkę. Nie piśnie już ani słówka.

– Nie o to chodzi, że nie jestem, ten, no, patriotką! Wiesz, no, rozumiesz – perorowała zajadle w stronę Pawła, który nie mógł oderwać wzroku od jej gigantycznych, sztucznie powiększonych ust. Wyglądała, jakby wsunęła usta do ula pełnego rozjuszonych pszczoł. – Ja na pewien sposób kocham Polskę, ale tu się nie da normalnie żyć! Ciągłe zimno, ludzie ponurzy! Nietolerancja! A już Warszawki nie cierpię! Totalna wiocha! No, ale żeby zrobić karierę, artyści muszą tu bywać, rozumiesz? – Czekala najwyraźniej, że Paweł zacznie dopytywać się o ścieżki jej kariery, więc Paweł, wyzuwając głos z choćby śladu ironii, zapytał:

– Hmm, artyści... A czym się zajmujesz?

– To jeszcze nie jest dokładnie zdefiniowane. Jest kilka możliwości! Na dwutysięczny dziesiąty mam plan już mocno zaistnieć w branży. – Wydmuchiwała chmury dymu.

– W jakiej branży? – zrezygnowanym głosem indagował Paweł. Ale co lepszego czekało na niego w domu? W najlepszym przypadku oglądanie pleców swojej żony, jeśli ta nie zamknie się w gabinecie z książką i, koniec końców, zaśnie tam na kanapie. Ile to już miesięcy nie śpią razem we wspólnej sypialni? Ostatnio chyba w... Hmmm... Zaraz, zaraz, czy to możliwe?...

– No, naturalnie, że w szoł bizie – zaśmiała się nienaturalnie.

– Nie widać? – Odgarnęła włosy, jakby chciała zaprezentować swe walory w pełnej krasie. – Nigdy o mnie nie słyszałeś? – kręciła głową, prezentując raz lewy, raz prawy profil, jakby miało to Pawłowi pomóc przypomnieć sobie jej tożsamość.

– Coś mi świta, ale, ekh, ekh. Wybacz. – Teraz i Paweł zapalił cygaretkę. – Nie oglądam zbyt wiele hmmm... programów rozrywkowych.

– Daria HotSpot! Nie widziałeś mnie na Pudelku?

– Nie mam zbyt wiele czasu, więc...

– Biedactwo. – Ze współczuciem wpatrywała się w tego zacofanego ponuraka. Gdyby nie ta fryzurka, nawet nie byłby najgorszy. – Jesteś w służbach?

– Służbach? – wyjąkał Paweł.

– W służbach mundurowych? Myślałam, że jesteś gliną. Masz do tego waruny – roześmiała się, patrząc na niego przeciągle i mierząc lubieżnym wzrokiem od stóp do głów.

– Nie... – zawahał się Paweł. Porównanie do napakowanego policjanta polechtało jego próżność, więc nie był taki skory się wypierać. – Ale byłaś blisko. Jestem w tym samym resorcie.

– Klawisz? – śmiała się i błyskała zębami. Miała niezłe nogi i wydatny biust.

– Prawie. Ale nie mówmy o mnie, to nudne. – Paweł wypił drinka jednym haustem, po czym pstryknął palcami na kelnera, dając do zrozumienia, że chce dla wszystkich jeszcze raz to samo. Na widok tego władczego, nonszalanckiego, wykonanego potężną łapą gestu dziewczynie zalśniły oczy.

– Opowiedz lepiej o swojej karierze – mruknął Paweł, czując, że zyskuje jej uznanie.

– Jestem trochę modelką, trochę tancerką, trochę projektuję, trochę doradzam przy stylizacji. Parę imprez zorganizowałam, paru ludzi znam, zagrałam nawet kilka drobnych ról, myślę więc, że dla czego by nie miało się udać. – Zgasiła papierosa i obiema rękami puszyła sobie włosy, chcąc zwiększyć ich objętość.

– To co się ma stać w tym dwutysięcznym dziesiątym? – przez wargi Pawła przewinął się krzywy uśmiech.

– No, jest pomysł na własny szoł...

– Aha. – Alkohol krążył w żyłach Pawła, rozluźnił go nieco. Lecz wraz z przyływem fali pożądania natychmiast przypomniał sobie twarz żony. Zawsze gdy się uśmiechała, widać było ten jej jeden lekko krzywy ząbek, w którym trochę inaczej odbijało się światło, przez co wyglądała nieco drapieżnie. Miała mały, drobny podbródek i delikatny, lekko zakrzywiony nos. Zakrzywienie widać było tylko z profilu i to ono nadawało jej twarzy semickiego charakteru. *En face* nosek wyglądał na idealnie prosty. Oczy... Niezwykły kształt, niezwykły wyraz. Kaskada ciemnych włosów. Kształt bioder, który nie miał sobie równych. Mogą sobie pierdolić, że kobieca sylwetka nie jest już w modzie...

Pokiwał przecząco głową, jakby chciał odgonić jakąś wizję. Mocno zaciągnął się cygaretką, wypuszczając błękitne kółka, które ulatywały pod sufit. Tak. Czas uciekał, a on dobiegał czterdziestki! Zamiast z żoną w domu, robił z siebie błazna w lokalu dla nastolatków! A wszystko to jej wina! Nie chce dziecka! Niby żyją razem, a obok siebie! Utrzymują pozory! Pozory normalności, tymczasem...

– Słyszysz w ogóle, co do ciebie mówię? – usłyszał lekko podniesiony głos swojej towarzyszki. Ptasie oczy patrzyły na niego z urazą.

– Mówiłaś o twardych regułach panujących w świątku? Że polski rynek jest nienormalny... – wyliczał Paweł znużonym głosem.

– No... Tak. A potem pytałam, czy mogę zapalić jedną z tych twoich fajnych cygaretek... – patrzyła na niego szklanym, pustym wzrokiem, choć najwyraźniej usiłowała przydać spojrzeniu pewnej głębi...

Paweł podsunął jej paczkę, marszcząc brwi. Ogarnęła go fala żalu do Hanny za los, który mu zgotowała. Nawet w tej chwili, kiedy mógłby... Nie jest w stanie czerpać najmniejszej przyjemności z wieczoru! Przeklęty niech będzie jego upór, jego zapiekły charakter! Spojrzał z zazdrością na brata. Mati zasłuchany był w opowieść ślicznotki, lecz obdarzony podzielną uwagą, wyczuł spojrzenie brata, zerknął na niego i prawie niezauważalnie mrugnął znacząco.

Paweł wiedział, co to miało oznaczać, lecz utracił już wszelką chęć na kontynuowanie wieczoru. Niech ten lekkoduch, hedonista robi, co chce! On wróci do domu i będzie grał swą rolę do samego końca, choćby miało się to dla niego źle skończyć. Ten Mati najwyraźniej nie kocha Karoliny! Nie wiedział zresztą, co myślał, co czuł jego brat! Nie umiał znaleźć się w skórze innych ludzi, nic go to nie obchodziło. Już postanowił. Zaczął się rozglądać za kelnerem.

– Co robisz? – mruknął brat, widząc co się święci.

– Wychodzę, muszę wracać. – Kelner położył przed nim rachunek, Paweł gmerał w portfelu.

– Do kogo? – Mati patrzył na niego znacząco.

Paweł włożył banknot do koszyczka i wstał.

– Dobranoc. – I bez dalszego tłumaczenia oddalił się w stronę wyjścia, nie bez satysfakcji pozostawiając całą trójkę w niemiłym zaskoczeniu.

Wyszedł. Powietrze nadal było ciepłe. Wiał lekki wietrzyk, niebo było rozgwieżdżone. Ruszył Foksal w stronę Nowego Światu. Minęła go rozeźmiana, zataczająca się banda, ktoś go potrącił i nie przeprosił. Niedobitki imprezowiczów krążyły od knajpy do knajpy. Przejechała taksówka, zatrzymała się pod kawiarnią na rogu. Wysiadł z niej Amerykanin z dwiema Polkami. Paweł poznał jego narodowość po akcencie, gdy tamci naradzali się po angielsku, gdzie dalej pójść. Paweł zastrzygł uszami, zawsze dopatrywał się u cudzoziemców oznak szowinizmu i wrogości wobec tego, co polskie.

Amerykanie drażnili go naiwnością, Francuzi wywyższaniem się ponad inne nacje i zamiłowaniem do tego, co francuskie. Włochów nie znosił za ich wymuskaną elegancję i za „catenaccio”, Czechów za to, że stchórzyli i nie bronili Pragi przed Hitlerem, Anglików za to, że sprzedali Polaków w Jałcie. O Niemcach lepiej było przy nim nie wspominać, nie mógł ich znieść pod żadną postacią. Nawet gdy zachowywali się w stosunku do niego czołobitnie, węszył podstęp. Uważał, że z pewnością pogardzali nim jako „gorszym człowiekiem”, a w ich mieszkaniach wisi portrecik dziadka – komendanta obozu w Dachau. Co do Rosjan, jedyne czego pragnął, to osobiście wytępić ich co do joty, gdyż uważał, że, o ile to możliwe, byli jeszcze gorsi od Niemców.

Nie lepsze zdanie miał o samych Polakach. Należał do osobliwego gatunku patriotów, którzy głęboko nienawidzili wielu charakterystycznych cech Polaków, takich jak krytykowanie i pogarda wobec siebie samych, a także równie irracjonalnego poczucia bycia lepszym i inteligentniejszym od innych narodów, lecz rzuconym w niefortunny zbieg okoliczności historycznych (zdrady wszelkich możliwych sojuszników) oraz nader niekorzystne położenie geograficzne (wyjątkowo podli sąsiedzi). Drażniło go upodobanie do martyrologii, lecz w głębi duszy sam osobiście uważał, że zarówno okoliczności, jak i sąsiedztwo były, oględnie mówiąc, „trudne”. Nie znosił więc zaściankowości, lecz z drugiej strony, gdy słyszał jak ktoś atakuje Polaków lub też piętnuje te cechy, które on sam dostrzegał i piętnował, drażniło go to piekielnie i stawał się wręcz grubiański.

Rozmawiając z cudzoziemcami, a zwłaszcza z Francuzami czy Niemcami, w każdym słowie gotów był dopatrywać się dyskryminacji. Myślał o tym tak obsesyjnie, że nie raz zdarzyło mu się słyszeć coś, czego nikt nie powiedział. Gdy podczas spotkań biznesowych Niemcy częstowali go alkoholem, zdawało mu się, że widzi w ich oczach jawne szyderstwo, ale, że z natury był przekorny, a ponad wszystko nie znosił uznania nad sobą czyjejkolwiek wyższości (cecha jakże typowo polska), ostentacyjnie odmawiał wina i choćby miał się zadusić, jednym tchem wychylał do obiadu kieliszek najmocniejszej wódki.

Był na tyle wyrafinowany, że nigdy bezpośrednio nie reagował na zniewagi typu: „Ach, wy Polacy, sami wpakowaliście się w komunizm”. Choć miał rozległą wiedzę historyczną (który Polak jej nie ma?), nigdy nie zniżał się do pouczenia obcojęzycznych ignorantów. Atakował ich, gdy się tego nie spodziewali. Przytaczał niechlubne fragmenty z ich historii, potrafił zadać cios w czułe miejsce.

Mijał więc teraz Bogu ducha winną trójkę młodych ludzi, stojących na rogu ulicy Foksal i Nowego Świata, i już w duchu pastwił się nad nimi. Amerykanin jakoś beczelnie popatrywał na swoje towarzyszek, zapewne uznawał je za łatwy łup. „Baranie, który myślisz, że Dante Alighieri to znana włoska knajpa w Little Italy, czy naprawdę sądzisz, że te piękne polskie kobiety wskoczą ci do łóżka tylko dlatego, że przyjechałeś z Kalifornii?” Paweł krótkim, badawczym spojrzeniem zlustrował twarze jego polskich koleżanek, na próżno szukając w nich oznak wyniosłej godności. Hmmm.

Cóż takiego w nim widziały? Koński łeb, nadmiar zębów, potężne bary czy donośny, gulgoczący głos? Sądząc po akcencie, przerośnięty kowboj nie był raczej nowojorskim dziennikarzem. Paweł zerknął na swoje odbicie w witrynie sklepu z butami. Niedźwiedziowata sylwetka, krótko ostrzyżona głowa, trochę brzucha. Wzruszył ramionami i zaczął rozglądać się czujnie. Wpatrywał taksówki. Chciał jak najszybciej znaleźć się w zaciszu własnego domu.

Długi weekend majowy

Paweł Wencel, pogrążony w ponurym zamyśleniu, jadł późne śniadanie na tarasie klubu jeździeckiego. Miał przed sobą rozłożoną gazetę, lecz jeszcze nie zaczął czytać. Ze zmarszczonymi brwiami popijał poranną kawę i nieuważnie podjadał to z tego, to z tamtego talerza. Stała przed nim jajecznica na kielbasie w patelni, twaróg, razowy chleb, pomidory z cebulą, ogórki małosolne oraz osełka masła.

Jako jedyny nie zdecydował się tego dnia na jazdę konną. Wreszcie miał święty spokój od całego towarzystwa, które zjechało do Niedźwiedziego Rogu na długi weekend majowy. Z perspektywy swego dobrze ulokowanego stolika miał wspaniały widok na rzekę oraz podwórze przed stajnią. Kontemplował właśnie interesujące widowisko, które się tam przed chwilą rozegrało. Teraz w zasięgu wzroku pozostał już tylko Zagajewicz, naprędce usiłujący dosiąść wierzchowca. Jeźdźcem był nędznym, ale najwyraźniej nie mógł sobie darować, gdyż na przejażdżkę wybrała się Hanna. Niestety, pojechała z Matyldą i Igozem na małej maratonce, na której dla Zagajewicza zabrakło już miejsca. Mała sportowa bryczka mieściła tylko trzy osoby! Co za pech! Był z tego powodu wielce niezadowolony. Postanowił jechać za nimi wierzchem.

Stał teraz przy olbrzymim wałachu z jedną nogą uwięzioną w strzemieniu, bezskutecznie próbując odbić się od ziemi, by dostać się wreszcie na grzbiet wielkiego zwierzęcia i ruszyć w pościg za malowniczą grupą, wdzięcznie upozowaną na zgrabnej maratonce, jadącą już w stronę lasu. Gwizdnął w stronę stajni, by przywołać stajennego, jednak nikt nie nadchodził. Paweł uśmiechnął się pod nosem. Zagajewicz mógł za to winić jedynie siebie. Parę minut temu, gdy chłopak stajenny pytał go, czy będzie potrzebował pomocy, Robert nonszalancko prychnął śmiechem i odkrzyknął coś drwiącym tonem, patrząc czujnie w stronę szykujących się do odjazdu Hanny i Matyldy. Zgrywał wytrawnego jeźdźcę.

Jednak nie mógł dać sobie rady sam. Koń, którego mu przyprowadzili, był wielki i chyba narowisty. Może Robert lepiej by zrobił przyznając, że jeździ sporadycznie... W każdym razie maratonka zdążyła już dawno odjechać, a Zagajewicz nadal szamotał się pozostawiony własnemu losowi.

W końcu szarpnął za chybotające się siodło i używając całej siły mięśni, wwindował się na grzbiet. Koń zarżał dziko i zrobił dwa kroki do tyłu, stukając kopytami o granitowy bruk. Położył po sobie wielkie uszy, sierść zadrgała na nim nerwowo. Lecz Zagajewicz, choć pewnie serce miał w gardle, spiął potężne boki zwierzęcia swymi wielkimi udami i ściągając cugle dał bestii do zrozumienia, kto tu rządzi.

Potem poluzował cugle i spiesznie ruszył przez bramę. Usztywniony, wyjechał na krętą drogę, biegnącą wśród zielonych pól. Przeszedł w ociążały kłus, a jego gorączkowe spojrzenie biegało po okolicy. Pewnie wypatrywał maratonki. Najprawdopodobniej dostrzegł ją gdzieś pod lasem, bo ponaglił konia do szybszego biegu i ruszył na przełaj przez zielone łąki.

Paweł, widząc współnika, który bezładnie, niczym wór kartofli, podskakiwał na potężnym zwierzęciu, uśmiechnął się złośliwie, lecz uśmiech zamarł na wspomnienie poranka. Hanna była tak nienaturalnie ożywiona! Wprost nie znosił jej ostentacyjnego emocjonowania się jazdą konną. I on lubił jeździć, ale żeby przedkładać jazdę konną nad wspólne śniadanie z mężem! Musiały to być jej wielkopańskie pretensje. Setki razy słyszał, jak stary Rolicz upajał się opowieścią o tym, że jego córki tak świetnie jeżdżą i że zapewne jest to odziedziczone po przodkach! Ponoć było to w ich rodzinie szóste pokolenie doskonale jeżdżących kobiet...

Wreszcie mogliby pobyć sami, bez całej tej zgrai, która się tu za nimi przywlokła! Czy ona nie potrzebowała choć odrobiny intymności? Słońce mocno przygrzewało, ptaki świergotały. W oddali słychać było tęskny, przejmujący klangor żurawi, na niebie kołował bocian. Przy stajniach zakwitły już bzy. Ich słodki zapach docierał aż do stolika Pawła, gdzie mieszał się z ciepłą wonią rzeki. Przelatywały muchy, natrętnie siadały na brzegu filiżanki z kawą. Paweł ubił jedną zwiniętą gazetę.

Jaki natrętny ten Artysta! Nie może usiedzieć jednego dnia w leśniczówce, co dzień pcha się z Matyldą do Niedźwiedziego Rogu, jakby nie miał nic innego do roboty. Widać, że i ona już

powoli ma tego dosyć! Dziś, jak zaproponował wspólną jazdę maratonką we troje, minę miała nietęgą.

Zbliżało się południe, słońce operowało już niemiłosiernie. Paweł otarł rękawem czoło i z irytacją zabił insekta, który usiadł mu na twarzy. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście dwunasta. Postanowił pójść do baru i napić się zimnego piwa. Pewnie nie będzie ich co najmniej z godzinę, zdąży wytrzeźwieć, by móc prowadzić! Nie znosił narażać się na choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, jeśli leżało to w jego mocy.

Wszedł do ciemnego wnętrza. Oślepiiony słońcem, przez chwilę nie widział prawie nic. Stara, kilkusetletnia obora przerobiona na restaurację miała niewielkie okna, które wpuszczały nikłe, białe światło. W środku panował miły chłód, przy stolikach siedziało parę osób. Kilka twarzy było znajomych.

Paweł spędził chwilę, rozmawiając z dawnym klientem. Potem podszedł do drewnianego baru i zamówił małe piwo. Usiadł i sączył je powoli, bez pośpiechu. Zerknął na zegarek. Pół do pierwszej. Podniósł się ociężale i ruszył w stronę zimnego, wygaszonego kominka. W małym stojaku leżała sterta czasopism, wybrał kilka numerów ulubionego tygodnika i gazetę wrogiej frakcji politycznej.

Z satysfakcją czytał o rozłamie w koalicji. A więc rewolucja już pożerała własne dzieci. Zaczynały się wzajemne oskarżenia, szczelny mur miał coraz więcej wyłomów. Zwiastowało to rychły koniec tego niefortunnego epizodu politycznego. Można było spodziewać się przedwczesnych wyborów! Doskonale.

Zegar nad kominkiem wybił pierwszą. Paweł lekko zgłodniał. Nie będzie jednak jadł, poczeka na Hannę. Ile może trwać przejażdżka bryczką? Swoją drogą wszystko, co związane z końmi, budzi ogromne podniecenie jego żony. Żeby choć w połowie ożywała tak w jego obecności. Jej ekscytacja była aż nadto widoczna, choć przy jego rodzicach nieudolnie próbowała to ukryć. Była do tego stopnia pochłonięta myślą o rychłej przejażdżce, że nie słyszała, co matka Pawła do niej mówi!

Znów wyszedł, tym razem drugimi drzwiami wiodącymi na podwórze. Ze stajni wyprowadzano dwa konie, Paweł przyglądał się w milczeniu, jak je siodłano. Postanowił przejść się po stajniach. I tam panował miły chłodek. Konie rżały cicho, niektóre bacznie obserwowały intruza. W mroku łyskały ich ślepia. Paweł z lubością wdychał zapach siana i łajna. Tylko te przekłete muchy. Chyba tylko smród tytoniu je odgoni. Wyszedł na zewnątrz i usiadł w cieniu potężnego krzewu bzu, na małej, drewnianej ławce. Natychmiast otoczyła go sfera psów. Łasiły się, licząc na resztki z obiadu. Jeden skoczył mu na kolana ubłoconymi łapami, domagając się pieszczot. Paweł pogładził wielki, kosmaty łeb. Pies wywalił ciepły ozór i chuchał Pawłowi w twarz ostrym smrodem, nadstawiając się do głaskania.

– Oj, kolego, chyba zeżarłeś jakiej padliny – wyburczał Paweł i odepchnął psi łeb. Fetor był nieznośny.

Wyjął z kieszeni paczkę cygaretek, zapalił. Odchylił się na oparcie i wydmuchnął siwą chmurę. Piękny stary dom z czerwonej cegły zamykał widok na zielone łąki, lecz dawał cudowny cień. Obsadzony był wysokimi malwami, słonecznikami i krzewami paproci, lecz teraz tonął przede wszystkim w rozkosznie pachnących krzewach kwitnącego bzu. Ach, wspaniały zapach, cudowne, balsamiczne powietrze. I czegoż tu chcieć więcej?

O dziwo, nawet Hanna była ostatnio jakby mniej przygnębiona. Czyżby wiosna obudziła w niej chęć życia? Najpierw w ogóle nie miała zamiaru jechać z Pawłem do Niedźwiedziego Rogu na długi weekend. Owszem, wybierała się na Mazury, ale do siebie. A raczej do starego Rolicza. Hmm, w sumie nigdzie nie była tak naprawdę u siebie. Wargi Pawła rozchyliły się w krzywym uśmiechu.

Nigdy nie zapytał, jak tak naprawdę czuła się, żyjąc i mieszkając u wujostwa. Podświadomie wiedział, że fakt, iż nie miała prawdziwego domu, działał w jakiś sposób na jego korzyść. Niby wuj traktował ją jak córkę, ale wiadomo jak to jest. Gdyby się rozwiodła, gdzie by poszła? Zwaliliby się wujostwu na głowę? Zarabiała tak niewiele, gryzmołąc teksty o sztuce do podrzędnego czasopisma...

Teraz, wraz z nadejściem wiosny, i ona chciała wybrać się na Mazury, ale uparła się jechać do Krzyży! Dopiero wieść o tym, że zjeżdża tam i Matylda z Artyściwą, odwiodła ją od tego zamiaru. Ha!

Paweł wydmuchnął chmurę dymu, po czym podniósł się, wzdychając. Wolno ruszył w stronę otwartej na oścież drewnianej bramy. Minął ją i wyszedł na drogę. Stamtąd roztaczał się bajeczny widok na okoliczne wzgórza, gdzie wypasały się konie i stada krów. Gdzieniedzie, w dużym rozproszeniu, pochylone, niemal wrośnięte w ziemię ze starości, tkwiły urokliwe siedliska, obsadzone potężnymi drzewami. Na widnokrzęgu czerniła się ściana lasu.

Paweł zmrużył oczy i lustrował okolicę. Ani śladu bryczki. Mógł zadzwonić, ale nie chciał się wydurnić. Wyszłoby, że śledzi własną żonę. Pewnie był z nimi Zagajewicz, na którego dyskrecję raczej nie mógł liczyć! Roztrąbi po mieście, że Paweł jest zazdrosny i kontroluje Hannę...

Wrócił na podwórze, a stamtąd przez restaurację wyszedł na drewniane tarasy, łagodnie schodzące w stronę rzeki. Usiadł na najniższej kondygnacji i zagapił się w zielone odmęty. Nurt był łagodny, na dnie pełno roślin wodnych, falujących niczym długie, zielone włosy. Po tafli sunęły dwa łabędzie. W oddali gruchała sierpówka.

Paweł znów otworzył gazetę, przeczytał ją niemal od deski do deski, po czym ponownie zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia! Zaniepokojony, odłożył ją i zagapił się w bajkowy widnokrzę. Lazurowe, bezchmurne niebo, bzykające owady, szemrząca rzeczka, a w tym wszystkim on – spięty, wiecznie zdenerwowany, marnuje kolejne godziny życia.

Gdzie oni są, u licha! Czy nie można choć dać znać sms-em? A może już wrócili? Pójdzie sprawdzić w stronę stajni. Wyszedł na podwórko. Przyjechało kilka koni, lecz bryczki i Zagajewicza ani śladu. Teraz nie na żarty się zaniepokoił. Nawet gdyby tych troje nieodpowiedzialnych siadło gdzieś nad wodą i zapomniało o bożym świecie, w co szczerze wątpił, mając w pamięci skrzywioną minę Matyldy, co mógł robić na koniu Zagajewicz przez bite trzy godziny? Miałby już na dupsku pęcherz wielkości arbuza!

– Bryczka jeszcze nie wróciła? – zagadnął obojętnym tonem jedną z trenerek jazdy konnej, która przechodziła z uprzężami. Dziewczyna wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia.

– Niech pan spyta pani Polanieckiej – rzuciła, oddalając się pospiesznie.

Jeszcze tego brakowało! Nie będzie robił poruty! A nuż zaraz wrócą, a on narazi się na śmieszność!

Po upływie następnej pół godziny sama Stefania Polaniecka, właścicielka stadniny w Podkomorzynie, wyszła do Pawła, który kręcił się koło bramy.

– Nie dzwoniłeś, Paweł, do Hanny? – spytała skrzekliwym głosem. Kobieta ta sama w sobie stanowiła legendę. Poczerniała na twarzy niczym indiańska squaw, szczupła i żyłasta, trzymała cały interes żelazną ręką. Sam jej wygląd budził postrach i szacunek. Potrafiła wypić więcej niż trzech chłopów i jeszcze potem ubić z nimi niezły interes, wystrychując ich na dudków tak, że nawet nie wiedzieli, jak i kiedy to się stało. Jeśli ona się martwiła, coś definitywnie było nie tak.

– Hmm, nie – niepewnie odparł Paweł. Oczy kobiety przenikały go na wskroś, ciężko było przed nią ukryć cokolwiek.

– Coś długo ich nie ma. – Sokolim wzrokiem spenetrowała horyzont, po czym wyciągnęła telefon komórkowy. – Podyktuj telefon do Hanny.

– To już ja zadzwonię... – Paweł sięgnął po telefon i właśnie chciał wybrać numer, gdy pani Stefka zaskrzeczała.

– Stój! Czeka! Ktoś tam jedzie.

Dopiero po kilku chwilach i Paweł dostrzegł nadjeżdżającą od lasu drobną figurkę. Matylda! Sama! Wierzchem. Paweł, tknięty niepokojem, ruszył naprzód, za nim energicznym krokiem pani Stefka. Gdy Matylda zbliżyła się na jakieś trzysta metrów, pani Stefka orzekła:

– Jedzie na Bukłaku, na oklep. Co się mogło...

Oboje ruszyli w jej kierunku.

– Co się stało?! – wrzasnęła pani Stefka, zapalając śmierdzącego papierosa.

Matylda była cała ubłocona i wyglądała na wyczerpaną. Podjechała do nich i zeskokczyła na ziemię. Pani Stefka chwyciła konia za uzdę.

– Gdzie Hanna? – wychrypiał Paweł.

Matylda spojrzała na nich ze zmarszczonymi brwiami. Łapała oddech. Była rozzłoszczona, lecz nie wyglądało na to, by zdarzyło się coś tragicznego. To jednak nie uspokoiło Pawła.

– Gdzie oni są? – warknął groźnie, nie kontrolując się. Uchwycił bystry wzrok pani Stefki, który na ułamek sekundy spoczął na jego wykrzywionej złością twarzy.

– Konie wpakowały się w bagno razem z bryczką – Matylda otarła z czoła pot i kropki zaschniętego błota.

– Co?! – wrzasnęła Stefka. – A pytałam tego twojego narzeczonego, czy potrafi powozić! Idiota czy co?!

– To nie jego wina, powoził doskonale! – westchnęła Matylda. Jej twarz lekko poczerwieniała. – To ja wskazywałam drogę, pojechaliśmy na Białkę.

– Mówiłam, żebyście jechali przez Wiertel! – krzyknęła Stefka. – Po zimie błota jeszcze nie wyschły, tam jest mnóstwo bagien! – ciągnęła szarpiącego głową Bukłaka w stronę stajni. – A co z resztą? Wszyscy cali?

– Cali, cali – mruknęła Matylda, masując się po obolałych udach. – Bukłaka Igor wyciągnął z błota sam, choć zapadł się prawie po pierś! Igor jest niebywale silny...

Pani Stefka spojrzała na Pawła znacząco.

– Kobryń zapadł się głębiej. Igor, brodząc po pas w błocie, odpiął maratonkę i starał się wyciągnąć też Kobrynia, ale Kobryń się przestraszył, wierzgał się i zapadł jeszcze głębiej. Trzeba będzie chyba wydobyć go traktorem, nie wiem... We trójkę ciągnęliśmy i nie daliśmy rady! W końcu ja, która najlepiej jeżdżę, zostałam wytypowana, żeby wrócić – Matylda z trudem wymawiała słowa, znać było po niej ogromne zmęczenie. Paweł zdusił cygaretkę czubkiem buta i patrzył pod nogi. I on lekko poczerwieniał.

– Igor i Hanka zostali, żeby Kobryń nie zrobił sobie krzywdy. Żeby nie zaczął wierzgać i nie zapadł się jeszcze głębiej! – tłumaczyła Matylda, zagryzając dolną wargę.

– A ten czwarty? Ten Pawła kolega? Co z nim? – rzuciła pani Stefka, przekazując spienionego Bukłaka chłopakowi stajennemu. – Konrad, bierz traktor, zwołaj kilku chłopów! Koń wpadł do błota maratonką! No, rusz się, na co się gapisz! – ryknęła w stronę wystraszonego chłopaka.

– Może wezmę samochód i pojedę z Matyldą za wami – rzucił Paweł przez zęby.

– Tam nie dojedzie normalny samochód. A, i nie wiem co z Robertem? W ogóle go nie widzieliśmy! Myślałam, że zrezygnował! – zawołała Matylda.

– Dobra! Szkoda czasu! Weźcie UAZ-a i jedźcie przodem! Matylda pokaże drogę! – zakomenderowała Stefka, kiepując peta rozlazłym, cudacznym kozakiem.

Kilka godzin później wszyscy siedzieli już w knajpie. Wydarzenie stało się sensacją dnia. Bywalcy stadniny podchodzili do ich stolika. Chcieli porozmawiać ze śmiałkami, którzy „o mały włos nie utonęli w bagnach”. Pani Stefka, u szczytu stołu, nie wylewała tego wieczoru za kołnierz. Przypomniały się jej dawne szaleństwa. Rozwiązał się jej język. Ogromnie przypadł jej do gustu przystojny, namiętny młodzieniec, który w tej trudnej sytuacji zachował się niezwykle przytomnie. Gdyby nie jego zimna krew, z pewnością straciłaby dzisiaj dwa konie pociągowe.

– Mogę ci mówić na ty? – huknęła w jego stronę. – Strasznie mi kogoś przypominasz! Przed wojną moja matka była zaręczona z hrabią Czarneckim. Identycznie trzymał papierosa! Ja poznałam go wiele lat później... Też był artystą, a na koniach nie znał się wcale... Hrabiowska krew! Jak ty masz na nazwisko?

Paweł jednym haustem opróżnił kieliszek. Nie mógł ścierpieć dalszego rozdmuchiwania tej idiotycznej historii. Bęcwiał wpakował się w bagna, mało nie utopił dwóch kobiet, a ta pieje peany na jego cześć?!

Im więcej alkoholu Stefka w siebie wlewała, tym bardziej rozbudowaną wersję wydarzenia opowiadała kolejnym ciekawskim, którzy tłoczyli się wokół ich stolika.

– Matylda, aleś chłopą trafiła! – krzyknęła w stronę siedzącej obok Igora Matyldy. – Rasowa sztuka! Musisz go szybko do ołtarza zaciągnąć, inaczej ci go zaraz któraś ukradnie! Zobacz, jak się na niego baby gapią! A i widać po nim, że ma temperament! A, ha, ha, ha. – Wypiła pół szklanki whisky jednym haustem i ryknęła w stronę baru: – E! Gruszenko! Chodź no tu! Poznasz narzeczonego małej Roliczówny!

Matylda uśmiechnęła się cierpko i zerknęła na Igora, by zobaczyć, jakie wrażenie wywarły na nim te słowa. Igor uśmiechnął się wprawdzie, ale wyglądał, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Kręcił się niespokojnie i wciąż wicherzył swoje nieokiełznane włosy. Pani Stefka bystrym wzrokiem omiotła stół i wszystkich zgromadzonych. Coś musiało ją tknąć, bo szybko dodała:

– Ale lepszej narzeczonej od naszej Matyldy to, chłopie, nie znajdziesz! Dziewczyna brylant. Niejednego już odsadziła, a ja jej zawsze kibicowałam. Jak na razie, żaden nie był jej wart, choć miewała i bogatych biznesmenów, i arystokratów! – Stefka zaciągnęła się papierosem, wydmuchnęła chmurę gryzącego dymu i ciągnęła z lubością: – Ale wiadomo, że sama sroce spod ogona nie wypadła! Edka to ja znam od dziecka! Jego ojciec był adwokatem, dziad był adwokatem i bronił kuzyna mojego dziadka w słynnym procesie o zniesławienie. Edek bronił najznamienitszych opozycjonistów! Ale pamiętam go, jak był młody! Też lubił zaszaleć, ale pić nie lubił za dużo! Zawsze pod kontrolą! I taki jest do dzisiaj! Ja odróżnię starą krew od parweniusza po sposobie trzymania szklanki, mój drogi! No, ale to, żeś sobie poradził sam, zanim my z traktorem przyjecha- liśmy! No, no...

– To wcale nie moja zasługa – z chmurnym uśmiechem odparł Igor. – Wszystko dzięki Hannie. – Na ułamek sekundy podniósł wzrok na Hannę.

Ta zaprzeczyła, kręcąc głową, brwi miała zmarszczone. W stronę Igora nawet nie spojrzała. Zdawała się opanowana, lecz na policzkach miała rumieńce. Wyglądała cudownie, taka zaróżowiona i naturalna. Sweter nadal miała poplamiony błotem, posklejane włosy odgarnęła do tyłu, odsłaniając piękne, wysokie czoło.

– Tak, to prawda, Hanno! – żarliwie dodał Igor, wpatrując się w jej twarz dziwnym wzrokiem, który Zagajewicz później opisywał Marzenie jako „wyglądniaty”. – Gdybyś nie wpadła na to, by podłożyć Kobryniowi pod kopyta te kawałki desek, w ogóle nie dałoby się go wyciągnąć! Dzięki temu miał się na czym zaprzeć i udało się nawet bez traktora! Byłaś niezwykle opanowana!

– Szczęście, że nikomu nic się nie stało – rzekła Hanna znacząco, na moment podnosząc na Igora poważny wzrok. – Choć z początku wyglądało groźnie...

Przy stoliku zapadła cisza, wszyscy zdawali się pilnie przysłuchiwać. Matylda patrzyła na Hannę czujnym wzrokiem. Pani Stefka również obserwowała Hannę spod oka. Gasząc papierosa, dodała ochryplym tonem:

– Obie Roliczówny są objeżdżone jak mało kto i z niejednej opresji już się wykaraskały! – Odkasznęła i po chwili dodała, patrząc na Hannę przenikliwie: – Grunt to nie tracić głowy!

Następnego dnia rodzina Roliczów poczuła się w obowiązku zaprosić Wenclów do Krzyży na kolację, na grilla. Wokół stołu w altance zgromadziło się spore towarzystwo, jako że do Wenclów na długi weekend zjechało kilka osób i nie wypadało nikogo pominąć.

Wieczory były jeszcze chłodne, ale przy zewnętrznym, wymurowanym kominku w starej, drewnianej altanie było uroczo. Drzewa okrywały się młodymi listkami. Gęstniał zmrok, nad głowami przelatywały nietoperze. Na ogromnym drewnianym stole ustawiono lampiony ze świeczkami. Prosty posiłek podano niezwykle smakowicie. Na wiejskich talerzach leżało mnóstwo smakołyków domowej roboty. Były marynowane grzybki, ogórki, smalec z jabłkami, sos tatarski do ryb oraz mnóstwo nowalijek.

Edward, zwolniony z obowiązku podtrzymywania konwersacji, tkwił przy żarzącym się grillu, obracając zawinięte w folię pstrągi i kaszanki oraz podlewając piwem kielbaski i karkówkę. Od czasu do czasu rzucał krótkie spojrzenia w stronę stołu. Jego wzrok przyciągała młodsza córka, nienaturalnie ożywiona i paplająca bez ustanku. Reszta towarzystwa mało go obchodziła, a już najmniej nachmurzony adonis, który tkwił obok Matyldy z miną winowajcy. Edward nie mógł dopatrzeć się choćby śladu uczucia z jego strony.

Igor od trzech dni przemyczał się po jego domu ukradkiem niczym złodziej, mówił niewiele,

więc Edward nie zamierzał go zagadywać! Surowo upomniął również Annę, która najwyraźniej starała się być gościnną i, jak to kobieta, próbowała przełamać lody. Jeszcze by brakowało, żeby pomyślał, że go osaczają!

Związek drugiej córki również nie niósł specjalnej pociechy. Hanna była milcząca. Paweł ukradkiem śledził każdy jej ruch. Cóż, Edward od dawna wiedział, że ten parweniusz nigdy się z nią nie dogada. Nie dla psa kielbasa. Ale w tym momencie wcale go to nie interesowało! Są dorośli, niech robią, co chcą. Z prawdziwą przyjemnością zwrócił swą steraną głowę w stronę starych modrzewi, które osłaniały jego plac przed ciekawskimi oczami spacerujących w stronę jeziora wczasowiczów. Sporo ich zjechało na majowy weekend. Już dawali się we znaki!

– To i pan się najadł strachu, panie Robercie – odezwała się Anna uprzejmie do ponurego Zagajewicza. Uznała, że jego milczenie spowodowane było nieśmiałością.

– Ależ skąd! – wykrzyknął Robert. – Ten Gruszenko, który rzekomo mnie widział, napłócił bzdur! Doskonale sobie radziłem, choć dano mi jakąś dziką bestię, kompletnie nieujędzoną pod siodło! Kiedy wystraszyła się ujadającego kundla, trochę się znarowiła i pognała w las.

– Dobrze, że się pan chwycił miękkich gałęzi. – Stary Wencel wsunął do ust wielki kawał kielbasy. – Gdyby w tym samym miejscu był gruby, twardy konar...

– Tak zawisnąć na gałęziach, mój Boże! – Polcia pokręciła ze zdumieniem głową, smarując smalcem kromkę żytniego chleba. – I jeszcze przy takich gabarytach!

– Mamo! – zawołała szybko Anna. Polcia zwróciła w jej stronę zdziwione oblicze. – Sól. Podaję ci sól do smalcu!

Chwilę ciszy przerwała Elżbieta Wencel, niespokojnymi ruchami rozpierając trzeszczący, wiklinowy fotel swym potężnym siedzeniem.

– To potem pan błędził i nagle spotkał w lesie moją synową i ekh.. i pana Igora?... – usiłowała złożyć wydarzenia w chronologiczny ciąg... – zanim oni wyciągnęli z błota tego drugiego konia, czy już po? – wpatrywała się w twarz Zagajewicza badawczo.

Zagajewicz milczał parę sekund, po czym z zaciśniętymi zębami odparł:

– Po. Już po.

Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie brzęk naczyń. Powoli zapadał zmierzch, towarzystwo było mało rozmowne.

– Smaczna kaszanka – ratował sytuację Ryszard.

– Hanno, nic nie jesz? – nienaturalnie przesłodzonym głosem, w którym czuć było jednak lekkie napięcie, ozwała się Elżbieta. – Dobrze się czujesz? Masz takie wypieki?

– Osmaliła się wiatrem – zabrzmiał spokojny głos Anny.

Znów zapadła cisza. Z drugiej strony stołu dał się słyszeć przyciszony głos Mateusza, który przysiadł się do ponurego Zagajewicza i zagaił w te słowa:

– Widziałem cię na mieście...

– Tak? Kiedy? – Zagajewicz opróżnił kolejny kieliszek wina.

– Hmm, kiedy to było... – zamyślił się Mati –... w zeszłą środę?

– Aaa. W „Torreadorze”? – Zagajewicz chciał sięgnąć po butelkę wina, lecz potracił ręką karafkę z nalewką, prawie ją wylewając.

– Oj, ostrożnie! Czekaj, ja ci podam – Mati chwycił za butelkę i nalał Zagajewiczowi i sobie po kielichu. – Tak, właśnie tam! Sam chciałem tam wpaść! Dobrze dają do jedzenia?

– Trzeba było wpadać – oczy Zagajewicza biegały – wtedy właśnie spotkałem tego twojego kumpła, Kwaśniaka.

– Jaki to tam mój kumpel. Znajomy z pracy... Za to wy dwaj... – wolno zaczął Mati, lecz Zagajewicz wpadł mu w słowo:

– *A propos*, słyszałem, że masz nowego szefa...

Edward doniósł kolejną porcję upieczonego mięsa, przełożył je szczypcami na półmisek i ruszył z powrotem w stronę kominka, pilnować reszty.

– Igor, masz jeszcze ochotę? – na czole Matyldy rysowała się pionowa zmarszczka.

– A, tak... Dziękuję. – Igor zreflektował się i podsunął talerz. Najwyraźniej znów bujał w obłokach i nie zdawał sobie sprawy, co się dookoła niego dzieje.

– Piękna noc – zauważyła cicho Hanna. – Księżyc w pełni.

– Fajnie by było się wykąpać – rzucił Igor, zapalając papierosa, mimo że stała przed nim porcja dymiącego mięsa. W mroku jego oczy lśniły dziwnym blaskiem.

– Mało miał pan wrażeń? – kpiąco odezwał się Rolicz znad grilla, oddalonego od stołu o dobre parę metrów. A zdawał się zupełnie nie uczestniczyć w tym, co działo się wokół stołu.

– Artyści karmią się wrażeniami jak my chlebem, Edwardzie. – W mroku żarzył się cienki papieros babci Polci.

– Nie przesadzajmy z tymi wrażeniami – trzeźwo rzuciła Anna, widząc wyraz twarzy swojej córki. – Mało to razy nasze dziewczyny chodziły się kąpać o tej porze roku?

– Jeśli Igor chce, niech idzie się kąpać! – dodała Matylda wojowniczo, sztucznie ożywionym tonem. – Hanna, ty też lubisz zimną wodę! Idź z Igorem, pokaż mu drogę do jeziora!

Propozycja ta wzbudziła ogólne zdumienie. Nawet zajęty rozmową Mateusz zdziwił się ciszą, która zapadła i spytał Zagajewicza:

– Co się stało?

– Nic, chcą iść się kąpać!

– Świetna myśl! Woda powinna być całkiem ciepła! – Mati zawsze był gotowy na wszelkie wariackie propozycje.

– Hanno, pójdziesz? – surowym głosem zapytała z drugiego końca stołu naindyczona Elżbieta. Od dłuższego czasu czujnie przysłuchiwała się rozmowie młodszego pokolenia. Uznała za stosowne użyć swego autorytetu teściowej.

– A o co chodzi? – wmieszał się Ryszard, mówiąc z pełnymi ustami.

– Pan Igor zaproponował kąpiel – cynicznie zwiężając oczy doniosła mu natychmiast Elżbieta – i szuka chętnych na to wariactwo...

– Wszyscy są dorośli – wycedził Paweł, dolewając Hannie wody.

Atmosfera zagęściła się. Elżbieta popatrywała na Ryśka, oczami dając do zrozumienia, co myśli o tym wszystkim. Edward z założonymi rękami stał przy grillu, wlepiając weń wzrok. Anna próbowała ratować sytuację, wnosząc świeżą szarlotkę.

– Nie róbmy wielkiej sprawy – łagodził Mati. – Igor, ja chętnie pójde. Ktoś jeszcze ma ochotę?

Igor pytająco zerknął w stronę Hanny, lecz ta natychmiast podniosła się, proponując Annie pomoc przy zaparzeniu kawy i herbaty.

– Matyldo? – Igor obrócił się w stronę „narzeczonej”. Przecząco pokręciła głową, po czym wyzywająco spojrzała w stronę ojca, lecz ten poważnym wzrokiem wpatrywał się w płytę grilla.

Gdy mężczyźni zniknęli za furką, a Hanna z ciotką weszły do domu, pozostałe towarzystwo niewiele miało sobie do powiedzenia. Wszyscy w głębi duszy marzyli, by znaleźć się wśród najbliższych i dać upust nagromadzonym w ciągu wieczoru uczuciom, lecz czekała ich jeszcze męka deseru. Wydawało się, że nie było nikogo, kto czerpałby z wieczoru choćby odrobinę przyjemności.

Gdy Hanna z ciotką przyniosły tacę z kawami i herbatami, wszystkim nieco ulżyło. Zamiast na wymuszonej rozmowie, skupili się na jedzeniu, po czym zaczęli się spieszenie żegnać. Gdy tylko z oddali usłyszeli głosy Mateusza i Igora, poderwali się i rzucili do samochodu. Tak więc, gdy wyluzowany po ożywczej kąpiel Mateusz wszedł na podjazd, ze zdziwieniem zobaczył pozostałych Wenclów i Zagajewicza ciasno zapakowanych do terenówki ojca i z wściekłością popatrujących w jego stronę.

Vis maior

W ciepły majowy wieczór Robert Zagajewicz siedział wraz z kolegami w ogródku staropolskiej knajpki na Krakowskim Przedmieściu. Był nie w sosie. Palił kolejną cygaretkę. Ten zgubny nawyk przejął od przyjaciela i współnika, Pawła Wencla. Przy całej próżności i powierzchownym traktowaniu rzeczy, Robert nie był pozbawiony zdolności realnej oceny własnego charakteru. Wiedział, że był człowiekiem słabym i podatnym na wpływy. Wiele lat temu Paweł zaimponował mu swą niezłomnością charakteru i bezkompromisowością. Dziś cechy, które niegdyś tak podziwiał, zaczęły Roberta drażnić.

Zarozumialec z tego Pawła. Zdaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy. Nie pierwszy raz dał Robertowi poznać, że uważa go za głupszego od siebie. Długo nie zapomni mentorskiego tonu, jakim Paweł obwieścił mu, że nie zamierza nakłaniać Budexprimu do zakupu spółki. Rzekomo nie mieli teraz środków, zamrażali wszelkie aktywności do wiosny przyszłego roku... Jednak w tonie Pawła pobrzmiwała wroga nuta. Wyglądało, jakby zaczął coś podejrzewać. Ale jak, skąd mógłby się dowiedzieć? E, to chyba wybujała wyobraźnia zaczynała płatać mu figle. Na złodzieju czapka gore. No cóż, trzeba będzie poszukać innego podmiotu, który to kupi... Ale łatwo nie będzie. Psiakrew, a tak się dobrze zapowiadało... Kwaśniak będzie rozczarowany...

– Robert, „walczyliśmy czy przyglądamy się sobie”? – huknął mu w ucho siedzący tuż obok przedstawiciel warszawskiej palestry, człowiek o ogorzałej twarzy i pożółkłych włosach. Nazywał się Paweł Ciech i był niezłym karnistą, ale jego klientela była dość osobliwą grupą społeczną, w osiemdziesięciu procentach zamieszkującą Zatokę Świń. Ciech był gawędziarzem i lubił dużo wypić, ale z nikim nie był blisko i niewiele było o nim wiadomo.

– Polej mu, strasznie dziś jest ponury – odezwał się ze śmiertelną powagą siedzący naprzeciw Balcerzak. Grzegorz Balcerzak był notariuszem, z którym najczęściej współpracowali. Niewiele umykało jego uwagi, lecz nie był plotkarzem. Swoje obserwacje zwykle zachowywał dla siebie. Był znany z czarnego humoru.

– To na tych Mazurach tak się tobie zrobiło? – nachalnie dopytywał się Ciech, patrząc na Zagajewicza nieco mętным wzrokiem.

– Zamknij dziób, nie widzisz, że biedak cierpi? – mamrotał Balcerzak. Tak się złożyło, że i on miał już w czubie.

– E tam, cierpię... – Zagajewicz poruszył się niespokojnie. – Miałem do dupy weekend i tyle. – Haustem wychylił pół szklanki burbona.

– Ty, król życia, miałeś nieudany weekend?! – zakrzyknął Ciech rubasznie.

– Przecież żonę zostawiłeś w Warszawie, cóż więc? Cóż mogło pokrzyżować ci plany?

– Odpierdol się od Roberta z takimi insynuacjami – mruknął Balcerzak z kamienną twarzą, jednocześnie komicznie wydymając policzek językiem – pilnuj swego kurnika.

Robert przeczesywał palcami gęste, starannie ufryzowane włosy i cierpiętniczo przymykał oczy. Balcerzak, który obserwował go dyskretnie, aż zatrząsał się z tłumionego śmiechu.

– Czego rechoczesz? Nie widzisz, że twój kolega ma jakieś zmartwienie?! – wrzasnął w rewanżu Ciech, wałąc pięścią w stół i potrącając wiaderko z wódką. Kilka osób odwróciło się w ich stronę, kelnerzy popatrywali z lekkim zaniepokojeniem. Ciech i Balcerzak zanosili się niekontrolowanym śmiechem.

– Zamknijcie się obaj! – warknął Robert. Koledzy zaczęli go wkurwiać. Wychylił do końca szklankę. – Nie udało mi się jedna sprawa, dzięki której ładnie bym zarobił, więc normalne, że jestem zły! A cały weekend był fantastyczny, jak zwykle na Mazurach. Nie mogłem się opędzić od bab!

– Aż takie masz wzięcie? – zawołał z niedowierzaniem Ciech, szeroko otwierając zapuchnięte, kaprawe oczy.

– Człowieku, jeszcze się taka nie urodziła, co by była odporna na czar Roberta – wymamrotał Balcerzak. Nikt nie wiedział, czy mówi na poważnie, czy też nie. – A jak tam Hania? – zagadnął, podnosząc do ust szklankę i przyglądając się Robertowi czujnym, lekko ironicznym wzrokiem.

Robert zapatrzył się w jakiś punkt na stole. Bezwiednie masował się po olbrzymim torsie, wyraz twarzy miał zatroskany. Ciech gapił się na Roberta zdumionym wzrokiem, natomiast Balcerzak nie wytrzymał i zaczął głośno rechotać, zasłaniając twarz obiema rękami.

– Jezu, oj, nie mogę – wykrztusił, próbując się opanować, lecz na próżno. – Co za komedia z tym naszym mecenasem, och, Bożyczku...

– Zamknij jadaczkę – wyjechał na niego Ciech, unosząc się nad stołem i robiąc groźną minę, lecz to tylko spotęgowało niekontrolowany wybuch wesołości u podchmielonego notariusza. Ciech zaczął się rozglądać po lokalu, w obawie przed mogącymi nastąpić konsekwencjami. Na szczęście wokoło nikogo znajomego. Ciech polał sobie gorzałki i wychylił jednym tchem. Potem zwrócił swe szerokie oblicze w stronę zadumanego mecenasa i podjął indagacje:

– No więc?

Zamarli w oczekiwaniu, choć nikt nie wiedział do końca na co. Coś jednak było na rzeczy, coś mogło się z tego wykluczyć. Nie była to jedna z miliona spraw, które nigdy nie znajdowały żadnego finału i doprawdy stratą czasu i śliny było wymienianie jakichkolwiek uwag na ten temat...

Robert westchnął głęboko i ukrył twarz w dłoniach. Na palcu miał wielki, złoty sygnet, gruby nadgarstek zdobiła szeroka bransoleta z białego złota i kauczuku. Było coś doprawdy wzruszającego w tym bezradnym geście. Cóż za tajemna siła zmienia ten niewzruszony okaz pierwotnej, męskiej tężyzny w skłonnego do refleksji i zadumy romantyka?

– Powiem wam, chłopaki – rzekł nagle z mocą Zagajewicz, odrywając ręce od twarzy i wspierając je na stole – i uwierzcie mi, że nie jest mi to łatwo mówić, bo sprawa tyczy mojego wieloletniego przyjaciela i współnika!

Ciechowi aż papieros wyleciał z gęby, nawet Balcerzak odrobinę spoważniał i prędko dolał wszystkim po pełnym kielichu wódki.

– Kawał wała z niego... Ciężko ma z nim ta jego żona! – wysapał, patrząc mętym wzrokiem raz na jednego, raz na drugiego kolegę.

– To wiemy już od dawna – nieuważnie rzekł Balcerzak, jednocześnie obserwując Zagajewicza spod oka.

– Ale stary, ja mówię poważnie – bełkotliwie przekonywał Zagajewicz. – Ona potrzebuje mężczyzny!

– Dała ci to do zrozumienia?

– Nie bezpośrednio – zamyślił się Zagajewicz. – Jest wzorem skromności...

– Uhahahah...

– Kurwa, nie śmiej się, tak właśnie jest! – ryknął Zagajewicz, grzmocąc pięścią w blat stołu, aż podskoczyły wszystkie szkła. Koledzy umilkli. Ciech patrzył na Zagajewicza niemal z oddaniem, Balcerzak, nieco bardziej umiarkowany, starał się sprowokować dalsze zwierzenia w sposób nieco bardziej wyrafinowany.

– Eee, nie chce mi się wierzyć, że taka z niej świętoszka! Ładna z niej babeczka, a Paweł wiadomo... Mruk, ponurak, domator... Chociaż kocham tego gościa, ale muszę powiedzieć, że trafiło się ślepej kurze...

– No właśnie! – westchnął Zagajewicz boleściwie.

– Ciężko ci? Ciągłe masz ją na oczach? – podpytywał Ciech ze zrozumieniem.

– Kurwa. – Zagajewicz znów ukrył twarz w dłoniach, pokręcił głową i dyplomatycznie zmilczał.

Ciech i Balcerzak wymienili nad jego głową jedno porozumiewawcze spojrzenie.

– W sobotę chciała się przejechać konno. To nie. Posadził dupę na krześle i zabrał się za żarcie i gazety. Chciała jechać ze mną, wierzchem, to mi się wpierdoliła ta siostrzyczka z Artyściłą i uparł się, żeby jechała z nimi bryczką... A właściwie to on się uparł. Ależ się gnojek ślini na jej widok, ja pierdolę!

– Jaki znów gnojek? – Balcerzak z papierosem w zębach polewał pełne kielichy wódki. Wybuch śmiechu przy sąsiednim stoliku zagłuszył odpowiedź Roberta.

– Że co?! – przekrzykiwał gwar Balcerzak, pochylając się do przodu.

– Znasz siostrę Hanny?

– No pewnie, że znam. Fajna dupcia, tylko trochę... – trzymając papierocho w gębie, pokazał dłońmi znak, jakoby Matylda miała nieco za mało objętości w klatce piersiowej.

– No, to ona ma teraz narzeczonego...

Tak, wiedzieli. Obaj poznali go na jakiejś imprezie. Zdawało im się, że to raczej Matyldzie zależy bardziej na nim, niż jemu na niej. Wspólnie doszli do wniosku, że z tej mąki chleba nie będzie...

– No więc – podjął Zagajewicz z nieco sztuczną wesołością – tam się działa niezła komedia. Artysta był przezabawny! Tyle uciechy miałem dzięki niemu, że... no mówię wam!

– Dostawał się do żony Wencla? – Balcerzak zapytał z niedowierzaniem.

– Człowieku... – Robert odchylił do tyłu przystojną głowę i popatrywał na Balcerzaka spod półprzymkniętych powiek, puszczać jednocześnie „zagielek”. – Żebyś widział minę starego Rolicza!

– A on to widział? Był przy tym? Taaak?

– Ślepy kurwa nie jest! Chyba tylko jeden jedyny Paweł niczego nie dostrzegął!

– A co na to Hanna? – obojętnym głosem zagałł Ciech, rozparty na swoim fotelu.

– Bez zarzutu, panowie – rozłożył ręce Zagajewicz. – Przykro mi, że nie zaspokoilem waszej lepkiej żądz brudnych plotek! Nic na to nie poradzę, choćbym chciał ją sponiewierać, to nie mogę! Ani jednym słowem, ani jednym gestem nie pozwoliła sobie... Nawet wtedy, gdy...

Zagajewicz przerwał wywód i popadł w zamyślenie. Bezwiednie sięgnął po papierosa i zapatrzony w jakiś punkt nad stołem po omacku szukał zapalniczki. Ciech pośpieszył mu z pomocą, podsuwając zapaloną zapałkę.

– Co tak zaniemówiłeś?

– A nic. Po prostu mi się przypomniało, jak ich tam przypadkowo znalazłem...

– Kogo? – oczy Ciecha zaświeciły.

Zagajewicz w skrócie opowiedział, jak bryczka wpadła w bagno i jak potem napotkał Hannę z Igorem, włócząc się w poszukiwaniu swojego konia. Nie wnikał specjalnie w szczegóły okoliczności, które zmusiły go do pieszej wędrówki po lesie.

– Wyszedłem z krzaków i wpadłem prosto na nich – opowiadał, wydmuchując chmury dymu.

– No i co tam zobaczyłeś? Mówże! – Ciech siedział na koniuszku krzesła, a oczy błyszczały mu w sposób nieco uwłaczający godności czterdziestokilkuletniego ojca rodziny.

– Trudno powiedzieć! Po pierwsze, przeraziłem się, jak ujrzałem bryczkę, całą zatopioną w bagnie. Potem zobaczyłem ich! Hanna stała roztrzęsiona, a on ją uspokajał... Czy może... – Oczy Zagajewicza zrobiły się całkiem okrągłe, zdawał się przeżywać ową sytuację po raz wtóry.

– Czy może co? – przynaglał lekko podrażniony Ciech. Balcerzak milczał, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego kolegi. Jego mina zdradzała, że doskonale się bawi, obserwując zachowanie tamtych.

– Czy może do czegoś ją nakłaniał...? – z tym zapytaniem Zagajewicz zastygł, zwrócony w stronę Balcerzaka i zatopił w nim błędne, niewidzące źrenice.

– A czemu oni pojechali na przejażdżkę sami? – ze zmarszczonym czołem wtrącił zniecierpliwiony Balcerzak.

– Mówiłem wam przecież, kurwa mać, że pojechali w trójkę – z irytacją syknął Robert, wściekły, że Balcerzak przerwał tok jego myśli, tak powoli układających się w jakąś logiczną całość! – Tylko potem Matylda wróciła na jednym z koni do stadniny po pomoc. Jak ich znalazłem, Matylda już odjechała! Ale, ale, zaraz, zaraz...

Zapatrzył się przed siebie, niczym w transie. Trwało to kilka sekund. W tym czasie Balcerzak z Ciechem popatrywali na siebie znacząco, ale żaden nie śmiał się odezwać.

– Przecież potem mówili, że Matylda pojechała po pomoc, żeby wydobyć z błota drugiego konia... – Zagajewicz marszczył z wysiłkiem czoło.

– Kto tak mówił? – Ciech dedukował niczym Watson.

– Cicho! – bełkotliwie wrzasnął wstawiony notariusz, pragnący najwyraźniej dotrzeć do

końca owej historii. – To irrelewantne! Mów, Zagaj, bo zapomnisz początku zdania!

– Mówili, że pojechała po pomoc, a jak ja tam dotarłem, to już konia wyciągnęli! – zakrzyknął triumfalnie Zagajewicz.

– No i co z tego? – z zimnym spokojem dedukował notariusz.

– To znaczy, że wiedział, że da radę sam konia wyciągnąć, lecz posłał narzeczoną, by zostać z Hanną sam. Rozumiesz wreszcie czy nie?! – wrzasnął Zagajewicz, zmiatając ze stołu stojący przed nim dzbanek z sokiem i rozpryskując go w drobny mak.

Knajpiany gwar ucichł, wszyscy spojrzeli w ich kierunku. Z wnętrza knajpki zbliżał się menedżer w asyście dwóch rosyjskich kelnerów. Notariusz, widząc, że skaleczenie na ręce Zagaję nie jest głębokie, szybko poderwał się i ruszył na spotkanie ze zmierzającą w ich stronę trójką. Trzeba było prędko załagodzić sprawę.

Na wojnie i w miłości wszystkie chwytaki dozwolone

– Dlaczego nigdy nie chcesz, bym do ciebie wpadł w weekend? – Mati, rozleniwiony, wodził palcem po odsłoniętej szyi Antoniny. Siedziała tyłem do niego, po turecku, na brzegu hotelowego łóżka, sprawdzając maile na przenośnym mackintoshu. Odwróciła się i utkwiła w nim rozbawione spojrzenie. Potem odłożyła komputer i szczelnie otuliła się białym szlafrokiem. Jej wargi wygiął chłodny uśmiech, nie spuszczała z Mateusza wzroku.

– Chodzi ci o moją żonę? – Mati oparł głowę na łokciu i przyglądał się jej z podobnym uśmiechem. Trwali tak w milczeniu chwilę, aż Mati parsknął śmiechem, wtulając twarz w poduszkę. Potem podniósł na nią proszący wzrok, lecz nadal patrzyła na niego z tym samym chłodnym uśmiechem.

– Antosiu. Nineczko. Ninuś – przymilał się do niej, układając usta w dzióbek – już nie patrz tak na mnie. Masz rację. Wygrałaś! No, chodź tutaj. – Próbował ją do siebie przyciągnąć, lecz z marnym skutkiem.

– Wiem, wiem – próbował ją rozbroić – jestem dupkiem do kwadratu! Nie powinienem nigdy zaczynać tego tematu, tak? – spytał zawiadaczko, podnosząc jedną brew. Nie odpowiedziała. Zamiast tego wstała i poszła do łazienki. Po chwili usłyszał szum wody pod prysznicem. Zerknął na zegarek. Cholera, jak ten czas szybko leci. Zostały im tylko dwie godziny do spotkania z agencją, z którą mieli zatarg. Niby obecność Antoniny nie była konieczna, ale nadszedł piątek i Mati nie wyobrażał sobie, jak miałby dotrzeć do poniedziałku bez tego wspólnego wypadu. We dwoje.

Niepotrzebnie zagaił w ten sposób. Nie była kretynką, którą mógł zwodzić. Wstał i przejrzał się w lustrze. Oczy jakby lekko podpuchnięte? Przybliżył twarz do lustra, jednym palcem odciągnął worek pod okiem. Białka miał zaczerwienione, niedobrze! Musi zdrowo odespać, zrobi to w weekend. Trzeba też będzie pojeść ekologicznej żywności, jednym słowem, zregenerować się nieco. Pewnie Karolcia pichci coś smacznego na jego powrót. Z nową energią rzucił się w stronę drzwi od łazienki i jakież było jego zdumienie, gdy odkrył, że są zamknięte. Na klucz.

Zapukał gromko, lecz woda nie przestawała lecieć.

– Antosia! Antonina! – wołał. – Zostały nam dwie godziny! – zawołał nieco histerycznie. Szum wody nie ustawał. Po piętnastu minutach Mati podszedł do drzwi i zagniewanym głosem zawołał:

– Specjalnie nakręciłem w robocie tę aferę, żebyśmy mogli swobodnie wyjechać, a ty marnujesz nasze dwie ostatnie godziny razem!

Nie było odpowiedzi. Mati skoczył na łóżko i postanowił cierpliwie poczekać. Spokojnie. Było jeszcze trochę czasu, który można było rozsądnie zagospodarować. Oddał się miłym rozmyśleniom, jak najlepiej wykorzystać tę godzinę i czterdzieści pięć minut. Potem trzeba będzie jeszcze zjeść śniadanie. Wprawdzie ma ochotę jedynie na kawę... Ale nie lubił pić w pośpiechu, co to, to nie... Spokojnie, spokojnie, znów popada w neurotyczne planowanie. Musi wziąć się w garść, inaczej niedługo będzie kłębkim nerwów. To może źle wpłynąć na jego potencję. Nie, tylko nie to. Samosprawdzające się przepowiednie. A kysz, a kysz, sio. Relaks. Medytacja. Branie tego, co życie przyniesie... Każda tego typu chwila, wolna od utarczek w robocie, musi zostać należycie wykorzystana, tfu, złe słowo: wykorzystana. Musi być poświęcona na medytację. Czas przepływa przez niego. Niczym ludzie Wschodu, z pokorą przyjmie to, co do niego przyjdzie. Jest jedynie obserwatorem, a każde zdarzenie, każda sytuacja nie dzieje się bez przyczyny... I może teraz powinien się czegoś nauczyć. Rezygnacji? Tego, że nic nigdy nie jest takie, jak się zaplanuje? Kurwa! To, że minęło piętnaście pierdolonych minut, a woda nadal szumi, nie wpłynie negatywnie na jego postawę?! Nie zepsuje mu dnia? To nierealne! Czuł wzbierającą wściekłość i narastające podniecenie, choć wiedział, że są coraz mniejsze szanse na to, aby zostało zaspokojone.

Nagle szum ustał. Natychmiast poprawił mu się nastrój, gotów był jej wybaczyć, byle tylko mieli czas na choć jeden krótki numer, nic wyszukanego. Zadowolony nawet parominutowa laska, nie jest wybredny! Odgłosy w łazience zmieniły się, lecz nagle włączyła się suszarka! Mati

poderwał się z wściekłością i wybiegł na taras. Ciepłe powietrze napływało z zachodu, Wawel wyglądał rozkosznie w promieniach porannego słońca! Och, móc doświadczać tego wszystkiego bez przykrych, uporczywej, neurotycznej świadomości! Za wszelką cenę zmusi swój organizm do posłuszeństwa! To on panuje nad ciałem, a nie ciało nad nim. Usiadł na fotelu i usiłował czerpać dobrą energię z kosmosu. Gdy zdołał się nieco zrelaksować, nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi łazienkowych. Z godnością podniósł się z fotela i powoli, niespiesznie wszedł do pokoju.

Niestety, niedługo dane mu było cieszyć się tą równowagą. Widok Antoniny kompletnie ubranej i umalowanej, gotowej do wyjścia, doprowadził go do cichego wrzenia. A więc to tak. Nie chciał w nic pogrywać, ale sama się o to prosi. Minął ją bez słowa i wszedł do łazienki. Pod lodowaty prysznic.

Siedzieli w hotelowej restauracji i powoli popijali kawę. Oboje ubrani w ciemne marynarki, wyposażeni we wszelkie możliwe dobrodziejstwa współczesnej technologii, notebooki, płaskie komórki, w uszach mieli słuchawki i każde z nich prowadziło rozmowę telefoniczną cichym, skupionym głosem. Antonina konsultowała poprawki, które naniosła do umowy dla Telecommerce, Mati zatwierdzał szczegóły nowej kampanii wizerunkowej. Zdawali się nie dostrzegać siebie nawzajem, lecz uważny obserwator na pewno odnotowałby głęboką zmarszczkę na czole Matiego i niebezpieczne błyski w oczach Antoniny.

Jej platynowe włosy odcinały się od czerni marynarki, okulary bez ramek przydawały konserwatywnemu kostiumowi nowoczesności i szyku. Mati zerkał na nią przelotnie, starał się, by nie dostrzegła jego spojrzeń. Zachowywali się, jakby byli sobie kompletnie obcy. Jeszcze miesiąc temu bawiło ich to. Dziś zdawało im się inaczej. Mati miał nadąsaną minę, wiedział o tym, lecz nie zamierzał nawet tego ukryć. Zimna suka. Wytwór dwudziestego pierwszego wieku. Oto, jakie będą kobiety za sto lat. Trochę szkoda...

Do DreamTeam, nowej agencji, która robiła im ogólną kampanię wizerunkową, dotarli taksówką, w całkowitym milczeniu. Antonina przeglądała umowę, Mati patrzył przez okno. Jakież pretensjonalny ten Kraków. Wielogodzinne biesiady w knajpach, rozpolitykowane kawiarnie, ostentacyjne uchylanie kapeluszy! „Klimatyczne knajpy”? A cóż to takiego jest? Stara maszyna do szycia i wieszak wywleczony ze śmierdzącego strychu, lokalizacja Kazimierz i masz, kurwa, klimat. Bałby się tam cokolwiek zjeść!

- Lubisz Kraków? – zagaił chłodno, ciągle patrząc przez okno.
- Nieszczęśliwie. – Nie przedstawiała wertować umowy.
- Czemu?
- Przypomina mi mojego byłego...
- Jak to?
- Za dużo konwersacji, za mało akcji...

Zajechali pod świeżo odremontowaną kamienicę, weszli po kamiennych schodach. Agencja zajmowała całe poddasze, wewnątrz było imponującą mieszanką zabytkowych fragmentów i nowoczesnej technologii. Zostali wprowadzeni do salki konferencyjnej i dosłownie ich zamurowało. Białe wewnątrz doświetlone było przez przeszklony westybul. Owalny, biały stół stał dokładnie pod nim. Rozproszone światło, niczym na planie zdjęciowym, padało w taki sposób, że tuszowało wszelkie niedoskonałości cery, wszyscy więc wyglądali i czuli się w pełni komfortowo. Nie było ani za zimno, ani za gorąco, a plastikowe fotele okazały się być nie tylko ładne, ale i wygodne.

Kawę podał miły i bezpretensjonalny chłopak, dookoła panowała atmosfera gościnności i małopolskiej otwartości. Zarówno Mati, jak i Antonina pluli sobie w brodę za niepochlebne słowa wypowiedziane pod adresem mieszkańców dawnej stolicy. Całe otoczenie i zachowanie gospodarzy było nacechowane wszystkim, tylko nie pretensjonalnością. Pracownicy tej średniej wielkości agencji byli uprzejmi i rzeczowi, a prawnik, co przyjęli ze źle ukrywanym zdumieniem, nie dość, że miły i kompetentny, to jeszcze nie należał do żadnej sieciówki. Prowadził własną praktykę, był z Krakowa. Szok.

– Pan pozwoli, że podsumuję – zaczął niepewnie pan Piotr Hrubieszkański, właściciel DreamTeam, kulturalny, spokojny człowiek, w niczym nieprzypominający właścicieli agencji,

z którymi Mati i Antonina miewali zazwyczaj do czynienia. – Tak, żeby nasz pan mecenas jeszcze raz się z tą sprawą osłuchał.

Antonina podniosła wzrok na prawnika drugiej strony, żeby zobaczyć, czy mieli do czynienia z kimś opóźnionym, czy może niedosłyszającym. Nie, wyglądał jakby cieszył się doskonałym zdrowiem. Więcej nawet, był dość przystojny i uchwycił jej spojrzenie. Lekko się do niej uśmiechnął, Antonina również posłała mu porozumiewawczy uśmiech. Trzask! To pękł ołówek, którym Mateusz bawił się od jakiegoś czasu.

– Oj, najmocniej przepraszam. – Z miną winowajcy, z namaszczeniem złożył szczątki ołówka i okazując wielką koncentrację, zwrócił się wraz z fotelem w stronę perorującego od kilku minut sympatycznego pana Piotra.

– Tak więc, faktycznie wystąpił błąd po stronie naszego accounta, w kampanii wykorzystaliśmy wizerunek software'u Oracle bez ich zgody, a nasz account uzyskał jedynie jakieś pozwolenie od ich dystrybutora na Polskę.

– Co w istocie nie ma żadnej mocy prawnej bez potwierdzenia umocowanego przedstawiciela Oracle – wtrąciła Antonina znad włączonego laptopa.

Mati zerknął na nią z ukosa i prawie niezauważalnie pokręcił głową z ironicznym uznaniem. Jego cyniczny wzrok mówił „genialne, przygwoździłaś go”. Antonina nie zwróciła na ten gest najmniejszej uwagi. Ze zmarszczonymi brwiami, w skupieniu patrzyła raz na pana Piotra, raz na ekran komputera.

– Oczywiście, mam tego świadomość, ten człowiek jest młody, popełnił błąd...

– Ale, o ile mi wiadomo – energicznie wmixował się prawnik drugiej strony – państwo na własną rękę doszli z Oracle do konsensusu i sprawa została zażegnana? Nie ma więc podstaw do... niepokoju?

– Sprawa zażegnana? – Mateo uśmiechnął się niebezpiecznie. – Mówi pan z takim spokojem o czymś, co nam spędzało sen z powiek przez ostatnie parę tygodni. Tylko dzięki dobrej woli reprezentantów Oracle, tylko dzięki niezwykłym znajomościom najwyższej postawionych pracowników Telecommerce udało się zażegnać ten konflikt bez przykrych konsekwencji... bez procesu o wykorzystanie...

– O bezprawne wykorzystanie autorskich praw majątkowych i znaku towarowego – podsunęła Antonina.

– Przepraszam, pani mecenas, dobrze wiem, co chcę powiedzieć – warknął Mati. Antonina zagryzła wargi. Przedstawiciele agencji wodzili błyszczącymi oczami od jednego do drugiego. Mati milczał parę sekund, jakby chcąc się opanować. W końcu chrząknął, poprawił krawat i odchylił się w fotelu.

– Nie będę wyliczał strat moralnych, jakie z tego powodu ponieśliśmy... Mogą sobie państwo doskonale wyobrazić atmosferę, która panowała u nas w firmie przez ostatnie tygodnie. Konsekwencje tego, w razie gdyby sprawy nie udało się załagodzić polubownie, również zostawiam państwa wyobraźni. Na razie nie zamierzamy wnosić o jakiegokolwiek odszkodowanie, ale chcemy usłyszeć, jak macie państwo zamiar zrekompensować naszą szkodę?

– Cóż, może jakiś upust przy regulacji należności?

– Szanowny panie prezesie, za pozwoleniem, jakiś upust? – Mati pochylił się i oparł łokcie na stole. – Wie pan, na jakie potencjalne straty nas pan naraził? Czy wie pan, że to ja bym był osobiście odpowiedzialny, gdyż to ja państwa zatrudniłem?

– Czego więc pan oczekuje? – pan Piotr z rezygnacją odchylił się na oparcie i zginał wpół kartkę.

– Abyście zrealizowali nam kampanię po kosztach. – Mati z uśmiechem złożył nogę na nogę i wodził wzrokiem od pana Piotra do jego prawnika. Pracownikom agencji zrzedły miny.

– Dajcie nam, państwo, sekundę do namysłu – pan Piotr wstał i zwrócił się do prawnika: – panie Marcinie, proszę na słówko.

Gdy dwaj mężczyźni znikli za szklanymi drzwiami, Mati uśmiechnął się rozbijając do pozostałej w sali garstki osób i zapytał:

– A gdzie w Krakowie można zjeść najlepsze sushi?

Siedzieli w pociągu, w Warszawie, otoczeni sprzętem elektronicznym, pogrążeni we wrogim milczeniu. Mati kilka razy usiłował ją zagadać, lecz ciągle nawijała przez telefon komórkowy. Była wyraźnie zagniewana. Po wyjściu z agencji odezwała się tylko raz. Ostrzegła go, że jeżeli jeszcze kiedykolwiek zwróci jej uwagę w obecności drugiej strony... Nie dokończyła zdania. Mateusz chciał rzucić coś złośliwego, ale widząc wyraz jej twarzy, pohamował się.

Kelner przyniósł dwie kawy. Mati napił się. Smakowała obrzydliwie. Skrzywił się. Antonina wciąż rozmawiała. Zdaje się, z Vincentem. Mówili po francusku. Kawa stygła. Dał jej znak, że stygnie, lecz nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

Wreszcie zdjęła z ucha słuchawkę. Schowała notebooka do teczki i wyciągnęła dłoń po filiżankę z kawą. Mocno chwycił ją za rękę. Posłała mu lodowate spojrzenie, ale nie usiłowała się wyrwać. Uśmiechnął się do niej, na co ona zmroziła go sztucznym uśmiechem, jakim podwładna obdarza szefa.

– Zmazałbym ci ten uśmiech, gdybyśmy mogli zostać sami choć na pięć minut – wyszeptał, patrząc jej w oczy.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Zachowujesz się jak egocentryczny, mały chłopiec, któremu odmówiono cukierka. – Patrzyła wyzywająco. – Myślisz, że ukarzesz mnie tymi dąsami?

– To ty chcesz mnie karać. Po co to poranne przedstawienie? Chcesz mną manipulować, maleńka?

Wykazała niezwykle opanowanie. Jediną oznaką poruszenia było szybciej pulsujące tętno, miejsce na jej szyi, które zawsze wydawało mu się szczególnie pociągające...

– Mam wrażenie, że to ty chcesz manipulować mną. Po co te aluzje do weekendu? Wchodzisz na grząski grunt. Chciałam ci tego oszczędzić! – Patrzyła na niego spokojnie, lecz oczy jej nieco pociemniały.

– Posłuchaj. – Mati pochylił się z groźną miną, emocje ścisnęły mu gardło. – Ja nie chcę żadnych gier między nami. Chcę cię widywać w weekendy. Codziennie. Ja cię kocham.

Późnym wieczorem tego samego dnia leżeli na wielkim wodnym łóżku, w luksusowym hotelu nad Zalewem Zegrzyńskim. Przesuwane drzwi na taras były szeroko otwarte, wpadało ciepłe, wieczorne powietrze. Na zewnątrz wciąż paliły się świece i stała nietknięta kolacja.

Mati szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit. Jedną rękę trzymał pod głową, drugą głaskał przytuloną do niego Antoninę.

– Wiesz co? – Antonina podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Co? – Mati przyjrzał się jej uważnie, jakby wyrwany z zamyślenia.

– Ależ nie bój się tak! – roześmiała się, wodząc palcem po jego klatce piersiowej. – Nic takiego! Czemu jesteś taki napięty?

– Kochanie, nie bądźmy aż tak *cliche*, bardzo cię proszę. – Mati zrobił błagalną minę. – Nie podejrzewaj mnie teraz, że będę się z czegoś wycofywał!

– Ależ, skąd ci to przyszło do głowy? – wykrzyknęła z udawanym oburzeniem.

– Jesteś dla mnie stanowczo zbyt inteligentna! – kręcił głową z komicznym niezadowolaniem. – Żona powinna być głupsza! Powiadam ci, powinna być głupsza od męża! Albo mąż od żony! Inaczej to nie zadziała, mówię ci!

– No, kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć! – uśmiechnęła się niewinnie i pochyliła się, żeby go pocałować.

– Hmm, mam pewien pomysł... – wymruczał Mateusz.

– Czekaj sekundę, coś ci chciałam powiedzieć!

– Czy nie może to poczekać...

– O Kwaśniaku! – wykrzyknęła.

– Ooo! – Mateusz podniósł się na łokciu z oznakami zainteresowania. Sięgnął po kieliszek z winem, stojący nieopodal, na stoliku nocnym i oparł się o wezglowie.

– Dowiedziałam się o nim czegoś jeszcze. – Antonina założyła okulary i również wzięła do ręki kieliszek z winem. Mateusz patrzył na ich wspólne odbicie w lustrze zawieszonym naprzeciwko.

– Kwaśniak chwalił się ostatnio po pijaku mojemu znajomemu – ciągnęła Antonina, popijając wino – że poznał jakichś frajerów, dzięki którym będzie wkrótce, jak to określił, „obrzydliwie bogaty”...

– Coś takiego, co za szuja... – Mati odwrócił się w stronę Antoniny i przysunął twarz do jej twarzy. – Ale fajnie wyglądasz w samych okularach...

– Czekaj moment – odsunęła jego rękę i spojrzała mu w twarz. – Mówię ci o tym, bo wspominałeś, że ktoś z twoich znajomych rozważał z nim interes... Mati! Ach, przestań, zostaw... Nie rozśmieszaj mnie! Obleję tę piękną pościel! Telecommerce pokryje te straty? Ty draniu!

Czas refleksji

W piękny czerwcowy poranek Paweł krążył po swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie w fatalnym nastroju. Od rana co i raz napotykał powody do irytacji. Po pierwsze, w lodówce nie było nic do jedzenia. Po drugie, Hanna znowu do późna czytała na kanapie i zapomniała zgasić lampę. Za prąd przychodziły przecież horrendalne rachunki. Kwiaty nigdy nie były podlewane. O, proszę. Teraz też. Suche jak pieprz. Żeż kurwa mać! Podleważ, zalał sobie spodnie od garnituru. To on ma się zajmować takimi sprawami? Jak, według Hanny, wyglądają obowiązki żony?

Burcząc pod nosem, otworzył metalowy chlebak, by zrobić sobie kanapkę na śniadanie, lecz znalazł tam tylko zwiniętą, pustą reklamówkę. Bluzgnął siarczyście i z furią szarpnął za drzwiczki zamrażalnika. Nerwowym ruchem spenetrował jego zawartość w poszukiwaniu gofrów. Wymacał je na samym końcu, jednocześnie wyrzucając niechcący na podłogę słoik z zamrożonym bigosem, który rozbił się z hukiem o kamienną posadzkę.

– Cholera jasna... – syknął i rzucił się w stronę zlewu, pod którym trzymali zmiotkę. Gdy uporał się z większymi okruchami szkła, usłyszał, jak otwierają się drzwi łazienki. Skończyła się kąpać. Zamarł na sekundę, po czym zerwał się, wrzucił zawartość szufelki do kosza na śmieci i ruszył przez jadalnię w stronę części sypialnianej.

– Kawalka chleba nie ma w domu, a ty jesteś zajęta organizacją wystawy – sarknął w stronę Hanny, stojącej przed wielkim lustrem i zapinającej białą bluzkę. Chcąc nie chcąc, zagapił się na jej biust. Bluzka interesująco opinała się na jej krągłościach. – Stanik ci prześwituje. Włóż cielisty – jego głos przypominał warczenie psa.

Hanna spojrzała na niego przelotnie i nie racząc nawet odpowiedzieć, założyła na koszulę dopasowaną kamizelkę, zakrywając newralgiczne miejsce. Potem upięła włosy w niski kok i stukając obcasami, wyminęła go, idąc do kuchni.

– Nie widziałem tych butów – burczał, idąc za nią. – Nowe?

– Nie – odparła, nie fatygując się nawet, by odwrócić się w jego stronę. Weszła do kuchni i widząc na podłodze resztki kapusty, oderwała kawałek ręcznika papierowego i pochyliła się, by je pozbierać. Elegancka spódnica w kolorze marengo ładnie opinała jej pupę.

– Nie za bardzo wycięty ten rozporek? – Paweł oparł się o framugę drzwi i wojowniczo założył ręce na piersi.

– Raczej nie. – Nasypała kawę do maszynki i nie patrząc na niego, usiadła przy kuchennym stole, biorąc do ręki wczorajszą gazetę.

– Chcesz też? Kawy? – podniosła na niego wzrok, jakby przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że wciąż tam stał.

– Nie! – wybuchnął. – Jakbyś nie pamiętała po pięciu latach małżeństwa, to pragnę ci przypomnieć, że rano NIGDY nie piję kawy. Tylko herbatę!

Szybko dopiła, wstawiła filiżankę do zmywarki i ruszyła w stronę wyjścia.

– Zaczekaj! – spiętym głosem zawołał za nią Paweł. Odwróciła się z ociąganiem.

– Mam na dziś bilety do filharmonii na koncert chopinowski...

Zawahala się i po chwili odpowiedziała:

– Ale mówiłam ci przecież, że mam dziś wieczorem spotkanie z Zalewskim...

– Z jakim znowu Zalewskim? – warknął, choć doskonale wiedział, kim był Zalewski i po co Hanna miała się z nim spotkać.

– Z dyrektorem CSW w sprawie narzeczonego Matyldy – oschle wyjaśniła Hanna.

– Narzeczonego Matyldy, powiadasz... – Zjadliwy uśmiech zadrgał w kącikach ust Pawła i po chwili zgasł. – No, coś tam wspominałaś, ale po pierwsze, nie rozumiem twojej roli w tym wszystkim, a po drugie, nie zrozumiałem z twojej wypowiedzi, że owo ważne spotkanie ma odbyć się właśnie dziś wieczór...

– No to już wiesz. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę hallu. Paweł ruszył w ślad za nią. Weszła do garderoby i szukała czegoś po kieszeniach marynarek.

– Twoje kluczyki leżą tu – jadowitym głosem oznajmił Paweł, stojąc tuż za jej plecami,

niemal chuchając na jej szyję. Odwróciła się i z przymkniętymi powiekami, jakby nie chcąc go oglądać, wysunęła otwartą dłoń, w którą wrzucił klucze od samochodu. Pilnował, by nawet nie musnąć jej palców.

Tego samego poniedziałkowego poranka Matylda jadła śniadanie z matką, w kuchni ich rodzinnego domu na Żoliborzu. Okna były pootwierane, z ulicy wpadało ciepłe powietrze. Wszystkie drzewa okryły się bujną zielenią, w pełni rozkwitu. Na drutach wysokiego napięcia gruchał gołąb. Dzień zapowiadał się gorący.

– Słyszałaś się z nią? – zagaiła w końcu Anna, zbierając ze stołu papiery Edka.

– Jest zajęta.

– Czym znowu?!

– No tą wystawą. Igora – odparła Matylda mocno zirytowanym tonem.

– Aż tak musi się w to angażować? – Anna ze zdumieniem uniosła brwi. Chłopaka Matyldy nie widziała od maja, kiedy przyjechał do nich na Mazury i przez większość czasu siedział na werandzie, kopiąc papierosy i wertując rozwiązane już szarady.

– Taka wystawa pochłania sporo czasu, a ona czuje się teraz osobiście odpowiedzialna, nie dziwne więc, że jest zaangażowana.

– Oj, owszem! Zaangażowana to ona jest...

– Chyba muszę lecieć. Dzięki za śniadanie. – Matylda hałaśliwie odsunęła krzesło i zniknęła za drzwiami.

Po wyjściu Matyldy Anna dłuższą chwilę stała nieruchomo. Chciała dzwonić do Edka, ale uświadomiła sobie, że nie miało to najmniejszego sensu. Ten do bólu prawy człowiek zawsze gotów był szukać w zachowaniu każdego dobrych pobudek. Rozmowa z nim nie przyniosłaby niczego prócz nerwów. Po pierwsze, nie widziałby nic zdrożnego w tym, że Hanna tak pieczołowicie zajęła się karierą Igora. Twierdziłby zapewne, że to w dobrej wierze! Naiwność mężczyzn nigdy nie przestanie jej zdumiewać! I jak ten człowiek już tyle lat wykonuje (i to z powodzeniem, trzeba przyznać) zawód polegający w dużej mierze na znajomości natury ludzkiej! Zdumiewające! Wiedziała nawet, że jego koronnym argumentem byłoby, iż przecież nic się jeszcze nie stało! Jednak miarą człowieka inteligentnego jest zdolność przewidywania faktów. Nawet jeśli nie kieruje się żadnymi przesłankami, a tylko i wyłącznie kobiecą intuicją!

W ten poniedziałkowy wieczór Matylda wróciła do siebie, na Mostową, kompletnie wykończona. Jagodzińska zrobiła jej kolejną zjebkę za coś, za co tak naprawdę odpowiedzialny był jej przydupas, Rocki. Matylda znajdowała się w dość szczególnym stanie ducha, wdała się więc z szefową w ostrą wymianę zdań, która zakończyła się złowieszczą, a mianowicie Jagodzińska bez słowa wymaszerowała z pokoju Matyldy.

Do końca dnia oczekiwała, że za chwilę Jagodzińska wpadnie do niej z wymówieniem, lecz nic takiego nie następowało. Zastanawiała się, czy sama nie powinna uprzedzić wydarzeń i nie udać się natychmiast na rozmowę z kadrami albo wręcz z samym GM-em, tak jak wcześniej planowała. W myślach układała sobie, co dokładnie powiedzieć, lecz w końcu nie odważyła się na decydujący krok.

W domu natychmiast otworzyła butelkę wina i wypila dwa kieliszki, jeden po drugim. W połowie trzeciego w jej głowie na chwilę zaświtała myśl, by zadzwonić do Igora, lecz odgoniła ją precz. Nie poniży się już więcej.

Zamiast tego impulsywnie wybrała inny, już prawie zapomniany numer.

– Matylda? – w głosie rozmówcy brzmiało radosne niedowierzanie. Obrzydlistwo.

Duszkciem dopiła wino i nie siląc się nawet na grzeczność, zakomunikowała prawie gniewnie:

– Jak chcesz, możesz dzisiaj wpaść...

Woda na młyn

– Nie, tak nie może być – zawył Zagajewicz, załamując ręce nad prosto udekorowanym stołem, nakrytym dla czterech osób. – Wyciągnij tę lepszą zastawę!

– Jesień? – zdumiała się Marzena Zagajewiczowa, marszcząc z ironią brwi. Nie widziała specjalnego powodu, by się tak starać. Mąż rodzinę by sprzedał, byle tylko należycie ufetować kolegów! A kim, przepraszam, był dla nich jakiś mecenas Kwaśniak?

– Rób, co mówię, kobieto! – zakrzyknął władczo, po czym sam rzucił się do kredensu wymieniać zastawę. Padł na kolana i gmerał wśród porcelany ustawionej na najniższej półce.

– Zostaw, pobijesz! – wrzasnęła Zagajewiczowa. – Odejdź, ja to zrobię. Myślałby kto... – burczała, z pietyzmem wyciągając serwis, który dostali w prezencie ślubnym – że nie wieśniak z Pabianic, a sam papież przychodzi do ciebie na kolację...

Kucali oboje obok zdobnego kredensu, wyciągając malowane w szarozielone zawijasy talerze i ustawiając je na błyszczącym, orzechowym stole. Marzena swym sokolim wzrokiem dojrzała na małych talerzykach kropki. Prędko poleciała po ścierkę.

– Głębokich nie dajesz? – lekko ochryplym z emocji głosem zapytał Robert, patrząc na żonę z tłumioną irytacją.

– A na cholerę? – Marzena zwróciła w jego stronę twarz. – Nie ma zupy!

– Myślałem, że spaghetti?

– Nie robiłam żadnego spaghetti – fuknęła rozeźlona Marzena.

– To co w ogóle zrobiłaś? – sapnął Zagajewicz, nalewając sobie drinka i popatrując na nią ze źle skrywaną niechęcią.

– A różne przekąski...

– A na ciepło? – Robert opróżnił pół szklanki whisky jednym haustem.

– Będzie na ciepło, nie trzęś się tak! Znalazłam taki fajny przepis na parówki po kanadyjsku z...

– Upadłaś na głowę? Parówki?! – Wytrzeszczył oczy i patrzył na nią groźnie, lecz Marzena nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległ się dzwonek u drzwi. Zagajewicz z wściekłością wyminął ją i ruszył otworzyć. Nagle zwolnił, odwrócił się w jej kierunku, pogroził jej palcem i wysyczał: – Dzięki niemu możemy nieźle zarobić! Więc masz być supermiła! – Ostatnie zdanie wycedził cicho, lecz dobitnie, groźnie szczerząc zęby. W następnej chwili stali w progu i cali w uśmiechach witali energicznego światowca i jego towarzyszkę.

– Cóż za piękny wystrój! – wykrzyknęła młoda kobieta, rozglądając się wprawnie wkoło. – Sama projektowałaś? – Zwróciła w stronę Marzeny bystre oczka.

– Asia marzy, by zostać dekoratorem wewnątrz – z hałaśliwym śmiechem wmieszał się Kwaśniak, obejmując partnerkę ramieniem. – Jest estetiką *par excellence*, po prostu organicznie nie toleruje brzydoty. Taka artystyczna dusza, zero pragmatyzmu!

„Artystyczna dusza” zagryzła wargi i powstrzymała się od odpowiedzi. Zamiast tego, taksującym wzrokiem szperała po najdrobniejszych szczegółach strojów gospodarzy, rysów ich twarzy oraz przedmiotów znajdujących się w zasięgu wzroku. Nagle coś przykuło jej uwagę. Jak na istotę tak niepraktyczną, zaskakująco sprawnie znalazła się przy bufecie, na którym spoczywały rodzinne pamiątki i już piała z zachwytem, pokazując coś Kwaśniakowi. Marzena nieufnie ruszyła za nimi. Okazało się, że Asia dostrzegła mosiężną figurkę, która była niezwykle podobna do figurki, która stała w domu jej siostry.

– W ogóle muszę przyznać, że tak mi się spodobało wasze mieszkanie, bo wystrój jest niemal identyczny z tym, który jest u mojej siostry.

– Naprawdę? – Marzena uśmiechała się chłodno, poprawiając serwetę na bufecie. – Oglądajcie śmiało, tam jest taras...

– Tyle że siostra i szwagier mają wielki dom! – weszła jej w słowo niezwykle ożywiona Asia. – Ale jeśli chodzi o kolorystykę, o grę światła, o desenie, to wypisz wymaluj, dom mojej siostry. – Asia wodziła wzrokiem po każdym szczególe. Na jej twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie, jakby nie mogła uwierzyć, że na ziemi mogą znajdować się dwa identycznie urządzone

domy. – Spójrz, Mirek! Nawet kuchnia jest taka sama!

Mirosław Kwaśniak musiał zorientować się, że komentarze uraziły panią domu, bo nagle wykrzyknął:

– Dom domem, ale gospodyni! Robert, z całym szacunkiem, ja rozumiem, że jesteś człowiekiem mądrym i roztroptym, ale urody to ci Bozia poskąpiła, a nic nie wspominałeś, że twoja małżonka... – nie dokończył zdania, za resztę wypowiedzi posłużył uśmiech pełen uznania i niedowierzające kręcenie głową. Było to najbardziej dogodne wyjście z tej karkołomnej wypowiedzi, jako że niewiele było na świecie kobiet, które miałyby mniej powodów do dumy na tle swej urody. Jedyne atuty Zagajewiczowej – okazały biust – był dziś ukryty pod luźną bluzką koszulową.

Jednak, choć w tej sytuacji wydawałoby się to co najmniej niezwykle, Marzena wyraźnie się rozpozogodziła. Wprawdzie burknęła tylko: – Eee tam, przesada – i machnęła lekceważąco ręką, ale widać było, że komplement uznała za szczery.

Ochoczo zakrzętnęła się przy kredensie, wyciągając frykasy na specjalne okazje. Na stoliku do kawy pojawiły się precelki, daktyle oraz mix orzeszkowy, który podawany był zazwyczaj na święta, a wszystko to w okazałych ilościach! Tymczasem uprzejma pani domu już serwowała aperitify.

– Martini czy Pernod? – spytała zza barku z alkoholami.

– Martini z oliwką, *s'il te plait*.

Gdy Marzena przyniosła kieliszki, Zagajewicz poderwał się z miejsca, przejmując je z galanterią. W świetle świec jego białka łyskały uwodzicielsko. Marzena w pełnym ukontentowaniu oddaliła się do kuchni, aby podawać do stołu. Asia rzuciła się w ślad za nią. Jej zdaniem należało dać mężczyznom pogadać.

Robert ciężko opadł na kanapę naprzeciwko Kwaśniaka i uśmiechnął się porozumiewawczo. Unieśli kieliszki i upili trochę, patrząc na siebie znacząco.

– Jak tam nasze sprawy, mecenasie? – Kwaśniak lekko uniósł jedną brew.

Zagajewicz wychylił duszkiem aperitif, umościł się trochę inaczej na kanapie, przyjmując pozę nieco bardziej obronną i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Cholera jasna, są problemy... – i pstryknął palcem dla dodania sobie animuszu.

Błysk rozczarowania mignął w oczach Kwaśniaka, lecz promienny uśmiech nie opuszczał jego warg – niezmienny, jakby przyklejony plastrem. Odchylił się na miękkie oparcie, założył nogę na nogę.

– W czym, *par excellence*, tkwi problem, przyjacielu? – w jego głosie znać było przejęcie i chęć niesienia pomocy.

– Hmm – Zagajewicz rozluźnił się nieco. – Niestety, Budexprim nie planuje w tym roku już żadnych inwestycji, mają zamknięty budżet. Podobno. – I badawczo zerknął na Kwaśniaka.

– Zaskakujesz mnie, przyjacielu! – Kwaśniak uśmiechał się z niedowierzaniem. – To jakby ktoś przechodził obojętnie koło trzydziestu baniek wiszących na drzewie! Obojętnie, bo nie chciało mu się wyciągnąć w górę ręki, żeby je zerwać!

– Paweł twierdzi, że nie mają po prostu środków – wyrzekłszy te słowa, Zagajewicz patrzył się na Kwaśniaka wyczekująco. Jego wzrok zdawał się mówić: „Przyjacielu, zdaję się na ciebie, jak czegoś nie wymyślisz, to leżymy”.

Kwaśniak milczał chwilę, pocierając podbródek. Głęboko zmarszczył brwi.

– Winka? – usłużnie zapytał Zagajewicz cichym, kojącym tonem, lecz Kwaśniak pokręcił przecząco głową i odprawił go gestem. Robert, który lubił się napić, bezszelestnie wysunął się zza ławy i ruszył do baru. Skoro Kwaśniak, tęga głowa, już się nad tym zastanawia, to on jest niejako zwolniony. Może wypić kielonek. Uff, najgorsze za nim. Dzięki Bogu, Kwaśniak przyjął to tak łagodnie! Wielkoduszny z niego człowiek, naprawdę! Co za muł z tego Pawła! Ciągłe piętrzy trudności, marnując kolejne okazje do zarobienia pieniędzy!

Chyłkiem wychylił wielki kielich czerwonego wina, po czym wlał sobie następny i ruszył w stronę kanapy. Z kuchni dobiegał piskliwy głos Asi, rozplywającej się w zachwytach nad solniczką. Kwaśniak tkwił w tym samym miejscu, patrząc nadal w ten sam punkt. Na jego czole

rysowała się głęboka, pionowa zmarszczka.

– No i? – zapytał Zagajewicz.

– Przyjacielu, nie będę owijał w bawełnę! – Kwaśniak patrzył mu prosto w oczy. – Moi znajomi mają wśród klientów licznych developerów... Wiesz, oni by się na to rzucili jak sępy. Wystarczy, że dam im cynk...

Zagajewicz bezskutecznie usiłował ukryć rozczarowanie.

– Ale – ciągnął Kwaśniak – wiesz, że cię polubiłem, Robson. I tak normalnie, po ludzku, po przyjacielsku, nie kierując się w życiu tylko zyskiem, pomyślałem, że cholernie fajnie by było zrobić ten deal razem. Na poczet czegoś większego...

– Stary... Brak mi słów.

– Nie mów nic. – Kwaśniak uspokajająco uniósł prawą dłoń. – Ja też mam w tym pewien interes. Cholera, nie będę zgrywał dobrego samarytanina!

Obaj zaśmiali się hałaśliwie. Zagajewicz poruszył się niespokojnie i szybko opróżnił kieliszek.

– Czego oczekujesz? – Zagajewicz patrzył z ukosa.

– Stary, niczego, czego ty byś sobie nie życzył! – Kwaśniak siedział z serdecznie wyciągniętymi dłońmi. – Z prezesami sieci handlowych mam osobiste układy, których wstyd byłoby nie wykorzystać! Nie chcę być już wyrobnikiem w sieciówce – chcę pracować na własne konto. I tych klientów chcę przyprowadzić tobie. No i co? Źle na początek? – patrzył na Zagajewicza z uśmiechem. – A co do naszego dealu, to czy jesteś pewien, że twój wspólnik przedstawił im to w odpowiednim świetle? Czy mówił, że zarabiają trzydzieści milionów na czysto? Aż mi się wierzyć nie chce...

– Wiesz – na twarzy Zagajewicza malował się frasunek – Paweł wiedział, że to złoty interes i na pewno nakreślił im sprawę we właściwym świetle, a oni mają do Pawła ślepe zaufanie... Jeśli mu powiedzieli, że nie dysponują teraz środkami, to ciężka sprawa... Może poszukam innego klienta?

– Ja myślę, że powinienes jeszcze raz uderzyć do tamtych. Osobiście... – Kwaśniak mówił powoli, jakby mocno się nad czymś zastanawiał. – Wiesz, Paweł nie miał takiej motywacji, może więc nie był dostatecznie przekonujący...

Delikatnie się uśmiechnęli, lecz Zagajewicz nie był przekonany. – Ale to klient Pawła. Nigdy nie wchodzimy sobie w...

– Paweł, z całym szacunkiem do jego doświadczenia i profesjonalizmu, sprawia wrażenie człowieka bardzo zachowawczego i nadmiernie ostrożnego, żeby nie powiedzieć...

Znów uśmiechnęli się i zgodnie upili po solidnym łyku wina.

– Co ja ci mogę powiedzieć – Zagajewicz wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce. – Takiego mam wspólnika, ale złego słowa na niego nie powiem... – Po czym zaśmiał się, jakby zadając kłam wypowiedzianym słowom.

– A broń Boże – Kwaśniak teatralnie wyciągnął przed siebie ręce, niczym w obronnym geście. – Taki jest i to też trzeba cenić! Roztropność jest wskazana! Ja sam często sprawdzam coś setki razy i pierwszy powtarzam, że ostrożności nigdy dość! To najważniejsza cecha u prawnika! Ale trzeba dobrze wyważyć te cechy. Trzeba być roztropnym, ale w odpowiednim momencie mieć jaja, by postawić sprawy twardo.

– Dokładnie – gorliwie przytaknął Zagajewicz. I jego dziś nawiedziła podobna myśl. Co za zbieg okoliczności!

– Ty właśnie, stary, jesteś takim idealnie wyważonym człowiekiem – Kwaśniak patrzył na Roberta z powagą.

– Ja? – parsknął Zagajewicz, krztusząc się winem.

– Zawsze w cieniu wspólnika, co? – ze znanstwem kiwał głową Kwaśniak. – Brak wiary w siebie? Tylko mi nie mów, żeś z tych...

– Ależ z ciebie psycholog, stary – Zagajewicz zaśmiał się ironicznie, lecz zdawało się, że poczuł się lekko dotknięty. – Pewności siebie to mi akurat nie brakuje!

– To czemu tak zareagowałeś parę sekund temu? – Kwaśniak patrzył na Zagajewicza

przenikliwie.

– Stary, znam swoją wartość – wyprostował się Zagajewicz. – A że czasem się z Pawłem spieramy... Cóż. Dopełniamy się.

– Jasne, jasne! – gorliwie potakiwał Kwaśniak. Nie chciał przeciągać struny w niewłaściwym momencie. – O! Chyba panie wołają nas do stołu! Cudownie się dogadują, zauważyłeś?

– Taaa – zagulgotał Zagajewicz, opróżniając butelkę do końca i ukradkiem odstawił pustą za kanapę. Zamierzał pozbyć się jej dyskretnie nieco później. Po co Marzena ma zrzędzić?

– Łososia? – Robert zachybotał się z półmiskiem nad narzeczoną Kwaśniaka.

– Robert – ostro zakrzyknęła Marzena – leje się na obrus!

– Gdzie się leje, tam się dobrze dzieje – odparł Zagajewicz, puszczając oko do narzeczonej Kwaśniaka. W jego głosie wibrowała znajoma, zaczepna nutka. Szklanka whisky, dwa aperitify i butelka wina, niemal w całości opróżniona tylko przez niego, robiły już swoje. – Nie martw się, wkrótce będziesz jadać na złotogłowie...

Marzena zacisnęła zęby i pobiegła do kuchni po ścierkę. Tymczasem rozbawiona, lecz usiłująca to ukryć narzeczoną Kwaśniaka usiłowała wytrzeć plamę z oliwy, używając do tego papierowej serwetki.

– Można? – Marzena z nutką zniecierpliwienia zamierzała zastąpić ją przy tej czynności. Takie certolenie się na pokaz! Papierem nie usunie się tłuszczu. Ze znanstwem wytrawnej gospodyni wyszorowała obrus do czysta, po czym z triumfem zerknęła na narzeczoną Kwaśniaka. – To jak się poznaliście? Z Robertem, mam na myśli...

Pytanie skierowane było do Kwaśniaka. Męża omijała wzrokiem. Kwaśniak mówił coś akurat do Zagajewicza, lecz widząc, że zwraca się do niego pani domu, szybko przeprosił „przyjaciela” i zwrócił się szarmancko w stronę jego żony.

– Na otwarciu nowej, ekskluzywnej siedziby pana mecenasa. – Kwaśniak z uznaniem uniósł kieliszek w stronę Roberta i upił ledwie łyček, na co Zagajewicz skwapliwie opróżnił kielich do dna.

– Widzisz, Robert – z goryczą odezwała się Marzena – nawet koledzy po fachu podkpiwają z tego, że przeinwestowaliście! Kto widział tyle pieniędzy wkładać we wnętrze. Klient i tak tego nie doceni...

– Ale nawet nie pierdnie, jak go zacharge’uję trzysta eurosów za godzinę – Grzmiał bałwochwalczo Zagajewicz, dolewając wszystkim ogromne ilości wina.

– Mnie już nie, ja dziękuję – wdzięcznie krygowała się narzeczoną Kwaśniaka.

– Robert ma poniekąd rację. – Kwaśniak wsparł łokcie na stole i mądrze zmarszczył brwi. – Ja pracuję w sieciówce, więc nie muszę się martwić o te rzeczy. Wiem natomiast, że wielkość biura ma znaczenie. Jak klient przespaceruje się ładnych parę metrów, nim dojdzie do mojego biurka, to już mi się kłania w pas. Ale z jakością też nie można szaleć. Kto pozna, czy to klepka, czy panele?

– Właśnie – przytaknęła Marzena.

– Ja tam nie lubię tracić grosza na pozory – obwieścił Kwaśniak i upił łyček wina. Obie panie patrzyły na niego z nietajonym podziwem.

– W jakiej jesteś sieciówce? – Marzena lekko zmarszczyła brwi. Nie była kobietą, która pozwoliłaby sobie na jawny flirt, maślany wzrok i takie tam. Trzymała swój wzrok na wodzy.

– W Guy et Chardon.

– Mmm, w największej! – Marzena z uznaniem skinęła głową, wbijając wzrok w stół.

– Mirek jest jedynym aplikantem radcowskim, który cieszy się tak ogromnym zaufaniem Vincenta, szefa na Polskę – pospieszyła z wyjaśnieniami narzeczoną Kwaśniaka. Marzena uśmiechnęła się do niej i, zwiężając oczy, zapytała:

– Mam nadzieję, że twój Mirek nie musi siedzieć w pracy po nocach? Bo choć można tam zarobić godziwy pieniądz...

– Bez przesady, bez przesady – bełkotliwie wpadł jej w słowo mąż.

– ...wiem od koleżanek, których mężowie pracują w korporacjach, że są głęboko

sfrustrowane, moja droga! Mężowie wracają do domu późno w nocy! Mam nadzieję, że was to nie dotyczy – wyraziła nadzieję Marzena, lecz z jej głosu emanowała zwycięska pewność, że dobra posada Mirka okupiona jest całonocnym ślęczeniem.

– Wprost przeciwnie, kochana. – Narzeczona Zagajewicza wpatrywała się w Marzenę niewinnymi, szeroko rozwartymi oczętami. – Wraca bardzo wcześniej i dlatego ma jeszcze czas poświęcać się pracy naukowej...

– Jestem na studiach doktoranckich, już od niepamiętnych czasów – niedbale machnął ręką Kwaśniak. – Trochę publikuję, głównie w „Rzepie”. Pewnie nie zauważyłeś? – rzucił Zagajewiczowi spojrzenie. – Masz do czynienia z wybitnym przedstawicielem doktryny. Pytasz jakiej? A takiej, na jaką w danym momencie największe zapotrzebowanie – zaśmiał się lekceważąco. – Prowadzę wykłady dla biznesmenów w zakresie prawa handlowego. Stary, żebyś widział tych prowincjonalnych biznesmenów, jak mnie słuchają! Jak żaby grzmotu! I potem – ciągnął niespiesznie, przeżuając kęs pomidora z mozzarellą – rozdaję im wizytówki! Stary! Żebym ja miał własną kancelarię, to bym nie nadażył z obróbką! Wałą do mnie drzwiami i oknami! Tylko że to drobnica! Szkoda czasu na takie, panie wybaczą, „gie”. Ale – głośno przełknął kęs chleba – jakbym miał kancelarię, to posadziłbym aplikanta i niech robi...

Marzena bezskutecznie usiłowała ukryć wrażenie, jakie zrobiły na niej słowa Kwaśniaka. Spojrzała na męża znacząco. Zagajewicz miał już w czubie. Zawahał się, zacukał, a potem machnął ręką, jakby odganiał jakieś myśli. Wychylił pół kieliszka naraz, po czym z jego ust popłynęły następujące słowa:

– A jakbym zaproponował ci spółkę?

– Stary! – Kwaśniak uśmiechnął się lekko, jakby nie traktował tego na serio. – Ty już masz wspólnika... Nawet dwóch...

– Czy ty wiesz, ile Robert się musi z tym Pawłem nauzerać?! – familiarnym tonem doniosła Kwaśniakowi Zagajewiczowa, kręcąc głową.

– Uważasz, że Paweł miałby coś przeciwko temu? – Zagajewicz zwrócił się bezpośrednio do Kwaśniaka, nie zwracając uwagi na wypowiedź żony.

– Odniosłem wrażenie, że mnie nie polubił – odrzekł Kwaśniak. Przy stole zapadła cisza. Kwaśniak dyskretnie zerknął najpierw na Marzenę, potem na Roberta. Na jego ustach ukazał się uśmiešek, gdy wypowiadał następujące słowa:

– Wiem nawet, dlaczego mnie nie lubi...

– No, dlaczego? – spytała po chwili ciszy narzeczona zniecierpliwiona suspensem.

Wszyscy na moment przestali oddychać. W końcu Kwaśniak odstawił kieliszek i rzekł:

– Bo miałem nieszczęście przypaść do gustu jego żonie. Bardzo mnie... polubiła.

Po tych słowach cisza trwała dobre parę sekund. Milczenie przerwała narzeczona Kwaśniaka, która roześmiała się sztucznie i zawołała:

– Oj, schlebiasz ty sobie!

– Kochana! – wtrąciła z wyższością Marzena. – Czy poznałaś kiedykolwiek żonę Pawła?

– No, nie. Nie miałam okazji...

– Ta kobieta jest owładnięta żądzą usidlenia każdego chłopca, który jej się nawinie...

– Marzena! – warknął niebezpiecznie Zagajewicz. Był podchmielony, ale obgadując żonę wspólnika! Bądź co bądź...

– A co, mówię nieprawdę? – wojowniczo zakrzyknęła. Kwaśniak i jego narzeczona siedzieli cicho, jedząc i w milczeniu wodząc wzrokiem od jednego do drugiego małżonka. Taka gratka nie trafiała się często. Najdrobniejsza uwaga, poczyniona niewłaściwie, mogła spłoszyć ów przyływ szczerości i zatamować uchodzące emocje. Tego należało uniknąć za wszelką cenę.

– Pohamuj się – z tłumioną agresją cedził Zagajewicz, zaciskając pod stołem pięści. – Mówisz o żonie Pawła! Wybaczenie mojej żonie! Wszystkie baby uwzięły się na tę nieszczęsną Hanę, tylko dlatego, że jest ładna! – tłumaczył Kwaśniakowi i jego czerwonej z emocji narzeczonej. – Obgadują ją, plotkują, a ona Bogu ducha winna! Ech, kobiety. – Pokręcił głową, po czym wstał i ruszył do kuchni odkorkować kolejne wino. Rozlał je wszystkim i ciężko opadł na siedzenie.

Kwaśniak milczał chwilę, upił łyk wina i zaczął:

– Ja wiem, że ty, Robson, jesteś idealistą w stosunku do kobiet i nigdy nie wierzysz w złe intencje! – Zerknął na Marzenę, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Chyba coś w jej wzroku powiedziało mu, że przesadził, bo lekko skorygował wypowiedź: – I jesteś bardzo lojalny w stosunku do Pawła, więc bronisz Hanny... – Błysk zadowolenia w szparkach oczu Zagajewiczowej podpowiedział mu, że był to właściwy trop, więc rozparł się na siedzeniu i kontynuował: – W ogóle, zanim to powiem – łyknął wina, na co Zagajewicz niemal opróżnił swój kielich jednym, nerwowym haustem – muszę skonstatować, przyjacielu, że jesteś jednym z bardziej lojalnych i uczciwych ludzi, jakich znam. Zawsze chcesz dla wszystkich dobrze, zawsze chcesz wszystkich zadowolić! Cierpisz, gdy musisz kogoś urazić i często chyba już wolisz przyznać komuś rację, niż ranić go, obnażając przed nim prawdę.

– Taki brat łąta – mruknęła Zagajewiczowa. W jej głosie pobrzmiwała tajona pogarda.

– Zauważyłem więc, że często zgadzasz się ze współnikiem tylko dla świętego spokoju.

I teraz nie zrozum mnie źle! Ja wiem, że w tobie się wszystko burzy na myśl, iż ja, być może gdzieś między słowami, gdzieś podświadomie, krytykuję twego współnika. – Kwaśniak pochylił się w stronę Zagajewicza, który tkwił na krześle w pozie wycofanej, masując się po czole w geście frasunku. – Ale, przyjacielu, świat nie jest przyjaznym miejscem. Dobra, nie będę już pieprzył tych farmazonów, powiem ci szczerze! Po pierwsze widzę, że masz w sercu wiele ciepłych uczuć dla Hanny i nie mieści ci się w głowie, by... mogła być nieuczciwa w stosunku do twojego przyjaciela. Tymczasem, stary – tu ściszył głos do szeptu – sam na własne oczy widziałem ją z facetem...

– Gdzie? Kiedy? – Na policzki Marzeny wystąpił silny rumieniec, ręka zacisnęła się na szklance z wodą.

Zagajewicz wlepił w Kwaśniaka niedowierzający, choć nieco zamulony, wzrok i wybełkotał:

– Jesteś pewien?

– Tylko bardzo was proszę o zachowanie absolutnej dyskrecji. Nie chcę, cholera jasna, by przez jedno nieopatrzone słowo komuś stała się krzywda. Mówię to tylko dlatego, Robson, stary, że cholernie cię polubiłem, a Paweł to twój przyjaciel.

– Gdzie ją widziałeś? – spytał Robert niemal groźnie.

– Stary, widzę, że naprawdę się o nich troszczysz! – Kwaśniak uważnie obserwował Zagajewicza, który po raz wtóry napełniał swój kieliszek.

– Więc powiem ci, że byłem na stacji benzynowej w ten, no... Jak się nazywa ta miejscowość pod Warszawą, w stronę Gdańska?

– Łomianki?

– O tak! W Łomiankach, i wstąpiłem do baru szybkiej obsługi coś zjeść. Usiadłem przy stoliku i nagle przy barze zobaczyłem żonę Pawła w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Wiesz, kto to był? – warknął Robert.

– Jakaś łajza, stary.

– Jak to łajza? – Marzena bezskutecznie usiłowała ukryć podniecenie.

– W wojskowej kurtce, podartych jeansach...

– To jeszcze o niczym nie świadczy, Mirek – ze złością przerwała jego narzeczona. – To, że ty ubierasz się elegancko...

– Ona płaciła rachunek, *all right*? Jasne? – Kwaśniak patrzył na narzeczoną spode łba. – Specjalnie się przyjrzałem.

– Może to jej znajomy z pracy... Może Hanna pisze jakiś artykuł. – Marzena kręciła głową z niedowierzaniem. Było to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, więc udawała nieprzekonaną, próbując sprowokować Kwaśniaka do przytaczania dalszych szczegółów w obronie swej tezy.

– Droga Marzenko – Kwaśniak zaśmiał się, patrząc na nią dobrotliwie. – Facet o coś ją błagał. Namawiał. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, bo nie mogłem dosłyszeć, ale ona zakrywała sobie twarz dłońmi, jakby w przerażeniu, i kręciła przecząco głową. Niestety, prawie w ogóle nie widziałem jej twarzy, bo zakrywała ją albo rękami, albo chustką.

– Po co zakrywała twarz chustką? – obojętnym głosem spytała Marzena, jedynie malinowe wypieki świadczyły o głębszym zainteresowaniu tematem. – Płakała?

– Tego nie wiem, nie mogłem się tak gapić, bo by mnie zauważyła... On był dla niej bardzo... hmm, jak by to powiedzieć, czuły. Żadnego obściskiwania się, żadnego ukradkowego macania, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach...

Głos Kwaśniaka stawał się coraz cichszy, aż wreszcie przestał w ogóle docierać do świadomości Roberta. Na tarasie było gorąco, Robert usiadł na drewnianym leżaku i z ulgą zapalił cygaretkę. W domu Marzena nie pozwalała ze względu na dzieci. Słusznie. Powoli wypuścił w powietrze błękitną chmurę i obserwował, jak ulatuje w przestrzeń. Irytowało go bezbrzeżne poczucie bezsensu, które nagle ogarnęło jego duszę. Niby na nic nie liczył, ale... Ta ciągnąca się latami sprawa nadawała odrobinę kolorytu jego życiu. Miło było wyobrażać sobie, że coś między nimi iskrzyło. Czy możliwe, że wszystko było złudzeniem? Zaśmiał się z goryczą i pokręcił głową. A więc tak się sprawy miały. No cóż. Teraz przynajmniej nic już go nie krępuje, nie ma wobec niego żadnych zobowiązań. Nie ma tego złego...

– Przeszkadzam? – dotarł do niego czyjś przeprasający głos. Robert uniósł głowę z leżaka i ujrzał Kwaśniaka, który stał w progu, nie wiedząc, czy wejść, czy się wycofać.

– Wchodź. Zapalisz? – Zagajewicz poderwał się do pozycji siedzącej.

– Trochę mnie zmuliło to winko. Może przyniosę po szklaneczce whiskaczyka, to nas postawi na nogi?

– Jasne, przyjacielu – Kwaśniak kojąco uśmiechał się w mroku. – Z tobą zawsze się napiję, choć mam już w czubie...

Zagajewicz minął go i wszedł do mieszkania. Na zakręcie zniósł go odrobinę z kursu. Zaśmiał się pod nosem i trzymając kanapy, dotarł bezpiecznie do komody, na której stała tacka z alkoholami. Wyciągnął z pobliskiego kredensu dwie szklaneczki. Zastrzygł uszami. Podniesione głosy kobiet dobiegały z kuchni. Uspokojony, szybko i w miarę sprawnie napełnił szklanki bursztynowym trunkiem i chyłkiem ruszył z powrotem na taras. Kwaśniak przejął od niego szklanki, jak tylko Zagajewicz pojawił się w drzwiach:

– Dzięki, stary. – Zagajewicz z ulgą zwał się na wyściełany leżak.

Chwilę milczeli, patrząc na światła domów zbudowanych na wysokiej Górcie Ursynowskiej. Niebo było czyste, wiele gwiazd widocznych było mimo światła miasta. Zagajewicz pociągnął łyk i odezwał się cicho i nieco bełkotliwie:

– Pamiętasz, jak ci mówiłem o Pawle?

– Jasne stary. Jasne, że pamiętam.

– Że mnie nie dopuszcza do... yyy... tego...

– Że cię nie dopuszcza do klientów? Uważa, że wszystko zrobi najlepiej?

– Nie, kurwa, nie – ze złością machnął ręką Zagajewicz, obsypując Kwaśniakowi spodnie popiołem z cygaretki. – Że, że mówił, że nie mają środków na ten rok, tak?

– Jak, kurwa, mogą nie mieć, jak są jednym z większych graczy... – Kwaśniak dyskretnie, lecz skrupulatnie oczyszczał spodnie z popiołu.

– Nie o to chodzi – wybełkotał Zagajewicz nerwowo. Patrzył już prawie zezem, wydawało mu się momentami, że ma przed sobą dwóch Kwaśniaków. Zamrugał oczami. – Czekał, daj mi powiedzieć. Umówmy się, że czekasz, aż starszy skończy, w porządku?

– Dobra, mecenasie – uśmiechnął się Kwaśniak. – Pilnujemy starszeństwa, ale dasz się wypowiadać w sprawach merytorycznych, jak już się połączymy?

– Jesteś aplikantem, tak? – Zagajewicz wodził groźnym, mętnym wzrokiem od jednego do drugiego Kwaśniaka.

– Tak, panie mecenasie – dwóch Kwaśniaków uśmiechało się szelmowsko z mroku.

– Ile ci jeszcze zostało? – czknął Zagajewicz.

– Półtorej roku^[28] panie mecenasie – zameldowało dwóch Kwaśniaków, salutując błazeńsko. Zagajewicz śmiał się tak długo, że zdawało mu się, że zapadł się w ciemność. Nagle z tej ciemności dotarł do niego głos Kwaśniaka.

– Albo pójdziemy we dwóch, jak wolisz... Ale osobiście wolałbym, żebyś sam to załatwił.

Nie chcę być kojarzony z tamtymi, żeby nie wyglądało podejrzanie. Załatwisz sprawę i po krzyku. A o Pawła się nie martw, jak się dowie, to chuj. Nawet jak mu się, kurwa, nie spodoba, to trudno. Za te dwieście pięćdziesiąt tysięcy mógłbyś żyć, nic nie robiąc, z półtorej roku, a tak nie będzie, stary. Otwieramy naszą kancelarię i otwieramy ją w wielkim stylu. Wystarczy, że wykonam parę telefonów z mojego kajetu, a klienci będą walić do nas drzwiami i oknami. Mam układy personalne, rozumiesz? Pstrykam palcem i odchodzą do mnie bez konsekwencji, bo idą do twojej kancelarii! Ja nie mógłbym ich obsłużyć, wiadomo. Zakaz konkurencji. Ale przyjdą do ciebie... Do mecenasza Zagajewicza, kurwa mać. Daj piąteczkę.

Plasnęli dłońmi, nieco się rozmijając.

– To nie koniec moich pomysłów, mecenasie. – Kwaśniak zdjął marynarkę, pod pachami miał dwie mokre plamy. – Znam ludzi w firmach, które są na giełdzie. Będę miał cynki, kiedy firmy będą planować podwyższenie kapitału. Kupujemy mały pakiecik akcji za pośrednictwem tych ludzi i wała – tu Kwaśniak wykonał obraźliwy gest – blokujemy ich. I niech, kurwa, spróbują nie zabulić...

– He, he – śmiał się Zagajewicz. Zaciągnął się mocno cygaretką, znów na koszulę opadł mu popiół. – Ale powiem ci, stary, że się cieszę.

Kwaśniak słuchał pochylony, kiwając potakująco głową. Na twarzy błąkał mu się dobrotliwy, wyrozumiały uśmiech.

– Cieszę się, że tak się rozumiemy. Powiem ci, że dość mam już...

– Taak?

– Dość mam już tego przepychania się.

– Z Pawłem?

– Taa. I tego ciągłego... – Zagajewicz czknął niebezpiecznie mocno i złapał się dłonią za usta.

– W porządku, stary? – Kwaśniak cofnął się lekko, gdyż był człowiekiem niepozabawionym wyobraźni.

– Taa. Tego, kurwa, pomiatania. Rozumiesz? Ble – Zagajewicz znów złapał się za usta. – Kurwa, dolej mi jeszcze, bo aż mie... Blueee...

– O cholera, Robert! Wszystko w porządku?

Dwóch, czterech, a potem ośmiu Kwaśniaków wirowało nad głową Roberta na tle rozgwieżdżonego nieba nad warszawskim Ursynowem. Wyciągali do niego dłonie, dziesiątki pomocnych dłoni. W głowie wibrowały mu setki głosów, uderzających metalicznie, jakby kopytami o dudniące wnętrze wielkiej studni. – Przyjacielu, przyjacielu, przyjacielu – odbijało się echem. Dłonie i głosy wirowały coraz szybciej i szybciej, aż z głębi tej groźnej, ciemnej studni wytrysnął jasny, świetlisty strumień, niosąc mu ukojenie.

– Robert, co ty wyprawiasz! – powietrze nad apartamentowcem na warszawskim Ursynowie przeciął ostry, piskliwy krzyk.

To Marzena wpadła na balkon i teraz miotła się nad leżącym we własnych wymiocinach mężem, złorzecząc mu, lecz on już tego nie słyszał, gdyż szczęśliwie urwał mu się film.

Nuworysz

W duszny lipcowy wieczór Paweł, ciągle jeszcze w koszuli i spodniach od garnituru, siedział przy kuchennym stole nad rachunkami. Pochylony, ze zmarszczonymi brwiami, dokonywał obliczeń. Dwuskrzydłowe wysokie drzwi na balkon były otwarte. Z oddali dobiegały ciche, przytłumione odgłosy miasta. Powietrze wciąż stało, lecz czuć było nadciągającą burzę. W oddali, raz po raz, niebo rozświecało się na fioletowo, słychać było odległe pomruki. W końcu liście poruszył pierwszy podmuch wiatru. W samą porę, już nie było czym oddychać. Zegar tykał miarowo, w szybie odbijał się migający ekran telewizora, grającego bezgłośnie w jadalni, a włączonego tylko po to, by zagłuszyć przykre uczucie samotności.

Nagle zupełnie niespodziewanie w drzwiach zachrobotał klucz. Paweł uniósł czujnie głowę i przez chwilę tkwił w absolutnym bezruchu. Potem podniósł się, minął jadalnię i cicho wszedł do ciemnego salonu. W hallu tyłem stała Hanna, nieświadoma jego obecności. Odwinęła z szyi jedwabny, czarny szal. Zanim odwiesiła go na wieszak, stała chwilę, wtulając w niego twarz. Na sobie miała czarną koronkową bluzkę na cienkich ramiączkach, rozpuszczone włosy opadały jej na odsłonięte plecy. Jej okrągłe kształty bezwstydnie rysowały się pod opinającymi biodra satynowymi spodniami. Odwróciła się, by położyć klucze na czarnym, granitowym blacie konsoli i wtedy Paweł ujrzał na jej ustach nieznany mu dotychczas uśmiech.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy. W następnej chwili ujrzała go, jak stał blady, z zaplacionymi na piersiach rękami i złośliwym uśmiechem na ustach, w progu ciemnego salonu. Drgnęła. Jej twarz stężała.

– To teraz pracujecie na nocną zmianę? – Zastąpił jej drogę, stając w lekkim rozkroku. Wyminęła go, stukając obcasami, nie mówiąc ani słowa i weszła do kuchni. Owionął go świeży zapach o znajomej cytrynowej nucie i jakiś inny, ledwo wyczuwalny, obcy, drażniący jego zmysły i zszargane, wyczulone nerwy. Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę wody.

– Raczysz wyjawić, gdzie byłeś do tej godziny? – wycedził groźnym głosem.

Nie odpowiedziała. W oddali słychać było pomruki burzy. Nalała wody do szklanki, otworzyła szufladę z lekarstwami. Wyjęła jakąś tubkę, wrzuciła do wody dwie pastylki, które z sykiem zaczęły się rozpuszczać, a następnie wypiła to, nie zaszczycając Pawła ani jednym spojrzeniem. Wstawiła szklankę do zmywarki i ruszyła w stronę sypialni.

– Nie tak szybko! – zawołał zaczepnie, choć parę sekund wcześniej przysięgał sobie, że nie zdradzi głosem żadnych emocji. – Mamy jedną kwestię do omówienia...

Odwróciła się w jego stronę, jej wzrok wyrażał skrajne znużenie.

– Wybacz, że zanudzam cię na śmierć tak przyziemnymi pierdołami jak wydatki, ale coś mi się tu nie zgadza... – Baczenie obserwował wyraz jej twarzy, lecz nie zauważył u niej specjalnego zaniepokojenia. Natomiast uderzyła go zmiana, jaka zaszła w jej wyglądzie. Zawsze była piękna, lecz teraz... Odżyła. Piękno tchnęło z niej jak z kwiatu, który wstawiono do świeżej wody. Usta emanowały zmysłowością, oczy świeciły niezwykłym blaskiem, karnacja uderzała świeżością, jakby krew płynęła w jej żyłach dwa razy szybciej, nadając skórze brzoskwińowej barwy, a policzkom niezwykłej różowości. Lecz na jej twarzy nie odnalazł najmniejszego śladu skruchy ani poczucia winy...

A więc teoria ojca nie sprawdziła się... Dziś rano Ryszard wstąpił do niego na Ordynacką po jakieś papiery. Gdy jowialny i bardziej jeszcze niż zwykle gadatliwy Zagajewicz zostawił ich wreszcie samych, stary Wencel przecesał dłonią lekko posiwiałe, ale wciąż gęste włosy i zaczął z lekką irytacją:

– Kurewski gorąc, nie ma czym oddychać...

Paweł zerknął na ojca w zamyśleniu. Miał nadzieję, że długo nie zabawi, miał jeszcze potężną umowę do sprawdzenia...

– Tak się wczoraj zastanawialiśmy z twoją matką nad tym, co mówiłeś...

– Na temat? – Paweł niechętnie podniósł oczy znad dokumentu, który właśnie czytywał.

Ojciec nie odpowiedział od razu. Widać było, że w myślach waży słowa. Kiwał miarowo głową, obracając w palcach małą, srebrną stalówkę. W końcu rozparł się w fotelu i odymając

z pogardą usta i rozwierając chrapy, jakby coś mu śmierdziało pod nosem, wycedził:

– Na temat tej... tej... – najwyraźniej szukał w myślach dosadnego epitetu, który należycie określiliby synową w świetle ujawnionych ostatnio faktów, lecz wszystkie najgorsze inwektywy, jakie znał, a trzeba na marginesie powiedzieć, że znał ich więcej niż zwykły, przeciętny Kowalski, wydawały mu się zbyt słabe, by w pełni oddać skalę jej występku.

Paweł skrzywił się z niesmakiem. Czy wczoraj nie wyczerpali tematu? Po co dalej to wałkować? Ojciec milczał chwilę, najwyraźniej próbując ująć sprawę tak, by nie urazić uczuć syna. Po chwili znów zaczął:

– Uważamy razem z matką, że najlepiej byś zrobił, gdybyś odciął jej finansowanie. Tylko to może nauczyć ją rozumu...

– Nie znasz jej. Jest bardzo dumna – mruknął Paweł pod nosem, uciekając wzrokiem w akta. Ta rozmowa była zbyt upokarzająca. Nawet własny ojciec nie powinien...

– Bzdury – warknął gniewnie stary Wencel. – Posłuchaj mnie raz w życiu. Jeżeli rzeczywiście puszcza się z tym...

– Nie posunęłaby się do tego. – Paweł odrzucił głowę do tyłu i patrzył na ojca lodowatym wzrokiem. Twarz starego Wencela wyrażała powątpiewanie.

– Tu nie chodzi o mnie... Nie martw się, nie mam złudzeń... – szybko dodał Paweł. – Nie zrobiłaby tego ze względu na tę wywłokę, Matyldę...

Ojciec nadal nie wyglądał na przekonanego. Siedział z zafrasowaną miną, wpatrując się we własne paznokcie. Paweł czuł narastającą irytację. Milczenie przedłużało się. W końcu stary Wencel podjął z namysłem:

– Rzeczywiście, byłoby to kręcenie powrozu na własną szyję. Bo gdzie pójdzie? Spali za sobą mosty... Może i stary Rolicz by jej to wybaczył... Ten jest, kurwa, świętszy od papieża. Gotów własne dzieci poświęcić, byle okazać się wielkodusznym... Zawsze ci mówiłem, że coś z nim nie tak... Pieprzony Żyd! – stary Wencel wreszcie znalazł dostatecznie obraźliwy epitet i siedział nachmurzony, wertując bezmyślnie oprawny w zieloną skórę *Kodeks pracy*.

Paweł nie odzywał się. Zamyślony, wodził ołówkiem po mosiężnym przycisku do papieru. To, co ojciec mówił, być może było dość brutalne, ale miało pewien sens. Faktycznie, gdyby zdecydowała się na to szaleństwo, drzwi do domu na Koziętulskiego byłyby przed nią zamknięte. Wprawdzie Matylda i Igor chyba już się nie spotykali, ale taki związek byłby oceniony jednoznacznie. Roliczowie obwinialiby Hannę za krzywdę wyrządzoną Matyldzie. Ciotka Anna nie chciałaby jej znać. A przynajmniej nie powinna chcieć, ale kto ją tam wie... Wszyscy ci Rolicze byli takimi hipokrytami, trudno za nimi dojść. A swoją drogą, ostatnio Hanna nader rzadko odwiedzała dom na Żoliborzu. Co więcej, nie jeździła też do Krzyży. Hmm, zastanawiające. Zastanawiające i niepokojące...

Jeżeli nawet coś podobnego mogło mieć miejsce, musiało być to chwilowe. Nie jest w interesie jego, Pawła, by trąbić o tym na lewo i prawo. Dopóki mieszkańcy domu przy Koziętulskiego o niczym nie wiedzą (zakładając, że w ogóle jest coś na rzeczy!), Hanna musi się kryć, musi się tego obawiać! Jeśli sprawa się wyleje, nie będzie miała już żadnych hamulców moralnych! Jeżeli coś było na rzeczy (a wątpił w to, zdecydowanie!), nie mogło to być nic poważnego, a przynajmniej nikt o odrobinie zdrowego rozsądku nie mógł tego traktować na serio.

W jej sytuacji to byłby strzał w stopę. Gdzie pójdzie? Mieszkać w norze Igora? Powierzyć swoje życie w ręce nieodpowiedzialnego smarkacza? W jej wieku? Przecież on jest od niej o dobre parę lat młodszy! Zarozumiały gołodupiec! Też mi gratka!

Myśli ojca najwyraźniej biegły tym samym torem, bo ni stąd, ni zowąd spytał nagle:

– A z czego ten gnój żyje?

– Dorabia w agencji reklamowej, robi jakieś ilustracje...

– Na etat?

– Gdzie tam na etat! Nie wiem zresztą, daj mi spokój! – Paweł porwał teczkę akt i z hukiem wrzucił ją do szuflady.

– Posłuchaj mojej rady. – Ojciec podniósł się i z gniewnie zmarszczonymi brwiami patrzył na Pawła. – Zakręć kurek. Niech ma przedsmak tego, co ją czeka, jak się z nim... Jak się skończą

ciuchy, podróże i kosmetyki – tu groźnie zawiesił głos – inaczej zaśpiewa!

Paweł podniósł się i ruszył, by odprowadzić ojca do drzwi. Stary Wencel pociągnął za klamkę i już, już miał wyjść, lecz nagle jakaś myśl zaświtała mu w głowie i postanowił podzielić się nią czym prędzej.

– Przejrzyj rachunki. – Popatrzył na syna przenikliwie. – Kto wie? Może już balują na twój koszt?

I umykając przed gniewem pierworodnego, w pośpiechu opuścił gabinet. Nie odwracając się, ociężałym krokiem ruszył przez długi korytarz.

Teraz Paweł stał i na próżno szukał w jej twarzy oznak zaniepokojenia. Inna sprawa, że jej stosunek do pieniędzy był doprawdy fascynujący. Uważała... Nie wiedział, co dokładnie myślała... Że rosną na drzewach? A już mówienie o nich było doprawdy poniżej jej godności. Wprawdzie nie określała tego w taki sposób... Była w irytujący sposób ponad to. W sprawach finansowych zawsze okazywała szalenie denerwującą wyższość. Nie zdawała się być pazerna na jego pieniądze, jednak nie skąpiła sobie niczego. Sprawiała wrażenie, jakby pieniądze były jakąś nieistotną, niewartą uwagi kwestią, która na pewno jej – Hanny – nie tyczyła osobiście.

– Robiłem przegląd rachunków – zaczął z wolna. – Nie mogę się połapać...

Jej twarz była nieruchoma, ale z jakiegoś powodu przysiadła na jednym z foteli. To już coś! Ukłon w jego stronę. Nie będzie musiał wykrzykiwać swoich racji z za zatrzaśniętych mu przed nosem drzwi.

– Nie bardzo rozumiem – zaczął ze zmarszczonymi brwiami, wlepiając wzrok w wydruk ze wspólnego konta. – Tylko w lipcu wydałaś już ponad dziesięć tysięcy...

Założyła ręce na piersi w obronnym geście. Nagle na zewnątrz zrobiło się zupełnie białe, po chwili po niebie przetoczył się łoskot, a potem donośny grzmot. Gdzieś na pierwszym piętrze głośno trzasnęły drzwi.

– Wiesz, że cię nie wyliczam z każdego grosza, żyjesz, jak chcesz. – Patrzył na nią gniewnie. – A wręcz sam cię zawsze zachęcam do tych lipcowych wyjazdów nad morze. Ale nawet gdybyś w spa kąpała się w mleku kozim, to nie rozumiem, skąd taka kwota? I dlaczego nie płaciłaś kartą... – Paweł przysunął się do ciężkiej ceramicznej lampy i w jej świetle wodził paluchem po wydruku – ...tylko wyciągnęłaś z bankomatu tyle pieniędzy naraz? – I wlepił w nią oskarżycielskie spojrzenie.

– Z następną pensją oddam ci co do grosza – oznajmiła zimno. Kolejna błyskawica znów, jakoś przesadnie, teatralnie, oświetliła scenę, na której stali naprzeciwko siebie niczym dwoje aktorów tandetnej tragedii.

– Jedna twoja pensja raczej nie wystarczy – prychnął pogardliwie i ciągnął dalej umyślnie grubiańskim tonem, gdyż nie chciał, by jego głos zabrzmiał nazbyt żałośnie. – Zaraz, zaraz, podsumujmy... Taak. Musiałabyś przepracować pięć i pół miesiąca, żeby...

Wstała, jej oczy pałały gniewem i nienawiścią.

– Niedobrze mi się robi, gdy słucham, jak ciągle mówisz o pieniądzach. – Patrzyła na męża z odrazą. Krew uderzyła Pawłowi do głowy.

– Nie będę opłacał twoich gachów! – ryknął, uderzając pięścią w stół i wpatrując się w nią morderczym wzrokiem.

Pobladała. Jej pociemniałe oczy patrzyły na niego ze wzdargą i politowaniem. Potem odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu. Po chwili Paweł usłyszał chrzęst przekręcanej klucza. Zamknęła się w gabinecie.

Nalał sobie whisky i, roztrzęsiony, usiadł na zimnej, skórzanej sofie, w pobliżu kamiennego kominka, w którym tak dawno nikt nie palił. Sięgnął po cygaretkę i trwożnie zapatrzył się w okno. Niebo rozświetlały miarowe błyski, wiatr za oknem przybrał na sile. O szybę uderzyły pierwsze krople deszczu. Znów w salonie zrobiło się zupełnie widno i po chwili potężnie zagrzmiało. Wtem z całą siłą lunął deszcz. Z ulicy dochodził zapach mokrego asfaltu.

Usiłował zebrać myśli. A więc nie zamierzała niczemu zaprzeczać ani z niczego się tłumaczyć. Nijak też nie mógł zmusić jej do posłuszeństwa... Naturalnie, mógł ją po prostu

wyrzucić z domu, a w sądzie złożyć pozew o rozwód, lecz ten scenariusz był dla niego wprost niewyobrażalny. Było w tym coś tak definitywnie ostatecznego! Jakkolwiek bezsensownie ich związek wyglądał dla jego rodziny, on nie chciał, nie zamierzał z niej zrezygnować!

Pomysł ojca nie był taki zły. Jutro z rana cofnie jej upoważnienia do wszystkich kont i niech używają życia za jej trzy tysiące brutto. Powodzenia. Jajecznicą w tej jego szczerzej norze zapewne będzie smakować jak ambrozja. Przez pierwszy tydzień.

Wystawę w Rotonda Besana w Mediolanie można jakoś przeboleć. No cóż, od czego jest dziś Internet. I stamtąd płynie wiedza na temat sztuki współczesnej. Ale *Sen nocy letniej* w La Scali? Polina Semionova w roli Tytanii albo *Fantasiestücke* Schumanna w wykonaniu Maurizia Polliniego? Trzeba się będzie obejść smakiem. No cóż... Wojciech Światała w *Żelazowej Woli* będzie brzmiał równie cudownie, ale tylko wtedy, gdy zostanie należycie uwieńczony wykwinną kolacją... Czy Igor wie, że Hanna nie znosi ostryg, lecz przepada za langustą? Do langusty z kolei pasuje tylko i wyłącznie Vermentino di Gallura. Hanna je uwielbia, zwłaszcza Hysony Superiore – 104 euro za butelkę.

Paweł uśmiechnął się gorzko. Wstał i ruszył przez jadalnię do kuchni. Tam, na ciężkim kredensie, stało kilka butelek whisky. Wybrał jedną, wlał całą szklankę. Wprawdzie trzymał to „dziadostwo” na specjalną okazję, lecz czy aby dzisiejszy wieczór do takich nie należał? Oto nadarza się sposobność udowodnienia całemu światu, że prawdziwa miłość to chory wytwór wyobraźni poetów i istot w jakiś sposób upośledzonych, nieprzystających do rzeczywistości, które swą twórczością karmią rozgorączkowaną wyobraźnię pensjonarek, czyniąc tym więcej zła niż wszyscy tyrani na przestrzeni dziejów razem wzięci. Czy mityczni kochankowie, na miarę owej dwójki, mieli okazję „pociągnąć drogą do końca”? Nie, żadnemu nie było dane... Orfeusz i Eurydyka, Odyseusz i Penelopa, Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Werter i Izabela, czy jak jej tam... Jedyny niechlubny wyjątek to protoplaści rodu Bohatyrowiczów, ale życie tych, o ile sięgał pamięcią, nie było usłane różami. Karczowali drzewa gołymi rękami? Jeśli chodzi o Hannę, to nie wróżył jej sukcesu na takiej ścieżce. Miała nawet kłopot, by posłać po sobie łóżko, była za bardzo „artystyczną naturą” na takie przyziemne sprawy jak zakupy czy porządkowanie...

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Zagłodzi to wzniosłe uczucie, w dosłownym tego słowa znaczeniu. A niech się widują, on i tak nic z tym zrobić nie może... Ale inaczej smakują kradzione pocałunki, gdy zza węgła wygląda proza życia. Odwidzi jej się romantycznego obściskiwania po bramach, jak ją tam jakiś praski luj raz czy dwa zwymyśla od kurew. Ten praski ród ma wpojone poczucie porządku i sprawiedliwości społecznej. Nie spodoba im się panusia w futrze i koronkach, przekradająca się do starej rudery, choć tamtych dwoje ta sytuacja może nawet, jak to się mówi, „kręcić”.

Lecz, mimo konkretnego planu (a to już połowa sukcesu), nie opuszczało go nieprzyjemne uczucie niepokoju. Jeżeli będzie przymykał na to oko, ta nieznośna sytuacja może trwać miesiącami. Tymczasem roboty huk i nie ma komu jej zrobić! Gdyby dziś nie przeczytał umowy przygotowanej przez swojego współnika Zagajewicza i panią Mazur, prezes Niekłański pociągnąłby ich chyba do odpowiedzialności karnej. Taki już jego los, że musi myśleć za wszystkich i przewidywać wszystko. Zawsze i tak wychodzi na jego, ale nikt nigdy nie przyzna mu racji.

Brutus

- Pan mecenas Zagajewicz – otyła sekretarka w białej koszulowej bluzce i letniej, kwiecistej spódnicy na gumkę, zajrzała do gabinetu prezesa Baranowskiego.
- Niech wejdzie – zza drzwi Robert usłyszał lekko zdziwiony głos.
- Sekretarka usunęła się z drogi i odwróciwszy się do Zagajewicza, uzbrojonego w zawodowy uśmiech, obliczony na rozbrajanie postkomunistycznych sekretarek, rzekła łaskawie:
- Pan prezes pana przyjmie.
- Dziękuję, dziękuję. – Zagajewicz uklonił się naindyczonemu babsku i wmaszerował do gabinetu, szczerząc zęby w uśmiechu.
- Prezes Baranowski wstał i uściśnął Zagajewiczowi dłoń.
- Mecenas Wencel nie mógł przybyć osobiście? – Prezes wydawał się lekko niezadowolony.
- Pan Wencel kazał najmocniej pana prezesa przeprosić, ma pewne kłopoty zdrowotne, jest nieco niedysponowany, to drażliwa kwestia, nie chciałbym wchodzić w szczegóły... – Zagajewicz kręcił się na krześle, szurając butami po wykładzinie.
- Ależ naturalnie, nie ma takiej konieczności. – Prezes uśmiechnął się sucho.
- Mam za to dobre wiadomości z placu boju. – Zagajewicz położył na biurku neseser i otworzył go z namaszczeniem.
- Jest już wyrok w naszej sprawie? – Prezes podniósł jedną brew i patrzył pytająco na złożony przed nim dokument. – Korzystny?
- Sąd zasądził roszczenie w całości. Dostaną państwo całą kwotę plus odsetki – pysznił się Zagajewicz. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że czuł się za sukces osobiście odpowiedzialny.
- To ile tego wyjdzie?
- Nie znam dokładnej kwoty, mecenas Wencel to obliczał. – Zagajewicz machnął nieuważnie ręką, lecz widząc lekką irytację malującą się na obliczu prezesa, szybko dodał: – Mogę raz dwa policzyć. Jedną chwilkę. – Nerwowo pogmerał w teczce i wyjął kalkulator. Podrapał się w głowę, coś tam zamamrotał pod nosem. Prezes Baranowski obserwował go w milczeniu.
- Zaraz, zaraz, ile to będzie w skali roku, chwila moment – mruczał Zagajewicz, wklepując w kalkulator jakieś cyfry. – Aaa tam, co będę... Sekundkę! – I odchylił klapę markowego garnituru, wyciągając płaską, srebrną komórkę. Wcisnął guzik i przystawił telefon do ucha, uśmiechając się krzepiąco do prezesa, na którego obliczu malowało się już lekkie zniecierpliwienie.
- Siedzieli w absolutnej ciszy, z twarzy Zagajewicza nie schodził promienny, uspokajający uśmiech. Prezes bębnił palcami o biurko. Z komórki Zagajewicza dobiegał przerywany sygnał. W końcu po dłuższej chwili telefon odebrał kobiecy głos.
- Pani Aniu, proszę mi szybko wyliczyć, ile wynoszą odsetki dla Budexprimu? Proszę to zrobić teraz – rzucił surowo Zagajewicz.
- W tle kobiecy głos zaczął coś tłumaczyć.
- Nie, nie. Proszę to zrobić osobiście, teraz. Poczekam. – Zagajewicz rzucił prezesowi porozumiewawcze spojrzenie, mówiące „ach, ci utrapieni pracownicy”, lecz nie doszło między nimi do tego, tak budującego, porozumienia wzrokowego, na które Robert Zagajewicz liczył. Wzrok prezesa uciekł i błędził po paprotkach stojących na suto zdobionym w tiule oknie.
- Tak, to wszystko – władczym tonem zakomenderował Zagajewicz i wsunął komórkę do kieszeni. – Panie prezesie, będzie trzy miliony siedemset osiemdziesiąt dwa tysiące z samych odsetek. Plus wygrana, to pięć milionów dziewięćset tysięcy złotych.
- Twarz prezesa nieco się rozpogodziła.
- Mogą się od tego odwołać? – spytał szybko, patrząc na Zagajewicza czujnym, drapieżnym wzrokiem.
- Mogą, ale nie mają szans. Jeśli nawet sprawa się przeciągnie, to tylko do grudnia. Góra stycznia... – z niezwykłą pewnością siebie obwieścił Zagajewicz. – A tymczasem, panie prezesie, mam dla pana naprawdę dobrą wiadomość.
- Prezes zamrugał oczami i oparł się łokciami o biurko. Wydawał się mocno zdziwiony. Nie

był najwyraźniej typem człowieka, który lubił niespodzianki. Zagajewicz również przysunął się bliżej prezesa i rzekł przyciszonym, poufałym tonem:

– Mój wspólnik, mecenas Wencel, dzięki swym licznym kontaktom, dostał cynk o spółce na sprzedaż. Jest to okazja do zarobienia na czysto około trzydziestu milionów złotych. Prezes patrzył na Zagajewicza w napięciu, najwyraźniej wiadomość zrobiła na nim wrażenie.

– Mecenas Wencel tak twierdzi? – spytał podejrzliwie, pocierając palcem wystający podbródek.

– Ja jestem tylko posłańcem – Zagajewicz uśmiechnął się z godnością.

– Pan prezes wie, że i ja i pan Wencel zawsze pozostajemy lojalni. Gdy pan Wencel dostał tę informację, w pierwszej kolejności pomyślał o Budexprimie, choć nie jest tajemnicą, że mamy wśród naszych klientów kilku developerów...

– Zawsze miałem dla mecenasa Wencła najwyższe uznanie. – Prezes kiwał głową w zamyśleniu. Nagle podniósł słuchawkę telefonu. Zagajewicz drgnął niespokojnie, jakby chciał rzucić się na biurko i w ostatniej chwili się powstrzymał. Szczęśliwie prezes nie dostrzegł tego rozpaczliwego gestu. Ze wzrokiem wbitym w aparat telefoniczny sucho zakomenderował:

– Dwie kawy, pani Małgosiu. I zawołać mi tu pana Kostrzyca. Co? A na cholere? –

I trzasnął słuchawką.

Nie minęło pięć minut, jak do gabinetu wsunęła się nieco potargana głowa pani Małgosi.

– Kawy, panie prezesie. – Patrzyła lękliwie.

– Dawać! – padło polecenie.

Na błyszczące, rzeźbione biurko z Cyronia wjechała taca z dwoma plukami w wysokich szklankach oraz dwie małe wody mineralne i talerzyk z herbatnikami.

– No już, dziękuję, dziękuję – prezes niecierpliwie ponaglał panią Małgosię, która, głośno sapiąc, pieczołowicie ustawiała przed nimi szklanki na spodkach i układała łyżeczki.

Opasła postać kolebała się w stronę wyjścia, gdy ktoś delikatnie zapukał w drzwi.

– Wejść! – gromko krzyknął prezes.

Zagajewicz obejrzał się trwożnie. Do pokoju wszedł ponury, chudy mężczyzna w kremplinowym zielonkawym garniturze. Robert odetchnął z ulgą. Był to Radosław Kostrzyc, dyrektor do spraw finansowych i zarazem główny doradca prezesa. Uścisnęli sobie z Zagajewiczem dłonie. Zagajewicz był niemal wylewny. Nabrał nowego animuszu.

– Zaczynaj pan – rzucił do niego familiarnym tonem prezes. Perspektywa zarobku łatwych trzydziestu milionów w chwili gdy tak ich potrzebował, powodowała, że zdawał się zapominać formy. – A pan, panie Kostrzyc, słuchaj uważnie!

Robert naświetlił więc sytuację, uwypuklając odpowiednio wszelkie korzyści płynące z zakupu spółki. Nie omieszkał dodać, że przewidywany dochód można jeszcze ładnie zaokrąglić, przycinając tu i ówdzie na materiałach budowlanych.

– Niech pan nie uczy ojca dzieci robić – bąknął prezes, lekko się uśmiechając i popijając czarną jak smoła kawę.

– He, he – zaśmiał się pod nosem Kostrzyc.

– Tak więc, panowie, po spłacie kredytu i zapłaceniu tych trzydziestu milionów odstępnego, zostaje na czysto około trzydziestu milionów. Później dochodzi jeszcze zarządzanie osiedlem przez rok, jak nie dwa. No i cała infrastruktura osiedla, którą macie w swojej gestii, jakieś tam fitnessy, baseny... – rozkręcał się Zagajewicz, widząc, jak prezesowi świecą się oczy. – Tak więc przyprowadzamy wam tu kurę, co znosi złote jaja...

– A ci co sprzedają? – niespokojnie spytał Kostrzyc. – Kim właściwie są?

– No mówiłem już, że to są tuzy. Nie chcą się cackać z inwestorami, przeniesieniami własności...

– Jasne – uciał prezes, pogardliwie wydymając usta. – To pierdolenie kotka za pomocą młotka...

– He, he – zaśmiał się znów Kostrzyc, choć tym razem nie zabrzmiało to już tak przekonująco.

– To zbyt duży gracz. W pełni satysfakcjonuje ich te trzydzieści milionów, bo oni na co

dzień się developerką nie zajmują – dodał Zagajewicz. – Siedzą w innych biznesach. Tę ziemię to oni kupili jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. I to przez podstawionych kupców.

– To były czasy – gwizdnął prezes, luzując lekko krawat.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Prezes w skupieniu marszczył brwi, Kostrzyc wpatrywał się w prezesa pytającym wzrokiem. Zagajewicz popijał kawę, kryjąc obrzydzenie i ukradkiem prezesa obserwując. A więc intuicja go nie zawiodła. Paweł kłamał jak z nut. Wcale nie powiedział im o dealu. Przekłęty cwaniak. Wszystkie interesy Roberta traktował z wyższością. Kwaśniak miał rację, żeby uderzać osobiście. A jeszcze on, Robert, miał wątpliwości natury moralnej! Komiczne!

Prezes upił łyk wody, odkaslnął i rzekł:

– Rozumiem, że wasza kancelaria zagwarantuje mi bezpieczeństwo transakcji?

– Ma się rozumieć, panie prezesie. – Zagajewicz patrzył na prezesa Baranowskiego uspokajającym, kojącym wzrokiem.

– Pytam *pro forma*, gdyż pracuję z mecenasem Wenclem od lat i ufam panom bardziej niż własnej żonie...

– Ha, ha – zaśmiał się Kostrzyc służalczo. Zagajewicz prędko poszedł w jego ślady.

– Proszę przekazać mecenasowi, że nie zapomnę o tym, że o mnie pomyślał. Zresztą sam mu to powiem, jak się spotkamy, żeby dopiąć szczegóły. Panie Kostrzyc, ile czasu zajmie organizacja kredytowania?

Zagajewicz chrząknął i wmieszał się szybko:

– Jest tylko jedno „ale”, panie prezesie. Ponieważ jest to naprawdę gratka, nie ma specjalnie czasu do stracenia, wielu ostrzy sobie na to zęby. Tylko ze względu na wyjątkowe znajomości Invest Nobiscum zdecydował się poczekać. Mogliby to sprzedać na pniu kilku podmiotom. Nie zdążymy z organizacją kredytu. Musicie panowie założyć z własnych środków. A potem to już jak chcecie... Natomiast przejęcie spółki musi się odbyć w przyszłym tygodniu. Wiemy z pewnego źródła, że nie jesteśmy jedynymi, którym zależy na kupnie. Invest Nobiscum doradza niejaki mecenas Niezgodza, *nomen omen* taki kłótlivy dziwoląg, z którym Paweł już nie raz miał konflikt. On jest blisko z prezesem (niektórzy twierdzą, że ta bliskość jest podejrzana) i ma pewien interes w tym, by spółka poszła w inne ręce. Ponoć turecki developer zaoferował mu pół miliona, jeśli tylko doprowadzi transakcję do skutku!

– No, nie wiem – zaniepokoił się prezes. – Dajcie nam panowie choć dwa tygodnie na zorganizowanie środków.

– Panie prezesie, zrobimy co w naszej mocy, by tę transakcję zatrzymać, ale...

– Panie mecenasie, obaj jesteśmy biznesmenami – prezes wpatrywał się w Zagajewicza znacząco – zatrzymajcie panowie transakcję do przyszłego poniedziałku, a dogadamy się. Nie pożałujecie!

Zagajewicz przecząco kiwał głową:

– Panie prezesie! Są panowie naszymi klientami od początku naszej działalności. My wierzymy w budowanie zaufania, we wzajemną pomoc. Pobierzemy należną kwotę za przygotowanie zabezpieczenia, za *due dilligence*^[29] i tyle. Nie ma mowy o żadnych dodatkowych kosztach, mecenas Wencel wyraźnie mnie poinstruował, że sobie tego nie życzy. Nie chciałbym już z nim tego drugi raz omawiać, bo powiem panu szczerze... – Zagajewicz umilkł na chwilę. – Ma on kłopoty zdrowotne, być może jest to konsekwencja... pewna niezręczna sprawa, sprawa osobista...

Obaj mężczyźni milczeli, na twarzy prezesa malowała się nieufność, więc Zagajewicz szybko dodał:

– Nie będę już wnikał w szczegóły.

– Czy to aby nie kłopoty, hmmm, że tak powiem... domowe? – pan Kostrzyc uśmiechnął się lubieżnie.

– A skąd pan wie? – Zagajewicz był zaskoczony tym zrzędzeniem opatrności. Nawet fortuna mu sprzyja!

– Chodzą po mieście takie słuchy, a żona mecenasa Wencła nie jest osobą, koło której

można przejść, nie zauważywszy... – pan Kostrzyc kiwał głową, oglądając swoje paznokcie.

– Panie Kostrzyc, za dużo pan mówisz! – wybuchnął z nagłą irytacją prezes. – Znadto się pan interesujesz sprawami, które pana nie dotyczą! W firmie też pan tak węszysz? Kłopoty mecenasa Wencła są jego osobistą sprawą. Panie Zagajewicz, zostawmy to tak. Skontaktujemy się z wami jutro...

– Panie prezesie, za pozwoleniem – uniżenie wtrącił Kostrzyc. – Do jutra nic nie zdążę sprawdzić. W czwartek. W czwartek najwcześniej...

– Zatem, panie Kostrzyc, pierwsza rzecz, jaką robię w czwartek rano, to telefonuję do pana! Tymczasem my już szykujemy papiery, bo przecież lwią część roboty to zrobiliśmy, zanim panów fatygowaliśmy! Prawie wszystko posprawdzaliśmy, wiele do zrobienia nie zostało! Teraz pan rozumie, panie prezesie, dlaczego nie uprzedzaliśmy o tym telefonicznie!

– Nie lada to gratka, a telefony mają uszy! – Zagajewicz wstał i zamasyście zbierał swoje rzeczy. Obaj mężczyźni wstali również, prezes wyszedł z biurka i zbliżył się do Zagajewicza.

– Panie mecenasie, dziękuję! – Uścisnęli sobie dłonie i wymienili długie, porozumiewawcze spojrzenie. Potem Zagajewicz potrząsnął mokrą dłonią Kostrzycy.

– Będziemy w kontakcie, będziemy w kontakcie – powtarzali jak papugi.

Zagajewicz wyszedł z okazałego gabinetu, uklonił się sekretarce (tu, w postkomunistycznych, sprywatyzowanych molochach, świat rządził się innymi prawami, z sekretarkami należało dobrze żyć, wszystko to funkcjonowało na innych niż te normalne, rynkowe, warunkach...).

Minął ponury korytarz, który raził skromnością, zwłaszcza w kontraście z gabinetem prezesa, urządzonego niemal z bizantyjskim przepychem. Robert nie cierpiał takiego bezguścia, stary Marian ze szczeniem obrzydził mu ten styl, urządzając w nim kolejne domy... Swoją drogą niesamowite, że takie firmy funkcjonują, i to całkiem nieźle. Niewielu mogłoby w ciągu tygodnia zorganizować trzydzieści baniek. No, ale od czego prezes Baranowski ma kolegów. Wystarczy jeden telefon, a jakiś inny ówok, z innego państwowego molocha, udzieli mu szybkiej pożyczki. Zresztą nieważne. Dobrze jest. Paweł z pewnością się o wszystkim dowie, miejmy jednak nadzieję, że *post factum*. Jest ostatnio tak przybity, że nie wie, na jakim świecie żyje, marna więc szansa, że coś wytropi, czy skojarzy, nim panowie z Budexprimu podpiszą umowę... Wystarczy przedwstępna, do tego nie trzeba nawet całej sumy. Wtedy Kwaśniak zapłaci mu gotówką dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Jakoś się przebieduje.

Matylda postanawia działać

We wrześniu sytuacja w dziale marketingu GCP wymknęła się spod kontroli. Było to dość ciekawe zjawisko socjologiczne, albowiem w miniaturze oddawało ówczesną sytuację w rządzie. Tyran w postaci pani Dominiki Jagodzińskiej, nie będąc zbyt oryginalnym, szedł tym samym utartym szlakiem, którym niegdyś kroczyli Herod Wielki, Lenin, Zulus Czaka czy Robert Mugabe. W sposób absolutnie przewidywalny otoczył się klasycznym wianuszkiem pośledniej jakości pochlebców i ponieważ, jak to u klasycznych tyranów w zwyczaju, zaczął się ich obawiać (będąc tak blisko tyrana, znali informacje, które mogłyby go wykończyć), więc musiał trzymać ich w ciągłym strachu, by zachować kontrolę.

Dominika miała dodatkowy problem, z którym nie borykali się, ot, chociażby tacy Włodzimierz Lenin czy Saddam Husajn. Miała otwartego i zdeklarowanego wroga w postaci podłego, cynicznego dyrektora Budzisz – niewykształconego chama, zatrudnionego w GCP jeszcze w czasach dzikiego kapitalizmu, który w tajemniczy sposób ostał się w firmie i, co gorsza, cieszył się ogromnym zaufaniem każdego kolejnego „big bossa”. Ten nienawistny człowiek, który zdawał się kwestionować jej kompetencje, cieszył się tam jakimiś specjalnymi względami.

Owszem, wiedziała, że odpowiadał za sprzedaż połowy ich produktów. Dawno, dawno temu, w tych łatwiejszych, bo ciągle dzikich czasach, udało mu się poutykać ich marnej jakości szampony, odżywki i dezodoranty w kluczowych sieciach handlowych. W dzikich latach dziewięćdziesiątych te wątpliwej marki produkty małej irlandzkiej firmy chemicznej FMCG zyskały w ówczesnym ciemnogrodzie nie lada renomę. Nim jeszcze firma dorobiła się działu marketingu, Budzisz brifował agencje na kampanię produktów. Licho wie, czy miał takiego farta, czy też był naturalnym talentem, zwierzem handlowym. Niezaprzeczalnym pozostawał fakt, że trafiał idealnie w polskie gusta. Szczególnym jego osiągnięciem było przetransponowanie na polski rynek pewnej marki szamponu antylupieżowego, która do obecnej chwili pozostawała marką numer jeden w Polsce. Niczym Cerber, strzegł jej obecności i umiarkowanej ceny w wielkich supermarketach, dzięki niemu firma nie ucierpiała zbyt na recesji, która dotknęła ojczyznę w 2003.

Dominikę, która studiowała marketing na amerykańskiej uczelni, szalenie irytował ten domorosły ekspert. Gotowało się w niej, gdy na ogólnofirmowych zebraniach, gdzie jej pracujący w pocie czoła ludzie prezentowali koncepty na nowe finezyjne produkty – tak na czasie, tak trendy – ten zwalisty bydlak nagle prychnął niekontrolowanym śmiechem i z zażenowaniem krył twarz w dłoniach. Uważał jej zespół za bandę nieudaczników, trwoniących pieniądze, zarobione dzięki niemu na solidnych, konkretnych produktach, by wymyślać jakieś fiu-bździu, którego r & d^[30], badania, a potem kampania będzie kosztować krocie, a zysk okaże się żaden.

Ten nieuk nie rozumiał, że wizerunku firmy nie zbudują produkty generyczne. Trzeba mieć też w swoim portfolio produkty premium i basta! Takie są prawa rynku, tak się tworzy potęgę. Nie rozumiał, że Dominika pragnęła wyrwać GCP ze średniego segmentu i uplasować firmę wśród największych graczy. A że na razie wykoncypowane przez nich produkty wypełniały magazyny i zbierały kurz? To z pewnością nie była wina jej działu! Zawaliła dystrybucja, *merchandising*, jednym słowem: Budzisz! Zrobi wszystko, byle podkopać jej pomysły i udowodnić, że miał rację. Tymczasem sam Budzisz miał do niej pretensję, że ona i jej zespół (traktowała ich niemal jak działwę, gotowa była rzucić się jak Rejtan w obronie ich racji – matkowała im!) niedostatecznie wspierali ich flagowe produkty.

Gdy Dominika patrzyła na „flagowe produkty”, nóż jej się otwierał w kieszeni. Wszystkie pod jedną marką! Kurwa! Jakim cudem tak to szło! Trzeba by to zdywersyfikować, odświeżyć linię, wprowadzić szerszą gamę zapachów, gatunków. Trzeba to w końcu zmodernizować, a ten stary trep nie chce się zgodzić! Nie da się do tego dotknąć! Za przykład zawsze podaje, jak ruszyli dezodorant dla nastolatek, owe dzieło Matyldy – tam akurat zabieg był odwrotny: miano poszerzyć *target* – i rzeczywiście zaliczyli klapę.

No cóż, nikt nie jest nieomylny. Za to linia pachnących tuszy do rzęs dla nastolatek autorstwa Rockiego wygląda obiecująco, choć rzeczywiście *reaserch* trochę ich kosztował.

Wdrażanie też nie będzie łatwe, kampania jest kosztowna, no i mają być alternatywne miejsca sprzedaży: cineplexy, fast foody i stacje benzynowe, a oprócz tego stołówki szkolne, hmmm. Pomysł jest ciekawy, chociażby aby stestować implementację takich nowych miejsc.

Weszła do stołówki i minęła grupkę z innego działu, która na jej widok zamilkła. Nikt nawet nie powie jej cześć! Gdy odeszła na tyle, że nie mogła usłyszeć, co mówili, podjęli rozmowę przyciszonymi głosami. Jeden nawet śmiał zarechotać. Mówili o niej, to pewne. Przez chwilę rozważała jakąś skandaliczną scenę... Odwrócić się, podejść do nich...

Ale nie... Nie będzie zniżać się do ich poziomu. Byстрыm wzrokiem przeczesła salę. Byli jej ludzie. Kilka głów zwróciło się w jej stronę, usta wykrzywiały się w fałszywych uśmiechach. I ona zmusiła się do tego nielubianego przez nią grymasu. Takie to sztuczne! Takie fałszywe! Wiadomo, że w korporacji nikt się nie lubi; albo ty ich, albo oni ciebie! Ileż to fałszywych ludzi chodzi po świecie. Ileż szaraków, miernot! I znów poczuła ciężar swojej misji. Zawsze trudniej tym, którzy płyną pod prąd! Niełatwo walczyć o swoje racje, będąc jeszcze do tego kobietą.

Nagle jej rozważania przerwał widok Matyldy i Marleny, rezydujących w gronie Budziszsa, Małeckiego i paru innych z działu sprzedaży. Skończyli już lunch i teraz spis-kowali w najlepsze. Matylda nawet nie raczyła spojrzeć w jej stronę. Jedyne Marlena, nieco stropiona, kiwnęła głową. Jagodzińska uśmiechnęła się złowieszczo. Już ja ci dam spiskować, wywłoko. Mam dziesiątki chętnych na twoje miejsce. Poczekaaj, policzymy się później...

Irytująca była atmosfera niedomówień, która nagle zaczęła ją otaczać. Wprawdzie od dawna szukała nowej roboty, coś tam nawet znalazła, ale mimo wszystko nie było to przyjemne. A może powinna zaatakować pierwsza? Hmmm. W dziale ma sytuację pod kontrolą. Prawie wszystkie podwładne miały z Budziszem otwarty konflikt, Jagodzińska uchodziła wręcz za mediatora w relacjach między swoim działem a obrzydliwym dyrektorem sprzedaży.

Właściwie gdyby nie Matylda, mogłaby otwarcie krytykować go na spotkaniach marketingowych. Tylko dla Matyldy zachowywała pozory. Właściwie dlaczego ją jeszcze tolerowała? Po pierwsze nie za bardzo miała powody, by się jej pozbyć! Otwarty konflikt szybko doprowadziłby do polemiki przed GM-em, wtedy Roliczówna z pewnością opowiedziałaby swoją wersję dziejów dezodorantu Miss Juicy. A poza tym, i tak ona, Dominika, już przytępiła jej pazury. Odebrała jej niemal wszystkie projekty, ustawiła nad nią Rockiego, który donosił Dominice o każdym jej ruchu i słowie. W ogóle dziwiła się, że Roliczówna jeszcze nie zrezygnowała. Dziewczyna nie miała za grosz godności.

Ale gdy się głębiej zastanowić, to teoretycznie ona, Dominika, nie miała powodów do obaw o swoje stanowisko. We wszystkich rankingach otrzymywała od podwładnych najwyższą liczbę punktów. Biła na głowę innych szefów działu. Była najsprawiedliwszą szefową. Najbardziej ze wszystkich szefów troszczyła się o swoich. Metoda kija i marchewki potrafi zdziałać cuda! Ogólne wyniki sprzedaży były nie najgorsze, a działania marketingowe nigdy nie są w pełni wymierne! Cóż więc jej zrobia?

Z tacą wypełnioną ekologiczną żywnością zajęła miejsce obok swojej faworytki, Alicji, która skwapliwie przesunęła swoje naczynia, robiąc szefowej więcej miejsca, niż było potrzebne.

Tymczasem Matylda podniosła się i ruszyła ku wyjściu ze stołówki. O godzinie czternastej piętnaście miała umówione spotkanie. Punktualnie zastukała do drzwi dyrektor do spraw personalnych, pani Renaty Herc, i weszła do środka. Ta zdecydowana, nieco powściągliwa osoba budziła w Matyldzie mieszane uczucia. Uprzejmie zaprosiła Matyldę, by usiadła i patrzyła wyczekująco.

– O czym chciałaś porozmawiać? – Patrzyła na Matyldę szeroko otwartymi oczami (cholera, chyba kadrowym robią jakiś trening, żeby nie mrugały!).

Matylda była już zdecydowana, lecz milczała chwilę, nim zaczęła:

– Nie jest mi łatwo przychodzić z tym, Renato, a to z kilku powodów. Po pierwsze, przywykłam radzić sobie ze wszystkim sama. Po drugie, gdy jakiś czas temu pytałaś, czy dobrze mi się układają relacje z Dominiką, odpowiedziałam, że tak... – Matylda podniosła wzrok i patrzyła Renacie prosto w oczy. – Tak nie było, ale wydawało mi się, że to coś osobistego między mną a nią i muszę z tym żyć. Teraz uważam, a wręcz jestem pewna, że Dominika działa na szkodę

firmy i wielu osób, którym na sercu leży dobro GCP.

Matylda nawet nie mrugnęła, naginając się do ujęcia rzeczy w sposób tak patetyczny. Przecież i ona miała w dupie dobro GCP, w tej chwili chodziło jej tylko o to, by wykopać z firmy znienawidzoną szefową. Zamierzała postawić wszystko na jedną kartę. Albo ona, albo Jagodzińska.

Jej szanse nie były duże, szefowa była znacznie wyższą rangą, jej zwolnienie oznaczałoby przyznanie się do winy przez tych, którzy ją zrekrutowali. W porównaniu z nią Matylda była płótką. Miała wprawdzie sukcesy, ale nikt nie będzie ryzykował pozycji, by stanąć w jej obronie. Lecz Matylda była już na granicy wytrzymałości. W dodatku, od kiedy Igor przestał się z nią kontaktować, było jej w zasadzie wszystko jedno, czy wyrzucą ją z roboty. Potrzebowała zmiany jak powietrza. Potrzebowała zrealizować się na jakimś polu do końca. Musiała zwalczyć tę wiedźmę, choćby po to, by poprawić sobie humor. Gdy będzie znów silna, wtedy kto wie? Może uda się jej odzyskać Igora?

Musi wyrwać się z błędnego koła, by znów nabrać sił witalnych. Teraz emanowała nieszczęściem i gniewem. Była sfrustrowana, pełna pretensji. O Igorze nie wiedziała nic. Pewnie, gdyby zadzwoniła do Hanny, ta powiedziałaby jej, na jakim etapie są przygotowania do wystawy, ale, naturalnie, nie zniżyłaby się do tego za żadne skarby.

Niewiarygodne było, że sama Hanna nie wpadła na to, by zadzwonić, by opowiedzieć, jak wszystko się toczy. Jedynym wytłumaczeniem (dość oczywistym i logicznym zresztą) było, że Hanna nie miała pojęcia, że Igor nie widuje się z Matyldą, więc Matylda nic nie wie... Coś jednak musiała mieć na sumieniu, bo inaczej dłaczegóż nie odzywała się od kilku tygodni?

– ...cenionym pracownikiem i zależy nam, by usłyszeć twoją opinię – dobiegły ją słowa Herc. Musi się natychmiast skoncentrować, inaczej zaraz powie o jedno słowo za dużo. Albo za mało. Kto to jest w stanie ocenić? Im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej podejrzanie to wszystko wygląda. Już teraz w pokoju narasta atmosfera wątpliwości, jakby Matylda przysłała kablować, donosić, oczerniać. Podczas gdy...

Biurko Renaty Herc lśniło czystością. Tyłem do Matyldy stało zdjęcie oprawione w srebrną ramkę, obok mały piesek z bujającą się głową. Do ekranu komputera przyklejona była naklejka z jakimś uszczypliwym (oczywiście w granicach rozsądku) komentarzem do pracy w korporacji oraz zdjęcie smutnego psa z podpisem „I hate Mondays”. Renata Herc miała na sobie seledynowy bliźniak i małe, dyskretne klipsy. Czekwała na odpowiedź Matyldy z życzliwie przechyloną głową.

– Renato, moja szefowa... – Matylda zrobiła pauzę, nie chcąc by jej słowa zabrzmiały zbyt dramatycznie, lecz jednocześnie nie znalazła bardziej powściągliwych... – Dominika Jagodzińska jest nieźrównoważona psychicznie. Maltretuje swoich pracowników, szykanuje, zastrasza, ośmiesza, nie wiem, jak to ująć. To, co robi, to jest klasyczny mobbing. Słowo nadużywane, lecz właściwe...

Renata Herc siedziała nieporuszona, lecz coś w jej twarzy zdradziło, że nie była zaskoczona słowami Matyldy. Patrzyła wciąż swymi szeroko otwartymi oczami i powoli powiedziała:

– No, ale jak to jest, że reszta pracowników Dominiki jest z niej, no... Jak by to powiedzieć... Bardzo zadowolona.

– Otóż to. Nie dziwi was, że Jagodzińska jako jedyna dostała w anonimowym sondażu zadowolenia sto punktów, maksymalną liczbę? Nie wzbudziło to waszych podejrzeń? – Matyldzie zrobiło się lekko niedobrze od całej tej sytuacji. Nie zamierzała się tłumaczyć. A co to, kurwa, nie ma innych firm? Najwyżej pójdzie zamiatać ulicę!

– Zdziwiło nas to, ale od jej ludzi wciąż dostajemy o niej bardzo pozytywny *feedback*. Że jest surowa, ale fair...

– Bo się jej panicznie boją, nie widzicie tego? – Matylda lekko podniosła głos.

– Owszem, przyznam, że z innych działów są głosy, że jest... niekoleżeńska.

– Niekoleżeńska? – prychnęła Matylda. – Pomniata innymi, robi to otwarcie, a swoich ludzi trzyma w szachu strachem. Wyrzuca starych, zatrudnia matołów, tylko po to, by byli jej dozgonnie wdzięczni. Nie zauważyliście, że wsadziła mi Rockiego, który ma zerowe doświadczenie, jako

szefa? Uważasz, że to jest fair? Że człowiek, który nic nie umie, jest moim szefem?

– No, to jest twoja opinia Matyldo...

– Ach tak, Renato? – Matylda zmarszczyła groźnie brwi. – A czy wiesz, że Rocki zakupił za kilkaset tysięcy złotych dane, które już mieliśmy? Jednym słowem, posłał kilkaset tysięcy do ubikacji. Czy ktoś przygląda się nowym produktom, które wymyśla i realizuje Jagodzińska?

– Sprzedaż w ostatnim kwartale znów lekko wzrosła. Może jej strategię dopiero zaczną przynosić owoce. – Herc nalała sobie herbaty z małego termosu. Jej wzrok zdawał się być lekko zmacony. Matylda nabrała pewności siebie.

– Wzrasta, owszem. Ale nie z produktów launchowanych przez Jagodzińską! Łatwo w to wniknąć i zestawić liczby. Spójrz na to.

Matylda położyła przed Renatą kilka kartek z tabelkami. Herc przyglądała się temu podejrzliwie i jakby w lekkim popłochu.

– Nie musisz teraz tego czytać – uspokoiła ją Matylda. – Ale przejrzyj to, proszę, wraz z Johnem. Z tego jasno wynika, że każdy jej kolejny projekt to fiasko. Co więcej, nie inwestuje nic w stare, dobre produkty, filary, na których stoi nasza firma.

– Przejrzę to razem z Johnem. Będę też chyba musiała porozmawiać z innymi ludźmi z zespołu Dominiki.

– Strata czasu – gniewnie rzuciła Matylda. – Będą się wypierać. Boją się, rozumiesz?

Renata Herc poczuła się przyparta do muru, więc sama postanowiła zaatakować.

– Oczekujesz, że zwolnię ją po rozmowie z jednym niezadowolonym pracownikiem? Jeśli mamy oczyścić atmosferę, może trzeba będzie, abyście razem usiadły? Porozmawiały?

– Raczysz żartować, Renato – Matylda prawie się roześmiała. – Ja przychodzę do ciebie z duszą na ramieniu, że ona jakoś o naszej rozmowie się dowie i wykopie mnie pod byle pretekstem, a ty mówisz, żebym usiadła z nią do stołu i pogadała? Gdyby to było takie proste, po co bym w ogóle do ciebie szła? Mogłam jej wypalić w twarz, że terroryzuje ludzi. Na pewno przyznałaby mi rację i obiecała skruchę, a potem padłybyśmy sobie w ramiona...

– Czego zatem oczekujesz? – Renata opanowała się i znów mówiła pomocnym, współczującym tonem.

– Renato, postawię sprawę jasno. – Matylda odchyliła się na oparcie i popłynęła, jakby w natchnieniu. – Albo ona, albo ja. Ale ja nie polegnę bez walki. Jestem w kontakcie z naszymi headquartersami w Dublinie. Jestem gotowa rozmawiać z samym O'Donellem na temat tego, co tu się dzieje i co jest tolerowane. Jeśli ty i John nie zechcecie mi pomóc, uderzę do tamtych. Niech zbadają sprawę niezwykłych wyników superzadowolenia, sprawy zwolnienia, ot, chociażby Maksa, sprawy dobrowolnej rezygnacji tylu świetnych ludzi i zatrudniania nowych i windowania ich natychmiast na superpozycje. Do tego dorzucę jeszcze sprzeniewierzenie firmowych pieniędzy. Kto wie, czy nie miała w tym interesu? Wiem, że ma koleżanki wśród szefów firm badawczych! No i na koniec zostawiam sobie, *last but not least*, sprawę molestowania seksualnego jednego z pracowników.

Renata milczała przerażona. Duszką wypięła resztę herbaty i wyjąkała:

– Jakiego znów molestowania?

– Normalnego! Rocki, mój przełożony! Awansowała go, lecz chłopak zapłacił swoją cenę! Nie zazdrozczę mu tego awansu! – Matylda pochyliła się i wpatrywała w Renatę przenikliwym, gniewnym wzrokiem. Po chwili absolutnej ciszy dodała: – Proszę o podjęcie działań w celu wyjaśnienia mętnej atmosfery wokół naszego działu. Jeśli sami nie możecie dać rady, to, no nie wiem? Zatrudnijcie może zewnętrzną firmę!

Renata milczała, stropiona. Po chwili, z wyrazem zafrasowania rzekła: – Dobrze, Matyldo. Dziękuję, że miałaś odwagę opowiedzieć o tym, co się u was dzieje. Powiem ci, że zastanawialiśmy się nad tym, ale u was panuje jakby zmowa milczenia. Teraz, w świetle twoich wyjaśnień, mgła się nieco rozrzedza, pewne fakty stają się jasne i oczywiste.

Pożegnały się w cichym skupieniu, każda zatopiona w myślach. Matylda wyszła z pokoju, lecz zamiast spodziewanej lekkości poczuła delikatny niesmak. Niesmak ten nasilił się, gdy minęła w korytarzu kserującą Jagodzińską, która posłała jej, jakby coś przeczuwając, trwożny,

przypominający raczej skurcz mięśni twarzy uśmiech głęboko nieszczęśliwego, przerażonego człowieka zapędzonego w pułapkę bez wyjścia.

Nie minęły dwa tygodnie, gdy GCP obiegnęła korytarzową plotkę „zwalniają Jagodzińską”. Dotarła do Matyldy, gdy ta piła spokojnie poranną kawę. Marlena przysiadła się do niej i rzuciła bez tchu: – Słyszałaś już?

– O czym? – Matylda miała ociężałe przymknięte oczy i obserwowała stopień zieloności topoli, które rosły pod oknami biurowca. Liście nie były jeszcze pożółkłe, ale nie był to już ten świeży, intensywny kolor. Zdawały się lekko wyblakłe.

– Jagodzińską zwalniają. – Oczy Marleny błyszczały, gdy podnosiła do ust kubek z kawą. – Koniec naszego koszmaru, maleńka! Widzisz, nie miałaś racji! Jednak na górze zauważyli, że coś jest nie halo! No i nie są tacy bezduszni! A nie mówiłam? W korporacji zawsze ktoś dostrzeże takie zachowanie! Nikomu nie ujdzie na sucho! Chodź, dzisiaj się upijemy! No co? Nie cieszysz się?!

Wakacje Wencłów

Zwykle we wrześniu Ryszard z Elżbietą robili sobie wakacje. Jechali w egzotyczne miejsce, oczywiście w granicach Wencłowego rozsądku. Były to zawsze wczasy zorganizowane, z opieką polskiego rezydenta, aby w miarę możliwości zredukować stres znalezienia się w obcym otoczeniu.

Ryszard wybierał najlepsze hotele, ale z reguły nie był do końca zadowolony. Zawsze znajdował coś, co pozostawiało do życzenia. Gdy tylko wylądował, zwykle porównywał standard danego miejsca do miejsc, które odwiedził był wcześniej i zazwyczaj porównanie to wypadało na niekorzyść. A to lotnisko daleko od hotelu, a to personel hotelowy nie ruszał się dostatecznie szybko, a to pokoje miały niższy standard, niż się spodziewał, a to stolik, przy którym go posadzono, nie miał dostatecznie dobrego widoku na morze.

Tego roku Elżbieta musiała wykazać się naprawdę dużą dozą cierpliwości, albowiem znaleźli się na greckiej wyspie, której standardy hotelowe, jak to określił Wencel, „urągały jego godności i dobrem obyczajom”. Wencel wiedział o tym, że pięć gwiazdek tam niekoniecznie będzie równe pięciu gwiazdkom na Szeszelach, ale „to coś, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze wyobrażenia”. Niestety, w złym tego słowa znaczeniu.

– Ci kozojebcy nigdy nie powinni się znaleźć w Unii – syczał w ucho Elżbiety, gdy czekali dobre piętnaście minut w kolejce do restauracji. Elżbieta wznosiła oczy do nieba, gdyż rozmowa toczyła się w tym duchu już od wczesnych godzin popołudniowych, od kiedy dotarli na miejsce przeznaczenia.

– Cii – uciszała go lekliwie. Przed nimi i za nimi, parami, w absolutnej ciszy, stali starsi Niemcy, ustawieni w równym rzędzie. Jeśli w ogóle przyszło im do głowy, by się odezwać, robili to przyciszonym, urażonym szeptem, popatrując na Wencłów z jawną niechęcią. Albo tak się przynajmniej Wencłom zdawało.

– A gównu mnie obchodzi ich *Ordnung*, ja będę się zachowywał, jak chcę – wybuchnął Rysiek. – Żebyś słyszała, jak oni drą mordy, kiedy przyjadą na Mazury. Tylko ich słyszać!

Śniady menedżer sali gromko nawoływał kolejne pary do zajmowania metodycznie zwalnających się miejsc. Niemcy (Wencłom zdawało się, że tylko ta nacja znajdowała się wraz z nimi w hotelu) zasiadali w ciszy i skupieniu, nie darząc wdzięczących się do nich kelnerów najmniejszym zainteresowaniem, ledwo kiwając głowami na uprzejmości, wypowiedane zresztą w ojczystym języku gości.

W końcu nastąpiła kolej Wencłów. Menedżer zakrzyknął coś po grecku do kolegi, który znajdował się na drugim końcu sali, po czym przyjaźnie kiwnął głową do nachmurzonego Wencła i spytał:

– *Zwei personen, ja? Kom* – I wskazał palcem wolny stolik, szczęśliwym trafem położony na tarasie wychodzącym na morze.

– *Speak in English* – łaskawie pouczył go Wencel. – *We are not German.*

Zasiedli przy małym, dwuosobowym stoliku z pięknym widokiem na morze. Słońce już zaszło, nadchodził ten osobliwy śródziemnomorski zmierzch, tak inny od polskiego. Kolory były ciepłe i przydymione, a niebo miało niezwykły, szaropastelowy kolor, jakby ktoś nagle nałożył na niebo klosz z okopconym szkłem.

– Pięknie musi wyglądać w tej chwili zachód w Niedźwiedzim Rogu – uderzył w nostalgiczną nutę stary Wencel. – Dobrze nam tu razem, co? Wreszcie trochę spokoju...

Niestety, gdy wypowiedział te słowa, cały czar natychmiast prysł. Obojgu przypomniało się, co za sobą zostawili. Nim Elżbieta rozpoczęła biadolenie, Ryszard poderwał się i rzekł:

– Idę po wino.

Ruszył przez niemiłosiernie zatłoczoną salę i zaczął przeciskać się w stronę bufetów. Stoły uginały się od jedzenia, lecz jeden rzut wprawno oka Ryśka – starego bywalca hoteli *all inclusive* – wystarczył, by ocenić, że wszystko tu było ostatniej jakości. Lawirował pomiędzy suchymi niemieckimi starcami, ostrożnie transportującymi co lepsze kaski do stolików. Przy beczulce z winem odczekał swoje, mamrocząc pod nosem ciche przekleństwa. Czy za te pieniądze nie

można postawić tych beczulek więcej?

Napełnił karafkę pod wierzch czerwonym winem. Pewnie trochę lepsze od białego, tanie białe to najgorszy kwas. Ostrożnie szedł w kłębiącym się tłumie. Ubrany w długie, jasne spodnie, wyraźnie odcinał się od stłoczonej gawiedzi. Jego markowa lniana koszula była nienagannie odprasowana. Ze złe tajonym zadowoleniem odnotował, że był znacznie lepiej ubrany od znieawidzonych sąsiadów zza Odry. „Poczekajcie, poczekajcie – myślał mściwie – nakradliście od nas, zburzyliście nam Warszawę, ale jeszcze dożyję czasów, że to wy będziecie jeździć do nas na roboty, szwabskie skurwysyny”. Ta myśl rozjaśniła jego chmurne oblicze. Właściwie, czemu by miało tak nie być? Produkt krajowy brutto wzrasta, ojczyzna się bogaci, budują im tarczę antyrakietową. Jeżeli tylko Zachód znów nie rzuci ich na pastwę Kacapom, mają szansę nieźle się dochrapać i kto wie? Być może stać się pierwszym mocarstwem ekonomicznym Europy.

Jeszcze parę lat temu rodacy lekko przemykali po takich kurortach, a dziś? Jakby w odpowiedzi na jego myśli, ktoś go potrącił. Był to wypłoszony flejtuch w przepoconym podkoszulku bez rękawów i wyszmelcowanych, krótkich gaciach, który wepchnął się przed niego w kolejkę i nakładał sobie kopiaste łychy przystawek, jakby jutro groziła im okupacja niemiecka. Zanim otworzył gębę, już Rysiek zdążył poznać krajana.

Kątem oka zobaczył zażywną niemiecką *Frau*, którą oczyma wyobraźni natychmiast przyodział w mundur z wroną. Ta na pewno sumiennie spełniałaby swe zadanie, pilnując porządku w Birkenau. Owa dama krytycznym wzrokiem obcinała polskiego obwiesia, który wepchnął się w kolejkę przed nią. Gdy usłyszała, że tamten mówił po polsku, natychmiast zwróciła nabrzmiąle, zaczerwienione, nienawykłe do południowego słońca oblicze i spojrzała na zwalistego męża wzrokiem mówiącym – Wencel dałby słowo, że w tym momencie czytał w jej myślach – „Polak – dokładnie tak, jak przypuszczałam”.

Ryszard Wencel nie uważał się za patriotę, zazwyczaj patrzył nie dalej niż na koniec własnego nosa. Co więcej, często narzekał na opilstwo, warcholstwo, dezorganizację i wiele, wiele innych wad, które tyle zła uczyniły na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Lecz teraz, obserwując ową scenkę, poczuł wrący gniew.

Nagle, jakby bez związku, przed oczami stanął mu program, który oglądał na CNN-ie parę dni temu, w rocznicę desantu żołnierzy z brygady generała Sosabowskiego pod Arnhem. Podobnie jak wiele innych jednostek, ci polscy żołnierze walczyli u boku aliantów, mając nadzieję na ich pomoc przy obronie ojczyzny przed Armią Czerwoną. Program na CNN-ie zrealizowali holenderscy pasjonaci. Dziennikarz opowiadał, że do realizacji tego programu pchnęło go zdanie wypowiedziane przez dyrektora cmentarza pod Arnhem. Gdy dziennikarz zwrócił uwagę na małe, stłoczone groby, znacznie różniące się od reszty, i zapytał, kto tam leży, dyrektor cmentarza odpowiedział: „oh, just some Poles”.

Stary Wencel poczuł, że musi dać upust swym emocjom. Zbliżył się do tamtej grupy, wciąż stojącej przy bufecie z przystawkami, i tubalnym głosem zwrócił się do greckiego kucharza, który stał za bufetem, by ewentualnie służyć pomocą.

– *Excuse me, my friend! I see you have names of the dishes in four languages! You have Greek, of course! You have English, obviously! You have German. I can understand that. Plenty of them around – Wencel charakterystycznie odął wargi, jakby zjadł coś nieświeżego. – You also have French, although I haven't seen even one Frenchman. But where is Polish, my friend?*^[31]

Greki uśmiechał się pogodnie, jak gdyby nie do końca zrozumiał złowieszczy charakter wypowiedzi zwalistego gentlemana.

– *I ask you my friend, where is Polish?*^[32] – Wencel huknął nieco głośniej.

Niemiecka *Frau* i jej mąż patrzyli na rozsierzonego mężczyznę w osłupieniu. Wencel jednak nie zamierzał rezygnować. Rzucił tylko okiem w stronę wyjścia na taras, by upewnić się, że Elżbieta jest poza zasięgiem jego donośnego głosu. Podobnie jak Mati, żona nie znosiła scen. Ale on całkiem nieźle się zabawi. Zmarszczył groźnie brwi i ryknął:

– *There are hundreds of Poles visiting that island of yours every year. Leaving here thousand of euros, while fucking Germans would eat their own shit, just not to spend a penny more than they paid, and still you will not do an effort to put up a card in our language?*^[33]

– *Sir, if you have a problem, go to manager, complain!*[34] – z godnością odparł starszy Grek.

– *You go, you tell your manager, that there's a problem!*[35] – ryknął Wencel, a ponieważ wokół gromadził się tłumek, ze złością okręcił się na pięcie i odmaszerował w stronę stolika, rozsiewając wokół zapach dobrych perfum, które szcudrze rozpylił na sobie z testera w *duty free* na Okęciu.

Zasiadł do stolika w wybornym nastroju i nalał żonie wina. Elżbieta patrzyła na niego podejrzliwie.

– Co tak długo? Tyle czasu i wzięłeś tylko wino?

Wencel upił łyk i wstrząsnął się.

– Uch, siara! Ale da się wypić. – I popijał, spoglądając na żonę z uśmiechem. Może nieco się roztyła, może stała się nieco zrzędliva, ale zawsze była z niej ładna kobitka.

– Nie wiem, co cię tak bawi... Jeden syn na skraju rozwodu... – zaczęła jękliwie.

– I dobrze! Niech go ta franca puści kantem. Poboli go i przestanie – rzucił Rysiek dziarskim tonem, ale i sam nieco spowaźniał. Łatwo się mówi, gorzej zrobić. Te sercowe problemy z jego perspektywy zdawały się takie błahe... Dawno już zapomniał, jak smakowały. Nie mógł w sobie wskrzesić nawet cienia wspomnienia czegoś takiego.

Elżbieta pokiwała głową, lecz widać było, że nie jest przekonana. W końcu wstała i przyniosła talerz wypełniony świeżymi warzywami.

– Żadnych owoców morza... – powiedziała z pogardą, zasiadając przed Ryśkiem. Uniosła widelec. – Wybór taki sobie jak na te pięć gwiazdek.

– A mówiłem, jechać do Portugalii – warknął Rysiek, po czym i on podążył po przystawki.

Do deseru nie wspomnieli ani słowem o sytuacji żadnego z synów. Lecz przy ciastach i owocach Elżbiecie rozwiązał się język.

– Wiesz, czego się boję?... – zawiesiła głos, jakby czekając na reakcję męża, lecz tamten nie mówił nic, tylko konsumował w skupieniu, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Boję się, że ona jest za cwana, żeby puścić dojną krowę. – Elżbieta włożyła do uszminkowanych ust kęsek melona.

– Nie używaj takich wyrażeń... – wzdrygnął się Ryszard. Sam lubił nazywać rzeczy po imieniu, ale żeby to kobieta była tak pozbawiona poezji...

– No przecież ona tak właśnie Pawła traktuje – gestykulowała Elżbieta, wymachując widelcem. – Będzie go tak długo doić, aż on wreszcie pójdzie po rozum do głowy i kopnie ją w ten wielki, leniwy zad.

– Paweł nie odpuści – mruknął Rysiek, wkładając do ust pół ciastka naraz.

– Po kim on taki uparty! – lamentowała Elżbieta. – Mateusz ma dużo więcej sprytu życiowego! Przynajmniej się jakoś ustawił! Karolina świata poza nim nie widzi...

– Pleciesz! – burknął Ryszard. – Nie dostrzegasz nawet, co się wokół ciebie dzieje! To o Mateusza powinnaś się martwić najbardziej.

– A to dlaczego? Co ty gadasz? – naindyczyła się Elżbieta, popijając wino.

Nie znosiła, gdy Rysiek w jakikolwiek sposób kwestionował jej instynkt macierzyński. A czemuż to ma się jeszcze martwić o Mateusza? Mało to kłopotów z Pawłem i jej najmłodszym Piotrukiem? Czego znów Rysiek dopatrywał się w sytuacji Mateusza?

– A o co mam się martwić w związku z Mateuszem?! – zakrzyknęła Elżbieta obrażonym tonem. – Chłopak ma świetną pracę, dobrą żonę! No, nie mają jeszcze dziecka, ale są młodzi! Niech pożyją, niech się wyszumiają!

– Już on tak szumi, że aż furczy – zawarczał Rysiek, obierając pomarańczkę. – Dupę ma na boku! Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć!

Elżbieta patrzyła zgorzozna. Gdzie jak gdzie, ale pod pierzyny nie będzie młodym zaglądać! A jaki ona ma na to wpływ? Grubianin z tego Ryśka! Mówić tak otwarcie o takich sprawach!

– Co ty bredzisz – syknęła. – Po co o tym gadać?! Jeżeli czuje nawet potrzebę, żeby od czasu do czasu popfruć z kwiatka na kwiatek, to nie zapominaj, po kim to ma...

– Daj już spokój, Elżuniu – łagodząco mruknął Rysiek. – Nie kłóćmy się jeszcze my.

Zrozum, że to nie jest kwestia fruwanina z kwiatka na kwiatek. Chłopak się w kimś no... zakochał, normalnie. – Rysiek potarł serwetką lekko spocone czoło. – Za grube spodnie ubrałem.

– A mówiłam, włóż te camele – zagderzała Elżbieta.

Od morza dobiegał szum fal, od strony stołówki szczeł talerzy i jednostajny gwar. Powoli popijali wino, w absolutnym milczeniu. W końcu Rysiek odstawił kieliszek i rzekł dziarskim, optymistycznym tonem:

– No. Pojedliśmy. Wypiliśmy. Idziemy do pokoju. Nie mam zamiaru dłużej się tym martwić. Są dorośli. Niech robią, co chcą. – Ruszyli, pogrążeni w niewesołych myślach.

Następnego dnia stary Wencel bezskutecznie usiłował znaleźć wolny stolik przy basenowym barze. Wszystkie okupowane były przez niemieckie pary. Szybko zorientował się, dlaczego turyści tłoczyli się akurat tam. Był czas podwieczorku. Ten, jakże pięknie brzmiący, posiłek okazał się starym, wysuszonym ciastem, którego nawet „psy by nie zeżarły”, jak to Rysiek opisywał później Pawłowi przez telefon.

Chciał zamówić drinka i wziąć kawę dla Elżbiety. Gdy doszedł do baru, uwagę jego przykuły dwie chichoczące dziewczyny, które wyglądały na Polki. Obsługiwał je bystro patrzący Grek, mający może czterdzieści, może czterdzieści parę lat. Między trójką trwała dłuższa wymiana, więc chcąc nie chcąc, Wencel nadstawił uszu.

– *Where are you from?*^[36] – z lekkim uśmiechem podpytywał Grek, nalewając jadłowicie czerwonego płynu do plastikowych kubków.

– *Poland* – odparła jedna z nich, po czym obie zachichotały. Twarze nieskażone myśleniem, parę sznurków zamiast kostiumu kąpielowego. Ryszard nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

– *Then why do you speak half German, half English?*^[37] – chciał wiedzieć Grek. Jego mina wyrażała dezaprobatę i politowanie. Widział, że Rysiek czeka w kolejce, ale chciał od nich uzyskać jakąś odpowiedź. Niestety, jedyną ripostą był bezmyślny chichot. W końcu odeszły w stronę plaży i Grek zwrócił pytający wzrok na Ryśka.

– *Sir?*

– *One Cuba Libre, one espresso, my friend* – rzucił Rysiek i wydobyl z kieszeni szortów wymiętoloną paczkę Marlboro. Hmm, Grecy. Nieglupi z nich naród. Zapalił papierosa i w zamyśleniu przyglądał się oddalającym się panienkom. Z oddali wciąż dobiegał go pusty, bezmyślny chichot.

Potem odpoczywał na leżaku i długo rozmyślał o scenie, która rozegrała się przy hotelowym barze, a posępny wyraz twarzy świadczył o tym, że nie były to wesołe myśli.

Okolo siódmej zebrali swoje rzeczy i ruszyli do pokoju hotelowego. Odświeżyli się i przebrali, po czym ruszyli w stronę restauracji. Mijali wiele innych par w podobnym do nich wieku. Jedni się uśmiechali, inni przepychali, chcąc jak najprędzej zająć miejsca w kolejce. I Ryszard złapał się na tym, że zerka na zegarek. Hmm, dwudziesta. Teraz będzie największy tłok. Niezadowolony, automatycznie zwolnił, a wraz z nim krocząca obok Elżbieta.

„A jednak, mimo że roi się tu od Niemców – myślał Wencel – jest coś pozytywnego w wyjeździe na wakacje. Człowiek automatycznie zaczyna żyć życiem miejsca, w którym się znajduje, a przestaje myśleć o swoich problemach. Wkurwiają go rodacy... – filozofował, podziwiając jednocześnie malowniczy zachód słońca – ...zżyma się na Niemców! Swoją drogą, fascynująco zorganizowany naród. Pierwsi na śniadaniu, zaraz potem, czy to kulawe, czy na wózku inwalidzkim, czy stare, czy młode, ciągnie toto na basen, by rzucić na leżak swój zazwyczaj z domu wzięty ręcznik. Potem są pierwsi na obiedzie. Choćby na podwieczorek podawali starą podeszwę, to mimo że nażarci jak baki, po obiedzie ciągną tłumnie do basenowego baru, by zjeść i wypić wszystko, za co zapłacili. Potem są pierwsi na kolacji, by w porę zająć najlepsze stoliki. Nie dziwne, że tak sobie radzą ekonomicznie. Ha! Jakżeż to pouczające!”

Na wojennej ścieżce

– Pewnie zdziwiła się Zybertyowa, że Kwaśniakowie nie zaprosili we wtorek Wencłów? – Robert wsunął do ust kawałek schabowego okraszonego kapustą i odrobiną purée ziemniaczanego. Zagajewiczowie chętnie raczyli się tym solidnym polskim daniem w pieleszach domowych, choć nigdy nie ważyliby się podać go gościom. Nie było dostatecznie światowe.

Był ciepły wrześnieowy wieczór. Położyli dzieci i siedzieli w kuchni, gdzie Robert jadł późną kolację.

Żona patrzyła na niego chwilę, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Myśl o wzięciu rozbratu z całą przekłętą rodziną Wencłów od kilku tygodni napełniała jej serce prawdziwą radością. To czyste uczucie mąciła jedynie delikatna obawa, że jej durny, chwiejny mąż w ostatniej chwili złamie się i ze wszystkiego wycofa.

Energicznymi ruchami wycierała blat, wypolerowany uprzednio przez panią Galinę. Lubiała sprawiać wrażenie przykładnej pani domu, wypełniającej należycie swoje obowiązki, i zawsze nie do końca usatysfakcjonowanej, jeśli chodziło o stan czystości. Takiej, której czujne oko dopatry, dopilnuje wszystkiego. Jednym słowem – niezastąpionej.

– Nie, zupełnie się tym nie zdziwiła. – Odwróciła się do męża, przecierając czystą szmatką wyjęte ze zmywarki i, jak się mogło zdawać, całkiem suche sztucce. – Wencłowie też nigdy nie zapraszają Kwaśniaków, to dlaczego oni mieliby?

– No, ale Zyberty musiały być zaskoczone. Dało im to do myślenia. – Zmarszczył brwi Zagajewicz i automatycznie zerknął w stronę lodówki. Miał tam zimne piwko. Strasznie go suszyło po wtorkowej popijawie. – Będę musiał pogadać z Adamem, uprzedzić go, że idą zmiany...

– Eee tam – machnęła ręką Marzena – on i tak robi, co mu powiesz.

– Ale dla zwykłej przyzwoitości... – Robert wpakował do ust kawał schabowego i długo żuł. Marzena, zaniepokojona przedłużającą się ciszą, która zapadła po tym ostatnim słowie, niewiele myśląc, otworzyła drzwi lodówki i wyciągnęła zimny sześciopak. Robertowi zaświeciły oczy, gdy postawiła przed nim szklanicę pełną złotobursztynowego, pianistego płynu.

Zasiadła naprzeciwko męża i spojrzała na niego czule.

– No, spójrz na siebie! Zawsze się martwisz o innych. – Poglądziła go po dłoni.

– Eee, przesada – zbył ją Robert, lecz widać było, że trochę poweselał. Upił pół kufła naraz i głośno sapnął: – Mmm, nie ma jak piwko.

– No popatrz – ciągnęła Marzena. – Ciągłe cię ten Paweł poniża, ciągle mu coś nie pasuje, a to jak pracujesz, a to jak traktujesz pracowników! Wszystkich ma za nic! Myśli, że sam wszystkie rozumy pozjada! No, przypomnij sobie, ile razy cię poucza, ile razy cię strofuje, wciąż coś po tobie poprawia! Taki z niego mądrała, a tymczasem to ty, dzięki swoim, nie Mariana, kontaktom, zaraz zarobisz dwieście pięćdziesiąt tysięcy! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, pomyśl tylko!

– No właśnie, ciągle daje mi odczuć, że mam klientów dzięki ojcu – sapnął Robert, opróżniając szklankę i stawiając z lekkim hukiem na blacie.

– Do tego stopnia ma cię za nic, że gdy ty mu mówisz o złotym interesie... – No bo przecież i on zarobiłby trochę grosza przy obsłudze transakcji, czy nie? I nie ma tu nic do rzeczy, że ty dodatkowo ekhm... – Marzena poczekała na twierdzące kiwnięcie głowy męża i ciągnęła dalej – ...on zataja to przed klientem. No czy ten człowiek jest normalny? Powiedz ty mi? – Zagajewiczowa patrzyła na męża z mocą. – I ty go jeszcze żalujesz?

Zagajewicz pokręcił ze śmiechem głową, jakby litując się nad swoją głupotą i naiwnością. Marzena szybko otworzyła następne piwo i napełniła pustą szklankę. Robert ochoczo podniósł ją do ust.

– No Robert, nie możesz być taki naiwny! – ciągnęła z przejęciem. – Dość już tego robienia dobrze innym. Musisz też myśleć o swojej rodzinie, o swoich dzieciach. Jego ty gównu obchodzisz, on myśli tylko o swoich przyjemnościach! O zaspokajaniu zachcianek tej... – Twarz Marzeny lekko się skrzywiła, nie mogła się zmusić, by wypowiedzieć znienawidzone imię. – Ty masz rodzinę na utrzymaniu!

Zagajewicz, pełen bolesnej zadumy, popijał piwo. Kiwał posępnie głową, zdawało się, że przed oczyma stają mu lata spędzone z człowiekiem, którego kiedyś uważał za przyjaciela. Jak ludzie się zmieniają. Rzeczywiście, teraz więcej ich dzieliło niż łączyło. A przecież przed laty dałby się za Pawła pokroić! Chyba tylko wspomnienie dawnych studenckich czasów pozwoliło mu wytrzymać ostatnie miesiące upokorzeń.

Rzeczywiście, zbyt wiele złego nagromadziło się między nimi. Znowu wychylił duszkiem całą szklankę, którą Marzena ponownie skwapliwie napełniła. Cóż, widać, że i ona ma w tym pewien interes. Zawsze nienawidziła Hanny, miała ją za... Nie, Robertowi nawet przez myśl nie mogło przejść to słowo w odniesieniu do tak przez niego wielbionej kobiety.

Cóż. Ta sprawa jest już zamknięta. Nie będzie rozpaczał, choć jeśli prawdą jest to, co mówił Kwaśniak, Marzena mogła mieć rację. Hanna szła prosto na dno. Zagajewicz czarno widział przyszłość romansu z gnojkiem, który groszem nie śmierdział. Lecz on i Marzena nie będą już uczestniczyć w tej farsie. Rzeczywiście, daleko lepiej zrobią, wiążąc losy z ludźmi podobnymi do siebie. Z ludźmi normalnymi. Takimi jak obrotny Kwaśniak i jego wcale sympatyczna narzeczona. Lekko pocieszony, popił nieco piwa. Faktycznie, lepiej trzymać się z daleka od takich wariatów jak Wencle. Niech robią, co chcą, on już nie będzie tego oglądał. I będzie to może z korzyścią dla jego małżeństwa. Co by nie było, Marzena jest dobrą żoną!

Jakby zgadując jego myśli, Marzena przysunęła się do niego i rzekła:

– Aaa, jeszcze ci nie mówiłam najlepszego – w jej głosie brzmiało podniecenie i tłumiona radość. – Dziś była u mnie Izabela...

– No i? – Robert niespokojnie poruszył się na krześle.

– Widziała Wenclową z tym, że tak powiem, „młodzieńcem”! W krzakach! – Marzena triumfowała.

– W jakich krzakach, co ty pieprzysz, za przeproszeniem?! – nie wytrzymał Robert.

– No, normalnie! Spacerowali sobie po Lasku Kabackim!

Robert patrzył na żonę spode łba, dłoń zacisnęła się na szklance.

– Wystrojona, proszę ja ciebie, jak na wybieg, w jakiejś zielonkawej, zamszowej marynarce, opiętych spodniach i oficerkach. Podobno tak się w niego wgapiła, że nawet nie zauważyła Izabeli, przejeżdżającej z koleżanką na rowerze, dosłownie kilkanaście metrów od nich! – Na wspomnienie opowieści przyjaciółki Marzena dostała wypieków na policzkach. – Dopiero jak zawróciły i przejechały koło nich drugi raz, to je zobaczyła. I tylko dlatego, że Izabela ją zawołała...

– Po co ją wołała? – spytał Robert, z trudem tłumiąc irytację.

– No, jak to po co, Robert? – teraz i Marzenę ogarnęła złość. – Żeby się przywitać! Zawołała po prostu „cześć, Hanno” czy „cześć”, nie wiem dokładnie!

Robert wstał, wyjął z kieszeni spodni paczkę cygaretek i chciał wyjść z kuchni, by zapalić na tarasie, lecz Marzena go zatrzymała.

– A pal sobie tu, potem wywietrzę!

Jedynie niezwykłej wagi wydarzenie mogło skłonić Zagajewiczową do takich ustępstw wobec znienawidzonego nałogu męża. Zapalił i w milczeniu wydmuchiwał chmury niebieskawego dymu.

– Nie chcesz wiedzieć, co ona na to? – oczy Marzeny błyszczały niczym w gorączce.

– No, mów – posępnym głosem powiedział Zagajewicz.

– Nic nie odpowiedziała! – wykrzyknęła Marzena. – Stała jak wryta! Wyobrazasz sobie? A ten jej gach wyglądał podobno jakby miał od niej z dziesięć lat mniej!

Znowu milczeli. Robert, zobojętniały na wszystko, spokojnie palił i popijał kolejne piwo. Marzena z kolei przemierzała kuchnię w nerwowym podnieceniu. Dosłownie nie mogła sobie znaleźć miejsca. W końcu nalała sobie odrobinę wiśniówki i znowu opadła na krzesło naprzeciwko męża.

– Porządny człowiek z tego Kwaśniaka – zaczęła powoli, upijając mały łyzeczek i wpatrując się w męża, jakby chciała wzrokiem przewiercić mu mózg na wskroś.

– Fakt. – Zagajewicz kiwał miarowo głową, wydmuchując dym.

– Prawdziwe szczęście, że tobie to zaproponował – w głosie Marzeny pobrzmiwało tajone powątpiewanie.

– A co w tym dziwnego? – zirytował się Robert. – Mam dużą kancelarię, a on ma klientów, których chce obrobić! Cóż w tym dziwnego?

– Że właśnie tobie chce dać zarobić!

– Nie martw się, pewnie on na tym jeszcze lepiej zarobi!

– Nie wiesz ile?

– Akurat mi powie!

Po dłuższej chwili ciszy Robert nerwowym ruchem odpiął pierwsze dwa guziki eleganckiej włoskiej koszuli.

– Ale parno. Wyjdźmy na taras, nie da się znieść tej duchoty. – I gwałtownie poderwał się z niewygodnego, kuchennego taboretu.

Usiedli w drewnianych fotelach, wyściełanych miękkimi poduszkami. Po drodze Robert zgarnął z jadalni butelkę whisky i dwie szklanki.

– Napijesz się? – zerknął na żonę spode łba.

– Zgłupiałeś? – wykrzyknęła w pierwszej chwili, lecz po chwili namysłu, słysząc jego niezadowolone pomrukiwanie, dodała: – Albo nalej. Ale odrobinę. Już, już!

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w ciemne niebo. Marzena co i raz odwracała się w stronę męża, patrząc na niego z mieszaniną niepokoju i tajonego zadowolenia, niczym żona żołnierza, który w obliczu napaści wroga na swoje państwo zdecydował się na dezercję, by chronić ją i dzieci. Żona, która wiedziała, że mąż jeszcze nieraz będzie wracał do tego niegodnego czynu, a ona będzie musiała używać wszelkich możliwych środków perswazji, by uśmierzyć jego niepokój. On z kolei, w pełni świadomy tego, co odczuwała, wzdychał i pocierał skronie ile wlezie, zdecydowany ciągnąć korzyści z wrażenia, jakie wywoływał. Lecz ani myślał aż tak się przejmować. W głębi duszy czuł satysfakcję, którą prawdopodobnie czułby każdy, który przez wiele lat musiał podporządkować się drugiemu, silniejszemu psychicznie, bardziej zaradnemu, lepiej ustawionemu.

Z każdym kolejnym łykiem whisky czuł, że postąpił właściwie. Umowa miała być podpisana jutro. Zgodnie z ustaleniami, pan Kostrzyc kontaktował się na razie tylko z nim. Wiadomo było, że gdy Paweł się dowie, wpadnie w szal. Ale czy i on, Robert, nie powinien był wpaść w szal, gdy dowiedział się, że Paweł go oszukał? Że wcale nie zaproponował Budexprimowi zakupu spółki? Czyż nie był to kolejny dowód, że nie traktuje Roberta jak prawdziwego współnika? Czyż nie była to zdrada ich przyjaźni i partnerskiego układu?

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej czuł, że, by zachować twarz, musiał tak postąpić. Już odeszły wszelkie wątpliwości, teraz trzeba szykować się do wojny. Gdy sprawa się wyleje, będzie bój o wszystkich klientów, których zdobyli niejako razem. W zasadzie już należało czynić przygotowania, by przeciągać ich na swoją stronę. Jutro, po podpisaniu umowy, wykona parę telefonów do tych najważniejszych. Niech no tylko pieniądze wpłyną na jego konto...

I wlał do szklanki resztę tego, co było jeszcze w butelce.

Przechytrzyć przeznaczenie

W ten sam duszny, wrześnieowy wieczór Mateusz jechał windą do swojego mieszkania, opierając czoło o chłodną, metalową ścianę kabiny. Była prawie dwunasta, miał szczerą nadzieję, że żona już się położyła. Ostatnie dwa dni spędził w „delegacji służbowej” i był autentycznie wykończony. A wszystko za sprawą ukochanej Nincezki, która w ciągu ostatnich tygodni przeciągnęła go, jak to zwykle mawiać w takich sytuacjach jego ojciec, przez „małpi drażek”. Cokolwiek to miało oznaczać.

Wszystko zaczęło się od awantury, do której doszło między nimi pod koniec sierpnia. Zrzuciła mu, że ją zwodzi, a następnie wysiadła na środku ulicy Puławskiej, trzaskając drzwiami samochodu. Zatrzymał samochód, tarasując prawy pas, po czym latał za nią jak wariat po Morskim Oku. Bezskutecznie. Przepadła w gęstniejącym zmroku. Potem w ogóle nie mógł się z nią skontaktować. Nie było jej w pracy, w domu. Żadna z jej koleżanek nie wiedziała, co się z nią stało. Mati nieźle się napocił, dzwoniąc do jej rodziców i podając się za kolegę z pracy, lecz wiele nie wskórał. W końcu dowiedział się od kogoś, że wyjechała do Paryża. Cudem zdobył jej adres i pojechał tam za nią, lawirując w meandrach kłamstw opowiadanych Karolinie, rodzicom i ludziom z roboty. Gdy ją wreszcie odnalazł w małym, odludnym hoteliku, zza zamkniętych drzwi poinformowała go, że zamierza zadzwonić do hotelowej recepcji, że dobija się do niej włamywacz. Gdy dopadł ją na ulicy, błagając o chwilę rozmowy, budząc przy tym powszechną sensację, zatrzasnęła mu przed nosem drzwi taksówki. Mati sam siebie nie poznawał. Jednego, czego nie znośił, to robić z siebie publicznie pośmiewisko.

Próbował ścigać ją złapaną naprędce taksówką, ale nie udało się. Zresztą, nie mógł ścierpieć wzroku żabojadzkiego taksówkarza, który patrzył na niego jak na wariata. Nie mając innego wyjścia, zatrzymał się w hoteliku w centrum, gdzie w kameralnej restauracji wypił niemal dwie butelki wina i doszedł do głębokiego przekonania, dzieje się z nim coś niezwykłego. Następnego dnia rano odleciał do Warszawy (wzywano go z roboty), wykończony i załamany, i zakochany jak nigdy dotąd.

Po jakimś czasie dowiedział się od znajomego, że wróciła. Dopiero po kilku dniach udało mu się spotkać ją przed wejściem do budynku, gdzie znajdowała się kancelaria, w której pracowała. Jeden tylko pan Bóg wiedział, ile go to wszystko kosztowało. Najpierw przez kilka dni wyczekiwał pod jej firmą. Krył się w taksówce, nie bez podstaw obawiając się, że ktoś z Guya go rozpozna. W tym czasie dzielił uwagę między bombardujące go telefony a przypatrywanie się przechodniom. No i musiał odpowiednio wcześniej ją zobaczyć, by w porę wciągnąć ją do taksówki. Nie mogli przecież przeprowadzić tego typu rozmowy pod budynkiem, w którym pracowała. A i jego znali tam prawie wszyscy prawnicy.

Lecz i ten plan nie poskutkowało. Wprawdzie udało mu się przez zaskoczenie wepchnąć ją do taksówki, lecz gorsząca scena, która się tam rozegrała, skłoniła niedźwiedzioatego taryfiarza do rzucenia się w obronie „biednej, napadniętej kobitki”.

Mati chciał jak najprędzej wyrzucić z pamięci uwłaczające jego godności chwile. Modlił się też, by żadne niepożądane „oczy” nie były świadkiem żalosnej samotniny, która zakończyła się szarpaniną z potężnym cierpem. Taksówkarz zatrzymał go w aucie, dając Antoninie szansę zniknięcia za obrotowymi drzwiami, prowadzącymi do wnętrza biurowca.

Przez następny tydzień, codziennie, Mati wysyłał na jej biurowy adres kosz czerwonych róż, a gdy i to nie pomogło, zdecydował się na gest ostateczny. W piątek posłał jej kosz róż białych, a do niego doczepioną kopertę. W kopercie znajdowało się czerwone, płaskie pudełeczko wyłożone aksamitem, a w środku niezwykłym blaskiem świecił okazały brylant na pierścionku zaręczynowym.

W kopercie tkwiła złożona wpół kartka, a na niej, niczym cyrograf, skreślone kilka zdań. Tak jak się spodziewał, w piątek po południu odebrała telefon. Prędko doszli do porozumienia. Wreszcie rozmawiali spokojnie, jak ludzie, którzy nie muszą się spieszyć, by wykraść dla siebie parę chwil. I choć mogli się zobaczyć już w niedzielę wieczorem, postanowili wyjechać dopiero w poniedziałek po południu, by rozmówić się i ustalić wszystko. Mati zarezerwował mały

apartament w eleganckim hoteliku w Kazimierzu Dolnym. Niby nie było już większego sensu się kryć, a jednak po co sprawiać niepotrzebny...

Winda zadzwoniła, zatrzymała się. Odgłos kroków Matiego stłumiła wyścielająca korytarz granatowa wykładzina. Do mieszkania wszedł prawie bezszelestnie i natychmiast zdjął buty. Po prostu nie zniósłby w tej chwili odgłosu swych własnych, skradających się kroków.

W korytarzu było ciemno. Odetchnął z ulgą. Spała. Wszedł cicho do salonu, ciągnąc za sobą turkoczącą walizeczkę. Nagle zobaczył jakiś cień na kanapie, poczuł igielki strachu, rozlewające się po całym ciele. Palce prędko odszukały kontakt, światło zaalało salon.

Odetchnął z ulgą. To tylko koc. Leżał zwinięty w kłęb na kanapie. W ciemności wyglądał jak ludzka postać. Widocznie leżała tu, czekając na niego i w końcu położyła się spać. Lecz nie czuł litości, jedynie ulgę, że nie będzie musiał stawić temu czoła jeszcze dzisiaj. Zapalił światło w kuchni, odruchowo zerknął na kuchenkę. Zazwyczaj, gdy miał wrócić późno z delegacji, przygotowywała mu coś smacznego, co mógł łatwo odgrzać i zjeść przed snem do kieliszka wina.

Kuchnia lśniła zimną czystością, lecz nic nie czekało w garnku. Zajrzał do lodówki. Resztki lasagne z zeszłego piątku, o ile go pamięć nie myliła. A więc był to niemy protest. Nic dziwnego, jego zachowanie w ciągu ostatnich kilku tygodni musiało być nieznośne.

Na szafce zobaczył pudełko leków uspokajających. Tknięty nagłym niepokojem, ruszył przez jasno oświetlony korytarz. Gwałtownie wszedł do sypialni, przytomnie jednak nie robiąc nazbyt wiele hałasu, gdyby jednak okazało się, że tylko spała.

Z ulgą, pomieszaną z czymś jeszcze, czego nawet nie dopuszczał do granic świadomości, skonstatował, że się poruszyła, jakby nie spała wcale. Bezszelestnie wycofał się do małego przedpokoju, a stamtąd do korytarza. Szedł w stronę kuchni, spięty i wyczulony, co chwila nerwowo obracając się za siebie. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch, znów poczuł uderzenie adrenaliny, rozplywającej się po ciele niczym szeregi ruchliwych, kłujących mrówek.

To tylko jego własne odbicie w lustrze, nieme i milczące. Mimo zmęczenia, mimo dwóch godzin podróży i wygniecionej marynarki jego smukła sylwetka pozostawała elegancka, a lekko pobladła twarz nadal miała zdecydowany wyraz. Ale jednak, coś uległo zmianie. Gdy to sobie uzmysłowił, nieprzyjemne wrażenie nasiliło się. Tak. To wyraz oczu uległ zmianie. Był w nich strach.

Robiąc więcej hałasu niż było trzeba, ruszył w stronę salonu. Z furkotem zdjął marynarkę i rzucił ją na kanapę. Podeszedł do kredensu, ustawionego za chińskim stołem, otworzył drzwiczki i wyciągnął pierwszą lepszą butelkę. Hiszpański Cabernet. Odkorkował go i nalał do potężnego kieliszka, po czym wypił prawie duszkiem. Nalał drugą lampę i szurając krzesłem, zasiadł przy kuchennym stole.

Siedział tak, z ciemności obserwując salon. Wino już krążyło w jego żyłach, przynosząc ukojenie. Aby spotęgować miły błogostan, zaczął przypominać sobie chwile spędzone z Niną. Napłynęły w niego nowe siły. Przeprowadzi sprawę do końca. Po raz pierwszy w życiu będzie nieugięty. Jeszcze nie dziś i nie jutro rano, ale zrobi to. Po robocie. Usiądą i porozmawiają z Karoliną jak ludzie.

Powoli opadały złe emocje. Nie może się im poddawać. To jakby zły los próbował zniweczyć jego dążenie do szczęścia. Teraz, kiedy już znalazł to, czego szukał, nie wypuści tego z rąk.

Oslabiony, szybko upił się dojrzałym winem. Przestał się bać konfrontacji z żoną i poczuł irracjonalne pragnienie, by do konfrontacji doprowadzić natychmiast, mieć to już za sobą. Znów poczuł w żołądku znajomy neurotyczny skurcz strachu. Jak zły duch spadła na niego myśl, że wracając tak późno, popełnił błąd. Całą drogę był naszykowany, by przeciąć węzeł gordyjski już tego wieczoru, lecz podświadomie zwlekał, wpadł jeszcze do roboty, długo gadał przez telefon, aż zrobiła się prawie dwunasta w nocy. Nagle zaczął się bać, że może nigdy nie dojść do tak przez niego upragnionego końca.

Postanowił położyć się na kanapie w salonie i wstać jutro skoro świt, by wyjść z domu, zanim ona się obudzi i dać sobie jeszcze chwilę na zebranie myśli. Załatwi sprawę jutro po pracy. To już ostatni nieodwołalny termin, jaki sobie wyznacza. Uspokojony konkretnym planem, zapadł

w krótki, płytki sen.

Zbudził się jeszcze przed nastawionym na szóstą budzikiem i jak zdyscyplinowany harcerz wskoczył do łazienki, kombinując po drodze, co włożyć, a wszystko po to, by maksymalnie zyskać na czasie.

Przed samym wyjściem, wyelegantowany i skupiony, cichy jak śmierć, stanął w drzwiach sypialni, by rzucić okiem na żonę i zobaczyć, czy aby na pewno „wszystko z nią w porządku”. Leżała w jasnej pościeli, oddychając równo i spokojnie. Uspokojony, a może i nie, sam do końca nie wiedział, cichcem wykradł się z domu.

Chciał przed robotą zobaczyć się jeszcze z Antosią, ale wsiadając do samochodu, zmienił zdanie. Na pewno spytałaby, czy już „to” zrobił i zaniepokoiłaby się, słysząc, że jeszcze nie. Znając ją, naszyby ją różne wątpliwości. Nie zamierzał też jej okłamywać, nigdy więcej nie chciał tego robić. Nie sposób też było powiedzieć jej prawdę – że zwyczajnie stchórzył. Miała na tym punkcie wyraźnego hopla, nie chciał, by znów gdzieś mu uciekła.

Wyjeżdżając z garażu, mało co nie zasunął w stojącą blisko wyjazdu terenówkę. Zaklął cicho i postanowił skupić się na „tu i teraz”. Nie chciał za chwilę mieć wypadku drogowego i zginąć, nie zabrawszy uprzednio Antosi na jawny i otwarty spacer po Krakowskim Przedmieściu, by cały świat mógł ich oglądać idących za rękę. By innych mężczyzn skręcała zazdrość na widok urody jego prawowitej narzeczonej. By żaden przebrzydły Pierre czy Vince, czy Jean-Paul, już nigdy na wyjeździe służbowym nie śmiał wykonać choćby pół nieprzyzwoitego gestu w jej kierunku.

Jak na skrzydłach pędził przez pustą o tej porze Sikorskiego, lecz przy ślimaku wjeżdżającym na Puławską zdjął nogę z gazu. „Strzyżonego pan Bóg strzyże”, jak mawiał stary Wencel. Do samego biura jechał wręcz przepisowo, zerkając nawet na znaki. Mijając parafię świętego Michała, ukradkiem się przeżegnał. Dojechał do roboty, zaparkował w garażu i przezornie wszedł na trzecie piętro po schodach. Musiały się odezwać chłopskie geny. I ojciec bywał przesądny i zabobonny.

Potem cały dzień pracował bez wytchnienia, chcąc załatwić jak najwięcej spraw, by potem móc poświęcić czas na to, co mu życie w tej niecodziennej sytuacji przyniesie...

Być przygotowanym na wszystko i wszystko przewidzieć – oto jego dewiza! Niczym zwierzę węszące niebezpieczeństwo siódmym zmysłem, Mati, żyjący w ciągłym kontakcie z własną duchowością (jako nieodrodny Wencel, zamierzał korzystać z absolutnie wszystkich dostępnych metod, by osiągnąć cel), był w tę wrześniową środę wyjątkowo czujny i uważny na wszystkie znaki na ziemi i na niebie. Nie pozwolił Opatrzności pokrzyżować swoich planów.

Chciał skończyć wcześniej i wrócić do domu, by na spokojnie rozmówić się z Karoliną, a potem, w zależności od tego, jak się sprawy potoczą, a właściwie w zależności od stopnia jej rozpaczy, ewentualnie spakować trochę rzeczy, by przenieść je do mieszkania Antosi. Jeszcze tego wieczoru. Gdy odpowiadał na maile, w głowie błysnęła mu myśl, by zadzwonić do Karoliny, do biura, i umówić się z nią w domu na rozmowę. Wtedy już nie mógłby się z tego wycofać.

Wybrał numer bezpośredni. Po wielu sygnałach odebrała jakaś kobieta. Mati poczuł delikatne podrażnienie, lecz uprzejmie się przedstawił i poprosił żonę do telefonu. Zdumiona rozmówczyni oznajmiła:

– Pani Karolina Wencel wzięła tydzień urlopu!

Zmieszany i zaniepokojony, odegrał swoją rolę bezbłędnie, udając, że zapomniał, bo ostatnio ciągle był w rozjazdach. Niecierpliwie wybrał numer jej komórki. Odebrała po kilku sygnałach, w tle słychać było hałas.

– Gdzie ty jesteś? – spytał Mati poważnym, spiętym głosem.

– Jadę do matki – równie poważnym, jeśli nie groźnym tonem oznajmiła Karolina i umilkła. W tle rzeczywiście słychać było odgłosy pociągu.

– Chciałem dziś z tobą o czymś porozmawiać – rzucił sucho, ostrożnie rozglądając się po swoim gabinecie. Za szybą przechodził dupek – Jean-Paul. Mati nieznacznie skinął mu głową. Jean-Paul chciał wejść, lecz Mati pokazał gestem, że ma ważną rozmowę i że sam zaraz przyjdzie. Żabojad z naburmuszoną miną odstąpił od wtargnięcia do gabinetu Matiego.

– Dziś nie porozmawiamy, chyba że przyjedziesz do Nowego Targu.

– Kiedy wracasz? – rzucił oficjalnie, tonem, który nie pozostawiał złudzeń, że ma do zakomunikowania coś nieprzyjemnego.

– W piątek. I ja chcę ci o czymś powiedzieć – głos miała spokojny, pewny swego, jakby wiedziała, że do niej należy ostatnie słowo.

– Mów więc teraz – rzucił Mati wyzywająco. Mimo klimatyzacji poczuł, jak na czoło występują mu kropelki potu.

– To rozmowa nie na telefon. A więc do piątku – rozłączyła się. Mateusz siedział wpatrzony w ekran komputera, lecz nic nie widział. Dopiero energiczne pukanie przywróciło go do rzeczywistości. Jean-Paul stał w progu wyraźnie zniecierpliwiony.

– *I was waiting and waiting twenty minutes*^[38] – zaburczał, czerwony i naindyczony, zamykając za sobą drzwi.

Zagajewicz hardziej

Tego samego dnia około jedenastej rano sekretarka kancelarii Wencel, Zagajewicz i Zybort z trwogą ukloniła się mecenasowi Wencelowi, który długimi krokami przemierzał korytarz w stronę swojego gabinetu, niosąc w ręku wielką teczkę i łopocząc przewieszoną przez ramię czarną togą.

Mecenas nie odpowiedział. Co więcej, zdawało się, że w ogóle jej nie zauważył! Dziwne! Z rezygnacją wróciła za elegancki kontuar i z tęsknotą zerknęła w stronę okien. Mimo że była już połowa września, nadal utrzymywała się słoneczna pogoda. No cóż. Do weekendu pozostało zaledwie trzy dni, jakoś się przebiduje.

Tymczasem Paweł zatrzasnął za sobą drzwi i z hukiem cisnął teczkę na nieskazitelnie czyste biurko, z którego już jakiś czas temu uprzątnął oprawne w srebrną ramkę zdjęcie Hanny. Rzucił się w głęboki skórzany fotel i ukrył twarz w dłoniach. Zaledwie pół godziny temu zadzwonił do niego Ciech. Ta rozmowa, którą Paweł wałkował w myślach już enty raz, miała następujący przebieg:

– Oczywiście, będziesz jutro na koktajlu?

– Na jakim znowu koktajlu? – nieuważnie spytał Paweł. Próbował dostać się na prawy pas, by zjechać na Wisłostradę, a o tej godzinie nie było to proste. Długi wąż samochodów sunął powoli mostem Łazienkowskim w stronę centrum. Wakacje się skończyły, zaczynały się korki.

– No nie żartuj! Zagajewicz ci nie przekazał? – w głosie Ciecha słychać było zdumienie i tłumioną nutkę ekscytacji.

– Widocznie zapomniał. Jesteśmy zawaleni robotą – mruknął Paweł nieuważnie.

„Sukinkot coś kombinuje” – myśl ta, tycząca współnika, która od dawna kiełkowała gdzieś na skraju świadomości, zelektryzowała go nagle niczym kopnięcie prądu. Kurwa mać, zagapił się, minął zjazd. No nic. Skręci na placu Na Rozdrożu.

– No to szczęście, że dzwonię! Mały, nieoficjalny zlot korporacyjny w „Quchni Artystycznej”... Wyrobisz się?

– W „Quchni Artystycznej”? – Paweł grał na zwłokę, miał gonitwę myśli. Tak się złożyło, że właśnie mijał Zamek Ujazdowski, w którym mieściła się ta restauracja.

– No taa, zdaje się, że miejsce rezerwowała narzeczona Kwaśniaka, tego aplikanta z Guy et Chardon. Szczwany z niego lisek, nie powiem... Jeszcze sam nie jest radcą, ale tak się wszędzie umie wkręcić, że w tym roku to on organizuje imprezę dla radców... Nie wiem, czy go poznałeś, ale powiem ci, że...

– Poznałem, przejdź łaskawie do następnego punktu – z irytacją przerwał mu Paweł. Nie zamierzał nawet zaprzętać sobie myśli tym odrażającym człowiekiem. Mało miał problemów? Poczul nieprzyjemne uczucie niepokoju, które narastało w okolicy żołądka.

– W każdym razie, jutro będzie tam wystawa jakiegoś młodego, obiecującego artysty, a narzeczona Kwaśniaka jest wielką miłośniczką sztuki, czy jakoś tak, więc zrobiła rezerwację właśnie tam. Ma być elegancko i światowo, rozumiesz? – zarechotał Ciech.

– Miłośniczka sztuki, powiadasz? – prychnął pod nosem Paweł. Jego żona naprawdę znała się na sztuce, ale do głowy by mu nie przyszło, by trąbić o tym wszystkim naokoło, dla własnej reklamy. Ten Kwaśniak to obślizgły gad. Znajac naturę ludzką, Paweł wróżył mu wielką karierę...

– Ale, ale – Ciech nagle o czymś sobie przypomniał – to i twoja żona powinna coś o tym wiedzieć? Ona też chyba jest „w temacie”? Mam na myśli wystawę! – Ostatnie zdanie dodał nieco obronnym tonem.

– A cóż innego mógłbyś mieć na myśli? – wycedził Paweł.

– Coś ty taki drażliwy, stary – Ciech z trudem krył zadowolenie. – *À propos*, to widziałem twoją żonkę na mieście...

Paweł nie odrzekł ani słowa, lecz Ciech nie potrzebował zachęty.

– Siedziała w „Literackiej” z jakimś młodocianym gościem, który raczej nie wyglądał na ubezpieczyciela... – Ciech delektował się słowami. – Pewnie jakiś artysta, z którym robiła wywiad do czasopisma...

Paweł burknął coś na temat utrapienia związanego z pracą w tej cholernej redakcji, nadmieniając, że Hanna wciąż musi robić wywiady z artystami od siedmiu boleści. Dodał, że wszystko to strata czasu, bo płacą jej za to marne grosze, po czym rozłączył się w sposób urągający dobrem obyczajom, lecz trucizna już krążyła w jego żyłach, rozpalając na przemian a to dziką zazdrość, a to głęboką nienawiść, a to palący wstyd, że wzięto ich na języki.

Ci dwoje posuwali się stanowczo za daleko. Widać, że ślepa чуć przesłaniała im jasność widzenia! Spacerować wśród ludzi, wysiadywać w kawiarniach, obnosić się z tym?! Sprawa na pewno dojdzie i do starego Rolicza, a wtedy? Wszelkie tamy przyzwoitości zostaną zerwane! Jej własna rodzina, jej jedyna rodzina, będzie chyba musiała zerwać z nią stosunki! Innej drogi Paweł nie mógł sobie wyobrazić! W głowie nie mieścił mu się podobny brak moralności. Kradzież narzeczonego własnej siostrze. Ptak, który własne gniazdo kała! I to dla godnej politowania żądy! Dla... seksu! Co innego może ją łączyć z dwudziestoparoletnim gnojem? To zbyt żenujące.

W oburzeniu wobec jej niktzemności nie mógł znaleźć właściwego słowa potępienia wobec skali jej diabelskiego występku. Pogarda Hanny dla ogólnie przyjętych konwenansów, przyzwoitości i tego, co winna własnej rodzinie, była niewiarygodna! Wreszcie pokazała wszystkim swą prawdziwą naturę. Nie chciał uderzać w tony patetyczne, lecz to, co zrobiła – to, co robiła już otwarcie – miało w sobie coś szatańskiego!

W przyływie oburzenia nad jej rozwiązłością zdawał się zapominać o własnej podwójnej moralności. Zupełnie właściwe, a wręcz niemal heroiczne, wydawało mu się jego własne stanowisko. Zdawało mu się, że stoi na straży świętości węzła małżeńskiego, że robi coś chlubnego i właściwego! Nie czuł wcale, że niezbyt honorowym było przymykanie oczu na jej romans. Życzył sobie tylko, by sprawa się nie wydała! Żył na świecie dostatecznie długo, by mieć świadomość, że takie sprawy się „zdarzają”, kipią, a potem rozplývają się w niebycie. Oburzające wydawało mu się natomiast niekrycie się z tym, publiczne robienie z niego rogakza!!!

Wreszcie przebrzydły stary Rolicz, ze swoją sympatią dla amoralnych zachowań, będzie mógł na własnej skórze poczuć, co oznaczają skutki „nieliczenia się z konwenansami”. Tyle razy piał z zachwytem, opowiadając o różnych romansach w ich rodzinie, jakby ta skłonność do grzechu była w jakiś sposób związana ze szlacheckim pochodzeniem i predestynowała ich do bycia ponad ogólnie przyjętą moralnością!

Ciekawe, jak się zachowa, gdy się dowie, że siostrzenica, znajda, którą przyjął pod swój dach, gzi się z narzeczonym jego rodzonej córki! Ciekawe, czy i te „dzieje” wydadzą mu się takie romantyczne.

Paweł nie uważał się za świętoszka, znał życie od najbrudniejszych stron (choć akurat żony nigdy nie zdarzyło mu się zdradzić, a przecież miał po temu niejedną okazję) i rozumował pewnie wcale logicznie, sądząc, że gdyby sprawa potrwała jakiś czas, wszystko rozeszłoby się po kościach. Uznał, że przymknięcie na to oczu było najlepszym wyjściem z parszywej sytuacji. Kto wie, być może, gdyby romans się wyszumiał, wróciłaby do niego dużo bardziej pokorna i skruszona?

Lecz ona swoim zachowaniem posunęła się stanowczo za daleko. Robi z niego pośmiewisko!

Jeżeli jej samej nie obchodzi własna reputacja, jeżeli nie obchodzi jej, w jakim świetle stawia wuja – swego dobrodzieja (bo przecież cała palestra będzie o tym huczeć!), to niech ma na względzie dobre imię męża!

Podrywało go, żeby pojechać do niej do redakcji i narobić jej takiego wstydu, żeby więcej się tam nie mogła pokazać! Jeśli publicznie przyprawia mu rogi, to i on nie cofnie się przed niczym. Z galopady myśli wyrwał go nagły, ostry dźwięk telefonu. Wzdrygnął się i ze zdziwieniem spojrzął na terkoczący aparat. Dziś naprawdę zdawał się zapominać, gdzie się znajduje...

– Halo – warknął w słuchawkę nieprzyjaznym głosem.

– Panie mecenasie, dzwoni prezes Baranowski z Budex- primu – lekliwie zaanonsowała sekretarka.

– Nie ma mnie dla nikogo! – huknął Wencel i rzucił słuchawkę.

Sięgnął pod biurko. Niecierpliwie wymacał płaskie pudełko, wyjął jedną cygaretkę

i zapalił. Zaciągnięcie się dymem przyniosło niemal fizyczną ulgę. Potem wstał i zbliżył się do małej półokrągłej szafeczki. Wyciągnął płaską piersiówkę. Wychylił ją całą, po czym chwiejnym krokiem wrócił do biurka i ciężko opadł na fotel. Znów uchwycił słuchawkę telefonu i po chwili rozkazującym tonem rzucił:

– Pani Agnieszko, nie ma mnie dla nikogo, niech pani z nikim mnie nie łączy, niech pani powie, że jestem chory. W szpitalu! W grobie!

– Tak jest, panie mecenasie, choć muszę panu powiedzieć, żeby potem nie było, że czegoś nie dopatrzyłam. Prezes Baranowski był bardzo niezadowolony, długo nalegał, żeby z panem łączyć...

– Rozumiem. I dziękuję. – Z trzaskiem odłożył słuchawkę. Wypalił jeszcze dwie cygaretki i w końcu doszedł do siebie na tyle, żeby przejrzeć pocztę elektroniczną. Niedługo jednak cieszył się równowagą. Czerwone płyty zaczęły latać mu przed oczami, gdy znalazł przesłany mu przez sekretariat skan postanowienia KRS-u o zwrocie wniosku o rejestrację pewnej spółki. Firmę widniejącą w treści tegoż postanowienia od razu skojarzył!!! Kilka tygodni temu zgłosił się do nich amerykański klient, który chciał robić biznes w Polsce, w branży alternatywnych źródeł energii. Poprosił o założenie w Polsce spółki z o.o. Z racji tego, że przyszli właściciele spółki stale rezydowali za granicą i dużo jeździli po świecie, chcieli mieć zapis w umowie spółki, że zgromadzenia wspólników będą mogli odbywać także poza granicami RP, najchętniej w Los Angeles, gdzie co jakiś czas będą się wspólnie spotykać.

To byłoby dla nich duże ułatwienie prowadzenia interesów w Polsce. I tak mieli tu ludzi od farm wiatrowych, które chcieli budować. Przedstawiciele na miejscu mieli zarządzać biznesem, a tamci – Amerykanie – mieli jedynie czuwać nad wszystkim zza oceanu. Dlatego pomyśleli, że zgromadzenia będą mogli robić gdzieś tam het, daleko, żeby nie musieć za każdym razem przyjeżdżać do Polski czy ustanawiać pełnomocników.

Zresztą, wiadomo jak bywało z pełnomocnikami. Danie im pełnych plenipotencji mogło oznaczać zniknięcie dorobku życia... Już nieraz były takie sytuacje, nawet wśród gigantów rynku... Problem jednak w tym, że polski *Kodeks spółek handlowych* nie przewidywał możliwości odbywania zgromadzeń wspólników poza Polską. Koniec kropka. Był wyraźny zapis i żaden sąd nie zarejestrowałby spółki, która miałaby takie postanowienie w umowie. Robert chciał jednak być kreatywny i „wyjść naprzeciw oczekiwaniom klientów”. Klócił się z Pawłem, że jednak da się to przepchnąć. Powoływał się na jakiegoś kolegę, „wybitnego przedstawiciela doktryny”, którego nazwiska raczej wtedy nie podał (Paweł by pamiętał), który rzekomo napisał jakiś artykuł do prasy fachowej, z którego wynikało, że literalne brzmienie przepisu wcale nie przeszkadza przeprowadzeniu takiej wykładni prawa, z której będzie wynikać kompletnie co innego.

Zagaj chwalił punkt widzenia tego kolegi, twierdząc – najpewniej w ślad za tamtym (to nie mogły być jego własne słowa, Paweł wiedział, że Zagaj nie byłby zdolny wymyślić czegoś takiego sam!) – że dobrze być czasem kontrowersyjnym, bo to przynosi oczekiwany rozgłos w środowisku. Tyle tylko że taka interpretacja prawa była kompletną bzdurą, co teraz znalazło potwierdzenie w decyzji sądu.

Paweł był wściekły. A więc jednak Zagajewicz postanowił to zrobić po swojemu, za plecami wspólnika. Pewnie wpisał do umowy spółki, że mogą sobie robić zgromadzenia choćby na Bora Bora, a co tam! Nie dość, że zrobił pośmiewisko z kancelarii w sądzie (pewnie referendarze w KRS-ie mieli niezły ubaw), to jeszcze trzeba będzie to odkręcać – ściągać Amerykanów do Polski albo kazać im robić pełnomocnictwa. A przecież każdy z nich przebywa gdzie indziej, zaś do pełnomocnictw potrzebne są jeszcze poświadczenia notarialne, klauzule apostille. Jest trochę biegania. Nieźle się wkurwią... Co to za kancelaria, pomysłał oczywiście – i będą mieli rację – co nie potrafi głupiej spółki zarejestrować?

Zadzwoił do sekretarki i kazał natychmiast przynieść sobie akta. W okamgnieniu znalazły się na jego biurku. W środku, tak jak przypuszczał, znalazł „dzieło” w postaci umowy spółki z zapisami dokładnie takimi, jakich się spodziewał. No tak...

Niewiele czasu zajęło dotarcie do sedna sprawy. Do akt załączony był ów artykuł z „Rzeczpospolitej”, który Zagaj tak zajadle cytował, pióra nie kogo innego, jak tego oślizgłego

Kwaśniaka!

Paweł zapalił cygaretkę i z niedowierzaniem przebiegł oczami po zakreślonych markerem bzdurach.

Wyszedł z pracy w pół do ósmej. Gdy podjechał pod dom, ze zdumieniem zobaczył, że w mieszkaniu pali się światło. Wróciła do domu tak wcześnie? Nie zdarzało jej się to od miesiąca... Niemal wbiegł po schodach, przy drzwiach niecierpliwie szamotał się z kluczem, mamrocząc niecenzuralne słowa. W końcu ustąpiły.

Powoli wszedł do mieszkania, czujny jak gazela. Zawiesił tokę w garderobie i ostrożnie się rozejrzał. Z odtwarzacza sączyły się melancholijne dźwięki trąbki Roya Hargrove'a. Salon był pusty, ale nieomylny instynkt powiodł go w stronę kuchni. Siedziała przy stole nad kieliszkiem wina. Lekko podkrążone oczy błyszczały jakby w gorączce. Rozpuszczone włosy wiły się wokół szczupłej twarzy, nadając jej niezwyklego wyglądu. Gdy wszedł, podniosła na niego niewidzący wzrok.

– No pięknie – wyraził dezaprobatę dla tego niepokojącego widoku. Wyglądała zjawiskowo, lecz zarazem tak dziwnie, że przez moment zapomniał języka w gębie. Przyszło mu nawet do głowy, że i ona mogła czuć się bardzo osamotniona i nieszczęśliwa. Jednak wspomnienie jadowitych słów Ciecha wznieciło palącą zazdrość i wrący gniew.

– Doszły mnie pewne słuchy – usłyszał własny głuchy głos, dobywający się bezwiednie z trzewi. – I to już nie pierwszy raz. Powiedz prawdę, czy...

Patrzyła na niego w otępieniu. Myślami była gdzieś daleko. Oburzyła go ta milcząca obojętność. Uczuł gwałtowny skok ciśnienia, szumiało mu w uszach. By się uspokoić, sięgnął po kieliszek i napełnił go niemal po brzegi, po czym wychylił jednym haustem. Postawił go z hukiem i zaczął groźnie krążyć po kuchni, w tę i z powrotem. Nagle stanął przed nią, wsparł się pod boki w oskarżycielskim geście i złowieszczym głosem spytał:

– Czy w swoim opętaniu posunęłaś się do tego, by nawiązać romans z chłopakiem własnej siostry? – Specjalnie nadał wypowiedzi ten potępieńczy charakter, lecz, niestety, nie wzbudziło to w niej należytej skruchy. Poderwała głowę i zagapiła się na niego w zdumieniu, jakby ten sposób ujęcia sprawy był dla niej całkowicie zaskakujący albo może zdziwiła się, że Paweł w ogóle przed nią stoi.

– Pytam cię jeszcze raz – zaczął znów, tym razem tonem lekko histerycznym – czy uwiodłaś narzeczonego swojej siostry?

– Nie! – krzyknęła gwałtownie, patrząc na niego z nienawiścią.

Usłyszawszy odpowiedź, naturalnie jej nie uwierzył, lecz wbrew rozsądkowi poczuł lekką ulgę. A więc obawiała się jednak, że sprawa się wyda, że dotrze do jej „rodziny”. Była na tyle zaangażowana, że nie mogła z niego zrezygnować, ale miała jeszcze tę resztkę przyzwoitości, by obawiać się reakcji ciotki i wuja.

Dzika zazdrość zapłonęła w nim na nowo. Hanna bała się ich reakcji, lecz mimo to musiała... chciała go widywać. Znów wlał sobie do pełna wina i wypił cały kieliszek, lecz nie mógł się uspokoić. Plamy wirowały mu przed oczyma.

– Czemu więc siedziałas z nim wczoraj w „Literackiej”?

– Pomagałam z wystawą, zresztą na prośbę Matyldy... – prawie krzyknęła.

– Kiedy jest ta przekłeta wystawa?

– Jutro – odpowiedziała po chwili wahania, nie patrząc na niego.

– A więc pójdziemy razem – uśmiechnął się złowieszczco. Patrzyła na niego ze zdumieniem. Pobladła.

– Nigdzie nie pójde.

– Pójdiesz. Jak normalna żona – wycedził. – Tak się składa, że jutro w „Quchni Artystycznej” jest spotkanie radców prawnych. Potowarzyszysz mi i będziesz się zachowywać przyzwoicie, bo jak nie, to biorę za telefon i dzwonię do szacownego wujaszka i ciotuni i powiem im, kogo wzięli pod własny dach...

Patrzyła na niego, jakby chciała zabić wzrokiem, po czym poderwała się i wybiegła z kuchni. Po chwili usłyszał huk zamykanych drzwi od gabinetu. Złapał go skurcz w mostku,

więc otworzył szafkę z lekarami i wyciągnął valium. Łyknął tabletkę, popił szklanką wody, po czym osunął się na krzesło i położył głowę na kuchennym stole. Poczul na skroniach miły chłód, przynoszący chwilową ulgę.

Wystawa w CSW

W czwartek rano obudził się z tępyim bólem głowy, na kanapie w salonie. Było mu cholernie zimno. Zaciskając zęby, po omacku poszukał pilota i wyłączył telewizor. Musiał przy nim usnąć. Zerknął na zegarek. Ożeż kurwa mać. Była siódma czterdzieści, a o dziewiątej miał rozprawę przed Sądem Apelacyjnym. Wstał i znowu usiadł, bo zakręciło mu się w głowie.

Koszmary wieczór, koszmarna rozmowa. Zacisnął powieki, jakby chciał wymazać z pamięci uwłaczające jego godności chwile. Ale nie było czasu, by się nad tym zastanawiać, trzeba było biec do sądu, a potem spokojnie przemyśleć sytuację z Zagajewiczem. Partolił robotę za robotą, a przy tym zrobił się arogancki jak nigdy dotąd. Paweł zbyt dobrze znał swego wieloletniego wspólnika, by nie dostrzec, że coś mu się „poprzestawiało we łbie”. Ewidentnie dążył do zwarcia, do otwartego konfliktu. Po co? Jedynym wytłumaczeniem mogło być to, że miał coś na sumieniu, więc naturalną obroną był atak. A może właśnie z nim widywała się jego żoneczka? Nie, to szaleństwo. Ciech wyraźnie powiedział „młody”. Zresztą przecież Zagajewicza Ciech by poznał... Chyba że naprawdę widywała się z tym kurewskim Artyściem tylko po to, aby zorganizować mu wystawę, a tak naprawdę romansowała z Zagajem...

Nie, to już zakrawało na paranoję. Wszedł pod gorący prysznic i długo lał na głowę ciepłą wodę. Po dziesięciu minutach poczuł się nieco lepiej. Ubrał się starannie i szczęśliwie myśli jego zaczęła przyciągać rozprawa, która miała się za chwilę odbyć. Miał jeszcze przejrzeć akta, a wczoraj kompletnie o tym zapomniał. Zjadł śniadanie, wypił kawę, po czym spieszenie ruszył do wyjścia. Przy drzwiach do gabinetu zwolnił, zdawało mu się, że usłyszał za nimi szelest. Postać chwilę, ale zza drzwi nie doszedł go już nawet najmniejszy ruch. Wyszedł z domu, skupiony na zbliżającej się rozprawie.

Koszmarny powrót z chwilą, gdy wychodził z sądu, choć nabrał nieco innego wymiaru, gdyż na jeden problem nakładał się jeszcze inny, związany z Zagajewiczem. Była to wprawdzie sprawa drugorzędna, lecz zbliżał się już do biura i zamierzał rozmówić się ze wspólnikiem, chwilowo więc to zaprzętało jego myśli.

Najbardziej irytowało go, że nie do końca wiedział, z czym ma walczyć. Przypuszczenia opierał na poszlakach, a że obdarzony był dość bujną wyobraźnią i z natury podejrzliwy, nie wiedział, gdzie kończą się jego domysły a zaczynają fakty. Zagajewicz mógł romansować z jego żoną, mógł coś knuć za jego plecami, ale też wszystko to mógł być wytwór Pawłowej wyobraźni.

Postanowił porozmawiać z Zagajewiczem względnie otwarcie. Mimo ociążałej sylwetki, niezwykle szybko i sprawnie pokonał schody i bez tchu wpadł do kancelarii. Musiał dziwnie wyglądać, bo sekretarka, witając się, popatrzyła na niego jakby z lękiem. Odruchowo przygładził dłonią włosy i starając się panować nad głosem, spytał, czy mecenas Zagajewicz jest w kancelarii.

– Mecenas Zagajewicza dziś nie będzie, dzwonił, że się rozchorował – zaniepokojonym głosem oznajmiła sekretarka.

– Hm, dobrze. A o której będzie mecenas Zybert? – w głosie Pawła czuć było lekkie napięcie.

– Mecenas Zybert wyjechał wczoraj z rodziną do Zakopanego. – Czy mu się zdawało, czy sekretarka mówiła przeproszającym tonem?

– O! – zdziwił się Paweł. Zazwyczaj takie urlopy ustalali na wewnętrznych spotkaniach, odbywających się co tydzień. Nie przypominał sobie, by Zybert uprzedzał o urlopie. Naprawdę już im się we łbach poprzekręcało. Niezadowolony ruszył do gabinetu. Starannie zamknął za sobą drzwi, po czym wybrał na komórce numer Roberta.

Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Co jest? Do cholery, to już nie było śmieszne... Usiadł przy biurku i zaczął wertować pierwszą z brzegu umowę. Po chwili chwycił długopis i kręcąc z niezadowoleniem głową, z wykrzywioną ze złości twarzą, zaczął nanosić poprawki. Pracował bez wytchnienia do godziny siedemnastej, kiedy zrobił sobie przerwę na kawę. Popijając ją, znów wybrał numer Zagajewicza i znów odezwała się poczta głosowa. Mocno niespokojny, prędko i nieco po łebkach kończył poprawianie umowy.

O szóstej wstał i ruszył do recepcji. Gdy wkładał płaszcz, zdawało mu się, że sekretarka

rzuca mu ukradkowe, niespokojne spojrzenia.

– Czy coś się stało, że pani tak zerka, pani Agnieszko? – spytał lekko poirytowanym głosem.

– Ależ nie, panie mecenasie.

– To świetnie. Zatem do jutra. – I wyszedł ciężkim krokiem.

Jadąc samochodem, usiłował nieco uporządkować chaos, który miał w głowie. Jeszcze raz spróbował połączyć się ze współnikiem, tym razem poczta głosowa włączyła się od razu.

Zdenerwowany i pełen najgorszych przeczuc, chciał dzwonić na domowy, lecz zmienił zdanie.

Może Zagajewicz przyjdzie na spotkanie do Zamku Ujazdowskiego. Nigdy nie omijał tego rodzaju spędów. Wąż samochodów jadący Trasą Łazienkowską zdawał się nie poruszać. Mżyło. Ta droga do domu wydawała mu się najdłuższą w życiu. Znów poszukał komórki. Wybrał numer Mateusza, lecz i on miał włączoną pocztę głosową. Co za upiorny dzień! Po czterdziestu minutach znalazł się pod domem. Gdy tylko podjechał, od razu zerknął w stronę okien ich mieszkania. Nie paliło się żadne światło.

Tym większe było jego zdumienie, gdy zastał ją siedzącą na kanapie, w ciemności. Gdy zapalił lampkę w korytarzu, zauważył, że była już przebrana w elegancką sukienkę, gotowa do wyjścia. Stał i patrzył na nią w milczeniu, czekając na wyjaśnienie, czy może przeprosiny, lecz tylko zerknęła na niego przelotnie, jakby nie widząc go wcale, jakby był przezroczysty. Potem oparła głowę o wezglowie sofy i przymknęła oczy w skrajnym wyczerpaniu. Suchym głosem zakomunikował, że idzie się przygotować i wróci za kwadrans, lecz mógłby dać głowę, że nie usłyszała ani słowa.

Wykapany, ubrany w garnitur, wrócił do salonu rzeczywiście równo po kwadransie. Wstała z kanapy i włożyła płaszcz. Wyszli z domu pogrążeni w obojętnym milczeniu, jakby wiedzieli, że żadne słowa już nie pomogą, że nie ma dla nich ratunku. Wsiedli do taksówki. Po drodze nie zamienili ani słowa. Weszli do środka i zostawili płaszcze w szatni. Paweł zerknął na Hannę przelotnie i zauważył, że lekko drgała jej powieka. Musiała być w stanie skrajnego napięcia nerwów. Pewno. Nie będzie łatwo znaleźć się na jednej sali z mężem i gachem. Tym bardziej przyspieszył kroku. Nie mógł się doczekać momentu, w którym stanie przed Igorem z żoną przy boku i zaznaczy swoją własność. Niech ten gówniarz zobaczy, jak wygląda brutalna rzeczywistość, kto tu ma ostatnie słowo. Czym innym jest przebrzydłe sekretne dymanie, a czy innym świętość małżeńskiej obrączki. I niech nikt nie myli jednego z drugim! Koniec zabawy, żarty się skończyły. Pofiglował (na myśl o tym w Pawle się zagotowało, ale jeszcze Igor mu za to zapłaci), lecz już po wszystkim. Cudzołożąca żona wraca do męża, gdzie jej miejsce.

Weszli na jasną, gwarną salę, na ścianach której wisiały obrazy Igora. Pierwszą osobą, na którą się natknęli, był właśnie on, stojący w towarzystwie Zalewskiego. W czarnym garniturze i czarnej koszuli przykuwał wszystkie spojrzenia, lecz kompletnie tego nie dostrzegał, tylko rozglądał się wokół gorączkowym wzrokiem. Gdy tylko zobaczył Hannę, chciał rzucić się w jej kierunku, lecz powstrzymał go widok Pawła, kroczącego tuż za nią z pogardliwym półśmieszkim na ustach.

Hanna przystanęła niezdecydowana. Paweł objął ją w pasie, by zaznaczyć swe małżeńskie prawa, gdy nagle wmieszał się Zalewski.

– Pani Hanna! – zakrzyknął z ulgą, zwracając uwagę wielu stojących w pobliżu osób. – A już się z panem Igorem niepokoiłszy, że pani w ogóle się nie pojawi! Byłby to prawdziwy wstyd, bo to głównie pani dzieło i pani zasługa! Witam serdecznie!

Hanna była zmieszana, lecz nie miała wyjścia i po prostu musiała się zbliżyć. Paweł, podobny do nieufnego goryla, szedł tuż za nią, obejmując ją w pasie. Gdy witała się z Zalewskim, który przez dłuższą chwilę nie wypuszczał jej dłoni, mówiąc do niej bez końca, Paweł znalazł się twarzą w twarz z Igorem.

– Gratuluję – wycedził gorzkim, ironicznym tonem. – Satyra w sztuce! Cóż za znajomość natury ludzkiej i to w wieku, w którym mógłby pan jeszcze kopać z chłopakami piłkę...

Lecz, niestety, Igor chyba nie uchwycił złośliwości poczynionej przez Pawła pod jego adresem, ponieważ nachylił się w stronę Hanny i wykrzyknął przyciszonym tonem:

– Co się z tobą działo? Odchodziłem od zmysłów...

– Zupełnie niepotrzebnie – wmieszał się Paweł lodowatym głosem. – Jak widzisz, przybyliśmy.

– A to szanowny małżonek? – pytał Hannę Zalewski, patrząc na Pawła uważnym wzrokiem. – Jestem Zalewski. – Ucisnął dłoń Pawła. – Czy pan wie, jaką ma pan zdolną żonę?

– Och tak, jest zdolna. – Paweł uniósł brwi i kiwnął głową. Jest zdolna do wszystkiego.

– Widział pan wystawę?

– Tyle co stąd... Dopiero weszliśmy...

– Musi pan koniecznie obejrzeć, zwłaszcza *Mikroświaty* – nalegał Zalewski, pociągając Pawła pod jakiś poskręcany konar, przyczepiony do ściany, spod którego żadną miarą nie mógł usłyszeć, co do Artysty mówiła teraz jego żona.

– Niech pan spojrzy, jak forma tej instalacji dekonstruuje rzeczywistość. Kapitalne ujęcie tego, co żadną miarą ujęte być nie może, jak by się mogło wydawać...

Czy ten nawiedzony szarlatan z siwym kucykiem kpi sobie z niego? Wprost nie znosił sztucznego dorabiania ideologii do kiepskiej sztuki. A może był z nimi w zмовie? Szaperonował tej idylli? Paweł zerknął w stronę Hanny i aż w nim zawrzało. Artysta podprowadził ją do bufetu, na którym stał szampan, podał kieliszek niczym środek uspokajający, a teraz coś jej kładł do głowy, trzymając ją za ramiona. Paweł pobladł i niewidzącym wzrokiem spojrzął na Zalewskiego, który po raz trzeci o coś go pytał:

– Nie, nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. To rzeczywiście interesujące – rzucił na odczepnego i czujnie rozejrzał się po sali. Z drugiej strony, pod wielkim bohomasem stała wyelegantowana czereda jego kolegów z żonami. Uśmiechali się dyskretnie i wymieniali między sobą uwagi, a spojrzenia ich utkwione były w parze, zajadle dyskutującej przy bufecie z szampanem.

A było na co patrzeć. Ona, niespokojna, pod wpływem jego kojących argumentów zdawała się odzyskiwać równowagę. Jeszcze kilka namiętnych zdań, wypowiedzianych przez niego z pasją, a wreszcie na jej ustach zjawił się nieśmiały uśmiech. Posunęła się nawet do tego, że odważnie podniosła na niego ciemne oczy, które zdawały się teraz świecić ponadnaturalnym blaskiem. Decyzja zdawała się zapadać na oczach wszystkich. To było niezwykle zajmujące.

Zagajewiczowa z Kuleszą i narzeczoną Kwaśniaka bardzo długo stały stłoczone pod *Formami powtarzalnymi*. I ich oczy świeciły dziś ponadnaturalnym blaskiem. Sztuka musiała wyrzucić na nich ogromne wrażenie, miały bowiem na twarzach ceglaste wypieki. Wymieniały uczone uwagi na temat niezwykłego malarstwa, przeglądały broszurę, lecz ich oczy co chwila uciekały w róg sali. Mało nie pisnęły z tłumionej ekscytacji, gdy nagle poczerwieniały na twarzy Paweł Wencel niezbyt uprzejmie przeprosił siwowłosego kuratora wystawy i skrzypiąc butami, szybkim krokiem przemierzył salę. Szedł wprost do Hanny. Przestały oddychać.

Zbliżył się do tych dwojga, zaczerwieniony, z wychyloną do przodu głową, jak warczący pies, który ostrzega, że zamierza zaatakować. Igor wyglądał, jakby chciał ruszyć do zwarcia, lecz rzut oka na twarz Hanny nieco go ostudził. Pobladła, jej ręka szukała jakiegoś oparcia, jakby Hanna miała zemdleć. Igor chciał ją podtrzymać, lecz Paweł trącił go ramieniem, chwycił żonę boleśnie pod rękę i gwałtownie pociągnął za sobą, mamrocząc niewyraźnie pod nosem. Igor coś do Pawła powiedział, lecz Hanna zaoponowała. Teraz już sama chciała się jak najszybciej oddalić. Igor ruszył za nimi, lecz najwyraźniej powstrzymał go błagalny wyraz jej oczu. Szczęśliwie podeszła do niego grupka osób i zaczęła o coś rozpytywać. Był skołowany, lecz starał się odpowiadać na pytania, najpewniej dotyczące wystawy. Jego wzrok co chwila uciekał i penetrował salę wypełnioną gwarnym tłumem, lecz nigdzie nie mógł dostrzec małżeńskiej pary.

Tymczasem korporacja radców prawnych chyba uznała, że widziała już dostatecznie dużo. Parami i grupami opuszczali wystawę i kierowali się do piwnic, gdzie mieściła się „Quchnia Artystyczna”. Dosyć już kultury, teraz trzeba było podjąć. Tłum wylał się z sali i tłoczył na schodach. Słyszeć było śmiechy i gwar rozmów. Na samym końcu pochodu ciągnęli się Zagajewicz i Kwaśniak. Obaj w pysznych humorach. Już na schodach Robert stwierdził, że koniecznie muszą się napić najlepszego wina.

– Po co zamawiać, przyjacielu – oponował Kwaśniak – będzie wino domowe,

w beczułkach.

– Ściubasz z ciebie, przyjacielu, ale i tak cię Kocham – grzmiał Zagajewicz radosnym głosem, obejmując Kwaśniaka za ramiona i poklepując po szczupłym torsie. – Najlepsze wino na mój koszt! Stać mnie!

Dziś po południu na jego konto wpłynęła umówiona kwota, więc czemu miał się szczytać. Poza tym, trzeba było jakoś to oblać. W życiu jego i Kwaśniaka otwierał się nowy rozdział. Zagajewicz był człowiekiem wylewnym i miał gest! Trzeba też przyznać, że ogromnie mu ulżyło, gdy wreszcie przelew dotarł. Wprawdzie nie miał powodów, żeby nie ufać Mirkowi, równy był z niego chłop, no ale wiadomo, jaki jest ten świat. Różne rzeczy się zdarzały. Tak więc przepelniało go poczucie ulgi i radości. Teraz już Paweł może mu nagwizdać. Od jutra zacznie akcję werbowania klientów na swoją stronę, a tamten gbur niech robi, co chce. Najlepsze jest to, że po tak korzystnie zawartej transakcji Budexprim najpewniej stanie się jego klientem, bez specjalnego przekonywania.

Widział dzisiaj, że Paweł dzwonił do niego wielokrotnie, lecz dopóki nie miał pieniędzy na koncie, nie chciał podejmować żadnych pochopnych kroków (gdyby okazało się, że Kwaśniak mu nie zapłacił, mógłby jeszcze Pawła potrzebować). Kiedy uspokoił się co do przelewu, też nie miał wielkiej chęci na rozmowę ze współnikiem. Po co psuć sobie humor? I tak będzie musiał przeprowadzić z nim rozmowę wyjaśniającą, ale po co już dziś? Zagajewicz zawsze starał się oszczędzić sobie przykrości.

Weszli z Kwaśniakiem do sali restauracyjnej. Mimo że zgromadził się tam już niezły tłumek, Robert szybko dostrzegł Hannę, otoczoną przez „przyjaciółki”. Musiała się z Pawłem ostro poprzytykać, bo wyglądała bardzo blado, a on stał przy barze i wychylał właśnie haustem kielonek wódki. Zagajewicz po chwili wahania ruszył ku niemu. W sumie wciąż był to jego kumpel. Biznes to biznes. To przecież oddzielna historia.

– Co jest, stary? – klepnął go po plecach i ręką dał kelnerowi znak, by podał jeszcze raz to samo, tylko razy dwa.

– Nic – odpychając warknął Paweł, zapalając cygaretkę.

– No przecież widzę – Zagajewicz ze zrozumieniem pochylił się nad współnikiem. Sam też sięgnął po cygaretkę. Zaciągnął się i znów klepnął Pawła po plecach. – Nie martw się babami, stary... Ile razy ci mówiłem, żebyś sobie znalazł jakąś odskocznnię?

– Gdzie, kurwa, byłeś cały dzień? – spytał Paweł, zwracając się nagle całym ciałem w jego stronę.

– W domu. Łeb mnie napierdalał, dzwoniłem przecież do pani Agnieszki... – Zagajewicz patrzył na Pawła szeroko otwartymi oczami. – Co ci jest, stary? Moja mama ma ci donieść usprawiedliwienie czy co?

Paweł palił z zajądlnością. Miał na ten temat inne zdanie, ale nie był to ani czas, ani miejsce, by sprawę roztrząsać. Dwie publiczne awantury to zbyt wiele jak na jego skaczące ciśnienie. Zerknął przez ramię w stronę Hanny. Nie zdążyli się nawet porządnie pokłócić, gdyż natychmiast obskoczyły ją te żadne sensacje francie.

– Mamy do pogadania, ale nie dzisiaj – warknął niebezpiecznie, nie zaszczycając Roberta ani jednym spojrzeniem.

– Owszem, mamy – odparował Zagajewicz, wychylił lufkę, rzucił na bar banknot stułotowy i potrącając krzesło barowe, odszedł w stronę siedzących przy małym stoliku kumpli. Siedział tam również Kwaśniak z nogą założoną na nogę i małym kieliszkiem wina, bacznie obserwując zachowanie dwóch współników.

Tymczasem Zagajewiczowa i narzeczona Kwaśniaka zbliżyły się do wianuszka kobiet, w którym stała również blada i milcząca Hanna. Ze szczegółami wypytywały ją o okoliczności, w których odkryto talent tego niezwykle obiecującego artysty.

– Szczęście, że wpadłam na to, by właśnie tu zorganizować spotkanie radców prawnych – piała zachwycona narzeczona Kwaśniaka, cała spowita w artystyczną czerń. – Gdyby nie to, nigdy byśmy o nim nie usłyszeli! A tak, pójdzie fama! Wiadomo, że prawnicy to najbardziej znacząca warstwa klasy średniej!

– To sól ziemi, kochana. – Marzena popijała białe wino. – Rzeczywiście, masz dryg do sztuki... Może powinnaś otworzyć galerię?

– Kochana, niewielki z tego pieniądz! Społeczeństwo jest na dorobku! Może, jak nasycą się podstawowe potrzeby typu dom, samochód, dobra szkoła dla dzieci – perorowała narzeczona Kwaśniaka bardzo głośno – może wtedy wzrośnie zapotrzebowanie na produkty dla duszy, a nie dla ciała. Teraz co najwyżej mogę pomarzyć...

– Tak. Ciągłe jesteśmy do tyłu! – westchnęła Zagajewiczowa, posępnie kiwając głową.

– Przystojniaczek z tego malarza – narzeczona Kwaśniaka mówiła głośno, by i Hanna mogła usłyszeć, lecz Hanna nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Stała, pochylając głowę i wpatrując się w kieliszek wina.

– Hanno, gdzie twój malarz? – zagaiła rozochociona Zagajewiczowa, lecz ta nie spojrzała wcale w jej stronę. Być może nawet nie usłyszała pytania. Wychyliła do końca wino i przeprosiła „koleżanki”. Ustąpiły z drogi i popatrzyły po sobie, kryjąc rozbawienie. Tymczasem Hanna minęła je i podeszła do beczułki, by uzupełnić swój kieliszek. Tam, w samym środku kłębiącego się tłumu, natknęła się na Igora.

Impreza trwała w najlepsze, w tle leciał Cole Porter. Coraz więcej par wychodziło na parkiet i kręciło się niezobowiązująco w rytm milej, nienachalnej muzyczki. Paweł nadal stał przy barze. W pewnym momencie dołączył do niego Balcerzak. Zamawiali pięćdziesiątki i palili cygaretki. Paweł kilka razy odwrócił się w stronę, gdzie stała Hanna, lecz nie udało mu się uchwycić nawet jednego spojrzenia. Stała w kłębówisku żmij, pokonana, z pobladłą twarzą i fioletowymi cieniami pod oczyma. Wydawała się taka samotna.

Nagle, gdy wódka już dobrze szumiała mu w głowie, znów zerknął w stronę żony. Było mu już trochę głupio, że sam doprowadził do takiej konfrontacji. Po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że sam był sobie winien. Należało zostać w domu, przegadać to, ewentualnie przeprosić się, wyjaśnić sobie przyczyny! Wybrał najgorszą z możliwych dróg. Poczul żarliwą chęć naprawienia wszystkiego między nimi, na przekór wszystkim tym gadom, które najpewniej wróżyły im koniec. Ach, podejść do niej, wziąć ją w ramiona i przytulić! Tak, żeby wszyscy oni pękali z zazdrości! Nie dbał o to, co sobie myśleli! Na przekór im wszystkim zamierzał właśnie podejść do niej i zaproponować, by wrócili do domu! Błady, z podkrążonymi oczami, zerknął błagalnym wzrokiem w jej kierunku. Jakże się zdziwił, nie ujrzawszy jej pośród kobiet.

Gorączkowym wzrokiem przecesał salę, kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Wyszła? Poderwał się na równe nogi z barowego stołka, budząc zdumienie u swego rozmówcy. Balcerzak z zakłopotaniem podrapał się po głowie, lecz Paweł już tego nie widział.

Rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem. Nagle uwagę jego przyciągnęła szepcząca i spiskująca Zagajewiczowa, gapiąca się ze złośliwym uśmiechem w jakiś punkt w gęstym tłumie. Paweł powoli, czujnie sunął pod ścianą w stronę tamtego miejsca. Zobaczył ją w tłumie tańczących.

Obejmowała go za szyję, czoło przytknęła do jego czoła. Oboje mieli zamknięte oczy i wyglądali, jakby byli zawieszani w innym wymiarze. Paweł podkradł się bliżej, trącając kołyszące się pary. Zobaczył, jak powoli otworzyła oczy i podniosła na niego nieprzytomny wzrok. Patrzyli na siebie i zdawało się to trwać wieki. Nagle go olśniło. Nie robiła tego dla perwersyjnej przyjemności torturowania go. Znaczył dla niej w tej chwili tyle co nic. Był tylko niewygodną przeszkodą, wyrzutem sumienia, utrudniającym spotkanie z ukochanym.

Wyszła za niego, bo ciągle była pogrążona w bólu po tamtej miłości. Służył jej za odskocznnię... Przez kilka lat leczyła rany u jego boku, by teraz wreszcie być gotową na tyle lat oczekiwaną miłość! Może miłość jej życia? Prawdziwym problemem była rodzina zamieszkująca dom na Kozińskiego. Jej jedyna rodzina. Oto prawdziwa tragedia! Jeśli nie wypali romans z Igorem, zostanie sama jak palec! A tego żoneczka skrycie obawiała się najbardziej, o tym Paweł wiedział dobrze. Pozostawienia. Odrzucenia. Samotności.

Może źle ją osądzał, może mierzył swoją miarą. Spuścił powieki i usunął się w cień. Zamierzał poczekać do końca nieznośnie długiego utworu.

Sądny dzień

Piątkowy poranek był zimny i wietrzny. Termometr za oknem pokazywał sześć stopni powyżej zera. Paweł siedział za biurkiem w kancelarii i obserwował, jak wiatr zmiata z drzew zielone jeszcze liście. Ni rusz, nie mógł się zabrać za robotę. Piekielna pamięć wciąż podsuwała mu reminiscencje poprzedniego wieczora, kiedy wrócili do domu i ona zaczęła się pakować, a on wpadł w istny szal.

Z nową uwagą wlepił wzrok w komputer, lecz natychmiast stanęła mu przed oczami scena, podczas której on... Nie, tak nigdy nie powinien był zrobić. Podnieść rękę na kobietę... To poniżej wszelkiej... Nigdy by się nie spodziewał, by on – kulturalny i wykształcony człowiek – mógł uciec się do rękoczynów. Wprawdzie doprowadziła go przedtem niemal do białej gorączki, jednak, mimo wszystko... Mimo wszystko.

Z rezygnacją pokręcił głową, a potem powoli złożył ją na wyściełane zielonym suknem biurko i jeden Pan Bóg wie, ile by tak tkwił, gdyby nie gwałtowny, nerwowy dzwonek telefonu. Poderwał się gwałtownie, serce zabiło mu szybciej, opadła go jakaś irracjonalna nadzieja.

– Halo – wychrypiął.

– Panie mecenasie, znów dzwoni prezes Baranowski, mówi, że tym razem nie da się zbyć! To ponoć bardzo poważna sprawa!

– Proszę łączyć. – Poczul niemiły skurcz w żołądku. O tej porze? Nie było jeszcze ósmej! Wprawdzie Baranowski wydzwaniał do niego od dwóch dni, lecz ani myślał wtedy z nim rozmawiać! Źle się stało, źle się stało.

– Mecenas Wencel? – zabrzmiał groźny głos prezesa.

– Witam, panie prezesie – poważnie odpowiedział Paweł, siadając prosto i odruchowo poprawiając krawat. – Czy coś się stało?

– Oj, stało się – bulgotał prezes złowieszczo – oj, stało się, mecenasie...

– Panie prezesie, niech pan przejdzie do rzeczy – niepokój dźgnął go prosto w żołądek.

– Odezwał się do nas tajny wierzyciel, mecenasie. Wisimy mu niezłą sumkę. Jakieś osiem baniek, kurwa wasza mać!

– Jaki tajny wierzyciel? – Paweł nie rozumiał.

– Od spółki, co ją nam pan sprzedałeś! – wrzasnął prezes.

Paweł poczuł obręcz zaciskającą się w okolicy mostka. Nagle zaczął wszystko rozumieć. To ten skurwiel Robert! Mati miał rację! Powoli, z trudem łapiąc powietrze, wycedził:

– Chyba zaczynam rozumieć, panie prezesie. Niech pan mi tylko powie, czy aby mój wspólnik nie przyszedł do pana z ofertą kupna spółki, która miała tak łatwo zarobić...

– Razem do mnie przyszlście! Przecież to pan ich naraił! Niech mi pan teraz nie mydli oczu, bo zanim pana zlicytuję, to jeszcze naślę na pana pana Wieśka z rycerzami i zawiozą pana na przejażdżkę do lasu, kurwa wasza mać, tak że się panu odechce łgarstw opowiadać...

– Panie prezesie – huknął Paweł – proszę posłuchać! On to zrobił za moimi plecami, rozumie pan? Za moimi plecami! Przyszedł do pana sam, prawda?

– Sam, ale pan przecież z nim wtedy rozmawiałeś przez telefon. Konsultowałeś pan coś, jak żeśmy tę umowę podpisywali.

– Fingował! Kłamał, rozumie pan. – Paweł wstał i pochylał się nad aparatem jak rozjuszony niedźwiedź. – Daliście się wpuścić, ale niech pan poczeka! Może nie wszystko stracone! Muszę natychmiast obejrzeć tę umowę, którą podpisaliście i *due dilligence*, umowę, którą podpisaliście z Zagajewiczem na bezpieczeństwo transakcji!

– Czyli umowę z waszą kancelarią?

– Nie. Z Zagajewiczem. Ja z nim mam spółkę partnerską! Nie jestem odpowiedzialny za to, co on sam podpisuje! Chyba że sfałszował mój podpis, ale wątpię, by to zrobił.

– A chuj z wami wszystkimi! – wrzeszczał prezes. – Odpierdol się pan z tym teraz, panie Kostrzyc! Nie widzisz, że właśnie o tym rozmawiamy?! Stul pan dziób! No, mów pan, panie Wencel!

– Jeśli jest tak, jak myślę, forszę wyrwiemy od ubezpieczyciela Zagajewicza, a jak

z ubezpieczenia nie wystarczy, to już ja pościągam z jego prywatnego majątku, niech pana o to głowa nie boli – wychrypiał Paweł. – A jak z jego nieruchomości nie wystarczy, pożyczę od swojego starszego! Muszę tylko natychmiast wejrzeć w tę umowę. Będę u was w ciągu godziny.

Rzucił słuchawkę, bez tchu złapał laptop i marynarkę, a następnie wybiegł na korytarz. Bez słowa wyjaśnienia minął przerażoną panią Agnieszkę i z łoskotem zbiegł po schodach.

Tego samego dnia, po spędzeniu siedmiu godzin w gabinecie prezesa Baranowskiego, Paweł leżał u rodziców na sofie niemal bez życia. Matka położyła mu na głowie chłodny kompres, ojciec kursował od okna do okna.

– Przestańże tak się kręcić jak smród po gaciach! – wrzasnęła na niego matka. – Jego to tylko denerwuje!

– Lepiej ty byś przestała trajkotać! To go denerwuje daleko bardziej – warknął stary Wencel, przysiadając jednak na wielkim, skórzanym fotelu.

Milczeli chwilę, po czym Elżbieta zaczęła:

– Nie chcę cię, Pawełku, denerwować, ale szczęście w nieszczęściu, że nie na ciebie była ta umowa, tak? Jesteś bezpieczny, tak? No bo z tego, co mówisz, to Zagajewicz jest skończony... To z jego ubezpieczenia pójdzie ta kwota, tak czy nie?

– Już ci to przecież Paweł dwa razy tłumaczył... Na Zagajewiczu spoczywa cała odpowiedzialność za bezpieczeństwo transakcji. Odpowiada za to własnym majątkiem. Jeśli jest ubezpieczony, koszty pokryje ubezpieczyciel. Jeśli nie, albo jest niewystarczająco na tak wielką kwotę, jaką jest siedem milionów złotych, będzie musiał dokładać z własnego majątku. On raczej tyle nie ma, ale stary Marian zawsze był przy forsie. Już Paweł ściągnie z nich każdy grosz... A teraz daj chłopakowi wytchnąć, dobrze? – burknął Wencel, plaskając się łapą po kolanie. – Nie widzisz, że jest w... – ugryzł się w język i zmilczał.

– Powinien skakać z radości. Wywinął się dziś podwójnie grabarzowi spod łopaty! – Elżbieta miała osobliwy sposób stawiania synów do pionu.

– Dajże spokój, kobieto! Wstydzilibyś się. Oni się znali piętnaście lat! – huknął Wencel.

W końcu zdecydowali, że najlepiej będzie, jak Paweł się trochę prześpi, a potem pomyślą razem co dalej. Paweł leżał, nie odzywając się ani słowem. Rysiek chodził koło niego cicho i tylko od czasu do czasu jego usta wykrzywił grymas. Wciąż mamrotał pod nosem przekleństwa.

Potem szepty rodziców oddaliły się do kuchni. Przyciszonymi głosami naradzali się, co w tej sytuacji najlepiej będzie zrobić. Elżbieta kilka razy próbowała wydzwonić Matiego, lecz w jego telefonie uparcie odzywała się poczta głosowa. Po dziesięciu takich próbach Rysiek zaczął się martwić i o średniego syna.

Mijała godzina za godziną. Chodzili wokół niego na palcach, jakby był chory. Rysiek od czasu do czasu przysiadł przy nim na fotelu i z niedowierzaniem kręcił głową. Nie mieściło mu się to wszystko w głowie. I cóż najlepszego zrobił ten bezmyślny Zagajewicz? Musiał rzeczywiście wziąć od tamtych prowizję, by klientowi Pawła to kukułcze jajo podrzucić! Połazczył się pewnie na parę groszy i rozpieprzył całą firmę. Ale jak mógł nie przewidzieć, że spółka może mieć dług?! Jak mógł nie sprawdzić? Paweł opowiadał, że niby stary Marian mu ich podesłał. Rysiek w to wątpił. Stary Marian miał trochę oleju we łbie i wiedziałby, co to za krętacze. Pewno chłopak zrobił to na własną rękę albo ktoś go do tego namówił! Ale żeby tak za plecami wieloletniego kumpla?! Tyle lat wspólnej pracy na markę, na zaufanie. Wszystko to dziś prysło jak bańka mydlana. Łatwo było sobie wyobrazić bój, który teraz będą musieli stoczyć o wspólnych klientów. Tak to właśnie kończyły się wszelkie spółki. Nieraz widywał takie rzeczy. Najzabawniejsze było to, że często ostrzegał chłopaków przed zbytnią naiwnością w interesach i niepatrzeniem przyjaciołom na ręce, lecz nie chcieli go słuchać. Paweł twierdził, że ludzie się zmienili, nie są tak pazerni jak w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to raz nawet sam Rysiek został wycyckany przez kumpla.

Bzdura. Natura ludzka się nie zmienia, a gdzie zaczynają się interesy, tam kończy się przyjaźń. Bolesna to lekcja, ta, którą dziś odbierał od życia jego pierworodny. Wolałby mylić się tysiąc razy, nie miał absolutnie żadnej satysfakcji z tego, że przewidział dokładnie, jak się to skończy. Przykre.

Stary Wencel westchnął ciężko i otworzył barek. Nalał sobie małą szklaneczkę i wychylił jednym haustem. Zerknął na syna. Leżał bez ruchu, lecz Ryškowi wydawało się, że raczej nie śpi. Zakrył twarz przedramieniem. Co to za los, że wszystko naraz mu się na łeb zważyło? Z Hanną to było wprawdzie do przewidzenia. Już dawno się kroilo. A niech idzie w cholerę, niech spierdala. Wkrótce synowi ulży...

Gorzej z tym skurwysynem, z tą gnidą przebrzydłą! Tyle lat znajomości. Żeby go diabli wzięli! Gdyby tak go dostał w swoje łapy. A tyle razy szuja przyjeżdżała do ich domu do Niedźwiedziego Rogu, jadła z nimi przy jednym stole. Jak Paweł się z tego otrząśnie? Jak poskleja firmę na nowo? Szczęście, że założyli spółkę partnerską, jednak ten jego pierworodny ma łeb na karku... Gdyby nie to, musiałby i on odpowiadać za tę sprawę własnym majątkiem... Byłby zrujnowany...

Ta straszliwa perspektywa nieco łagodziła ból zaistniałej sytuacji. Tak więc Wencel, który z natury był optymistą, prędko doszukał się w tym wszystkim dobrych stron.

– Dobrze, że wyszło szydło z worka – mówił później do Elżbiety, leżąc w łóżku, gdy już zostali sami. – Po co miałby chłopak przyjaźnić się z taką wszą... Prędzej czy później by mu wsadził nóż w plecy. Zawsze mi na takiego wyglądał... Gnida bez charakteru. Chorągiewka na wietrze... Ale dostanie za swoje. Paweł puści go z torbami...

Gdy zegar wybił ósmą, Paweł nagle się podniósł i ruszył do garderoby po płaszcz.

– Co robisz?! – zakrzyknęła matka. – Myślałam, że zostaniesz na noc. Po co będziesz jechał?

– Chcę sprawdzić, co z Hanną. – Paweł szybko się ubierał.

Wsiadł w samochód i ruszył w ciemną, mokrą noc. Prawdę mówiąc, cała ta sytuacja ze zdradzieckim współnikiem zrobiła mu o tyle dobrze, że na jakiś czas kompletnie zapomniał, co się wydarzyło wczoraj w jego własnym domu. Teraz, gdy widmo ruiny finansowej zostało zażegnane (prezes Baranowski nie tylko już nie chciał pociągnąć go do odpowiedzialności, ale zaproponował mu wyjątkowo hojną stawkę za doprowadzenie Zagajewicza do odpowiedzialności, jak nie karnej, to chociaż finansowej), znów przypominały mu się gorszące sceny z wczorajszej awantury. Po szamotaninie, której szczegółów pamiętać nie chciał, Hanna uciekła do gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Długo pukał, a nawet walił w drzwi. Błagał ją i zaklinał, by dała choć znać, że nic jej się nie stało, lecz na darmo.

Cóż zastanie w domu teraz? Tego obawiał się najbardziej. I choć próbował oszukiwać się, że nie wierzy, by mogła wyprowadzić się do takiego gołodupca, właśnie ta myśl napełniała go tak potwornym lękiem.

Zaparkował samochód pod domem i natychmiast spojrzął w okna. Ciemno. Wsiadł z samochodu. Poczł, jak ręce wilgotnieją mu od zimnego potu. Szybko ruszył w stronę domu, wbiegł po schodach, przekręcił klucz i wpadł do środka.

Na podłodze nadal tkwiły porozbijane i porozrzucane przedmioty – niechlubne świadectwo tej straszliwej awantury. Rumieniec wstydu wypłynął mu na policzki, gdy dostrzegł skorupy szkła, walające się po salonie.

Zapalał wszędzie światła, biegając nerwowo po całym mieszkaniu. Na końcu wpadł do gabinetu. I tam pusto. Nie było jej w domu, to wiedział już na pewno. Opadł na skórzany, pikowany fotel i z przerażeniem zapatrzył się przed siebie. Myśl, że mogła odejść na zawsze, była paraliżująca.

Postanowił sprawdzić, czy zabrała swoje rzeczy. Pobiegł do jej garderoby i z westchnieniem ulgi stwierdził, że rzeczy były na miejscu. Może pojechała nocować na Koziętułskiego. I przeraził się na myśl, że stary Rolicz zobaczy siniec na jej policzku. Wstyd, że wszyscy się dowiedzą, był nie do zniesienia. Lecz nie dane mu było długo się tym zamartwiać. Wzrok jego padł na sekretarzyk, gdzie leżała koperta, której zawartość w lot wszystko wyjaśniła.

„Odchodzę, nie waż się mnie szukać. Jeżeli jeszcze raz spróbujesz zakłócić mój spokój, założę ci sprawę sądową za pobicie. Nie chcę cię szantażować, lecz wiem, że jest to jedyny sposób, byś trzymał się ode mnie z daleka. Mam nadzieję, że nie zabrałam żadnej rzeczy, którą dostałam od ciebie. H”

Oslupiał. Chwilę obracał kopertę w dłoniach. Coś się w niej przesunęło, wypadło i z brzękiem potoczyło się po podłodze. Opadł na kolana i ze zdumieniem ujrzał kręcącą się wokół własnej osi obręczkę ślubną.

A więc to tak. Odeszła. Opuściła go i uciekła do dwudziestoparoletniego gacha. Narzeczonego własnej siostry! Pierwszym odruchem była dzika wściekłość. Chciał biec, szukać ich, zadusić oboje gołymi rękami! Przez chwilę wyobrażał sobie, jak kupuje rewolwer i strzela temu gnojowi prosto w pusty, radykalnie lewicowy łeb! Jednak wizja bycia pociągniętym do odpowiedzialności karnej prędko ostudziła te fantazje.

Zamiast tego, nie do końca nad sobą panując, chwycił za słuchawkę telefonu i po chwili wahania wykręcił domowy numer starego Rolicza. Po kilku sygnałach odebrał on, we własnej osobie.

– Tak, słucham?

– Edward? Paweł z tej strony – głos Pawła zgrzytnął nieprzyjemnie.

– O! Witaj Paweł. Co u was słychać? Coś się stało?

– Owszem, choć może u was to normalne, sam już nie wiem...

Po chwili ciszy Edward powoli podjął z nutką zniecierpliwienia:

– Jeżeli to znowu jakieś kłopoty małżeńskie, to przykro mi, ale chyba jesteś dorosły? Sam rozwiąż tę sytuację i nie angażuj w to osób trzecich!

– A ja myślę, że sprawa zatoczyła szersze kręgi – syknął Paweł i niewiele myśląc, wypalił:

– Czy wiedziałeś, że Hanna ma romans z narzeczonym Matyldy?

Po dłuższej chwili ciszy, podczas której Paweł słyszał tylko jakieś dziwne dzwonienie w uszach, dobiegł go zde gustowany, oburzony głos Rolicza:

– A na cholerę o tym mówisz?

– Jak to? – głos Pawła zgrzytnął. – Nie obchodzi cię, że jedna twoja córka – ostatnie słowo wypowiedział z jadowitą ironią – kradnie drugiej narzeczonego?

– Najwyraźniej nie było im to narzeczeństwo pisane! – huknął Rolicz groźnie. – A to, że kablujesz, że się skarżysz jak smarkacz, świadczy źle o tobie, nie o niej!

Dzwonienie w uszach zmieniło się w buczenie. Paweł czuł, że lada chwila zaleje go krew.

– Oczekiwałem, że wpłyniesz na nią jakoś! Użyjesz swojego autorytetu! Dla jej własnego dobra!

– Raczysz żartować! – głos Rolicza brzmiał groźnie. – I jeśli sądzisz, że ją za to potępię, czy może wyklnę – tu zaśmiał się niebezpiecznie – to chyba już doszczętnie postradałeś rozum! Nie dzwoń do mnie więcej, nie próbuj mnie wciągać do swojego bagna!

Rozłączył się. Paweł, purpurowy na twarzy, dyszał ciężko, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w list, napisany jej ładnym, zamaszystym charakterem.

As w rękawie

Mati, wbrew przewidywaniom starego Wencla, nie wpadł pod samochód ani nie został przez nikogo napadnięty. Nie leżał też w szpitalu. Żył, ale nie można powiedzieć, by miał się dobrze. Nie odbierał telefonów, bo nie chciał się kontaktować z Antoniną, dopóki nie „załatwi” swoich spraw. Od kiedy dowiedział się, że Karolina wyjechała, tkwił jak zawieszony w niebycie, szykując się do tej ostatecznej rozmowy.

Neurotyczny charakter wciąż podsuwał mu czarne scenariusze i wciąż wydawało mu się, że zdarzy się coś, co pogmatwa jego plany. Z drugiej strony bał się tak antycypować, bo zdawało mu się, że za chwilę ściągnie na siebie nieszczęście, którego skrycie tak się obawiał. Próbował więc nie myśleć i nie planować niczego, by nie narazić się na gniew Opatrzności. Starał się te dwa dni przezimować. Istniał więc, ale nie istniał. W ten sposób dotrwał do piątku, skrajnie wyczerpany. W zimne, wietrzne popołudnie wyszedł z pracy, by wcześniej niż zwykle wrócić do domu. Chciał być przed Karoliną, chciał się jakoś przygotować, czy może ją przygotować? Wiedział, że ten cios ją załamie, ale nie miał innego wyjścia. Przerobił to w głowie już setki razy, na milion sposobów.

Jakie to wszystko było nietrwałe, jakie bezsensowne. Nikomu w życiu nie można zawierzyć, na niczym nie można się oprzeć.

Cała jego dusza wrywała się do tamtej kobiety. Pragnął jej każdym zmysłem. Ciało podobno nie kłamie. *In eros veritas*^[39]. Czemu więc czuł się, jakby spadał w otchłań i miał być stracony na wieki? Czy wizerunki diabłów smażących grzeszników, wykonane na szkolnej tablicy gorliwą ręką wąsatej katechetki z gitarą, tak głęboko wryły mu się w pamięć i utworzyły skazę w jego psychice, czy też może odzywało się sumienie, które tak usilnie próbował zagłuszyć ironizowaniem i fałszywą w założeniach logiką, mającą na celu oczyścić go z zarzutów i prowadzącą do mylnych wniosków?

Ach, straszna jest wolna wola. Nie ma nic bardziej szatańskiego niż możliwość wyboru. Całe życie ludzkie jest jak test. Rzucają nas w różne sytuacje i obserwują. Czy człowiekowi trafi się rola kochanka czy dowódcy na froncie, czy kapo w obozie, wszystko jedno. Zawsze ma wybór. Zawsze z tyłu głowy słyszy dwa głosy – i teraz palicho, jak to nazwać, czy rozsądku i sumienia, czy diabła i Boga – wszystko jedno.

Wybór jest zawsze ten sam. Między dobrem a złem. Każdy na przestrzeni dziejów, czy żyje, czy nie żyje w „ciekawych czasach” – ma szansę się wykazać. Lecz sprawa nie jest wcale taka prosta, jak się wydaje.

Zło nie tak łatwo zidentyfikować. Ciągłe zmienia postać. Czy złem jest zadać ból Karolinie, czy złem jest ją oszukiwać, by wieść u jej boku bezcelowe życie? I tak samo jest z każdą sprawą.

Lecz czy w ogóle jest sens się nad tym zastanawiać? Może cała ta pieprzona ludzkość jest już sama w sobie złem? Rakiem, który toczy planetę? Dziwnym gatunkiem, który rozplenił się bez kontroli, niszcząc wszystko wokół, w obłądnym pędzie ku bliżej niezdefiniowanemu rozwojowi? Miliony mrówek, które gryzą się nawzajem i trują inne, by pozostać na powierzchni, rozmnożyć się i przetrwać. I tylko moje, moje, moje. Byłe ja, byłe moje dzieci...Lecz to właśnie natura, nie człowieczeństwo, pchała go ku...

Ten zawiliły tok myślenia przerwał widok Karoliny, siedzącej w salonie na kanapie. Mati, w płaszczu i z teczką w jednej dłoni i kluczem w drugiej, stanął w drzwiach wejściowych jak wryty. Jakoś nie spodziewał się jeszcze jej zastać. Zdawało mu się, że pociąg z Zakopanego przyjeżdża później...

– Cześć, Mati. – Wyglądała poważnie, jak przed egzaminem.

– Cześć. – Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Odłożył teczkę, zamknął za sobą drzwi i wciąż w płaszczu powoli wszedł do salonu. Ona też była blada, zapewne domyślała się, co chciał jej powiedzieć. Tym lepiej, niech ma to już za sobą.

– Mateusz – dobiegł go jej drżący głos. – Muszę ci coś powiedzieć...

– I ja chcę ci coś powiedzieć – zaczął sucho.

– Nie mów nic! Posłuchaj... Jestem w trzecim miesiącu – wyrzuciła z siebie szybko, zanim zdążył się odezwać. – Nie mówiłam ci wcześniej, bo chciałam, żeby się wszystko wyjaśniło.

Z początku były problemy, ale teraz... Wszystko jest na dobrej drodze.

Powoli osunął się na kanapę, wciąż w płaszczu. Poczul dziwne tąpnięcie, jakby na chwilę ktoś wyciągnął mu wtyczkę z kontaktu i wyłączył go na ułamek sekundy. Pokój lekko zawirował. By dać sobie odrobinę czasu, ukrył twarz w dłoniach.

– To niewiarygodne – wybełkotał, gdyż cisza musiała trwać już zbyt długo, zresztą tak naprawdę nie umiałby powiedzieć. – To fantastyczne...

– Płaczesz? – Karolina zbliżyła się, chciała mu chyba oderwać palce od twarzy. Nie pozwoliła na to. Na wszelki wypadek przycisnęła je mocniej.

– Tak, ogromnie się wzruszyłem...

A więc stąd ta pewność siebie. W odpowiedniej chwili wyrzuciła asa z rękawa. Czy o wszystkim wiedziała, czy tylko się domyślała i teraz zadała cios, by stłumić niebezpieczeństwo w zarodku? Zabawne, bo w tym związku to on miał się za rozgrywającego...

– W porządku?

– Jasne. – Oderwał ręce od twarzy i gwałtownie powstał. – Chodź tu do mnie, szybko!

Zwarli się w uścisku i tak trwali przez kilka sekund. Mati zacisnęła powieki, jakby w ten sposób mógł sprawić, by rzeczywistość zniknęła.

– Chcesz zobaczyć zdjęcia z USG dzidziusia? – usłyszał jej drżący ze wzruszenia głos. Co tak naprawdę myślała? Co wiedziała?

– Dawaj je! – zawołał entuzjastycznie i otarł łzy, które napłynęły mu do oczu w sposób zupełnie niewymuszony.

Pobiegła pędem do kuchni.

Epilog

– Dzwon do niego! – jazgotała Marzena, zdzierając z siebie fartuch i rzucając go na podłogę. – Na co czekasz, baranie?

Robert stał w kuchni i szeroko rozszerzonymi oczami wpatrywał się w nieokreślony punkt na lodówce. Widząc swego przedsiębiorczego męża pogrążonego w tak dziwnym, tak przerażającym odrętwieniu, Marzena sama chwyciła za leżącą na kuchennym blacie komórkę i zaczęła w niej gmerać.

– Dawaj to! – ryknął Zagajewicz i wyrwał jej telefon.

– Oszalałeś? – krzyknęła, krzywiąc się z bólu. Ten gburowaty mąż chyba właśnie złamał jej paznokiec! – Dzwon do niego i powiedz, że był dług na spółce, którą ci podsunął! Niech teraz spróbuje cię jakoś z tego wyplątać! Niech się głowi, co z tym dalej zro...

Urwała, bo mąż zbliżył się do niej z morderczym wyrazem twarzy.

— Cicho, babo! – warknął jakieś dwa centymetry od jej twarzy. Ucichła, bo zrozumiała, że to nie przelewki. Latającymi rękami otworzyła szufladę i wyjęła małą paczkę cienkich papierosów. Oparła się plecami o lodówkę i zapaliła chciwie, wpatrując się w męża błagalnym wzrokiem.

Zagajewicz wciąż myślał, lecz wyraz jego twarzy nie zwiastował nic dobrego.

Poczerwieniał, zacisnął zęby i powieki, wtulił głowę między ramiona i zaczął wydawać z siebie przerażający, niekontrolowany syk.

– Robert! – krzyknęła płaczącym głosem. – Co się z tobą dzieje?

– Uaaa, kurwa! – ryknął, kuląc się i kucając, jakby ktoś strzelił mu w serce z moździerza.

– Robert! Przerażasz mnie! Robert! Pani Bo jest w mieszkaniu! Panuj nad sobą! – jazgotała, lecz nieco ciszej, strwożonym głosem.

Jeśli faktycznie miał zawał, to może i lepiej w tej koszarnej sytuacji? Dług w części pokryje ubezpieczenie od ryzyka działalności, które Robert, na szczęście, miał dość wysokie! A w sytuacji, gdyby tak się nieszczęśliwie złożyło, że Robert by zszedł, może sprawę by umorzono całkowicie! Zresztą chyba w takiej sytuacji przysługiwałoby jej i rodzinie jeszcze jakieś dodatkowe ubezpieczenie!

Nie, to nie był zawał. Po prostu ryczał. Odreagowywał. Marzena pobiegła do salonu po butelkę koniaku. Nalała mu szczerą ręką i podała. Nadal kucał w tym samym miejscu. Widząc szklankę, chwycił ją jak koło ratunkowe, wypił jednym haustem, po czym wstał i wyrwał jej całą butelkę, a następnie wypił kilka solidnych łyków.

– Alkohol nie rozwiąże twoich problemów, Robert – zgrzytnął głos Marzeny. – Nie wiem, co teraz zrobisz. Ja cię przed nim ostrzegałam. Mówiłam, żeby tak ślepo mu nie ufać!

– Kiedy mówiłaś, co mówiłaś?! – wrzasnął Zagajewicz, z hukiem stawiając butelkę na blacie.

– Pytałam się ciebie, dlaczego właśnie z tobą chciał zrobić ten „korzystny” deal? Teraz już wiem! Trudno o drugiego takiego kretyna!

– Suka! – Odwrócił się na pięcie i łomocąc obcasami eleganckich butów, podszedł do okna. Przed nim rozciągała się pokryta blokowiskami Górka Ursynowska. Światła domów rozmazywały się w mokrych od deszczu szybach. Stał tam chwilę, zakrywając sobie oczy dłonią. Wyglądał jakby bił się z myślami. W końcu powrócił do kuchni i chwycił za telefon zdecydowanym gestem. Wcisnął guzik i wojowniczo wsparł się pod bok. Marzena nie widziała jego twarzy, bo stał do niej tyłem...

– No witaj, Mirek – Robert chrząknął, jakby coś utkwilo mu w gardle. Marzena bezwiednie złożyła ręce, jakby w modlitwie.

Cholera jasna! Zawsze czuła, że postawiła na niewłaściwego konia! To dlatego zawsze tak sceptycznie prychała, gdy jej matka piała nad walorami Roberta! Zawsze wiedziała, że gdzieś czaił się haczyk! I teraz ma! O nie! Nie pójdzie z nim na dno! Jak to dobrze, że mieli rozdzielność majątkową. Najwyżej go posadzą! Przecież nie podetnie sobie przez niego żył! Ma do wychowania dwoje dzieci!

– Słuchaj, paskudna sprawa – prychnął ironicznie Robert, czochojąc się po głowie

i opierając nonszalancko o framugę okna.

A więc wciąż zgrywał chojraka?! Niechby mówił do rzeczy! Baran jeden! Nie czas i miejsce na brawurę!

– Nie, nie! Nie! To coś znacznie gorszego, yyy. Na tej cholerniej spółce był potężny dług zaciągnięty na innej spółce! Dasz wiarę?... No, ja też nie mogę w to uwierzyć! Kurwa! Co tu robić?

W absolutnej ciszy z głębi słuchawki dobiegał perorujący głos.

– No jasne, że gwarantowałem, a jak inaczej, kurwa mać! – wyrwało się Zagajewiczowi, który już nie podpierał boku, tylko gwałtownymi, nerwowymi ruchami przeczesywał półdługie, jasne włosy.

Znów w pokoju zabrzączał zniekształcony przez łącza, uczony, zaniepokojony głos. Robert zaczął targać włosy.

– Ale, Miruś, ja mam z nim spółkę partnerską... No jak to co? To, że on nie odpowiada za to, co ja podpisuję... No nie! No skąd! Tylko ja!

Robert zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem, przyciskając słuchawkę do ucha, jakby spodziewał się, że usłyszy z niej jakąś salomonową radę, lecz z minuty na minutę spotykało go coraz większe rozczarowanie. W pewnym momencie, mimo sympatii dla kumpla, zapomniał się na tyle, że wyrwało mu się z ust nieładne przekleństwo.

– Miruś, nie pierdol, za przeproszeniem. To nierealne! Słuchaj, wisi nade mną groźba zapłacenia jakichś siedmiu baniek, bo ubezpieczenie mam tylko na bańkę! No wiem, że to Budexprim ma zapłacić, ale oni pozwą mnie! Ja za to odpowiadam, rozumiesz czy nie? Jestem spokojny, mówię kulturalnie!!!... No bo, kurwa, jestem zdenerwowany, a co ty myślisz! Powiedz lepiej, skąd ty wytrzasnąłeś takich gości! I po co mówiłeś, że są pewni?... No, kurwa, jak nie miałeś pojęcia, to po co gwarantowałeś...

Marzena zapaliła drugiego papierosa. Głos w słuchawce przybrał nieco inne tony, zdawał się być lekko oburzony. Robert kiwnął Marzenie głową i dał znak, że i on ma chęć zapalić. Poleciała do szuflady, wyjęła cygaretki, zapaliła jedną i podała mężowi.

– Ja cię o nic nie posądzam, tylko... No dobrze, proszę, kurwa jebana mać. Skończ zdanie!

Marzena patrzyła pytającym wzrokiem. Robert zerknął na nią i machnął jej ręką, by na razie mu nie przeszkadzała.

– Więc jeszcze raz się ciebie pytam, skąd ich wzięłeś i po co mówiłeś, że... Nie, kurwa, nie. O nic cię nie posądzam... Jak to mój problem?... Co?... A kiedy będziesz mógł? Halo? Halo, kurwa?!

– Wyłączył się. – Zagajewicz z wściekłością nadusił guzik, po czym z całej siły cisnął komórką o podłogę...

Przypisy

[1] Dobre maniery.

[2] Ogląda towarzyska.

[3] Bogactwo zobowiązuje, parafraza francuskiego powiedzenia *noblesse oblige* – szlachectwo zobowiązuje.

[4] Sam na sam.

[5] Paremia prawnicza, oznaczająca: nikt nie może przenieść na drugą osobę więcej praw, aniżeli sam posiada.

[6] Na pierwszy rzut oka.

[7] Osobiście.

[8] Sposób działania.

[9] Przeczucie, intuicja.

[10] Wysokiej jakości bawełna.

[11] Nie da się zrobić.

[12] Określenie osobowości.

[13] Porządek.

[14] Cisza!

[15] Ostatnia, lecz nie mniej ważna.

[16] Nie martw się Pierre, nie pozwiemy Ci dopóki będziesz nam regularnie płacił.

[17] Teraz jemy czy co? Co robimy?

[18] Teraz będziemy w grupach nagrywać film obrazujący kluczowe strategie Telecommerce.

[19] W tej grupie?

[20] Nie, nie sądzę, że będziemy kręcić w tej grupie. Celem tego ćwiczenia jest przydział wszystkich typów osobowości do każdej z grup. Ma być jeden lider, jeden analityk, jeden koordynator etc.

[21] Więc nie będziemy razem?

[22] Nie, ale zawsze możemy spędzić ze sobą dużo godzin w biurze. Dużo płatnych godzin.

[23] Dzielenie się informacjami opłaca się.

[24] Osiągnąć cel za wszelką cenę.

[25] By tak rzec.

[26] Najlepsze towarzystwo.

[27] Zapewne Wencel ma na myśli baklavę – turecki przysmak.

[28] Gwara regionalna.

[29] Wykonana z należytą starannością analiza i ocena wszystkich obszarów funkcjonowania spółki.

[30] Research and Development – dział badań i rozwoju w przedsiębiorstwach.

[31] Przepraszam, przyjacielu. Widzę, że macie nazwy potraw w czterech językach. Macie po grecku, naturalnie. Macie po angielsku, to jasne. Macie po niemiecku. To mogę jeszcze zrozumieć. Pełno ich dookoła. Macie również francuski, choć nie widziałem ani jednego Francuza! A gdzie po polsku, przyjacielu?

[32] Pytam, przyjacielu, gdzie jest po polsku?

[33] Setki Polaków odwiedzają tę waszą wyspę co roku, zostawiając tu tysiące euro, podczas gdy pierdoleni Niemcy zeżarliby spod siebie, po to tylko, by nic nie wydać, a wam nie chce się napisać kartki w naszym języku?!

[34] Proszę pana, jeśli ma pan problem, proszę iść do dyrektora i złożyć skargę.

[35] Ty idź do dyrektora i powiedz mu, że jest problem!

[36] Skąd jesteście?

[37] Dlaczego mówicie w połowie po niemiecku, a w połowie po angielsku?

[38] Czekam i czekam dwadzieścia minut.

[39] W miłości prawda, parafraza łacińskiego „w winie prawda” (*in vino veritas*).

